

17946
vi

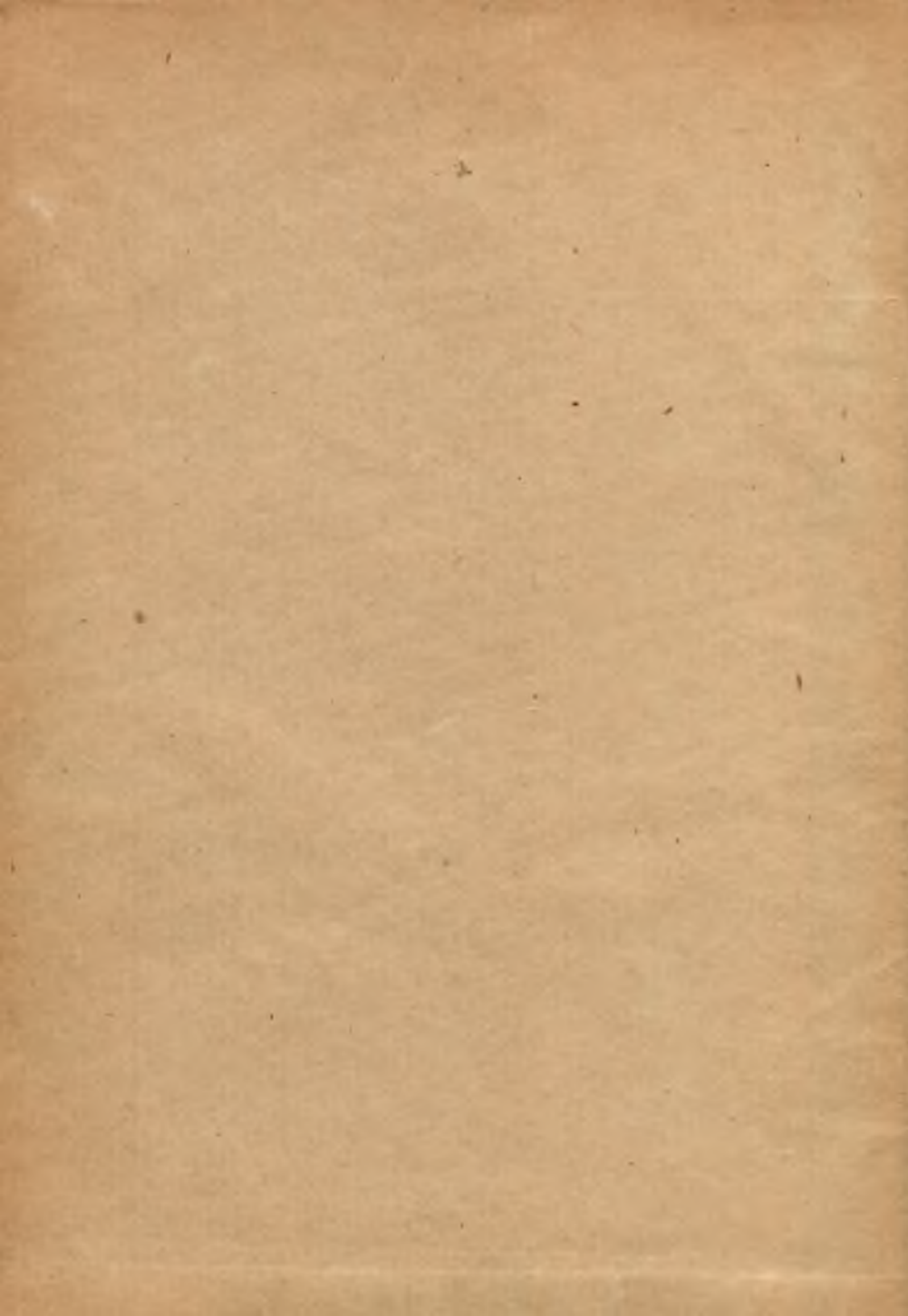


KOMEDYA LUDZKA

WARSZAWA

Wydawnictwo Literackie

ul. Długa 15, m. 10



17946
B.P. in. Ł.

HONORÉ DE BALZAC

KOMEDYA LUDZKA.

TOM VI.

SZUANIÉ

CZYLI

BRETANIA W ROKU 1799

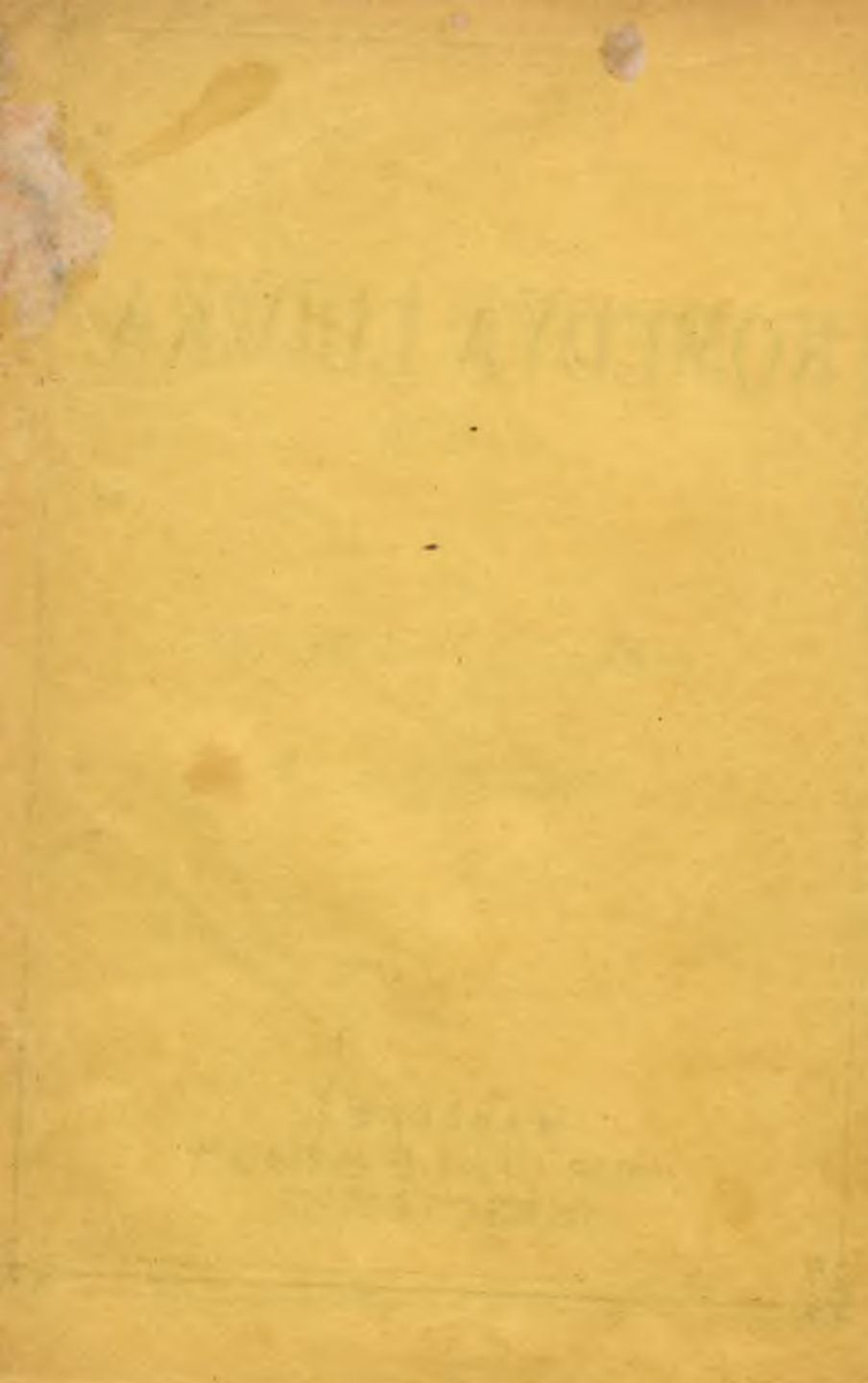
PRZEKŁAD

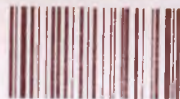
Bronisława Zawadzkiego i J. W.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Ulica Nowy-Świat, Nr. 39 (nowy).





1800084134

BIBLIOTEKA

NAJCELNIEJSZYCH UTWORÓW

LITERATURY EUROPEJSKIÉJ.

1814



LITERATURA FRANCUSKA.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

(Pod kierunkiem Redakcyi „Kiosów”.)

1884.

166171

HONORYUSZ BALZAC.

KOMEDYA LUDZKA.

T O M VI.

S Z U A N I E

CZYLI

BRETANIA W ROKU 1799.

PRZEKŁAD

Bronisława Zawadzkiego i J. W.

WARSZAWA.

NAKŁAD I Druk S. LEWENTALA.

Nowy-Swiat Nr. 39.

1884.

Дозволено цензурою.
Варшава, 26 Декабря 1883 г.



323914 /6

840-3

§ Z U A N I E.

ROZDZIAŁ I.

Zasadzka.

W pierwszych dniach roku VIII-go, na początku miesiąca Vendémiaire, czyli, mówiąc językiem kalendarza zwyczajnego, ku schyłkowi września 1799 roku, drużyna wieśniaków, licząca około stu ludzi, tudzież dość znaczna liczba mieszczan, wyruszywszy rankiem z Fougères w podróż do Mayenny, wspinała się na górę de la Pélerine, położoną w połowie drogi, wiodącej z Fougères do Ernée, małego miasteczka, w którym podróżni zwykle zatrzymują się dla wypoczynku. Grono to, podzielone na grupy mniej lub więcej liczne, przedstawiało mieszaninę kostiumów tak dziwacznych, zbiorowisko ludzi, pochodzących z tak różnych okolic i należących do tak różnych zawodów, że nie będzie rzeczą zbyteczną opisać charakterystyczne ich znamiona, ażeby opowiadaniu temu nadać żywe barwy, do których tyle wagi dziś przywiązują, jakkolwiek, zdaniem pewnych krytyków, szkodzi to malowidłu uczuć.

Niektórzy z wieśniaków — a nawet znaczna ich większość — szli pieszo, za całe zaś odzienie służyła im płachta z koziej skóry, która pokrywała ich od szyi aż do kolan, i spodnie z białego, bardzo grubego płótna, którego nici nierówne oskarżały przemysł krajowy o niedbalstwo. Płaskie kosmyki ich długich włosów mieszały się tak zrzęcznie z sierścią koziej skóry i przystaniały tak zupełnie ich twarze, spuszczone ku ziemi, iż można było tę skórę wziąć za ich własną i na pierwsze spojrzenie sądzić, że są-to owe raczej zwierzęta, których zdarta skóra służyła im za okrycie. Ale zpomiedzy włosów błyszczały ludzkie oczy, jak krople rosy wśród bujnej zieleności, a spojrzenia ich, zwiastujące inteligencją, więcej niewątpliwie budziły trwogi, niż uciechy. Na głowach mieli brudne okrycia z czerwonej wełny, podobne do owiej czapki frygijskiej, jaką rzeczpospolita przyjęła za godło wolności. Na barkach dźwigali wszys

cy grube kije z sękatych dębów, na których wisiały długie sakwy płócienne, dosyć puste. Inni na wierzchu czapek mieli jeszcze grube kapelusze pilśniowe o szerokich brzegach, obwieszone rodzajem wełnianej różnobarwnej tkaniny. Ci znowu, ubrani od stóp do głowy w płótno, z którego uszyte były spodnie i sakwy pierwszych, nie posiadali nic w swoim ubraniu, co by mogło wyobrażać nowoczesną cywilizacją. Długie ich włosy spadały na kołnierz okrągłego kaftana z małemi kieszonkami u boków, sięgającego do bioder — zwyczajny strój wieśniaków zachodniej Francyi. Pod kaftanem otwartym dostrzedz można było kamizelkę z tegoż samego płótna, z dużemi guzikami. Niektórzy z pomiędzy nich mieli na nogach saboty, podczas kiedy inni, przez oszczędność, nieśli trzewiki swe w rękach. Stroje te, długim używaniem zbrudzone, zczerniałe od kurzu i potu, mniej oryginalne od poprzednich, miały tę zasługę historyczną, iż tworzyły niejako przejście do kostiumów prawie okazałych kilku ludzi, którzy rozproszeni w pojedynczych grupach, błyszczeli pomiędzy nimi tu i owdzie, jak kwiaty. Istotnie, spodnie ich z błękitnego płótna, ich kamizelki czerwone albo żółte, ozdobione dwoma równoległemi rzędami guzików skórzanych i podobne do czworokątnych pancerzów, odbijały tak żywo od białych sukien i skór towarzyszy, jak bławaty i maki polne od płowego zboża. Niektórzy mieli na nogach owe saboty, które wieśniacy bretońscy sami wyrabiają; wszyscy jednak prawie zresztą nosili podkute trzewiki i suknie z materji bardzo grubej, krojone według staro-francuskiej mody, której kształt wiernie dochowują nasi wieśniacy. Kołnierze ich koszul były spięte guzikami srebrnemi, przedstawiającemi serca lub kotwice. Nareszcie ich sakwy wydawały się obficie zaopatrzonemi, niż u towarzyszy; niektórzy pośród nich nieśli prócz tego wydrażone dynie zapewne z wodą, sznurkami przewieszzone na szyi. Wpółrodku tych ludzi nawpół dzikich kręciło się kilku mieszczan, jakby dla uwydatnienia najwyższego wyrazu cywilizacji tych okolic. Okryci kapelusami okrągłemi lub kaszkietami, nosili buty ze sztylpami lub trzewiki w kamaszach, przedstawiając, podobnie jak wieśniacy, w ubiorach swoich znaczne różnice. Kilku z nich nosiło owe kamizelki republikańskie, zwane *karmaniolami*. Inni, widocznie bogaci rzemieślnicy, byli od stóp do głowy ubrani w suknie jednego koloru. Najwykwintniejsze z ich kostiumów składały się z fraków lub surdutów, wyrobionych z błękitnego lub zielonego sukna, mniej lub więcej wytartych. Ci, jako prawdziwe personaty, nosili buty o rozmaitych kształtach i bawili się grubemi trzcinami, wyglądając na ludzi, którzy z przejść losu nie sobie nie robią. Kilka głów starannie było upudrowanych, o warkoczach dość zgrabnie zaplecionych. Patrząc na tych ludzi, zdziwionych własnym widokiem i spę-

dzonych razem jakby wolą przypadku, rzekłbyś, iż są-to mieszkańcy jakiegoś zamku, wyrzuceni przez pożar z domowego ogniska. Wszakże czas i miejsce nadawały wcale inny charakter temu zgromadzeniu. Spostrzegacz, wtajemniczony w tajniki niezgód wewnętrznych, które miały podówczas Francją, rozpoznałby z łatwością w tej drużynie, złożonej prawie bez wyjątku z ludzi, którzy o cztery lata wpraw przeciwko niej walczyli, kółko obywateli, na których rzeczpospolita mogła liczyć. Jeszcze rys jeden uderzający nie pozostawia żadnej wątpliwości co do opinii, które dzieliły zebranych tu towarzyszków. Tylko republikanie stąpali z wyrazem pewnej wesołości. Co do innych w tej zbieraniu, to—jeżeli różnaitość ubiorów dzieliła ich między sobą — postaci ich i postawy miały ten wspólny wyraz, którego użycza nieszczęście. Mieszczanie i wieśniacy nosili na twarzach ślady głębokiej melancholii; ich milczenie miało w sobie coś dzikiego; zdawali się wszyscy przygarbieni pod jarzmem tej samej myśli, strasznej bezwąt্পienia, ale starannie ukrywanej, gdyż wejrzenia ich były nieprzeniknione; tylko powolność niezwykajna ich kroków mogła zdradzać tajemną ich troskę. Od czasu do czasu niektórzy z pomiędzy nich, wyróżniający się różańcami na szyjach, pomimo niebezpieczeństwa, na jakie się narażali, nosząc godło religii ujarzmionej, ale nie wytępionej, potrzásali głowami i podnosili je w górę z niedowierzaniem. Ukradkiem spojrzania ich badały ciekawie drzewa, ścieżki i kamieniołomy, które otaczały drogę, w taki sposób, w jaki pies wietrzy w polu zwierzynę; poczem, nie dosłyszawszy nic więcej oprócz stąpania milczących towarzyszków, spuszczałi znów do ziemi głowy i przybierali dawny wyraz rozpaczy, podobni do więźniów, prowadzonych na galery, aby tam żyć lub umrzeć.

Pochód tej kolumny ku Mayennie, różnorodność żywiołów, które ją składały, i uczucia, które zdawała się wyrażać, usprawiedliwiał się obecnością innej kolumny, tworzącej czoło oddziału. Około stu pięćdziesięciu żołnierzy postępowało naprzód z bronią i bagażami, pod dowództwem *szefa pół-brygady*. Nie będzie rzeczą zbyteczną zauważyć dla tych, którzy nie uczestniczyli w dramacie rzeczpospolitej, że ten tytuł zastępował rangę pułkownika, usuniętą przez patryotów, jako zbyt arystokratyczną. Ci ludzie należeli do pół-brygady piechoty, stojącej załogą w Mayennie. W owych czasach niezgód i rozterek mieszkańcy zachodniej Francji nazywali żołnierzy całej rzeczpospolitej *Błękitnemi*. Przydomek ten pochodził od błękitnych i czerwonych mundurów, których pamięć jest nazbyt świeża, abym je bliżej miał opisywać. Oddział „błękitnych“ służył więc za eskortę tej drużyny ludzi niezadowolonych ze swęj podróży do Mayenny, kędy karność wojskowa miała ubrać ich w tegoż sa-

mego ducha, w też same suknie i postawę, zacierając różnice, które ich obecnie dzieliły.

Kolumna nasza stanowiła kontyngens rekrutów z okręgu Fougères, wybrany z trudnością wedle przepisów poboru, zarządzanego przez dyrektoryat wykonawczy rzeczypospolitej francuskiej prawem z dnia 10 messidora. Rząd podówczas potrzebował pięciuset milionów fr. i pięciukroć sto tysięcy ludzi, żeby wyprawić coprędzej posiłki swoim armiom, bitym przez Austryaków we Włoszech, przez Prusaków w Niemczech, zagrożonych w Szwajcaryi przez Rosyan, którymi Suworow obiecywał zawojować Francją. Departamenty zachodnie, znane pod nazwą Wandei, Bretania i część dolnej Normandyi, uspokojone od trzech lat za staraniem generała Hoche, zdawały się chwycić dobrą chwilę do wznowienia walki. Wobec tylu sprzymierzonych napaści, rzeczpospolita odnalazła w sobie pierwotną swoją energią. Przedewszystkiem pomyślała o obronie departamentów zagrożonych, powierzając jednym z artykułów rzeczzonego prawa z 10 messidora trud o nie patriotyzmowi mieszkańców. W istocie, rząd, nie mając ani wojska, ani pieniędzy, którymi mógłby rozporządzić wewnątrz kraju, ominął trudność ustawodawczą fanfaronadą: nie mogąc wysłać wojska, ani pieniędzy do departamentów zbuntowanych, obdarzył je swém zaufaniem. Może spodziewał się, iż ten środek, uzbrajając jednych obywateli przeciwko drugim, stłumi powstanie w samym zarodzie. Artykuł ten, źródło nieśczęsnych przejsię, brzmiał tak: *„Należy utworzyć kompanie ochotnicze w departamentach zachodnich“*. To rozporządzenie niepolityczne nadało zachodowi postawę tak nieprzyjazną, iż dyrektoryat zwątpił zrazu o możności pokonania go. W kilka dni później zażądał on od zgromadzenia szczególnego pełnomocnictwa co do organizacyi lekkich oddziałów w duchu owego prawa o kompaniach ochotniczych. Nowe zatem prawo, ogłoszone na parę dni przed rozpoczęciem naszego opowiadania, polecało z tych słabych ruchawek tworzyć legiony. Miały one nosić nazwy departamentów: Sarthe, Orne, Mayenne, Ille-et-Vilaine, Morbihan, Loire Inférieure i Maine-et-Loire. *„Legiony te (mówiło prawo), specjalnie utworzone dla zwalczania Szuanów, nie będą mogły być pod żadnym pozorem użyte do obro ny granic“*. Są-to szczegóły nudne, ale nieznanne czytelnikom; wyjaśniają zarazem i stan niemocy, w jakim znajdował się dyrektoryat, i cel pochodu tej drużyny ludzi, prowadzonych przez oddział Błękitnych. Nie będzie również zbytecznem dodać, że piękne te i patriotyczne postanowienia rządu nie przyoblekały się nigdy w ciało, oprócz ogłoszenia ich w „Dzienniku Praw“. Nie oparte na idejach moralnych, patriotyzmie lub strachu, które do niedawna zapewniały im skuteczność, rozporządzenia rzeczypospolitej stwarzały miliony

i wojska, które nie wchodziły ani do skarbu, ani do armii. Energia rzeczypospolitej zużyła się w nieudolnych rękach i prawa w zastosowaniu swém naginały się do okoliczności, miasto nad niemi panować.

Departamenty Mayenny i Ille-et-Vilaine podlegały wówczas komendzie starego oficera, który, pragnąc w sposób najdogodniejszy wywiązać się z zadania, postanowił ściągnąć przeznaczony kontyngens rekrutów z Bretanii, a zwłaszcza z Fougères, będącego jednym z najstraszniejszych ognisk ruchu Szuanów. Spodziewał on się w ten sposób osłabić siłę tych groźnych dla rzeczypospolitej okolic. Gorliwy ten żołnierz korzystał ze złudnych przewidyń prawa i ogłosił, że wyekwipuje i uzbroi niezwłocznie rekrutów, gdyż ma do swego rozporządzenia żołd całomiesięczny, przybiecany mu przez rząd dla wojsk wyjątkowych. Jakkolwiek Bretania zżymała się początkowo na myśl o wszelkiej służbie wojskowej, projekt udał się wszakże odrazu na wiarę owych obietnic i to z taką szybkością, że oficer uczuł się zdumionym. Ale był to jeden z tych szczywanich lisów, trudnych do podejścia. Skoro tylko obaczył część nadpływających kontyngensów, zaczął podejrywać je o ukryte pobudki tak szybkiego stawienia się na rozkazy i może odgadł prawdę, przypuszczając, że szło im o stworzenie sobie armii. Nie wyczekując przeto na opóźniających się, poczynił przygotowania, ażeby wycofać się w porę do Alençon i tém samem zbliżyć się do okolic już uspokojonych, jakkolwiek rosnące powstanie tych stron nie rokowało powodzenia planowi spokojnego przedarcia się przez nie. Oficer nasz, dochowując, według instrukcyi, najściślejszej tajemnicy o klęskach francuskich armij i o nowych, dosyć niepokojących ruchach Wandei, usiłował wszakże pomimo tego zrana w dniu, w którym zaczyna się nasze opowiadanie, dotrzeć pośpiesznym marszem do Mayenny, gdzie przyrzekał sobie rozporządzić się według własnej woli, wypełniając kadry swojej pół-brygady temi „popisowemi“ (*conscripts*) Bretanii. Ten wyraz, później tak utarty, zastąpił po raz pierwszy w ustawie nazwę „rekwirowanych“ (*réquisitionnaires*), pierwotnie przysługującą rekrutom republikańskim. Zanim opuścił Fougères, komendant polecił sekretnie żołnierzom wziąć ze sobą kartusze i racye chleba, tak, aby nie zwracać uwagi popisowych na długość drogi; liczył on, iż nie zatrzyma się w Ernée, gdzie rekruci mogliby się porozumieć snadniej z Szuanami, rozproszonemi niewątpliwie w pobliskich wioskach. Ponure milczenie, które panowało w szeregach popisowych, zdziwionych manewrem starego republikanina, i powolność ich marszu wśród gór tamtejszych, budziły najwyższy niepokój w umyśle szefa pół-brygady, nazwiskiem Hulot; uderzające rysy, któreśmy przywiedli na początku opowiadania, trwożyły go niemało; postępo-

wał on również milcząco wpośrodku pięciu młodych oficerów, którzy umieli uszanować niema troskę swego dowódcy. Ale w chwili, gdy weszli na wierzchołek Peleriny, Hulot, jakby instynktem tknięty, odwrócił nagle głowę, aby pochwycić na gorącym uczynku usposobienie, malujące się na obliczach popisowych. Stopniowe opóźnianie się Bretonów rozdzieliło już ich od eskorty o jakie dwieście kroków. Hulot też charakterystyczną zrobił minę, sobie właściwą, i przerwał długie milczenie:

— Cóż u dyabła z temi fanfaronami? — zawołał donośnym głosem. — Nasi rekruci zbierają nogi w kupę, zamiast je wyciągać.

Na te słowa oficerowie, towarzyszący komendantowi, obrócili się także mimowolnym ruchem po-za siebie, podobni do śpiących, których niespodziewany hałas porywa na równe nogi. Sierzanci, kaprale powtórzyli ten ruch także i cała kompania stanęła, pomimo, że nie odebrała pożądanego rozkazu: stój! Jeżeli zrazu oficerowie rzucili spojrzenie na kolumnę, wspinającą się, jak długi żółw, po grzbiecie góry, to młodzi ci ludzie, których żądza obrony kraju uniosła do chlubnych wysiłków, a w których wszakże wojna nie wypełniła jeszcze do szczętu poczucia piękna, zanadto silnie przejęli się widokiem natury, który roztaczał się przed nimi, aby nie zapomnieć o pierwotnym a nieznanym sobie celu obserwacji. Jakkolwiek wychodzili z Fougères, na którego obraz, co prawda pod działaniem perspektywy znacznie przekształcony, tylokrotnie spoglądali z obojętnością, nie mogli odmówić sobie raz jeszcze rozkoszy przypatrzenia mu się, podobni do owych dyletantów, którym muzyka tém większą sprawia rozkosz, im lepiej rozumieją jej szczegóły.

Z wierzchołka góry oko wędrowca padało na wielką dolinę Couesnon, której szczyt, jeden z najwyższych wśród widnokregu, zajmuje miasto Fougères. Zamek jego panuje ze szczytu skały, na której zbudowany, po-nad kilkoma ważnemi drogami, co go zdawna czyniło kluczem do wnętrza Bretanii. Stąd to oficerowie nasi podziwiali tę kotlinę, uposażoną zarówno bujną żyznością gruntu, jak i różnaitością widoków. Ze wszystkich stron wznoszą się tu amfiteatralnie łupkowe góry, różane swoje boki ubierając w lasy dębowe i w pochyłościach swych kryjąc pełne czarstwej woni rozdoły. Skały te zakresłają szeroki łuk, w głębi którego wyściela się łagodną linią niezmierzona okiem łąka, podobna do ogrodów angielskich. Mnóstwo żywopłotów, otaczających liczne, a nieregularnie założone, gęsto obsadzone drzewami gospodarstwa, nadaje temu zielonemu kobiercowi jeden z najbardziej uderzających wyrazów pejzażowych we Francyi i mieści bogate tajemnice powabu w tych niezliczonych kontrastach, których wrażenie zdolne jest przejąć do głębi najzimniejsze dusze. W owęj chwili widok okolicy ożywiały te przewiewne

blaski, któremi natura lubi czasem podnosić urok swych nieśmiertelnych tworów. Podczas gdy oddział wszedł w dolinę, wschodzące słońce rozpraszało już tymczasem z widnokregu te białe i wiotkie opary, które w porankach wrześnieowych zwykły pisać po łąkach. W chwili, gdy żołnierze się odwrócili, niewidzialna ręka zdawała się z krajobrazu podnosić ostatnią już zasłonę, którą był owinięty, mgłę rozwiewną, podobną do całuna przezroczystej gazy, która zdaje się ukrywać drogie klejnoty, nadając im osobny urok. Na szerokim widnokregu, który objęli spojrzeniem oficerowie, niebo nie majaczyło już ową mgłą lekką, której łagodny blask srebrny pozwala dojrzieć, że to olbrzymie błękitne sklepienie jest firmamentem. Był to raczej baldachin jedwabny, podtrzymywany nierównymi szczytami gór i umieszczony w powietrzu, jakoby dla opieki, po-nad wspinającą panoramą pól, łąk, strumyków i gajów. Oficerowie nie omięszkali przyjrzeć się uważnie krajobrazowi, z którego tryskało tyle piękności przyrody. Jedni wahali się długo, zanim zdołali uwieźć wzrok swój w jednym punkcie, wśród nieskończonej mnogości zielonych gajów, których barwę urozmaicały tu i owdzie kolorem brązu kępy drzew pożółkłych, i które na szmaragdowej pościeli łąk, posypanych krzewiną, tém jaśniej występowały. Inni podziwiali kontrasty, wytwarzające się z czerwonych pól, na których ścięta tatarska piętrzyła się w stożkowatych snopach, podobnych do pęków broni, co ją biwakujący żołnierz ustawia w kozły, a tuż obok żyto leżało na pokosach, złocąc ugory. Tu i owdzie, jak czarne tablice, widnieją strzechy chat, z których wywiewają się w górę białe dymy; tam znowu srebrne ruchliwe przekopy, w których wiją się węzłem liczne strumienie doliny Couesnon, wabiąc oko niejednym z tych złudzeń optycznych, które niewiedzieć dlaczego owładają duszę nieokreślonym rozmarzeniem. Balsamiczna świeżość jesiennych powiewów, silna woń lasów wznoszą się, jak mgła kadzidel, i upajają tych admiraatorów pięknego widoku, którzy z zachwyceniem przyglądają się tym nieznanym sobie kwiatom, tej bujnej roślinności, tej zieleni, współzawodniczącej z sąsiednią angielską. Parę zwierząt ożywiało scenę i tak już dramatyczną. Ptaki śpiewały, przelewając w dolinę tę słodką, nieokreśloną melodyą, jaką drgało powietrze. Jeżeli skupiona wyobraźnia zechce z całą uwagą przyjrzeć się bogatej grze światła i cieniów, mglistym widnokregom gór, fantastycznym perspektywom, otwierającym widoki, których drzewa kryły się, wody pozostawały, wabiące zakręty ścieżek gubiły; jeżeli wspomnienie ubarwi tak rysunek ten podobnie rozwiewny, jak chwila, która go ujęła, osoby, dla których te obrazy nie przemkną bez zajęcia, nabiorą choć słabego wyobrażenia o magicznym uroku widowiska, które przejęło do głębi wrażliwe jeszcze dusze młodych oficerów.

Przypuszczając, iż biedni ci ludzie porzucali z żalem swój kraj i swe drogie obyczaje domowe, ażeby umrzeć gdzieś na obcej ziemi, przebaczyli im mimowolnie opóźnienie, którego przyczynę rozumieli. Z szlachetnością, właściwą sercem żołnierskim, nadali oni owę po-błażliwość pozór, jakoby chcieli zbadać pozycye wojenne tej pięknej okolicy. Ale Hulot — którego odtąd nazywać będziemy komendan-tem, ażeby ominąć konieczność nadawania mu niedość harmonijnie brzmiącego tytułu szefa pół brygady — należał do tych żołnierzy, co to wśród grożącego niebezpieczeństwa nie pozwalają ująć się wdziękom pejzażów, choćby te były rajem ziemskim. Potrząsł więc głową, robiąc giest przeczący i ściągnął dwoje grubych, czarnych brwi, które nadawały wyraz surowy jego obliczu.

— Czemuż u diabła oni nie idą? — zapytał po raz drugi swym głosem zgrubiałym wśród wojennych mozołów. — Czy we wsi znaj-duje się jaka madonna, której chcą rękę ucisnąć?

— Pytasz, dlaczego? — ozwał się jakiś głos na to.

Wtém usłyszawszy dźwięki rogów, któremi wieśniacy tych dolin nawołują swe trzody, komendant obrócił się szybko, jakby uczuł dotknięcie szpady, i o dwa kroki od siebie ujrzał człowieka, ubranego jeszcze dziwniej niż od tych, których prowadził do Mayen-ny, aby ich oddać w służbę Rzeczypospolitej. Nieznajomy ten, figu-ra przysadkowata, o szerokich barkach, miała głowę prawie tak wielką jak u wołu, z którym łączyło ją nie to jedno zresztą podobieństwo. Grube nozdrza czyniły nos jego krótszym jeszcze, niż był istotnie. Szerokie wargi, podgięte zębami jak śnieg białymi, wielkie i okrągłe czarne oczy, otoczone groźnemi brwiami, uszy obwisłe i ryże włosy nie przypominały w niczem naszej białej rasy kaukaskiej, ale zbli-żały go do trawożernych. Nareszcie i brak wszelkich innych cech człowieka społecznego tém charakterystyczniej piętnował odkrytą głowę nieznanego człowieka. Twarz, zbrązowiała od słońca, ze swemi kończastemi rysami tworząca niejaką analogią z granitem, który wydaje grunt tych okolic, była jedyną widzialną częścią tej szczególnej istoty. Począwszy od szyi, był on odziany w siermięgę, mającą kształt bluzy z rudawego płótna, jeszcze grubszego, niż na spodniach mniej zamożnych rekrutów. Ta siermięga, w której sta-rożytnik odkryłby *sagę* (saga), lub *saxon* Gallów, kończyła się w po-łowie ciała, wiążąc się z dwiema płachtami z koziej skóry za pomo-cą kawałków drzewa, zgruba zaledwie ociosanego i korą tu i ow-dzie pokrytego. Skóra ta, zakrywając mu uda i łydki, nie pozwala-ła dopatrzeć żadnego kształtu ludzkiego. Olbrzymie saboty okry-wały jego nogi. Długie, błyszczące włosy, podobne do sierści na koziej skórze, spadały z obu stron na szyję, przedzielone na dwie równe części i podobne do warkoczy na tych posągach średniowie-

cznych, jakie dotąd widzimy po niektórych katedrach. Zamiast sękatych kijów, które popisowi mieli na barkach, trzymał oparty na piersiach w kształcie strzelby wielki bicz, którego rzemień, zręcznie pleciony, zdawał się być dwa razy dłuższym, niż u zwyczajnych batów. Szorstka powierzchowność tej dziwacznej postaci zdawała się jasno tłumaczyć. Na pierwszy rzut oka niektórzy oficerowie przypuszczali, iż nieznajomy był jednym z rekrutów, należących do pozostałej w tyle kolumny. Niemniej przeto pojawienie się tego człowieka mocno zdziwiło komendanta; jakkolwiek nie okazał najmniejszego zatrwożenia, czoło jego zasępiło się, a zmierzyszy okiem nieznajomego, powtórzył machinalnie, jakby zajęty ponuremi myślami:

— Tak, czemu nie nadchodzą? Czy ty nie wiesz?

— Dlatego — odezwał się ponury interlokutor akcentem, który stwierdzał małą biegłość w wymowie francuskiej, wskazując szorstką i szeroką ręką w kierunku Ernée — tam jest Maine, a tam się kończy Bretania.

Począł silnie tupnąć w ziemię, rzucając ciężką rękoięć swego bicia pod nogi komendanta. Wrażenie, wywołane na widzach tej sceny lakoniczną przemową nieznajomego, podobne było do tego, jakie sprawia nagle uderzenie tam-tamu wśród muzyki. Parę tych słów nie zdołało zamknąć w sobie całej nienawiści i wszystkich pragnień zemsty, jakie wyrażał gięsty dumny, urywana mowa i postawa, nacechowana dziką i zimną energią. Prostactwo tego człowieka, jakby wyrąbanego siekierą, jego nabrzmiała skóra i niedołężna głupota, ciężąca na rysach oblicza, czyniły go podobnym do pół-bożka dzikich. Stał on w proroczej postawie i wydawał się jakby uosobionym gieniuszem Bretanii, który podniósł się ze snu trzechletniego, ażeby rozpocząć na nowo wojnę, w której zwycięstwo po czyjejkolwiek stronie okrywało się całunem podwójnej żałoby.

— A to mi cacany kokos! — rzekł Hulot do siebie. — Ma on minę, jak gdyby był ambasadorem zuchów, chcących parlamentować z nami za pośrednictwem strzałów.

Wybąkawszy pod nosem te słowa, komendant skierował wzrok swój od wieśniaka na krajobraz, stąd na oddział, a z tegoż na urwiste pochyłości drogi, której brzeg ocieniony był wysokimi jałowcami bretońskimi; nareszcie zwrócił nagle oczy znów na nieznajomego, jakby pragnąc go wybać w milczeniu. Po chwili jednak przebrał je szorstkiem zapytaniem:

— Skąd idziesz?

Natarczywe i przenikliwe jego spojrzenie usiłowało odkryć tajemnicę tego niezbadanego oblicza, które tymczasem przybrało głupowaty wyraz odrętwienia, właściwy wieśniakom w chwilach bezczynności.

— Z kraju *Garsów* — odpowiedział człowiek, nie zdradzając pomieszaną.

— Twoje nazwisko?

— *Marche-a-Terre*.

— Dlaczego wbrew prawunosisz przydomek szuański?

Marche-a-Terre (kiedy tak się nazwał) popatrzył na komendanta z wyrazem głupoty, tak przekonywającym, iż tenże w mniemaniu, że wieśniak go nie zrozumiał, ponowił swe zapytanie:

— Czy należysz do oddziału rekwirowanych z Fougères?

Na te słowa *Marche-a-Terre* odpowiedział jednemu z owych: *Ja nie wiem*, których nieszczęsny akcent urywa wszelką rozmowę. Usiadł spokojnie na brzegu drogi, wyciągnął ze swęj siermięgi szczupły kawałek czarnego hreczanego suchara, tego narodowego przysmaku, którego smutne rozkosze zrozumie tylko Bretończyk, i począł go jeść z idyotyczną obojętnością. Budził on wiarę w tak zupełny brak inteligencji, że oficerowie porównywali go w tém położeniu po kolei bądź do zwierząt, wyżerających tłuste pastwiska dolin, bądź do dzikich Ameryki lub Przylądka Dobręj Nadziei. Złudzony tą postawą, komendant przestał się już niepokoić, gdy wtém, rzucając ostatnie spojrzenie badawcze na człowieka, w którym upatrywał herolda przyszłej rzezi, dostrzegł na jego włosach, siermiędze i na kozięj skórze mnóstwo ciernia, szczątków liścia, łądyg chróstu, co wszystko zdradzało, że Szuan ten długą musiał odbyć wędrówkę wśród zarośli. Rzucił więc wzrok znaczący na swego adjutanta Gerarda, który stał w pobliżu, ścisnął go silnie za rękę i rzekł półgłosem:

— Szliśmy szukać wełny, a powrócimy ostrzyżeni.

Zdziwieni oficerowie spoglądali po sobie w milczeniu.

Należy tu zrobić dygresyę, ażeby wytłómaczyć obawy komendanta Hulot'a pewnym zapleśniałym umysłem, nawykłym wątpić o wszystkiem, ponieważ nic nie wiedzą, któreby mogły podać w wątpliwość istnienie *Marche-a-Terre'a* i wieśniaków zachodu, o których mówił tajemniczy wędrowiec.

Słowo *gars*, które wymawia się *gá*, jest szczątkiem mowy celtyckiej. Z narzecza niższo-bretońskiego przeszło ono do języka francuskiego i mieści w sobie niemało wspomnień starożytnych. *Gais* nazywano główną broń u Gaelów, czyli Gallów; *gaisde* znaczyło: uzbrojony; *gais* — odwagę, *gas* — siłę. Te podobieństwa dowodzą pokrewności słowa *gars* z wyrażeniami języka naszych przodków. Ma ono analogią z łacińskim wyrazem *vir*, człowiek, będącym źródłosłowem wyrazu *virtus*, cnota, śmiałość. Rozprawa ta posłuży może do zrehabilitowania w ogólnem przekonaniu wyrazów: *gars*, *garçon*, *garçonette*, *garce*, *garçette*, powszechnie wyrzuconych z rozmowy, jako

nieprzyzwoitych, a których początek jest tak rycerski i które pojawia się nieraz w toku naszego opowiadania. Bretania jest prowincją, w której obyczaje galijskie pozostawiły silniejsze ślady, niż w całej Francyi. Części tej prowincyi, w których do naszych czasów dochowały się dzikie obyczaje i przesądny duch naszych nieokrzesanych przodków w całej sile, noszą nazwę krainy chłopów (*des gars*). Gdy który kanton zamieszkały jest przez pewną liczbę dzikich, podobnych do tego, który pojawił się w tej scenie, ludzie okoliczni powiadają: Oto chłopci (*les gars*) z tej a z tej parafii; a to nazwisko klasyczne jest jakoby nagrodą wierności, z jaką ludzie ci usiłują przechować tradycje mowy i obyczajów galijskich; dodajmy, że życie ich dąży głęboko wyoraną brzoźdą wierzeń i praktyk zabobonnych stariej epoki. Tam zachowują dziś jeszcze feudalne obyczaje. Tam starożytnicy odnajdują dziś jeszcze w całości dochowane ołtarze druidów, tam gieniusz cywilizacji nowoczesnej napęłnia się trwogą wśród niezmiernych przestrzeni pierwotnych lasów. Bezprzykładna dzikość, brutalny upór, ale zarazem wiara w dochowanie przysięgi; zupełny brak naszych praw, naszych obyczajów, naszego stroju, naszych dzisiejszych monet, naszej mowy; ale zarazem patryarchalna prostota i bohaterские cnoty łączą się tutaj, aby mieszkańcom tych okolic postawić niżej pod względem inteligencji od Mohikanów i czerwonoskórych Ameryki północnej, ale jednocześnie zrobić ich silnemi, przebiegłemi i surowemi, jak tamci. Położenie Bretanii w środku Europy czyni ją ziemią ciekawszą od Kanady. Otoczona ogniskami, których dobroczynne ciepło jej nie przenika, kraina ta podobną jest do ostygłego węgla, który w łonie jarzącego ogniska pozostałby zimnym i czarnym. Usiłowania, podejmowane przez niektóre wyższe umysły, ażeby piękną tę, bogatą w nieodkryte dotąd skarby, część Francyi zdobyć dla życia społecznego i pomyślności: wszystko, nawet usiłowania rządów, martwieje w zetknięciu z głuchą nieruchomością tego ludu, oddanego praktykom stęziałej od niepamiętnych czasów rutyny. Nieszczęściami, jeziorami i moczarami, najeżonej płotami, rodzajem bastyonów, które z każdego kawałka gruntu robią cytadelę; ogołoconej z dróg i kanałów; następnie, skutkiem usposobienia ciemnych mieszkańców, popadłej w otchłań przesądów, których groźne skutki wykażą następne rozdziały naszego opowiadania, a wreszcie czującą wstręt do nowoczesnych zasad gospodarstwa rolnego. Malowniczy układ tej krainy i zabobony jej mieszkańców wykluczają i gromadzenie się jednostek i dobrodziejstwa, płynące z porównania i wymiany pojęć. Niema tam wiosek. Nędzne budowle, które nazywają mieszkaniem, rzadka są tam posiane wśród rozległych

pustkowi. Każda rodzina żyje tu jak na puszczy. Jedynie w niedziele i święta religijne zbierają się chwilowo po parafiach liczniejsze drużyny. Te milczące zgromadzenia, którym przewodniczą proboszczowie, jedyni władcy tych surowych natur, trwają zaledwie kilka godzin. Usłyszawszy groźny głos kapłana, wieśniak powraca na cały tydzień do swych niezdrowych siedzib; wychodzi z nich do pracy, powraca na nocleg. Odwiedza go tam chyba proboszcz, dusza okolicy. Na głos tych proboszczów tysiące ludzi rzucało się na rzeczpospolitą, i te-to okolice Bretanii na pięć lat przed epoką, w której rozpoczyna się nasze opowiadanie, dostarczały tłumów żołnierzy pierwszej szuaneryi. Bracia Cottereau, zuchwali kontrabandyści, którzy nazwiskiem swém ochrztili tę wojnę, prowadzili swoje zgubne rzemiosło na przestrzeni od Lavalu do Fougères. Ale powstanie tych okolic nie miało w sobie nic szlachetnego i można na pewno twierdzić, że jeżeli Wandeia prowadziła wojnę zbójczą, to właśnie Bretania nadała jej zbójcki charakter. Proskrypcye książąt i obalenie religii stanowiły dla Szuanów tylko pozór do rabunku, a wypadki owęj wojny domowęj zawdzięczają znaczną miarę swęj dzikości obyczajom tęg okolicy. Gdy prawdziwi obrońcy rzeczypospolitej przybyli rekrutować żołnierzy wśród tęg ludności ciemnej i wojowniczej, usiłowali na próżno, rozwijając nad nimi biały sztandar, otoczyć pewną wielkością te czyny, które zohydziły szuaneryą, i Szuanie pozostaną na zawsze pamiętném świadectwem niebezpieczeństw, jakie tkwią w poruszeniu nieoświeconych mas ludu.

Widok pierwszej doliny, którą roztaczała Bretania przed okiem wędrowca, wizerunek ludzi, którzy stanowili oddział rekwirowanych, opisanie Garsa, który zjawił się na szczycie góry, dają w skróceniu wierny obraz prowincyi i jej mieszkańców. Żywa wyobraźnia może z tych szczegółów wyrozumieć teatr i narzędzia wojny — oto były jej żywioły. Kwieciste opłotki tych dolin osłaniały sobą niewidzialnych napastników. Każde pole było fortecą, każde drzewo groziło zasadzką, każdy pień staręj wierzby wchodził w plan owęj strategii. Plac boju był wszędzie. Strzały dosięgały w zaułkach ulic Błękitnych, których dziewczęta, śmiejąc się, ciągnęły pod ogień luf, nie wiedząc, że zdradzają; szły one z ejcami i braćmi o fortele i odpusty błagać madonny w spróchniałych drzewach. Religia, czyli raczej fetyszym tych ciemnych istot, koł w nich męczeństwo wyrzutów sumienia. Gdy raz zavrzała tu walka, wszystko stało się w kraju niebezpiecznem: wrzawa zarówno jak milczenie, łagodność jak srogość, ognisko domowe, jak droga publiczna. W tych zdradach było przekonanie. Dzicy ci służyli Bogu i królowi w sposób, w jaki walczą Mohikanie. Ażeby jednak pod każdym względem obrazowi tęg walki nadać rysy prawdziwe i ścisłe, historyk powinien

dodać, że w chwili, w której pokój z Hochem został podpisany, cała kraina uśmiechnęła się i dawne związki przyjaźni odżyły. Rodziny, które rozdzielały się wczoraj, nazajutrz wieszczerzały bez obawy pod jednym dachem.

W chwili, gdy Hulot poznał zdradliwą tajemnicę, jaka się kryła w koźiej skórze Marche-a-Terre'a, przekonał się, że błogi ten pokój, zawarty przez generała Hoche'a, był złamany i że dalsze utrzymanie go stało się niemożliwem. Tak więc wojna odradzała się, bezwątpienia straszniejsza po trzechletniej bezczynności, niż dawniej. Rewolucya złagodniała od 9 termidora, groziła może ponownem nabraniem cech terroryzmu, tak wstrętnego dla uczciwych umysłów. Wszak złoto angielskie podsycalo, jak zawsze, rozterki Francyi. Rzeczpospolita, opuszczona przez Bonapartego, który uchodził za opiekunicy jej gieniusz, zdawała się nie być w możności oparcia się tylu nieprzyjaciołom, z których najsroższym był ostatni. Wojna domowa, zapowiadana mnóstwem nieznaczących, częściowych rozruchów, nabierała poważnego charakteru nanowo od chwili, w której Szuanie powzięli zamiar uderzenia na tak silną eskortę.

Takie uwagi przewijały się w umyśle Hulota, chociaż w daleko zwięźlejszej formie, odkąd w pojawieniu się Marche-a-Terre'a ujrzał zapowiedź przygotowanej zreszczenie zasadzki. On jeden bowiem od pierwszej chwili zrozumiał tajemnicę grożącego niebezpieczeństwa.

Milczenie, które towarzyszyło proroczym słowom komendanta do Gérarda, posłużyło Hulotowi do nabrania zimnej krwi. Stary żołnierz prawie się zachwiał. Nie mógł rozprościć chmur, które pokrywały jego czoło, odkąd przyszło mu na myśl, że jest już otoczony wszystkimi okropnościami wojny, której dzikości wyparliby się może kannibale. Kapitan Merle i adjutant Gérard, dwaj przyjaciele komendanta, starali się wytłómaczyć sobie obawę, tak nową dla nich, którą zdradzała postać szefa, i spoglądali ciekawie na Marche-a-Terre'a, spożywającego na kopcu przydrożnym swoje suchary, nie mogąc odszukać żadnego związku pomiędzy tym kształtem zwierzęcia a niepokojem nieustraszonego ich wodza. Ale oblicze Hulota wyjaśniło się niebawem. Oplakując niedolę rzeczypospolitęj, uradował się, że przyjdzie mu walczyć za nią; przyrzekał sobie z rozkoszą, że nie da się oszukać Szuanom i że przeniknął człowieka tak tajemniczo przebiegłego, którego oni wysłali przeciw niemu.

Zanim powziął jakiegokolwiek postanowienie, począł badać pozycyę, w której nieprzyjaciele chcieli go napaść. Widząc, że droga, na której się znajdował, wchodziła w rodzaj wąwozu niezbyt głębokiego wprawdzie, ale otoczonego po bokach drzewami, w których gubiło się kilka ścieżek, zmarszczył silnie swe czarne, grube brwi i rzekł do obu przyjaciół głuchym, mocno wzruszonym głosem:

— Wpadliśmy w gniazdo os...

— I kogoż to się obawiasz, komendancie? — zapytał Gérard.

— Obawiam?.. — podchwycił Hulot — tak, obawiam się... Bałem się zawsze, żeby mię nie zastrzelono, jak psa, w lesie, nie zapytawszy: kto idzie...

— Czyż jesteśmy istotnie w niebezpieczeństwie? — zapytał Gérard, zarówno zdziwiony teraz zimną krwią Hulota, jak wprzód jego przelotną trwogą.

— Cicho! — rzekł komendant — jesteśmy w paszczy wilka; ciemno tutaj, jak w piecu; potrzeba zapalić świeczkę. Szczęście, że jesteśmy na grzbiecie tego pagórka...

I ubrawszy go w energiczny przydomek, dodał:

— Może dobrze będzie, jeżeli tu zrobię jasno.

Tu komendant, pociągnawszy ku sobie dwóch oficerów, spojrział bystro na Marche-a-Terre'a; ten udając, jakoby zrozumiał, że jest mu niewygodnym, nagle zerwał się z miejsca.

— Zostań tam, drabie! — zawołał Hulot i potrącił go tak, że chłop runął na kopiec, na którym siedział.

Odtąd szef pół-brygady nie przestał ani na chwilę śledzić uważnym okiem zaniepokojonego Bretończyka.

— Przyjaciele moi — rzekł po chwili zcicha do obu oficerów — czas jest powiedzieć wam, że buda zapadła się tam w dole... Dyrektoryat dał kijem po plecach naszym sprawom. Ci pastuszkowie, te lalki (bo tak lepiej po francusku) wypuścili z rąk tęgi brzeszczot: Bernadotte już nie z niemi!

— I któż go zastąpi? — zapytał żywo Gérard.

— Milet-Mureau, stara peruka. Zły czas wybrano na mielenie językiem. Oto angielskie strzelby lęzą nam na boki. Wszystkie te chrabąszcze, Wandejczycy i Szuanie, brzęczą nam w uszach, a ci, co się kryją po-za temi maryonetkami, umieli wybrać właśnie chwilę, w której giniemy.

— Jakto? — zagadnął Merle.

— Armie nasze są pobite na wszystkich punktach — ciągnął dalej Hulot, dławiąc swój głos coraz bardziej. — Szuanie podchwycili już dwa razy kuryerów, a moje depesze i ostatnie dekreta otrzymałem dopiero przez osobnego posłańca, którego wyprawił Bernadotte w chwili, gdy opuszczał ministeryum. Szczęściem, przyjaciele donieśli mi poufnie o jego upadku. Fouché odkrył, że tyran Ludwik XVIII otrzymał wskazówkę od paryskich zdrajców, ażeby przysłał do kraju szefa swoim kaczorom. Myślą, że Barras zdradza rzeczpospolitą. Dosyć, że Pitt i księżeta wysłali człowieka silnego, pełnego talentu, który jednocząc usiłowania Wandejczyków z Szuanami, chce zdeptać czapkę rzeczpospolitej. Koleżka ten wysiadł

w Morbihan — pierwszy dostałem wiadomość o tē — i nazwał się *Garsem*. Wszystkie te bestye — rzekł wskazując na Marche-a-Terre'a — przywdziewają imiona, które sprawiłyby rżnięcie uczciwemu człowiekowi, gdyby je nosił. Otóż ten człowiek znajduje się w tym okręgu. Przybycie tego Szuana — tu wskazał na Marche-a-Terre'a — upewnia mię, że chce on wsiąść nam na karki. Ale nie uczę się starej małpy w obroży grymasów, i wiem, że mi dopomóżecie zapędzić moje czeczoty napowrót do klatki, i to w mgnieniu oka! Byłby ze mnie ładny lala, gdybym się dał na lep złowić, jak wrona, temu szlachetce, co przybywa z Londynu, aby otrząpać nasze czapki.

Słyszając o tych nieznanych a krytycznych wypadkach, obaj oficerowie, którzy wiedzieli, że ich komendant nie alarmuje się napróżno, nabrali tego poważnego wyrazu, jaki miewają żołnierze w chwili najwyższego niebezpieczeństwa, jako ludzie silnie zahartowani i nawykli patrzeć na rzeczy ludzkie z dalszej perspektywy. Gérard, którego stopień, następnie zniesiony, zbliżał więcej do szefa, chciał coś odpowiedzieć i rozpytać się szczegółowo o nowiny polityczne, których część widocznie pokrywało milczenie; ale znak dany przez Hulota zatrzymał go i wszyscy trzej poczęli wpatrywać się w Marche-a-Terre'a.

Szuan ten nie dawał najmniejszych znaków zaniepokojenia, siedząc pod śledczym spojrzeniem tych ludzi, których inteligencya i siła cielesna zarówno były dlań groźne. Ciekawość obu oficerów, dla których ten sposób prowadzenia wojny był czēśm zupełnie nowē, żywo rozbudzoną została wydarzeniem, które miało romantyczny prawie charakter. Chcieli więc pozartować, ale za pierwszym słowem, które wymknęło się z ich ust, Hulot spojrział na nich surowo i rzekł:

— Do pioruna! Nie będziemy kurzyli fajki na beczce prochu, obywatele. Potrzeba mieć odwagę tam, gdzie ona jest na miejscu. Gérard — rzekł nareszcie, nachylając się do ucha adjutanta — zbliż się nieznacznie do tego rozbójnika i za najlżejszē poraszeniem się podejrzanē weź go na rožen. Co do mnie, poczynię kroki, żeby przerwać gawędkę, gdyby ją nasi nieznajomi chcieli rozpocząć.

Gérard skłonił zlekka głowę na znak posłuszeństwa, poczem zaczął się rozglądać wśród widoków doliny, do którē można było sercem przylgnać; zdawał się chcieć ją baczniej obejrzeć i postąpił kilka kroków naprzód, udając zupełną obojętność; pomyliłby się jednak ten, ktoby sądził, że młody oficer zajęty był krajobrazem. Siedzący na boku Marche-a-Terre nie przeczuwał bynajmniej, ażeby manewr oficera zagrażał mu w czēmkolwiek; patrząc, w jaki sposób bawił

się on swoim batogiem, można było myśleć, że łowi ryby na wędkę w rowie.

Podczas kiedy tak Gérard starał się zająć pozycją wobec Szuana, komendant rzekł zcicha do Merle'a:

— Dobierz dziesięciu tęgich ludzi z sierżantem i idź sam umieścić ich powyżej nas, na szczycie pochyłości, w tém miejscu, w którem gościniec rozszerza się w płaszczyznę i z którego widzisz dobry kawał drogi do Ernée. Wybierz miejsce, w którem droga nie jest otoczona drzewami, tak, aby sierżant mógł mieć widok otwarty na pole. Wezwij Clef-des-Coeurs'a; on jest inteligentny. Niema się z czego śmiać; nie dałbym kawałka mojej skóry, że nam nawarzą bigosu.

Podczas gdy kapitan Merle wykonywał to polecenie z łatwym do zrozumienia pośpiechem, komendant ruchem prawej ręki nakazywał głębokie milczenie żołnierzom, którzy go otaczali, wesoło gawędząc. Innym giestem rozkazał pochwycić za broń. Gdy spokój powrócił, powiódł wzrokiem po obu stronach drogi, nadsłuchując z niepokojnem wyteżeniem, czy nie złowi jakich głuchych odgłosów, jakiego szczełku broni, jakich kroków, zwiastujących oczekiwane starcie. Czarne, bystre jego oko zdawało się przenikać drzewa w ich głębi; wszakże nie znalazłszy tu żadnej wskazówki, począł, wzorem dzikich, radzić się piasku na drodze, byle odkryć jakiekolwiek ślady swych niewidzialnych przeciwników, których odwaga była znaną. Zrozpaczony, że nic nie dostrzega, coby usprawiedliwiało jego obawy, udał się w bok drogi, począł wspinać się z wysiłkiem po lekkich wyniosłościach wzgórz i przebiegał zwolna ich szczyty.

Uczuł wtedy, jak zbawienną była jego przezorność dla dobra oddziału i zstąpił na dół. Twarz jego zachmurzyła się jeszcze bardziej; w owych bowiem czasach dowódcy żalowali zawsze, ilekroć nie podjęli się sami najtrudniejszej roboty. Reszta oficerów i żołnierzy, widząc niepokój szefa, którego charakter uwielbiali, a męstwo powszechnie znali, poczęli domyślać się wreszcie, iż to nadzwyczajne zajęcie się komendanta zwiastuje im jakieś niebezpieczeństwo; nie zdolni jednak ocenić jego doniosłości, stali w milczeniu, wstrzymując prawie oddech. Było to instynktowe. Podobni do psów, usiłujących odgadnąć myśl zręcznego strzelca, którego rozkazów nie pojmują, ale ich niewolniczo słuchają, żołnierze ci spoglądali po kolei to na dolinę Couesnon, to na drzewa przy drodze, to wreszcie na surową postać swojego komendanta, starając się z jego twarzy wyczytać swe przeznaczenie. Zapytywali się nawzajem wzrokiem i niejednym uśmiech z jednych ust przebiegał na drugie.

Gdy Hulot stroił swe tajemnicze miny, Beau-Pied, młody sierżant, uchodzący za wesołego ducha kompanii, rzekł cichym głosem:

— Gdzież to u dyabła wsadzili nas, że ten stary Hulot ma minę taką zadeszczoną? Wygląda jak rada wojenna.

Hulot rzucił surowe spojrzenie na Beau-Pied'a i cisza, niezbędna pod bronią, zapanowała natychmiast. Podczas tego uroczystego milczenia ospałe kroki rekwirowanych, od których piasek ciężko jeźczał, wysyłały regularne echo, potęgujące wzruszenie powszechne trwogi. Nieokreślone to uczucie zdolni pojąć tylko ci, którzy skazani na okrutne wyczekiwanie w ciszy nocnej, słuchali ciężkich uderzeń serca, potęgowanych tajemniczą wrzawą, której monotonne powtarzanie się nabawiało ich trwogą.

Stanąwszy znów w środku oddziału, komendant zapytał w duchu samego siebie:

— Czy tylko nie łudzę siebie?

Z najwyższym gniewem, zięjącym błyskawicami w oczach, spojrział teraz na spokojną i głupowatą twarz Marche-a-Terre'a; lecz dzika ironia, którą zdołał wyczytać w zamglonym wzroku Szuana, przekonała go, iż nie powinien zaniechać zbawiennych przygotowań. W téjże chwili kapitan Merle, spełniwszy rozkazy Hulota, powrócił do oddziału. Niemi aktorowie téj sceny, podobni do tysiąca innych, którzy nadali téj wojnie piętno najwyższej dramatyczności, oczekiwali niecierpliwie nowych wrażeń, ciekawi, jak się dalszemi krokami Hulota wyjaśnią ciemne punkta ich położenia.

— Dobrze, zrobiliśmy kapitalnie — rzekł komendant — żeśmy w końcu oddziału pomieścili tych kilkunastu patryotów, których liczymy pomiędzy rekwirowanymi. Weź jeszcze z tuzin tegich chłopów, z podporucznikiem Lebrun na czele i umieść ich nagle na tyle oddziału; wesprą oni patryotów, którzy tam się znajdują, i przynaglą tych leniuchów, aby dotarli coprędzej do wzgórza, na którym stoi nasza drużyna. Czekam na ciebie.

Kapitan znikł pomiędzy żołnierzami. Komendant wypatrzył tymczasem czterech ludzi nieustraszonych, których zręczność i zwinność były mu znane, wezwał ich skinieniem ręki ku sobie, dając im poufały znak, polegający na kilkakrotném, szybkim zbliżeniu wskazującego palca ku nosowi. Przystąpili.

— Służyliście ze mną pod Hochem — rzekł do nich — gdyśmy to nawrócili do rozumu tych rozbójników, co nazywają się „Strzelcami króla“; wiecie, jak się kryli, aby z zasadzek wystrzelać Błękitów.

Na tę pochwałę czterej żołnierze potrząśli głowami, robiąc znaczące miny. Mieli oni te heroiczne, marsowe wejrzenia, których spokojna rezygnacja wskazywała, że od rozpoczęcia wojny pomiędzy Francją a Europą myśl ich nie sięgnęła poza ładownicę z boku i bagnet z przodu. Z wargami ściśniętymi, jak worek zawiązany

powrozem, patrzyli na komendanta wzrokiem pełnym uwagi i ciekawości.

— A zatem — rzekł Hulot, władający po mistrzowsku malowniczym językiem obozów, — niepodobna, abyśmy się, jak cielęta, oddali na rzeź Szuanom, a tu jest coś, albo nie nazywam się Hulot. Pójdziecie w czterech przetropić obie strony tej drogi. Oddział będzie postępował z wolna. Idźcie więc odważnie, nie traćcie baczności i zdajcie mi raport — żywo!

Następnie wskazał im na niebezpieczne wzgórza około drogi. Wszyscy, na znak podziękowania, podnieśli ręce do starych swych trójrożnych kapeluszy, których wysokie brzegi, zbite deszczem i osłabione wiekiem, pogięły się nieforemnie. Jeden z nich, nazwiskiem Larose, kaprał, dobrze znany Hulotowi, rzekł doń, uderzając o strzelbę:

— Zagramy im arya na klarynecie, mój komendancie!

Poczem rozeszli się jedni w prawo, drudzy wlewo. Nie bez wewnętrznego wzruszenia patrzyła kompania, jak znikali po obu stronach drogi. Obawę tę podzielał i komendant, który wiedział, że wysłał ich na śmierć pewną. Uczuł nawet mimowolny dreszcz, gdy stracił z oczu głowy ich kapeluszków. Oficerowie i żołnierze wsłuchiwali się w nikiący stopniowo szelest ich stóp wśród zeschłych liści z uczuciem tém boleśniejsem, im głębiej było ono tajemnym. Zdarzają się wypadki na wojnie, gdy czterech ludzi, posłanych na pewną zgubę, wzniesają więcej obawy, niż tysiące trupów, walających się na polach Jemmapes. Te fizyognomie żołnierskie mają wejrzenie tak rozmaite, tak zmienne, że ich malarze zmuszeni są odwoływać się do pamięci żołnierzy i ludziom żyjącym prawidłowo zalecać uważne badanie tych postaci dramatycznych, gdyż pełne burzliwych szczegółów ich dzieje nie dadzą się treściwie opisać.

W chwili gdy bagnety czterech żołnierzy przestały błyszczeć w zaroślach, powrócił kapitan Merle, wykonawszy rozkazy komendanta z szybkością błyskawicy. Teraz Hulot wydał kilka jeszcze rozkazów i ustawił resztę żołnierzy w pozycji bojowej wpośród drogi; poczem rozkazał wydostać się oddziałowi na szczyt góry, gdzie stała nieliczna awangarda. Sam szedł ostatni w szeregu i to cofając się tyłem, ażeby śledzić bacznie wszystko, co by zająć mogło na tej scenie, którą przyroda otoczyła tyłu czarami, a którą człowiek ubierał w taką grozę.

Dotarł w ten sposób do miejsca, na którym Gérard pilnował Marche-a-Terre'a, gdy nagle ten ostatni, co okiem na pozór obojętnym śledził wszystkie manewry komendanta i z niesłychaną bystrością baczył na dwóch żołnierzy, ustawionych w lasku po prawej stronie drogi, świsnął po trzykroć w sposób, naśladujący wyraźnie

przenikliwy krzyk sowy. Trzej sławni kontrabandyści, których nazwiska były już cytowane, wydawali podczas nocy podobne odgłosy, aby się wzajemnie ostrzegać przed zasadzką, przed wszelkiem grożącym niebezpieczeństwem i uwiadamiać się o wszystkim, co się ich tyczyło. Stąd pochodził przydomek *Chuin*, oznaczający w narzeczu tych okolic sowę (*chouette*). Słowo to, później zepsute, posłużyło do nazwania tych, którzy w pierwszej wojnie naśladowali czyny i hasła trzech braci. Usłyszawszy podejrzany ten świst, komendant zatrzymał się, aby spojrzeć uważnie na Marche-a-Terre'a. Udawał on, iż dał się podejść głupowatęj minie Szuana, byle mógł zbliska śledzić jego grę twarzy, jako barometr, wskazujący ruchy nieprzyjaciela. Dlatego zatrzymał rękę Gérarda, który gotował się już wyprawić na tamten świat Marche-a-Terre'a. Późem umieścił dwóch żołnierzy o parę kroków od szpiega i rozkazał im głośno i zrozumiale, aby strzelili do niego za najłżejszym odgłosem, jakiby z siebie wydał. Pomimo tak grożącego niebezpieczeństwa, Marche-a-Terre nie zdradzał najmniejszego wzruszenia. Komendant, który badał go wytrwale, widząc jego obojętność, rzekł do Gérarda:

— Nie tegi to gracz! Niełatwo wyczytać cokolwiek z figury Szuana; ale ten zdradził się żądzą pokazania, że jest nieustraszonym. Widzisz, Gérard, gdyby się był uląkł, wziąłbym go był za prostego niedołęgę. On i ja bylibyśmy warci siebie. Czułem się doprowadzony do ostateczności. O! będą nas atakować. Ale, co bądź-by zaszło, jestem przygotowany.

Wymówiwszy te słowa głosem przytłumionym, a z miną tryumfującą, stary żołnierz zatarł sobie dłonie i spojrział na Marche-a-Terre'a szyderczo; potem skrzyżował ręce na piersiach, stanął na środku drogi pomiędzy obu miłemi sobie oficerami i oczekiwał wyniku swych rozporządzeń. Pewny, że będzie bitwa, patrzył na żołnierzy z męskim spokojem.

— Będziemy mieli rozprawę! — rzekł zcicha Beau-Pied — komendant zatarł ręce!

Położenie krytyczne, w jakim znajdował się komendant Hulot i jego oddział, było jednem z tych, w których życie rzucone jest na kartę, tak, iż ludzie energiczni uważają za obowiązek honoru zachować zimną krew i przytomność umysłu. Tu każdy człowiek wydaje sąd na siebie. Tak i komendant, głębiej przekonany o niebezpieczeństwie, niż dwaj oficerowie, włożył w to całą miłość własną, aby się okazać spokojnym. Z oczyma po kolei zwróconemi to na Marche-a-Terre'a, to na lasek i drogę, nie bez trwogi oczekiwał salwy karabinowej generała Szuanów, o których sądził, że, jak złe duchy, ukryci są dokoła niego; ale postać jego nie zdradzała najmniejszego wzruszenia. W chwili gdy oczy wszystkich żołnierzy utkwione

były w jego wzroku, zmarszczył zlekka swe brązowe, ospowate policzki, podgiął silnie prawą wargę i przymrużył oczy — giest uważany za oznakę wesołości przez jego żołnierzy, — poczem uderzył Gérarda po ramieniu i rzekł:

— Teraz jesteś spokojni. Co chciałeś mówić do mnie przed chwilą?

— W jakimże to nowém przesileniu znajdujemy się, mój komendancie?

— Rzecz nie nowa — rzekł tenże zcicha. — Cała Europa jest przeciw nam, i tym razem wiedzie się jej. Podczas gdy nasi dyktatorowie tłuką się między sobą, jak konie w stajni, gdy nie dostaną owsa, i kiedy wszystko rozpada się na sztuki w ich rządzie, armie nie otrzymują zasilków. Jesteśmy zgubieni we Włoszech! Tak, przyjaciele, musieliśmy opuścić Mantuę po klęskach nad Trebią, a Joubert przegrał bitwę pod Novi. Sądzę, że Massena utrzyma wąwozy szwajcarskie, zaatakowane przez Suwarowa. Jesteśmy wyparci do Renu. Dyrektoryat wysłał tam Moreau. Ale czy to niebożątko obroni granicę?.. Pragnąłbym szczerze, ale zdaje mi się, że koalicja rozbije nas, a na nieszczęście jedyny gienerał, który mógłby nas ocalić, siedzi tam gdzieś do dyabła w Egipcie! Zresztą czyż może wrócić? Anglia jest panią morza.

— Nieobecność Bonapartego nie trwoży mię, komendancie — odpowiedział młody adjutant Gérard, u którego staranne wychowanie rozwinęło wyższe pojęcie. — Miałaby się nasza rewolucja zatrzymać w pochodzie? Wszakże nie chodzi tylko o obronę ziemi francuskiej; mamy podwójną misję. Czyż nie mamy zarazem ocalić ducha tej ziemi, te wzniosłe zasady wolności i niepodległości, te prawa rozumu ludzkiego, podniesione przez Zgromadzenie, które zdobywać sobie będą grunt po piędzi. Francya podobną jest do podróżnika, niosącego światło; trzyma je ona w jednej ręce, a drugą się broni; jeżeli nowiny pańskie są prawdziwe, nigdy, od lat dziesięciu, nie byliśmy otoczeni liczniejszym tłumem tych, którzy chcą zgasić światło. Zasady i kraj, wszystko tu zginąć może.

— Niestety! tak — rzekł, wzdychając, komendant Hulot. — Te poliszynely z dyrektoryatu umieli pokłócić się ze wszystkimi, którzy zdołaliby posterować dziś naszym żaglem. Bernadotte, Carnot, wszyscy, nawet obywatel Talleyrand, opuścili nas. Krótko i węzłowato, jeden tylko został nam dobry patriota, brat Fouché, który trzyma wszystko w rękach swojej policyi; to mi człowiek. On-to przestrzegł mię zawczasu o dzisiejszém powstaniu. Jesteśmy w pułapce, to pewna...

— O! jeżeli armia nie wmiesza się trochę do rządu — rzekł Gé-

rard — adwokaci zaprowadzą nas w gorsze błoto, niż mieliśmy przed rewolucją. Czyż te świszczypały znają się na komendzie?!

— Obawiam się zawsze — rzekł Hulot — żebym pewnego poranku nie usłyszał, iż traktują z Burbonami. Do stu kartaczów! gdyby się porozumieli, jaka byłaby tutaj nasza pozycja?

— Nie, nie, komendancie! nie dojdziemy do tego! — rzekł adjutant. — Armia podniesie głos, a wtedy spodziewam się, że, byle nie zapożyczyła wyrazów ze słowniczka Pichegru, nienapróżno dawaliśmy się rąbać przez lat dziesięć.

— Ach! tak! — rzekł komendant — dyabelnie nas kosztowała zmiana kostiumu!

— A więc — rzekł kapitan Merle — działajmy jak dobrzy patryoci i nie pozwólmy naszym Szuanom skomunikować się z Wandą; bo gdy się porozumieją i Anglia się w to wmiesza, w takim razie nie odpowiadam za czapkę naszej Rzeczypospolitej, jednej i niepodzielnej.

Tu głos puszczyka, który dał się słyszeć w dość znacznej odległości, przerwał rozmowę. Komendant, zaniepokojony, spojrzał znów na Marche-a-Terre'a, którego twarz obojętna nie zdradzała, rzecz można, śladów życia. Rekruci, zebrani w kupę przez oficera, stanęli, jak trzoda zwierząt, na środku drogi, w odległości może trzydziestu kroków od kompanii. O jakie dziesięć kroków po za nimi znajdowali się patryoci i żołnierze z komendy Lebruna. Komendant spojrzał na cały ten szyk bojowy i jeszcze rzucił okiem na pikietę, postawioną na przodzie. Zadowolniony ze swych rozporządzeń, obrócił się, ażeby wydać rozkazy do marszu, gdy obaczył kokardy trójkolorowe dwóch żołnierzy, którzy powracali, przeszukawszy las, położony po lewej stronie drogi. Komendant, nie widząc dwóch towarzyszy, wysłanych naprawo, chciał czekać na nich.

— Może to stamtąd ma bomba wypaść — rzekł do swych oficerów, wskazując im las, wśród którego jakby się zagrzebali dwaj na śmierć posłani wiarusy.

W chwili, gdy obydwa tyralierzy składali mu rodzaj raportu, Hulot odwrócił wzrok od Marche-a-Terre'a. Szuan świsnął teraz żywo w taki sposób, ażeby głos jego dał się słyszeć daleko; poczem, zanim czuwający żołnierze zmierzli do niego strzelby, wyciął ich batogiem tak silnie, że obadwa wpadli do rowu. W téjże chwili krzyk albo raczej dzikie wycie doszło do uszu republikanów. Straszliwa salwa, wystrzelona z lasku nad stokiem wzgórką, na którym siedział Szuan, powaliła wnet siedmiu czy ośmiu żołnierzy. Marche-a-Terre, do którego wnet pięciu czy sześciu żołnierzy strzeliło, chybając wszakże, znikł w zaroślach, wdrapawszy się na wzgórek z szybkością dzikiego kota; saboty jego stoczyły się do rowu, a na

nogach Szuanu dały się widzieć grube podkute trzewiki, jakie nosili „strzelcy króla“. Za pierwszym okrzykiem, wydanym przez Szuanów, rekruci poskoczyli pomiędzy drzewa naprawo, podobni do gromady ptactwa, które ulatuje za zbliżeniem się wędrowca.

— Strzelajcie na tych kundłów — zawołał Hulot.

Kompania dała ognia, ale rekruci potrafili zabezpieczyć się przed strzałami, przyciskając się z tyłu do drzew; a zanim powtórzono ogień, już ich nie było.

— Oto są legiony departamentowe! A co? — rzekł Hulot do Gérarda! — Trzeba być głupim, jak dyrektoryat, ażeby liczyć na rekrutów z tych okolic. Zgromadzenie zrobiłoby lepiej, nie wotując tyle mundurów, pieniędzy, amunicji, ale nam je dając.

— Te ropuchy wołają swoje suchary od chleba pieczonego na prochu! — rzekł Beau-Pied, dowcipniś kompanii.

Na te słowa śmiechy i urągania żołnierzy republikańskich poleciały za deztererami, ale za chwilę zapanowała znów cisza. Ujrzano złączających mozolnie po pochyłości wzgórza dwóch strzelców, których komendant wysłał dla przeszukania lasu po prawej. Lżej ranny podtrzymał drugiego, który broczył krwią swoją pagórek. Obydwaj biedacy dotarli do połowy stoku, gdy Marche-a-Terre pokazał swą twarz obrzydliwą i wycelował tak dobrze w żołnierzy, że obadwaj padli za jednym strzałem staczając się powolnie do rowu. Zaledwo dostrzeżono grubą jego głowę, trzydzieści łuf podniosło się ku niemu, ale Szuan, jak senna fantasmagorya, znikł po-za fatalnemi pękami dębów. Wypadki te, których opis wymaga tylu wyrazów, odegrały się w jednym mgnieniu oka; poczem w jednym także momencie, patryoci i żołnierze z tylniej straży połączyli się z resztą eskorty.

— Naprzód! — zawołał Hulot.

Kompania ruszyła pędem na wzniesione a odkryte miejsce, na którym stała pikietą, tu komendant ustawił kompanię do boju; wszak że nie dostrzegł żadnej demonstracji nieprzyjacielskiej ze strony Szuanów i sądził, że uwolnienie nowozaciężnych było jedynym celem zasadzki.

— Hałas, jaki robią — rzekł do oficerów, wskazuje mi, że nie ma ich dużo. Maszerujmy więc pośpiesznie, a może zdołamy dostrzec do Ernée bez szwanku.

Słowa te, dosłyszawszy jeden z dobrze myślących patryotów, wystąpił z szeregów i stanął, salutując przed Hulotem.

— Mój generale — rzekł, odbywałem już kompanię z Szuanami. Czy mogę wtrącić dwa słowa?

— Adwokat z niego! musi bywać codziennie na audyencji —

rzekł komendant do ucha Merle'owi. — Ano! broń sprawy — dodał, kierując się do młodego rekruta z Fougères.

— Mój komendancie — Szuanie przynieśli niewątpliwie broń dla naszych rekrutów, z którymi się przed chwilą połączyli. Otóż, jeżeli wyruszymy podeszwą, będą czyhać na nas za każdym pnem lasu i wystrzelają nas do nogi, nim dostaniemy się do Ernée. Potrzeba bronić sprawy, jak mówisz komendancie, ale nabojami. Podczas bitwy, która potrwa dłużej, niż myślisz, jeden z moich towarzyszy będzie mógł pośpieszyć do Fougères po gwardyę narodową i wolne kompanie. Chociaż jesteśmy prostymi rekrutami, przekonasz się, że pochodzimy z rasy kruków.

— Sądzisz, że Szuanie są w znacznej liczbie?

— Osądź sam, obywatelu komendancie.

Tu zaprowadził Hulota na miejsce wśród płaszczyzny, na którym piasek był odmieciony, jakby grabkami; następnie, zwróciwszy na to uwagę komendanta, powiodł go ku dosyć odległej ścieżce, gdzie obaczyli ślady przejścia znacznej gromady ludzi. Liście leżały tu głęboko wtłoczone w ziemię.

— Są-to Garsy z Vitré — rzekł rekrut, szli oni tedy połączyć się z Normandczykami.

— Jak się nazywasz, obywatelu? — zapytał Hulot.

— Gudin, komendancie.

— A więc, Gudin, mianuję cię kapralem obywateli z Fougères. Masz minę człowieka poważnego. Wybierz sobie jednego z twych kolegów i wyślij go do Fougères. A będziesz się trzymał przy moim boku. Przedewszystkiem, idź i zabierz wraz z twemi współobywatelami strzelby, ładownice i mundury naszych biednych druhów, których ci rozbójnicy powalili na drodze. Nie zostaniemy tutaj, aby połykać ich strzały, nie odpłacając im gotówką.

Nieustraszeni rekruci z Fougères poszli ściągnąć garderobę z poległych, a cała kompania dawała im osłonę, utrzymując żywy ogień w kierunku lasu, tak aby mogli rozebrać trupów nie tracąc ani jednego człowieka.

— Z tych Bretończyków — rzekł Hulot do Gérarda, mogą być tegie piechury!

Wyślaniec Gudina pobiegł uboczną ścieżką przez lasek po lewej. Żołnierze zajęci opatrywaniem swęj broni, gotowali się do walki; komendant obchodził ich, lustrując, uśmiechał się do niektórych a wreszcie ustawił się z dwoma ulubionemi sobie oficerami na kilka kroków przed szeregiem, oczekując mężnie napadu Szuanów. Milczenie zapanowało znowu na chwilę, ale nie trwało długo. Trzystu Szuanów, których kostiumy podobne były do ubrania rekwirowanych, wypadło z prawego lasku i w dzikim bezładzie wy-

dając z piersi przeraźliwe ryki, rzuciło się na drogę, którą zajmował słaby batalion Hulota. Komendant rozdzielił swoje wojsko na dwa równe oddziały, z których każdy miał front z dziesięciu ludzi. W środku ustawił dwunastu rekwirowanych z Fougères naprędce przystrojonych w pełne mundury, i stanął sam na ich czele. Tę małą armię osłaniały dwa skrzydła, każde po dwudziestu pięciu ludzi, które manewrować miały z obu stron drogi, pod rozkazami Gérarda i Merle'a. Ci oficerowie mieli uderzyć na Szuanów z boku i przeszkodzić, aby się tamtejszym zwyczajem nie *rozszypali*. Szuanie bowiem posiadali sztukę rozpraszania się w okolicy w taki sposób, iż każdy wieśniak zosobna obierał sobie pozycję, z której wygodnie mógł strzelać na Błękitnych; wojska republikańskie nie wiedziały już, skąd brać swoich nieprzyjaciół.

Te rozporządzenia, wydane przez komendanta z szybkością niezbędną w takich okolicznościach, napoiły dobrym duchem żołnierzy, i milcząc rozpoczęto atak na Szuanów. Po upływie kilku minut potrzebnych na zbliżenie się ku sobie obu przeciwnych wojsk, gruchnęły strzały, siejące śmierć po każdej stronie. W tejże chwili dwa skrzydła republikańskie, którym nie mogli Szuanie przeciwstawić swoich, wpadły na ich boki i gęstym a ostrożnym ogniem szerzyły zamieszanie i mord w szeregach nieprzyjaciół. Manewr ten wypełnił prawie brak równowagi liczebnej po obu stronach. Ale Szuanie zdradzali wypróbowaną nieugiętość i męstwo; nie poruszyli się nawet z miejsca, ciężkie straty nie zachwiały ich; ściskając się coraz bardziej usiłowali otoczyć mały ale wybornie ustawiony przez Hulota oddziałek republikańców, którzy zajęli tak szczupłe miejsca, iż zdawali się podobni do królowej-matki, pomiędzy rojem pszczoł. Wywiązała się jedna z tych bitew straszliwych, w których odzywający się zrzadka łoskot muszkietów, ustępuje miejsca dźwiękowi stali, kiedy to ciało ociera się o ciało i przy jednakiem męstwie, liczba rozstrzyga o wygranej. Szuanie byliby znieśli odrazu obydwie skrzydła, komenderowane przez Merle'a i Gérarda, gdyby tymże nie powiodło się kilku salwami wystrzałów danemi zukosa, zachwiać kolumną swych nieprzyjaciół. To też Błękitni powinni byli pozostać na swych flankowych stanowiskach celując dalej zręcznie w przeciwników; zamiast tego jednak, zagrani widokiem niebezpieczeństwa, na jakie narażał się bohaterski batalion, zewsząd otoczony przez „strzelców królewskich“, rzucili się z obu stron na drogę z bagnetem w rękę, kipiąc wściekłością, i na parę chwil zrównali trochę istotnie stosunek sił walczących. Obydwie strony wpadły teraz w rozjuszenie, zaostrome całym okrucieństwem i zjadłością owego ducha partyi, który wojnie téj nadał cechy wyjątkowe. Każdy, bacznym na grożące mu

niebezpieczeństwo, walczył milcząc. Zrobiło się ponuro i zimno, jak na łonie śmierci. Wśród téj ciszy, nie słychać było, oprócz szczerku broni i zgrzytania piasku pod nogami, jak tylko głucho i ciężkie okrzyki, wydarte z piersi tych, którzy ciężko ranieni lub umierający, padali na ziemię. W środku kolumny republikańskiej dwunastu rekwirowanych broniło z takim męstwem komendanta, zajętego wydawaniem rozkazów, że co chwila koledzy ich żołnierze musieli przytakiwać głośnie: brawo!

Hulot pełen zimnej krwi ale baczny na wszystko, odróżnił zaraz pomiędzy Szuanami człowieka, który w otoczeniu wyborowego żołnierza wyglądał na dowódcę. Sądził rzeczą konieczną przyjrzeć się bliżej temu oficerowi, ale napróżno czynił usiłowania, aby rozpoznać rysy, które co chwila mu zakrywały czerwone czapki i kapelusze o szerokich brzegach. Spostrzegł tylko Marche-a-Terre'a, który umieściwszy się obok gienerała, powtarzał jego rozkazy głosem chrapliwym i ustawicznie pracował karabinem. Komendanta niecierpliwił ten przeciwnik świeżej pamięci. Wziął więc szpadę do ręki, zagrzał swoich rekrutów, i uderzył w środek Szuanów z taką furją, iż wybił wpośród nich wyłom i oko w oko mógł spotkać się z wodzem, którego figurę nieszczęściem zakrywał zupełnie wielki piłśniowy kapelusz o białej kokardzie. Ale zdziwiony tak śmiałym atakiem, tenże wykonał ruch wsteczny, zadzierając zuchwale czapkę do góry; teraz dopiero dokładnie mógł Hulot obejrzeć rysy nieznajomego. Młody wódz, który zdaniem Hulota nie mógł liczyć nad dwadzieścia pięć lat, nosił myśliwską kamizelkę z zielonego sukna. Na białej przepasce wisiały pistolety. Trzewiki nosił podkute, jak u Szuanów. Kamasze strzeleckie sięgały mu aż do kolan i pasowały do grubych spodni drylichowych, uzupełniając kostium okrywający kibić średnich rozmiarów, ale smukłą i dobrze zarysowaną. Wściekły widokiem docierających aż do niego Błękitnych, nasunął kapelusz na oczy i postąpił naprzeciw nich, ale natychmiast otoczyli go: Marche-a-Terre i kilku przestraszonych jego odwagą Szuanów. Hulotowi wydało się teraz, że dostrzegł czerwona wstęgę na wpół otwartą kamizelce młodego wodza. Oczy komendanta, porwane widokiem téj dekoracji królewskiej, dzisiaj zupełnie zapomnianej, padły teraz nagle na twarz, którą wszakże utracił zaraz z przed oczu, zmuszony czuwać nad wypadkami bitwy i ruchami drobnego oddziałku. Tak więc, zaledwie mógł dostrzedz iskrzące się oczy o niepewnej barwie, jasne włosy i dosyć delikatne rysy spalone od słońca. Najwięcej go przecież uderzył blask obnażonej szyi, której białosć podnosił czarny krawat związany wolno i niedbale. Niecierpliwe i ożywione ruchy młodego szefa kipiały duchem żołnierskim, zdradzając usposobienie tych, którzy do boju

wnoszą pewną poezję układu. Ręce, starannie ukryte w rękawiczkach, wymachiwały w powietrzu szpadą, błyszczącą od blasku słonecznego. Zachowanie się jego zdradzało zarazem elegancją i siłę. Jego świadome siebie uniesienie, spotęgowane jeszcze wdziękiem młodości i wytwornemi manierami, dawało uroczy obraz szlachectwa francuskiego; kontrastował on wielce z Hulotem, który o cztery kroki od niego, przedstawiał widok téj dzielnej rzeczypospolitéj, za którą stary żołnierz walczył, marsową swą postacią, błękitnym mundurem z czerwonymi startemi wyłogami, i poczerniałym epoletem malując dokładnie potrzebę chwili i swój charakter.

Pełna wdzięku postawa i wyraz młodego oblicza nie uszły uwadze Hulota, który, pragnąc się z nim spotkać, zawołał:

— Ano! baletniku, naprzód, abym cię przewrócił!

Wódz rojalistów, rozwścieklony chwilowém niepowodzeniem, rzucił się naprzód rozpaczliwym ruchem. W téjże chwili, gdy jego towarzysze spostrzegli zuchwałe natarcie wodza, ruszyło wszystko całą siłą na Błękitnych. Tu nagle łagodny i jasny głos zapanował nad wrzawą walki:

— Tu zginął święty Lescure. — Czyż go nie pomścicie?

Na te magiczne słowa natarcie Szuanów nabrało takiej zapalczowości, że republikanie z najwyższym zaledwo wysiłkiem zdołali utrzymać się, nie łamiąc swego drobniachnego *ordre de bataille*.

— Gdyby to nie był młokos — mówił do siebie Hulot, cofając się krok za krokiem, nie byłibyśmy atakowani. Czy widział kto, aby Szuanie wydawali bitwę? Ale tém lepiej, nie wystrzelają nas, jak psów po drodze.

Poczem podnosząc głos tak, aby odbił się echem wśród drzew, zawołał:

— Najprzód, żywo, dzieci! — Czyż mamy się wydać jak bydło na rzeź tym rozbojnikom?... Gérard! Merle! zbierzcie do kupy swoich ludzi, a formujcie ich w bataliony, zbierzcie się na tyłach, palcie w łby tym psom i niech już raz będzie koniec!

Rozkazy Hulota spełniono nie bez trudu, gdyż usłyszawszy głos swego przeciwnika, młody wódz Szuanów zawołał:

— Na świętą Annę z Auray, nie puszczajcie ich cało! równajcie się i naprzód garsy!

Skoro tylko dwa skrzydła, dowodzone przez Merla i Gérarda, wydobyły się znowu ze zbitego kłębka walczących, natychmiast rzuciły się na każdego z nich gromady zaciekłych a przemagających siłą liczebną Szuanów. Stare te kozie skóry otoczyły ze wszystkich stron żołnierzy Merle'a i Gérarda, wydając złowrogie wrzaski, podobne do ryku zwierząt.

— Zamileczcież *panowie*, chcę słyszeć, jak morduję! — zawołał Beau-Pied.

Ten żart wzmocnił ducha Błękitnych. Zamiast bić się na jednym miejscu, republikanie poczęli bronić się teraz na trzech różnych punktach płaskowzgórza, a huk strzałów budził tysiączne echa w spokojnych doniedawna wąwozach.

Walka taka mogłaby toczyć się długo jeszcze bez rezultatu, aż obu stronom zabrakłoby walczących. Szuanie i Błękitni rozwijali jednakie męstwo. Wściekłość wzmagala się po obu stronach, gdy w pewnej odległości dał się nagle słyszeć stłumiony huk bębna; sądząc wedle kierunku, jaki przybierał, oddział wojska zbliżał się ku dolinie Couësson.

— To gwardya narodowa z Fougères! — zawołał silnym głosem Gudin; widocznie spotkał się z nią Vannier na drodze!

Na ten okrzyk, który dobiegł do uszów młodego szefa Szuanów i jego dzikiego pomocnika, rojaliści poczęli się cofać, ale zatrzymało ich gwałtowne odezwanie się rozjuszonego Marche-a-Terre'a. Po kilku poleceniach w narzeczu niższo-bretońskiem wydanych cichym głosem przez komendanta a przesłanych dalszym szeregom Szuanów przez Marche-a-Terre'a, wykonali oni odwrót z taką zręcznością, iż zmieszało to republikanów a nawet Hulota. W pierwszym szeregu ustawili się najsilniejsi z pomiędzy Szuanów, tworząc poważny front, po-za którym postępowała reszta żołnierzy wraz z rannymi, nabijając pierwszym strzelbę. Poczem nagle z tą zwinnością, której dowody złożył niedawno Marche-a-Terre, ranni zajęli wierzchołek wzgórza rozlegający się po prawej stronie gościńca a tuż za nimi poczęła wdrapywać się na pochyłość i część zdrowych żołnierzy. Niebawem widać było tylko energiczne ich głowy. Zrobili tam bowiem coprędzej z drzewa Szaniec i skierowali zpoza niego lufy strzelb na resztki eskorty, która za ponowionym rozkazem Hulota zbierała się tymczasem w wyciągniętą linią, ażeby wzdłuż gościńca przeciwstawić Szuanom front równy im siłą. Ci cofali się zwolna i, broniąc terenu, kierowali się w taki sposób, aby zostawać pod osłoną ognia swych towarzyszy. Skoro zaś dosięgli rowu, zamykającego drogę, poczęli wdrapywać się także na pochyłość, której wierzchołek był już zajęty przez drugą część oddziału i połączyli się szczęśliwie z nimi, wytrzymując dzielnie ogień republikanów, którzy strzelali tak celnie, iż rów niebawem napełnił się trupami Szuanów. Żołnierze, którzy byli u szczytu wzgórza, odpowiadali ogniem nie mniej morderczym.

W tej chwili gwardya narodowa z Fougères przybyła krokiem pośpiesznym na plac boju a zjawienie się jej zakończyło sprawę. Gwardziści i kilku gorętszych żołnierzy przebyli już rów drogi, by

zapaść się w lasek, ale komendant krzyknął za nimi głosem marsowym :

— Czy chcecie tam lby potracić ?

Połączyli się więc z batalionem republikańskim, który utrzymywał się na placu, nie bez dotkliwych strat wszakże. Stare kapelusze powywieszano teraz na ostrza bagnatów, karabiny podniosły się do góry, a żołnierze krzyknęli jednogłośnie, dwukrotnie okrzyk powtarzając: Niech żyje Rzeczpospolita !

Nawet ranni, umieszczeni na bocznym stoku drogi, podzielali powszechny zapał, a Hulot uściśnął rękę Gérarda, mówiąc doń :

— Oto masz, co znaczą u mnie króliki.

Merlowi polecono zająć się pogrzebaniem trupów w pobliskim parowie. Innych żołnierzy przeznaczono do transportu rannych. Zarekwirowano wozy i konie z ferm pobliskich. Przed wyruszeniem w pochód, gwardya z Fougères oddała Hulotowi Szuana, niebezpiecznie rannego, którego schwytano na urwistej pochyłości, dokąd zatoczył się, wyczerpany z sił.

— Dziękuję wam, obywatele, za pomoc waszej ręki — rzekł komendant. — Do stu grzmotów ! Bez was bylibyśmy trudną mieli chwilę ! Mieście się teraz na baczności ! Wojna się rozpoczęła. Bądźcie zdrowi, moje zuchy ! — Tu zwrócił się do jeńca i zapytał :

— Jak się nazywa twój generał ?

— Gars !

— Jak ? Marche-a-Terre ?

— Nie, Gars.

— Skądże się ten Gars wziął tutaj ?

Na to pytanie, strzelec królewski, którego dziką i szorstką postać ból złamał, nie wyrzekł ani słowa, ale wziął do ręki rożaniec i począł odmawiać swą modlitwę.

— Garsem nazywasz zapewne tego młokosa w czarnym krawacie ? Wysłany tu zapewne przez tyrana i jego sprzymierzonych Pitta i Cobourga ?

Na te słowa obojętny dotąd Szuan podniósł dumnie głowę i rzekł :

— Wysłany przez Boga i króla !

Słowa te wypowiedział z energią, która wyczerpała jego siły. Komendant przekonał się, że trudno było badać człowieka umierającego, którego całe zachowanie się zdradzało głęboki fanatyzm; odwrócił więc głowę od niego, marszcząc brwi. Dwaj żołnierze, przyjaciele tych, których Marche-a-Terre zmiotł jednym strzałem na pochyłości lasku, oddalili się o parę kroków, zmierzili do Szuana, którego osłupiałe oczy nie drgnęły nawet pod łufami karabinów, i powalili go dwoma strzałami o ziemię. Gdy potem zbliżyli się

ku niemu, ażeby go pogrzebać, Szuan silnym jeszcze głosem zawołał: — Niech żyje król!

— Tak, tak, mruku — odezwał się Clef-des-Coeurs — idź na suchary do twojej świętej panienki!

— Komendancie — przerwał Beau-Pied — rozbójnik ma swoje papiery!

— Ho! ho! — zawołał Clef-des-Coeurs — ten piechur Boga jego mości ma kolory na brzuchu.

Hulot z kilku żołnierzami zbliżył się do obnażonych zwłok Szuana i w okolicy piersi dostrzegli rodzaj plamy, na błękitno wytatuowanej, która wyrażała płomieniste serce. Było-to godło związkowe należących do bractwa Świętego Serca. Pod niem odczytał Hulot napis: „Marya Lambrequin“, bezwątpienia nazwisko Szuana.

— Widzisz go — rzekł Beau-Pied do Clef-des-Coeurs'a. — Sto dekad odgadywałbyś napróżno, co znaczy ten mundurek.

— Czyż ja znam się na uniformach papieskich! — odparł Clef-des-Coeurs.

— A, ty niedołego, niczego się nie nauczysz na świecie? — zagadał znów Beau-Pied. — Jakto, nie wiesz, że temu orzeszkowi przyrzeczono zmartwychwstanie, i że pomalował sobie brzuszek, aby go lepiej poznano na tamtym świecie.

Na ten żarcik, który nie był bez myśli, sam Hulot nie mógł powstrzymać się od śmiechu. W tejże chwili Merle ukończył czynność grzebania zabitych; rannych zaś pomieszczono, jak można było, na dwóch wozach. Inni żołnierze, postępując w dwóch szeregach wzdłuż zaimprovizowanego ambulansu, schodzili stokiem góry, skąd otwiera się widok na piękną dolinę *de la Pélerine*, rywalkę doliny Couësson. Hulot, w towarzystwie obu swoich przyjaciół, Gérarda i Merle'a z wolna kroczył za oddziałem, gorąco pragnął, aby się udało bez dalszego wypadku dotrzeć do Ernée, gdzie zaopatrzyć miano rannych.

Potyczka ta, prawie niezauważona wśród wielkich wypadków, jakie się gotowały we Francyi, przybrała nazwę od miejsca, na którym ją stoczono. Przecież zwróciła ona pewną uwagę na Zachodzie, którego mieszkańcy dostrzegli zmiany w sposobie, w jaki Szuanie rozpoczynali nową wojnę. Niegdyś nie odważali się oni atakować tak znacznych oddziałów wojska. Wedle wnioskowania Hulota, młody rojalista, którego widział na czele Szuanów, był Garsem — nowym generałem wysłanym z Francyi przez książąt, który wedle zwyczaju rojalistycznych dowódców ukrył swój stopień i swoje nazwisko pod jednym z tych żartobliwych przydomków wojennych. Ta okoliczność zaniepokoiła komendanta po smutnem

jego zwycięstwie, niemniej jak niedawno przeczucie gotującej się zasadzki; obejrzał się też kilkakrotnie ku płaskowzgórzu, które zostawiał po-za sobą, od którego dochodził go jeszcze od czasu do czasu głuchy odgłos bębnow gwardyi, co schodziła w dolinę Couesnon w tym samym czasie, gdy Błękitni zstępowali w przeciwną dolinę *de la Pélerine*.

— Czy który z was—rzekł gniewnie do swych towarzyszy—potrafi odgadnąć, dlaczego Szuanie nas zaatakowali? U nich strzelanina zdaje się być rodzajem przemysłu, i nie wiem doprawdy, co na nim zyskują. Stracili najmniej stu ludzi, a my, dodał układając do uśmiechu prawy policzek i mrużąc oczy — my nie straciliśmy więcej jak sześćdziesięciu. Do stu piorunów! Nie rozumiem tej spekulacji. Hultaje powinnyby odzwyczaić się od napadania nas, wyglądamy teraz, jak list wyszpilkowany na poczcie od zarazy. I wskazał smutnym giestem na dwa wozy z rannymi. — Może chcieli nam powiedzieć: dzień dobry!

— Ależ, komendancie, wszakże odbili naszych stu pięćdziesięciu rekrutów.

— Rekruci mogli rozskoczyć się jak żaby po lesie, nie byłibyśmy przecież tam leżli, ażeby ich łowić. Nie, nie, coś jest w tem innego.— I obrócił się raz jeszcze ku *Pélerine*. — Cicho!—zawołał—widzicie?

Pomimo, iż trzej oficerowie dosyć już byli oddaleni od nieszczonego wzgórza, oczy ich rozpoznały jednak Marche-a-Terre'a i kilku Szuanów, którzy zajmowali je znowu.

— Pośpieszajcie!—zawołał Hulot na żołnierzy — rozłóżcie dobrze nogi i popędzajcie, ile wam sił starczy, konie. Czy łydki wam podrętwiały? Czyż-by to znowu byli ludzie Pitta i Cobourga?

Słowa te ożywiły ruch maszerujących żołnierzy.

— Co do zagadki, która wydała mi się trudną do rozwikłania, dobrze byłoby—rzekł do obu oficerów — ażeby się rozwiązała pukaliną w Ernée. Przeczuję, że na drodze znajdziemy jeszcze królewskich.

Problem strategiczny, który najeżył wás komendanta Hulota, nie mniejszy budził niepokój w ludziach, których dojrzał na szczycie góry. Skoro tylko przygłuchł huk bębnow gwardyi z Fougères, i Marche-a-Terre zobaczył Błękitnych u dołu długiej pochyłości, po której zeszli, wydał znowu radosny okrzyk, naśladujący sowę, na które-to hasło znowu pojawili się Szuanie, tylko mniej liczni. Wielu z nich było niewątpliwie zajętych opatrywaniem rannych we wiosce de la Pélerine położonej na stoku góry, pochylającym się ku dolinie Couesnon. Kilku dowódców znalazło się obok Marche-a-Terre'a. O parę kroków od nich, młody szlachcic usiadłszy na granitowym złomie skały, zdawał się być pochłoniętym rozlicznymi

myślami, które obudziło w nim rozpamiętywanie napotkanych już w tej wyprawie trudności. Marche-a-Terre przyłożył rękę w kształcie daszka do oczów, ażeby je ustrzedz od blasku słońca i patrzył zatroskany na drogę, którą podążali republikanie wzdłuż doliny. Czarne i przenikliwe jego drobne oczy starały się zbadać, co się dzieje po drugiej stronie pochyłości, spływającej w dolinę.

— Błękitni pochwyć kuryera — rzekł dzikim głosem ten z dowódców, który znajdował się najbliżej Marche-a-Terre'a.

— Na świętą Annę z Auray! — zawołał drugi — naco pozwoliś nam dać się pobić? Czy nato, ażeby ocalić własną skórę?

Marche-a-Terre rzucił na niego spojrzenie, zatrute jadem, i bił gniewnie o ziemię ciężkim karabinem.

— Czyż ja tu jestem dowódcą? — zapytał, a po chwili dodał: — Gdybyście się bili wszyscy, jak ja, ani jedna z tych błękitnych bestyj nie uszłaby — i tu wskazał na resztki oddziału Hulota. Ale może kuryer dostanie się tu przecie.

— Czyż myślisz — zapytał trzeci — że oniby pomyśleli o przytrzymaniu go, gdybyśmy ich byli spokojnie przepuścili?

— Aby ocalić swoją mordę — dorzucił obracając się do innych — pozwolił się nam zarzynać, i do tego możemy stracić jeszcze dwadzieścia tysięcy pięknego złotka.

— Ej, strzeż ty swojej mordy — krzyknął Marche-a-Terre, cofając się o trzy kroki i mierzając do swego przeciwnika. — Ty to nie Błękitnych nienawidzisz, ale złoto kochasz. Umieraj więc bez spowiedzi, ty potępiony chlamie, coś nie brał komunii tego roku.

Na tę obelgę Szuan zbladł i głucho przekleństwo wydobyło się z jego piersi w chwili, gdy podnosił karabin, ażeby mierzyć do Marche-a-Terre'a. Młody komendant rzucił się pomiędzy nich i wytracił im karabiny z rąk, uderzając po nich lufą własnej strzelby; poczem zażądał wytłómaczenia przyczyny sporu, ponieważ rozmowa toczyła się w narzeczu niższo-bretońskim, z którym nie był oswojony.

— Panie markizie — rzekł Marche-a-Terre kończąc swą skargę — tęp gorzej dla nich, jeżeli cierpią do mnie urazę zato, żem zostawił Pille-Miche'a, ażeby wyratował dyliżans ze szponów tych złodziei.

I wskazał na Błękitnych, którzy w oczach tych wiernych sług ołtarza i tronu, uchodzili wszyscy za morderców Ludwika XVI i rozbójników.

— Jakto! — zawołał młody komendant z gniewem — więc to dla zatrzymania wozu zostajecie tutaj, tchórze, którzyście nie umieli zwyciężyć w pierwszej bitwie, jak wam kazałem? Ale jakże tu można tryumfować przy takich pobudkach? Obrońcy Boga i króla

są łupieżcami? Na świętą Annę z Auray! jesteśmy na to, aby prowadzić wojnę z Rzeczpospolitą a nie z dyliżansami. Ci, którzy odtąd staną się winnemi tak haniebnych napadów, nie znajdą przebaczenia ani względów, przeznaczonych dzielnym sługom królewskim.

Lekki szmer dał się słyszeć w grupie żołnierzy. Łatwo było dostrzedz, że powaga młodego wodza, tak trudna do utrzymania wśród tych hord niesfornych, bliską była narażenia się. Młody człowiek, którego baczności ruch ten nie uszedł, zamierzał już podjąć kroki celem uratowania honoru komendy, kiedy nagle wśród ciszy ozwało się klusowanie konia. Wszystkie głowy skierowały się w stronę, skąd przypuszczalnie ktoś przybywał: Była-to młoda kobieta, siedząca w poprzek na małym koniku bretońskim, którego puściła galopem, aby tём prędzej dobieść do oddziału, na czele którego ujrzała młodego wodza.

— Co się tu dzieje? — zapytała patrząc z kolei na Szuanów i komendanta.

— Czy uwierzyłabyś pani, że oni tu czekają na pocztę z Mayen-y do Fougères, ażeby ją złupić, podczas kiedy przed chwilą pragnąc uwolnić naszych *garsów* z Fougères, stoczyliśmy potyczkę, która nas kosztowała dużo ludzi i to na próżno, bo nie zdołaliśmy pobić Błękitnych.

— A cóż się stało złego? — zapytała młoda kobieta, której instynkt niewieści odkrył tajemnicę tej sceny.—Straciłeś pan troszkę ludzi — nigdy nam ich nie zbraknie. Kuryer wiezie pieniądze, a tych potrzebujemy zawsze... Pogrzebiemy naszych zabitych, którzy pójdą do nieba, a zdobędziemy pieniądze, które pójdą do kieszeni tych dzielnych chłopców. Jakaż w tём trudność?

Szuanie jednomyślnym uśmiechem przytakiwali tym słowom.

— Niemasz w tём nic, co by mogło panią zarumienić? — zapytał głosem stłumionym młody oficer. — Czyż tak potrzebujecie pieniędzy, aby je łupić po drogach?

— Jestem tak głodną, markizie, że oddałabym własne serce w zastaw, gdyby w nim nic już nie było — rzekła, z zalotnym uśmiechem. Ale skądże-to pan przychodzisz myśląc, że zdołasz utrzymać w karchach Szuanów, nie pozwalając im od czasu do czasu zrabować coś na Błękitnych? Nie znasz pan przysłowia: kradnie jak sowa. A cóż jest Szuan?... Zresztą dodała głośniejszym głosem, czyż-to nie jest rzecz słuszna? Czyż Błękitni nie rabowali wszystkich dóbr kościelnych i naszych?

Nowy szmer, ale zupełnie różny od gniewnego pomruku, który towarzyszył słowom markiza, odezwał się w gronie Szuanów. Młodzieniec, którego czoło zasępiło się, odprowadził na bok młodą ko-

bietę i zapytał ją tonem człowieka, umiejącego miarkować swe rozdrażnienie:

— Czy ci panowie przyjdą na dzień oznaczony do Vivetièrè?

— Tak — odrzekła, wszyscy, Intimat, Grand-Jacques, a może i Ferdynand.

— Pozwól pani, że odjadę; nie potrafiłbym obecnością moją uświęcać podobnych łupiestw. Tak, pani, powiadam, łupiestw. Jest rzeczą szlachty, być okradzonym, ale...

— Dobrze więc — rzekła przerywając mu — wezmę pańską część i dziękuję naprzód, że mi ją odstępujesz. Ten przybytek dochodu bardzo mi posłuży. Matka moja spóźniła się z wysyłką pieniędzy dla mnie tak, że doprawdy jestem w rozpacz.

— Żegnam panią — zawołał oficer.

I znikł; młoda kobieta pobiegła jednak szybko za nim.

— Czemu pan odchodzisz? — rzekła, rzucając nań spojrzenie nawpół despotyczne, nawpół pieszczotliwe, którym kobiety, mające prawo do szacunku u mężczyzny, umieją tak wybornie wyrażać swe życzenia.

— Wszak chcesz pani rabować dyliżans?

— Rabować? — co za szczególny wyraz! Pozwól pan sobie wytłomaczyć...

— Ani słowa — rzekł, biorąc jej ręce i całując je z powierchowną galanterią dworaka. — Słuchaj mię pani — rzekł po chwili, gdybym pozostał tu w czasie napadu moich ludzi na dyliżans, oni zabiliby mię, bo ja ich...

— Nie zabiłbyś ich — podjęła żywo — gdyż oni związaliby ci ręce ze czcią należną twemu stopniowi, a odebrawszy od republikanów swoją kontrybucyą, potrzebną im na wyekwipowanie się, na życie, na zakup prochu, byłiby ci znowu posłuszni.

— I pani chcesz, ażeby w tych warunkach dowodził? — Jeżeli moje życie potrzebnem jest sprawie, której bronię, pozwól mi pani ocalić honor mojej władzy. Usuwając się, mogę nic nie wiedzieć o tej podłości. Powrócę, abym mógł pani towarzyszyć.

I szybko oddalił się. Młoda kobieta słuchała odgłosu jego kroków z widocznym niezadowoleniem. Gdy szelest suchych liści zwróciła się szybko ku Szuanom. Zrobiła giest pogardy i rzekła do Marche-a-Terre'a, który pomagał jej zsiąść z konia...

— Ten młokos chciałby wydać wojnę regularną Rzeczypospolitej!... Co tam! jeszcze parę dni, a zmieni swoje zdanie! — Jak on się ze mną obszedł! — rzekła do siebie po chwili.

Usiadła na kamieniu, który przed chwilą służył markizowi, i w milczeniu oczekiwała nadejścia dyliżansu.

Nie było-to jednem z mniejszych zjawisk epoki, ta młoda kobieta wysokiego rodu, rzucona gwałtowną namiętnością w walkę monarchistów z duchem wieku, i popchnięta żywością usposobienia do czynów, których, rzec można, nie była współniczką; podobna w tem do tylu innych, równych uniesieniem, tak płodnem w wielkich sprawach. Równie jak ona, wiele kobiet grało role bohater-skie albo nikczemne w ówczesnej zawierusze. Sprawa królewska nie miała czynniejszych i wierniejszych emisaryuszów nad te kobiety; ale żadna z bohaterek tego obozu nie opłaciła błędów swego poświęcenia i tych wyjątkowych położeni, ich płci wzbronionych, droższą pokutą nad rozpacz téj kobiety, gdy, usiadłszy na kamieniu przy drodze, nie mogła odmówić podziwu szlachetnej pogardzie i lojalności młodego wodza. Mimowolnie utonęła w głębokiem zamyśleniu. Gorzkie wspomnienia obudziły w niej żądzę powrotu pierwszych lat niewinności, i żal, że nie stała się ofiarą téj rewolucyi, której pochodu zwycięskiego nie mogły powstrzymać tak słabe ręce.

Dylizans opuścił Ernée na chwilę przed utarczką obu oddziałów. Nic nie małuje lepiej kraju, jak natura jego żywiołu towarzyskiego. Z tego względu, wehikuł ten zasługuje na zaszczytną wzmiankę. Nawet rewolucya nie zdołała go usunąć; koła jego toczą się po gościńcach do dnia dzisiejszego. Gdy Turgot wykupił przywilej, za Ludwika XIV będący w rękach prywatnej kompanii, wyłącznego przewozu podróżnych w całym królestwie, i gdy założył przedsiębiorstwo tak zwanych *turgotynek*, stare karety panów de Vougges, Chanteclaira i wdowy Lacombe rozplynęły się po prowincyi. Jedna z tych lichych karet utrzymywała podówczas komunikacją pomiędzy Mayenną i Fougères. Kilku upartych nazywało ją dla sprzeczności turgotyną, aby małpować Paryż, lub z nienawiści do ministra, który wprowadził nowość. Ta turgotyna był-to nędzny kabriolet na dwóch bardzo wysokich kołach, w którego głębi dwie trochę otyłe osoby z trudnością zdołałyby się pomieścić. Szczupłość téj wątlej maszyny nie pozwalała wiele na nią ładować, a kufer, tworzący siedzenie, służył wyłącznie dla poczt; jeżeli więc podróżni mieli jakie pakunki, musieli trzymać je pomiędzy nogami, i tak już torturowanemi w pudle, mającém kształt miecha. Pierwotna barwa powozu i koł stanowiła nierozstrzygniętą zagadkę dla podróżujących. Dwie firanki skórzane, sztywne pomimo długiej służby, miały osłaniać tych męczenników przed zimnem i deszczem.

Pocztylion, siedzący na ławeczce podobnej do najgorszych „kułek” paryskich, musiał chcąc nie chcąc uczestniczyć w rozmowie, skutkiem pomieszczenia pomiędzy czworo i dwunożnemi swemi ofiarami. Cały ekwipaż podobnym był do tych zgrzybiałych starusz-

ków, którzy przebyli sporą liczbę katarów i apopleksyj, a których jednak śmierć oszczędza: posuwając się, stękał i wydawał od czasu do czasu jęklive odgłosy. Podobny do człowieka, pogrążonego w ciężkim śnie, kołysał się ciągle to w tył, to naprzód, jak gdyby usiłował oprzeć się gwałtownej akcji swoich małych koników bretońskich, które go ciągnęły po chropowatej drodze. Zabytek ten innego wieku mieścił w sobie trzech podróżnych, którzy wyjechawszy z Ernée, gdzie go przepręgano, prowadzili z pocztylionem rozmowę rozpoczętą jeszcze przed stacją.

— Jakże pan chcesz, aby Szuanie mogli pokazać się w tych stronach? — mówił konduktor. — W Ernée mówiono mi, że komendant Hulot nie opuścił jeszcze Fougères.

— O! o, przyjacielu — odpowiedział młodszy z podróżnych — ty nie ryzykujesz nic prócz twego kadłuba. Gdybyś, jak ja, miał trzysta talarów przy sobie a znanym był, jako patriota, nie byłbyś tak spokojnym.

— W każdym razie jesteś pan gadułą — rzekł pocztylion potrząsając głową.

— Policz trzode, a wilki ci ją zjedzą — dorzucił francuskie przysłowie drugi podróżny.

Ten ostatni, ubrany czarno, zdawał się liczyć lat około czterdziestu i wydawał się proboszczem z okolicy. Podbródek jego wznosił się na dwóch piętrach, a kwitnąca barwa jego policzków zdradzała, iż należał do stanu duchownego. Chociaż gruby a krótki, rozwijał on pewną ruchliwość, ilekroć potrzeba było wysiąść z karety lub do niej wrócić.

— Czyż należycie do Szuanów — zawołał człowiek o trzystu talarach, którego bujny płaszcz z koziej skóry okrywał pantalone z dobrego sukna i oryginalną kamizelkę, zdradzającą w nim zamożnego rolnika. — Na duszę świętego Robespiera! przysięgam, że złe was poczęstuję! — Poczęm powiódł swe siwe oczy po obu rozmawiających z nim towarzyszach podróży i wskazał na dwa pistolety w ładownicy.

— Bretończycy nie boją się tego — rzekł proboszcz z lekceważeniem. — A my wszakże nie mamy wejrzenia ludzi, chcących się dobrać do pańskich pieniędzy?

Każdym razem, ilekroć wymawiano wyraz: pieniądze, pocztylion stawał się milczącym, proboszcz zaś posiadał na tyle przytomności umysłu, iż zwątpił, aby gadatliwy patriota miał pieniądze, natomiast uwierzył, iż ma pocztylion.

— Jesteś dzisiaj obładowanym, Coupiau? — zapytał ksiądz.

— Ach! ojcze Gudín, nie mam nic prawie — odrzekł pocztylion.

Ojciec Gudin, badając pilnie figury Coupiau i patryoty zauważył, iż obydwaj w tej chwili nie zdradzali żadnego wzruszenia.

— Tém lepiej dla ciebie — rzekł patryota — co do mnie uciekłbym się do swoich środków obrony w razie nieszczęścia...

Tak despotycznie zastrzeżona dla siebie dyktatura oburzyła Coupiau, który szorstko się odezwał:

— Jestem panem w moim dylizansie, i byłem tylko pana miał w opiece...

— Czyś ty patryotą, czy Szuanem? — zagadnął żywo, przerywając mu, podróżny.

— Ani ten, ani ów — odrzekł Coupiau. — Jestem pocztylionem i Bretończykiem, co znaczy więcej; jadąc, nie obawiam się ani błękitnych ani dżentlemanów.

— Chciałeś powiedzieć, ani rozbójników — rzekł patryota z ironią.

— Odbierają tylko to, co im sprzątnięto — odparł żywo proboszcz.

Obydwaj podróżni spojrzeli bystro na siebie, aż do białek oczu, zapytując się wzajemnie spojrzeniem, czy można doprowadzać tu rozmowę do takich granic? W głębi karety siedział bowiem trzeci podróżny, zachowujący w czasie tych rozpraw najgłębsze milczenie. Pocztylion, patryota a nawet Gudin nie zwracali dotąd uwagi na tę niemą figurę. Był to istotnie jeden z tych gości niewygodnych w podróży i nietowarzyskich, którzy podobni są w dylizansie do zrezygnowanych cieląt prowadzonych na targ sąsiedni ze związanymi nogami. Zaczynają oni od owładnięcia całém prawnie przeznaczoném dla siebie siedzeniem, a kończą zaśnięciem bez żadnych skrupułów na barkach swoich sąsiadów. Patryota, Gudin i konduktor pozostawili go sobie samemu, wierząc w sen jego i przekonawszy się, iż było rzeczą zbyteczną mówić do człowieka, którego zakamieniała figura zdradzała przeszłość spędzoną przy łokciu, a myśl troszczyła się jedynie o to, że w dobrej wierze odprzedał towar drożej, aniżeli kosztował.

Gruby ten człowieczek, zwinięty w kłębek w swoim kącie, otwierał od czasu do czasu drobne oczka, jakby z błękitnego fajansu, i pokolei kierował je na każdego z podróżnych z wyrazami przestrachu, zwątpienia i nieufności. Zdawało się wszakże, iż obawia się tylko swych towarzyszy podróży, nie troszcząc się o Szuanów. W tém rozpoczęła się strzelanina walczących na górze oddziałów.

Coupiau, zaniepokojony, powstrzymał powóz.

— Och! och! — rzekł duchowny, który zdawał się znać na tém — to rozprawa naseryo, zdaje się, że tam niemało ludzi.

— Zajedźmy — dodał patryota — do tój oberży na dole; skryjemy się tam i będziemy czekali na wypadek bitwy.

To ostrzeżenie wydało się tak rozzumném, że Coupiau poddał się. Patryota dopomógł pocztylionowi do ukrycia powozu przed okiem ludzkim po-za kupą chróstu. Proboszcz skorzystał ze sposobności, aby zapytać półgłosem Coupiau: — Czy ma on téż do prawdy pieniądze?

— Ej! ojciec Gudín — gdyby to, co on ma, weszło do kieszeni waszég wielbności, nie bardzoby ją wypchało.

Republikanie, pśpieszając do Ernée, mijali karczme, nie wstępując do niej. Na odgłos szybkiego ich pochodu, Gudín i oberżysta, podniesieni ciekawością, wyszli przed bramę dziedzińca, aby im się przypatrzeć. Nagle gruby duchowny podbiegł do żołnierza, który pozostał nieco w tyle.

— Ej! Gudín, ty waryacie, ty się bratasz z Błękitnemi? — Chłopcze mój, co ci przyszło do głowy?

— Tak, wuju — odrzekł kapral. — Przysięgłem bronić Francyi.

— Nieszczęśliwy! zgubisz swą duszę — rzekł wuj usiłując obudzić w swoim siostrzeńcu uczucia religijne, tak potężne w piersiach Bretonów.

— Mój wuju! gdyby król stanął był na czele swég armii, nie mówiłbym...

— Ach, głupcze, co ty mówisz o królu? Czy twoja republika rozdaje opactwa? Ona zniszczyła wszystko. Do czegoż chcesz dojść? Pozostań z nami; my zwyciężymy dziś albo jutro i zostaniesz radcą jakiego parlamentu.

— Parlamentu? — rzekł młody Gudín tonem szyderskim. — Adieu, mój wuju.

— Nie dostaniesz ode mnie w spadku ani trzech ludwików! Wydziedziczam cię!

— Bóg zapłać! — rzekł republikanin.

Rozłączyli się. Jabłecznik, którym patryota częstował Coupiau podczas przemarszu republikanów, zaćmił inteligencyę pocztyliona; ocknął się jednak radośnie, gdy oberżysta, dowiedziawszy się o wypadku walki, zwiastował zwycięstwo Błękitnych. Coupiau wyjechał znówu na gościniec swoją kareta i niebawem wjechano w wąwozy *Péleriny*, skąd łatwo było rozeznać płaszczyzny Maine i Bretanii. Podobny był teraz nasz dyliżans do szczątków okrętu, prującego fale po świeżo przebytég burzy.

Przybywszy na szczyt góry, na którą Błękitni zwolna wstępowali, z którego widać było jeszcze w oddali *Pélerinę*, Hulot odwrócił się, aby obaczyć, czyli Szuanie znajdują się jeszcze na niej. Słońce przeblyskując na lufach ich bagnetów, ukazywało ich, jak

drobne świecące punkciki. Rzucając ostatnie spojrzenie w dolinę, którą niebawem miał stracić z oczu, zstępując w dolinę Ernée, mógł rozeznaczyć na szerokim gościńcu ekwipaż Coupiau.

— Czy nie dyliżans to z Mayenny? — zapytał swoich adiutantów.

Obydwaj oficerowie, patrząc bystro na starą turgotynę, poznali ją odrazu.

— Jakimże sposobem nie spotkaliśmy jej na drodze? — zauważył Hulot.

Spojrzelili po sobie milcząc.

— Otóż jeszcze jedna zagadka! — zawołał komendant — zaczynamy przezierać teraz prawdę.

W tejże samej chwili Marche-a-Terre, który znał także turgotynę, zwiastował jej nadejście towarzyszom, a odgłos powszechnej radości ocknął młodą kobietę z jej zadumy. Nieznajoma postąpiła naprzód i ujrzała dyliżans, który nadjeżdżał z fatalną szybkością. Niebawem nieszczęśliwa turgotyna znalazła się na płaszczyźnie. Szuanie, którzy ukryli się nanowo, wpadli teraz na swoją zdobycz z chciwością, która dodawała połotu ich ruchom. Niemy podróżny potoczył się w głąb karety i skurczył, przybijając kształt paczki.

— Bierz dyabli zresztą! — zawołał Coupiau ze szczytu swego kozła, wskazując na ziemianina — przewąchaliście patryotę; ma on pełen worek złota!

Szuanie przyjęli te słowa wybuchem ogólnego śmiechu i poczęli wołać: — Pille Miche! Pille Miche! Pille Miche!

Wśród tych okrzyków, którym sam Pille Miche wtórował, jak echo, Coupiau zawstydzony zląkł z siedzenia. Gdy Cibot, przezwany Pille Michem, dopomagał swemu towarzyszowi do wydobywania się z karety, podniósł się szmer ogólny, pełen uszanowania.

— To ojciec Gudin! — kilka głosów zawołało.

Na to czcigodne imię wszystkie głowy odkryły się, Szuanie uklękli przed kapłanem i poczęli prosić go o błogosławieństwo, którego tenże z powagą im udzielił.

— Oszukałby on samego świętego Piotra i wykradł mu klucze raju — rzekł potem, klepiąc po ramieniu Pille-Miche'a. — Gdyby nie on, Błękitni-by nas pochwycili.

Tu spostrzegłszy młodą damę, ojciec Gudin postąpił ku niej dla rozmówienia się na osobności. Marche-a-Terre, który tymczasem otworzył zwinnie kufer dyliżansu, ujrzał tam z dziką radością worek, którego kształty zdradzały obecność złotych rulonów. Nie zostawało wiele czasu na podzielenie się niemi. Każdy z Szuanów otrzymał z rąk jego swojej czastkę z taką akuratnością, iż podział nie wywołał najmniejszej sprzeczki. Poczém tenże zwrócił się do

młodej damy i księdza, przynosząc im kwotę około sześciu tysięcy franków.

— Czy mogę przyjąć je z czystym sumieniem, ojciec Gudin? — zapytała czując potrzebę przyzwolenia.

— Czemu nie, moja pani? Kościół, który zatwierdzał niegdyś konfiskatę dóbr cudzoziemców, czemużby miał oszczędzać rewolucjonistów, którzy przeczą Boga, niszczą kościoły i przesładują religią.

Z kazaniem połączył ojciec Gudin przykład, przyjmując bez skrupułu dziesięcinę nowego rodzaju, którą ofiarował mu Marche-a Terre.

— Zresztą — dodał — mogę teraz poświęcić wszystko, co posiadam, na obronę Boga i króla. Siostrzeniec mój przeszedł do Błękitnych.

Coupiou lamentował tymczasem i krzyczał na całe gardło, że zgubiony.

— Chodź z nami — rzekł don Marche-a-Terre — dostaniesz część dla siebie.

— I do tego będą myśleli, że ja się pozwoliłem złupić dobrowolnie, jeśli powrócę bez żadnych śladów gwałtu!

— Jeżeli chodzi tylko o to — rzekł Marche-a-Terre i dał znane hasło, a salwa strzałów przeszła wnet turgotyne.

Na ten niespodziewany deszcz kul, stare karcisko zajęczało boleśnie tak, że zabobonni Szuanie odskoczyli z przerażenia, ale Marche-a-Terre dostrzegł przytem jak w głębi pudła skoczył i znowu powalił się błądy kadłub milczącego podróżnika.

— Ale ty masz jeszcze drób w twoim kojcu! — rzekł zcicha Marche-a-Terre do Coupiou.

Pill-Miche, przymrużył oczy na znak, że zrozumiał rzecz.

— Tak — odpowiedział pocztynion — ale ja stawiam to za warunek mego wciągnięcia się do waszych szeregów, że pozwolicie mi tego samego człowieka odstawić zdrowo i cało do Fougères. Zobowiązałem się do tego na imię świętej Anny z Auray.

— Któż-to jest? — zagadnął Pille-Miche.

— Tego wam powiedzieć nie mogę — odparł Coupiou.

— Zostaw go przecie! — rzekł Marche-a-Terre, trącając w łokieć Pille-Miche'a — przysiągł na świętą Annę z Auray i musi dotrzymać obietnicy.

— Ależ — dodał Szuan zwracając się do Coupiou, nie zjeżdżaj zaprędko z góry, pośpieszmy za tobą, nie bez powodu. Muszę zobaczyć mordę twego pasażera, wszak mu potrzeba dać paszport.

W téjże chwili usłyszano tętent konia, zbliżający się szybko od

Péleriny. Niebawem zjawił się młody szef oddziału. Dama szybko ukryła worek, który trzymała w ręce.

— Możesz pani zachować te pieniądze bez skrupułu — rzekł młody człowiek. — Oto list, który znalazłem dla pani pomiędzy temi, co oczekiwały na mnie w Vivetiére; list od matki pani.

Spojrząwszy zaś kolejno po Szuanach, którzy pogubili się tymczasem w lasku, i rzuciwszy okiem na dylizans, który zjeżdżał w dolinę Couësson, dodał:

— Pomimo szczerzej chęci, nie zdołałem na czas przybyć! Obym się tylko pomylił w mych podejrzeniach!

— To były pieniądze mojej biednej matki! — zawołała dama, otworzywszy list, którego pewne wyrazy wydarły jej z piersi ten okrzyk.

Kilka przytłumionych śmiechów ozwało się w lasku. Młody człowiek sam nie miał siły powstrzymać się od śmiechu patrząc na worek, który zawierał część na damę przypadającą z rabunku, dokonanego na własnych jej pieniądzach. Ona sama zaczęła śmiać się.

— Ha! cóż robić, markizie, niech idzie na chwałę bożą! Na ten raz wychodzę ze sprawy bez nagany — rzekła do młodego wodza.

— Wkładasz pani lekkomyślność we wszystko, nawet w wyrzuty sumienia — zauważył tenże.

Dama zarumieniała się i spojrzała na markiza z taką skruchą, że uczuł się rozbrojonym. Ksiądz zwrócił uprzejmie, ale z dwuznacznym wyrazem, dziesięcinę, którą dopiero co otrzymał; następnie postąpił za młodym oficerem, który skierował się w bok na drogę, dopiero co przebytą. Młoda dama, zanim udała się ich śladem, skinęła na Marche-a-Terre'a, który zbliżył się ku niej.

— Udacie się do Mortagne — rzekła do niego głosem stłumionym. Wiem, że Błękitni mają wysłać do Alençon znaczną sumę w gotówce, ażeby przyjść w pomoc uzbrojeniom tej okolicy. Jeżeli poświęcam łup dzisiejszy twym towarzyszom, to tylko pod warunkiem, że potrafią mię odszkodować. Przedewszystkiem chodzi o to, ażeby Gars nie dowiedział się o celu wyprawy: zapewne sprzeciwiłby się jej; w razie nieszczęścia wszakże, potrafię go ułagodzić.

— Pani — rzekł markiz, na którego koniu dama usiadła teraz oddawszy swojego księdzu, przyjaciele moi z Paryża piszą mi, że potrzeba się mieć na ostrożności: Rzeczpospolita postanowiła zgnieść nas podstępem i zdradą.

— To nie wielkie nieszczęście — odrzekła — ci ludzie miewają pomysły. Chciałabym pójść z nimi o lepsze i wyszukać sobie współzawodników.

— Wierzę! — zawołał markiz. — Pichegru ostrzega mię, ażebym był ostrożnym i rozważnym w zawieraniu przyjaźni. Rzeczpospolita czyni mi ten zaszczyt, iż sądzi mię niebezpieczniejszym od wszystkich Wandejczyków razem, i liczy na me słabostki, pragnąc mię pozyskać.

— Miałebyś mi nie ufać? — rzekła, kładąc mu na sercu rękę, którą tuliła się do niego.

Młody oficer nachylił ku niej czoło, które objęła czule dłońmi.

— Tak, tak — wmieszał się Gudin — policya Fouché'go niebezpieczniejszą będzie dla nas, niż bataliony ruchome i republikańscy Szuanie.

— Masz słuszość, wielobny ojciec.

— Ach! ach! — zawołała dama — miałeby Fouché wyprawić przeciwko tobie kobiety?... Czekam na nie — rzekła po krótkiej pauzie, nadając głosowi ton głęboki.

Na kilka strzałów od pustej płaszczyzny, którą wodzowie opuścili, odbyła się jedna z owych scen, które przez długi czas jeszcze wydarzały się dosyć często na wielkich gościńcach. Przy wyjściu z małej wioski na *Pélerinie*, Pille-Miche i Marche-a-Terre zatrzymali znowu dyliżans wśród wąwozu. Coupiau zsiadł z kozła po niejakiem oporze. Milczący podróżny wydobyty ze swéj kryjówki przez Szuanów, klęczał teraz wśród gęstwiny jałowcu.

— Kto jesteś? — zapytał dzikim głosem Marche-a-Terre.

Podróżny milczał, ale Pille-Miche powtórzył pytanie, łącząc z niém uderzenie kolbą.

— Nazywam się — rzekł nareszcie rzucając spojrzenie na Coupiau — Jakób Pinaud, jestem ubogim kupcem płótna.

Coupiau zrobił giest przeczący, nie przeczuwając, iż zdradza go. Ten znak objaśnił Pille-Miche'a, który wycelował niezwłocznie karabin na nieznanomego, podczas gdy Marche-a-Terre wygłaszał następujące straszliwe ultimatum: Znadto jesteś upartym, ażebyś miał znać kłopoty biedaka. Jeżeli jeszcze raz zmusisz nas do pytania się o nazwisko, kolega mój Pille-Miche jednym strzałem z téj lufy zjedna sobie szacunek i wdzięczność twoich spadkobierców. Któż jesteś więc? — dorzucił po chwili.

— Jestem d'Orgemont z Fougères.

— Ach! ach! — zawołali obydwa Szuanie.

— To nie ja pana nazwałem, panie d'Orgemont — rzekł Coupiau. — Święta panienka moim świadkiem, że go dobrze bronilem.

— Ponieważ pan jesteś panem d'Orgemont z Fougères — rzekł Marche-a-Terre z wyrazem ironicznego uszanowania — puścimy pana bez szwanku. Że jednak nie jesteś ani dobrym Szuanem ani prawdziwym Błękitnym, że dalej nabyłeś dobra opactwa Juvigny, za-

placisz nam — tu zdawało się, jakoby Szuan liczył głowy swych towarzyszków — trzysta sześćcio-frankówek, tytułem okupu. Neutralność warta tego.

— Trzysta frankówek! — powtórzyli chórem nieszczęśliwy bankier, Pille-Miche i Coupiau, wszakże każdy z innym wyrazem.

— Niestety! drogi panie — ciągnął d'Orgemont — jestem zrujnowany. Pożyczka przymusowa stu milionów, zaciągnięta przez tę dyabelską Rzeczpospolitą, otaksowała mię tak wysoko, że mię wyssano do grosza.

— I wieleż to zażądała od ciebie ta Rzeczpospolita?

— Tysiąc talarów, drogi panie — rzekł bankier z wyrazem pragnącym wywołać politowanie i ulgę w sumie.

— Jeżeli Rzeczpospolita twoja wydiera ci przymusowe i znaczne pożyczki, to widzisz, że z nami tylko zyskać możesz; nasz rząd jest mniej drogim. Trzysta sześćcio-frankówek czyż to za drogo na ciebie?

— Ale skądże je wezmę?

— W twojej kasie — rzekł Pille Miche. — Albo papiery twoje cięte będą, albo ci obetniemy pazury przy ogniu.

— Gdzież wam je wypłacę? — zapytał d'Orgemont.

— Dom twój letni w Fougères leży niedaleko od fermy Giberri, gdzie mieszka kuzyn mój Galope-Chopine, inaczej nazywany wielkim Cibot, tam je odstawisz — rzekł Pille Miche.

— To nie będzie w porządku — zauważył d'Orgemont.

— Cóż-to nas obchodzi? — odrzekł Marche-a-Terre. — Uważ tylko, że jeśli za dwa tygodnie nie znajdą się w rękach Galope-Chopine'a, złożymy ci małą wizytkę, która cię wyleczy z podagry, jeżeli na nią cierpisz.

— Co do ciebie Coupiau — rzekł Marche-a-Terre — nazywać się odtąd będziesz *Mène-à-Bien*.

Po tych słowach obydwaj Szuanie oddalili się; podróżny wsiadł napowrót do powozu, który, dzięki biczowi Coupiau, skierował się pędem ku Fougères.

— Gdybyś pan miał broń — rzekł Coupiau — bylibyśmy się mogli trochę lepiej bronić.

— Głupcze, ja wiozę dziesięć tysięcy franków przy sobie — rzekł d'Orgemont, pokazując na swoje grube trzewiki. Czy można bronić się, mając taką kwotę przy sobie?

Mène-à-Bien poskrobał się po-za uszy i spojrzał za siebie, ale nowi koledzy jego znikli już z widnokręgu.

Hulot z oddziałem swoim zatrzymał się w Ernée dla złożenia rannych w szpitaliku tego małego miasteczka; następnie bez żadnego już nieprzyjemnego wypadku, kolumna republikańska dotarła do

Mayenny. Tutaj mógł komendant nazajutrz zaspokoić wszystkie swe wątpliwości co do kuryera; mieszkańcy bowiem tutejsi wiedzieli już o zrabowaniu dyliżansu.

W parę dni potem, władze wysłały do Mayenny sporo nowozaciężnych paryotów, ażeby Hulot mógł niemi wypełnić kadry swojej półbrygady. Niebawem poczęły szerzyć się pogłoski, niezbyt dodające otuchy, o powstaniu. Rozszerzyło się ono na wszystkie miejscowości, w których, podczas ostatniej wojny, Szuanie i Wandejczycy rozdmuchali główne ogniska pożaru.

W Bretanii opanowali rojalisci Pontorson, ażeby zawiązać komunikację z morzem. Małe miasteczko Saint-James, położone pomiędzy Pontorson i Fougères, wpadło także w ich ręce i w niem to zdawali się chcieć założyć chwilowo główne ognisko swych operacyj i główny skład wojennych zapasów. Stąd mogli też bezpiecznie znosić się z Normandją i Morbihanem. Podrzedni dowódcy przebiegali trzy te prowincje wzdłuż i wszerz, werbując ochotników dla sprawy królewskiej i wiążąc pojedyncze ruchy w całość. Te knowania zbiegały się z wiadomościami z Wandei, gdzie podobne intrygi snuło czterech głównych przewódców: Abbé Vernal, hrabia de Fontaine, de Châtillon i Suzannet. Kawaler de Valois, markiz d'Esgrignon i Trosville'owie znosili się z niemi w departamencie Orne. Wodzem operacyj, na szerokie rozmiary podjętych, które rozwijały się zwolna lecz nie mniej groźnie, był w istocie Gars, — przydomek nadany przez Szuanów markizowi Montauran od chwili wylądowania. Raporty o tém wszystkiem, wysyłane przez Hulota do ministrów, sprawdzały się jaknajzupełniej. Na znaczeniu tego wodza, przysłanego z zagranicy, poznano się natychmiast.

Markiz ujął dosyć sprężyście władzę nad Szuanami, pragnąc dokładnie ich poznać z celami wojny i przekonać ich, że nadużycia i wybryki płamiły szlachetną sprawę, którą podjęli. Stanowczy charakter, męstwo, zimna krew, zdolności tego młodego pana ożywiły nadzieje nieprzyjaciół Rzeczypospolitej i podsyciły tak dalece ponure namiętności tych okolic, że najmniej nawet gorliwi rzucili się gorąco do dzieła, przygotowującego wypadki stanowcze dla pokonanej monarchii.

Hulot nie otrzymywał żadnej odpowiedzi na pytania i raporty, ustawicznie wysyłane do Paryża. Ta dziwna cisza zwiastowała niewątpliwie nowe przesilenie rewolucyjne.

— Miałożby dzieć się z naszym rządem to, co się dzieje z eskarbem? — mówił stary szef do swoich towarzyszy. — Czyż wszystkie nasze prośby rzucają się do kosza?

Tu nagle rozniosła się magiczna sława powrotu Bonapartego i wieść o wypadkach 18 brumaira. Komendanci zachodnich pro-

wincyj zrozumieli teraz powód milczenia ministrów. Nie mniej przeto niewątpliwie pragnęli oni zepchnąć z siebie odpowiedzialność, która ciążyła na nich, i poznać coprędzej kroki, które przedsięwziąć zamierzy rząd nowy. Na wiadomość, że generał Bonaparte mianowany został pierwszym konsulem Rzeczypospolitej, zapanała powszechna radość w kołach żołnierzy; po raz-to pierwszy jeden z nich stawał na czele rządów. Francya, dla której młody generał stał się bożyszczem, upajała się nadzieją. Energia narodu powróciła. Stolica, zmęczona już swą ponurą postawą, pogrążyła się w szale zabaw i uciech, których od długiego czasu była pozbawioną. Pierwsze postanowienia konsulatu nie zachwiały żadnych nadziei i wolność nie czuła się niemi dotkniętą. Pierwszy konsul wydał proklamację do mieszkańców Zachodu. Jego wymowne zwroty, wystosowane do mas, a przez Bonapartego, rzecz można wynalezione, wywołały w owych czasach patryotyzmu i cudów nieobliczone skutki. Głos jego rozlegał się po świecie jak głos proroka, gdyż każdą z jego dotychczasowych odezów utwierdzało zwycięstwo.

„Mieszkańcy!

Bezbożna wojna powtórnie nawiedziła departamenty wschodnie.

Sprawcami tych zaburzeń są zdrajcy, zaprzędani Anglikom albo rabusie, którzy w publicznych rozterkach szukają pola i bezkarności dla swoich zbrodni.

Wobec takich ludzi rząd nie widzi potrzeby ani pobłażliwości ani wyznawania swoich zasad.

Są jednak obywatela drodzy ojczyźnie, których ci burzyciele uwiedli, tym winniśmy słowa wyjaśnienia i prawdy.

Ogłoszono i wykonano prawa niesłuszne; kroki samowolne zaniepokoiły obywateli i swobodę ich sumienia; zuchwałe wpisywanie się na listy wychodźców zdumiało też obywateli, nareszcie, wielkie zasady porządku społecznego pogwałcono.

Konsulowie oświadczają, że wolność wyznań, poręczona przez konstytucję, prawo z 11 prairiała roku III, które pozostawia w rękach obywateli domy przeznaczone dla religijnych obrzędów, zostanie wykonane.

Rząd przebaczy; dopełni on prawa łaski nad żałującemi, pobłażanie będzie całkowite i zupełne; będzie jednakże ścigał każdego, któryby po tej deklaracji odważył się jeszcze opierać wszechwładzy narodu.

— Czy tylko — rzekł Hulot po przeczytaniu publicznem tej

odezwy konsula, akt ten nie jest za ojcowski? Zobaczycie teraz, że ani jeden rabuś rojalistowski nie zmieni swęj opinii.

Komendant miał szłusność. Ta proklamacya posłużyła tylko na to, aby każdego utwierdzić w swojem zdaniu. W kilka dni potem Hulot i jego towarzysze otrzymali posiłki. Nowy minister wojny doniósł im, że generał Brune otrzymał rozkaz udania się na Zachód Francyi celem objęcia tamże komendy. Hulot, którego doświadczenie powszechnie znano, sprawował prowizorycznie rzady w departamentach Orne i Mayenne. Nieznane dotąd życie zawrzało we wszystkich wydziałach rządu. Okólnik ministra wojny i ministra policji zapowiadał, że zostały podjęte kroki stanowcze powierzone dowódcom wojskowym, celem stłumienia rewolucyi w *jéj podstawach*. Ale Szuanie i Wandejczycy skorzystali już z bezczynności Rzeczypospolitej, zbuntowawszy prowincye i owiładnawszy niemi zupełnie: Ogłoszono więc nową odezwę konsula. Tym razem generał przemawiał do armii.

„Żołnierze!

Cały Zachód należy! dziś już do rozbójników, emigrantów i żołdaków Anglii.

Armia składa się z przeszło sześćdziesięciu tysięcy zuchów; obym usłyszał rychło, że dowódcy buntowników nie żyją. Sławę, zdobywa się tylko trudem; gdyby można ją znaleźć próżnując w głównych kwaterach po wielkich miastach, któżby jęj nie miał?

Żołnierze, jakikolwiek stopień piastujecie w szeregach armii, wdzięczność narodu was czeka. Aby na nią zasłużyć, potrzeba przemódz niepogody, śniegi, lodowce i nadzwyczajne zimna w nocy; potrzeba wytypić tych nędzników, czyniących ujmę honorowi imienia francuskiego.

Kampania powinna być krótką a zwycięską; bądźcie nieubłagani dla rozbójników, ale zachowujcie surową karność.

Gwardye narodowe, połączcie trudy waszych ramion z wysiłkiem wojsk liniowych!

Jeżeli napotkacie pomiędzy sobą ludzi sprzyjających złoczyńcom, uwięźcie ich! Niechaj nigdzie nie znajdą schronienia przed ścigającym ich żołnierzem; a jeżeli się znajdzie zdrajca, któryby ośmielił się ich przyjąć i bronić, niech ginie razem z niemi!“

— To mi kmotr! — zawołał Hulot; sam dzwoni na mszę i sam ją odprawia. Tak samo robił we Włoszech.

— Mówi sam i w swojem tylko imieniu, zauważył Gérard, którego poczęły niepokoić następstwa 18 brumaira.

— E! bierz licho, niech mówi, jak chce, skoro tylko jest żołnierzem — zawołał Merle.

Nieopodal od nich kilku żołnierzy skupiło się przed odezwą, przylepioną na murze. Ponieważ ani jeden z ich grona nie umiał czytać, podziwiali ją przeto w milczeniu, jedni z wyrazem niepokoju, inni z prostą ciekawością, podczas gdy dwóch albo trzech śledziło po drodze, czy nie przechodzi jaki obywatel mający minę uczonego.

— I co ten szmat papieru znaczy? — odezwał się Beau-Pied rubasznie żartobliwym tonem do swego towarzysza.

— Albo to trudno odgadnąć — odparł Clef-des-Coeurs.

Na te słowa wszyscy rzucili spojrzenia na obu towarzyszy gotowych zawsze odegrać swoją rolę.

— Patrz tylko — mówił Clef-des-Coeurs, pokazując na umieszczoną w nagłówku odezwy winietę, która przedstawiała otwarty kompas. To znaczy, że potrzeba, abyśmy tego maszerowali! Nie napróżno postawili tutaj otwarty kompas, to emblemat...

— Mój chłopcze — odparł Beau-Pied, schowaj się z twoją mądrością, to się nazywa problemat. Służyłem dawniej w artyleryi. Moi oficerowie zęby na tём pozjadali.

— Mówię, że emblemat.

— A ja mówię, że problemat.

— Stoi zakład?

— O co?

— O twoją fajkę niemiecką!

— Trzymam.

— Bez urazy, panie adjutancie, nieprawdaż, że to emblemat a nie problemat — zapytał z oblesną miną Clef-des-Coeurs Gérard, który w głębokiém zamyśleniu szedł za Hulotem i Merlem.

— I jedno i drugie! — rzekł oficer poważnie i poszedł dalej...

ROZDZIAŁ II.

Myśl Fouché'go.

W ostatnich dniach miesiąca brumaira, w chwili, gdy Hulot ćwiczył swoją półbrygadę, skoncentrowaną w Mayennie, z wyższego rozkazu umyślny posłaniec przybyły z Alençon wręczył mu depesze, podczas czytania których w całej postawie komendanta malowało się silne rozdrażnienie.

— A zatem naprzód! — zawołał z gniewem, ciskając papiery na dno kapelusza. Dwie kompanie pójdą ze mną do Mortagne. Są tam Szuanie.

— Będziecie mi towarzyszyli — rzekł dalej, zwracając się do Merla i Gérarda. Jeżeli rozumiem słowo z mojej depeszy, wart jestem zostać szlachcicem. Ale niech mię nazwą bydlęciem, mniejsza o to, naprzód! Niema chwili do stracenia.

— A coż tam się kryje tak barbarzyńskiego w tej sakiewce? — zapytał Merle, końcem buta wskazując na kopertę ministeryjalnej depeszy.

— Milion kartaczy! Niema nic albo nas mają za bydlęta. Ilekroć komendant zaklął w ten sposób, zwiastowało to zawsze jakąś burzę; rozmaite intonacye tego zwrotu wskazywały stopień uniesienia i stanowiły dla półbrygady ciepłomierz powściągliwości szefa; a otwartość starego żołnierza pozwalała go odgadnąć z taką łatwością, że najędźniejszy dobosz znał swojego Hulota na wylot, obserwując rozmaite odmiany giestu, polegającego na ściągnięciu twarzy i zmrużeniu oka. Tym razem, głuchy gniew, który towarzyszył tym słowom, zalecał obu przyjaciółom Hulota milczenie. Nawet lekkie znaki ospy, które poorały marsowe to oblicze, wydały się w tej chwili głębszemi a cera ciemniejszą, niż zwykle. Szeroki jego harcap, zakończony plecionką, oparł się na jednym z epoletów; Hulot odrzucił go z taką wściekłością, że warkocz się rozpadł na szutki. Kiedy tak stał jak wryty, z zacisniętymi pięściami, z ramionami silnie skrzyżowanymi na piersiach, z wąsem najeżonym, Gérard ośmielił się nareszcie zapytać:

— Czy wyruszamy natychmiast?

— Tak, jeśli ładownice są wypchane — odrzekł, mruczając pod nosem.

— Są, komendancie.

— Na ramię broń! czwórkami wlewo, naprzód marsz! — zawołał Gérard, naśladując giestykulacyę szefa.

I dobosze stanęli na czele dwóch kompanij, wskazanych przez Gérarda. Na odgłos bębna komendant zatopiony dotąd w swych myślach, ocknął się i wyruszył z miasta wraz z obu przyjaciółmi, nie mówiąc wszakże do nich ani słowa. Merle i Gérard spoglądali na siebie w milczeniu, jakby nawzajem się pytając: Czy długo trzymać nas będzie w tym rygorze? I, w pełnym będąc marszu, ukradkiem rzucali częste spojrzenia na Hulota, który zdawał się wypuszczać przez zęby luźne wyrazy. Od czasu do czasu brzmiały one w uszach żołnierzy, jak przekleństwo; ale żaden z nich nie śmiał ust otworzyć; w razie potrzeby bowiem wszyscy umieli tu zachować surową karność, do której nawykli pod komendą Bonapartego

we Włoszech. Większa część z nich, jak i sam Hulot, należeli do resztek tych sławnych batalionów, które kapitulowały w Moguncyi pod obietnicą, że nie będą użyte na granicach; armie nazywały ich Mogunteczykami. Trudno było znaleźć żołnierzy i oficerów, którzyby lepiej się rozumieli.

Nazajutrz po wyruszeniu w pochód Hulot i dwóch jego przyjaciół znajdowali się o wczesnym poranku na drodze Alençonńskiej, o milę blisko od tego miasta ku Mortagne, w okolicy rozległych pastwisk, użyznionych nurtami Sarthy. Malownicze widoki tych łąk ścielą się kolejno po lewej stronie, podczas gdy prawa, okrażona grubemi pniami drzew łączących się z wielkim borem Menil-Proust, tworzy jakoby tło dla rozkosznych widoków nadbrzeża. Ścieżki po obu stronach drogi graniczą z przekopami, których ziemia, wyrzucana ustawicznie na rolę, wytworzyła rodzaj pagórków, uwieńczonych krzewami kolczatego jałowcu. Krzew ten, bujnie się gałęzący dostarcza w zimie wybornego pokarmu dla koni i zwierząt; gdy zaś nie był spaszonym, Szuanie kryli się wygodnie w ciemnozielonych jego gęstwinach. Te wzgórki i ten jałowiec, zwiastujące podróżnemu sąsiedztwo Bretanii, sprawiały, że część ta drogi nie mniej była niebezpieczną, jak piękną.

Niebezpieczeństwa, które zagrażały podróżnym na drodze z Mortagne do Alençon i z Alençon do Mayenny, wywołały potrzebę wyruszenia Hulota w drogę; i oto zarazem powód gniewu, którego nie zdołał utaić. Eskortował on starą pocztową landarę, strudzeni jego żołnierze musieli postępować zwolna. Kompania Błękitnych, należąca do garnizonu w Mortagne, która straszliwy ten wehikuł konwojowała aż do granic ich etapu, gdzie Hulot ich zastąpił w służbie, słusznie nazywaną *piłą* patryotyczną, powróciła do Mortagne. Widać ją było jeszcze na widnokręgu, jak czarny punkcik. Jedna z obu kompanij starego republikanina trzymała się nieco w tyle, druga wyprzedzała karetę.

Hulot, który znajdował się pomiędzy Merlem i Gérardem, w polowie drogi pomiędzy awangardą i wozem pocztowym, rzekł nagle do nich:

— Do stu piorunów! Czy sądzicie, że to dla konwojowania dwóch spódnic, które znajdują się w furgonie, generał wysłał nas z Mayenny?

— Ależ, komendancie — rzekł z uśmiechem Gérard, gdyśmy zajęli pozycye nasze w obliczu obywateli, salutowałeś je z miną wcale nie tak zadąsaną.

— Infamia! Ci *strojnisie* paryscy każą nam czuwać nad swemi samiczkami! Czy godzi się tak ubliżać dobrem i dzielnym patryotom, każąc im robić honory babskiej jupce? O! co do mnie, ja idę

prostą drogą i nie lubię gzygzaków u innych. Gdy obaczyłem u Dantona metresy, u Barrasa metresy, rzekłem im: „Obywatele! gdy Rzeczpospolita wybrała was, abyście nią rządili, to nie na to, aby zatwierdzać rozpustę starych rządów“. Powiecie mi na to, że kobiety?... O! prawda, że są kobiety... Ale dosyć igraszek, gdy zagraża niebezpieczeństwo... Nacóż było wymiatać brudy i nadużycia starych rządów, jeżeli patryoci je wznowili.. Patrz na pierwszego konsula! to mi człowiek: ani jednej kobiety, cały oddany sprawom. Dałbym lewy wąż w zakład, że on nie wie o głupiej służbie, którą w tej chwili spełniamy.

— Na honor, komendancie — rzekł Merle wesoło — dojrzałem koniec noska młodej damy, ukrytej w głębi powozu i wyznaję, że mało kto nie uczułby świerzbki, którą ja czuję, do podkradzenia się pod karetę i poszczebiotania z wojażerkami.

— Niech cię Bóg strzeże — zawołał Gérard. — Fryzowane sroczki mają towarzysza, i to przebiegłego, któryby cię, jak nic złowił w łapkę.

— Kto? Ten *inkrojablik*, którego małe oczka biegają ciągle z jednej strony drogi na drugą, jakby wietrzył wszędzie Szuanów? ten strojniś, u którego łydek domacać się nie potrafisz? Ten mazgaj, wyglądający jak kaczor w pasztecie, zabroniłby mi popieścić się ładną czeczotką?

— Kaczor! Czeczotka! Biedaku, straszliwie, zabrnąłeś w ornitologię! Ale nie wierz kaczorowi. Zielone jego oczka wydają mi się zdradliwymi, jak oczy u żmii, a przebiegłymi jak żony, która przebacza mężowi. Mniej niedowierzam Szuanom, niżli tym adwokatom, których figury podobne są do karafek z limonadą.

— Ba! — zawołał ochoczo Merle — za pozwoleniem komendanta, ryzykowałbym! Ta kobieta ma oczy jak gwiazdy, można wszystko rzucić na kartę, byle je obaczyć.

— On dostał bzik, komendancie — rzekł do Hulota Gérard — zaczyna mówić od rzeczy.

Hulot zrobił giest sobie właściwy, wzruszył ramionami i rzekł:

— Nim spożyje zupkę, radzę mu skosztować.

— Dzielny chłopak z tego Merla — zauważył znów Gérard, wnioskując po zwolnieniu jego kroków, że stara się stopniowo zrównać z jadącym z tyłu powozem. Wesoła dusza. Jedyny to człowiek, który mógłby żartować sobie ze śmierci kolegi bez posądzenia go o nieczułość.

— To prawdziwy żołnierz francuski — rzekł głosem poważnym Hulot.

— Patrz, jak nasuwa swoje epolety na ramiona, aby pokazać,

że jest kapitanem — zawołał śmiejąc się Gérard — jak gdyby sto-pień tutaj coś znaczył!

Powóz, około którego płatał się młody oficer, wiózł istotnie dwie kobiety, z których jedna wydawała się służącą drugiej.

— Te kobiety chodzą zawsze parami! — zauważył Hulot.

Mały człowieczek, suchy i chudy, włożył się na koniu obok landary, to wyprzedzając ją, to przystając w tyle; wszakże pomimo, iż zdawał się towarzyszyć uprzywilejowanym turystkom, nikt nie spostrzegł dotąd, ażeby wymienili pomiędzy sobą jedno słowo. To milczenie, dowód pogardy albo czci, bagaże i pudła tej, którą komendant nazywał *księżniczką*, wszystko, aż do kostiumu jój „kawalera“, burzyło żołą w Hulocie. Kostium nieznanego przedstawiał wierny obraz mody, która wydawała podówczas karykatury *Inkrojabłów*. Wyobraźmy sobie postać okrytą w surdut, którego rękawy były tak krótkie, że pozwalały dostrzedz pięć albo sześć guzików u kaftana, przeciwnie zaś poły tak długie, że przypominały ogon sztokfisz, porównanie dotąd używane w ich opisach. Olbrzymi krawat dokoła jego szyi zakreślał taką obfitość konturów, że drobna główka wyzierająca z tego labiryntu muszlinów, usprawiedliwiała porównanie gastronomiczne kapitana Merle'a. Nieznajomy miał pantalon obciste i trzewiki *à la* Suwarow. Olbrzymia kamea biała i błękitna służyła za spinę u koszuli. Dwa łańcuszki od zegarka biegły równolegle od pasa; włosy spadające na dół jak korkociągi, u obu stron głowy, zakrywały mu prawie całe czoło. Nareszcie jako ostatnie upiększenie, kołnierze jego koszuli i surduta sięgały tak wysoko, iż głowa jego podobną się wydawała do bukietu włożonego w trąbkę z papieru. Dodajmy do tych jaskrawych szczegółów, które kłóciły się ze sobą, tworząc chaos kolorów i kształtów, ucieśzną opozycję żółtych pantalonów, czerwonej kamizelki, cynamonowego surduta a będziemy mieli wierny obraz najwyższego tonu, któremu ulegali eleganci w pierwszych czasach konsulatu. Ten kostium w stylu barokko zdawał się wynalezionym na to, aby wystawiał na ciężką próbę wdzięk ludzkiej figury i dowiódł, że niema rzeczy tak śmiesznej, której-by moda nie zdołała uświęcić.

Kawaler zdawał się dosięgać trzydziestu lat wieku, wszakże liczył dopiero lat dwadzieścia dwa; pozór ten zawdzięczał albo zniszczeniu zdrowia, albo grozom owjej epoki. Pomimo tej „empirycznej“ toalety układ jego zdradzał pewną elegancję, po której poznać było można człowieka dobrze wychowanego. Gdy kapitan znalazł się w pobliżu karety, „strojniś“ zdawał się odgadrywać jego zamiar i ułatwiał mu zadanie powstrzymując krok swego konia; Merle, który rzucił nań spojrzenie szydercze, znalazł w nim jedną

z owych twarzy nieprzenikliwych, przyzwyczajonych przez burze rewolucyjne do ukrywania wszelkich wzruszeń, nawet najłżejszych. W chwili, gdy zakrzywiony róg trójkątnego kapelusza i epolety kapitana dały się widzieć damom, głosik anielskiej słodczy z powozu zapytał:

— Panie oficerze! czy nie raczyłbyś nam objaśnić, w jakiej okolicy znajdujemy się?

Tkwi jakiś czar niewysłowiony w zapytaniu rzuconém przez nieznajomą towarzyszkę podróży; najmniejsze słowo zdaje się wtedy mieścić całą przygodę; wszakże, gdy kobieta domaga się pewnej opieki, opierając się na swęj słabości i na pewnej nieznajomości rzeczy, czyliż każdy z nas nie uczuje się skłonnym do wysnucia niemożliwej bajki, w której się widzi szczęśliwym?

To téż słowa: „panie oficerze!“, uprzejma forma próśby, przejęły nieznaniem wzruszeniem serce kapitana. Usiłował przyjrzeć się nieznajomej, ale niestety doznał przykrego zawodu, bo zazdrośna woalka ukrywała starannie jęj rysy; zaledwo mógł dostrzedz oczy, które, pomimo gazy, błyszczały, jak dwa oniksy w promieniach słońca.

— Jesteśmy teraz o milę drogi od Alençon — rzekł nareszcie.

— Alençon, już! — I nieznajoma dama rzuciła się albo raczej spłynęła w głęb' powozu, nie rzekłszy słowa więcej.

— Alençon! — powtórzyła druga kobieta, jakby się ze snu ocknęła. — Obaczysz więc znowu tę ziemię.

Spojrzała na kapitana i umilkła. Merle, zawiedziony w nadziei obaczenia pięknej nieznajomej, począł przypatrywać się towarzyszce. Było-to dziewczę lat około dwudziestu sześciu, blondynka, o pięknej kibici, cera jęj miała tę świeżość, ten zdrowy blask, który zwykł cechować płeć kobiecą w okolicach Alençon. Spojrzanie błękitnych jęj oczu nie zdradzało wyższego umysłu, ale natomiast moc charakteru, połączoną z pewną tkliwością. Miała suknię z materji pospolitej. Włosy jęj, zaczesane w górę pod małą czapczką ówczesnego kroju bez żadnej pretensyi, dodawały jęj postaci prostoty pełnej wdzięku. Jęj układ, jakkolwiek nie okazywał konwencyonalnych form salonu, nie był pozbawiony ówęj godności, tak właściwej młodemu skromnemu dziewczęciu, które mogło patrzeć na karty ubiegłych dni swoich, nie znajdując wśród nich pobudek do żalu. Jednem spojrzeniem oka odkrył w niej Merle ów kwiat polny, co przeniesiony do cieplarni paryskich, kędy tak wiele przepalających bije promieni słonecznych, nie utracił ani swoich barw czystych, ani świeżości wiejskiej. Naiwny układ dziewczęcia i skromność jego spojrzeń przekonały Merle'a, iż zbyt czynnym tu jest towarzyszem. W istocie, gdy się oddalił, obie nieznajome za-

więzały wnet cichą rozmowę, której szmer ledwo dochodził do jego uszu.

— Odjechałaś pani tak śpiesznie — rzekła młoda wieśniaczka — że nie miałaś czasu nawet się ubrać. — Ładnie wyglądasz! — Gdybyśmy miały jechać dalej, niż do Alençon, potrzebaby koniecznie przebrać się...

— Och! Och! Fanszeto! — przerwała z uśmiechem.

— Jakto?

— Oto po raz już trzeci próbujesz wybadać kres i cel mojej podróży.

— Czyż powiedziałam cokolwiek, coby zasługiwało na ten zarzut?

— O! poznałam ja dobrze twoją chytrą. — Skromniutka i niewinna napozór, nauczyłaś się nieco fortelów w mojej szkole. Zaczynasz czuć wstręt do zapytań. Masz słuszość, moje dziecko. Zpomiedzy wszystkich sposobów wydarcia tajemnicy, ten jest, moim zdaniem, najniezręczniejszy.

— Dobrze więc! — rzekła Fanszeta — ponieważ nie mogę nic ukryć przed tobą, przyznaj, czyż zachowanie się twoje nie obudziłoby ciekawości świętego? Wczoraj bez sposobu do życia, dzisiaj ręce pełne złota, w Mortagne dają ci złupiony dylizans, którego konduktora zabito, jesteś protegowaną przez wojska rządowe i jedziesz nareszcie w towarzystwie człowieka, który mi się wydaje twoim złym geniuszem...

— Kto, Korentyn? — zagadnęła nieznajoma akcentując te słowa dwoma dźwiękami głosu, pełnemi pogardy, która kryła się nawet w giescie, jakim wskazała na „kawalera“. Słuchaj, Fanszeto, czy przypominasz sobie *Patryotę*, ową małpę, którą nauczyłam naśladować Dantona, a która tak serdecznie nas bawiła?

— Tak, pani.

— Czy bałaś jej się?

— Ależ ona była zaczarowaną.

— A Korentyn ma kaganiec, moje dziecko.

— Bawiłyśmy się całemi godzinami z *Patryotą* — mówiła Fanszeta — to prawda, ale kończyło się zawsze na tém, że nam zrobił coś złego.

I z temi słowy usunęła się żywo Fanszeta w głąb' powozu, zbliżyła się do swojej pani i poczęła pieścić jej ręce, mówiąc głosem pełnym czułości:

— Odgadłaś mię a jednak mi nie odpowiadasz. — Jakto? po tylu chwilach smutku, które mię tak bolały, w dwudziestu czterech godzinach, możesz odzyskać szalony humor, jak wtedy, gdy mówiłaś o zabójstwie? Skąd pochodzi ta zmiana? Mam prawo wymagać

czegoś na rachunek twojego serca. Ono należy do mnie więcej, niż do kogokolwiek, bo nikt cię więcej ode mnie kochać nie potrafi. — Mów więc pani.

— Jakto, Fanszeto — więc nie widzisz dokoła nas powodów mojej wesołości? Spójrz na żółte kiście tych drzew w oddali? Ani jedna z nich nie jest podobną do drugieję. Patrz na nie zdaleka, rzekłabyś, że to stare obicia w zamku. Patrz na te opłotki, po-za któremi w każdej chwili obaczyć możesz Szuanów. Gdy patrzę na ten jałowiec, zdaje mi się, że widzę lufy strzelb. Lubię to nowe niebezpieczeństwo, które nam zagraża. Ilekroćrazy droga nabiera ponurego wejrzenia, przypuszczam, że usłyszymy za chwilę strzały, wtedy uderza we mnie serce, nieznane wzruszenie mną owłada. A nie są-to dreszcze trwogi, ani wzruszenia rozkoszy; nie, to lepsze, to gra wszystkiego, co żyje we mnie, to samo życie. Czyż miałabym nie być wesołą, gdy ożywie posuchę mego istnienia.

— Ach! okrutna! ależ to wszystko nic mi nie mówi. Święta Panienko! — dodała, zwracając boleśnie oczy do nieba — przed kim wypowiada się ona, jeżeli się kryje przede mną?

— Fanszeto — rzekła poważnie młoda nieznajoma — nie mogę ci wyznać mojego przedsięwzięcia. Ten raz jeden to straszne...

— Pocóż robić źle, wiedząc, że to nie dobre?

— Cóż chcesz? Czuję, że myślę, jak gdybym miała lat pięćdziesiąt, a działałam, jak piętnastoletnia. Ty byłaś zawsze moim rozsądkiem, drogie dziecię, ale w tej jednej sprawie, muszę stłumić w sobie sumienie.

A po chwili, westchnąwszy, dodała:

— Zresztą nie zastanawiam się nad tém sama. Jakże chcesz więc, abym szukała spowiednika równie surowego, jak ty...

I uderzyła ją z usmiechem po rękach.

— Czyż kiedy robiłam ci wyrzuty? — zapytała Fanszeta. — Nawet błąd u ciebie ma wdzięk swój. Tak, święta Anna z Auray, którą błagam codziennie o twoje zbawienie, przebaczy ci wszystko. A zresztą, czyż nie jestem przy twoim boku w tej podróży, chociaż nie wiem, gdzie jedziemy?

I cała wzburzona ucałowała jej ręce.

— Ale — rzekła Marya — możesz mię opuścić, jeżeli twe sumienie...

— Milcz, pani! — zawołała Fanszeta, robiąc zadąsaną minkę. — Nie mów mi o tém.

— Więc ani słowa — rzekła Marya stanowczym głosem. — Wiedz tylko o tém, że nienawidzę tej wyprawy, zarówno jak tego, który językiem złota mi ją narzucił. Chcę być wolną, wyznaję ci, że

nie poddałabym się ich zamiarom, gdybym w tej nikczemnej farsie nie doznała wzruszenia grozy pomieszanej z miłością, które mię skusiło. Zresztą nie chciałam zejść z tego marnego świata, nie dotknąwszy kwiatu, który mię może zabije. Ale pamiętaj, dla honoru mojej pamięci, że gdybym była szczęśliwa, widok ostrego ich noża, gotowego spaść na mą głowę, nie zmusiłby mię przyjąć roli w tej tragedyi. O! bo to jest tragedia... Teraz — dodała z gięstem zniechęcenia — gdyby go odwrócono, rzuciłabym się w nurty Sarthy; i nie byłoby to samobójstwem, nie żyłam jeszcze dotąd.

— Ach! święta Panienko z Auray, przebacz jej — westchnęła boleśnie Fanszeta.

— Czego się trwożysz? — Drobne przygody życia powszedniego nie podniecają mych namietności, wiesz o tem. To złe dla kobiety; ale dusza moja posiada jakąś wyżej nastrojoną wrażliwość, która łaknie najgwałtowniejszych wzruszeń.. Mogłabym być, jak ty, słodkiem, potulnym stworzeniem... I dlaczegoż podniosłam się nad pieć moję czy też niżej upadłam od niej? Ach! jak szczęśliwą jest żona Bonapartego... Słyszysz, umrę młodo, jeżeli przestanę czuć rozkosz tam, gdzie krew jest do picia, jak mówił biedny Danton. Ale zapomnij o tem, co mówię — to mówiła kobieta pięćdziesięcioletnia. Bogu dzięki! piętnastoletnie dziewczę odezwie się za chwilę.

Młoda towarzyszka drżała. Ona jedna znała porywczy i wrzący charakter swojej pani. Ona jedna wtajemniczoną była w misterya tej duszy, pochopnej do egzaltacyi, w uczucia tej istoty, która biegła dotąd za życiem, jak za niepochwytnym cieniem, pragnąc go ująć. Posiawszy pełną dłoń, a nic nie zbierając, kobieta ta pozostała dziewicą, ale nawskroś podrażnioną mnóstwem niezaspokojonych pragnień. Znużona walką bez przeciwnika, doszła w zwątpieniu swoim do tego, iż przenosiła dobre nad złe, jeżeli zawierało rozkosz, złe nad dobre, jeżeli przedstawiało jakąś poezję, nędzę nad mierność, jako coś wznioślejszego, ponurą i nieznaną przyszłość śmierci nad życie ubogie w nadziei, a nawet w cierpieniu. Nigdy tyle prochu nie oczekiwało iskry, nigdy tyle bogactwa uczucia na pochłonięcie, nakoniec nigdy córka Ewy nie miała tyle złota w swojej glinie. Podobna do ziemskiego anioła, Fanszeta czuwała nad tą istotą, w której podziwiała doskonałość, wierząc, iż spełnia niebieskie posłannictwo, zostawując ją dla chóru serafinów, z którego sądziła ją wygnaną na odpokutowanie grzechu pychy.

— Oto dzwonnica Alençońska — odezwał się „kawaler“ zbliżając się do powozu.

— Widzę — odrzekła sucho młoda kobieta.

— Pani daruje! — dorzucił jeździec, oddalając się z oznakami niewolniczej uległości pomimo doznanego zawodu.

— Prędjéj! prędjéj! — zawołała dama do pocztyliona. — Teraz niema się już czego obawiać! Jedź klusem albo galopem, byle prędjéj. Czyż nie jesteśmy pewni na bruku Alençonskim?

Gdy powóz przejeżdżał obok komendanta, zawołała słodkim głosem:

— Wszak spotkamy się w oberży, panie komendancie. Nieprawdaż?... Przyjdź mnie obaczyć.

— Napewno — odrzekł mrucząc do siebie Hulot. W oberży! Przyjdź mnie obaczyć! Jak to stworzenie mówi do szefa półbrygady...

I powiódł palcem za dyliżansem, który toczył się szybko po gościńcu.

— Nie skarż się, komendancie, ona ma twój stopień gieneralski w kieszeni — zauważył śmiejąc się Korentyn, który starał się puścić swojego konia galopem za ujeżdżającym dyliżansem.

— Alboż ja dałbym z siebie dudka robić tym parafianom — rzekł Hulot z gniewem do swych przyjaciół. — Wolałbym wrzucić uniform gieneralski do fosy, niż zdobyć go w łóżku. I czego chcą od nas te trutnie? Czy pojmujecie co z tego wszystkiego?

— O tak! — rzekł Merle, ja np. wiem, że jest-to najpiękniejsza z kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem. Zdaje mi się, że źle rozumiecie metaforę tego panicza. To musi być żona pierwszego konsula.

— Ba! żona pierwszego konsula jest starą, a ta jest młodą — zareplikował Hulot. Zresztą, rozkaz, który otrzymałeś od ministra, nazywa ją panną de Verneuil. Była niegdyś szlachcianką. Czyż ja się na tém nie znam? Przed rewolucją wszystkie one pełniły to rzemiosło; za kiwnięciem palca można było zostać szefem półbrygady; potrzeba było tylko umieć gładko włożyć do ucha parę razy: Moje serce!

Gdy tak żołnierze gawędzili, straszliwa karoca, służąca za wóz pocztowy, szybko dojechała do hotelu Trzech Maurów położonego w środku wielkiej ulicy w Alençon. Hałas żelaziwa przy tym niekształtnym wehikule wywołał gospodarza na próg hotelu. Był-to rzadki wypadek w Alençon, ażeby wóz pocztowy zajeżdżał do hotelu Trzech Maurów; straszliwa katastrofa w Mortagne dodała tém szczególniejszego zajęcia widokowi tak, że kto żyw, wyruszył na oględziny dyliżansu. Kobiety podróżne, pragnąc ujść ciekawości tłumu, coprędjéj wbiegły do kuchni, stanowiącej, powszechnym zwyczajem na Zachodzie, przedpokój oberży, a gospo-

darz właśnie przygotowywał się do ofiarowania im swoich usług, gdy pocztylion zatrzymał go za ramię.

— Baczność, obywatelu Brutusie, jest tu eskorta Błękitnych. Ponieważ niema ani konduktora ani depesz, przywożę ci obywatelki; zapłacą z pewnością jak dawne księżniczki, a zatem...

— A zatem wypijemy razem po szklaneczce wina, mój chłopcze — rzekł uczciwy gospodarz.

Rzuciwszy okiem po kuchni, okopconej dymem i po stole zakrwawionym surowym mięsem, panna Verneuil frunęła do sąsiedniej izby z lekkością ptaka, nie mogąc znieść widoku ani zapachu kuchennego, a nie mniej uczuwszy odrazu wstręt do brudnego gospodarza i grubiej jego małżonki, którzy uważnie poczęli jej się przypatrywać.

— Cóż teraz pocniemy? — zapytał żonę oberżysta. — Czy dyabeł mógł przeczuć, że nagle dostaniemy tyle gości w tym czasie. Zanim potrafię sporządzić jakie-takie śniadanko dla tamtych, ta pani zniciernpliwi się. Ale, na honor: przychodzi mi dobra myśl: jeżeli to są ludzie dobrego towarzystwa, zaproponuję im, aby zjedli śniadanie razem. He?

Gdy tak oberżysta zabierał się do wyszukania nowiej przybyszki, obaczył Fanszetę. Uprowadzając ją przeto ku głębi kuchni, ażeby oddalić się od tych, którzy mogliby go niepotrzebnie usłyszeć, rzekł z cicha:

— Mam wyborną zastawę przygotowaną dla pewnej damy i jej syna. Goście ci nie będą mieli z pewnością nic przeciwką temu, aby podzielić się z paniami swoim śniadaniem. To są osoby z towarzystwa.

Zaledwie dokończył tego frazesu, biedny gospodarz uczuł śmięnięcie biczem po plecach; obrócił się gniewnie w tył i obaczył za sobą małego, przysadkowatego człowieczka, który wyszedł cichym krokiem z sąsiedniej izdebki a którego pojawienie się zmroziło strachem oberżystę, tłustą jego małżonkę i kuchcika. Oberżysta zbladł. Człowieczek wstrząsnął włosami, które mu zakrywały czoło i oczy, stanął na palcach, aby dosięgnąć do uszów gospodarza i rzekł mu:

— Wiesz, co znaczy nieostrożność i denuncyacya, wiesz, jaką monetą płacimy za nią. Jesteśmy wspaniałomyślni.

Do słów tych dołączył giest, który oberżystę wydał się straszliwym komentarem. Jakkolwiek Fanszeta nie mogła dostrzedz osoby nieznanego, którą pokryła przestronna tusza gospodarza, przecież podchwyciła parę wyrazów, przezeń wymówionych półgłosem i stanęła jak rażona piorunem, usłyszawszy ochryply akcent bretoński.

Wśród ogólnego przerażenia podbiegła w stronę, z której głos wychodził, ale mały człowieczek, którego ruchy przypominały szybkością swoją ruchy dzikiego zwierza, zniknął już we drzwiach głównych wychodzących na podwórze. Fanszeta zmuszoną była przypuścić, że słuch ją omylił, dostrzedz bowiem tylko zdołała brudną, szarą, czarniawą skórę niedźwiedzia średniego wzrostu. Zdziwiona pobiegła do okna i przez szyby pożółkłe od dymu poczęła przyglądać się nieznajomemu, wlokącemu się powolnym krokiem ku stajni. Nim wszedł jednak do niej, odwrócił się, spojrział uważnie wyrazistemi czarnemi oczyma na pierwsze piętro karczmyska a stąd skierował wzrok swój na powóz pocztowy, jakby pragnął w ten sposób dać znak swojemu współnikowi i zakomunikować mu wzrokiem ważne jakieś spostrzeżenie co do powozu.

Dzięki temu ruchowi, który pozwolił Fanszecie dojrzeć twarz tego człowieka, poznała nareszcie w nim po ogromnym bacie i chodzie kaczkowatym, chociaż niezmiernie zwinnym w razie potrzeby, Marche-a-Terre'a. Ciemności panujące we wnętrzu stajni, do której wszedł, utrudniały jej badanie; dostrzegła jednak, że położył się tam na słomie w taki sposób, iż mógł śledzić wszystko, co się działo w oberży. Marche-a-Terre zwinął się w kłębek tak, że czy zdaleka czy zbliżka, można go było wziąć za dużego czarnego psa, jaki zwyczajnie towarzyszy woźnicom furgonów po gościńcach francuskich, śpiącego, zwyczajem swoim z mordą na łapach wspartą. Postępowanie Szuana przekonało Fanszetę, iż jej nie poznał. W trudnych warunkach, w jakich znajdowała się jej pani, dziewczyna nie wiedziała, czy się ma z tego cieszyć, czy smucić. Tajemniczy jednak związek, który istniał pomiędzy groźną uwagą Szuana i propozycją oberżysty, dość jednak zwyczajną u karczmarzy, chętnych zawsze do wyciągania podwójnego zysku, zaciekał ją mocno.

Opuściła więc brudną i zatłuszczoną szybę, przez którą śledziła bezkształtną czarną bryłę, wyobrażającą Marche-a-Terre'a, i zwróciła się ku gospodarzowi, stojącemu w pozycji studenta, złowionego na gorącym uczynku swawoli i nie wiedzącego jakby się wytłomaczyć z występku. Giest Szuana zmroził go strachem. Nikomu na zachodzie Francyi obcemi nie były okrucieństwa, z jakimi „strzelcy królewscy“ karali ludzi, posądzonych o niedyskrecję; to też nieszczęśliwy gospodarz czuł już ostrze ich nożów na swoim gardle. Z przerażeniem patrzył więc oberżysta w gorejące ognisko przypominając sobie, iż nieraz Szuanie przy takich ogniskach przygrzewali nogi pochwycionych donosicieli i szpiegów. Mała, okrągłutka jego żona trzymała w jednej ręce nóż, w drugiej ziemniak, do połowy przekrojony, i nieruchoma, jakby zamieniona w słup soli, wlepiła

oczy w również nieruchomą postać męża. Kuchcik nareszcie szukał myślą sekretu, nieznanego mu, tej milczącej paniki.

Ciekawość Fanszety wzmogła się wśród niemiej sceny, której główny aktor, choć nieobecny, wszystkim stał przed oczyma. Dziewczynie podobała się ta straszna potęga Szuana i chociaż w skromnym jej charakterze nie leżała właściwa pokojówkom złośliwość, zanadto czuła się tym wszystkim zajęta, ażeby nie skorzystać z dobrej sposobności.

— Panienska przyjmuje waszą propozycję, gospodarzu — rzekła poważnie do oberżysty, na którym słowa te uczyniły takie wrażenie, jak na śpiącym strzał z pistoletu, dany tuż nad uchem.

— Jaką? — zapytał nieprzytomny.

— Jaką? — powtórzył wchodzący do izby Korentyn.

— Jaką? — zapytała panna de Verneuil.

— Jaką? — zapytał wreszcie głos czwarty, wychodzący z ust osoby, która w tej chwili z ostatniego schodu lekką stopą wskoczyła do kuchni.

— Propozycję zjedzenia śniadania wspólnie z temi dystygowanymi osobami, o których mówiliście przed chwilą! — wykrzyknęła zniecierpliwiona Fanszeta.

— Dystygowanymi! — podchwycił z ironią i złośliwością schodzący ze schodów młodzieniec. — Wydaje mi się to lichym żartem, kochanku, mówiąc wogóle, ale jeżeli masz zamiar dać nam za towarzyszkę tę młodą obywatelkę, to wyjątkowo trzeba by waryata, aby odmówić! — dodał, spoglądając na pannę de Verneuil. W nieobecności i w imieniu mojej matki przyjmuję! — wykrzyknął, uderzając ogłupiałego oberżystę po ramieniu.

Trzpiotowatość młodzieńca pokrywała nieco doniosłość wymówionych słów, które zwróciły uwagę wszystkich uczestników tej sceny na niego. Oberżysta miał teraz minę Piłata, umywającego ręce po osądzeniu Chrystusa. Cofnął się o dwa kroki ku żonie i szepnął jej do ucha:

— Biorę cię za świadka, że jeżeli się stanie jakie nieszczęście, nie jestem temu winien. W każdym razie — dodał jeszcze ciszej — uprzedź lepiej o tym wszystkim pana Marche-a-Terre.

Młody człowiek, który swém wystąpieniem nanowo zawikłał sprawę, był wzrostu średniego. Miał na sobie frak błękitny. Wyssokie czarne kamasze sięgały mu powyżej kolan, okrywając sukienne, również błękitne spodnie. Prosty ten skromny mundur bez szlif nosili wychowañcy szkoły politechnicznej. Jednym rzutem oka panna de Verneuil umiała ocenić pod zwyczajną tą suknią piękność noszącego ją mężczyzny i dostrzedz ten rys nieokreślony, który zdradzał wyższe urodzenie. Dosyć pospolita z pozoru twarz mło-

dzieńca zwracała jednak uwagę pewnemi odcieniami, w których malowała się zdolność do wielkich czynów. Cera ciemna, włosy blond, wijące się w pukle, oczy niebieskie błyszczące, nos kształtny, ruchy pełne swobody, wszystko w nim zresztą zdradzało życie, ulegające wpływom wzniosłych uczuć, a charakter, nawykły do rozkazywania. Najcharakterystyczniejszym wszakże symbolem jego inteligencji był podbródek à la Bonaparte i dolna wargę ust, która łączyła się z górną rzutem linii, przypominającym liść wyrzeźbiony pod kapitelem koryneckim. Natura w te dwa rysy włożyła wdzięk niepokonany.

— Ten młodzieniec dziwnie jest dystygnowany, jak na republikanina — zauważyła w myśli panna de Verneuil.

Spostrzedz odrazu to wszystko, ożywić się chęcią podobania się, pochylić lekko głowę na bok, uśmiechnąć się z kokieteryą, rzucić jedno z tych spojrzeń aksamitnych, które budzą serca zamarte dla miłości, przystąpić ogień swych pięknych czarnych oczu powiekami, których gęste rzęsy zarysowały na policzkach linię cieniu, i wydobyć najśłodsze brzmienie głosu dla okraszenia przemijającym wdziękiem najzwyczajniejszej odpowiedzi „bardzo jesteśmy panu wdzięczne”: wszystko to wymagało mniej czasu, aniżeli go zajął ten mój opis.

Następnie panna de Verneuil, zwracając się do oberżysty, kałała sobie wskazać przeznaczony dla niej pokój i udając się we wskazanym kierunku, znikła razem z Fanszetą na schodach. Pozostawiła młodzieńcowi trud odgadnięcia, czy odpowiedź ta oznaczała odmowę albo przyjęcie zaprosin.

— Kto jest ta kobieta? — zapytał żywo student politechniki głupiejącego coraz bardziej oberżystę.

— Jest-to obywatelka Verneuil — odpowiedział cierpko Korentyn mierząc młodzieńca zazdrośnem okiem — dawniej szlachcianka. Czego chcesz od niej?

Nieznamy, który nucił swobodnie jakąś piosnkę republikańską, podniósł dumnie głowę i spojrzał prosto w oczy Korentynowi. Dwaj młodzi ludzie patrzyli tak na siebie przez chwilę, jak dwa koguty gotujące się do walki. Ze spojrzenia tego wytrysła wieczna nienawiść. O ile niebieskie oko wojskowego było czyste i szczere, o tyle zielona żrenica Korentyna zionęła złośliwością i fałszem. Pierwszy wrodzone miał maniere szlachetne, drugi niezręcznie udawał, że je posiada; pierwszy byłby przeskoczył baryerę na swęj drodze, drugi przecisnąłby się pod nią; pierwszy nakazywał uszanowanie, drugi starał się je zdobyć; hasłem pierwszego mogło być: „zwyciężajmy!“, hasłem drugiego: „podzielmy się!“

— Czy jest tu obywatel du Gua-Saint-Cyr? — zapytał wcho-
dzący wiesniak.

— Jestem! czego chcesz? — rzekł podchodząc ku niemu mło-
dzieniec.

Wiesniak skłonił się nisko i wręczył mu list, który politechnik
wrzucił do ognia po przeczytaniu. Za całą odpowiedź skinął
głową.

Wiesniak odszedł.

— Jedziesz zapewne z Paryża, obywatelu? — rzekł Korentyn,
zblizając się ku młodzieńcowi ruchem, któremu pragnął nadać wyraz
swobody, z miną przyjazną i towarzyską, która wszakże odrazu
wydała się nieznośną obywatelowi du Gua.

— Tak — odpowiedział sucho.

— I pewno świeżo otrzymałeś stopień oficerski w artylerji?

— Nie, obywatelu, w marynarce.

— A więc jedziesz do Brestu? — badał dalej Korentyn tonem
swobodnym.

Ale młody marynarz wykręcił się lekko na obcasach swoich
trzewików i, wymijając odpowiedź, oddał się z wielkiem przejęciem,
takięj czynności, któraby robiła nadzieję, jakie na widok jego mę-
skiej twarzy roila sobie panna de Verneul. Zajął się mianowicie
przygotowaniem do śniadania z ciekawością prawie dziecinną; wy-
pytywał kucharza i gospodynię o ich kulinarne sekreta, dziwił się
zwyczajom prowincjonalnym, jak prawdziwy Paryżanin, ten ślimak
wydarty ze swęj czarownęj muszli; okazywał przytęm wybredność
jakięby się nie powstydzila najkapryśniejsza kobieta, i w tych dro-
biazgach okazał charakter słaby tęg jaskrawięj, im postać jego
marsowa i ruchy swobodne kazały więćej przypuszczać w nim
siły. Korentyn uśmiechnął się z politowaniem, patrząc, jak oficer
skrzywił się, kosztując najlepszego cydru normandzkiego.

— Pfe! — zawołał du Gua — jak wy to możecie przełknąć,
moi drodzy? Ależ tym napojem i najeśby się można odrazu.
Rzeczpospolita ma słusznosc, że nie pokłada zaufania w prowincyi,
w której napój wyrabiają cepami a na drogach publicznych z zauf-
ków strzelają do ludzi. Nie stawiajcie nam przynajmniej na stole
karafki tego lekarstwa. Dajcie wina — niech będzie Bordeaux
czerwone albo białe! A idźcież tam zobaczyć, czy ogień się do-
brze pali na kominku. Ci poczciwi ludziska wydają mi się bardzo
zaco fanami w cywilizacyi... Ach! — dodał po chwili z westchnie-
niem — niema to na świecie, jak Paryż! Szkoda tylko, że go na
morze wziąć ze sobą nie można!... — Co ty robisz, niezdaro! —
Jakże możesz do tęg potrawy z pulard nalewać octu, kiedy tu oto
masz cytrynę. Co zaś do was, tłusciutka gospoziu, to także nie

spisujesz mi się! Dalaś mi prześcieradła tak grube i tak ostre, że nie mogłem oka przez całą noc zmużyć.

Następnie zaczął się bawić laseczką i, wywijając nią na różne strony, wykonywał rozliczne ewolucje, w których większa lub mniejsza zręczność była oznaką wyższego lub niższego stopnia w hierarchii złotej młodzieży.

— I to takimi gagatkami — zauważył z cicha Korentyn zwrócony do gospodarza — zamysłają podnieść i uszlachetnić marynarke Rzeczypospolitej?

— Ten człowiek — mówił w tej samej chwili marynarz do ucha gospodyni — jest niezawodnie agentem Fouché'go. Policyę ma na twarzy wypisaną, i przysięgłbym, że plamka, jaką ma na podbródku, to ślad błota paryskiego... Ale czém tłustsza mysz, tém lepszego warta kota.

W téjże chwili weszła do izby dama, ku której marynarz podbiegł natychmiast ze wszystkimi oznakami najgłębszego szacunku.

— Przybywaj, droga mateczko — zawołał. — O ile mi się zdaje, przez czas twojej nieobecności zyskałem współbiedników do zamówionego śniadania.

— Współbiedników? — zagadnęła — cóż-to znów nowego?

— Jest-to panna de Verneuil — szepnął jej do ucha.

— Ale co mówisz! — odparła matka — panna de Verneuil zginęła na rusztowaniu w sprawie Saveneya.

— Mylisz się pani — wtrącił z wymuszoną układnością Korentyn, kładąc nacisk na wyraz „pani“ — było dwie panny de Verneuil. Jak pani wiadomo, wszystkie wielkie rodziny mają zawsze kilka pobocznych linii.

Dama, zdziwiona tém spoufaleniem, odstąpiła o kilka kroków wstecz, jakby chciała przyjrzeć się nieproszonemu i niepytanemu uczestnikowi rozmowy; zatrzymała na nim przez chwilę czarne swoje oczy, pełne téj roztropności tak naturalnej u kobiet, i zdawała się namyślać, jakiby niezajomy ten człowiek miał interes w tak stanowczém potwierdzeniu istnienia panny de Verneuil.

W tymże czasie Korentyn, który zpod oka przyglądał się kobiecie uchodzącej za matkę młodego marynarza, zdążył ogołocić ją w umyśle swoim z praw macierzyńskich do młodzieńca i zastąpić je prawami miłości.

Nie wierzył on w dwudziestoletniego syna kobiety, której świetna cera, brwi gęste jeszcze, półkoliste, rzęsy pełne i długie podziw i uwielbienie w nim budziły, i której obfite czarne włosy, rozdzielone nad czołem, świadczyły o młodości téj twarzy, pełnej wdzięku i dowcipu. Lekkie zmarszczki czoła nie zdawały się oznaczać

brzd wieku, ale przeciwnie, siłę młodych namiętności. Wreszcie — tak sobie pomyślał — jeżeli blask tych oczu jest nieco przyćmiony, nie można ręczyć, czyli to ślad znużenia w podróży, czy też obfitego czerpania z czary rozkoszy? Nakoniec zauważył Korentyn, że dama ta miała na sobie okrycie z materyi angielskiej i że forma jej kapelusza, prawdopodobnie zagranicznego, nie miała żadnego podobieństwa z formą *à la grecque*, która panowała podówczas w Paryżu.

Korentyn należał do tych istot, które z charakteru swego zawsze bywają skłonne do podejrzwania u ludzi raczej złego, niż dobrego, zwątpił natychmiast o „obywatelskość“ obojga podróżujących.

Ze swojej strony dama, która również szybko dokonała przeglądu osoby Korentyna, zwróciła się ku synowi z miną, która wytlumaczyłaby się dała pytaniem: Kto jest ten oryginał? Czy on z tej samą, co i my, gliny?

Na to nieme pytanie, marynarz odpowiedział w ten sam sposób spojrzeniem, ruchem i gięstem: Nie wiem sam, słowo daję! jest mi on więc jeszcze podejrzanym, niż tobie.

Następnie, pozostawiając matce trud odgadnięcia tajemnicy, zwrócił się do gospodyni i rzekł jej do ucha:

— Dowiedźcie się też, co-to jest za bałwan, czy on na prawdę towarzyszy pannie de Verneuil i w jakim celu?

— A więc jesteś pewnym obywatelu — zapytała pani du Gua Korentyna — że panna de Verneuil żyje?

— Żyje ona z krwią i kośćmi, *pani*, jak żyje obywatel du Gua Saint-Cyr.

Odpowiedź ta mieściła w sobie głęboką ironię, której nikt od osoby nią dotkniętej, poznać i odczuć nie mógł. Każda inna zmieszalaby się z pewnością. Syn też jej spojrzał bystro na Korentyna, który z najspokojniejszą miną wyjmował zegarek, zdając się nie zważać na wrażenie, jakie wywołał.

Pani du Gua zaniepokojona i niepewna, czy odpowiedź była dziełem przypadku, czy też w istocie tchnęła świadomą złośliwością, rozpoczęła dalszą rozmowę z Korentynem.

— Mój Boże! — rzekła — jak też drogi są teraz niepewne w naszym kraju. Powyżej Mortagne na publicznej drodze napadli nas Szuanie. Syn mój o mało nie został na placu, dwie kule przeszły mu kapelusz.

— Jako? więc państwo znajdowaliście się w dyliżansie, który rabusie złupili, pomimo eskorty, i który nas teraz przywiózł? A więc państwo musicie znać tę karekę! A mnie mówili, gdy przejeżdżał przez Mortagne, że Szuanie napadli na powóz w sile

dwóch tysięcy ludzi i że wszystko zginęło, nawet podróżni. Otóż to w taki sposób wkradają się błędy do historii!...

Ton swobodny i mina głupowata, jaką przybrał Korentyn, mówiąc to, czyniły go podobnym do bywalca małej kawiarni prowincjonalnej, który się przekonywa z boleścią, że nowy kierunek polityki zewnętrznej jest błędnym.

— Niestety! pani — mówił dalej — jeżeli już zabijają podróżnych i poczytu tuż pod Paryżem, cóż stąd wnosić należy o bezpieczeństwie dróg Bretanii! Na honor, wolę wrócić do Paryża, niż puszczać się w dalszą podróż.

— Czy panna de Verneuil jest młoda i ładna? — zapytała dama, zwracając się do gospodyni pod wpływem nagle zbudzonego podejrzenia.

W téjże chwili przerwał rozmowę oberżysta, zawiadamiając, że śniadanie podano.

Młody marynarz podał niezwłocznie ramię swéj matce z poufałością nieco przesadną, co jeszcze bardziej utwierdziło Korentyna w jego domysłach.

Wstąpiwszy na wschody, du Gua odwrócił się i rzekł szorstko do Korentyna:

— Obywatelu! jeżeli towarzyszysz istotnie pannie de Verneuil, i jeżeli ona przyjęła zaproszenie do wspólnego stołu, to i ciebie prosimy. Zresztą zrób, jak ci wygodniej.

Chociaż i dobór słów i sposób ich wymówienia nie nazbyt były zachęcające, Korentyn poszedł za niemi. Młody człowiek ścisnął ukradkiem rękę kobiety i szepnął jéj do ucha: — Oto widzisz pani, na jakie niebezpieczeństwa narażają nas twoje nierozsądne wybryki. Jeżeli nas odkryją, jak się stąd wydobędziemy? I jaką ja tu gram dziwną rolę!

Wszystko troje weszli do izby dość obszernej. Nie trzeba było wiele podróżować po zachodzie Francyi, ażeby poznać odrazu, że oberżysta cudów dokazał i że dla przyjęcia swych gości roztoczył wszystkie skarby, jakie posiadał, rozłożył cały dobytek, na jaki się mógł zdobyć. Stół był starannie nakryty. Ciepło, wychodzące z ogniska na wielkim kominie, wypędzało wilgoć z pokoju. Wreszcie bielizna, krzesła i obicia nie były zbyt brudne. To téż Korentyn łatwo zauważył, że oberżysta dla przypodobania się swoim gościom przeszedł, jak-to mówią, sam siebie.

— A więc — pomyślał sobie — ci ludzie nie są tém, za co uchodzić pragną. Ten młokos, to przebiegła sztuka... Z początku brałem go za głupca, ale przekonywam się, że on ma tyle sprytu, co ja sam....

Marynarz, jego matka i Korentyn oczekiwali na pannę de Verneuil, którą gospodarz poszedł zawiadomić o gotowém śniadaniu

Piękna podróżna jednak nie śpieszyła. Wychowaniec szkoły politechnicznej przeczuwając, że powstać tam musiały jakieś trudności, wyszedł, nucąc pod nosem i skierował kroki swe ku pokojowi, zajmowanemu przez pannę de Verneuil, pragnąc pokonać jej skrupuły i przyprowadzić ją ze sobą do stołu. Może podniecała go ku temu żądza wyjaśnienia trawiących go podejrzeń i wątpliwości, a może pragnął doświadczyć potęgi tego wpływu, jaki każdy przystojny mężczyzna wywierać sobie rości na piękną kobietę.

— No, jeżeli to jest republikanin — pomyślał znowu Korentyn — to niech mię teraz powiesz! Ruchy jego, a zwłaszcza ruch ramion, zdradzają dworaka, nawykłego do królewskich salonów... A ta znowu — myślał spoglądając na panią du Gua — jeżeli ona jest matką jego, to ja jestem, co najmniej, papieżem. Niema wątpliwości, to są Szuanie! Trzeba się tylko przekonać, jakiego kalibru.

Niebawem drzwi się otwały i młody człowiek ukazał się w nich, prowadząc za rękę pannę de Verneuil, którą przywiódł aż do samego stołu z galanterią i grzecznością wyszukaną. Godzina, która upłynęła, nie przeszła daremnie. Piekło nic na niej nie straciło. Panna de Verneuil z pomocą Fanzety uzbroiła się w toaletę podróżną, straszniejszą może jeszcze dla nieprzyjaciela, niż niejeden strój balowy. Skromność jej posiadała ten wdzięk, który wynika ze sztuki, z jaką kobieta dość piękna, aby się mogła obejść bez wszelkich upiększeń, umie strój swój do tyła uprościć, iżby stał się podrzędną tylko piękności jej podporą.

Panna de Verneuil miała na sobie suknię zieloną doskonałego kroju, której stanik, ubrany szamerowaniem i pętlcami, uwydatniał jej kształty z pewną przesadą, dla młodej osoby niezbyt stosowną. Do pięknej figury, jej bogatego biustu i wdzięcznych ruchów stanik ten cudownie przypadał. Weszła z uprzejmym uśmiechem na ustach i z tą pewnością siebie, jaką ma każda kobieta, wiedząca o tém, że przy uśmiechu może w usteczkach różowych pokazać ząbki równe jak perły, przezroczyste jak porcelana, a na policzkach dwa dolki tak świeże, jak u małego dziecka.

Odrzuciwszy kapotkę, która znaczną część jej wdzięków ukrywała przed okiem młodzieńca, mogła użyć swobodnie tych mnóstwa drobnych, napozór nieznaczących sztuczek kokieterii, które są wrzekomo tak naiwne, a któremi zręczna kobieta wydobywa i podziwiać każe wszystkie piękności swojej twarzy i wszystkie wdzięki swjej pięknej głowy. Zgodność, jaka panowała pomiędzy jej manierami a ubraniem, odmładzała ją tak, że pani du Gua, dając jej w myśli swjej lat dwadzieścia, czuła się nader hojną. Zalotność tego stroju, przywdzianego widocznie dla przypodobania się, po-

winna była podsycić nadzieję w młodym człowieku, ale panna de Verneuil ukłoniła mu się, nie spojrzawszy nań nawet, tak lekkim skinieniem głowy i zdawała się nie dostrzegać go z tak dziecinną swobodą, że go tém znowu wszystkich pozbawiła nadziei. Skromne to zachowanie się nie zdradzało ani ostrożności ani kokieterii, ale znamionowało obojętność naturalną lub też udaną. Wyraz słodczy naiwniej, jaki przybrała twarz podróżnej, okrywał ją tém głębszą tajemnicą. Nie okazywała ona żadnego dążenia do obmyślanych zgóry tryumfów i zdawała się posiadać z natury to przyjemne obejście się, które już wyprowadziło w pole i rozdrażniło miłość własną młodego marynarza. To też powrócił on na swoje miejsce przy stole z pewnem niezadowoleniem i jakby nieco urażony.

Panna de Verneuil, wzięwszy Fanszetę za rękę, zwróciła się do pani du Gua :

— Pani — rzekła pieszczonym głosem — czy pani raczysz w swój dobroci pozwolić, ażeby ta panienska, którą uważam raczej za przyjaciółkę, niż za służącą, usiadła z nami razem do stołu? W tych *burzliwych czasach* poświęcenie wynagradza się tylko sercem, które zresztą jedyne nam pozostało.

Pani du Gua na te ostatnie słowa, wypowiedziane prawie półgłosem, odpowiedziała półukłonem, nazbyt może ceremonialnym, który zdradził wrażenie, jakiego doznała, spotykając niespodziewanie tak piękną kobietę. Potém nachylając się do ucha swojego syna, rzekła pocichu:

— Źle jest... Burzliwe czasy, poświęcenie, służąca i pani!... Musi to nie być panna de Verneuil, ale prawdopodobnie jedna z tych dziewczyn, któremi lubi się posługiwać Fouché!...

Współbiednicy mieli już zasiąść do stołu, gdy panna de Verneuil spostrzegła Korentyna, który, stojąc pod oknem, badał dalej wzrokiem panią du Gua i syna jej, zaniepokojonych nieco tém ciągłym śledzeniem ich osób.

— Obywatelu — rzekła — spodziewam się, że okażesz lepsze wychowanie i przestaniesz mi być nieodstępnym towarzyszem. Wysłając rodziców moich na rusztowanie, Rzeczpospolita w swój wspaniałomyślności nie zdobyła się na danie mi opieki. Jeżeli w rycerskiej twej galanterii, niepraktykowanej od średnich wieków, postanowiłeś mi towarzyszyć pomimo mej woli (tu westchnęła jakby mimowolnie), to pozwól, że nie ścierpię, iżby trudy opiekunkcze, któremi się tak obarczasz, miały cię pozbawiać swobody. Idź, gdzie ci będzie lepiej, niż między nami. Mnie tu żadne nie grozi niebezpieczeństwo, możesz mię tu spokojnie zostawić.

Rzuciła nań spojrzenie ostre i pogardliwe. Zrozumiano ją. Ko-

rentyn powściągnął uśmiech, który wykrzywił kąt jego ust złośliwych, i skłonił się jej z uszanowaniem.

— Obywatelko — rzekł — zawsze będę uważał sobie za prawdziwy zaszczyt być ci posłusznym. Piękność jedyną jest królową, której prawy republikanin może służyć.

I odszedł.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, oczy panny de Verneuil błysły radością tak żywą i tak naiwną, spojrzała na Fanszetę, przesyłając jej uśmiech porozumienia z takim wyrazem szczęścia, że w umyśle pani du Gua, w której poczynwały się budzić już zazdrość i niedowierzanie, naiwnością tą rozproszyła wszystkie podejrzenia i obawy, jakie się w niej na widok niezwykłej i doskonałej piękności panny de Verneuil wzbudziły.

— Kto wie, a może to istotnie panna de Verneuil? — rzekła pocichu do syna.

— A eskorta? — zauważył również pocichu młodzieniec, który w skutek zawodu w nadziejach co do panny de Verneuil stał się rozważniejszym. — Czy jest ona więźniem pod strażą, czy też otacza ją straż honorowa? Czy-to przyjaciółka, czy wróg rządu?

Pani du Gua mrugnęła oczyma na znak, że postara się wyswiełcić tę tajemnicę. Tymczasem odejście Korentyna uśmierzyło nieco obawy młodego człowieka, którego twarz straciła surowy swój wyraz. Rzucił spojrzenia na pannę de Verneuil, które dowodziły raczej skłonności ogólnej do kobiet, aniżeli pierwszych trosk budzącego się uczucia. Młoda kobieta okazywała tém większą oziębłość i wszystkie grzeczne słówka zwracała do pani du Gua. Marynarz gniewał się o to w duchu i postanowił walczyć z nią tąż samą bronią, udawać nawzajem obojętność.

Panna de Verneuil zdawała się nie uważać na to wcale i okazała się swobodną bez bojaźliwości, skromną bez pruderyi. To spotkanie się osób, których, jak się zdawało, przeznaczeniem nie było wejść ze sobą w bliższe stosunki, nie obudziło też żadnych żywszych sympatyj. Towarzystwo całe było więc nieco sobą zakłopotane, i ten obopólny brak zaufania psuł całą przyjemność, jaką obiecywali sobie ze spotkania przy wspólnym stole tak panna de Verneuil jak i młody marynarz.

Kobiety jednak posiadają ten takt, godny podziwienia, lub też tak niepohamowane pragnienie wzruszeń, że umieją zawsze w takich wypadkach przełamać lody. I tu więc, ni-stąd-ni-zowąd, samo z siebie przyszło do tego, że dwie te piękne kobiety, jakby jedną potracone myślą, poczęły niewinnie żartować ze swego wspólnego i jedynego towarzysza, współzawodnicząc zarówno w dowcipkowaniu z niego jak i w dogadzaniu mu we wszystkim. Ta jedność

myśli powróciła im swobodę. Słowo lub spojrzenie, które przedtém zwróciłoby uwagę, wśród żartów przechodziło niepostrzeżenie. Krótko mówiąc, dwie te kobiety, przed chwilą skryte wrogi, w pół godziny wydawały się najserdeczniejszymi przyjaciółkami. Młody marynarz jednak nie odzyskał ani humoru, ani swobody, miał on do panny de Verneul taką samą pretensję za jej swobodne i wesołe usposobienie, jaką przed chwilą miał za obojętność. Tak mocno go to drażniło, że począł wyrzucać sobie przyjęcie wspólnego śniadania.

— Proszę pani — rzekła panna de Verneuil do pani du Gua — czy syn twój zawsze tak smutny, jak dzisiaj?

Marynarz pośpieszył z odpowiedzią.

— Pytałem siebie w tej chwili, co warto jest szczęście, które nas opuszcza. Tajemnica mego smutku tłumaczy się siłą przyjemności, jakiej doznaję.

— Ależ to są madrygały — odparła śmiejąc się — które czułałbyś w dworskim salonem, niż szkoła politechniczną.

— Wyraził on tylko myśl nam obojgu wspólną a przytém bardzo naturalną — dodała pani du Gua, która miała swoje powody w ugłaskaniu i przyswojeniu nieznajomej.

— No! śmieję się pan — zawołała panna de Verneuil z miłym uśmiechem do młodzieńca. — Jakież pan być musisz, gdy płaczesz, jeżeli to, co się panu szczęściem nazywać podoba, tak pana zasnuca.

Ten uśmiech, dodany do spojrzenia zaczepnego, wróciły trochę nadziei młodzieńcowi. Ale ulegając naturze, która skłania kobietę zawsze do zbyt znacznej powściągliwości albo zbyt znacznej otwartości, panna de Verneuil zdawała się teraz ośmielać młodzieńca spojrzeniem, w którym błyszczały obfite obietnice miłości, to znów po chwili na gorętsze jego odezwania się wylewała zimną wodę surowej obojętnej powściągliwości. Jestto zresztą zwykły sposób, jakiego używają kobiety dla ukrycia swoich wzruszeń. Raz tylko w jedną chwilę, gdy oboje sądzili nawzajem o sobie, że powieki ich są spuszczone, jednem spojrzeniem zakomunikowali sobie prawdziwe swoje myśli, ale za chwilę już spojrzenia te zaćmiły się, i to tak szybko, jak błysnęły te blaski, które oświecając ich dusze, wstrząsnęły niemi do głębi. Wstydząc się, że sobie tak wiele w jednym rzucie oka powiedzieli, nie śmieli więcę spojrzeć na siebie. Panna de Verneuil niezadowolona, że nieznajomego sobie młodzieńca wyprowadziła tępem spojrzeniem z błędu, wróciła do zimnej grzeczności i zdawała się nawet oczekiwać powstania od stołu z niecierpliwością.

— Musiałaś pani bardzo cierpieć w więzieniu — zagadnęła ją pani du Gua.

— Niestety, pani! dotąd jeszcze zdaje mi się, że jestem uwieziona.

— Czy towarzysząca pani eskorta ma na celu obronę jęj czy też nadzór nad panią? Jesteś pani drogą Rzeczypospolitęj, czy też jęj podejrzaną?

Panna de Verneuil instynktowo przeczuła, że niewiele przyjaźni od pani du Gua spodziewać się może. Strwożyła się więc tém pytaniem.

— Pani — odpowiedziała po chwili, nie wiem doprawdy, jakieęj natury są w tęj chwili stosunki moje z Rzecząpospolitą.

— Może drży ona przed panią — wtrącił młody człowiek z ironią.

— Dlaczegoż nie mamy uszanować sekretów panny de Verneuil — zauważyła pani du Gua.

— O pani! tajemnice młodeęj kobiety, która w życiu poznała tylko nieszczęścia i smutki, nie są wcale ciekawe.

— Ale — ciągnęła dalej pani du Gua, nie chcąc przerwać wątku rozmowy, z której mogła dowiedzieć się tego, czego pragnęła, pierwszy konsul zdaje się mieć obecnie wyborne zamiary. Podobno, jak mi mówiono, pragnie on zawiesić dekreta przeciw wychodźcom?

— To prawda — odrzekła zbyt może pochopnie — ale w takim razie dlaczego podburzamy Wandę i Bretanię? Na cóż podpalamy Francję?

Szlachetny ten wykrzyknik, którym zdawała się sama siebie obarczać wyrzutem, silne wywarł wrażenie na marynarzu. Spojrzał uważnie na pannę de Verneuil, ale nie mógł odkryć w jęj twarzy żadnego wyrazu. Cera ta, której koloryt świadczył o delikatności błony, nie dawała się przeniknąć. Te trudności bardzieęj jeszcze podrażniły młodzieńca i tém silnieęj przywiązywały go do kobiety, do której pociągały go już wdzięki.

— Czy pani, jeżeli wolno spytać, jedziesz do Mayenny? — zapytała po chwili sąsiadkę panna de Verneuil.

— Tak, pani — odpowiedział za matkę młodzieniec, zwracając ku nięj wzrok pytający.

— A więc — ciągnęła dalej panna de Verneuil — ponieważ syn pani służy w armii Rzeczypospolitęj (wymówiła te słowa niby obojętnie, ale rzuciła przytęm na nieznanomych jedno z tych spojrzeń przelotnych, jakie właściwe są tylko kobietom i dyplomatom) musicie się państwo obawiać Szuanów. W takim razie silna

eskorta jest rzeczą nie-do-pogardzenia. Jesteśmy już prawie towarzyszami podróży, jedźmy więc razem do Mayenny.

Syn i matka zawahali się. Widocznie naradzali się wspólnie wzrokiem.

— Nie wiem, pani — odpowiedział młody człowiek — czy jest to z méj strony dosyć ostrożnie wyznać, że interesa wielkiej wagi wymagają obecności naszej téj nocy w okolicy Fougères i że dotąd nie znaleźliśmy środków transportu, ale kobiety są z natury tak szlachetne, że wstydziłbym się nie mieć do pani zaufania. Niemniej — dodał — zanim się oddamy w ręce pani, chcielibyśmy wprzód wiedzieć, czy się stamtąd będziemy mogli wydostać cali i zdrowi? Czy pani jesteś królową czy niewolnicą swojej eskorty? Wybacz pani tę otwartość, ale wyznam pani, że w położeniu ję widzę coś nienaturalnego...

— Żyjemy w czasach, w których nic z tego, co się robi, nie jest naturalnem. Wiercie mi państwo, że możecie przyjąć moję ofiarę bez skrupułu, nie obawiając się żadnej zdrady w téj propozycji uczynionej przez kobietę, która nie przejmuje się politycznemi sympatjami ani nienawiściami.

— Podróż taka wspólna nie będzie wolną od niebezpieczeństw — rzekł młodzieniec, wzrokiem nadając odpowiedzi téj znaczenie, jakiego mieć się nie zdawała.

— Czyż pani się boisz jeszcze? — zapytała z ironicznym uśmiechem — ja nie widzę niebezpieczeństwa dla nikogo.

— Czyż kobieta, która to mówi, jest tą samą osobą, której spojrzenie zdradzało przed chwilą tyle pokrewnych z mojemi namietnościami? — pomyślał w duchu marynarz. Coś w tém jest. Miejmy się na baczności.

W téjże chwili krzyk ostry i przenikliwy pubacza, który zdawał się pochodzić ze szczytu komina, zahuczał w powietrzu, jakby sygnał ostrzegający.

— Co to jest? — zawołała panna de Verneuil. To niedobra wróżba dla naszej wspólnej podróży. Cóż-to za dziwne puszczyki, które w biały dzień krzyczą? — dodała z gięstem zdumienia.

— Czasami to się zdarza — zauważył ironicznie młody człowiek. A może też — dodał — my pani przyniesiemy nieszcześć? Czy nie to pani na myśl przyszło? Jeżeli tak, to lepiej nie jedźmy razem.

Słowa te wyrzekł z takim spokojem i naturalną delikatnością, że panna de Verneuil uczuła się ich akcentem zdziwioną.

— Panie — odrzekła z arystokratyczną, wyzywającą grzecznością — ja wcale nié mam zamiaru zmuszać państwa do czegokol-

wiek. Zachowajmy te resztki wolności, jakie nam pozostawia rzeczpospolita. Gdyby pani była sama, to co innego: wtedy nalegałabym...

Ciężkie kroki — zapewne wojskowego — rozległy się w korytarzu i komendant Hulot ukazał się we drzwiach z miną wcale niezachęcającą.

— Chodź-że, chodź, kochany szefie — zawołała panna de Verneuil, wskazując mu krzesło przy sobie. — Ale uśmiechnij-że się! Co ci jest? Czy Szuwanie nachodzą miasto?

Komendant dziwnie się zmieszał na widok młodego człowieka i począł mu się bystro przyglądać.

— Mateczko, może jeszcze kawałek zająca? A pani nic nie je? — pytał z całą swobodą marynarz w swęj pieczołowitości o współbiesiadników.

Ale zdziwienie Hulota i zachowanie się panny de Verneuil miało w sobie coś strasznie poważnego, czego pominąć i lekceważyć nie można było.

— Co ci to, obywatelu komendancie? Czy może znasz mię skądkolwiek? — zagadnął marynarz.

— Być może — odparł treściwie republikanin.

— I mnie się zdaje, że cię widziałem w szkole.

— Nigdy nie chodziłem do żadnej szkoły! — krzyknął szorstko komendant. — A z jakiej szkoły ty wychodzisz, obywatelu?

— Z politechniki.

— Aha! z tych koszar, w których chcą wyrabiać żołnierzy w buduarach! — zawołał komendant, którego wstręt do oficerów, wyszłych z tego zakładu, był nieuleczonym. A w jakiej broni słyszysz?

— W marynarce.

— A! — wykrzyknął Hulot z uśmiechem złośliwym. — Ilu też macie takich, co z politechniki poszli do marynarki? Z tej szkoły — dodał poważnie — wychodzą tylko na oficerów inżynierzy i artylerzy.

Młodzieniec nie zmieszał się wcale tą uwagą.

— Ja stanowią wyjątek z powodu nazwiska, jakie noszę. Wszyscy moi przodkowie służyli w marynarce.

— A jakież to twoje nazwisko, obywatelu?

— Du Gua Saint-Cyr.

— Więc nie zostałeś zamordowany w Mortagne?

— A! mało brakło! — podchwyciła pani du Gua. — Syn mój miał kapelus z dwoma strzałami przeszyty.

— A masz ty papiery w porządku? — zapytał Hulot syna, nie słuchając matki.

— Czy masz ochotę je przeczytać? — zapytał impertynencko marynarz, którego przenikliwe, niebieskie oczy badały naprzemian surową twarz komendanta i piękną twarzyczkę panny de Verneuil.

— Co! i taki smarkacz śmiałyby mię nudzić! No, dawaj papiery! a jeżeli nie, to marsz ze mną!

— No, no, nie trzeba się srożyć! Ja znów nie jestem taki trwożliwy! Najprzód nie wiem, z kim mówię, i czy mam obowiązek odpowiadać. Któż ty jesteś?

— Ja jestem komendantem departamentu! — krzyknął Hulot.

— O! jeżeli tak, to co innego. Zaliczą mnie do bardzo ciężkiej kategorii kary, bo wezmiesz mię z bronią w rękę! — I wyciągając rękę, podał komendantowi kieliszek wina.

— Nie chce mi się pić! — wołał, coraz bardziej niecierpliwiąc się, Hulot. — Prędkiej, pokaż papiery!

W tej chwili szcęk broni i odgłos żołnierzy rozległ się w podwórzu. Hulot zbliżył się do okna i miał minę zadowolnionego z siebie. Panna de Verneuil zadrżała. Ten dowód sympatii ośmielił młodzieńca. Twarz jego przybrała wyraz dumy i spokoju. Począł szukać w kieszeni swego fraka; wyciągnął z niej elegancki portfel i oddał komendantowi papiery, które Hulot począł uważnie i z wolna czytać, porównyując rysopis z twarzą podejrzanego. Podczas tego badania krzyk puszczyka powtórzył się znowu, ale tym razem nietrudno było zauważyć, że pochodził z gardła ludzkiego. Komendant, usłyszawszy to, oddał młodzieńcowi papiery z miną drwiącą.

— Wszystko to dobrze i pięknie, ale to nic nie pomoże. Musisz pójść ze mną do biura okręgowego. Ja nie lubię muzyki, wcale nie lubię.

— Naco go chcesz prowadzić do biura? — zapytała panna de Verneuil głosem zmienionym i drżącym od przerażenia.

— Moja dziewczeczko — rzekł komendant z właściwem sobie skrzywieniem ust — to nie należy do ciebie.

Rozgniewana tonem i doborem wyrazów starego żołnierza, a jeszcze bardziej rozdrażniona lekceważeniem, jakiego doznała wobec człowieka, któremu się podobać pragnęła, panna de Verneuil podniosła się nagle, skromna jej minka i naiwne pozory, jakie przybierała dotąd, znikły, zarumieniła się, a oczy jej błysnęły ogniem energii.

— Za pozwoleniem, czy ten młody człowiek uczynił zadość wszystkiemu, czego wymaga prawo? — zapytała niby łagodnie, ale z pewnem drżeniem w głosie.

— Tak, napozór przynajmniej — odparł ironicznie Hulot.

— Jeżeli tak, to ja uważam, że powinienes go pozostawić w spokoju, przynajmniej napozór. Czy boisz się, aby ci nie uszedł? czy

będziesz go eskortował aż do Mayenny? Jeżeli tak, to pojedzie w dylizansie, razem z panią, a swoją matką. Bez żadnych uwag!.. Ja tak chcę!.. Co jeszcze? — dodała, widząc, że Hulot krzywi się po swojemu — czy jeszcze znajdujesz go podejrzanym?

— Rozumie się, i bardzo nawet.

— Coż chcesz z nim zrobić?

— Nic, chyba orzeźwić mu nieco głowę szczyptą ołowiu... To sobie trzpiot; trzeba mu tego — odpowiedział ironicznie republikanin.

— Żartujesz, komendancie.

— No, co tam gadać, kolego! — rzekł Hulot, zwracając się do marynarza i dając mu znak głową. — Chodźmy i nie marudźmy!

Na to nowe wyzwanie Hulota panna de Verneuil uśmiechnęła się ze spokojną pewnością siebie.

— Nie słuchaj go, obywatelu! — zawołała, osłaniając młodzieńca ruchem, pełnym godności i dumy.

— O, jakaż ona piękna! — szepnął marynarz do matki, której brwi szybko się ściągnęły.

Na twarzy Paryżanki zaigrały rozmaite uczucia, podrażnione tą sceną, które w nowym świetle przedstawiły imponującą jej piękność.

Fanszeta, pani du Gua, jej syn, wszyscy się podnieśli.

Panna de Verneuil szybkim ruchem stanęła pomiędzy niemi a komendantem, który uśmiechał się nieprzyjemnie, i odpięła dwie pętlice u swego kaftana. Potem, działając pod wpływem tego zaślepienia, które zwykle owłada kobietą w chwilach, gdy miłość własna jej dotkliwie czuje się podrażnioną, a przytém żadna niecierpliwie okazania swęj władzy, jak dziecko, które chce wypróbować zabawkę, jaką świeżo dostało, wyjęła z kieszonki list otwarty i pokazała go Hulotowi.

— Czytaj to, obywatelu! — zawołała, wybuchając tryumfującym śmiechem.

I odwróciła się ku młodzieńcowi, rzucając mu z upojeniem zwycięstwa spojrzenie, w którym złośliwość mieszała się z gorącym wyrazem miłości. Czoła obojga wypogodziły się, radość zarumieniła ich twarze, tysiące różnych myśli, sprzecznych ze sobą, obudziło się w ich głowach.

Pani du Gua z tego jednego spojrzenia odgadła, że pobudką szlachetnego kroku panny de Verneuil była raczej miłość, niż współczucie — i nie pomyliła się wcale. Piękna podróżna dostrzegła badawcze spojrzenie pani du Gua i w pierwszej chwili zarumieniła się i zasłoniła skromnie powiekami oczy, domysłając się, co odgadła

Paryżanka. Niezwłocznie jednak podniosła je znowu dumnie i odważnie spojrzała po wszystkich.

Hulot z przerażeniem zwrócił pannie de Verneuil ów list, kontrasygnowany przez ministrów i nakazujący wszystkim władzom posłuszeństwo dla rozkazów tej tajemniczej osóbk. Wtém wydobył szpadę z pochwy, złamał ją na kolanie i rzucił jej drzazgi na ziemię.

— Musisz wiedzieć zapewne, obywatelko, co robisz i co masz robić, ale każdy republikanin ma swoje przekonanie i swoją dumę — rzekł Hulot. — Ja nie mogę służyć tam, gdzie rozkazują dziewczęta. Pierwszy konsul jeszcze dziś wieczorem otrzyma moją dymisyą. Inni mogą cię słuchać, ale nie Hulot. Tam, gdzie przestają rozumieć, przestają działać, szczególnie, jeżeli obowiązkiem moim jest działać ze zrozumieniem.

Na chwilę zapanowała cisza. Przerwała ją panna de Verneuil, która postępując ku komendantowi, wyciągnęła do niego rękę i rzekła:

— Komendancie, chociaż masz długą i straszną brodę, ale to nic nie szkodzi: pozwalam ci pocałować mą rękę. Jesteś człowiekiem!

— I szczyć się tём — odpowiedział, całując trochę niezręcznie podaną sobie rękę. — A co do ciebie, kolego — dodał, zwracając się do marynarza i grożąc mu — pamiętaj, że z ciasnej wydobyłeś się dziupli.

— Mój komendancie — odparł, śmiejąc się, młodzieniec — dosyć tych żartów. Jeżeli chcesz, pójdę z tobą do biura okręgowego.

— A czy weźmiesz ze sobą twego tajemniczego puszczyka, tego, co go zowią Marche-a-Terre'm?

— Jakiego Marche-a-Terre'a? — zapytał marynarz z oznakami szczerzego zdumienia.

— Czy nie słyszałeś krzyków puszczyka? Czy nie gwizdano przed chwilą?

— To cóż? — odparł marynarz. — Co ma wspólnego gwizdanie i krzyk puszczyka ze mną? pytam się ciebie. Myślałem, że twoi żołnierze, którym tu przyjsć kazałeś dla zaaresztowania mnie, uprzedzili cię w ten sposób o swoim przybyciu.

— Czy naprawdę tak myślałeś?

— Cóżś chciał, żebym myślał innego, dla Boga! Lepiej oto wypróżnij twój kieliszek. To bordeaux jest doskonałe...

Zdziwiony swobodą marynarza w tak krytycznej chwili, młodem wejrzeniem twarzy, której dziecięcego prawie wyrazu dodawały pukle blond włosów, starannie zafryzowane, komendant najrozmaitsze w myśli począł robić przypuszczenia. Zauważył on panią du Gua,

która starała się zgłębić tajemnicę spojrzeń, jakie zamienił jej syn z panną de Verneuil, i nagle zapytał ją:

— Ile masz lat, obywatelko?

— Niestety! panie komendancie, prawa naszej Rzeczypospolitej są wielce okrutne! Mam lat trzydzieści osiem.

— Żeby mię w tej chwili miano rozstrzelać, nie wierzę, nie mogę wierzyć temu wszystkiemu. Marche-a-Terre tu gdzieś jest; on gwizdał; wy jesteście Szuanie... i basta!.. Do pioruna! każę otoczyć karczmę i przetrzęsę ją od piwnic do strychów!..

W tej chwili słowa komendanta przerwało gwizdanie sygnałowe, wielce podobne do poprzedniego. Głos ten zdawał się pochodzić z podwórza. Komendant wybiegł na korytarz i na szczęście nie dostrzegł bladłości, która na ostatnie jego wyrazy pokryła lica pani du Gua. Na podwórzu zobaczył Hulot pocztyliona, który, zakładając konie do karetki, gwizdał sobie spokojnie. Na ten widok podejrzenia go opuściły, tak mu nieprawdopodobném i śmieszném się wydało, aby Szuanie znaleźli się w środku miasta, i wrócił uspokojony.

— Przebaczam mu, ale kiedykolwiek później zapłaci mi on drogo za tę chwilę straszną, którą przeżyliśmy z jego łaski — rzekła stanowczym głosem pani du Gua do ucha synowi, podczas gdy komendant powracał do izby.

Na twarzy poczciwego żołnierza widać było wyraźnie walkę, jaką w umyśle jego staczała wrodzona dobroć z surowością włożonych na niego obowiązków. Zachował ostry wyraz oblicza, może dlatego, że uwierzył w swoją własną omyłkę, i zbliżywszy się powoli do stołu, wziął w rękę kieliszek.

— Daruj mi, kolego — rzekł — ala wasza szkoła przysyła oficerów tak młodych...

— Ale czyż bandyci mają jeszcze młodszych, niż armia? — zapytał z uśmiechem oficer.

— Za kogoż, obywatelu, uważałeś mego syna? — spytała pani du Gua.

— Za dowódcę, którego Szuanom i zbrojcom wandejskim przysyła rząd angielski, który mieni się „Garsem“, a nazywa się margrabią de Montauran.

Komendant jeszcze zpod oka badał, mówiąc te słowa, twarze obu podejrzanych osób, które spoglądały na siebie z przybranym wyrazem, dającym się streścić w dyalogu:

— Czy znasz co podobnego? — Nie. — A ty? — I ja nie! — Więc cóż on nam tu baje? — Śniło mu się! Potem zwykle następuje w takich razach krzykliwy i głośny śmiech głupoty, której się zdaje, że odniosła tryumf.

Nagłą zmianę w obejściu się i pewne osłupienie Maryi de Ver-

neuil, gdy usłyszała nazwisko generała żołnierzy królewskich, zauważyła tylko Fanszeta, dla której zrozumiałemi były najlżejsze i niedostępne dla innych odcienie tej pięknej twarzy.

Hulot, zupełnie już oszołomiony, podniósł z ziemi kawałki swojej szpady, spojrzął na pannę Verneuil, której energiczne wystąpienie mocno ujęło wiarusa, i rzekł:

— Co zaś do nas, obywatelko, już się nie cofam. Jutro połamana moja szpada otrzyma Bonaparte... Chyba że...

— Cóż mnie obchodzi Bonaparte, wasza rzeczpospolita, Szuanie, król i jakiś tam Gars jeszcze! — wykrzyknęła panna de Verneuil, nie mogąc utaić niezbyt przyzwoitego uniesienia.

Nieznane zachcianki lub też namiętność nadawały postaci jej blask tak świetny, że widać było, jak świat cały staje się dla niej niczem od chwili, gdy zobaczyła na nim kogoś jednego... Ale nagle uspokoiła się, jak znakomity aktor, na którym spoczywają wszystkie spojrzenia zachwyconych widzów.

Komendant zerwał się wreszcie z miejsca i wyszedł. Niepokojna i niepewna panna de Verneuil dogoniła go w korytarzu i zapytała tonem bardzo poważnym:

— Powiedz mi teraz, komendancie, czy miałeś istotne powody do podejrzenia, iż ten młody oficer jest właśnie owym przywódcą Szuanów, którego zwą Garsem?

— Do pioruna, panienko! rozumie się, że miałem. Ten, który ci towarzyszy, przyszedł do mnie i doniósł mi, że podróżni i nasz kuryer zostali zamordowani przez Szuanów, o czém już wiedziałem. Ale czego nie wiedziałem, to nazwisk tych pomordowanych. On mi powiedział, że nazywali się oni: du Gua Saint-Cyr!

— Ach! jeżeli tylko Korentyn przyłożył się do tego, to już niczemu się nie dziwię! — zawołała z gościem wstępu.

Komendant oddalił się, nie śmiejąc podnieść oczu na pannę de Verneuil, której wielka piękność i dla niego poczyną być niebezpieczną.

— Gdybym został jeszcze ze dwie minuty, byłbym zrobił głupstwo i zgodził się sam ją eskortować — mówił do siebie, zstępując ze schodów.

Widząc młodzieńca z oczyma utkwionemi w drzwi, któremi wyszła panna de Verneuil, pani du Gua zbliżyła się i szepnęła mu do ucha:

— Zawsze ten sam! Przyczyną twój zguby będzie tylko kobieta. Lalka jakaś może pana tak zająć, że zapominasz o wszystkim. Dlaczego zgodziłeś się na to, aby razem z nami usiadła do stołu? Czyż to może być panna de Verneuil, osoba, która przyjmuje zaproszenia ludzi obcych, którą Błękitni eskortują i która roz-

braja ich jakimś listem zachowanym na wszelki przypadek, jak bi-
lecik miłosny u stanika! Musi to być jedna z tych nędznic, za po-
mocą których Fouché chce pana pochwycić, a list który mu poka-
zała, jest pewno dany na to, aby cię wydać Błękitnym.

— Co pani mówisz — odrzekł młodzieniec cierpkim tonem,
który dotkliwie uczuła kobieta, gdyż nagle zbladła — wszakże
szlachetny jej uczynek zadaje kłam tym podejrzeniom. Pomnij
zawsze, że tylko interes króla nas łączy. Czy u tych stóp, u któ-
rych już klęczał Charette, może uklęknąć jeszcze kto inny? Czy-
liż świat cały, odkąd jego już niema, nie jest dla pani pustym?
Czyż znalazłaś już inny cel w życiu, jak zemstę za niego?

Kobieta stała milcząca i zatopiona w myślach, jak człowiek,
który z brzegu widzi tonące w morzu swoje skarby, i czém bliżej
ich utraty, tém goręcej posiadać je pragnie. Gdy panna de Verneuil
wróciła do pokoju, młody człowiek zamienił z nią uśmiech i spoj-
rzenie figlarne. Jakkolwiek przyszłość wydawała się niepewną,
jakkolwiek przelotny był stosunek, przepowiednie nadziei tém słod-
szemi się im zdawały. Spojrzenie to, choć błyskawiczne tylko, nie
zdołało jednak ująć natężonej uwagi pani du Gua, która je zrozu-
miała. To też czoło jej zmarszczyło się a fiziognomia nie zdołała
ukryć budzących się uczuć zazdrości. Fanszeta pilnie się przyglą-
dała. Widziała ona błyski jej oczu, grę i rumieniec na twarzy.
Zdawało się jej, że widzi jakiś piekielny umysł, nurtujący pod
maską tej twarzy, na której uwydatniły się jakieś straszne walki.
Ale piorun nie jest tak prędkim, ani śmierć tak szybką, jak szyb-
kim był przepływ tych wrażeń przelotnych. Pani du Gua przy-
brała znowu spokojny swój, wesoły wyraz, tak że Fanszeta zwątpi-
ła o swój przenikliwość. Niemniej jednak, odgadłszy w kobiecie
tej gwałtowność, co najmniej równą gorącej krwi panny de Ver-
neuil, zadrżała, przewidując straszne walki, jakie wyniknąć mogły
pomiędzy dwoma umysłami tego rodzaju, i mrowie przeszło ją, gdy
widziała, jak panna de Verneuil, zbliżając się do młodzieńca, patrząc
nań tym wzrokiem namiętnym, który przejawia i upaja, ujęła go za
obie ręce i przyciągnęła ku sobie z gięstem pełnym zalotności.

— A teraz, przyznaj się pan — rzekła starając się czytać w je-
go oczach — pan nie jesteś obywatelem du Gua Saint-Cyr.

— I owszem, pani.

— Ależ i on i jego matka zostali onegdaj zamordowani.

— Bardzo mi to przykro — odrzekł śmiejąc się. — Jakkolwiek
jest jednak, niemniej pani jestem obowiązany i nazawsze zacho-
wam tę wdzięczność w mojem sercu, pragnąc tylko sposobności
okazania jej pani.

— Myślałam, że ratuję emigranta, ale milszym mi pan jesteś jako republikanin.

Słowa te wyrzeczone bez namysłu, jakby przez trzpiotostwo, przeraziły ją samą. Czy jej zdawały się rumienić i już odtąd w całym jej zachowaniu się czuć było jedynie cudowną naiwność uczucia. Zwolna opuściła ręce marynarza i zostawiła go pijanym nadzieją.

Nagle, jakby sama sobie uczyniła wyrzut za tę chwilę zbytcejnej swobody, do której upoważniły ją przypadkowe przygody podróży, powróciła do swego zwykłego tonu pełnego dystynkcji i, ukłoniwszy się obojemu podróżnym, wyszła z izby wraz z Fanszetą.

Gdy weszły do swego pokoju, Fanszeta, załamując ręce i bystro patrząc w swoją panią, zawołała:

— Ach, Maryo! Ileż-to przejść w tak krótkim czasie! tylko ty jedna zdolną jesteś do tego.

Panna de Verneuil porwała się z miejsca, na którym usiadła, i rzuciła się na szyję Fanszety.

— Ach! otóż to się nazywa życie! Teraz jesteś w niebie!

— A może w piekle — odpowiedziała tamta.

— Niechże będzie w piekle! Daj rękę... Patrz, zobacz, przyłóż ją do mego serca... Czujesz, jak bije!... Mam gorączkę... Co mi tam cały świat teraz znaczy... Ileż razy w snach moich i marzeniach widziałam tego człowieka... Jakiż on jest piękny... Jaka głowa cudowna... Co za oczy pełne blasku!...

— A czy będzie cię kochał? — zapytała cichym głosem naiwna wieśniaczka, której twarz przybrała wyraz melancholii i smutku.

— I ty mnie o to pytasz! — odrzekła panna de Verneuil — powiedz sama, Fanszeto — dodała, stojąc przed nią w postawie wpeł poważnej, wpeł żartobliwej — czyżby był tak wybredny!

— To nie! Ale czy będzie kochał zawsze? — zagadnęła z uśmiechem Fanszeta.

Przez chwilę patrzyły na siebie oniemiałe ze zdziwienia: Fanszeta tém, że okazała tyle doświadczenia, Marya, że po raz pierwszy ujrzała przyszłość szczęścia w namiętności. Zatrzymała się więc przez chwilę z odpowiedzią, jak gdyby stała nad przepaścią, której chciałaby zbadać głębię po odgłosie rzuconego bez myśli i zamiaru w jej nurt kamienia.

— To, to już moja rzecz — zawołała z gięstem zapalonego gracza przy ostatniej stawce. Ja nigdy nie mogę i nie będę się litowała nad kobietą zdradzoną. Każda z nich sama sobie winę przypisze, jeśli ją opuszczono. Ja potrafię zatrzymać przy sobie człowieka żywym lub umarłym, którego serce do mnie należy. Ale

— dodała po chwili milczenia — skąd w tobie tyle mądrości, Fanszeto?

— Panienko — zawołała żywo Fanszeta — słyszę kroki w korytarzu.

— Ach! krzyknęła Marya, podsłuchując — to nie on... Takto mi odpowiadasz na pytanie? — rzekła wracając do przerwanej rozmowy. Rozumiem...

Fanszeta miała słuszość. Trzy uderzenia do drzwi przerwały ich rozmowę. Kapitan Merle ukazał się na progu, usłyszawszy wezwanie do wejścia.

Skłoniwszy się po wojskowemu pannie de Verneuil, spróbował kapitan spojrzeć na nią, ale, olśniony jej pięknnością, nie znalazł siły do wypowiedzenia czegoś więcej nad...

— Jestem na rozkazy.

— Więc to pan zostałeś moim protektorem w skutek dymisji szefa półbrygady? Wszak tak się obecnie pułk nazywa?

— Moim bezpośrednim przełożonym jest adjutant Gérard, który mnie tu przysłał.

— Więc wasz komendant bardzo mnie się boi? — zapytała.

— Daruje pani, komendant Hulot nie boi się, ale kobiety... to nie jego rzecz. To go zmieszało, jak zobaczył swego zwierzchnika w spódnicy.

— A jednak — mówiła dalej panna de Verneuil — obowiązkiem było jego być posłusznym zwierzchnikowi. Ja lubię subordynację, uprzedzam, i nie znoszę, aby mi się opierano.

— To byłoby trudnem — odparł przytomnie Merle.

— Złożmy radę wojenną — zaczęła znowu. — Macie tu wojska świeże, z nich wezmę eskortę do Mayenny, gdzie chcę stanąć dziś wieczorem. Czy znajdę tam nową eskortę, tak abym mogła pojechać dalej, nie zatrzymując się? Szuanie jeszcze nie wiedzą o mojej wyprawie. Byłoby to chyba prawdziwe zrządzienie przypadku, gdybym tak, podróżując w nocy, spotkała się z nimi. Jakże? czy-to jest możliwe?

— I owszem, dlaczego nie?

— Jakaż jest droga z Mayenny do Fougères?

— Niedobra. Ciągłe pod górę i z góry. Istny kraj wiewiórek.

— Jedźmy więc prędko — rzekła — a ponieważ w samém Alençon nie widzę nic niebezpiecznego, ruszajcie więc naprzód, my was dopędzimy.

— Myślałby kto, że ma dziesięć lat gienearalstwa — mruknął do siebie Merle, wychodząc. — Hulot źle sądził. To nie jest jedna z tych dziewczyn, które się dorabiają majątku na puchu. Do miliona kartaczy! Jeżeli kapitan Merle chce zostać dowódcą batalionu,

radzę mu, aby się nie mylił i nie brał ś-go Michała za czarnego diabła.

Podczas tej konferencji panny de Verneuil z kapitanem Fanszeta wybiegła z zamiarem zbadania przez okno w korytarzu pewnego przedmiotu na podwórzu, ku któremu pociągała ją niepohamowana ciekawość, od chwili, jak zajechali do oberży. Poczęła przyglądać się stajni z taką uwagą, że można ją było wziąć za dewotkę, zamodloną przed statua Matki Boskiej. Niezadługo spostrzegła panią du Gua, zbliżającą się zwolna do miejsca, w którym przebywał Marche-a-Terre, z ostrożnością kota, który nie chce sobie zamoczyć łapek.

Zobaczywszy ją, Marche-a-Terre powstał ze słomy i przybrał pozycję pełną szacunku. Dziwna ta okoliczność spotęgowała zajęcie Fanszety, która zbiegła po schodach na podwórze, przesunęła się wzdłuż muru, tak aby jej nie dostrzegła pani du Gua, i schowała się za drzwiami stajni. Dalej idąc na palcach, wstrzymując oddech, starając się uniknąć wszelkiego najłżejszego szelestu, zdołała podsunąć się w samo pobliże Szuana, nie zwróciwszy jego uwagi.

— A jeżeli po zebraniu tych wszystkich informacji — mówiła nieznamoma do Szuana — przekonasz się, że to nie jest jej nazwisko, zastrzelisz ją bez litości, jak psa wściekłego.

— Dobrze — odpowiedział krótko Marche-a-Terre.

Kobieta odeszła. Szuan włożył na głowę swoją czapkę czerwona, wełniana i pozostał w tej samej pozycji, drapiąc się w ucho, jak to zwykli czynić ludzie będący w kłopotach, gdy wtém nagle ukazała mu się Fanszeta, jak za jakimś magicznym zaklęciem.

— Święta Anno z Auray! — zawołał i wypuścił z ręki długi swój bat, złożył ręce i pozostał nieruchomy jakby w ekstazie. Lekki rumieniec wystąpił na grube jego policzki, a oczy błyszczące wśród czarnej twarzy, wyglądały, jak dyamenty, świecące w błocie. — Wszelki duch pana Boga chwali! — mruknął głosem tak cichym, że się zaledwie sam mógł zrozumieć. — Czy ty jesteś widmem, czy *godainem*?

Dziwnego tego wyrazu *godain, godaine* używają w miejscowym narzeczu zakochani dla oznaczenia najwyższej harmonii bogactwa i świetności stroju z pięknoscią osoby.

— Nie śmiałbym się pani dotknąć — dodał Marche-a-Terre, wyciągając swą grubą rękę ku Fanszecie, jak gdyby się chciał przekonać o wadze grubego złotego łańcucha, który otaczał jej szyję i spadał do stanu.

— Dobrze, że pan nie masz tyle odwagi, panie Piotrze — odparła Fanszeta, powodowana tym instynktem, który nakazuje kobiecie być despotką, ilekroć nie jest uciśnioną.

Odsunęła się o parę kroków w tył z dumą zadowolenia, iż taką obudziła w Szuanie trwogę, wynagrodziła mu wszakże surowość swojej mowy spojrzeniem pełnem słodyczy i zbliżyła się znów ku niemu.

— Piotrze! — zapytała — pani ta mówiła o tój młodej panience, u której służę, nieprawdaż?

Marche-a-Terre milczał, a na twarzy jego malowała się walka, jakby świt jutrzeńki pomiędzy ciemnością a światłem. Spoglądał kolejno to na Fanszetę, to na bat, który upuścił, to znów na złoty łańcuch, który zdawał się wywierać na niego przyjemne pociągające wrażenie, jak i twarz pięknej Bretonki. Potem, jak gdyby chciał dać jęj poznać, że się już zdecydował, podniósł bat i milczał dalej.

— O! nie trudno odgadnąć, że ta pani kazała ci zabić moję pannienkę — mówiła dalej Fanszeta, która, znając wierność i dyskretyę Bretonczyka, pragnęła rozproszyć jego skrupuły.

Marche-a-Terre spuścił głowę ku ziemi w sposób znaczący. Dla dziewczyny odpowiedź ta wystarczała.

— Słuchajże mię, Piotrze, jeżeli jęj się wydarzy jakie nieszczęście, jeżeli jeden włos spadnie jęj z głowy, to nasze widzenie się będzie ostatniem na wieczność całą, bo ja pójdę do nieba a ty zginiiesz marnie w piekle.

Ci, z których kiedyś kościół wypędzał dyabła z wielką uroczystością, nigdy nie bywali przy tój operacyi tak wzruszeni, jak wzruszonym i drżącym był Marche-a-Terre wobec tój przepowiedni wygłoszonej z taką wiarą i pewnością, która była dla niego zupełnie przekonującą. W oczach jego malowało się naprzód głębokie chociaż dzikie uczucie, później widoczną w nich była walka z fanatyzmem, równie jak miłość despotycznym i wymagającym. Spojrzenie to nabrało jeszcze więcej wyrazu dzikości i przerażenia, gdy usłyszał ostatnie słowa i zobaczył wyniosłą i stanowczą minę tój, którą sobie już dawniej na swą panią wybrał.

Fanszeta wytłomaczyła sobie po swojemu milczenie Szuaana.

— Więc dla mnie nic zrobić nie chcesz? — rzekła z wyrzutem.

Na te słowa Szuan zadrżał i rzucił na swoją wybraną spojrzenie, pełne wyrazu, oka czarniejszego, niż skrzydło kruka.

— Czy jesteś wolna? — zapytał a raczej zamruczał tak, że za ledwo Fanszeta usłyszeć i zrozumieć go mogła.

— Czyżbym tu była? — odparła z oburzeniem. — Ale ty co tu robisz? Bawisz się ciągle w szuaneryę! Biegasz po drogach jak pies wściekły, który szuka, kogoby pogryzł... Oj, Piotrze! Gdybyś był rozsądny, ja ci mówię, poszedłbyś za mną. Ta młoda pannienka — to ci przecież mogę powiedzieć — kiedyś wykarmioną

była w naszej chacie i ma dziś o mnie staranie. Mam teraz dwieście liwrów ucziwój renty a świeżo kupiła mi za pięćset talarów wielki dom od wuja Tomasza a oprócz tego mam jeszcze dwa tysiące franków oszczędności.

Ale uśmiech jej i rejestr skarbów nie wywarł żadnego wpływu na Szuanę, który zdawał się pogrążonym w jakichś tajemniczych myślach.

— Proboszczowie powiedzieli, żeby się wziąć do broni — rzekł wreszcie — każdy Błękitny, którego zabiję, to ofiara i pokuta za moje grzechy.

— Ale Błękitni wreszcie i ciebie zabiją.

Opuścił ramiona i zrobił ruch taki, jakby z zalem chciał wyrazić skromność ofiary, jaką czynił z siebie Bogu i królowi.

— A coż się ze mną stanie? — zapytała boleśnie piękna dziewczyna.

Marche-a-Terre popatrzył na nią z głupią miną, jakby nie przewidywał podobnego pytania; zdawało się, że oczy jego powiększają się bez miary, nareszcie wytrysnęły z nich dwie łzy, które stoczyły się równolegle po obrosłych policzkach na skórę kozią, którą był okryty, i ciężkie westchnienie wyrwało się z jego piersi.

— Święta Anno z Auray!... Piotrze! czy tyle tylko masz mi do powiedzenia po siedmiu latach rozłąki? O! zmieniłeś się bardzo dla mnie.

— Kocham cię zawsze jednakowo — zawołał gwałtownie Szuan.

— Nie — szepnęła mu do ucha — króla więcej kochasz niż mnie.

— Jeżeli się na mnie tak patrzeć będziesz — zaczął znowu — to sobie pójdę!

— Jeżeli tak, to idź; żegnam cię — rzekła smutnie.

— Żegnam cię — powtórzył Marche-a-Terre.

Schwycił rękę Fanszety, ścisnął ją, pocałował, przeżegnał się i uciekł w głąb' stajni jak pies, który skradnie kości.

— Pille-Miche — zawołał do swego towarzysza — tu ciemno jak w rogu! Masz że ty swoją tabakierę?

— O ję! co za łańcuch! — krzyknął Pille-Miche, szukając w kieszeni, w koziej skórze wyciętej.

— Masz — dodał i wręczył ma stożek rogowy, taki, w jakim Bretończycy nosić zwykli delikatną tabakę, którą sami wyrabiają podczas długich wieczorów zimowych.

Szuan złożył wielki palec u lewej ręki w ten sposób, aby uformować wgłębienie, jakim zwykle inwalidzi wymierzają nosom swim porcy tabaki, wstrząsnął silnie stożkiem, którego wierzchołek otworzył już Pille-Miche, i drobniuchny proszek wysypał się na rękę, przez mały otvorek kończący ten oryginalny sprzęt bre-

toński. Marche-a-Terre powtórzył tę operację siedem czy osiem razy, nie mówiąc ani słowa, jakby ten proszek miał siłę zmienić prąd jego myśli. Nagle zrobił giest rozpaczny, rzucił stożek towarzyszowi, nachylił się i wydobył ze słomy ukryty tam karabin.

— Takich siedem czy osiem niuchów naraz, to nic nie warto — rzekł skąpy Pille-Miche.

— W drogę — krzyknął Marche-a-Terre ochrypłym głosem — będzie robota.

Ze trzydziestu Szuanów śpiących pod żłobami i w słomie, podniosło głowy. Zobaczywszy, że Marche-a-Terre stoi z karabinem w rękę, znikli szybko za drzwiami wychodzącymi na ogrody, z których na pola już było niedaleko.

Gdy Fanszeta wychodziła ze stajni, zobaczyła dyliżans, gotowy już do drogi. Panna de Verneuil i nowi jej towarzysze, państwo du Gua Saint-Cyr zajęli już miejsca w karecie. Bretonka zadrdzała, ujrawszy, w tylném siedzeniu swoją panią obok kobiety, która wydała na nią wyrok śmierci. *Podejrzany* siedział obok Maryi i, jak tylko Fanszeta zajęła czwarte siedzenie, wehikuł ruszył z miejsca, niesiony ciężkim kłusem.

Słońce rozproszyło szare chmury jesieni a promienie jego ożywiały melancholię pól nadając im urok świeżości i młodości. Wiele kochanków bierze takie zmiany w przyrodzie za prognostyki szczęścia. Dziwiła mocno Fanszetę cisza, jaka panowała w powozie. Panna de Verneuil przybrała nanowo obojętny wyraz twarzy i siedziała z oczami spuszczonemi, z głową nieco na bok pochyloną, w głębi powozu. Ręce miała schowane pod mantylę, w którą się zawinęła. Jeżeli czasem podniosła oczy na chwilę, to tylko dlatego, aby spojrzeć na krajobraz, który jak w panoramie ciągle się zmieniając, ginał w przestrzeni. Pewna, że jest uwielbianą, usuwała się od uwielbienia, ale pozorna jej obojętność zdradzała więcej kokieteryi, niż naiwności. Oddany rozkoszy, jaką zwyczajnie dają początki wszelkiej intrygi, młodzieniec, nie starał się dotąd nawet wytłomaczyć sobie dysonansu, jaki zachodził pomiędzy kokieteryą i egzaltacyą tej dziwnej kobiety. Ta niewinność udana niepozwalała ani przypatrywać się swobodnie twarzy téj, którą wyraz spokoju w téj chwili krasiał jeszcze więcej aniżeli rumieniec ożywienia i zapału. Ludzie nie są w stanie ocenić i zanalizować źródeł swoich rozkoszy.

Trudno jest żądać, ażeby młoda kobieta zdołała ukryć się w karecie pocztowej przed wzrokiem towarzyszków podróży, których oczy przywiązują się do niej, szukając rozrywki w jednostajności i nudach podróży. To też szczęśliwy, że może zaspokoić chciwe łakomstwo budzącej się namiętności bez narażenia się na to, aby pan-

na de Verneuil musiała unikać jego wzroku i obrażała się natarczywością spojrzeń, młody wojskowy z upodobaniem i rozkoszą studiował czyste i świetne linie zarysów jej twarzy.

Był-to dla niego widok, równający się przepysznemu obrazowi. Czasem światło dzienne, padając, uwydatniało cudowny róż jej nozdry, i podwójny a śmiały łuk łączący jej nosek z górną wargą, to znów błądy promień słońca oświecał i uwydatniał odcienie jej świetnej cery, białej jak perłowa masa pod oczami i około ust, różowej na policzkach, matowej na skroniach i szyi. Podziwiał on grę światła i cienia u włosów, których czarne sploty otaczały tę cudowną twarzyczkę, nadając jej wdzięk niezrównany. Wszystko u kobiety bowiem jest przelotne! Piękność jej dzisiejsza nie bywa często pięknością dnia jutrzejszego. Może i lepiej dla nich.

Będąc jeszcze w wieku, w którym mężczyzna pragnie się rozkoszować temi wszystkimi błahostkami, z których miłość się składa, młody marynarz w zachwycie oczekiwał każdego ruchu jej powiek, każdego podniesienia się łona, którem jej oddech falował. Czasami idąc za wątkiem swoich myśli, zachwycał się regularnością i harmonią jej rysów i jednolitością wyrazu, jaka panowała pomiędzy spojrzeniem oczów a załamaniem ust. Każdy giest inaczej mu ją przedstawiał, każdy ruch okazywał mu w innem świetle cudowną piękność panny de Verneuil. Jeżeli jaka myśl przemknęła się po tej wrażliwej twarzy, albo jakiś rumieniec niewytłomaczony przeglądał przez delikatną jej cerę, lub uśmiech wreszcie wzbudził w niej życie, on tysiąca doznawał rozkoszy, starając się odgadnąć tajemnice tej obcej sobie kobiety. Wszystko było zasadzką dla duszy, wszystko zasadzką dla zmysłów. Nakoniec to milczenie, niezdolne postawić przeszkód porozumienia się serc, zdawało się łącznikiem dla myśli. Kilka spojrzeń, w których oczy jej spotkały się z oczami młodzieńca, dały poznać Maryi de Verneuil, że dalsze milczenie skompromitować ją może, zwróciła się więc do pani du Gua z kilkoma błahemi pytaniami, które stanowią zwykle przegrywkę do rozmowy, ale nie mogła przeszkodzić, ażeby młodzieniec nie wmieszał się do niej.

— Jak pani zdołała zdecydować się — zapytała — poświęcić syna swego służbie na morzu? Wszakże w ten sposób narażasz się pani dobrowolnie na ciągłe obawy?

— Tak pani, ale los kobiet, los matek, chciałam powiedzieć, to ciągła obawa o nasze najdroższe skarby.

— Syn pani bardzo wiele ma podobieństwa do pani.

— Pani znajduje?

To mimowolne przyznanie się pani du Gua do wieku wywołało uśmiech na twarz młodzieńca i sprawiło nową przykrość jego

matce, czy też kobiecie, która za matkę w tym razie uchodzić pragnęła. Nienawiść tej kobiety wzrastała z każdym namyślnym spojrzeniem, jakie syn jej rzucał na Maryą. Milczenie, rozmowa, wszystko zaogniało w niej straszny gniew, ukryty pod maską najserdeczniejszego stosunku.

— Jesteś pani w błędzie — odezwał się młodzieniec — marynarze nie są narażeni więcej, niż inni wojskowi. Kobiety powinnyby owszem dla służby morskiej mieć więcej wdzięczności. Czyż my na morzu nie mamy tej wielkiej nad wojskami lądowymi wyższości, że choć z przymusem bywamy wierni naszemu kochankom.

— To też tylko z przymusu! — odparła, śmiejąc się, panna de Verneuil.

— Zawsze jednak jest-to wierność — zauważyła pani du Gua głosem prawie grobowym.

Rozmowa ożywiła się i przeniosła na przedmioty interesujące tylko dla trojga podróżnych, gdyż zwykle w takich wypadkach ludzie dowcipni i rozmowni nadają blahostkom coraz nowe znaczenie. W każdym jednak razie to spokojne zajęcie, jakiemu się ci ludzie dla zabicia czasu poddali, okrywało pragnienie namiętności i nadzieje, jakie ich sercami miały. Dowcip delikatny i niezmiernie zręczny Maryi, która miała się ciągle na baczności, przekonały panią du Gua, że tylko zdradą i oszczerstwem zdoła odnieść zwycięstwo nad rywalką, tak groźną i tak silnie uzbrojoną pięknnością i dowcipem. Podróżni dogonili eskortę i powóz nieco wolniej zaczął się toczyć po drodze. Młody człowiek spostrzegł, iż poczynają zwolna wjeżdżać na niewielki wzgórek i zaproponował pannie de Verneuil, czyby nie zechciała przejść pieszo ten kawałek drogi dla rozrywki i rozmaitości. Dobry ton, przyzwoite zachowanie się i uprzejma opieka ze strony młodzieńca zdawały się ośmielać Paryżankę a jej zgoda znów pochwlebiła jego miłości własnej.

— A pani, czy nie będziesz także naszego zdania? — zapytała Marya panią du Gua, wysiadając. — Może i pani przejdiesz z nami kawałek?

— Kokietka! — syknęła do siebie kobieta.

Marya i młodzieniec szli razem, chociaż nie trzymali się pod rękę.

Marynarz, którym miały niepokahmowane pragnienia, postanowił przełamać tę pozycję obronną, jaką przeciw niemu zajęto. Zdawało mu się, że dopnie tego celu, bawiąc Maryą z prawdziwie francuską galanterią tym dowcipem często lekkim, czasami poważnym, zawsze szlachetnym, a trochę ostrym, który cechował wygnaną arystokrację. Ale wesół paryżanka żartowała tak zręcznie z młodego republikanina, umiała mu tak pogardliwe czynić wyrzuty

za jego płochą wesołość, przywiązując się z widocznym upodobaniem do poważniejszych myśli i do tej egzaltacyi, która pomimo woli w słowach jego się przebiwała, że nareszcie odgadł sposób podobania się jej.

Rozmowa weszła na inne tory. Młodzieniec nie zawiódł nadziei, do jakich upoważniała wyrazista jego fizygnomia. Co chwila napotykał trudności w ocenieniu tej syreny, która opanowywała go coraz bardziej. Gdy z początku pociągała go przedziwna jej piękność, teraz porwany został ku tej duszy nieznanej ciekawością, którą Marya podniecać i zaostczać umiała. Żartobliwa z początku gawędka przybrała w końcu charakter serdeczności, różnej bardzo od obojętnego tonu, który usiłowała jej nadać bezskutecznie panna de Verneuil. Chociaż pani du Gua towarzyszyła tej parze zakochanej, jednak młodzi, nieznacznie przyspieszając kroku, niezadługo oddalili się od niej o sporą przestrzeń.

Dwie te prawdziwie piękne istoty stąpały po mialkim piasku drogi, uniesione dzieciennym pragnieniem wzajemnego połączenia odgłosu swoich kroków, szczęśliwi, że są razem, obłani jednym promieniem światła, które blaskiem swoim przypominało wiosenne słońce, i że oddychają wspólnie jednemi zapachami jesieni, pełnemi tyłu roślinnych aromatów, które wydawały się pokarmem przynoszonym przez powietrze na ofiarę rodzącej się miłości. Chociaż tak jedno jak i drugie z nich nie chciało w przelotnym tym stosunku widzieć nic więcej, jak zwykły przypadek, jednak krajobraz i pora roku nadawały ich uczuciom odcień poważniejszy pomimo wszelkich porywów silnej namiętności. Zaczęli tedy chwalać jasność dnia i świetność pogody, rozpamiętywać niedawną chwilę swego poznania się, mówili potem o bliskim prawdopodobnie zerwaniu tego tak słodkiego stosunku i o łatwości, z jaką w podróży zadzierżgują się związki z osobami, które się zaledwo ujrzało i z którymi niezadługo się rozejść przychodzi. Młodzieniec skorzystał z tego ostatniego spostrzeżenia, które zdawało się ośmielać do pewnych przyjaznych zwierzeń, i próbował rozpocząć wyznania, jak przystało na człowieka przywykłego do podobnych sytuacji.

— Zechciej pani zauważyć — rzekł do niej — jak niezwykle kolejną rozwijają się uczucia w tej epoce przewrotów, w której żyjemy? Wszystko dokoła nas, jakby naznaczone piętnem jakiegoś szalonej niezbadanej gorączki. Teraz kochamy i nienawidzimy na wiarę jednego spojrzenia. Łączą się ludzie na życie i rozłączają na wieki z szybkością, z jaką idzie się dzisiaj na śmierć. Wśród niebezpieczeństw zbliżenia się i związki powinny być silniejsze i żywsze aniżeli w zwyczajnym trybie życia. W ostatnich czasach w Pa-

ryżu zrozumiano, jak na placu boju, co wart czasem jeden uścisk dłoni.

— Wszyscy czuli potrzebę i starali się żyć wiele i prędko — odpowiedziała — bo w czasach tych mało było czasu do życia.

A rzuciwszy towarzyszowi swemu spojrzenie, którém zdawała mu się ukazywać rychły kres wspólnej podróży, dodała nawpół wesoło, nawpół złośliwie: — Ale zdajesz mi się pan więcej doświadczonym w sprawach życia, niż od młodzieńca opuszczającego szkołę spodziewać się można?

— Co pani myślisz o mnie? — zapytał po chwili milczenia. — Powiedz pani swoje zdanie, nie oszczędzając mnie wcale.

— Chciałbyś pan w ten sposób pozyskać sobie prawo wywzajemnienia mi się i równie otwartego wypowiedzenia sądu o mnie? — odparła śmiejąc się.

— Nie odpowiadasz mi pani na moje pytanie. Uważ pani, że milczenie bywa często równie znaczącą odpowiedzią.

— Czyż ja nie odgadłam już dawno wszystkiego, co-bys mi pan pragnął powiedzieć? I tak zawiele już pan powiedziałeś.

— O! jeżeli się rozumiemy — odrzekł z uśmiechem — to uzyskałem już więcej, niż mogłem się spodziewać.

Na ustach jej różowych zagrał uśmiech pełen wdzięku, dający mu do zrozumienia, że przyjmuje tę walkę na grzeczne i uprzejme półsłówka, którą zawsze mężczyzna chętnie grozi kobiecie. Wytłomaczyli więc sobie nawzajem w pół seryo, w pół żartem, że niepodobną jest rzeczą, ażeby kiedykolwiek jedno drugiemu mogło stać się czémś więcej, jak w tej chwili. Stąd przyszli do wniosku, że on może bez troski oddać się uczuciu, które niema przyszłości, i że ona śmiać się może z tego wszystkiego spokojnie. Potem, gdy już w ten sposób wzniesli pomiędzy sobą nieprzepartą zaporę.. urojoną, zaczęli na wyścigi korzystać z tej niebezpiecznej wolności, jaka z tej umowy wynikła. W tém Marya potknęła o kamień i źle stąpiła.

— Niech pani przyjmie pomoc mojego ramienia — rzekł młodzieniec.

— Byłbyś pan nadto dumnym, gdybym odmówiła. Wyglądałoby to, jak gdybym się pana obawiała.

— Ach pani! — odpowiedział, ściskając jej rękę tak, aby poczuła bicie jego serca — jeżeli byłbym dumnym, gdybyś odmówiła, tém dumniejszy jestem, żeś raczyła ją przyjąć.

— Łatwość, z jaką przyjąłem tę ofiarę, pozbawi pana jego złudzeń.

— Czy chcesz mię pani sama bronić przed niebezpieczeństwami wzruszeń, jakie mi sprawiaasz?

— Przestań pan już, proszę pana — zawołała niby gniewnie —

zaprzątać mię temi salonowemi słodyczami mowy i temi logogryfami, które pachną zdaleka buduaem. Nie lubię spotykać u mężczyzn o pańskiej sile charakteru — dowcipu, jaki bywa udziałem pierwszego lepszego tancerza galopady. Patrz pan... nad nami piękne, jasne niebo, przed nami pyszny krajobraz! Wszędzie, dokąd wzrok pošemy, widać rzeczy wielkie i wspaniałe. Chcesz mi pan powiedzieć, że jestem piękna?... Ale to widzę przecież z pańskich oczu, a zresztą wiem o tém sama bardzo dobrze — nie należę jednak do kobiet, którym komplementa pochlebiają. A może chciałbyś mi pan mówić o swoich ku mnie wzniosłych uczuciach? — zapytała z ironiczną przesadą. — Spodziewam się jednak, że mię pan nie posądzasz o tyle naiwności, abym uwierzyła w nagłe obudzenie się tego gwałtownego uczucia i w tę jego siłę, którą zdołałoby zapanować nad życiem całém — przez pamięć jednego poranku...

— Nie przez pamięć poranku — odpowiedział — ale przez wspomnienie kobiety szlachetnej...

— Zapominasz pan — dodała śmiejąc się — o wielu moich zaletach. Trzeba było powiedzieć: kobiety nieznajomój, w której wszystko dziwném się zdawać musiało: nazwisko, położenie, swoboda umysłu i zachowanie się, stanowisko — jedném słowem wszystko.

— Dla mnie, nie jesteś pani nieznajomą — wykrzyknął. — Udało mi się przeczuć panią, a do twój doskonałości nie pragnąłbym nic dodać, oprócz trochę wiary w uczucie, któreś pani obudziła we mnie od pierwszej chwili.

— O biedne, małe dzieciątko siedemnastoletnie! Już mu się zachciało mówić o miłości! — wykrzyknęła z pustotą panna de Verneuil. — A zresztą zgoda! Miłość jest takim dobrym przedmiotem do rozmowy w naszym położeniu jak deszcz i pogoda w salonie. Dlaczegoż mielibyśmy ją wyłączać? Nie znajdziesz pan we mnie ani fałszywej skromności, ani przywiązania do błahostek formy. Mogę słyszeć ten wyraz bez zarumienienia się. Powtarzano mi go tylekroć bez udziału serca, jako prostą formułkę, że nie ma on już dla mnie żadnego znaczenia. Wyraz ten znam dobrze, słyszałam go w teatrze, w książkach, w salonie, ale nigdy nie spotkałam na świecie nic takiego, coby podobném było do tego potężnego i słodkiego zarazem uczucia, które ten wyraz określa.

— Czy szukałaś go pani?

— Szukałam...

Słowo to wyrzekła z taką swobodą, że młody oficer nie mógł utaić w sobie zdziwienia i wpatrzył się w Maryą, jak gdyby w jednej chwili zmienił swoje zdanie o jej charakterze i sytuacji.

— Pani—rzekł z ukrytém niezręcznie wzruszeniem—czy jesteś panną czy mężatką, aniołem czy szatanem?

— Jestem jednem i drugim potrosze—odparła z uśmiechem.— Bo czyliż zawsze niema czegoś anielskiego i szatańskiego zarazem w młodej osobie, która nie kochała nigdy, nie kocha i może nigdy kochać nie będzie.

— Czyż możesz pani w ten sposób być szczęśliwą? — zapytał, przybierając ton i maniery swobodniejsze, jak gdyby mniej czuł odtań szacunku dla swjej wybawicielki.

— O! szczęśliwą — odparła — nie... Gdy pomyślę, że jestem sama, poddana wymaganiom współczesnym, które każą mi być istotą sztuczną i nienaturalną, zazdroszczę przywilejów mężczyznom. Ale gdy pomyślę znowu o wszystkich środkach, które nam dała natura, ażeby was mężczyzn zwalczać i opanowywać, ażeby was usidlać niedojrzanemi pętami potęgi, której żaden z was oprzeć się nie zdoła — wtedy rola moja na ziemi uśmiecha mi się... Potém nagle wydaje mi się ona nędzną i niską, i czuję, że pogardzałabym mężczyzną, który dałby się uwieść zwyczajnym pokusom. Takto widzę jasno jarzmo, któremu ulegam, i podoba mi się ono, to znowu wydaje mi się ohydne i odrzucam je ze wstrętem; czasem czuję w sobie to pragnienie poświęceń, które tak uszlachetnia kobietę, to znowu żądzę panowania i władzy, która mnie pali i pochłania. Być może, iż jest-to naturalna walka dobrego i złego pierwiastku, która się toczy we mnie, jak w każdej istocie na ziemi. Anioł i szatan! Tak, pan prawdę powiedziałeś. Nie dzisiaj-to po raz pierwszy uczułam w sobie tę podwójną naturę. Ale to tak — my kobiety jeszcze lepiej od mężczyzn odczuwamy nasze braki i niedostatki. Mamy po temu instynkt, dający nam w każdej chwili przeczuć doskonałość, której osiągnąć niepodobna. Ale — dodała, patrząc w niebo z westchnieniem — to, co nas podnosi w waszych oczach, to...

— To jest? — zapytał niecierpliwie.

— To jest to, że my wszystkie mniej-więcej walczymy przeciw losowi niepewnemu.

— Pani! — zawołał — dlaczegoż rozstajemy się dziś wieczór?

— Dajmy pokój — odparła uśmiechając się pod namiętném spojrzeniem młodzieńca — wsiądźmy do karetki, za dużo powietrza niedobry wpływ na nas wywiera.

Marya odwróciła się nagle, nieznajomy podążył za nią, pochwycił ją za rękę i uściśnął gwałtownie ruchem wyrażającym mniej szacunku, niż gorących pragnień i uwielbienia. Ona przyśpieszyła kroku. Marynarz zrozumiał, że chciała uciec przed wyznaniem miłości, którego się obawiała i bardziej tém jeszcze podniecany posta-

nowi! rzucić na kartę wszystko, aby tylko uzyskać pierwszy dowód łaski, zatrzymał się więc i rzekł:

— Chcesz pani, żebym ci wyznał pewną tajemnicę?

— O! mów pan prędzej, jeżeli tylko pana dotyczy.

— Ja nie jestem w służbie Rzeczypospolitej. Gdzie pójdziesz — pójdę!

Na te słowa Marya zadrżała, cofnęła swoją rękę zpod jego ramienia i ukryła twarz w dłoniach, zasłaniając rumieniec czy bladłość, która jej lice powlekła. Nagle jednak, podnosząc głowę do góry i opuszczając ręce, rzekła czulej:

— Więc... zacząłeś pan tak, jakbyś był skończył — szukałeś mnie...

— Tak — odpowiedział.

Usłyszawszy ten wyraz, odwróciła się szybko od powozu, ku któremu zbliżali się i poczęła biec prawie naprzód, oddalając się od niego.

— Ależ — zawołał marynarz — sama pani mówiłaś, że powietrze to źle na nas wpływa.

— O! to już przeszło, już się powietrze zmieniło — rzekła z odzieniem powagi w głosie, idąc szybko dalej, jakby pod wpływem burzliwych myśli.

— Milczysz pani — zapytał młodzieniec, którego serce napełniło się słodkim przecuciem rozkoszy.

— Ach! — zawołała urywanym głosem — tragiedya prędko się zaczęła.

— O jakiej tragiedyi chcesz pani mówić? — zapytał.

Zatrzymała się, zmierzyła go od stóp do głowy wzrokiem, w którym malowało się podwójne uczucie: obawy i ciekawości, poczem pod maską nieprzeniknionego spokoju ukryła miotające nią uczucia, dając tém dowód, iż zna sztukę życia.

— Kto pan jesteś? — zawołała — i pocóż o to pytam?... Gdy cię tylko ujrzała, natychmiast przyszło mi to na myśl. Pan jesteś dowódcą wojsk królewskich, ukrywający się pod nazwiskiem Garsa. Były biskup z Autun miał rację, gdy mówił, że zawsze potrzeba wierzyć uczuciom zwiastującym nieszczęście!

— Jakiż interes mogłabyś pani mieć w poznaniu tego człowieka?

— Jakiż interes może on mieć w ukrywaniu się przede mną, która uratowałam mu życie? — wykrzyknęła, śmiejąc się z przymusem. — Dobrze i rozsądnie postąpiłam, zatrzymując na ustach pańskich wyznanie miłości. Wiedz pan, że cię nienawidzę. Ja jestem republikanką, pan przewodcą stronników króla; wydałabym pana, gdyby nie to, że masz pan moje słowo, żem już raz pana uratowała, gdyby nie to... — Nie domówiła rozpoczętego zdania. Te wahania

się, te walki, które toczyła sama z sobą i których już ukrywać nie miała siły, zaniepokoiły nieznanego, który usiłował napróżno zbadać jej zamiary. — Rozstaniemy się natychmiast, ja tak chcę! Żegnaj pan! — odwróciła się i odeszła kilka kroków, po chwili jednak wróciła.

— Nie, mnie bardzo zależy na tém, abym się dowiedziała, kim pan jesteś. Nie kryj pan przede mną, powiedz mi całą prawdę. Wszystko, coś pan dotychczas powiedział, jest nieprawdą. Nie jesteś pan wychowancem szkoły politechnicznej, tak samo jak siemnaście lat wieku, które sobie przyznajesz, są nieprawdą.

— Jestem marynarzem, gotowym porzucić ocean i pójść wszędzie za panią, gdzie tylko wyobraźnia twoja poprowadzi mnie zechce. Jeżeli szczęście posłużyło mi na tyle, że zdołałem zająć panią tajemnicą, która mię otacza, to przecież dobrowolnie nie pozbawię się tej aureoli, zaspakajając pani ciekawość. Pocóż mamy łączyć poważne sprawy życia realnego ze sprawami serc naszych, w których tak bliscy byliśmy porozumienia.

— Nasze dusze mogły się były porozumieć — odparła poważnie. — Ale nie mam prawa żądać pańskiego zaufania. I pan też nigdy znać nie będziesz rozmiarów zaciągniętego względem mnie długu wdzięczności. I ja też milczeć będę.

Uszli tak kilka kroków bez słowa.

— Więc życie moje tak bardzo panią zajmuje! — zagadnął znowu nieznanomy.

— Na litość! panie, powiedz, kto jesteś albo milcz. Dziecko jesteś — dodała, wzruszając ramionami — i litość we mnie budzisz.

Upór, z jakim powracała ciągle do tego samego przedmiotu, pytając natarczywie o jego nazwisko, budził w nim nowe podejrzenia i powodował nowe wahanie się pomiędzy ostrożnością i pożądaniem. Życzenia kobiety upragnionej tak wielką dla człowieka bywają pokusą! Jej spokojne poddanie się konieczności, równie jak gniew namiętny, są tak potężne! Drażni ona zarazem tyle włókien serca mężczyzny, że zaprawdę trudno jej się oprzeć. Byłaby to znowu próbka kokieterji panny de Verneuil?

Mimo namiętności, jaka nim władała, młody marynarz miał jednak dosyć siły, aby nie zaufać kobiecie, która z taką gwałtownością pragnęła mu wydrzeć tajemnicę życia i śmierci.

— Dlaczego — rzekł biorąc ją za rękę, którą mu przez roztargnienie wziąć pozwoiliła — sprawiam pani tyle przykrości i co mam uczynić, ażeby panią uspokoić?

— Powiedz pan swoje nazwisko!

Teraz znowu on nie mógł zdobyć się na odpowiedź i znowu

przeszli parę kroków w milczeniu. Nagle panna de Verneuil przystanęła, jak gdyby powzięła ostateczne silne postanowienie.

— Panie margrabio de Montauran — rzekła z godnością, nie mogąc jednak zupełnie ukryć wzruszenia, które objawiało się lekkim drżeniem jej rysów — cokolwiek toby mnie kosztować miało, szczęśliwą jestem, że mogłam panu oddać tę przysługę. Tu rozstaniemy się. Eskortą i dyliżans zbyt są potrzebne dla pańskiego bezpieczeństwa, ażebyś pan nie miał przyjąć tak jednej jak drugiej. Nie obawiaj się pan niczego ze strony republikanów. Wszyscy ci żołnierze są to ludzie honoru a ja wydam dowódcy ich rozkazy, które ściśle zostaną dopełnione. Ja zaś mogę wrócić do Alençon piechotą z moją służącą i kilku żołnierzami. A teraz słuchaj pan uważnie: Jeżeli gdziekolwiek się pan dostaniesz w bezpieczne miejsce, a spotkasz tego straszego człowieka, któregoś widział w karczmie, uciekaj, gdyż on cię wyda z pewnością. Co do mnie... tu zatrzymała się chwilę... rzucam się napowrót z dumą w burzę życia — dodała głosem prawie niedosłyszczanym, tłumiąc łzy. Żegnaj pana, obys mógł być szczęśliwym! Żegnaj...

Powiedziawszy te słowa dała znak kapitanowi Merle, który właśnie obok karetki dosięgał szczytu pagórka. Młody człowiek nie spodziewał się tak szybkiego rozwiązania.

— Wstrzymaj się pani! — zawołał z rozpaczą dobrze udaną.

Dziwny ten kaprys dziewczyny, dla której byłby w tej chwili życie poświęcił, tak mocno zajął nieznanego, że wymyślił w okamgnieniu smutny podstęp, którym zrazu postanowił ukryć swoje nazwisko a zaspokoić ciekawość panny de Verneuil.

— Odgadłaś mnie pani prawie — rzekł — jestem emigrantem skazanym na śmierć a nazywam się wice-hrabią de Bauran. Miłość ojczyzny sprowadziła mnie do kraju, do mego brata, pomimo niebezpieczeństw. Mam nadzieję być wykreślonym z listy skazanych za staraniem pani de Beauharnais, dzisiaj żony pierwszego konsula. Jeżeli wszakże starania te nie odniosą skutku, zginę na ziemi ojczyściej przy boku mego przyjaciela Montaurana. Przedewszystkiem za paszportem fałszywym, który mi przysłał margrabia, udaję się potajemnie do Bretanii dla przekonania się, czy jeszcze cokolwiek ocalało z mych posiadłości.

Gdy młody człowiek mówił, panna de Verneuil badała go przenikliwym wzrokiem. Próbowwała ona wątpić o prawdziwości jego słów, ale wiara i zaufanie zwyciężyły, powoli wróciła do spokojnego wyrazu twarzy, zapytała jednak:

— Czy przynajmniej to, co pan w tej chwili mówisz, jest prawdą?

— Najzupełniejszą — odrzekł nieznajomy, który zdawał się niewiele zużywać uczciwości w stosunkach swych z kobietami.

Panna de Verneuil odetchnęła ciężko, jak ktoś, któremu kamień spadł z serca.

— Ach! — zawołała — jakże jestem szczęśliwą!

— Więc pani tak bardzo nienawidzisz biednego mojego przyjaciela de Montauran?

— Nie — odpowiedziała — pan-byś mię nie mógł zrozumieć. Nie chciałabym widzieć pana pod grozą niebezpieczeństwa, przed którym i jego pragnęłabym obronić, ponieważ jest pańskim przyjacielem.

— Skądże pani przypuszczasz, że Montauran jest w niebezpieczeństwie?

— Gdybym nawet nie wracała z Paryża, gdzie tylko o nim mówią, komendant w Alençon dosyć nam przecie powiedział.

— Jeżeli tak, to znowu zapytam panią, jakim sposobem mogłaś go obronić od tego niebezpieczeństwa?

— A gdybym też nie chciała panu odpowiedzieć? — rzekła z tą miną wzgardliwą, pod jaką kobiety umieją tak dobrze ukryć swoje wzruszenia. Jakim prawem chcesz pan znać moje tajemnice?

— Prawem człowieka, który cię kocha.

— Już? — rzekła. Nie, pan mnie nie kochasz, widzisz pan we mnie przedmiot przelotnej awanturki miłosnej, ot i wszystko... Czyż nie odgadłam pana odrazu? Czyż osoba mająca jaką taką znajomość warunków dobrego towarzystwa, może w czasach obecnych pomylić się, słysząc ucznia szkoły politechnicznej, używającego wyrażań i zwrotów doborowych i ukrywającego tak źle, jak pan to robiłeś, manery wielkiego pana pod szorstką skorupą republikańską? Ależ we włosach pańskich widać resztki pudru a woń salonowych perfum rozchodzi się od pana tak daleko! Kobieta taka, jak ja, na tem się nie myli. To też, drżąc ze strachu, ażeby mój towarzysz, który ma całą przebiegłość kobiecą, nie odgadł pana, odprawiłam go jaknajprędzej. Czyż pan jesteś tak młody, żebyś nie wiedział, że ze wszystkich gatunków kobiet najtrudniejszą do pobicia jest taka, której wartość wyraża się w cyfrach i która przesyconą jest przyjemnościami? Ten rodzaj kobiet wymaga, jak mi mówiono, ogromnych powabów i ulega tylko swojemu kapryswi. Chcieć się podobać takiej kobiecie bywa przedmiotem próżności dla mężczyzny. Wyrzucimy z rachuby tę klasę kobiet, do której mię łaskawie zaliczać raczysz, gdyż one wszystkie z obowiązku swego winny być młode, szlachetne, piękne, dowcipne... Wszak te wszystkie przymioty pan mi przyznajesz, nieprawdaz? Takie kobiety nie sprzedają się i posiąść je można tylko — drogą miłości. Słyszysz

pan! Jeżeli taka kobieta kocha i jeżeli popełnia szaleństwa, to na usprawiedliwienie swoje musi mieć coś prawdziwie wielkiego! Daj mi pan zbytek logiki, tak niezwykle u osób mojej płci, ale dla pańskiego szczęścia i dla mego — dodała z figlarnym ukłonem — nie chciałabym, żebyśmy się mylili co do naszej wartości i żebyś pan mógł uważać pannę de Verneuil, anioła czy szatana, pannę czy mężatkę, za łatwą do złowienia na zdawkowe komplementa...

— Pani — odpowiedział margrabia, którego zdziwienie choć ukryte, było niemałym i który niezwłocznie też powrócił do manier wielko-swiatowych — błagam cię, wierz mi, że gotów jestem uważać cię, jak tego sama sobie życzyć będziesz, albo, za osobę wielce dystygowaną, pełną serca i wzniosłych uczuć, albo za... pocziwą dziewczynę... Pozostawiam to pani do wyboru.

— Żądam od pana tylko, ażebyś mi zostawił moje incognito — odparła wesoło. Zresztą maska moja lepiej się trzyma, niż pańska i wolę jej nie zdejmować, choćby tylko dla przekonania się o szczerości tych, którzy mi mówią o uczuciu... Nie zapędź się pan ze mną zadaleko. Słuchaj pan — rzekła, chwytając go gwałtownie za rękę — gdybyś zdołał dowieść mi prawdziwej miłości, nie byłoby siły ludzkiej tyle potężnej, żeby nas rozłączyła była w stanie! Tak, pragnęłabym współnictwa w jakiejś prawdziwie wielkiej egzystencji ludzkiej, chciałabym spoić się z jaką olbrzymią ambicją, z jakimiś wielkimi projektami i ideami. Serca szlachetne nie znają zdrady, gdyż posiadają olbrzymią siłę. Byłabym więc wiecznie kochaną, wiecznie szczęśliwą. Ale czyż zato nie byłabym wiecznie gotową uczynić ze siebie stopień dla wzniesienia człowieka, któryby miłość moją posiadał, poświęcić się dla niego, wszystko dla niego znieść, kochać go zawsze, nawet wtedy, gdyby on mię kochać przestał! Nigdy nikomu nie mogłam wypowiedzieć moich pragnień serdecznych ani namiętnych wybuchów egzaltacji, która mię pożera... Nigdy żadnemu sercu nie śmiałam powierzyć żądań mojego serca, ale panu mogę o tem mówić, ponieważ roztaniemy się, jak tylko znajdziemy się na bezpiecznym dla nas gruncie.

— Rozstaniemy się?... Nie! nigdy! — wykrzyknął zelektryzowany dźwiękami tej duszy potężnej, zdającej się walczyć w sobie z jakąś olbrzymią ideą.

— Jesteś pan chociaż wolny? — zapytała rzucając nań spojrzenie wzgardliwe, które go w jego własnych oczach przygniotło do ziemi.

— O! co do tego, niema wątpliwości... Oprócz wyroku śmierci, który na mnie ciąży, nic niema, coby mi odbierało swobodę.

Marya mówiła dalej z wyrazem pełnym goryczy:

— Gdyby to wszystko nie było snem, jakże pięknym byłoby

nasze życie! Ale jeżeli bym szaleństwa mówiła, nie robmy ich przynajmniej. Kiedy pomyślę o tem, jak wielkim musiałbyś pan być, abyś mię ocenił według rzeczywistej mojej wartości, wątpię o wszystkim...

— A ja nie wątpiłbym o niczem, gdybyś chciała do mnie na...

— Sza! — wykrzyknęła, nie dając mu dokończyć tego zdania wyrzeczonego z akcentem prawdziwej namiętności. — Przekonałam się, że świeże powietrze panu nie służy. Wróćmy do naszego towarzystwa.

Karetką pocztową dopędziła niebawem pieszych podróżnych, którzy zajęli swoje miejsca i jechali dalej mil parę w zupełnem milczeniu.

Jeżeli jedno albo drugie znajdowało pole do nowych obserwacji, oczy ich już nie obawiały się spojrzeń wzajemnych. Oboje zdawali się mieć ważny jakiś powód ukrywania nawzajem przed sobą tajemnicy, ale oboje czuli się pociągnięci ku sobie jednym pragnieniem, które od chwili przechadzki i rozmowy nabrało rozmiarów silnej namiętności. Oboje bowiem poznali w sobie nawzajem te przymioty, które w ich oczach podniosły jeszcze bardziej rozkosz, jaką sobie obiecywali z walki pomiędzy sobą, i z połączenia swych istnień. Może każde z nich zawikłane w życie awanturnicze znajdowało się właśnie w tej szczególnej sytuacji, w której czyto przez zmęczenie czy też naprzekór losowi człowiek odmawia sobie pomocy poważnego zastanowienia i oddaje się prądowi wypadków, mając się jakiegoś przedsięwzięcia właśnie dlatego, że nie rokuje ono rozsądnych następstw, i dlatego, aby zobaczyć, jaki też przedsięwzięciu temu kres okoliczności naznaczą. Natura moralna ma tak samo, jak natura fizyczna, swoje urwiska i przepaście, w które umysły silne lubią się pograżać, stawiając na kartę życie, jak przy zielonym stoliku gracz stawia majątek.

Młody człowiek i panna de Verneuil mieli równocześnie jakby nadprzyrodzone objawienie tych idei, i w ten sposób, w skutek rozmowy, zbliżyli się duszami niezmiernie ku sobie; dusze ich bowiem poszły śladem sympatii ich zmysłów. Niemniej przeto, im więcej czuli się pociągnięci ku sobie fatalną jakąś siłą, tem więcej uczuwalili potrzebę zbadania się, chociażby tylko dlatego, aby tem mimowolnem obliczeniem się ze sobą powiększyć siłę przyszłych i spodziewanych rozkoszy. Udaający się za wice-hrabiego de Bauran młodzieniec, cały jeszcze pod wpływem szczególnej idei u tej dziwnej dziewczyny, zapytywał siebie, jakim sposobem mogła ona połączyć tyle wiadomości życia z taką świeżością? Domyślał on się w dostojnej czystości, jaką Marya natchnąć umiała swoje zachowanie się, żądzę wydania się czystą, podejrzewał ją o obłudę,

w duchu gniewał się na nią zato i przypuszczał, że ta nieznajoma niewinność jest poprostu zręczną komedyantką. I tym razem nie był w błędzie.

Panna de Verneuil, jak wszystkie kobiety światowe, stawiała się tém skromniejszą w pozorach, im żywiej krew poczyniała biedz w jej żyłach, i z wielkim urokiem prawdy przybierała te znamiona pruderyi, pod któremi zręczne kobiety umieją ukryć gorące namiętności. Każda z nich pragnęłaby się oddać miłości niepokalaną, a jeżeli która nią nie jest, udawanie, którego się dopuszcza, zawsze jest przecież hołdem, składanym przyszłemu jej kochankowi.

Te uwagi błysnęły nagle przed oczyma duszy młodzieńca i dały mu nową rozkosz. W istocie dla nich obojga to wzajemne badanie się musiało być źródłem ciągłego potęgowania się namiętności, a krewki marynarz doszedł prędko do tego jej stopnia, na którym wady i zalety kochanki bez różnicy potęgują uczucie. Panna de Verneuil długo milczała. Może téż wyobrażnia jej pozwalała objąć myślą większe przestwory przyszłości, aniżeli te, które widział przed sobą młody emigrant, ulegający niektórym tylko z tysiąca uczuć, jakie składały się na jego żywot męski, podczas gdy Marya oczyma duszy widziała życie całe i z upodobaniem urządzała je sobie w myśli piękném, przepełniała dni jego szczęściem i meblowała, że tak powiem, wielkimi, wzniosłymi i szlachetnymi uczuciami. Szczęśliwa w myśli, zalotna więcej jeszcze w swoich marzeniach, aniżeli w rzeczywistości, więcej w przyszłości niż w obecnej chwili, Marya starała się jeszcze cofnąć wstecz. Działała ona w ten sposób instynktownie, jak zwykle działają kobiety. Postanowiwszy już w najskrytszym zakątku swjej duszy oddać mu się zupełnie, pragnęła, jeżeli tak się wyrazić można, drożyć się z każdym krokiem, wiodącym naprzód do celu. Chciała powrócić przeszłość i wycofać z niej wszystkie słowa, giesta, spojrzenia i czyny, ażeby je dostroić do wysokości — kobiety kochanej. To téż oczy jej wyrażały pewien rodzaj przerażenia, gdy myślała o rozmowie, jaką z nim miała, i o tém, jak się napastniczo względem niego zachowała. Przypatrząc się jednak téj twarzy, w której malowała się siła, mówiła sobie, że istota tak potężna musi być szlachetną, i z zadowoleniem dumy przyznawała, że dostała jej się w udziale cząstka lepsza, niż innym kobietom, widziała bowiem w ukochanym swoim człowieku z charakterem, człowieka skazanego na śmierć, który dla swoich przekonań igrał z życiem, niosąc je na ofiarę walce z Rzeczpospolitą. Nadzieja, że będzie mogła niepodzielnie posiadać tę potężną duszę wkrótce, nadało wszystkim rzeczom w jej oczach inną fizyognomię. Pomiędzy chwilą, w której, godzin temu pięć, układała głos i spojrzenie tak, aby podrażnić tego człowieka — a obecną, w któ-

rój czuła, że jednym spojrzeniem wzruszyć go może do głębi, była taka różnica, jak między światem umarłym a światem żywym. Śmiechy wesołe, swobodne, kokieterya — kryły potężną namiętność, która przychodziła jak nieszczęście, z uśmiechem na ustach.

W tém usposobieniu ducha, w jakim znajdowała się panna de Verneuil, życie zewnętrzne przybrało dla niej cechę fantasmagoryi. Karetka minęła wioski, doliny, góry, miasteczka, które w umyśle jej nie pozostawiły żadnego wrażenia ani wspomnienia.

Tak przybyli do Mayenny, żołnierze eskorty zmienili się, Merle mówił do niej, ona mu odpowiadała, dyliżans przejechał przez całe miasto i puścił się w dalszą drogę, ale twarze ludzkie, domy, ulice, krajobrazy, osoby i przedmioty, ukazywały się i niknęły, jak nieokreślone i niewyraźne sennie marzenia.

Nadeszła noc. Marya podróżowała duchem po dyamentowém niebie, kąpiąc się w łagodném świetle gwiazd i księżyca, ciałem zaś po drodze do Fougères, nie zwracając uwagi na to, czy na niebie świecą gwiazdy czy słońce, nie wiedząc, co-to jest Mayenna albo Fougères, i nie pytając, gdzie jedzie?

Nie przychodziło jej na myśl nawet i nie przypuszczała, ażeby mogła niezadługo rozstać się z człowiekiem, którego wybrała i przez którego, jak wierzyła, wybraną została. Miłość jedyną jest namiętnością, która nie znosi przeszłości ani przyszłości. Jeżeli czasami myśl jej zdradzała się słowami, usta wymawiały zdania prawie pozbawione związku, które znajdowały wszakże oddźwięk w sercu jej kochanka, jak obietnice rozkoszy. W oczach dwojga świadków tej rodzącej się namiętności, postępowała ona olbrzymiemi krokami. Fanszeta знаła Maryę tak dobrze, jak pani du Gua znała młodzieńca i doświadczenie z przeszłości nakazywało im obawiać się jakiegoś strasznego rozwiązania. I rzeczywiście niedługo czekać miały na zakończenie tego dramatu, który panna de Verneuil, nie wiedząc może o tém, nazwała tragedją.

O milę za Mayenną podróżni siedzący w karetkce usłyszeli nagle tętent cwałującego ku nim konia. Siedzący na nim człowiek, który zmuszał biedne zwierzę do takich wysiłków szybkości, dosięgnął niebawem dyliżans i zajrzał do jego wnętrza: panna de Verneuil poznała w nim Korentyna. Nieznośny ten człowiek pozwolił sobie przesłać Maryi jakiś znak porozumienia, którego poufałość miała w sobie coś dla niej upokarzającego, i pobiegł dalej, zmroziwszy ją tym nikczemnym gościem. Okoliczność ta niemile sprawiła wrażenie na młodemu człowiekowi i nie uszła uwagi kobiety, uchodzącej za matkę emigranta. Marya jednak uściśnięła go lekko i zdawała się we wzroku jego szukać obrony przed tém zuchwalstwem. Czoło wojskowego rozjaśniło się pod wpływem jej spojrzenia i doznał

rozkosznego wzruszenia, gdy uściskiem i wzrokiem pomimowoli kochanka mu ją dowiodła, jak wielką jest siła jej miłości. Jakaś niewytłomaczona bojaźń na tę chwilę, usunęła wszelką kokieterę i miłość okazała się bez żadnej osłony. Zamilkli oboje: jak gdyby pragnęli przedłużyć trwanie tego słodkiego momentu. Na nieszczęście obok nich siedziała i śledziła wszystko z uwagą pani du Gua. Jak skąpiec, wydający ucztę, liczy gościom kawałki jadła, tak ona zdawała się wydzielać im chwile swobody i wymierzać obszar ich szczęścia. Zatopieni w niem kochankowi przybyli nareszcie, nie wiedząc nawet o rozmiarach przebytej drogi, w to miejsce, które znajduje się w głębi doliny Ernée a stanowi jedną z trzech kotlin, gdzie odbywały się wypadki, służące za tło do niniejszej opowieści.

Tutaj Fanszeta spostrzegła i wskazała towarzyszom podróży dziwne jakieś postacie, które zdawały się poruszać jakby cienie pomiędzy drzewami i krzakami otaczającymi drogę. Gdy się karetka do cieniów tych zbliżyła, padły naraz wystrzały na całej linii, których kule, przelatując ze świstem ponad głowami podróżnych, dowiodły im, że te fantasmagoryczne zjawiska były istną rzeczywistością. Eskorta wpadła w zasadzkę.

Ta strzelanina mocno nie podobała się kapitanowi Merle, który począł żałować, że zblądził tak, jak i panna de Verneuil, licząc na bezpieczeństwo szybkiej podróży w nocy, i że nie wziął ze sobą więcej, jak sześćdziesięciu ludzi. Natychmiast mały oddziałek pod dowództwem Gérarda rozdzielił się na dwie kolumny dla zajęcia obu stron szosy i obie puściły się przyśpieszonym krokiem, każda w inną stronę, przez polanki pomiędzy drzewami, starając się odeprzeć nieprzyjaciół bez zastanawiania się nad jego liczbą. Poczeli przedzierać się naprawo i lewo przez zarośla z nieostrożną odwagą i odpowiedzieli na atak Szuanów silnym ogniem w kierunku krzewow, z których padły pierwsze strzały.

Pierwszą myślą panny de Verneuil było wyskoczyć z karetki i odbiedz o kilka kroków od pola bitwy, ale wnet zawstydzona swą trwałością i powodowana tém uczuciem, które popycha do odznaczenia się w oczach ukochanej istoty, stanęła nieruchoma i usiłowała spokojnie zbadać stan rzeczy.

Młodzieniec pobiegł za nią, wziął ją za rękę i położył na swém sercu.

— Złęklam się — rzekła z uśmiechem — a teraz...

W tej chwili przestraszona jej służąca zawołała:

— Maryo! — ostrożnie...

Gdy jednak Fanszeta usiłowała za swoją panią wyskoczyć z dyliżansu, uczuła się gwałtownie pochwyconą za rękę. Olbrzymi cię-

zar tej ręki wydarł z piersi jej okrzyk przestachu. Obejrzała się i zamilkła, poznając w napastniku dawnego swego znajomego, Marche-a-Terre'a.

— Więc tylko błędem i wypadkom — mówił młody oficer do panny de Verneuil — winien będę stopniowe odkrywanie najdroższych tajemnic serca. Dzięki Fanszecie dowiaduję się nareszcie, że pani nosisz słodkie imię Maryi! to imię, które tylekroć powtarzałem w moich marzeniach. Marya! to imię, które teraz wymawiać będę w chwilach radości i smutku, łącząc uczucia religii i miłości! Czyż-to będzie zbrodnia modlić się i kochać zarazem?

I uściśniły się za ręce w milczeniu, a nadmiar uczucia i wrażeń odjął im moc i możność ich wyrażenia.

— Nie wam tu grozi niebezpieczeństwo! — rzekł tymczasem Marche-a-Terre do Fanszety, nadając grubemu i gardłowemu dźwiękowi swojego głosu odcień wyrzutu, i wymawiając każdy wyraz z naciskiem, w skutek czego biedna wieśniaczka straciła prawie przytomność.

Po raz pierwszy biedaczka we wzroku swego dawnego przyjaciela dostrzegła błyski okrucieństwa. Blask księżycy zdawał się być jedynym światłem, dla tej twarzy stosownym. Dziki ten Bretończyk, trzymający czapkę w jednej ręce, ciężki zaś swój karabin w drugiej, zwinięty w kłębek, jak gnom skalisty, w tém srebrném świetle, którego fale nadają kształtom tak dziwny wyraz, podobnym był raczej do zjawiska, niż do postaci rzeczywistej. Ukazanie się jego i wyrzeczenie tych słów, tchnących wyrzutem, miało w sobie coś z szychkości mar i widziadeł.

Zwrócił on się nagle do pani du Gua i zamienił z nią kilka słów gwałtownie z nią wyrzeczonych, których Fanszeta, zapomniawszy niższo-bretońskiego narzecza, zrozumieć nie mogła. Pani ta zdawała się Szuanowi wydawać różne i liczne zlecenia. Krótka ich konferencya skończyła się giestem energicznego rozkazu, którym wskazała na zakochaną opodał parę.

Zanim jednak Marche-a-Terre dowieść mógł posłuszeństwa tym rozkazom, spojrział na Fanszetę, której zdawał się żałować. Chciałby był odezwać się do niej i Bretonka widziała, że milczenie jego jest przymusowem. Gruba i pomarszczona skóra Szuana zdołała się jeszcze sfałdować na czole a brwi ściągnęły się gwałtownie.

Wykrzywienie to jego twarzy wstrętnem było zapewne dla pani du Gua, ale blask jego oczu stał się prawie słodkim dla Fanszety, która w spojrzeniu tém dostrzegła, iż swoją kobietą wołą zdoła jeszcze ugiąć energię tego nawpół dzikiego człowieka i zapanuje, zaraz po Bogu, nad tém sercem nieczułem i twardem.

Miłą rozmowę dwojga kochanków przerwała teraz pani du Gua,

która, wysiadłszy z dyliżansu, przypadła do nich z krzykiem, pochwyciła Maryę za rękę i odciągnęła od marynarza, jakby jej groziło jakie niebezpieczeństwo. Celem tego manewru było jedynie chwilowe jej usunięcie i danie sposobności jednemu z członków komitetu królewskiego w Alençon, którego pani du Gua poznała, do swobodnego rozmówienia się z młodzieńcem.

— Strzeż się pan kobiety, którą poznałeś w hotelu pod trzema murzynami!

Szepnąwszy to krótkie zdanie do ucha młodzieńcowi, kawaler de Valois, który na małym koniku bretońskim podbiegł był ku niemu z zarośli, pędem strzały ukrył się w nich napowrót.

W tej chwili wystrzały poczęły padać z obu stron z niezwykłą żywością, do starcia się jednak stron walczących nie przyszło.

— A może to fałszywy atak, kapitanie! — może oni tylko chcą porwać naszych podróżnych i gruby okup na nich nałożyć? — zauważył Clef-de-Coeurs.

— Niech mnie dyabli wezmą! Ty chyba w ich głowach siedzisz! — odrzekł Gérard i pobiegł cwałem ku karecie.

W tej chwili ogień Szuanów milknąć począł, gdyż ostrzeżenie, jakie młody marynarz otrzymał, było jedynym celem zaczepki. Merle dojrzał nieprzyjaciół w niewielkiej liczbie, w las zdążających przez pola i płoty, lecz nie uważał za stosowne, goniąc ich, narażać swych żołnierzy na niebezpieczeństwo bez spodziewanych korzyści. Gérard krótkim słowem polecił eskorcie zająć pozycję poprzednią około dyliżansu i wszystko wróciło do porządku bez straty w ludziach z jednej i drugiej strony. Kapitan zdążył podać ramię pannie de Verneuil i chciał pomódz jej wsiąść do karetki, towarzyszył bowiem jej podróżą stał na miejscu, jakby piorunem rażony.

Zdziwiona paryżanka nie przyjęła usługi paryżanina i wsiadła sama do powozu; obejrzała się za swoim kochankiem, obaczyła go nieruchomym i oniemiałym. Niezmiernie zdziwiła ją nagła zmiana, jaką wywołały w nim tajemne słowa nieznajomego Szuana. Młody emigrant szedł powoli ku karecie, a wyraz jego twarzy zdradzał uczucie głębokiego wstrętu.

— A co? czyż nie miałam racji? — mówiła mu do ucha pani du Gua, podprowadzając go do drzwiczek karetki — wpadliśmy w ręce jednej z tych niegodziwych kobiet, z którymi zawarto układ o twoje głowę! A teraz, kiedy ona tak głupia, że się w tobie zakochała, zamiast pełnić swoje rzemiosło, nie zapomnijże się pan i udawaj miłość dla niej przynajmniej tak długo, dopóki nie dostaniemy się do Vivetiére... Tam już...

Wsiedli do powozu.

— A może on ją już kocha? — pomyślała pani du Gua, wi-

dząc, jak młodzieniec siedzi osłupiały na swoim miejscu naprzeciw Maryi.

Powóz głucho toczył się po piasku drogi. Od pierwszego spojrzenia wokół siebie, panna de Verneuil poznała, że wszystko się zmieniło. Śmierć wślizgała się już do ich miłości. Były to zapewne tylko drobne odcienie, ale dla kobiety, która kocha, odcienie takie równają się żywym kolorom. Fanzeta zrozumiała, że spojrzeń Marche-a-Terre'a, że los panny de Verneuil, nad którą czuwać mu kazała, nie w jej, lecz w innych spoczywał rękach. Zbladła więc bardzo i nie mogła nawet przed okiem swojej pani ukryć łez obfitych. Nieznajoma źle ukrywała pod fałszywym uśmiechem złośliwość zemsty kobiecej, a nagle zmiana, jaka zaszła w jej obejściu, głosie i fizygnomii, od chwili gdy natarczywie poczęła się opiekować panną de Verneuil, dała wiele do myślenia osobie tak przenikliwej, jak Marya.

To też panna de Verneuil instynktownie zadrżała, a gdy zapytała sama siebie: „dlaczego drzę? wszakże to jego matka!“ drgnęła powtórnie i jeszcze silniej, gdyż musiała sobie odpowiedzieć: — „A któż wie, czy-to jego matka?“

Spostrzegła przed sobą przepaść, którą jeden rzut oka na nieznajomą jeszcze bardziej rozszerzał.

— Ta kobieta go kocha! — pomyślała. Ależ w takim razie pocóżby okazywała mi tyle grzeczności teraz, kiedy pierwój była tak chłodną? Czyż niema już dla mnie ratunku? Lub czyby się ona mnie obawiała?

Młody człowiek tymczasem, siedząc nieruchomy na swoim miejscu, rumienił się i bladł kolejno, spuszczać od czasu do czasu wdół oczy, ażeby ukryć dziwne wzruszenia, jakie nim miotaly. Silne zaciśnięcie ust niweczyło piękność ich a cera jego żółkła nagle pod wpływem walki burzliwych myśli. Panna de Verneuil nie mogła już nawet odgadnąć, czy uczucie miłości grało jeszcze rolę w tej walce?

Droga, otoczona borami, zupełnie ściemniała, a mrok panujący nie pozwalał aktorom tej sceny rozmawiać ze sobą oczami. Szmer wiatru, uginanie się pod jego powiewem całych kęp drzew wysokich, odgłos miarowych kroków eskorty, nadawały położeniu jakiś uroczysty charakter, który przyspiesza bicie serc. Panna de Verneuil nie mogła nie szukać myślą przyczyny tych wszystkich zmian. Obraz przebiegającego konno Korentyna stanął jej w oczach, jakby ukazując jej w tej chwili prawdziwe przeznaczenie. Po raz pierwszy odrana zastanowiła się głębiej nad swoim położeniem. Do tej chwili cała oddana szczęściu miłości, nie myślała ani o sobie ani o przyszłości. Nie mogąc dłużej znieść tej niepewności, szukała

i wyczekiwała z łagodną cierpliwością kochającego serca jednego spojrzenia młodzieńca. Gdy je wreszcie schwyciła, wzrok jej stał się tak błagalnym, jej bladość i drżenie były tak przejmująco-wymowne, że i on zachwiał się na chwilę — ale zawód był tē m boleśniejszy.

— Czy pani cierpi? — zapytał.

Głos ten, pozbawiony wszelkiej słodyczy, samo zapytanie, giest, wzrok — wszystko stanowiło dla niej dowód, że wypadki dzisiejsze należały do rzędu tych majaków duszy, które rozpraszają się i nikną, jak chmury nawpół zebrane, które wiatr roznosi.

— Czy ja cierpię? — odparła uśmiechając się z przymusem — miałam się właśnie pana o to zapytać.

— A mnie się zdawało, że się państwo doskonale rozumiecie — wtrąciła pani du Gua z akcentem fałszywej dobroduszości.

Ani młody szlachcic, ani panna de Verneuil nie znaleźli słowa odpowiedzi. Marya podwójnie obrażona, z gniewem i bólem widziała potężny urok swjej piękności — bezsilnym. Wiedziała, że pragnąc, mogłaby się dowiedzieć przyczyny tego zwrotu rzeczy, ale nie to budziło jej ciekawość i pierwszy raz może kobieta cofnęła się przed tajemnicą. Życie ludzkie jest, niestety! smutnie obfitę w położenia, w których bądźto w skutek nazbyt silnych refleksyj, bądź jakiejś katastrofy myśli nasze nie mają się na czēm oprzeć i zostają bez drogi wyjścia, bez celu dążenia; teraźniejszość nie ma w nich wtedy nici łączących z przeszłością i nie znajduje w przyszłości nic, z czēmby się związać mogła. Takim był stan panny de Verneuil.

Oparta o poduszki w głębi powozu spoczywała na nich bez czucia, jakby wyrwane z korzeniem drzewo. Niema i pełna cierpienia nie patrzyła już na nikogo, otuliła się swoją boleścią i słabą siłą woli wdzierała się w świat nieznany, w którym znajdują przytułek nieszczęśliwi. Kruki kracząc przelatywały ponad niemi, a chociaż tak jak wszystkie dusze silne miała i ona jakiś w sercu zachowany dla przesądów kątek, jednak nie widziała i nie słyszała złowróżbnych ptaków, nie zwróciwszy na nie uwagi. Tak jechali nasi podróżni czas jakiś w milczeniu.

— Już rozłączeni! — myślała sobie panna de Verneuil. A jednak nikt nie rzekł słowa dokoła nas! Czyżby Korentyn? Ale nie, onby w tē m nie miał żadnego interesu. Któż więc powstał, aby mię oskarżyć? Zaledwie pokochana, już doświadczam goryczy opuszczenia. Sieję miłość a zbieram wzgardę! Czyż zawsze pozostanie mojem przeznaczeniem widzieć szczęście i ciągle je tracić? Czula ona w swē m sercu niezwykle niepokoję, gdyż kochała rzeczywiście i kochała po raz pierwszy. Przypomniła jednak sobie, że nie rzuciła się jeszcze zbyt głęboko w przepaść, aby nie mogła znaleźć środków

obrony przeciw swęj boleści we własnej dumie, tak naturalnej u kobiet młodych i pięknych. Tajemnicy jęj miłości, tajemnicy, która nieraz torturom nawet zdołała się oprzeć, dotąd jęj nie wydarto. Podniosła się więc i zawstydzona, że wielkością swego cierpienia wskazywała miarę swojej miłości, wstrząsnęła głową ruchem właściwym ludziom wesołym, pokazała twarz a raczej maskę twarzy uśmiechniętą, a starając się powstrzymać drżenie głosu, zapytała kapitana Merle, trzymając się w pewnym oddaleniu od drzwiczek powozu:

— Gdzie jesteśmy, kapitanie?

— O półczwartęj mili od Fougères — łaskawa pani.

— To zapewne niebawem staniemy na miejscu — rzekła dalej, chcąc go zachęcić do zawiązania rozmowy, w której postanowiła złożyć kilka dowodów zręczności kobiecej.

— Oj te mile nasze! — odparł Merle rubasznie — nie są one szerokie, ale na długość, to nigdy się nie kończą. Jak się wydostaniemy na równinę, na wierzchołku tego pagórka, zobaczysz pani taką samą dolinę, jak ta, którą przebyliśmy, i wtedy w dali na horyzoncie będziesz pani mogła dojrzeć szczyt „Péleriny“. Dałby Bóg, żeby się Szuanom nie zachciało znów szukać kryjówki do nowęj na nas napasći. Mieliby pewny odwet. Otóż rozumie pani, że tak ciągle z góry na dół i z dołu do góry jadąc, nie jedzie się daleko wzdłuż. Z „Péleriny“ znowu zobaczysz pani...

Tu młody emigrant zadrżał, ale tak lekko, że tylko panna de Verneuil zauważyć to zdołała.

— Cóż-to jest ta Pélerina? — zapytała żywo, przerywając kapitanowi, zagłębiionemu w topografię Bretonii.

— Jest-to szczyt góry — rzekł Merle — od nięj bierze nazwę dolina rzeki Maine, którą przebyć mamy, i która oddziela naszą prowincję od doliny Couësson, gdzie na ostatnim skrawku leży Fougères, pierwsze miasto bretońskie. W końcu zeszłego vendemiaira biliśmy się tam z Garsem i jego zbójcami. Prowadziliśmy rekrutów, którzy nie chcąc opuścić swego rodzinnego kraju, chcieli nas wymordować na granicy, ale komendant Hulot nie dał sobie w kaszę dmuchać. Dał on im tam...

— Kiedy tak, to musisz znać Garsa, kapitanie? — zagadnęła. — Jak on wygląda?

Pytając kapitana, nie spuszczała z oczu tego, który przyznał się przed nią do nazwiska wice-hrabiego de Bauran i przyglądała mu się swemi przenikliwemi a pełnemi teraz gniewu oczami.

— O i jak, proszę pani! — zawołał Merle, nie zważając na to, że mu ciągle przerywała jego gadaninę. Jest on tak podobny do

obywatela du Gua, że gdyby nie ten mundur szkoły politechnicznej, założyłbym się, że to on sam.

Panna de Verneuil znowu utkwiała wzrok w zimnego, nieruchomego marynarza, który nią gardził, ale nie dostrzegła w nim śladu bojaźni. Cierpkim uśmiechem dała mu poznać, że w tej chwili posiadała tajemnicę, tak zdradziecko przezeń ukrywaną, a potem umieściwszy się tak, aby mogła widzieć równocześnie i siedzącego w karetkie młodzieńca i galopującego kapitana — rzekła głosem pełnym ironii do tego ostatniego:

— Ten herszt powstańców, kapitanie mocno niepokoi pierwszego konsula. Jest on śmiały, jak mówią, podobno puszcza się czasem na niebezpieczne awanturki, szczególnież z kobietami...

— Na to my też liczymy — odparł kapitan — żeby z nim rachunek załatwić. Bylebyśmy go tylko dostali, chociaż na dwie godzinki, ciężkaby miał potem głowę, bobyśmy ję dosypali trochę ołowiu. Ale i on nie inaczej-by z nami postąpił, gdyby nas dostał, to też *par pari*... równa szansa...

— O! — odezwał się emigrant — nie mamy się czego obawiać! Nasi żołnierze nie dojdą do „Peleriny“, zanadto są zmęczeni; jeżeli pozwolisz, kapitanie, będą mogli odpocząć stąd o parę kroków. Matka moja wysiadzie w Vivetiére, a tu właśnie o parę strzałów karabinowych jest droga, która tam prowadzi. Nasze panie zechcą pewno wypocząć trochę. Muszą być zmęczone, i bardzo nawet, taką podróżą od jednego zamachu z Alençon aż tutaj. Pani — dodał z wymuszową grzecznością, zwracając się do Maryi — która z taką szlachetną bezinteresownością zabezpieczyłaś naszą podróż, zarazem tak wiele ją uprzyjemniwszy, spodziewam się, że raczysz przyjąć wieczerzę u mojej matki. Wreszcie, kapitanie — mówił dalej, zwracając się znów do Merle'a — czasy nie są znowu tak złe, żeby wasi żołnierze nie znaleźli w Vivetiére kilka beczek cydru do wysuszenia! Przecież spodziewam się, że Gars nie zabrał wszystkiego, przynajmniej tak sądzi moja matka...

— Matka pańska? — odparła panna de Verneuil, przerywając mu z ironią, bez odpowiedzi na tak dziwne zaproszenie.

— Czyż wiek mój nie wydaje się pani prawdopodobnym — zapytała pani du Gua. Miałam nieszczęście wyjść za mąż bardzo młodo i zostałam matką w piętnastym roku życia...

— Czy się pani nie myli, może w trzydziestym?

Pani du Gua zbladła pod siłą tego sarkazmu. Chciałaby móżdżemścić się, a była zmuszona uśmiechnąć się, gdyż pragnęła w jakikolwiek sposób, choćby za cenę najkrwawszych epigramatów, przekonać się o uczuciach, jakie żywiła Marya. To też udała, że nie rozumie znaczenia słów panny de Verneuil.

— Nigdy Szuanie nie mieli wodza okrutniejszego, jeżeli wierzyć mamy temu, co o nim opowiadają — rzekła zwracając się do Fan-szety i zarazem do jej pani.

— O! ja nie wierzę w to wielkie okrucieństwo — odparła panna de Verneuil — ale to wiem, że on umie świetnie kłamać i zdaje mi się być bardzo łatwowiernym. A naczelnik stronnictwa nie powinien robić się niczyją igraszką.

— Czy go pani zna? — zapytał młody człowiek.

— Nie — odrzekła, rzucając nań wzgardliwe spojrzenie — zda-
wało mi się, że go znam.

— O pani! to już bez żadnych żartów, zręczna szelma — wtrą-
cił kapitan Merle, kręcąc głową i giestem nadając tej definicyi zna-
czenie dowcipu i sprytu. Te dawne rodziny wydają czasami potęż-
ne odrośle. Wraca on napowrót do kraju, gdzie to ongi, jak mó-
wią, szlachta nie miała wszystkich wygód, a ludzie, widzi pani,
dojrzewają na słomie, jak ulegałki. Jeżeli będzie mu się wiodło,
to długo przyjdzie nam za nim gonić. Umiał on naszym kompaniom
regularnym przeciwstawić lekkie i świeże oddziały, i zdołał zneu-
tralizować największe wysiłki rządu. Jak spalimy jedną wieś kró-
lewczyków, to on pali dwie wsie republikańskie. Rozwija się on
na ogromnej przestrzeni i zmusza nas do marnowania wielkich
sił wtedy, gdy nam właśnie brakuje ludzi! Oho! zna on swoje
rzemiosło!

— Zabija swoją własną ojczyznę! — zawołał Gérard silnym
głosem przerywając Merle'owi.

— Jeżeli tak — wtrącił młodzieniec — i jeżeli śmierć jego zabez-
pieczy kraj od zguby, rozstrzelajcie go jaknaprędzej!

Mówiąc to, zatrzymał spojrzenie badawcze i głębokie na pannie
de Verneuil, i rozegrała się pomiędzy niemi jedna z tych scen nie-
mych, których dramatycznej werwy i subtelnych odcieni żadne
pióro odmalować nie zdoła. Niebezpieczeństwo czyni zajmującym.
Gdy nadchodzi śmierć, najnędnniejszy zbrodniarz obudza zawsze
troskę litości. Otóż, chociaż panna de Verneuil była w tej chwili
najmocniej przekonana, że ten, który ją od siebie odtrącał, był tym
groźnym wodzem królewskiego stronnictwa, nie chciała jednak na-
dać o tém pewności wydaniem go w ręce republikanów. Ciekawość
jej innego łaknęła w tej chwili pokarmu. Wolała ona wątpić lub
wierzyć stosownie do chwilowej potrzeby uczucia i poczęła igrać
z niebezpieczeństwem. Wzrokiem, pełnym złośliwości wskazywała
młodemu człowiekowi żołnierzy z miną tryumfującą i, stawiając mu
w ten sposób przed oczy niebezpieczeństwo, z upodobaniem dawała
mu uczuć, że życie jego zawisło od jednego jej słowa i wargi jej

usteczek zdawały się już układać do wyrzeczenia tego fatalnego słowa.

Na podobieństwo dzikiego Amerykanina, badała ona drżenia mięśni w twarzy swego nieprzyjaciela stojącego u słupa karni, i wstrząsała ponad jego głowę narzędziem śmierci z gracyą i wdziękiem, kosztując rozkoszy tej niewinnej zemsty i karząc jak kochanka, która jeszcze kocha...

— Gdybym miała syna takiego jak pani — rzekła do pani du Gua, widocznie przerażonej — włożyłabym żałobę od chwili, w którejby się rzucił w wir niebezpieczeństw!

Nie odebrała żadnej odpowiedzi. Dwadzieścia razy odwracała głowę ku cwałującym przy karetce oficerom i zwracała się potem nagle ku pani du Gua, nie mogąc dostrzedz pomiędzy nią a Garsem żadnego znaku tajemnego porozumienia, który mógłby utwierdzić ją w przekonaniu, że dwie te osoby wiążą bliższe stosunki serdeczne, o jakie ich podejrzewała, lecz o jakich wątpić pragnęła. Kobieta z natury swój lubi tak wahać się pomiędzy życiem a śmiercią wtedy, gdy wyrok od niej zależy.

Młody generał uśmiechał się z najspokojniejszą miną i wytrzymał bez drżenia tortury, które mu zadawała panna de Verneuil. Jego zachowanie się i wyraz fizjonomii okazywały w nim człowieka nie zważającego na niebezpieczeństwo, w które popadł, i chwilami zdawał się mówić jej oczyma: oto masz chwilę dogodną do pomszczenia twój zranioną miłości własnej; nie opuszczaj jej! byłbym w rozpacz, gdybym był zmuszony zmienić wstręt, jaki czuję ku tobie, na cześć dla twój szlachetności!

Panna de Verneuil poczęła przyglądać się margrabiemu z wysokości stanowiska, jakie jej wytworzyły okoliczności, z impertynencyą i pozorną dumą, podczas gdy w głębi serca uwielbiała jego odwagę i spokój. Zadowolona z tego, iż ukochany jej nosi nazwisko jednej z najdawniejszych rodzin szlacheckich — przywileje bowiem zawsze mają urok w oczach kobiet — doznawała wielkiej rozkoszy, widząc go w tém położeniu, w którym, jako obrońca sprawy uszlachetnionej przez nieszczęście, walczył wszelkimi siłami swego potężnego ducha z tylokrotnie zwycięską Rzeczpospolitą, i podziwiając w nim tę swobodę i siłę w obliczu niebezpieczeństwa, które to zalety tak wielki wpływ miewają na serca kobiet. Wystawiała go ona na tysiące prób, ulegając może temu instynktowi, który skłania kobiety do igrania z swoją ofiarą, jak skłania kota do bawienia się z myszą, którą pochwycił.

— Na zasadzie jakiego prawa skazujecie na śmierć Szuanów?
— zapytała znów kapitana.

— Na zasadzie prawa z 14 fructidora roku bieżącego, które

wyłączyło departamenty powstańcze spod opieki ustaw cywilnych i oddało je pod jurysdykcję sądów wojennych — odrzekł republikanin.

— Czemuż w tej chwili zawdzięczać mam zaszczyt zwrócenia na siebie uwagi pańskiej i pańskich spojrzeń? — zapytała młodego generała, wpatrując się w nią uważnie i bystro.

— Pewnemu uczuciu, którego nazwy szlachetny człowiek nie może wymówić wobec kobiety, kimkolwiekby ona była — odrzekł pochichu margrabia de Montauran, nachylając się ku Maryi. Potem dodał głośniejszym głosem: — Potrzeba było dożyć obecnych czasów, aby zobaczyć kobiety spełniające funkcję katów i ubiegające się z nim o lepsze w zręczności, z jaką władają toporem.

Panna de Verneuil spojrzała bystro w oczy margrabiemu, potem zachwycona i porwana tą obelgą, jaką jej ciskał w twarz człowiek, którego życie na włosku trzymała w swjej dłoni, szepnęła mu do ucha z całą kokieteryą rozbrojoną nienawiści:

— Straszna pan masz głowę, kaci-by jej nie poradzili, wolę ją sobie zachować...

Zdumiony margrabia przez chwilę przyglądał się tej dziwnej istocie, której miłość zwyciężała wszystko, nawet najzjadliwsze obelgi, i która mściła się przebaczeniem takiej obrazę, jakiej kobiety nigdy nie przebaczą. Wzrok jej stał się mniej surowym, mniej zimnym a nawet pewien wyraz melancholii zaigrał w jej rysach. Namiętność jego ku niej była już silniejszą, niż sam przypuszczał.

Panna de Verneuil, zadowolona tym słabym zakładem upragnionego zbliżenia się nanowo ku niemu, rzuciła mu spojrzenie podobne do pocałunku, potem wcisnęła się w głąb' powozu i zaprzestała już wystawiać na ryzyko szczęście, którego nie, jak jej się zdawało, nawiązała napowrót tem spojrzeniem i tym uśmiechem.

I jakże wątpić miała! Była tak piękną! Umiała tak zręcznie zwyciężać przeszkody w miłości! Była tak przywykłą do igrania ze wszystkiem, tak lubiła iść poomacku naprzód po drodze życia! Tak się rozkoszowała burzami losu i tem wszystkiem, czego przewidzieć nie mogła!

Niedługo potem na rozkaz margrabiego karetka opuściła trakt pocztowy i zwróciła się w bok ku Vivetièrre drogą, zagłębioną pomiędzy dwa pagórki, obsadzone drzewami owocowemi. Droga ta podobną była w ten sposób do rowu bardziej niż do drogi. Podróżni przepuścili naprzód Błękitnych ku zamkowi, którego szare szczyty to ukazywały się, to nikły w dali pomiędzy drzewami. Za nimi pozostało tylko kilku żołnierzy, walczących o swe trzewiki z grzęzką i tłustą gliną.

— To dyabelnie przypomina drogę do raju! — mruknął Beau-Pied.

Dzięki doświadczeniu pocztyliona panna de Verneuil niezadługo ujrzała zamek Vivetière. Gmach ten wzniesiony na szczycie wyniosłości broniły dwa wielkie jeziora, nie pozwalając dostać się do niego inaczej, jak tylko tą wąską i stromą drożynką. Część półwyspu, w której znajdowały się mieszkalne zabudowania i ogrody, zasłaniał głęboki rów, przekopany w pewnej odległości od zamku. Rów ten łączył się ze stawami i przyjmował w siebie nadmiar ich wód, a w razie potrzeby napelniony zamieniał półwysep w niezdobytą wyspę, drogocenne schronienie dla naczelnika partyi, którego niepodobna było schwytać, chyba zdradą własnych ludzi. Usłyszawszy skrzyp zardzewiałych zawiasów bramy, wiodącej pod sklepienie owalnego portyku, zniszczonego podczas ostatniej wojny, panna de Verneuil wysunęła głowę. Karetka wjeżdżała właśnie na wielkie podwórze prawie kwadratowe, ograniczone z trzech stron wodą jezior. Dziki koloryt krajobrazu, który przedstawił się jej oczom, zatarł na chwilę wszystkie marzenia o miłości i kokieteryi, które nią kołysały. Te smutne brzegi, kąpiące się w wodach, pokrytych szerokimi kępami zielonych, wodnych roślin, tworzących jakby wielkie modre plamy, miały za całą ozdobę kilka tylko drzew nadwodnych, odartych z liści. Przez ich niskie i zgrubiałe wierzchołki gałęziste, wznoszące się ponad trzciny i krzewy dziwaczne, przerażające sprawiały wrażenie. Te płoty bezkształtne zdawały się poruszać i przemawiać, gdy żaby, skrzeczając, zpod nich uciekały i gdy kurki wodne, obudzone łoskotem wjeżdżającej karety, z krzykiem i łomotem na brudne chroniły się wody.

Podwórze, otoczone wysokimi trawami i zwiędłymi, karłowatymi krzewami lub pasorzytnym chwastem, wyłączała wszelką myśl o porządku i przepychu. Zamek wyglądał jakby opuszczony od dawna. Dachy zdawały się ugiąć pod ciężarem pokrywających je dzikich roślin. Mury, jakkolwiek wzniesione z wielkich, trwałych i twardych kamieni, przedstawiały wszakże mnóstwo szczelin, wokoło których zaczepiony bluszcz wił się aż do stropów. Dwa skrzydła, połączone pod kątem prostym, z wielką i wysoką basztą wprost stawu, stanowiły cały zamek, którego drzwi i okiennice spróchniałe i ledwo wiszące na zawiasach, balustrady zardzewiałe, zdawały się oczekiwać tylko pierwszej burzy, aby się w gruzy rozsypać. Ostry wiatr dał przez szczeliny tych ruin, którym blade księżycowe światło niepewnością i drżeniem swoim nadawało fizyognomię i charakter wielkiego szkieletu.

Trzeba-bo widzieć kolory tych granitowych kamieni szarych i błękitnych w połączeniu z kolorami piaskowców czarnych i bru-

dno-żółtych, aby uznać, ile jest prawdy w tém porównaniu, jakie na myśl przywodził widok owej pustki ciemnej i posepnej. Te rozwodzące się szyby, te okna bez szyb, ta wieża bez balustrady fortecznej, te dachy podziurawione nadawały zameczysku istotnie pozór szkieletu; ptaki drapieżne, które uleciały z krzykiem, dodawały jeszcze jeden rys więcej podobieństwa.

Kilka pięknych i wysmukłych sosen po-za gmachem kołysało ciemno-zielone swe igły ponad dachem a kilka świerków, przytulonych po bokach, ubierało je w smutne festony, podobne do pogrzebowych obić. Nakoniec kształt drzwi i bram, trywialność ornamentów, brak jednolitości w całej budowie, wszystko to okazywało i dowodziło, że była to jedna z tych twierdz feudalnych, któremi szczyci się Bretania może nawet i słusznie, gdyż tworzą one na tym gallijskim gruncie rodzaj pomnikowej historii zamierchłej, poprzedzającej okres powstania monarchii.

Panna de Verneuil, w której wyobraźni *zamek* budził zawsze kształty pewnego stałego modelu, uderzona ponurą fizyognomią obrazu, lekko wyskoczyła z karetki i poczęła podziwiać go przez chwilę z przerażeniem, myśląc o tém, co począć miała w przyszłości? Fanszeta dostrzegła w oczach pani du Gua wyraz niezmiernej radości, gdy się znalazła w bezpiecznem przed Błękitnem miejscu, i okrzyk przestrachu wydarł się z jej piersi, gdy ciężka brama zamkowa zawarła się za podróżnemi i gdy obaczyła się w obrębie tej naturalnej twierdzy. Margrabia de Montauran podbiegł szybko ku pannie de Verneuil, odgadując myśli, które ją w tej chwili dręczyły.

— Zamek ten — rzekł z pewnym odcieniem smutku — został zniszczony przez wojnę, jak projekta, które budowałem dla naszej przyszłości, przez panią...

— Jako? — zapytała zdziwiona.

— Czyż jesteś pani „kobietą młodą, piękną, *szlachetną* i rozumną”? — rzekł z ironią, powtarzając słowa, które mu ona rzuciła w zalotnej rozmowie na drodze.

— Któż panu powiedział, że tak nie jest?

— Przyjaciele, godni wiary, których obchodzi moje bezpieczeństwo i którzy czuwają nad tém, aby odwrócić ode mnie zdradę.

— Zdradę! — rzekła z wyniosłym szyderstwem. Czyż Alençon i Hulet są już tak daleko? Brak panu pamięci, a jest to niebezpieczna wada dla naczelnika partyi! Ale jeżeli przyjaciele — dodała z wysoką impertynencją — panują tak wyłącznie nad pańskim sercem, trzymaj się pan swych przyjaciół. Niema nic słodsze go na świecie nad rozkosz przyjaźni. Ja żegnam pana; ani ja, ani żołnierze Rzeczypospolitej nie wejdą tutaj.

Zwróciła się ku zamkniętej bramie z giestem obrażonej godności i wzgardy, ale w ruchach jej i chodzie odbiło się tyle szlachetności i rozpacz, że wszystkie zamysły margrabiego zmieniły się w jedną chwilę. Zbyt trudno mu było zrzec się swoich namiętnych pragnień; wołał być nieostrożnym i łatwowiernym. I on już kochał. Oboje więc, kochając się, nie mieli ochoty długo być ze sobą w niezgodzie.

— Jeszcze jedno dodaj słowo a tobie uwierzę! — zawołał błagalnym głosem.

— Jedno słowo! — odparła z ironią, zaciskając usta — jedno słowo, powiadasz pan. Nie! nawet jednego giestu nie dodam...

— Przynajmniej niegniewaj się pani na mnie — prosił, starając się ująć jej rękę, którą usuwała — jeżeli śmiesz odtrącać naczelnika powstańców, o tyle w tej chwili nieufnego i smutnego, o ile niedawno jeszcze był pewnym radości i zaufania.

Marya spojrzała na niego bez gniewu.

— Posiadasz pani moją tajemnicę a ja nie znam twojej! — dodał.

Na te słowa czoło jej alabastrowej białości zaćmiło się. Rzucała mu gniewne spojrzenie i zawołała:

— Moją tajemnicę? — Nigdy!

W miłości każdy wyraz, każde spojrzenie ma wymowę danej chwili. Tym razem jednak panna de Verneuil nie wyraziła nic stanowczego i jakkolwiek zręcznym i biegłym był Montauran, tajemnica tego zaklęcia się pozostała niezgłębioną, chociaż głos Maryi zdradzał wzruszenia niezwykle, które żywo musiały podrażnić jego ciekawość.

— Masz pani oryginalny sposób rozpraszania podejrzeń!

— Więc masz je pan jeszcze? — zapytała, mierząc go od stóp do głów spojrzeniem, jakby mu chciała powiedzieć: — Jakie masz prawa do mnie i nade mną?

— Pani — rzekł młodzieniec — władza, jaką pani masz nad wojskiem republikańskim, eskorta, która panią otacza...

— Ach! dobrze, żeś mi pan przypomniawszy. Zapytać chciałam, czy ja i moja eskorta, jednym słowem, my, którzyśmy pana osłaniali przed jego przeciwnikami, jesteśmy bezpieczni w tym zamku?

— Na to daję moje słowo honoru! Kimkolwiek pani jesteś, ty i wszyscy twoi nie możecie obawiać się niczego w naszym domu.

Ta przysięga wyrzeczona była z wyrazem tak stanowczym, pełnym honoru i prawości, że panna de Verneuil musiała nabrać przekonania i wiary w bezpieczeństwo żołnierzy republikańskich. Chciała coś odpowiedzieć, ale nadejście pani du Gua zniewoliło ją do milczenia. Mogła ona usłyszeć lub odgadnąć rozmowę dwójga

kochanków, i niemały ogarnął ją niepokój, gdy spostrzegła ich w pozycji, niezdradzającej żadnego nieporozumienia. Widząc ją zbliżającą się, margrabia podał ramię pannie de Verneuil i powiódł ku zamkowi z pośpiechem, w którym widać było chęć pozbycia się nie milego towarzystwa.

— Przeszkadzam im — pomyślała — zostając nieruchomie na miejscu, które opuścili. I patrzyła za parą kochanków pogodzoną, odchodzącą w kierunku przedsionka, gdzie zatrzymali się, skoro tylko dostrzegli, że dostateczna rozdziela ich przestrzeń od pani du Gua. — Tak, przeszkadzam im, to widoczne — zaczęła mówić sama do siebie — ale niedługo tu nędzna przechadzać mi się będzie. Staw ten będzie jej grobem. Na wszystkie piekła! czyż nie dobrze dotrzymam swego słowa honoru? Kto raz pod tę wodę się dostanie, ten niczego obawiać się nie potrzebuje. Pod wodą będzie bezpiecznie!

I wpatrzyła się uważnie w zwierciadło spokojne mniejszego z jezior, na prawej stronie położonego, gdy wtém posłyszała nagle szeleśt w trcinach nadbrzeżnych i ujrzała w świetle księżyca twarz Marche-a-Terre'a, wytkniętą ponad wygięty, gruby pień starzej wierzby. Trzeba było dobrze znać Szuaną, ażeby go odróżnić od tego tła naszych kolorów, z którymi cera jego zlewała się tak łatwo.

Pani du Gua obejrzała się naprzód dokoła. Zobaczyła, że pocztylion wprowadzał konie do stajni, mieszczących się w skrzydle zamku, położonem naprzeciw brzegu, na którym Marche-a-Terre się ukazał. Fanszeta w téjże chwili zbliżyła się do pary kochanków, którzy zapomnieli o całym świecie.

Widząc to pani du Gua, podeszła ku owemu brzegowi, palcem na ustach nakazując głębokie milczenie. Po chwili Marche-a-Terre odgadł raczej, niż usłyszał pytanie:

— Ilu was tu jest?

— Osiemdziesięciu siedmiu.

— Ich jest tylko siedemdziesięciu pięciu. Liczyłam sama.

— Dobrze — odparł dziki z wyrazem jakiegoś złowrogiego zadowolenia.

Baczny na każdy ruch stojącej w przedsionku Fanszety Szuan zniknął za pnem drzewa, uważając, że piękna dziewczyna śledziła oczyma za nieprzyjacielem, którego przeczuwała instynktem.

Siedem czy osiem postaci męskich na odgłos nadjeżdżającej karetki ukazało się w ganku i w oknach. Zobaczywszy przybyłych, zaczęli krzyczeć: Gars przyjechał! To on! Już jest! Inni zwabieni tém wołaniem zbiegli się co żywo.

Ukazanie się ich przerwało rozmowę kochanków.

Margrabia de Montauran postąpił śpiesznie ku nim i nakazującym gościom ręce zalecając im milczenie, wskazał na podwórze, dokąd właśnie wchodzili żołnierze republikańscy. Na widok błękitnych mundurów z czerwonymi wyłogami, tak dobrze im znanych i błyszczących bagnatów, zdumieni spiskowcy zawołali:

— Czy przybywasz dlatego, aby nas zdradzić?

— Nie ostrzegałbym was o niebezpieczeństwie — odparł margrabia z gorzkim uśmiechem. Ci Błękitni — dodał po chwili — stanowią eskortę tej młodej damy, której szlachetność cudownym sposobem wybawiła mnie z strasznego niebezpieczeństwa, w jakie popadłem w pewnej oberży w Alençon. Opowiem wam później tę historię. Pani ta i jej eskorta mają moje słowo honoru i winni być traktowani, jako przyjaciele.

Pani du Gua i Fanszeta zeszli się tymczasem w przedsionku; margrabia znowu podał ramię pannie de Verneuil; grupa młodych ludzi wyższego pochodzenia, którzy oczekiwali na Garsa w zamku Vivetière, rozstąpiła się, tworząc szpaler dla przepuszczenia młodej pary, a każdy starał się dojrzeć rysów nieznanym; pani du Gua bowiem zdołała już za pomocą kilku ukradkiem przesłanych sygnałów rozbudzić ogólną ciekawość.

W pierwszej sali panna de Verneuil spostrzegła stół nakryty z prawdziwą elegancją i przygotowany na dwudziestu współbiesiadników. Sala ta łączyła się z obszernym salonem, w którym niebawem znalazło się całe towarzystwo. Obie izby licowały ze sobą wybornie w zniszczeniu i zaniedbaniu z zewnętrznym stanem zamku. Starożytne ozdoby z drzewa orzechowego, politurowane, przedstawiały się w kształtach grubych i nie obrobionych, wydatne wprawdzie, lecz nie piękne; były one przytępione popaczone i zdawały się grozić upadkiem. Kolor ich ciemny dodawał jeszcze wejrzenia smutnego tej sali, pozbawionej zwierciadeł, obici i firanek, w której trochę odwiecznych i zniszczonych mebli godziło się z tłem ogólnej ruiny.

Marya spostrzegła na stole porozkładane mapy geograficzne i plany, dalej w rogach salonu porozrzucone szable i nagromadzone karabiny. Wszystko świadczyło, że przybycie ich przerwało ważną konferencję naczelników powstania wandejskiego z naczelnikami Szuanów. Margrabia zaprowadził pannę de Verneuil do ogromnego spróchniałego fotelu pod kominkiem, a Fanszeta umieściła się po-za swą panią, opierając się o poręcz tego starożytnego mebla.

— Pozwoli mi pani opuścić się na chwilę? Muszę spełnić urząd gospodarza domu — rzekł margrabia, pozostawiając obie nieznanome i wmieszał się pomiędzy grupy swoich gości.

Uważna Fanszeta dostrzegła, jak na kilka słów Montaurana

wszyscy poczęli usuwać broń i ukrywać mapy i plany, wogóle chować wszystko, co mogłoby obudzić podejrzenie republikańskich oficerów. Niektórzy z nich pozdejmowali nawet z siebie szerokie pasy z bawolej skóry, w których ukrywały się noże i pistolety. Margrabia zalecił największą ostrożność i dyskrecję i wyszedł, tłumacząc się potrzebą przyjęcia niewygodnych gości, jakich mu los nastreczył.

Panna de Verneuil, odwrócona do kominka, grzała zziębnięte swe nogi i pozwoliła Montauranowi odejść, nie obejrzawszy się nawet, myśląc w ten sposób zawieść oczekiwania wszystkich, którzy pragnęli gorąco lepiej ją obaczyć. Tak więc Fanszeta sama tylko była niemym świadkiem zmiany, jaką spowodowało wyjście naczelnika. Wszyscy obecni ugrupowali się dokoła tajemniczej pani du Gua, a podczas dosyć długiej sekretnej z nią rozmowy, każdy z nich kilkakrotnie nie ośmiślał obejrzyć się w kierunku kominka i obu nieznanym kobiet.

— Znacie Montaurana — mówiła im — w jednej chwili zabalamucił się w tej dziewczynie. Wiecie także, że z moich ust najlepsze rady ma w podejrzeniu. Przyjaciele, których widzieliśmy w Paryżu, panowie de Valois i d'Esgrignon, d'Alençon, uprzedzili go o zasadzce, jaką nań gotują przy pomocy jakiejś kobiety: a on, nie zważając na nic, lgnie do pierwszej, jaką spotyka, i to do nędzniczki jakiejś, która według zebranych przeze mnie objaśnień przybiera imię wielkiej rodziny, aby je zhańbić, która...

Kobieta, mówiąca to, w której rozpoznać nietrudno jedną z tych, które kierowały powstaniem Szuanów, w opowieści tej zachowała i nadal nazwisko, jakie posłużyło jej do uratowania się z niebezpieczeństwa w Alençon. Odkrycie prawdziwego jej nazwiska mogłoby tylko obrazić szlachetną rodzinę, i tak mocno zasmuconą wybrakami tej awanturnicy, będącej zresztą przedmiotem innej opowieści.

Niedługo też pod wrażeniem słów pani du Gua ciekawość ogólna, przejmująca do głębi całe towarzystwo, nabrała cech impertynencji a nawet nieprzyjaznego usposobienia. Kilka niemiłych, głośno wyrzeczonych wyrazów dobiegło uszu Fanszety, która ostrzegłszy po cichu swoją panią, schroniła się we framugę okna.

Marya powstała, zwróciła się twarzą do wzburzonych grup i spojrzała na tych, po większej części młodych ludzi, wyniosłe a nawet wzgardliwie. Piękność jej, szlachetne ruchy i duma, jaka odbijała się w jej spojrzeniu, zmieniły znów w jednej chwili usposobienie jej nieprzyjaciół i wywołały szmer podziwu dla niej, który się wyrwał mimowoli.

Dwóch albo trzech z tych mężczyzn, których maniery zewnętrz-

ne zdradzały nawyknienie do grzeczności i galanterii, jakiej nabywa się w sferach dworskich, zbliżyło się ku niej. Zachowanie się Maryi przejęło ich uszanowaniem, żaden nie śmiał rozpocząć z nią rozmowy: zdawała się być nie obwinioną, ale sędzią tych ludzi. Naczelnicy téj wojny, wszczętęj pod hasłem Boga i króla, okazali się wcale niepodobnemi do swych własnych portretów, jakie sobie odmalowała jęj bujna wyobraźnia. Walka ta, wielka w istocie, skarłała w jęj oczach i przybrała charakter nader zwyczajny, gdy oprócz dwóch albo trzech prawdziwie wyrazistych twarzy, ujrzała samę tylko prowincjonalną drobną szlachtę o twarzach pozbawionych wyrazu energii i życia. Z krajny poetycznych marzeń Marya wpadła w padół rzeczywistości. Fizyognomie te zdradzały od pierwszego rzutu oka nie tyle pragnień chwały, ile potrzebę intrygi. W istocie wielu potomkom rodzin starożytnych interes wkładał broń do ręki, a jeżeli w chwili czynu okazywali się prawdziwemi bohaterami, tutaj nazimno, nieświeatny przedstawiali widok.

Utrata iluzyi uczyniła pannę de Verneuil niesprawiedliwą i nie pozwałała jęj uznać prawdziwego poświęcenia, które wielom z tych ludzi dawało istotną wartość.

Tymczasem większość z pomiędzy nich odznaczała się niezbyt szlachetnemi manierami. Jeżeli jakaś figura oryginalnością wyróżniła się nad inne, zacieraly wypukłość jęj manieri i formułki arystokratyczne. Jeżeli Marya w pobłażliwości swęj mogła nie odmówić tym ludziom dowcipu i rozumu, musiała jednak zauważyć w nich brak zupełny téj prostoty i zarazem wielkości realnej, do której przyzwyczaily ją tryumfy ludzi Rzeczypospolitéj. To nocne zebranie pośród ruin tego starego zamku, przy tém całém otoczeniu i na tém tle tak dziwnie licującym z ludźmi, złamało usta jęj do uśmiechu i przedstawiło się w jęj umyśle, jak symboliczny obraz upadłej monarchii. Pomyślała z rozkoszą, że przynajmniej margrabia gra główną rolę pomiędzy temi ludźmi, których całą zasługą, że poświęcili się dla straconęj sprawy. Na ich tle zarysowała jęj wyobraźnia postać kochanka tém wybitniej uwydatniając ją ponad wszystkiemi temi, szczupłemi i nędznemi figurami, w których niebawem poczęła widzieć tylko ślepe narzędzia, posłużyć mające do spełnienia wielkich i szlachetnych „jęgo“ zamiarów.

W téj chwili odgłos kroków margrabiego rozległ się w sąsiedniej sali. Spiskowcy rozeszli się, podzielili na grupy a szepty ucichły. Podobni do dzieci, które figła jakiegoś spletały w nieobecności nauczyciela, starali się zachować pozory ciszy i porządku. Montauran wszedł.

Marya z uwielbieniem patrzyła na niego, widząc go najpierw-

szym pomiędzy wszystkimi, najmłodszym i najpiękniejszym. Jak król jaki wśród swego dworu przechodził on od jednej grupy do drugiej, rozdawał i rozdelał pomiędzy obecnych lekkie skinienia głowy, uściski dłoni, zyczliwe spojrzenia, wyrazy porozumienia lub wymówki. Spełniał on swoje obowiązki naczelnika stronnictwa z gracyą i pewnością siebie, trudną do uwierzenia w człowieku tak młodym, którego ona sama o trzpiotowatość z początku obwiała.

Obecność margrabiego położyła kres ciekawości, natarczywie czepiającej się panny de Verneuil, niezadługo wszakże podszczuwania pani du Gua odniosły swój skutek. Baron du Guénic znany pod przydomkiem *Intime*, który w całym tém gronie ludzi zgromadzonych tu w ważnej sprawie, z racyi imienia, jakie nosił, i stanowiska, jakie piastował, najwięcej zdawał się mieć prawa do poufalego stosunku z Montauranem, wziął go pod rękę i odprowadził na bok.

— Posłuchaj mię, kochany margrabio — rzekł — z przykrością widzimy wszyscy, że jesteś na drodze do popełnienia wielkiego szaleństwa.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Wieszże ty przynajmniej, skąd się wzięła ta dziewczyna, kim ona jest w rzeczywistości i jakie są jej zamiary wobec ciebie?

— Mój kochany! co mi do tego? tak mówiąc między nami, do jutra zrana przejdzie mi ta fantazyja.

— Zgoda! ale jeżeli ta kobieta przedtém zdoła cię wydać?

— Odpowiem ci na to wtedy, jak ty mi odpowiesz, dlaczego dotąd tego nie zrobiła — odparł Montauran żartobliwie, przybierając minę człowieka zaufanego w siłę swoich wdzięków.

— No! ale jeżeli się jej podobasz i jeżeli chce cię zdradzić także dopiero wtedy, gdy i jej dla ciebie fantazyja przeminie?

— Mój drogi! spojrzij tylko na tę przenikliwą kobietę, przyjrzyj się jej manierom i śmieję potém powiedzieć, że to nie jest kobieta prawdziwie dystygowana. Gdyby na ciebie rzuciła przychylnie spojrzenie, zaręczam ci, że uczułyś w głębi duszy wiele dla niej szacunku i poważałyś ją podobnie, jak ja. Wiem, że już ktoś źle cię uprzedził do niej, ale po tém, cośmy sobie powiedzieli, ja i ona, bądź spokojny; gdyby to była jedna z tych bezwstydných, o których donieśli nam przyjaciele, zabiłbym ją bez namysłu.

— Czy myślisz pan — rzekła pani du Gua, która się do rozmawiających zbliżyła, że Fouché jest tak głupi, aby na ciebie nasłał jaką pierwszą lepszą, pod płotem znalezioneą dziewczynę! Zmierzył się uroku, jaki na ciebie chciał rzucić, twoją wartością. Ale jeżeli

pan jesteś ślepy, przyjaciele twoi mieć będą oczy otwarte, żeby czuwać nad panem.

— Pani — odpowiedział Gars, rzucając na nią spojrzenie pełne gniewu — proszę pamiętać, aby nie stało się nic takiego, co by mogło wyrządzić przykrość jej lub eskorcie republikańskiej. W przeciwnym razie nikt i nic nie obroni moich przyjaciół od mojej zemsty. Chcę, aby osobę tę przyjęto z jaknajwiększymi względami jako kobietę do mnie należącą. Zdaje mi się, że Montauranowie spokrewnieni są z domem de Verneuil.

Przeszkody, jakie spotykał margrabia, wywołały ten sam skutek, jaki przeszkody podobne sprawiają zwykle u młodych ludzi. Chociaż pozornie traktował on pannę de Verneuil bardzo lekko, i chociaż przyznawał, że namiętność jego ku niej chwilowym tylko była kaprysem, podlegnięty uczuciu dumy, postąpił sam w tym uczuciu o wielki krok naprzód. Przyjmując tę kobietę do rodziny, brał honorowy obowiązek na siebie zapewnienia jej szacunku swych towarzyszy. Przechadzając się więc po sali, zbliżał się do rozmaitych grup, i zapewniał tonem człowieka, którego narazić sobie nie było bezpiecznem, że Marya jest rzeczywiście panną de Verneuil. Zaraz też wszelkie szepty i gawędy ucichły.

Gdy Montauran przywrócił pewną harmonię w zgromadzeniu i dopełnił obowiązków gospodarza, zbliżył się znowu do swej kochanki i z pośpiechem rzekł po cichu:

— Ci ludzie wydarli mi chwilę szczęścia.

— Bardzo rada jestem, że pana widzę przy sobie. Uprzedzam pana, że jestem ciekawa, i boję się go zmęczyć memi pytaniami. Powiedz mi naprzód, kto jest ten przyzwoicie ubrany człowiek na prawo, który ma na sobie zielony kaftan.

— Jestto sławny major Brigant, z Paryża, z cyrkułu Marais, towarzysz nieboszczyka Merciera, zwanego *La Vendée*.

— A ten duchowny o twarzy okrągłej, który z nim teraz rozmawia o mnie? — zapytała surowo panna de Verneuil.

— Czy pani wiesz, co oni mówią?

— Jakto, czy wiem?... Co znaczy to pytanie?

— Nie mógłbym pani tego powtórzyć, nie obrażając cię...

— Jeżeli tylko pozwalasz pan obrażać mię i nie karzesz obelg, jakie mię w tym domu spotykają, to żegnam cię, panie margrabio. Ani chwili nie chcę tu pozostać. Już zaczynam czuć wyrzuty sumienia, że tak niecznie oszukałam tych republikańców tak lojalnych i tak pełnych zaufania.

Postąpiła kilka kroków ku drzwiom, margrabia poszedł za nią.

— Maryo droga, posłuchaj mię... Przysięgam ci na honor, że nakazałem milczenie ich podejrzaniom, nie wiedząc sam, ile w nich

jest prawdy. Niemniej jednak w tém położeniu rzeczy, kiedy przyjaciele, których mamy w ministryach paryskich, ostrzegli mnie, abym nie ufał żadnej kobiecie spotkanéj po drodze, ponieważ Fouché na moję intencję z ulicznej jakiéjs bohaterki zrobić ma Judytę — przyznasz, że dozwoloném jest najbliższym moim towarzyszom przypuścić, że ty, Maryo, zbyt jesteś piękną na ...uczciwą kobietę...

Mówiąc to, margrabia wpatrywał się pilnie w oczy pannie de Verneuil, króra zarumieniała się i nie mogła powstrzymać kilku łez.

— Zasłużyłam na te obelgi — rzekła. Chciałabym widzieć pana przekonanym, że jestem kobietą godną wzgardy i równocześnie być kochaną przez ciebie... Wtedy dopiero nie wątpiłabym... Ja wierzyłam panu wtedy, kiedyś mię zwodził, a pan nie wierzysz mi nawet wtedy, gdy jestem samą prawdą. Skończmy więc, panie margrabio — dodała marszcząc brwi i błędąc równocześnie jakby umrzeć miała. Żegnam pana!

Wybiegła z sali, z gwałtownym porywem rozpacz.

— Maryo! życie moje całe tobie oddaję! — szepnął Montauran do ucha młodéj kobiety...

Stanęła i popatrzyła na niego.

— Nie, nie! — rzekła. Chcę szlachetną nadal pozostać! Żegnam cię! Gdy w myślach moich łączyła się z pańskim losem, zapomniałam o wszystkiém, o przeszłości mojej i o twojej przyszłości, byłam szalona!

— Jakto, więc pragniesz mię opuścić w téj właśnie chwili, kiedy życie składałam u stóp twych?

— Tak mówisz, obłąkany namiętnością.

— Nie! oddaję ci je bez żalu i nazawsze!

Weszła napowrót do sali.

Dla ukrycia swych wzruszeń, margrabia zaczął znowu przerwaną wpiérw rozmowę.

— Ten tłusty mężczyzna, o którego nazwisko pytałaś mię pani, to straszliwy człowiek. Jestto ojciec Gudin, jeden z tych jezuitów, mających dosyć uporu a może i dosyć poświęcenia, aby pozostać we Francyi pomimo edyktu z r. 1763, który ich z niej wygnał. Jest on zarzewiem wojny w téj okolicy i propagatorem Stowarzyszenia „serca Jezusowego“. Przywykły posługiwać się religią, jak narzędziem, przekonywa swoich zwolenników, że zmartwychwstaną, i umie podtrzymać ich fanatyzm zręcznemi prorocstwami. Jak pani widzisz, trzeba korzystać z osobistych interesów każdego, aby dojść do wielkiego celu. W tém leżą wszystkie tajemnice polityki...

— A ten starzec, czerstwy jeszcze, muskularny, o! tam nalewo, ten z taką wstrętną twarzą? Patrz pan, tam oto, ten ubrany w strzępki adwokackiej togii...

— Adwokackiej, mówisz pani? Ach ten! to, jak się jemu zdaje, nasz brygadyer. Nie słyszałaś pani nigdy o Longuym?

— Więc to on! — wykrzyknęła panna de Verneuil przerażona. Więc posługujecie się takimi ludźmi?

— Cicho! może nas usłyszeć... A widzisz pani tam znowu tego, który rozmawia z panią du Gua, pewno o rzeczach kryminalnej natury.

— Tego w czarném ubraniu, z wejrzeniem sędziego?

— To jeden z naszych agentów, nazywa się la Billardiére, jest on synem radcy parlamentu Bretanii, którego nazwiska sobie nie przypominam. Zdaje mi się, jest-to coś, jakby Flamet... Mimo tego ma on zaufanie u książąt.

— A ten obok niego, który nakłada w tej chwili swoją fajeczkę gipsową, i opiera się ręką na odrzwiach, jak halabardnik? — zapytała, śmiejąc się, panna de Verneuil.

— Na honor! dobrześ pani powiedziała... jest-to dawny leśniczy nieboszczyka męża tej kobiety... Dowodzi on jedną z kompanij, któremi walczę przeciw ruchomym batalionom armii republikańskiej. On i Marche-a-Terre są-to najwierniejsi zapewne słudzy, jakich król ma tutaj...

— Ale ona, któż jest ona?

— Ona — odpowiedział margrabia — jest-to ostatnia kochanka generała Charette. Wywiera ona wielki wpływ na nich tu wszystkich.

— Czy przynajmniej była wierną generałowi?

Za całą odpowiedź margrabia zrobił giest powątpiewania.

— I szanujesz ją pan?

— Doprawdy jesteś pani niemiłosiernie ciekawą...

— Jest ona moją nieprzyjaciółką, gdyż nie może być już moją rywalką — rzekła panna de Verneuil — przebaczam jej dawne błędy, niechże ona przebaczy mi moje. A ten wąsaty oficer?

— Pozwól pani zamilczeć jego nazwisko. Pragnie on uwolnić Francję od pierwszego konsula i chce tego dokonać z bronią wręku. Czy mu się uda czy nie, będzie sławnym. Usłyszysz pani o nim...

— I to pan przyjechałeś dowodzić takimi ludźmi? — zapytała ze zgrozą. Oto są obrońcy sprawy królewskiej. A gdzież są panowie i szlachta?

— Ależ — odparł margrabia — oni bawią na dworach europejskich. Któż-to zjednywa królów, ich gabinety, ich ministrów i armie całe dla domu Bourbonów, kto rzuca je na Rzeczpospolitą, która grozi śmiercią wszystkim monarchom i ogólném zniszczeniem porządkowi społecznemu.

— Ach! — odrzekła ze szlachetném wzruszeniem — bądź mi

pan odtąd źródłem czystym, z którego czerpać będę idee, jakie mi jeszcze nabyć przyjdzie... zgadzam się na to... Ale pozostaw mi swobodę myślenia, że jesteś jedynym szlachcicem, który walczysz za Francją na czele Francuzów, a nie cudzoziemców. Jestem kobietą i czuję, że gdybym była matką i gdyby dziecko moje biło mię w swęj zaciętości, mogłabym mu przebaczyć, ale gdyby toż dziecko moje z zimną krwią patrzyło, jak mnie biją obcy, uważałabym je za potwora!

— Zostaniesz pani zawsze republikanką — rzekł margrabia z zapalem obudzonego szlachetną indygnacją kobiety, która go w przypuszczeniach jego utwierdziła.

— Republikanką? Nie, nie jestem już nią... Nie szanowałabym pana, gdybyś się poddał pierwszemu konsulowi — odparła — ale nie chciałabym także widzieć pana na czele ludzi, którzy rabują jeden kącik Francji, zamiast atakować Rzeczpospolitą. Za kogoż bijecie się? Czego spodziewacie się od króla, przez was samych na tronie osadzonego? Już raz kobieta podjęła się wykonania tego arcydzieła, a król koronowany jej ręką, pozwolił jej zginąć na stosie! Ludzie ci — to pomazańcy boscy a niewolno bezkarnie dotykać rzeczy poświęconych. Pozostawcie Bogu samemu troskę o wynoszenie ich i strącanie z taburetów ze złota i purpury. Jeżeli oceniliście należycie wartość nagrody, jaka was czeka, jesteście dziesięć razy większemi, aniżeli z początku sądziłam, i niż się wam samym wydaje. Jeżeli tak jest, możesz mię zgnieść i zniszczyć — pozwalam ci i będę szczęśliwą.

— Jesteś pani zachwycającą! Nie próbuj przekonywać tych panów, pozostałbym wodzem bez żołnierzy.

— A gdybyś pan dał mi się nawrócić, poszlibyśmy razem daleko na tysiąc mil stąd!

— Ludzie ci, któremi pani zdajesz się gardzić, będą umieli zginąć w ogniu — odrzekł margrabia poważnie, i błędy ich będą zapomniane. Zresztą jeżeli moje wysiłki uwieńczy powodzenie, czyż wawrzyny tryumfu nie pokryją wszystkiego?

— Tylko pan jeden pomiędzy niemi masz coś do stracenia!

— Nie, pani, nie ja jeden — odpowiedział z prawdziwą skromnością. Oto widzisz pani tam dwóch nowych naczelników Wandei. Pierwszy, o którego nazwisku słyszeć pani musiałaś, *Grand Jacques*, jest to hrabia de Fontaine, drugi — la Billardière, którego już pani przedstawiłem.

— Zapomniałeś pan o wypadkach w Quiberon, gdzie Billardière odegrał prawdziwie dziwną rolę? — odrzekła, jakby uderzona naglęm przypomnieniem.

— La Billardiére wiele wziął na siebie, wierz mi pani. Nie jestto droga różami wysłana — służyć królom

— Ach! dreszcz mię przejmuję — zawołała Marya. Margrabbio — dodała tonem zdradzającym jakiś opór, którego tajemnica była jęj tylko własnością — jedna chwila wystarczy, aby rozwiać złudzenie i odkryć tajemnicę, od której zależy szczęście i życie wielu ludzi... Zatrzymała się, jakby w trwodze, aby nie powiedziała za durzo. Po chwili rzekła: — Chciałabym być pewną bezpieczeństwa żołnierzy republikańskich.

— Będę ostrożny — odrzekł uśmiechając się, aby ukryć wzruszenie; ale nie mów mi pani o swoich żołnierzach, wszakże słowem szlacheckiem zaręczyłem za nich pani.

— A zresztą jakież mam prawo tobie uwagi czynić, panie margrabbio — rzekła... Pomiędzy nami bądź ty zawsze panem. Czyż nie powiedziałam ci, że byłabym nieszczęśliwą, gdyby mój wybrany był niewolnikiem?

— Panie margrabbio — rzekł z uszanowaniem zbliżający się major Brigant — czy Błękitni długo tutaj zostaną?

— Odejdą, jak tylko trochę odpoczną — pośpieszyła z odpowiedzią panna de Verneuil.

Margrabia rzucił badawczy wzrok dokoła i zauważył jakieś ożywienie w grupach, opuścił więc pannę de Verneuil i pozwolił pani du Gua zastąpić się przy niej. Kobieta ta pod uśmiechniętą maską kryła fałsz i cierpkie spojrzenie margrabiego nie zdołało jęj zmieszać.

W tęg chwili Fanszeta wydała gwałtowny okrzyk, z trudem stłumiony. Panna de Verneuil, która ze zdziwieniem obaczyła, że wierna jęj towarzyszka wybiegła nagle z sali, spojrzała na panią du Gua, a zdziwienie jęj powiększyło się jeszcze bardziej na widok bladeści, która niezwłocznie pokryła twarz jęj nieprzyjaciółki. Pragnąc odkryć przyczynę tajemniczego oddalenia się Fanszety, Marya podbiegła do framugi okna, dokąd rywalka udała się za nią także, pragnąc osłabić podejrzenie i uśmiechnęła się z wyrazem niedającej się określić złośliwości. Rzuciwszy okiem na smutny pejzaż jeziora, wróciły obie do kominka.

Marya nie spostrzegła nic, coby usprawiedliwiać mogło ucieczkę Fanszety. Pani du Gua wróciła uradowana, że wykonano jęj rozkazy.

Jezioro, nad brzegiem którego ukazał się Marche-a-Terre na wezwanie tęg kobiety, łączyło się z wałem granicznym, który otaczał ogrody opisując dziwne krzywizny, to szerokie, jak stawy, to znów ścieśnione i wąskie, jak sztuczne rzeki parku. Brzeg stromopochyły, który się kąpał w tych jasnych wodach, wił się zaledwie

o kilka staj od okien. Zajęta przyglądaniem się na powierzchnię wód czarnym liniom cieniów, rzucanych przez wierchołki kilku starych wierzb, Fanszeta dość obojętnie z początku obserwowała jednostajne kołysanie się, jakie lekki wietrzyk wywoływał z suchych gałęzi. Nagle wydało jej się, że obaczyła na fali jeden z tych nieregularnych i nagłych ruchów, jakie oznaczają życie. Kształt, który ujrzała, jakkolwiek niewyraźny, zdawał się kształtem ludzkim.

Fanszeta przypisywała to widzenie swoje zamgleniu kształtów, jakie tworzyło światło księżyca, przedzierające się przez liście i gałęzie; niedługo jednak ukazała się druga głowa ludzka a potem inne w oddali. Małe krzewy nadbrzeżne pochyliły się i znowu gwałtownie podniosły. Fanszeta zobaczyła wtedy, że cały ten długi płot nieznacznie się porusza, jak jeden z tych wielkich węzów indyjskich o kształtach bajecznych. Niebawem w krzakach i trawach ukazały się tu i owdzie jakieś punkta świetlane, poruszające się i przesuwające.

Zdwajając uwagę kochanka Marche-a-Terre'a poznała jedną z tych czarnych postaci posuwających się w łonie ruchomego porbrzeża. Jakkolwiek niewyraźne były kształty tego człowieka, bicie jej serca przekonywało ją, że tym, którego widziała, był Marche-a-Terre.

Utwierdzona w swém przekonaniu jednym z gościów, które dojrzeć zdołała, i niewątpliwie pragnąc dowiedzieć się, czy tajemniczy ten pochód nie kryje w sobie jakiejś zdrady, wybiegła na podwórze, zbiegłszy w środek podwórza, usiłowała przyjrzeć się obu skrzydłom zamku i obydwu brzegom, nieświadoma przyczyn tego głuchego ruchu.

Poczęła słuchać uważnie i usłyszała lekki szelest, podobny do szmeru, jaki wydają kroki dzikiego zwierza w lesie. Zadrżała, ale nie przełękała się. Mimo młodości swęj i niedoświadczenia znalazła szybko łatwy sposób zadowolenia swęj mocno podrażnionej ciekawości. Spostrzegła w środku podwórza karetkę pocztową, pobiegła więc, wskoczyła do nięj i wysunęła główkę, jak zając, do którego uszu dolatują odgłosy zbliżającego się polowania. Tak śledząc, dojrzała wreszcie Pille-Miche'a wychodzącego ze stajni. Za nim ciągnęło dwóch nieznaných jej wieśniaków, a wszyscy trzej dźwigali snopki słomy. Rozciągnęli je oni w szeroką matę przed oficyną niezamieszkaną, ciągnącą się równolegle do brzegu, przesłoniętego karłowatemi drzewami, kędy przesuwali się ostrożnie Szuanie, zachowując ciszę która zdradzała przygotowania do jakiegoś strasznego podstępu.

— Ścielesz im tyle słomy, jakby tam naprawdę spać mieli. Do-

syć już, Pille-Miche, dosyć tego! — zawołał ktoś głosem przyciszonym. Głos ten Fanszeta poznała.

— Alboż nie będą spali? — odparł Pille-Miche, śmiejąc się głupowato. Ale nie boisz ty się, żeby się Gars nie rozgniewał? — dodał tak cicho, że go Fanszeta dosłyszeć nie mogła.

— No! to się pogniewa trochę — odrzekł półgłosem Marche-a-Terre, a co wybijemy Błękitnych, to wybijemy. Patrzajno! tę karetkę trzeba wtoczyć...

Pille-Miche pochwycił za dyszel a Marche-a-Terre za jedno z kół z taką szybkością i siłą, że w jednej chwili Fanszeta znalazła się w wozowni i mogła zostać w niej zamkniętą, zanim zdołała się namyśleć nad tem nowem położeniem.

Pille-Miche wyszedł znowu, aby pomódz wynieść beczkę cydru, którą margrabia kazał uczyć eskortę, Marche-a-Terre zaś przeciskał się około karetki ku drzwiom, chcąc także wyjść i drzwi zamknąć za sobą, gdy wtém poczuł na sobie nagle rękę, która pochwyciła za bujne kudły jego kozięj skóry. Obejrzał się i poznał te oczy, których słodycz wywierała na niego wpływ magnetyczny. Stał przez chwilę jak oczarowany. Fanszeta wyskoczyła nagle z dyliżansu i zapytała go tym tonem napastniczym, z którym tak dobrze bywa kobiecie rozgniewanej.

— Piotrze! jakie wiadomości dałeś w drodze tej pani i jej synowi? Co się tu robi? Czego się kryjesz? Mów; chcę wszystko wiedzieć!

Słowa te wywołały na twarz Szuana wyraz, jakiego Fanszeta nigdy dotąd nie widziała. Bretończyk pochwyciwszy swą niewinną kochankę za rękę, wyprowadził ją gwałtownie przed drzwi wozowni, i tam, obróciwszy ją ku srebrnemu światłu księżyca, odrzekł, wpatrując się w nią strasznemi oczyma:

— Dobrze, do pioruna! Fanszeto, dobrze, powiem ci wszystko, ale mi wprzód przysięgniesz na ten różaniec (i wydobył z kieszeni swego skórzanego okrycia stary jakiś różaniec), na tę relikwię, którą znasz dobrze — dodał — że mi odpowiesz prawdę na jedno tylko pytanie.

Fanszeta zarumieniała się, spostrzegłszy różaniec, który był podobno zakładem ich miłości.

— Tak — dodał Szuan cały drżący — na ten sam różaniec, kiedyś przysięgała...

Nie dokończył. Wieśniaczka położyła mu rękę na ustach, zmuszając do milczenia swego dzikiego kochanka.

— Czy chcesz koniecznie, żebym przysięgła? — zapytała.

Wziął ją łagodnie za rękę i popatrzywszy na nią przez chwilę, zapytał:

— Powiedz, czy ta pani, której służysz, jest rzeczywiście paną de Verneuil?

Fanszecie ręce opadły, spuściła oczy, zbladła i pozostała nieruchomą.

— To publiczna jakaś dziewczka! — zawołał Marche-a-Terre strasznym głosem.

I znowu drobna rączka Fanszety zakryła mu usta. Tym razem jednak uchylił się gwałtownie. Biedna Bretonka nie widziała już przed sobą kochanka, lecz jakieś zwierzę drapieżne w całej swój grozie. Brwi Szuana ściągnęły się mocno, wargi wykrzywiły i zadrgały, pokazał zęby, jak pies, który broni swojego pana.

— Zostawiłem cię kwiatem, a zastałem zgnilizną! Ach! na-cóżem cię opuszczał? Wyście tu przybyły nas zdradzić! Przybyłyście wydać Garsa!

Raczej wyszczeakał to, niż powiedział. Fanszeta, choć przerażona, na ten ostatni wyrzut podniosła głowę i śmiało skierowawszy na wściekłego Szuana anielskie swoje oczy, odpowiedziała:

— Jak pragnę zbawienia, to fałsz! To się przywidziało twojej pani!

Teraz on spuścił oczy. Ona wzięła go za rękę, przysunęła się do niego z przymileniem i rzekła:

— Piotrze! po co my oboje w tych wszystkich sprawach? Słuchaj! ja nie wiem, jak ty możesz w tém co rozumieć, bo ja nic nie rozumiem! Ale pamiętaj, że ta piękna i szlachetna pani — to moje dobrodziejka! Więcej ci powiem nawet: to nasza dobrodziejka; żyjemy ze sobą jak dwie siostry. Nigdy nic złego stać się jej nie powinno tam, gdzie ona z *nami* i póki my żyjemy! Przysięgnij ty mnie teraz! Tutaj tylko tobie ufam jednemu...

— Ja tu nie rządę — odparł Szuan z gniewem.

Twarz jego zasepiła się mocno. Ona wzięła go za wielkie jego uszy i poczęła głaskać łagodnie, jak kota.

— No to przyrzeknij mi — zaczęła znowu, widząc go mniej wzburzonym — że dla bezpieczeństwa naszej dobrodziejki użyjesz całej władzy, jaką tu masz.

Poruszył głową, jakby wątpił o powodzeniu, a giest ten przeraził biedną Bretonkę.

W téjże chwili eskorta weszła na groblę. Kroki żołnierzy i chrzęst broni rozbudziły echa wśród podwórza i zdawały się skłaniać Szuana do powzięcia stanowczej decyzji.

— Uratuję może twoją panią — rzekł do swój kochanki — jeżeli będziesz w stanie zatrzymać ją w pałacu i nie dozwolisz jej wychodzić na podwórze. A ty — dodał — cokolwiek stać się może, zostań tam razem z nią i milcz, jak ryba. Bez tego nic!

— Przrzekam ci — odpowiedziała przerażona.

— No, to wracaj do pokoju, a ukryj strach twój nawet przed twoją panią.

— Dobrze.

Ścisnęła rękę Szuana i pobiegła ku domowi z lekkością ptaka; Marche-a-Terre patrzył za nią wzrokiem po ojcowsku pobłażliwym. Za chwilę potem wsunął się w płot, jak aktor, chowający się za kulisy w chwili, gdy się podnosi zasłona. A scena miała być tragiczną.

— Wiesz co, obywatelu Merle, że ta niewesoła okolica wydaje mi się istną pułapką — zauważył Gérard, wchodząc na podwórze.

— I mnie się tak widzi — odparł kapitan nie bez śladów zakłopotania.

Obaj oficerowie pośpieszyli zaciągnąć warty dla zabezpieczenia się od strony bramy i grobli, potem rzucili okiem nieufnem na brzezi jezior i smutny krajobraz.

— Cóż robić? — rzekł Merle. — Tu trzeba mieć zupełne zaufanie, albo nie wchodzić wcale.

— Wejdźmy — odpowiedział Gérard.

Żołnierze na rozkaz komendanta, uwolnieni z szyku bojowego, pośpieszyli ustawić broń w kozły i rozgospodarowali się właśnie przed ową wielką matą ze słomy, na środku której Szuanie umieścili beczkę z jabłecznikiem bretońskim. Rozdzielili się na grupy a dwaj wieśniacy poczęli rozdawać pomiędzy nich chleb żytni i masło. Margrabia de Montauran wyszedł naprzeciw oficerów i wprowadził ich do salonu. Gdy Gérard wszedł do przedsionka, odwrócił się i jeszcze raz badał okiem całą przestrzeń, jaką spojrzenie objąć zdołało. Potem zawołał dwóch żołnierzy, Beau-Pied'a i Clef de Coeurs'a.

— Pójdziecie mi we dwóch na rekonesans. Zwiedzić ogród i przetrząść płoty. Rozumiecie? Potem przed frontem obozu postawić wartę.

— A czy możemy przedtém zapalić ognisko, poruczniku? — zapytał Clef-des-Coeurs.

Gérard skinął głową.

— Wiesz ty, Clef-des-Coeurs — rzekł Beau-Pied, że to nie żarty, i że porucznik nie nadto jest ostrożny. Och! gdyby tu był Hulot, nie wlaźby on w to gniazdo os. Siedzimy tu, jak w kotle jakim...

— Brednie pleciesz — odparł Clef-des-Coeurs. Jakto, ty frant nad frantami, i nie domyślasz się, że ta rudera, to jest właśnie zaczarowany pałac téj miłej osóbk, około której uwija się nasz gorący kapitan Merle, perła kapitanów! I on się z nią ożeni, kochan-

ku, to jasne, jak *wyglansowany* bagnet. Toż to będzie niemały zaszczyt dla naszej półbrygady mieć taką kapitanową.

— To prawda — odparł Beau-Pied. Możesz jeszcze dodać na pochwałę tój rudery, że pijemy tu przepyszny cydr. To tylko biada, że go potrzeba pić pod tym przeklętym płotem... Zdaje mi się ciągle, że widzę naszych pocziwych druhów, biednego Larose'a i Vieux Chapeau spadających w ten przepaścisty rów na Pélerinie. Harcap Larose'a tak się kiwał, jak młotek przy furcie. Nie zapomnę tego nigdy...

— Mój kochany Beau-Pied, jak na żołnierza, masz zawiele wyobraźni! Mogłbyś pisać wiersze i zostać członkiem Instytutu.

— Jeżeli ja mam wyobraźnię za bujną, to ty jęj nie masz wcale — odparł Beau-Pied — i dużo wody upłynie, nim zostaniesz konsulem.

Dyskusję przerwał śmiech ogólny grzejących się przy ognisku. Clef-des-Coeurs w całym swoim arsenale dowcipu nie znalazł broni, któraby mógł odeprzeć ten atak swego przeciwnika.

— No! a teraz służba. Idźmy do ogrodu. Ja wezmę się na prawo — rzekł Beau-Pied.

— Jeżeli ty naprawo, to ja nalewo — odpowiedział Clef-des-Coeurs. Ale poczekaj! jeszcze jedną szklankę cydru. Język mi zasechł i lgnie do podniebienia, jakby nie przymierzając był z gumowego płótna, którem Hulot obwija swój kapelusz galowy.

Lewa strona ogrodu, do której zlustrowania tak leniwie zabierał się Clef-des-Coeurs była na nieszczęście tą groźną stroną, w której Fanszeta dostrzegła ślania się owych podejrzanych cieniów. W wojnie wszystko zależy od losu... Wchodząc do salonu i kłaniając się towarzystwu Gérard rzucił badawczym spojrzeniem po osobach, które je składały. Podejrzenie owładnęło nim tém silniejsze: zbliżył się więc do panny de Verneuil i rzekł do niej po cichu:

— Zdaje mi się, że, im prędzej wydostaniemy się stąd, tém lepiej dla nas. Nie bardzo mi się to miejsce pewnem widzi.

— Jakto! nie czujesz się bezpiecznym u mnie, poruczniku!? — zapytała śmiejąc się. — Bądź spokojny! Pewniejszym o siebie i o swoich możesz tu być nawet, niż w Mayennie.

Kobieta zawsze za swego kochanka odpowiada z pewnością większą, niż za siebie. Obu oficerów odpowiedź ta uspokoiła.

W tój chwili całe towarzystwo przeszło do sali jadalnej, mimo kilku głosów, radzących wstrzymać się jeszcze chwilę do przybycia jednego z ważniejszych członków zebrania, dającego na siebie czekać. Panna de Verneuil, korzystając z ciszy, jaka zwykle panuje przy rozpoczęciu uczy, baczniejszą mogła zwrócić uwagę na to zgro-

madzenie, niezmiernie w takich okolicznościach ciekawe, a które ona do pewnego stopnia z sprzecznych żywiołów skupiła, dzięki kobiecej lekkomyślności, przywykłej do swobodnego traktowania wszystkiego w najgroźniejszych nawet chwilach życia. Dwaj oficerowie republikańscy imponowali charakterem fizygnomii całemu otoczeniu dowódców królewskiej armii. Długie ich włosy, ściągnięte od skroni ku tyłowi głowy i związane w długie harcapy na karku, uwydatniały na ich czołach te linie szlachetne, które nadają młodym twarzom tyle męskiej piękności. Ich niebieskie mundury wytarte, z czerwonymi wyłogami, dobrze zbrukanemi, wszystko aż do szlif, nieco w tył odrzuconych w skutek długiego marszu, zdradzało w tych dwóch wojskowych pewną wyższość ponad wszystkiemi, którzy ich otaczali. Tam jest naród! tam wolność! — pomyślała, a potem, zwracając spojrzenie na królewskich, rzekła do siebie: — A tam człowiek jeden, król, przywileje!

I nie mogła powstrzymać się od pewnej admiracyi dla kapitana Merle, który wesołością swą i humorem przy postaci marsowej stanowił prawdziwy typ, jaki sobie wymarzyć można, francuskiego żołnierza, który pod gradem kul jeszcze piosnkę śpiewa i który nawet z padającego niezręcznie kolegi na polu bitwy zażartować potrafi. Gérard zato imponował wszystkim powagą swoją i zimną krwią. Widać było w nim całym, w oczach jego i ruchach nawet, ducha prawdziwie republikańskiego. Takim duchem ożywionych można było podówczas napotkać mnóstwo w armii francuskiej, która przywykła do szlachetnych, choć niegłośnych poświęceń, nabrała energii i siły dotąd nieznaną.

— Oto jeden z tych ludzi o głębokich poglądach — myślała w duchu panna de Verneuil. Ludzie ci oparci na teraźniejszości, którą okiełznali, burzą przeszłość, ale na korzyść przyszłości...

Myśl ta zasmuciła ją, gdyż nie odnosiła się do jej kochanka, ku któremu zwróciła się teraz Marya, jakby mszając się za myśl obcą, przelotną, myślą o nim, o uwielbieniu, jakie czuła dla niego, i niewiści, jaką czuć musiała stąd dla Rzeczypospolitej. Widziała margrabiego, otoczonego temi ludźmi, pełnemi fantazyi i rozliczającemi się z przyszłością i mającymi dosyć odwagi, ażeby walczyć ze zwycięską Rzeczpospolitą w nadziei wskrzeszenia zmarłej monarchii, odbudowania religii położonej na indeksie, przywrócenia książąt, w tej epoce włóczęgów, i odświeżenia przywilejów zestarzałych. Ten znowu — myślała — niemniej jest ponętym, jak tamten! Ten z przeszłości chce przyszłość zbudować. Umysł jej przepełniony myślami wahał się w tej chwili pomiędzy starymi i młodymi ruinami. Sumienie głośno do niej wołało, że jeden z nich walczy za sprawę jednego człowieka, drugi za kraj, ale doszła już impul-

sem uczucia do tego przekonania, do którego inni dochodzą rozumem, że król — to ojczyzna.

W tej chwili margrabia usłyszał w salonie odgłos kroków zbliżającego się mężczyzny. Przyzostał więc i poszedł naprzeciw niego. We drzwiach spotkał nadchodzącego i poznał w nim współbiesiadnika, którego oczekiwali. Przybyły zdziwiony towarzystwem, w jakim się znalazł, chciał przemówić, Gars jednak niedostrzeżonym przez republikanów znakiem nakazał mu ręką milczenie i niemym giestem wskazał mu miejsce przy stole.

Tymczasem, im bardziej oficerowie republikańscy badali fizyognomię swych współbiesiadników, tém bardziej wzrastały ich podejrzenia. Strój duchowny księdza Gudina i dziwaczne ubrania Szuanów podsycały ich ostrożność, podwoili zatem baczenie na wszystko i dostrzegli niebawem dziwnych kontrastów pomiędzy zachowaniem się wszystkich uczestników biesiady a ich słowami i wyrażeniami. O ile silnie zaakcentowany republikanizm kilku z nich był widocznie przesadnym, o tyle znowu manieri innych były z gruntu arystokratyczne. Pewne spojrzenia i rzuty oka, które pochwycić zdołali pomiędzy margrabią a jego gośćmi, pewne wyrazy dwuznaczne, nieuważnie wymówione, a szczególnie pełny zarost wielu pomiędzy biesiadników, którzy niezręcznie kryli brody swoje w krawatach, ostatecznie przekonały oficerów republikańskich o prawdziwości tego, czego się dotąd z trwogą domyślali. Prawda ta jednocześnie odkryła się dla obu, wypowiedzieli sobie też nawzajem swoje myśli spojrzeniem, pani du Gua bowiem tak zręcznie manewrowała, sadzając gości do stołu, że rozdzieleni od siebie republikanie oczyma tylko porozumiewać się mogli. Sytuacja, w jakiej się znajdowali, nakazywała im postępować z całą ostrożnością. Nie wiedzieli, czy są panami zamku, czy przeciwnie, złapani w zasadzkę; czy panna de Verneuil jest współniczką czy ofiarą tej niewytłomaczonej awantury. Wypadek jednak nieprzewidziany przyspieszył kryzys, zaim zdołali nawet ocenić całą doniosłość niebezpieczeństwa, jakie im groziło.

Nowoprzybyły był to jeden z tych ludzi zwężłych i barczystych, kwadratowych, że się tak wyrażę. Na twarzy miał silne rumieńce; idąc, pochylał się naprzód i zdawał się poruszać całe masy powietrza dokoła siebie. Do zobaczenia kogoś jedno spojrzenie mu nie wystarczało. Mimo swego szlachetnego pochodzenia brał on życie za żart, z którego trzeba, o ile się da, najlepiej skorzystać; ale mimo całej dumy, w której kłękał przed sobą samym, był to człowiek dobry, grzeczny i dowcipny na sposób tej szlachty francuskiej, która ukończywszy edukację na królewskim dworze wraca do swych posiadłości i nie może przypuścić, aby po dwudzie-

stu latach, spędzonych w głębokiej prowincyi, już się przestarzeć i zardzewieć można. Ludzie tego rodzaju nie mają zwykle taktu przy całej pewności siebie, mówią dowcipnie wierutne głupstwa, nie ufają z wielką delikatnością i przyczyniają sobie niezmiernie dużo trudu, ażeby — wpaść w pułapkę.

Po krótkiej ale zwinnej szermierce grabek po talerzu nieznajomy podniósł oczy i począł rozglądać się dokoła. Podziw jego wzmógł się jeszcze bardziej, gdy spostrzegł dwóch oficerów republikańskich; zapytał więc spojrzeniem panią du Gua, co to ma znaczyć? Za całą odpowiedź ta ostatnia wskazała mu wzrokiem pannę de Verneuil. Ujrawszy syrenę, której piękność poczęła już zacieierać wrażenie, wywołane w umysłach wszystkich podejrzeniami pani du Gua, tłusty nieznajomy uśmiechnął się jednym z tych uśmiechów impertynenckich i drwiących, które zdają się zawierać w sobie całe tomy powieści skandalicznych. Pochylił się do ucha jednego z sąsiadów swoich i wyrzekł kilka wyrazów, które, pozostając tajemnicą dla oficerów i Maryi, przeszły niezwłocznie z ust do ust, od uszu do uszu współbiesiadników, aż dostały się do serca tego, którego miały zranić śmiertelnie. Naczelnicy Wandei i Szuanów zwrócili teraz oczy na margrabiego z tą ciekawością, która okrucieństwem trąci. Oczy pani du Gua biegały ciągle od margrabiego ku Maryi, wydając błyski niepohamowanej radości. Oficerowie zaniepokojeni spoglądali na siebie, oczekując rezultatu tej dziwnej sceny. W jednej chwili widelce opadły z rąk bezczynnie, cisza zapanowała w sali, a wszystkie spojrzenia utkwily nielitościwie w Garsa. Przerażająca wściekłość odmalowała się na jego krwistej twarzy, która w jednej chwili nabrała woskowej bladości. Młody wódz zwrócił się do biesiadnika, od którego wąż tej wieści wziął swój początek, i głosem głuchym, jakby powleczonej żałobną krepą, zawołał:

— Hrabio! mów, czy-to prawda? Niech się piekło rozstąpi!

— Honorem ręczę za prawdę — rzekł hrabia z poważnym ukłonem.

Margrabia spuścił oczy na jedną chwilę, lecz natychmiast je podniósł i zwrócił na Maryą, która z przerażeniem przyjęła to groźne spojrzenie.

— Życiebych oddał — rzekł zcicha — gdybym się mógł zemścić natychmiast.

Pani du Gua zrozumiała raczej po ruchu, niż dosłyszała słowa, przez margrabiego wymówione, i uśmiechnęła się do niego tak, jak się uśmiechamy do strapionego przyjaciela, którego rozpacz nie długo ma już potrwać.

Ogólna wzgarda dla panny de Verneuil malująca się na wszyst-

kich twarzach wywołała ostatecznie wybuch oburzenia u obudwu oficerów republikańskich, którzy jednocześnie porwali się z miejsc swoich.

— Czego żądacie, obywatele? — zagadnęła pani du Gua.

— Naszych szpad, obywatelko! — zawołał Gérard.

— Nie potrzeba wam szpad przy stole — odpowiedział margrabia.

— Przy stole nie trzeba, ale zabawimy się zapewne w inną grę, znaną wam dobrze — wykrzyknął Gérard. Blżej się tu zetknijemy niż na Pélerinie.

Całe zgromadzenie zamilkło. W tej chwili rozległ się straszliwy huk wystrzałów na podwórzu, a ilość ich i jednocześnie odezwane się okropne sprawiły wrażenie na obu oficerach Rzeczypospolitej. Wybiegli na taras u przedsionka i oto, co spostrzegli. Szuanie w liczbie stu lub więcej celowali do kilku nieszczęśliwych żołnierzy, którzy uniknęli zgonu od pierwszego ich wystrzału. Strzelali oni jak do zwierzyny, napędzonej przez naganek. Bretończycy ci wychodzili z płotu nadbrzeżnego, gdzie ich umieścił Marche-a-Terre pomimo niebezpieczeństwa tego stanowiska, czego dowodem było, iż w pośród jęków konających żołnierzy słychać było plusk kilku Szuanów, wpadających w wodę, jak kamienie w przepaść.

Gdy spostrzegli oficerów, Pille-Miche wziął na cel Gérarda, Marche-a-Terre kapitana.

— Kapitanie — rzekł zimno margrabia do Merle'a, powtarzając słowa, jakie mu niedawno on sam powiedział, ludzie są jak ulęgalki, dojrzewają na słomie. I wskazał gwałtownym ruchem ręki na zakrwawione słomiane maty, na których rozciągnięta leżała cała eskorta Błękitnych, i gdzie Szuanie dobijali żywych a obdzierali umarłych z niesłychanym pośpiechem. Miałem rację, gdym mówił, że żołnierze twoi nie dojdą do Pélerinie. Zdaje mi się także, że twoja głowa prędzej wyładuje się ołowiem niż moja. Cóż ty na to?

Montauran czuł ohydny i straszną potrzebę nasycenia swęj wściekłości. Ironia jego w obliczu bezbronnego, okrucieństwo i groza tej wojennej zasadzki, dokonanej bez jego rozkazu, ale którą w tej chwili uznawał, wszystko to licowało ze wzburzeniem jego serca. W gniewie swym chciałby był zniszczyć całą Francją. Błękitni wyrznięci i dwaj ci oficerowie w jego mocy, wszyscy niewinni zbrodni, która o pomstę wołała, byli dla niego tęp, czem są karty w rękę zrozpaczonego gracza.

— Wolę zginać, jak oni, niż zwyciężać, jak pan! — wykrzyknął Gérard, a widząc nieszczęśliwych żołnierzy nagich i pokrwa-

wionych, dodał: Zamordować tak podle i nazimno tylu niewinnych!

— Tak podle i na zimno zamordowany był Ludwik XVI! — odpowiedział żywo margrabia.

— Panie — odparł dumnie Gérard — w procesie, który naród królowi wytacza, są tajemnice, których nigdy zrozumieć nie zdołasz.

— Zbrodnią jest oskarżać króla! — wrzasnął margrabia, nie mogąc się powstrzymać.

— Zbrodnią jest walczyć przeciw Francyi! — odparł Gérard ze wzgardą.

— Głupstwo! — krzyknął margrabia.

— Matkobójstwo! — zawołał republikanin.

— Królobójstwo! — zawtórzył żołnierz królewski.

— Na co się zdało rozpoczynać dyskusję wobec śmierci? Nie dadzą ci skończyć! — wtrącił Merle z piekielnym humorem.

— To prawda — rzekł spokojnie Gérard, zwracając się do Montaurana. — Panie! jeżeli zamiarem twoim jest zamordować nas również, zrób nam przynajmniej tę łaskę, niechaj to będzie prędko...

— Zawsze ten sam! — zawołał kapitan, zawsze mu się śpieszy. — Ależ mój drogi Gérardzie, kiedy kto się wybiera w daleką drogę i nie ma już nadziei śniadania, to zjada przynajmniej dobrą kolację!

Gérard jednym skokiem stanął pod murem. Pille-Miche zwrócił ku niemu lufę karabinu, oczekując znaku od nieruchomego Montaurana, po chwili jednak, biorąc milczenie za rozkaz, wystrzelił i oficer padł nieżywy, jak drzewo podcięte. Marche-a-Terre pobiegł ku trupowi dla podzielenia się z Pille-Michem nową zdobyczą. Jak dwa kruki zgłodniałe pokłócili się i nad ciepłemi jeszcze zwłokami rozległy się dzikie wrzaski.

— Jeżeli pan masz apetyt i pragniesz dokończyć kolacji, to proszę ze mną — rzekł Montauran do Merle'a, którego postanowił zatrzymać, jako zakładnika do wymiany.

Kapitan wszedł machinalnie za margrabią do salonu, szepejąc pocichu do siebie, jakby czynił sobie wyrzuty: To ta dyabelska dziewczka jest wszystkiego przyczyną! Co Hulot na to powie?

— Dziewka! — krzyknął, powtarzając wyraz, margrabia. Więc to istotnie podła dziewczka?

Montaurana zabiło to słowo. Szedł on za Merlem blady, zmieniony, z oczyma w słup postawionemi, krokiem niepewnym i chwiejnym.

W jadalnej sali odegrała się inna straszna scena, która w nieobecności margrabiego przybrała tak okropny charakter, że Marya nie widząc swego jedynego protektora, w okrutnym wzroku swém

rywalki czytała nieodwołalny wyrok śmierci. W chwili, gdy się rozległ odgłos strzałów, wszyscy powstali oprócz pani du Gua.

— Niech się panowie nie trwożą — rzekła, nasi ludzie dlawią Błękitnych. Dopiero powstała spostrzegłszy, że wyszedł margrabia. Panna ta, którą tu widzicie — wykrzyknęła z tłumioną wściekłością — przybyła aż tu z zamiarem porwania Garsa spośród nas! Miała zamiar wydać go Rzeczypospolitej!

— Odrana mogłabym go była wydać sto razy, a tymczasem ocaliłam mu życie — odparła ze wzgardą panna de Verneuil.

Pani du Gua rzuciła się na swoją rywalkę z szybkością błyskawicy. Porwana wściekłym gniewem rozerwała słabe pętlice kaftana na zdziwionej i przerażonej tym niespodziewanym napadem Maryi, zgwałciła brutalną ręką nietykalne schronienie, w którym schowany był list, rozerwała sukno, podszewkę, hafty, gorset i koszulę, i korzystając ze spokojności, dla zadowolenia swęj żądzy i zemsty kobiecej, ścisnęła swą rywalkę za gardło z taką zręcznością i siłą, że pozostawiła ję na szyi krwawe ślady swych paznogi, doznając dzikiej rozkoszy, iż może tak nieludzko z nią postąpić i wstydlivość ję na taką próbę narazić. W słabym oporze, jaki Marya przeciwstawić mogła rozszalałę wilczycy, spadła ję z głowy rozwiązana kapuza, włosy rozplotły się i opadły w bujnych splotach na ramiona, twarz ję zarumieniła się ze wstydu i dwie duże łyzy wyżłobiły sobie wilgotną i gorącą bródę wśród policzków, nadając blaskowi ję oczów jeszcze więcej żywości. Rozpacz, jaka się odbiła na ję zawstydzonęj twarzy, wzruszyła wszystkich. Najsurowsi nawet sędziowie, patrząc na ję boleść, byliby uwierzyli w ję niewinność.

Nienawiść i gniew tak mało jednak widzą, że pani du Gua nie zauważyła nawet, iż nikt nie słuchał, gdy upojona tryumfem wykrzyknęła:

— Patrzcie panowie! osądźcie sami, czy niesłusznie oskarżyłam tę ohydłą istotę?

— Nie tak znowu ohydłą — mruknął tłusty hrabia, sprawca całęj tęg awantury. Ja tam dyabelnie lubię takie ohydy.

— Oto jest — ciągnęła dalęj okrutna Wandejka — rozkaz podpisany przez Laplace'a i kontrasygnowany przez Dubois. Jeżeliście ciekawi, co się w nim zawiera, to go wam przeczytam — dodała:

„Obywatele, dowódcy wojsk wszelkiego stopnia, administratorowie okręgów, prokuratorowie, syndycy etc., etc., departamentów zbuntowanych, a szczególnięj tych miejscowości, w których znajduje się będzie dawnięjszy margrabia Montauran, dowódcą wojsk powstańczych, przewany Garsem — winni udzielać opieki i po-

mocy obywatelce Maryi de Verneuil i podlegać rozkazom, jakieby im wydać mogła, każdy w tém, co się jęgo dotyczy etc. etc.“

— Zakulisowa gwiazda śmie przybierać nazwisko szlachetnej rodziny, aby je kalać w błocie! — wykrzyknęła pani du Gua, skończywszy czytanie.

Na twarzach wszystkich malowało się zdziwienie i niepewność.

— Nierówna będzie walka, jeżeli Rzeczpospolita wysyła takie piękne kobiety przeciwko nam—zauważył wesoło baron du Guénic.

— Szczególniej, jeżeli te kobiety nie mają nic do stracenia — dodała pani du Gua.

— Nic?—zawołał kawaler du Vissard—przecież panna ma kapitał, który jęj musi przynosić grube dochody!

— Rzeczpospolita widać lubi żarty, kiedy nam przysyła publiczne dziewczęta za ambasadorów — wykrzyknął ojciec Gudin.

— Na nieszczęście jednak pannie podobalo się szukać tak niebezpiecznych rozkoszy, od których do śmierci niedaleko — rzekła pani du Gua z wyrazem przerażającej radości na twarzy, który wskazywał, że pragnie już kres położyć wesołym żartom.

— Dziwię się, że pani jeszcze żyjesz! — zawołała ofiara, podnosząc oczy po poprawieniu nieładu w toalecie, sprawionego przez napastnicę.

Ten ostry przyczynę do przeszłości strasznej tęg kobiety obudził pewne uszanowanie dla dumnej ofiary i nakazał milczenie całemu towarzystwu. Pani du Gua dostrzegła na ustach kilku dowódców powstania pewien uśmiech przelotny, którego ironia jeszcze bardziej ją rozwścieklała, i w uniesieniu gniewu, nie widząc wchodzącego Montaurana z kapitanem, krzyknęła do stojącego już we drzwiach Pille-Miche'a:

— Pille-Miche, zabieraj ją! to moja część łupu! Daruję ci ją, możesz z nią zrobić wszystko, co ci się podoba.

Na ten wyraz *wszystko* całe zgromadzenie zadrżało, gdy ohydne twarze Pille-Miche'a i Marche-a-Terre'a ukazały się ich oczom, a tortury, jakie w tęg chwili przenosić musiała nieszczęśliwa ofiara, uprzytomniły się w umysłach wszystkich.

Fanszeta stojąc z rękami złożonemi, z oczyma pełnemi łez, zdawała się, jakby piorunem rażona. Panna de Verneuil, która w niebezpieczeństwie odzyskała całą przytomność umysłu, spojrziała po otoczeniu wzrokiem wzdargy, wydarła list z rąk pani du Gua i z podniesioną głową, z okiem suchém, chociaż płonącym, rzuciła się ku drzwiom, przy których stała szpada kapitana Merle.

W drzwiach tych spotkała margrabiego, zimnego i nieruchomego, jak posąg. Nic nie zdradzało litości dla nięg w tych rysach

surowych i sztywnych. Zraniona w najdroższych swoich uczuciach pragnęła tylko śmierci, życie stało się jej wstrętnem. Człowiek, który jej tyle okazywał miłości, słyszał i widział wszystkie pociski, któremi ją dotknęło, i stał tu, jako świadek lodowaty wstydu, jakiego doznała, gdy wdzięki, które kobieta tylko miłości odkrywa, rzucone zostały na pastwę oczu wszystkich. Możeby przebaczyła Montauranowi jego uczucie pogardy, ale oburzała się na myśl, że w oczach jego, a więc za jego zezwoleniem to wszystko stać się mogło. Spojrzała nań wzrokiem pełnym nienawiści i wściekłości, czuła już bowiem rodzące się w sercu straszne pragnienie zemsty. Czując śmierć bliską, dusiła się swoją bezsilnością i w głowie jej podniósł się jakby pierwszy zamęt szaleństwa, burząca się w niej krew ukazywała jej świat cały w płomieniach, i w tym szale, zamiast się zabić, pochwyciwszy szpadę, wstrząsnęła nią po-nad głowę margrabiego i utopiła ją w nim aż do rękojęści!...

Ale ostrze szpady zsunęło się między ramieniem i boki. Gars pochwycił ją za rękę powyżej dłoni i wyprowadził za drzwi sali przy pomocy Pille-Miche'a, który rzucił się na tę istotę rozszalałą w chwili, gdy chciała zabić margrabiego. Na ten widok Fanszeta poczęła krzyczyć: Piotrze! Piotrze! Piotrze! i z wielkim głośnym płaczem wybiegła za swoją panią.

Margrabia, pozostawiając całe towarzystwo w niemém osłupieniu, zamknął drzwi za sobą. Wchodząc na taras przedsionka, trzymał jeszcze w dłoni rękę tej kobiety ściskając ją konwulsyjnie, podczas gdy grube palce Pille-Miche'a łamały jej prawie kości ramienia. Ona jednak czuła tylko palącą rękę młodego generała, na którego zimno spojrzała, mówiąc:

— Boli mnie, panie.

Za całą odpowiedź margrabia długo w nią się wpatrzył:

— Czy i pan masz coś do pomszczenia w sposób tak podły, jak ta kobieta? zapytała. Potem spostrzegając rozciągnięte na słomie trupy, zawołała z drżeniem grozy:

— Słowo szlachcica! Cha! cha! cha! Po tym wybuchu straszego śmiechu dodała: — Piękny dzień!

— Tak, piękny — odparł — i bez jutra!

Puścił rękę panny de Verneuil, popatrzywszy jeszcze przeciągłym spojrzeniem na tę samą istotę, której wyrzec się było dla niego prawie niepodobieństwem. Żaden z obu dumnych umysłów nie chciał uleść. Margrabia czekał może i szukał łzy w jej oczach, ale piękne źrenice młodej kobiety pozostały suche i pełne wzgardy. Odwrócił się szybko, pozostawiając ofiarę w rękach Pille-Miche'a.

— Bóg mię wysłucha, margrabio, a ja go prosić będę dla ciebie o jeden piękny dzień bez jutra!

Pille-Miche zaambarasowany tak piękną zdobyczą, ciągnął ją z łagodnością, w której mieszała się ironia z szacunkiem. Margrabia westchnął, wszedł do sali i pokazał się gościom swoim z twarzą podobną do twarzy trupa, któremu oczu zapomniano zamknąć.

Obecność kapitana Merle stawiała się niewytłomaczoną dla aktorów tej tragiedyi; to też wszyscy spoglądali na niego ze zdziwieniem, porozumiewając się i zapytując wzrokiem nawzajem. Merle zauważył to zdziwienie Szuanów i, nie wychodząc ze swego charakteru, rzekł do nich ze smutnym uśmiechem:

— Nie myślę, żebyście panowie odmówić chcieli szklanki wina człowiekowi na ostatniej stacyi w podróży życia.

W tej właśnie chwili, kiedy całe zgromadzenie uspokoiło się temi słowami wyrzeczonymi z prawdziwie francuską trzpiotowatością, która musiała się podobać Wandejczykom, Montauran powrócił do sali, a blada twarz jego, skołowaciałe oczy, przeraziły wszystkich gości.

— Zobaczycie panowie, że umarły jeszcze wszystkich rozrusza.

— Ach! — odezwał się margraaia z takim giestem, jak gdyby ze snu się budził i nie wiedział, co mówi — to pan, kochany kapitanie!

I podał mu butelkę wina Grave ze szklanką.

— O! dziękuję, margrabio, mogłoby mię to odurzyć.

W jego sytuacji żarty te dziwnie wydawały się jaskrawemi. Pani du Gua zniecierpliwiona odezwała się do współbiesiadników:

— No, dosyć tego, oszczędźmy mu zwłoki.

— Jesteś pani nazbyt okrutna w swoich zemstach — rzekł kapitan. Zapominasz pani o moim koledze zamordowanym. Czekają na mnie, a ja nie mam zwyczaju nie stawiać się tam, gdzie mnie czekają.

— Kapitanie! — odezwał się margrabia, rzucając mu swoją rękawicę — jesteś wolny. Oto paszport dla ciebie. Strzelcy królewscy znajdują się na myśliwstwie, wiedzą, że nie można do szczytu niszczyć zwierzyny.

— Niech będzie i tak — odpowiedział Merle — ale prawdę mówiąc, źle robicie, panowie, darowując mi życie. Ręczę wam, że ostro się do was wezmę i nikomu nie daruję. Możesz, panie margrabio, być bardzo zręcznym, ale nie wart jesteś Gérarda. Chociaż głowa twoja nie zapłaci mi za jego głowę, ale muszę ją mieć i będę miał.

— Więc się zapewne panu bardzo śpieszy? — zapytał Montauran.

— Żegnam was, obywatele — odparł kapitan, już prawie we

drzwiach — mogłem tracić się kieliszkiem z mojami katami, ale nie pozostanę ni chwili z mojami mordercami.

I zniknął za drzwiami, pozostawiając za sobą podziw współbiesiadników.

— No! i cóż panowie mówicie o tych adwokatach, mówcach i chirurgach, którzy kierują Rzeczpospolitą? — zapytał zimno Gars.

— Do stu piorunów, margrabi! — odrzekł hrabia de Bauran, w każdym razie są oni źle wychowani. Ten ostatni, o ile mi się zdaje, impertynencko się z nami znalazł.

Szybka ucieczka kapitana miała, prócz innych, jeden jeszcze tajemniczy powód. Istota tak wzgardzona, tak upokorzona, i w tej chwili prawdopodobnie już ginąca, tak silne wdziękami swemi uczyniła na nim wrażenie, że zapomnieć jej nie mógł i mówił do siebie wychodząc:

— Choćby to nawet była jakaś dziewczyna podejrzana, w każdym razie nie jestto kobieta zwyczajna i radbym się z nią ożenić...

Zrozpaczył on już tak o możliwości uratowania jej z rąk tych dzikich, że pierwszą jego myślą, gdy ujrzał się ocalonym, było wziąć ją pod swą opiekę. Na nieszczęście, wybiegłszy do przed-sionka, ujrzał podwórze puste. Rzucił oczyma dokoła siebie, wsłuchał się w ciszę i nie usłyszał nic, jak tylko śmiechy krzykliwe i odległe Szuanów, którzy pili w ogrodzie dzieląc się zdobyczą. Zwrócił się na los szczęścia ku fatalnej oficynie, pod którą nieszczęśliwych jego żołnierzy rozstrzelano i z tego kąta, przy słabym blasku kilku światełek, rozróżnić zdołał grupy, które tworzyli strzelcy królewscy. Ani Pille-Miche'a, ani Marche-a-Terre'a, ani młodej kobiety nie znalazł jednak, ale w téjże chwili uczuł się delikatnie pociągniętym za mundur, odwrócił się i obaczył Fanszetę, klęczącą u nóg swoich.

— Gdzie ona? — zapytał.

— Nie wiem! Piotr odpędził mię, nakazując nie ruszać się stąd.

— Którędy poszli?

— Tamtędy — odpowiedziała, wskazując na drogę.

Kapitan i Fanszeta spostrzegli w tej chwili we wskazanym kierunku kilka cieniów, jakie od światła księżycowego padały na jezioro i rozpoznali kształty kobiece, których piękność, choć niewyraźnie dostrzegana, pobudziła ich serca do silniejszego bicia.

— O! to ona! — zawołała Bretonka.

Panna de Verneuil zdawała się stać spokojnie i z rezygnacją wśród kilku ludzi, których ruchy zdradzały toczące się między niemi układy.

— Jest ich kilku, ale to nic, pójdziemy!

— Oni i pana zabiją i jej nie ocala — rzekła Fanszeta.

— Jak raz dzisiaj byłem tak, jak zabity — rzekł wesoło.

I oboje pobiegli ku bramie w ruinach, po-za którą odbywała się ta scena.

— Nie, nie pójdę dalej! — zawołała. Piotr mi powiedział, że-
bym się w to nie mieszała. Znam go, jeszcze popsujemy wszystko.
Rob pan, co chcesz, panie kapitanie, ale oddał się ode mnie. Gdy-
by Piotr zobaczył pana przy mnie, zabiłby mnie pewno.

W tej chwili Pille-Miche ukazał się w bramie, zawołał po-
cztyliona, który znajdował się w stajni i spostrzegł kapitana.
W mgnieniu oka, zwrócił ku niemu lufę swego karabina, wołając:

— Święta Anno z Auray! proboszcz z Autrain miał rację mó-
wić nam, że Błękitni podpisują dyabłom cyrografy. Czekaj, cze-
kaj, ja ci dam zmartwychwstawać!

— Wstrzymaj się! Mnie darowali życie — krzyknął Merle
widząc się zagrożonym — oto rękawiczka twego gienerała!

— Tak, tak gadają duchy — odparł Szuan. Ja ci tam życia
nie daruję! *Ave Maria...*

Wystrelił. Kula trafiła w głowę kapitana, który padł.

Gdy Fanszeta zbliżyła się do Merle'a, usłyszała niewyraźnie
już wymówione słowa:

— Wolę zresztą zostać tu z niemi, niż wracać bez nich!

Szuan rzucił się na republikanina, aby go obedrzeć, mówiąc:
Ci zmartwychwstali mają to przynajmniej dobrego, że zmartwych-
wstają w ubraniu. Stanął jednak osłupiały, gdy spostrzegł ręk-
awiczkę Garsa, ten znak bezpieczeństwa, w zaciśniętej dłoni kapi-
tana, który padł właśnie w chwili, gdy chciał ją pokazać.

— Nie chciałbym być w skórze syna mojej matki! — krzyknął
i znikł z szybkością ptaka.

Aby zrozumieć to spotkanie, fatalne dla kapitana, koniecznym
jest pójść za panną de Verneuil od chwili, gdy ją margrabia
w chwili rozpacz i wściekłości porzucił i oddał w ręce Pille-Mi-
che'a. Fanszeta w tejże chwili pochwyciła konwulsyjnie ramię
Marche-a-Terre'a, prosząc go łzawemi oczyma o spełnienie danej
obietnicy. O kilka kroków od nich Pille-Miche uprowadzał swoją
ofiara, jak gdyby ciągnął za sobą jaką pakę bez kształtu i wartości.
Marya z rozpuszczonymi włosami, z głową pochyloną zwróciła oczy
na jezioro, ale wstrzymana silnym ścisnięciem żelaznej ręki Szuana,
musiała iść za nim powoli, on zaś oglądał się za nią co chwila, to
aby jej się przypatrzeć, to znowu aby ją do szybszego chodu znie-
wolić, i za każdym razem myśl jakaś jowialna zarysowywała na je-
go ohydnej twarzy straszny uśmiech.

— To piękna bestya dopiero! — zawołał z grubijańskim zama-
chem słowa.

Usłyszawszy ten wykrzyknik, Fanszeta odzyskała mowę.

— Piotrzel!

— Co?

— On zabije panienkę!

— Nie zaraz — odparł Marche-a-Terre.

— Ale ona się będzie broniła, a jeżeli ona umrze, i ja umrę!

— To właśnie, że nadto ją kochasz! niech ginie! — zawołał Szuan.

— Jeżeli mamy co, i jeżeli jesteśmy szczęśliwi, jój to winni jesteśmy! Zresztą obiecałeś bronić ją od wszelkiego nieszczęścia.

— Spróbuję, ale ty nie rusz się stąd, puść mnie i pozostań na tém miejscu.

W jednej chwili Fanszeta uwolniła ramię Marche a-Terra i miotana najstraszliwszą niepewnością, została na podwórzu. Marche-a-Terre dopędził swego towarzysza w chwili, gdy tenże wszedłszy do wozowni, zmusił swoją ofiarę do wejścia w karetę. Pille-Miche zażądał pomocy swego przyjaciela do wytoczenia karety na podwórze.

— Cóż ty myślisz robić z tém wszystkiem? — zapytał Marche-a-Terre.

— Cóż! „Łaskawość“ dała mi dziewczkę na własność i wszystko, co jój, jest moje.

— Mniejsza o karetę, zamienisz ją na pieniądze, ale kobieta... ona ci, jak kot, skoczy do oczu.

Pille-Miche parsknął głośnym śmiechem, złowrogim dla Maryi, i odrzekł:

— Zawiozę ją do domu, a o ślepie moje się nie bój, przywiążę ją!

— No to zaprzęgajmy konie.

W chwilę później, Marche-a-Terre, pozostawiwszy kolegę na straży przy swjej ofierze, przyprowadził konie. Zaprzężono je, wyprowadzono na podwórze karetkę i Pille-Miche wszedł na stopnie nie zważając, że panna de Verneuil zdawała się szukać sposobu wyskoczenia do brudnych wód stawu.

— Pille-Miche! — zawołał Marche-a-Terre.

— A co?

— Wiesz co! ja kupię od ciebie tę część zdobyczy.

— Daj pokój, nie żartuj! — odparł Szuan, pociągając za spódnice swoją „własność“, jak rzeźnik łapiący ciele, które mu chce uciec.

— Pokaż-no mi ją, niech zobaczę, to ci powiem, ile dam za nią!

Nieszczęśliwą zmuszono do wyjścia z karety. Stała pomiędzy dwoma Szuanami, z których każdy trzymał ją za jedną rękę,

przyglądając jej się bystro i lubieżnie wzrokiem, jakim dwaj starcy musieli przyglądać się Zuzannie w kościele.

— Chcesz — rzekł Marche-a-Terre z ciężkiem westchnieniem — dam ci za nią trzydzieści liwrów rocznego dochodu!

— E! nie żartuj!

— Dam!

— Doprawdy?

— No, przybij na zgodę! — zawołał Marche-a-Terre, wyciągając do niego rękę.

— Cóżes myślał, przybiję! jak jeszcze! Za te pieniądze można dostać Bretonek i świeżych i pięknych! Ale karetą czyja będzie? — zapytał Pille-Piche po namyśle.

— Moja! — krzyknął Marche-a-Terre tonem groźnym, w którym czuć było pewien rodzaj wyższości, jakiej mu nad towarzyszem użyczał dziki jego i okrutny charakter.

— A gdyby złoto było w karcie?

— Nie przybliżesz targu?

— No! przybiłem...

— To idź-żeż teraz, rozwiąż pocztyliona, który tam leży zakneblowany w stajni.

— A jeżeli jest złoto tam w karcie...

— No! mówię, czy jest czy niema! — krzyknął Marche-a-Terre, brutalnie wstrząsając Maryę za rękę.

— Mam setkę talarów — wtrąciła panna de Verneuil.

Usłyszawszy to, dwaj Szuanie popatrzyli na siebie.

— Ej! przyjacielu, nie kłóćmy się o jakąś „niebieską“ — szepnął Pille-Miche do ucha towarzyszowi, buchnijmy ją w staw z kamieniem u szyi a stoma talarami się podzielmy.

— Dam ci jeszcze sto talarów z mojej części okupu d'Orgemonta — krzyknął Marche-a-Terre wstrzymując westchnienie, jakie mu ta ofiara z piersi wyrwała.

Pille-Miche wydał z siebie jakiś okrzyk, dziki, który miał radość wyrażać, i pobiegł po pocztyliona, a radość jego przyniosła śmierć kapitanowi, którego w drodze napotkał.

Posłyszawszy odgłos wystrzału Marche-a-Terre lotem błyskawicy pobiegł w stronę, gdzie zostawił Fanszetę i zastał ją jeszcze pełną grozy, klęczącą z rękami złożonemi nad trupem biednego oficera, prawie skamieniałą z przerażenia, tak ją silnie wzruszył widok spełnionego morderstwa.

— Biegnij do twojej pani — krzyknął gwałtownie Szuan, już jest bezpieczna!

Pobiegł sam po pocztyliona, a powracając z szybkością błyska-

wicy tą samą drogą około zwłok Merle'a, spostrzegł w skostniałej już jego ręce rękawiczkę Garsa.

— Oho! — zawołał, Pille-Miche w nie swoje tu się wdawał rzeczy! Nie wiem, czy będzie żył z tych dochodów, które mu za „niebieską“ obiecałem.

Wydarł rękawiczkę z rąk kapitana i rzekł do panny de Verneuil, która siedziała już w karecie z Fanszetą:

— Bierzcie tę rękawicę. Jeżeli po drodze spotkacie naszych ludzi i jeżeli was będą zaczepiać, wołajcie „Gars!“ i pokażcie ten paszport, a nic wam się nie stanie! Fanszeto — dodał, zwracając się ku niej i chwytając ją za rękę, to już kwita z tą panią. Teraz zostań ze mną a ją niech dyabli wezmą.

— Chcesz, żebym ją opuściła w takiej strasznej chwili? — odparła Fanszeta głosem bolejącym.

Marche-a-Terre podrapał się w ucho, potem podniósł głowę i spojrzał okrutnym wzrokiem.

— Masz rację — rzekł. Zostawiam cię jej na osiem dni; jeżeli po tym terminie nie wrócisz do mnie!... Nie dokończył, ale dłonią uderzył silnie w lufę karabina i zrobił giest, jakby chciał ją zastrzelić, poczem uciekł, nie czekając odpowiedzi.

Jak tylko Szuan zniknął, głos jakiś, zdający się wychodzić z głębi stawu, dał się słyszeć: Pani! pani!

Pocztylion i obiedwie kobiety zadrżały ze strachu, gdyż dotąd widziały na powierzchni jeziora tylko trupy pływające. Jeden z żołnierzy republikańskich, ukryty za pniem drzewa, wysunął się ku nim.

— Pozwól mi pani uczepić się, chociaż u kół karety, inaczej zginąłem! Przekłęta szklanka cydru, którą Clef-des-Coeurs chciał wypić, kosztowała więcej, niż kilka kwart krwi! Gdyby był tak zrobił jak ja, i poszedł zaraz, jak kazał porucznik, przetrząsnąć ten wściekły płot, biedni towarzysze moi nie pływaliby teraz po tym brudnym stawie, jak łodzie rybackie!

Podczas gdy to się działo na podwórzu, naczelnicy Wandei i dowódcy Szuanów obradowali ze szklankami w rękach pod przewodnictwem margrabiego de Montauran. Częste oblewanie dyskusji winem Bordeaux ożywiło ją mocno, tém bardziej, gdy ku końcowi stała się poważną i zajmującą. Przy deserze, w chwili, gdy plan wspólnych działań wojennych zadecydowano, królewscy podnieśli toast na cześć Bourbonów. W téjże chwili rozległ się odgłos wystrzału Pille-Miche'a, jak gdyby echo téj niszczącej wojny, którą konspiratorowie, dzieci szlachetnych rodzin, wydawali Rzeczypospolitej. Pani du Gua zadrżała, a giest, jakim zdradziła się jej radość z tego, że uczuła się oswobodzoną nazawsze od swéj ry-

walki, zwrócił uwagę wszystkich współbiedników, którzy się obejrzeliby znacząco po sobie. Margrabia wstał od stołu i wyszedł.

— On ją jednak kochał! — rzekła z ironią pani du Gua. Idźno za nim, panie de Fontaine; nie trzeba go zostawiać samego, będzie nudny jak nieszczęście, jeżeli mu pozwolimy czarne myśli trawić samemu.

Wstała i przysunęła się do okna, wychodzącego na podwórze, pragnąc chociaż zdaleka i niby przypadkiem dojrzyć trupa Maryi. Stąd mogła rozróżnić w dali, przy ostatnich promieniach bladego księżyca na zachodzie karetkę, biegnącą po alei, wysadzaną jabłoniami, z niezmierną szybkością; welon panny de Verneuil, porwany wiatrem, powiewał nad kareta. Na ten widok pani du Gua, rozścieklona, porzuciła zgromadzenie.

Margrabia oparty o filar przedsionka, zagłębiany w smutnych medytacjach, patrzył bezmyślnie na stu pięćdziesięciu blisko Szuanów, którzy po rozdziale zdobyczy, odbyty w ogrodzie, powrócili dokończyć baryłki cydru i spożyć bochenki chleba, przeznaczone dla Błękitnych. Żołnierze ci nowego rodzaju, na których opierały się nadzieje monarchii, pili, podzieliwszy się na grupy, podczas kiedy na grobli, leżąc naprzeciw przedsionka, siedmiu lub ośmiu zpomiedzy nich zabawiało się wrzucaniem do wody trupów niebieskich, obciążając ich ładunkiem kamieni. Ten widok, połączony z wrażeniami, jakie budziły kostiumy i wyrazy oblicza tych ludzi okrutnych i barbarzyńskich a nie troszczących się o nic, tak był niezwykły i tak nowy dla pana Fontaine, któremu wojska wandejskie inną, szlachetniejszą przedstawiały postać, że korzystając ze sposobności, zapytał margrabiego:

— I cóż pan myślisz zrobić z podobnego rodzaju bestyami?

— Nic wielkiego, nieprawdaż, kochany hrabio! — odparł Gars.

— Czy nauczą się oni manewrować wobec republikanów?

— Nigdy!

— Czy chociaż kiedykolwiek nauczą się rozumieć i wykonywać twoje rozkazy, margrabio?

— Nigdy!

— Na coż więc się przydadzą?

— Do zatopienia miecza we wnętrznościach Rzeczypospolitej — odparł margrabia głosem grzmiącym — do zajęcia w trzech dniach Fougères a w dziesięciu całej Bretanii! Słuchajcie, panowie — rzekł dalej łagodnie — wracajcie do Wandej. Niech tylko d'Autichamp, Suzannet, opat Bernier, idą tak szybko jak ja, niech nie traktują z pierwszym konsulem, jak mnie dochodzą smutne wieści — uściśnął przy tych słowach rękę Wandejczyka — a będziemy za dni dwadzieścia pod Paryżem.

— Ależ Rzeczpospolita wysłała przeciw nam sześćdziesiąt tysięcy ludzi i generała Brune?

— Sześćdziesiąt tysięcy ludzi! Czy doprawdy? — odparł margrabia z pogardliwym śmiechem. A z czémże Bonaparte będzie prowadził kampanię włoską? Co do generała Brune, on nie przyjdzie; Bonaparte wysłał go przeciw Anglikom do Holandyi, a tutaj zastąpi go generał Hédouville, przyjaciel naszego przyjaciela Bar-rasa. Czy rozumiecie mnie?

Słyszając te słowa pan de Fontaine spoglądał na margrabiego de Montauran wzrokiem dowcipnym i przenikliwym, którym zdawał się powątpiewać, czy on sam rozumie sens wyrazów, jakie wygłasza. Dwaj młodzi ludzie pojęli się doskonale w jednej chwili, ale młody generał dodał:

— Panie de Fontaine, czy znasz pan mój herb? Godłem mo-jém *wytrwać aż do śmierci*.

Hrabia de Fontaine wziął za rękę Montaurana i, uściśnawszy go, rzekł:

— Zostawiono mię zabitego na polu Quatre-Chemins, więc o panu nie wątpię. Ale wierz memu doświadczeniu, czasy się zmieniły...

— O! to prawda! — rzekł La Billardiére, który nadszedł wła-snie. Jesteś młody, margrabio! Słuchajcie! Nie wszystkie wasze dobra zostały sprzedane...

— Czy można zrozumieć przywiązanie bez poświęcenia? — rzekł Montauran.

— Czy znasz pan dobrze króla? — zapytał La Billardiére.

— Znam!

— Podziwiam cię.

— Król—rzekł młody generał—to kapłan, a ja biję się za mo-ję wiarę.

Rozeszli się. Wandejczyk, przekonany o konieczności zgodzenia się z faktami dokonanymi a zatrzymując w sercu swoją wiarę, La Billardiére zdecydowany wrócić do Anglii, Montauran z postanowieniem walczenia na zabój i zmuszenia zwycięstwami, o których marzył, Wandejczyków do wspólnej akcji.

Wypadki te tyle walk i wzruszeń wznieciły w sercu panny de Verneuil, iż zasunawszy się, zmęczona, prawie bezprzytomna, jak umarła w głąb powozu, wydała tylko rozkaz pocztylionowi, ażeby jechał do Fougères. Fanszeta milczała również. Pocztylion, który obawiał się nowej awantury, pośpieszał, co tylko konie wyskoczyły mogły, ku gościńcowi i niezadługo przypędził pod Pélerinę.

Marya de Verneuil przebyła w gęstej i białawej mgle porannej piękną i obszerną dolinę Couësson, gdzie ta cała historia się za-

częła i zaledwie dojrząc zdołała z wierzchołka góry skałę, na której zbudowane miasto Fougères. Dzieliły jeszcze podróży od miasta dwie mile drogi. Czując się przejętą zimnem, panna de Verneuil pomyślała o biednym żołnierzu, który tam wisiał po-za karetą i kazała mu, pomimo jego wzdragania się, wsiąść do powozu obok Fanszety.

Widok Fougères wyrwał ją na chwilę z zadumy. Zresztą straż postawiona przy bramie s-go Leonarda odmówiła wejścia nieznanym i panna de Verneuil musiała ocknąć się, aby pokazać swój bilet ministeryalny. Wjeżdżając do tego ufortyfikowanego miasteczka, poczuła się nareszcie bezpieczną od wszelkiej napaści. W Fougères obrońcy miasta jedynymi byli jego mieszkańcami. Pocztylion nie znalazł jej schronienia innego, jak dom pocztowy.

— Pani — rzekł Błękitny, którego uratowała od niechybnej śmierci — jeżeli kiedykolwiek będziesz potrzebowała utraktować pchnięciem szabli jakiego nieszczęśliwego śmiertelnika, pamiętaj, że moje życie do ciebie należy. Jestem dobry do tego. Nazywam się Jan Falcon, przezwany Beau-Pied, sierżant pierwszej kompanii zuchów Hulota, siedemdziesiątej drugiej półbrygady, zwaną *la Mayençaise*. Proszę mi darować moją próżność i przechwałki, ale, jak w tej chwili, nie mam nic innego na pani usługi, nad zwykłą duszę prostego sierżanta — i basta!

Wykreślił się na piętach i odszedł pogwizdując.

— Im głębiej się schodzi po drabinie społecznej — rzekła gorzko Marya — tém więcej znajdujemy uczuć szlachejnych, bez ich zewnętrznych, ostentacyjnych oznak. Margrabia i potomek starożytniej szlachty daje mi śmierć za życie, a ten sierżant prosty... Ale dajmy temu pokój...

Gdy nareszcie piękna Paryżanka ułożyła się w ciepłym i wygodnym łóżku, Fanszeta oczekiwała przyjaznego słówka, do którego nawykła była. Widząc ją niespokojną i wyczekującą, Marya skinęła na nią życzliwie, ale i ze zmutkiem.

— I to się nazywa jeden dzień, Fanszeto — rzekła. Postarałam się o lat dziesięć.

Nazajutrz rano przyszedł Korentyn, chcąc się zobaczyć z panną de Verneuil. Wpuszczono go.

— Fanszeto — rzekła — nieszczęście moje musi być straszne, teraz dopiero czuję jego ogrom, gdy widzę, że Korentyn nie wydał mi się strasznym.

Niemniej jednak, na widok tego człowieka, doznała po raz ty-sięczny jakiegoś wstrętu instynktowego, który przez dwa lata znajomości ułagodzić się nie dał.

— No i cóż — rzekł z uśmiechem — ja byłem pewny, że się uda. Więc to nie on był?

— Korentynie — odpowiedziała powolnie z wyrazem boleści na twarzy — nie mów mi o tej sprawie, dopóki ja sama o niej mówić nie zacznę.

Zaczął więc przechadzać się po pokoju, rzucając na pannę de Verneuil ukośne spojrzenia, starając się odgadnąć tajemne myśli tej kobiety, której wzrok miał dosyć pewności siebie, ażeby zmieścić w jednej chwili najodważniejszego z mężczyzn.

— Przewidziałem to niepowodzenie — rzekł po chwili; gdybyś pani zamierzała urządzić swoją kwaterę główną w tém mieście, to wiedz pani, że ja tu już jestem zagospodarowany. Jesteśmy w samém ognisku szuaneryi. Czy chcesz pani tu zostać?

Odpowiedziała twierdzącym znakiem głowy, z którego Korentyn wyciągnąć mógł poczęści prawdziwe wnioski o wczorajszych wypadkach.

— Wynająłem dla pani domek, własność narodową, dotąd nie-sprzedaną. W tej okolicy ludzie bardzo są jeszcze zacofani. Nikt nie śmiał kupić tej rudery, bo należy do pewnego emigranta, mającego opinię brutala. Domek ten leży tuż przy kościele ś-go Leonarda, i słowo honoru daję, przepyszny stamtąd widok. Z psiarni tej można jeszcze skorzystać, jest zupełnie jeszcze mieszkalną. Chcesz pani?

— I owszem, natychmiast — zawołała.

— Potrzeba mi jeszcze kilku godzin, aby go uporządkować, oczyścić i urządzić tak, abys tam pani znalazła wszystko w swoim guście.

— Mniejsza o to! — odparła. Mieszkałabym chętnie w klasztorze, w więzieniu nawet! W każdym razie urządz się pan tak, żebym mogła dziś wieczór jeszcze odpocząć tam w najgłębszej samotności. Idź pan, zostaw mnie samą. Obecność pańska jest mi nieznośna. Chcę zostać sama z Fanszetą — lepiej mi będzie z nią, niż z kimkolwiek, niż z sobą samą nawet! Żegnaj pana — no! idźże pan już.

Wyrazy te wymówione szybko, rozmaicie akcentowane, i noszące na sobie kolejno cechę kokieterii, despotyzmu i namiętności świadczyły o zupełném jej uspokojeniu się. Sen zapewne powolnie uporządkował w jej umyśle wrażenia dnia poprzedniego i zastanowienie doradziło jej zemstę. Jeżeli smutny jaki wyraz przebiegł jeszcze czasami po jej twarzy, to zdawał się on jedynie świadczyć o zdolności, jaką posiadają kobiety, zamykania w swęj duszy najbardziej egzaltowanych uczuć i tej dosyć zwykłej u nich siły uśmie-

chania się z wdziękiem w tej samej chwili, gdy tworzą w umyśle projekta zguby dwóch ofiar.

Pozostała sama, zajęta myślami, w jakiby sposób dostać margrabiego w swoje ręce. Po raz pierwszy w życiu, kobieta ta żyła według swęj własnej woli, i z życia tego wyniosła pragnienie zemsty, zemsty nieskończonej, zupełnej. Była to jedyna jej myśl, jedyna namiętność. Słowa i starania Fanszety około niej nie wywołały odpowiedzi ani zajęcia, zdawała się spać z otwartemi oczyma. Długi ten dzień minął bez jednego gościu, bez jednego czynu, któryby świadczył nazewnątrż o uczuciach zamysłonej kobiety. Leżała przez cały dzień na sofie, którą sobie zrobiła z krzeseł i poduszek. Wieczorem dopiero niedbale wyrzekła następujące słowa do Fanszety:

— Dziecko moje, wczoraj zrozumiałam, że można żyć dla miłości, dziś rozumiem, że można umrzeć dla zemsty. Tak! żeby go wynaleść tam, gdzie on jest, spotkać go znowu, podbić i pojąć dla siebie — dałabym życie. Ale jeżeli za kilka dni człowiek ten, który mną pogardził, nie będzie u nóg moich upokorzony i posłuszny, jeżeli nie zrobię zeń najpokorniejszego sługi! wtedy stanę się niższą, niż wszystko, przestanę być kobietą, przestanę być samą sobą!

Dom, który Korentyn wynajął dla panny de Verneuil, dawał dosyć pola upodobaniom w zbytku i elegancji, wrodzonemu tej szczególnej kobiecie. Nagromadził on tu wszystko, co powinno jej się było podobać; ze starannością kochanka dla kochanki, albo raczej człowieka potężnego, który usiłuje pozyskać sobie podobną istotę, potrzebną mu chwilowo. Nazajutrz przyszedł prosić pannę de Verneuil, aby udała się do tego zaimprowizowanego pałacyku.

Jakkolwiek nie zrobiła nic więcej jak się przeniosła ze skłonej ze stołków sofę na starożytną pyszną ottomanę, jaką Korentyn dla niej wynaleść zdołał, fantastka ta objęła dom w posiadanie, jak gdyby rzecz od dawna do niej należąca. Z prawdziwie królewską obojętnością przyjęła wszystko, co tam znalazła. Okazała nawet jakąś nagłą sympatyę dla niektórych mebelków, które przyswoiła sobie tak, jak gdyby jej były dawną własnością. Szczegóły to pospolite, ale nie powinny być obojętnemi dla malarzy takich charakterów. Zdawałoby się, że jakiś sen dziwny przedwczesny zapoznał ją poprzednio z tém mieszkaniem, w którym żyła swoją nienawiścią tak, jak gdyby żyła — miłością.

— Przynajmniej — mówiła sama do siebie — nie wzbudziłam w nim nędznego uczucia litości, które zabija: nie on mi życie ocalił! O pierwsza moja, jedyna i ostatnia miłości! cóż za rozwiązanie! W jednej chwili, jednym skokiem rzuciła się na przeleknioną Fanszetę: Czy ty kochasz? — pytała. O tak! kochasz, przypo-

minam sobie! Ach! jakże jestem szczęśliwa, że mam przy sobie kobietę, która mię rozumie. A więc, biedna Fanszeto, czyż mężczyzna nie jest przerażającą istotą! Ha! mówił, że mnie kocha, a nie wytrzymał najmniejszej z prób! Ach! gdyby świat cały go odepchnął, byłby znalazł w mej duszy jedyne schronienie, gdyby świat cały go oskarżył, jabym go jedna broniła! Niegdyś widziałam świat przepelniony snującemi się po nim istotami, ale i świat ten i istoty owe były mi obojętne; świat był smutny, ale nie straszny, ale teraz, cóż mi świat cały bez niego! Więc on będzie żył, a ja nie będę przy nim, nie będę go widziała, nie będę z nim mówiła, nie będę go czuła, trzymała, ścisкала!... Ach! zaduszę go wprzód własnymi rękami, gdy będzie spał!...

Przerażona Fanszeta przypatrzyła się jęj w milczeniu.

— Zabić tego, którego się kocha? — rzekła nareszcie słodkim głosem.

— Tak, gdy już nie kocha.

Ale po tych okropnych słowach, ukryła twarz w dłoniach, usiadła napowrót na sofie i siedziała tak w milczeniu.

Nazajutrz wszedł do jęj pokoju człowiek jakiś, nie anonsując się. Miał on surowy wyraz twarzy. Był to Hulot. Podniosła oczy i zadrżała.

— Przychodzisz pan zażądać rachunku z powierzonych mi żołnierzy, przyjaciół twoich?... Nie żyją!

— Wiem o tém — odparł. — Zginęli, a śmierć wzięła ich nie w służbie Rzeczypospolitej.

— Dla mnie i przeze mnie zginęli! — wykrzyknęła. — Będziesz mi pan mówił o ojczyźnie. Ale powiedz mi, czy ojczyzna wraca życie tym, którzy dla niej giną, czy mści się chociaż ich śmierci! Ja ich pomszczę przynajmniej!

Ponure obrazy katastrofy, której była ofiarą, rozwijały się szybko i gwałtownie w jęj wyobraźni i piękna ta istota, dla której wstyd i skromność najsilniejszą były bronią kobiecą, miała w tej chwili ruchy szalone i krokiem, męskim prawie, szła ku olśnionemu komendantowi.

— Za kilku zamordowanych żołnierzy ja przyprowadzę pod topor waszych gilotyn głowę jedną, która warta więcej od głów tysięcy! — rzekła. — Kobiety rzadko wojują, ale choć starym jesteś żołnierzem, mógłbyś się w mojej szkole wiele ciekawych forteli wojennych wyuczyć! Oddam na żer waszych bagnatów całą rodzinę: jego przodków i jego samego, jego przyszłość, jego przeszłość, wszystko! O ile byłam dlań dobrą i szczerą, o tyle teraz będę fałszywą i podstępna. Tak, komendancie, przywiodę tego dumnego szlachcica do mego łóżka, z którego gdzie indziej nie wyj-

dzie, jak na szafot! Tak! tak stanę się pewną, że nie będę miała rywalki. Nędznik sam wydał wyrok śmierci na siebie: *dzień bez jutra*, powiedział... Wasza Rzeczpospolita i ja będziemy pomszczeni. Rzeczpospolita! — zaczęła znowu głosem, którego dziwny akcent przeraził Hulota. Więc on umrze za to, że podniósł broń przeciw ojczyźnie? Więc Francya ukradnie mi moję zemstę! Ach! jakże życie jest marne! Jedna śmierć jedną tylko zbrodnię okupić może. Ale jeżeli ten panicz ma jedną tylko głowę, ja będę miała jedną całą noc, aby mu dać uczuć, o ile więcej traci niż życie! Przede wszystkim jednak komendancie, ty, który go zabijesz (tu wydarło się ję z piersi westchnienie), proszę cię, czyń tak, aby nic nie zdradziło mojej zdrady, i żeby legł pewny mojej wierności! O nic cię więcej nie proszę! Niech widzi mnie tylko jedynie i moje pieszczoty!

Zamilkła a za purpurą jej twarzy Hulot i Korentyn dostrzegli, że gniew i szal namiętny nie zdołały zabić całkowicie w niej wstępu. Marya drżała gwałtownie wymawiając te słowa. Wsluchiwała się w nie sama jakby wątpiła, że to ona je wyrzekła, i zadrżała znowu naiwnie, robiąc giest kobiety, której z rąk się zasłona wymknęła.

— Ale miałas go pani w swych rękach — rzekł Korentyn.

— Prawdopodobnie — odrzekła z goryczą.

— Dlaczegoż mnie było wstrzymywać, gdy go schwytałem — zapytał Hulot?

— Ależ, komendancie, nie byliśmy pewni wtedy, że to on!

Mówiąc to, przechadzała się gwałtownymi krokami po izbie i rzucała groźne spojrzenia na obu widzów téj burzy. Nagle uspokoiła się. — Nie poznają się — zawołała głosem prawie męskim. — Nie czas rozmawiać! Trzeba iść po niego!

— Iść po niego! — zawołał Hulot — ależ, kochane dziecko, nie wiesz chyba, co mówisz, nie wiesz pewno, że nie jesteśmy panami okolicy, i że jeżeli się ośmielisz wyjść za bramy miasta, zostaniesz pochwyconą i zginiesz niedaléj, jak o jakie sto kroków.

— Dla tych, którzy się chcą zemścić, niema niebezpieczeństwa — odpowiedziała z giestem wzgardy, którym wygnała z izby obu świadków swego szału.

— Co za kobieta! — krzyknął Hulot wychodząc z Korentynem. Co-za myśli niedorzeczne mają ci naczelnicy policyi w Paryżu! Ona nigdy nam go nie dostawi — dodał, kręcąc głową.

— O! dostawi! — odparł Korentyn.

— Czyż nie widzisz, że ona go kocha?

— Właśnie dlatego. Zresztą — rzekł Korentyn, spoglądając na zdziwionego komendanta — ja tu jestem, ja nie dam jej zrobić

głupstwa, gdyż według mnie, kolego, niema miłości, która byłaby warta 300,000 franków.

Gdy pokojowy dyplomata pożegnał starego wiarusa, ten ostatni powiódł za nim oczyma, a gdy odgłos kroków jego ucichł, westchnął, mówiąc sam do siebie:

— Już to jednak czasem szczęście być tak głupim, jak ja! Do stu piorunów. Gdybym spotkał Garsa, wybiłbym się z nim na pałasze, jak-em Hulot! Gdyby potrzeba było sądzić tego lisa, teraz, gdy potworzono sądy wojenne, uważałbym swoje sumienie tak brudnym, jak kosztuła młodego rekruta, co pierwszy raz idzie w ogień!

Rzeź w Vivetièrre i żądza pomszczenia dwóch towarzyszy o tyle przyczyniły się do powtórniego przyjęcia przez Hulota dowództwa, o ile odpowiedź nowego ministra wojny Berthiera, w której uwiadomił go, że w obecnych okolicznościach dymisji jego przyjąć nie może. Do depeszy ministeryalnej dołączony był list poufny, w którym minister, nie objaśniając o misji, powierzonej panie de Verneuil, pisał mu, że wypadek ten, nie mający nic z tokiem wojny wspólnego, nie powinien wpływać na jego czynności. Współudział naczelników wojennych, pisał minister, powinien ograniczać się w tej sprawie na dopomaganiu *tej szanownej obywatelce, jeżeli tego okaże się potrzeba*.

Dowiedziawszy się z raportów, że ruchy Szuanów zdradzają zamiar skoncentrowania ich sił w okolicy Fougères, Hulot sprowadził tajemnie, zdwojonemi marszami, dwa bataliony swej półbrygady do tego miasta. Niebezpieczeństwo ojczyzny, nienawiść dla arystokratów, których stronnicy zagrażali wielkiemu obszarowi ziemi francuskiej, przyjaźń, wszystko łączyło się, aby powrócić staremu żołnierzowi zapal młodoci.

— Otóż to jest życie, jakiego pragnęłam — wykrzyknęła panna de Verneuil, gdy się znalazła sama z Fanszetą. Jakkolwiek szybko płyną godziny, są one dla mnie wiekami myśli!

Wzięła za rękę Fanszetę i głosem pierwszego skowronka, co zanuci po burzy, wypowiedziała następujące słowa:

— A jednak cokolwiek pocznę, moje dziecko, widzę zawsze przed sobą tę parę ust purpurowych, ten podbródek lekko podniesiony, te oczy pełne ognia i słyszę ciągle: wio! naszego pocztyliona. Marzę! a jednak dlaczegoż tyle nienawiści po przebudzeniu!

Westchnęła ciężko, podniosła się, potem, pierwszy raz od wejścia do tego domu, zaczęła rozpatrywać się w krajobrazie tej krainy, wydanej na pastwę wojny domowej przez tego okrutnego szlachcica, którego chciała zwalczyć sama. Pociągnięta pysznym widokiem wyszła z domku, aby odetchnąć swobodniej pod stropem nieba,

i puściła się drogą bez wyboru, a jeżeli znalazła się na skwerze miejskim, z pewnością zaprowadził ją tam ten zły demon naszej duszy, który każe nam szukać nadziei w niedorzeczności. Myśli, poczęte pod wpływem tego uroku, często się spełniają, ale wtedy przypisują zwykle to przewidzenie przyszłości potędze, zwaną przeczuć. Potęgą to niewytłomaczona, ale istotna, którą namiętność zawsze ma na swoje rozkazy, jak pochlebce, który wpośród licznych kłamstw powie czasem prawdę.

ROZDZIAŁ III.

Dzień bez jutra.

Ostatnie wypadki téj historii, zależne od topografii miejsca, na którém zaszły, czynią koniecznym dokładny opis całej okolicy, bez którego rozwiązanie byłoby niezrozumiałem.

Miasto Fougères zbudowane jest w części na skale łupkowej, która sterczy, jakby runęła pod stopy łańcucha gór, zamykającego na zachód wielką dolinę Couësson, i przybierającego różne nazwiska stosownie do miejscowości, jakie przebiega. Tak wzniesione miasto odgranicza się od gór owych wąwozem, w którego głębi płynie mała rzeczulka Fançon. Część skały, zwrócona ku wschodowi, patrzy na tenże sam krajobraz, jaki daje się widzieć z wierzchołka *Péleriny*; od zachodu zaś nie widać nic więcej, jak tylko smutną, pełną wężowych zakrętów dolinę Nançon. Istnieje wszakże jeden punkt, z którego objąć można całe półkole horyzontu, złożone z wielkiej doliny i łączącej się z nią małej. Miejsce to wybrali mieszkańcy Fougères na skwer spacerowy i tutaj znalazła się, idąc bez celu, panna de Verneuil — tutaj rozwiązać się miał dramat, zaczęty w Fougères. Uwaga czytelnika powinna zwrócić się całkowicie na te szczegóły terenu, które napotykamy u szczytu „Promenady“.

Ażeby mieć wyobrażenie o widoku, jaki z téj strony przedstawia skała Fougères, można porównać ją do jednej z tych wież olbrzymich, nazewnątrz których budowniczkowie saraceńscy przeprowadzali dokoła na każdym piętrze szerokie krużganki, połączone nawzajem kręconymi schodami. W istocie skała ta zakończoną jest gotyckim kościołkiem, którego wąskie i spiczaste wieże, dzwonnice i sklepienia nadają jej kształt przypominający dokładnie głowę

cukru. Przed wrotami tej świątyni, wzniesionej pod wezwaniem ś-go Leonarda, rozciąga się mały nieforemny placyk, którego grunt opiera się na prostym murze w kształcie balustrady, łączącym się z ową „Promenadą“ za pomocą stromych ścieżek z ochronnymi baryerami.

Ta nowa płaszczyzna, podobna do drugiego saraceńskiego balkonu, rozwija się dokoła skały na kilka stóp poniżej placu ś-go Leonarda i przedstawia dosyć szeroką aleję, wysadzaną drzewami, która doprowadza do fortyfikacyj miasta. Dalej o dziesięć stóp od murów i skał podtrzymujących ten taras, który zawdzięczać należy szczęśliwemu układowi łupku oraz długoletniej pracy ludzkiej, istnieje droga kręta, zwana „schodami królowej“, wykuta w skale i prowadząca do mostu zbudowanego na rzece Nançon przez Annę Bretońską. Nakoniec poniżej pod tą drogą, która naśladuje trzeci balkon, ogrody formują tarasy stopniowo zbiegające coraz niżej aż do rzeki, podobne do olbrzymich schodów, strojnych w kwiaty.

Równolegle z „Promenadą“ wysokie skały przyjmujące od przedmieścia, które sobą osłaniają, nazwę „gór ś-go Sulpicyusza“ ciągną się wzdłuż rzeki i spuszcza ją się łagodnym stokiem ku wielkiej spadzistości, gdzie nagle załamując się, tworzą olbrzymie kolano i zwracają się ku północy. Proste te, strome niezarośnięte i ponure skały zdają się stykać z pokładem łupkowym „Promenady“; w kilku miejscach oddalone są od niej na odległość karabinowego strzału i chronią od wiatrów północnych wąską dolinę, na sto stóp głęboką, gdzie Nançon dzieli się na trzy ramiona, zraszające łąkę, obciążoną fabrykami i okrytą płaszczem cudownej roślinności.

Ku południowi w miejscu, gdzie kończy się tak zwane miasto i zaczyna się przedmieście ś-go Leonarda, skała Fougères załamuje się łagodnie, zniża się i schodzi do wielkiej doliny równolegle z biegiem rzeki, którą przypiera w ten sposób do gór ś-go Sulpicyusza, tworząc wąwóz, z którego Nançon wybiega, rozdarta na dwa strumienie ku Couësson, do której wpada. Śliczna ta grupa skalistych wzgórków nazywa się *Nid-aux-Crocs*, a dolina, którą tworzą, nazywa się *Gibarry*; żyzne jej łąki dostarczają znacznych ilości owego masła smakoszków, znanego pod nazwiskiem *de la Prée-Valaye*.

Tam, gdzie aleje „Promenady“ zbliżają się ku fortyfikacyom, wznosi się wieża zwana wieżą *Papeganta*. Od kwadratowej zagrody, której część stanowi domek, zajęty przez pannę de Verneuil, wznosi się tam, gdzie skała nie przedstawia gładkich i równych powierzchni, mur wysoki, a część miasta osadzona na tej wyniosłej niedostępnej podstawie, opisuje obszerny półksiężyc, ku końcowi którego skały pochylają się i rozpadają, tworząc gościnne przejście

dla rzeczki Nançon. Tam znajduje się wielka brama prowadząca na przedmieście św. Sulpicyusza, którego imię wspólnem jest bramie i przedmieściu.

Daléj, na granitowym wzgórk, panującym nad trzema dolinami, w których zbiegają się różne drogi, wznoszą się stare mury i odwieczne wieże feudalnego zamku Fougères, jednej z najpotężniejszych i największych fortyfikacyj, wzniesionych przez książąt Bretanii, mury wysokie na piętnaście stóp, grube również na tyle. Zamek ten broniony jest od wschodu wielkiem, błotnistém jeziorem, z którego wypływa Nançon obracająca wodami swemi wszystkie młyny pomiędzy bramą ś-go Sulpicyusza i zwodzonym mostem forticy. Od zachodu broni twierdzy stroma wysokość granitowych skał, na których się zamek wznosi.

Tak więc od „Promenady“ aż do tych wspaniałych szczątków średnich wieków, zamek otoczony płaszczem z dziko pnącej się zieleni, strojny czworobocznymi i okrągłemi wieżycami, z których w każdéj cały pułk znalazłby pomieszczenie, miasto osłonięte murami lub zrównanemi ręką ludzką prostopadłemi masami granitu tworzą olbrzymią podkowę, pełną strasznych przepaści, wpośród których z pomocą czasu Bretończycy zdołali wydeptać parę wąskich ścieżynek. Gdzie-nie-gdzie z gładkiej powierzchni wysuwają się, jakby ornamenta, granitowe gzymsy. Tu wody przesiakają przez szczyby skaliste, na których wznoszą się węzłowate drzewa, daléj na kilku mniej pochyłych płaszczyznach granitowych zdołała utrzymać się ziemia, rodząca chwasty, które przywabiają dzikie kozy, a daléj jeszcze wokoło zielenią pokryte łąki, powstałe w wilgotnych rozpadlinach i zdobiące swojemi kobiercami z traw i kwiecica czarne skał załomy. W głębi tego olbrzymiego leja, mała rzeczka przesuwa się krętą linią po zawsze świeżej, zielonej i jakby haftowanej łące.

U stóp zamku pomiędzy masami granitu wznosi się świątynia na cześć ś-go Sulpicyusza, nadającego swoje nazwisko przedmieściu, położonemu z drugiej strony Nançon. Przedmieście to, jakby rzucone w głębie przepaści, i kościół, którego śpiczaste wieżycy nie dochodzą do wysokości skał, zdających się chylić do upadku na nie, kąpie się malowniczo w skromnych wodach Nançon, ocienionych drzewami i zdobnych ogrodami. Przerzynają one nieregularny półksiężyc, opasany przez „Promenadę“, miasto i zamek i malowniczą swą sielankowością silny stwarzają kontrast z poważnym widokiem amfiteatru, naprzeciw którego się ciągną. Wreszcie całe Fougères, jego przedmieścia i kościoły, góry nawet ś-go Sulpicyusza otoczone są wyżynami *Rillé*, stanowiącemi ogólny obwód zewnętrzny wielkiej doliny Couësson.

Oto są najwybitniejsze rysy téj natury, której głównym charakterem jest surowa dzikość, złagodzona rozkosznym pejzażem i szczęśliwém połączeniem wspaniałych wysiłków pracy ludzkiej z kaprysami gruntu załamanego w najróżnorodniejsze kształty wskutek jakichś dziwnych kontrastów, jakichś niedających się przewidzieć okoliczności, które dziwią, trwożą i zachwycają razem. Nigdy we Francyi nie spotka podróźny sprzeczności tak wspaniałych, jak te, które przedstawia wielki basen Couësson i olbrzymia dolina, zapadła pomiędzy skałami Fougères i wyżyną Rillé. Są to piękności przepyszne, w których nie brak żadnego tonu, wiążącego się w majestatyczną harmonię natury. Tu wody czyste, przezroczyste, bystre, góry ubrane bujną zielonością naszej strefy, obok skały ciemne i ponure, fabryki pyszne, lekkie i wyniosłe fortyfikacye, wzniesione przez naturę, i wysokie baszty, zbudowane ręką ludzką, dalej rozliczne przejścia gry światła i cieni, wszystkie kontrasty tak chciwie poszukiwane przez malarzy, igrają pomiędzy liśćmi przeróżnych drzew; to znowu grupy domów i domków, w których wije się ludność pracowita, a tuż przestrzenie puste, których granit nie znosi nawet białego mchu, czepiającego się najwynioslejszych skał, nareszcie wszystko, czego tylko od krajobrazu wymagać można: lekkość i gracya obok strasznych i przerażających przepaści, poemat cały, pelen magicznych efektów, boskich obrazów, cudownych niespodzianek. Bretania występuje tu w całym blasku swéj piękności!

Wieża Papeganta, na której zbudowany był domek zajmowany przez pannę de Verneuil, ma podstawę w samej głębi przepaści i wznosi się do tarasu przed kościołem ś-go Leonarda. Z tego domku, odosobnionego z trzech stron, jeden rzut oka obejmuje odrazu całą podkowę, zaczynającą się od téj właśnie między, całą dolinę Couësson i plac ś-go Leonarda. Domek ten należy do szeregu zabudowań trzykroć stuletnich, wzniesionych z drzewa, a położonych równolegle z północnem skrzydłem kościoła, z którym tworzą zaulek wychodzący ku bramie ś-go Leonarda, kędy właśnie zmierziała panna de Verneuil.

Ominęła ona wejście na plac kościelny, przesunęła się pod mury świątyni i zwróciła swe kroki ku „Promenadzie“. Gdy minęła dalej małą baryerkę, pomalowaną na zielono, która ciągnęła się pod drzwiami wojskowych koszar, urządzonych podówczas właśnie przy bramie ś-go Leonarda, wspaniały widok poskromił na chwilę siłę jéj namiętności. Poczęła podziwiał stąd część wielkiej doliny Couësson, którą oczy jéj objąć zdołały, od wierzchołka „Péleriny“ aż do płaszczyzny, która przechodziła do Vitré, poczem wzrok jéj spoczął na tak zwaném *Nid-aux-Crocs* i na wyniosłościach doliny

Gibarry, których grzbiety tonęły w świetlanych mgłach, przepętnionych blaskiem zachodzącego słońca. Przeraziła ją głębia doliny Nançon, której najwyższe nawet topole dosięgały zaledwie szczytami do muru ogrodów położonych pod „schodami królowej“.

Nakoniec idąc dalej, coraz nowe spotykała niespodzianki dla oka, i przybyła aż do punktu, z którego dojrzieć mogła przez szczyby doliny Gibarry *wielką dolinę* i cudowny krajobraz w owalnych ramach podkowy miasta. O tej porze dnia, dym wznoszący się znad domów przedmieścia i dolin tworzył w powietrzu chmurę, która pozwalała widzieć przedmioty jakby pod błękitnym baldachimem; zbyt żywe blaski dnia poczęły się już przyćmiewać; firmament przybierał szaro-perłowe odcienie; księżyc zaczął się wynurzać na wschodzie, rzucając blado-jasne światło na tę cudowną przepaść; wszystko nareszcie zdawało się nakłaniać duszę do marzeń i dopomagać jej do wywołania z mgły obrazów ukochanych osób. Wtém, w jednej chwili, ani czerwone dachy przedmieścia ś-go Sulpicyusza, ani kościół, ani wiekowy płaszcz zieleni, którą okrywają się mury stariej fortecy i wśród której Nançon pieni się pod kołami młynów, nic już jej więcej nie zajmowało. Naprawdę zachodzące słońce rzucało złote snopy swoich promieni i czerwone swe łuny na śliczne górskie domki rozsiane po skałach i w głębiach doliny, ona stała nieruchoma na szczycie skały ś-go Sulpicyusza. Nadzieja szalona, która ją tu popchnęła, w jednej chwili ziszczała się jakby cudem. Wśród pni i gałęzi wielkich drzew, pokrywających przeciwległy wierzchołek, zdawała się poznawać, pomimo skór kozich, które ich ukrywały, wielu z pomiędzy współbiedniaków strasznej uczty w Vivetièrre; pomiędzy niemi wyróżniał się się Gars, którego najłżejsze ruchy rysowały się wyraźnie na tle łagodnego światła na zachodzie. O kilka kroków po-za grupą główną dojrzała także swoją straszną nieprzyjaciółkę, panią du Gua.

Przez chwilę zdawało się pannie de Verneuil, że wszystko to jest marzeniem, ale nienawiść ku rywalce dała jej wkrótce poznać, że wszyscy ci, których w tém pozorném marzeniu widziała, byli ludźmi z krwi i z kości. Głęboka uwaga, z jaką śledziła każdy giest margrabiego, przeszkadzała jej zauważyć, że pani du Gua zwróciła ku niej łufę swęj długiej strzelby. Niedługo odgłos wystrzału rozbudził echa gór, a kula która świsnęła nad głową Maryi przekonała ją o zrzeczności jej rywalki. „Przysyła mi swą kartę wizytową“ — rzekła do siebie z uśmiechem. W téjże chwili głośnie i liczne: „Kto idzie?“, powtarzane przez rozstawione czaty od zamku aż do bramy ś-go Leonarda ostrzegło Szuanów o środkach ostrożności, przedsięwziętych przez mieszkańców Fougères, kiedy najmniej nawet dostępna część miasta tak mocno była strzeżoną.

— To ona a tamto on — zawołała.

Iść tam, gdzie był margrabia, iść za nim, podejść go, porwać, była to myśl poczęta w głowie Maryi z szybkością błyskawicy. Jestem bez broni — zauważyła. Pomyślała o swym wyjeździe z Paryża i o tém, że w ostatniej chwili rzuciła w jedno ze swoich pudeł elegancki sztylet, niegdyś noszony przez jakąś sultankę, którym pragnęła się zaopatrzyć wyjeżdżając na plac boju, jak owi pocieszni turyści, którzy zaopatrują się w album dla zapisywania w niém myśli, jakie im przyjdą do głowy w czasie podróży; ale mniej w owęj chwili zajmowała ją myśl o krwi, której rozlania mogła czuć potrzebę, niż sama przyjemność noszenia u boku pysznego jataganu, wysadzanego drogiemi kamieniami i igrania z tą stalą, czystą jak lza. Trzy dni temu mocno żałowała, że broni tej nie miała przy sobie, gdy chcąc uniknąć ohydnych mąk, jakie jej gotowała rywalka, pragnęła sobie samęj śmierć zadać. W jednej chwili, z niesłychaną szybkością powróciła do siebie, wyrwała z pudeła sztylet, zatknęła go za pas, przewiązała się wielkim szalem, pokryła włosy czarną koronką, włożyła na głowę jeden z tych kapeluszy wielkich o szerokich skrzydłach, jakie nosili Szuanie, a który należał do służącego tego domu, i z tą przytomnością umysłu, jaką czasami budzą namiętności, chwyciła rękawiczkę margrabiego daną jej przez Marche-a-Terre'a, jako paszport, potem odpowiedziała na zapytanie Fanszety:

— Cóż chcesz? Pójdę za nim w piekło nawet! — i wróciła na opuszczone stanowisko.

Gars był jeszcze na tém samém miejscu — ale sam. Uważając kierunek jego dalekowidza, można było wnioskować, że bada skrupulatnie, że ścisłością wojenną dowódcom właściwą, rozmaite skrzyty Nançon, schody królowej i drogę, która od bramy św. Sulpicyusza ciągnie się wzdłuż kościoła dokoła góry, łącząc się z gościńcami pod ogniem twierdzy.

Panna de Verneuil zwróciła się ku małej ścieżce, wydeptanej przez dzikie kozy i ich pasterzy, dopadła schodów królowej, zbiegła do głębi przepaści, przebyła Nançon, przebiegła przedmieścia, odgadła jak ptak pustyni swoje drogę wpośród niebezpiecznych przepaści skał s-go Sulpicyusza, dosięgła niezadługo śliskiej drogi, wyróżnietej w granicie, i mimo gałęzi kolących liści iglastych krzewów, pomimo drobnych kamyków, które się na nią jeżyły, poczęła drogą tą piąć się ku górze z tą energią nieznaną zapewne mężczyźnie, ale którą kobieta uniesiona namiętnością, posiada — zapewne chwilowo.

Noc zesła Maryę w chwili, gdy starała się rozpoznać, przy bladych promieniach księżyca, drogę, którą musiał udać się mar-

grabia. Staranne badania bezowocne i głęboka cisza, która panowała całej okolicy, dały jej poznać, że miejscowość tę opuścili już Szuanie i ich naczelnik.

Cały wysiłek namiętności upadł w jednej chwili z nadzieją, która go wzbudziła. Znajdując się sama, wśród nocy, w okolicy nieznannej a będącej teatrem zaciętej wojny domowej, Marya zastanowiła się, a uwagi Hulota i strzał pani du Gua, przejęły ją dreszczem trwogi. Spokój nocy, tak głęboki w górach, pozwalał jej słyszeć każdy szelest najmniejszego nawet listka, oderwanego lekkim podmuchem wiatru, i szmery te łagodne, trwożliwe drżały w powietrzu, dając miarę samotności i ciszy w naturze. Wiatr panował w nadpowietrznych sferach, unosząc z pewną gwałtownością chmury, i, wywołując w ten sposób ciągłe zmiany światła i cieni, przerażał jeszcze bardziej Maryą, nadając przedmiotom najzwyczajniejszym kształty fantastyczne i groźne. Zwróciła oczy ku domkom miasta Fougères, których światła błyszczące w oknach były tém dla niej, czém gwiazdy są dla stropów horyzontu, i nagle spostrzegła wieżę Papeganta. Od jej własnego mieszkania oddzielała ją mała tylko przestrzeń, ale przestrzeń ta była przepaścią! Przypomniła sobie wszystkie niebezpieczeństwa drogi, jaką przebyła, ażeby się tu dostać, i przyszła do przekonania, że trudniej byłoby jej powrócić teraz tą samą drogą do domu, aniżeli iść dalej do zamierzonego celu. Pomyslała, że rękawiczka margrabiego oddali od niej niebezpieczeństwo tej nocnej przechadzki, jeżeli Szuanie płądrują po okolicy. Jedną tylko pani du Gua mogła być dla niej istotnie niebezpieczną. Na tę myśl Marya pochwyciła za sztylet, który miała u pasa, i skierowała swoje kroki ku wiejskiemu domkowi, którego dach spostrzegła z wierzchołka okolicy ś-go Sulpicyusza.

Szła jednak już znacznie wolniej, gdyż nie знаła dotąd ponurego majestatu, który przygniata istotę samotną, błądzącą w nocy wśród dzikiej okolicy, kędy ze wszystkich stron wyniosłe góry zdają się pochylać ku sobie głowy, jakby zebrani na wspólną naradę olbrzymi. Szelest jej własnej sukni, zatrzymywanej i zaczepiającej się o gałęzie, nieraz o drzenie ją przyprawiał, i nieraz przyspieszała kroku, aby się zatrzymać na chwilę, jakby pod grozą zbliżającej się śmierci. Niezadługo jednak okoliczności przybrały charakter taki, wobec którego najodważniejszy mężczyzna nie mógłby utrzymać się w równowadze i wobec którego pannę de Verneuil ogarnęło przerażenie, które tak silnie naciska sprężynę życia, iż wszystko u człowieka natenczas bywa bezgranicznem, zarówno siła jak śmiałość. Najśłabsze istoty w takich chwilach zdolne są do czynów, wymagających olbrzymiej siły, a najsilniejsi tracą nieraz zmysły z bojaźni.

Marya posłyszała w bardzo małej odległości od siebie dziwne jakieś szmery, wyraźne i niepochwytne zarazem. Jak noc ta zmienna, to świetlana, to znowu ciemna, tak i głosy te zdradzały jakiś chaos i zamieszanie, a ucho z trudnością je chwyciło. Zdawały się one wychodzić z łona ziemi, która drżała, jakby pod stopami mnóstwa maszerujących ludzi. Chwila jasności księżycowej pozwoliła pannie de Verneuil dojrzeć o kilka kroków od siebie długi szereg ohydnych postaci, które poruszały się, jak kłosa na roli, i posuwały się naprzód, jak mary tajemnicze. Widziała je tylko przez mgnienie oka, ciemność bowiem zapadła, jak czarna zasłona, i zakryła przed nią ten straszny obraz, z którego wyszczerzało się mnóstwo żółtych i błyszczących oczów. Zerwała się szybko i pobiegła na szczyt wzgórka, uciekając przed trzema z tych postaci, które się do niej zbliżały.

— Widziałeś? — zapytał jeden.

— Poczułem wiatr zimny, gdy przebiegł koło mnie — odrzekł drugi stłumionym głosem.

— Odetchnąłem, jakby chłodnem i wilgotnem powietrzem cmentarza — odezwał się trzeci.

— Czy on biały? — zapytał znowu pierwszy.

— Dlaczego on jeden powrócił z tych, którzy zginęli pod „Péleriną“?

— Dlaczego! dziwne pytanie! — odparł trzeci. — A dlaczego zawsze mają pierwszeństwo i robią się wyjątki dla tych, którzy należą do „Serca Jezusowego“? Niechtam! już ja wolę umrzeć bez spowiedzi, niż tłuc się po świecie, jak on, nie jedząc ani pijąc, bez krwi w żyłach i bez ciała na kościach!

— Ach!

Ten wykrzyknik, albo raczej, ten straszny krzyk wydarł się z piersi składających tę grupę ludzi, gdy jeden z Szuanów wskazał palcem na wysmukłą postać i bladą twarz panny de Verneuil uciekającej z nie zrównaną szybkością, bez najbliższego szelestu.

— Tam! — Patrz tutaj! — Gdzież on teraz? — Tam! — Tu! — Już znikł! — Nie! — Gdzietam? — Ale znikł... — Czy go widzisz?

Pytania te i wykrzykniki, rzucane z szybkością błyskawicy, wznosiły się jak szmer fal uderzający o brzegi.

Panna de Verneuil biegła z nieustraszoną odwagą ku domkowi i widziała mnóstwo niewyraźnych postaci, znikających za jej zbliżeniem się z oznakami panicznego strachu. Czuła się porwaną jakby nieznaną jakąś siłą, która ją opanowała. Lekkość jej lotu, zagadkowa dla niej samą, stała się nowym źródłem przestachu dla panny de Verneuil. Postacie, które za jej zbliżeniem zrywały się, jakby

zpod ziemi i uciekały, wydając przeraźliwe jęki, przejmowały niewysłowioną bojaźnią.

Nakoniec dostała się nie bez trudu do jakiegoś zburzonego ogrodu, którego płoty i zagrody były zwalone. Zatrzymana przez wartę, pokazała jej rękawicę Garsa. Księżyc w tej chwili oświecił twarz jej i karabin wypadł z ręki Szuana, który ją brał na cel już, a teraz począł gwałtownie uciekać, wydając ten sam krzyk czy jęk dziki, jaki rozlegał się dokoła. Panna de Verneuil, idąc dalej, obaczyła wielkie zabudowanie, którego parę oświeconych okien zdradzało, że jest zamieszkanem, przynajmniej w kilku pokojach, i zbliżyła się do murów jego bez przeszkody.

Przez pierwsze okno, do którego się zbliżyła, ujrzała panią du Gua i naczelników powstania, zgromadzonych w Vivetière. Przestraszona tym widokiem i przejęta świadomością niebezpieczeństwa, jakie jej zagrażało, szybko odskoczyła i znalazła się pod okienkiem, bronionem grubą kratą żelazną. Przez nie dostrzegła w dużej, sklepionej sali, margrabiego, o dwa kroki zaledwie od niej oddalonego, z wyrazem głębokiego smutku na twarzy. W sali nie było więcej nikogo. Odbłyski ognia, przed którym siedział na prostym stołku, oświecały oblicze jego pomarańczowem i drżącym światłem, nadającem scenie tej charakter mary raczej niż rzeczywistości. Nie ruchoma i drżąca młoda kobieta przytuliła się do kraty i w ciszy ogólnej spodziewała się usłyszeć go, gdy mówić zacznie.

Widząc go tak smutnym, bladym, z wyrazem zniechęcenia i gorczy na twarzy, pochlebiała sobie, że jest jedną z przyczyn smutku jego. Potem gniew zamienił się w politowanie, litość — w czułość, i przypomniała sobie nagle, że nie tylko uczucie zemsty ją tu przywiodło.

Margrabia podniósł się, z wolna odwrócił głowę i z pewnem przeżeniem ujrzał, jakby we mgle, twarz panny de Verneuil. Na ten widok z ruchem, zdradzającym niecierpliwość, zawołał:

— Więc wszędzie w oczach będzie mi stała ta dyablica, nawet na jawie!

Ta głęboka pogarda, jaką czuł dla niej, wydarła z piersi jej szalony śmiech nerwowy, od którego zadrżał młody wódz Szuanów i rzucił się do okna. Panna de Verneuil usunęła się. W chwilę potem usłyszała kroki mężczyzny, którego wzięła za margrabiego de Montauran. Aby uciec przed nim copędzej, nie było dla niej przeszkody dość silnej; byłaby przeskoczyła mury i uniosła się w powietrze, byłaby odnalazła drogę do piekieł, byleby uniknąć widoku tej twarzy, na której ognistemi zgłoskami widziała wypisane słowa: „ja tobą pogardzam!“, a które w tej chwili słyszała, grzmiaące w swych uszach z mocą trąb archanielskich.

Tak biegnąc bez zastanowienia, gdzie ją kroki uniosą, zatrzymała się nagle, czując się przejętą wilgotnym powiewem powietrza. Przerazona odgłosem kroków kilku zbliżających się ludzi, że strachu zbiegła po jakichś schodach, na które natrafiła, a które wprowadziły ją do głębi jakiejs piwnicy. Na ostatnim stopniu stanęła i nadstawiła ucha, chcąc się dowiedzieć, w jakim kierunku zdążali ci, którzy ją tu zapędzili, ale pomimo dość silnych, chociaż nie dających się rozeznąć szmerów zewnątrz, usłyszała tylko wyraźnie wychodzące z głębi ludzkie jęki, które spotęgowały jej przestrasz. Blask światła, które się ukazało u szczytu schodów, obudził w niej znów obawę, że jej kryjówka zostanie odkrytą i nowych sił jej dodał do dalszej ucieczki. W kilka chwil później, gdy zebrała myśli, niepodobna jej było wytłumaczyć samej sobie, jakim sposobem zdołała wydrapać się na dosyć gruby i szeroki mur, w którym się ukryła. Z początku nawet nie zauważyła, jak niewygodną była pozycja, w której musiała się trzymać. A pozycja ta stała się niebawem wprost niepodobną do zachowania. Panna de Verneuil podobną była pod łukiem sklepienia do sławnego posągu Wenery przykleklej, którąby amator uśmiecił w zbyt ciasnej niszy. Mur ten szeroki, zbudowany z granitu, tworzył odgródkę pomiędzy miejscem, przeznaczonem na schody, a piwnicą, z której wydobywały się jęki.

Wkrótce skulona w owej niszy dostrzegła nieznajomego sobie człowieka, okrytego skórą kozią schodzącego tuż obok niej na dół. Skierował się pod sklepienie piwniczne nie zdradzając najmniejszym ruchem niecierpliwości poszukującego. Pragnąc jaknajprędzej zbadać, czy jest dla niej prawdopodobieństwo wybawienia, panna de Verneuil oczekiwała niecierpliwie, ażeby światło niesione przez nieznajomego, oświeciło piwnicę. Nareszcie dostrzegła masę jakąś bezkształtną, lecz żywą, która gwałtownymi ruchami starała się zbliżyć do pewnej części muru. Ruchy te podobne były do konwulsyjnych szamotań się karpia, wyrzuconego z wody na piasek nadbrzeżny.

Mała pochodnia żywiczna, rzuciła wkrótce swoje błękitnawe, dymne i niepewne światło do piwnicy. Mimo ponurą poezji, którą wyobrażenia panny de Verneuil ubrała te ciemne sklepienia, odbijające jęki boleśnej prośby, była ona zmuszoną przyjść do przekonania, że znajduje się w podziemnej kuchni, od dawna opuszczonej. Oświecona owa masa czarna zdawała się być małym człowiekiem, bardzo grubym, który wszystkie członki miał starannie związane, ale który zdawał się być porzuconym na wilgotne kamienne płyty bez żadnej opieki ze strony tych, którzy go dzierżyli w swęj mocy. Na widok nieznajomego, trzymającego w jednej ręce po-

chodnię, w drugiej łączywo, więzien wydał z piersi jęk głęboki, który tak silnie podrażnił wrażliwość panny de Verneuil, że zapomniała o własnym strachu, o własnej rozpacz, straszliwej niewygodzie, w jakiej wszystkie ścieśnione jej członki cierpiały, i stała się pozostać nieruchomą.

Przybyły ze światłem Szuan wrzucił do komina wiązkę chróstu i przekonawszy się o trwałości starego żelaza do zaczepiania naczyń, wiszącego wzdłuż po nad wysoką żelazną blachą, podłożył swą pochodnię ogień pod drzewo. Panna de Verneuil poznała z wielkiem przerażeniem w przybyłym człowieku okrutnego i przebiegłego Pille-Miche'a, któremu ją niedawno darowała jej rywalka, i którego twarz, oświecona płomieniem, podobną była do twarzy owych rzeźbionych z bukszpanu przez niemieckich artystów okopconych figur. Skarga wydobywająca się z piersi więźnia wywołała straszny uśmiech na twarz tę pooraną brózdami i spaloną od słońca.

— Widzisz — rzekł on do nieszczęśliwego — że my chrześcijanie nie uchybiamy naszemu słowu, jak ty. Ten oto ogień rozwiąże ci nogi, język i ręce. Cha! cha! Nie widzę tu jakoś brytwanny, którąby można pod nogi podstawić. Takie tłuste, że tłuszcz z nich gotów ogień ugasić. Dom twój widać źle zagospodarowany, kiedy nie można w nim znaleźć wygodek dla pana, kiedy się chce ogrzać.

Ofiara wydała straszny krzyk z piersi, jakby miała nadzieję, że krzyk ten przedrze sklepienia i sprowadzi wybawcę.

— Ot to! możesz sobie krzyczeć, ile ci się podoba, mości d'Orgemont! Oni tam sobie śpią na górze a Marche-a-Terre idzie tu zaraz za mną i zamknie drzwi od piwnicy.

To mówiąc Pille-Miche karabinem próbował kaptur komina, płyty, któremi wyłożoną była kuchnia, mury i ognisko i starał się odkryć w ten sposób kryjówkę, w której sknera złożył swe złoto.

To poszukiwanie odbywało się z taką zręcznością, że d'Orgemont umilkł, obawiając się, czy nie został zdradzony przez kogoś ze służby, bo chociaż nie zwierzył się przed nikim, zwyczaj jego mogły wprowadzić kogo na trafny domysł. Pille-Miche odwracał się czasami nagle, spoglądając na swoją ofiarę, jak w owej zabawce dziecinnej, w której dzieci starają się odgadnąć z wyrazu twarzy tego, który schował umówiony przedmiot, czy się do kryjówki zbliżają, czy od niej oddalają. D'Orgemont udał przestach, widząc, że Szuan uderza w piecyk, wydający głuchy odgłos, i zdawał się w ten sposób chcieć zabawić przez czas jakiś chciwość Pille-Miche'a. W tej chwili trzech innych Szuanów wpadło nagle do kuchni.

Na widok Marche-a-Terre'a Pille-Miche przerwał swoje poszu-

kiwania, rzucając na d'Orgemonta spojrzenie, pełne okrucieństwa, jakie w nim podnieciła zawiedziona chciwość.

— Marya Lambrequin zmartwychwstał — rzekł Marche-a-Terre w sposób tak stanowczy, że wszystkie inne myśli i zajęcia musiały ustąpić przed tak ważną nowiną.

— Nie dziwię się temu — odparł Pille-Miche — tak często chodził do spowiedzi! Pan Bóg zdawał się istnieć tylko dla niego!

— Ho! ho! — zawołał Mène-a-Bien, przydało mu się to jak umarłemu kadzidło! Przecież nie dostał rozgrzeszenia przed bitwą na „Pélerinie“. Zalecał się do córki Gogelon i zabrnął w grzech śmiertelny. To też ojciec Gudin powiedział, że przez dwa miesiące duch jego będzie tłukł się po ziemi, nim zmartwychwstanie zupełnie! Widzieliśmy go, przeszedł koło nas dopiero co, blady, zimny i lekki, czuć go mogiła!

— I przewielebność jego mówi, że gdyby zdołał kogo pochwycić, wziąłby go sobie do towarzystwa — dorzucił czwarty Szuan.

Pocieszna figura ostatniego rozmówcy wywiodła Marche-a-Terre'a z religijnego rozmarzenia, w jakim go pogrążyło spełnienie się cudu, który według ojca Gudin powinien był podsyć zapal u każdego obrońcy religii i króla.

— Widzisz, Galope-Chopine — rzekł on do neofity z pewną powagą — do czego wiodą nas najłżejsze uchybienia przeciw obowiązkom, jakie nakłada na nas święta religia. Jestto wskazówka, którą udziela nam święta Anna z Auray, abyśmy byli nieubłaganymi dla najdrobniejszych nawet błędów. Kuzyn twój Pille-Miche prosi, abyśmy ci powierzyli czuwanie nad Fougères; Gars zgadza się na to i dobrze ci zapłacą; wiesz wszakże, z jakiego łyka kręcimy postronki dla zdrajców?

— Wiem, panie Marche-a-Terre.

— Wiesz, dlaczego ci to mówię? Niektórzy utrzymują, że lubisz cydr i soldy...

— Z przeproszeniem mówiąc, panie Marche-a-Terre, ale cydr i soldy nie przeszkadzają do zbawienia.

— Jeżeli kuzyn mój robi jakie głupstwo — odezwał się Pille-Miche — to tylko przez nieświadomość.

— Gdyby się stało jakie nieszczęście, mniejsza o to, w jaki sposób, przysięgam, że nie podaruję! — zawołał Marche-a-Terre takim głosem, że zadrżało sklepienie. Ty mi za niego odpowiadasz — dodał zwracając się do Pille-Miche'a — bo jeżeli pokpi sprawę, wezmę się do twojej skóry. Co do powstańców Garsa, ci będą mieli jego rękawiczkę. Ale od tej awantury w Vivetiére, wielka garsya wiąże do niej zieloną wstążkę.

Pille-Miche trącił żywo łokciem swojego towarzysza wskazując

mu d'Orgemonta, który udawał, że śpi; wszakże Marche-a-Terre i Pille-Miche wiedzieli z doświadczenia, że nikt jeszcze nie zdrzemał się przy ich ogniu; i chociaż ostatnie słowa, wypowiedziane były do Galope-Chopine'a cicho, przecież czterej Szuanie spojrzeli jakby za danym znakiem na biedaka, myśląc zapewne, że przerażenie odebrało mu zmysły. Nagle, na lekkie skinienie Marche-a-Terre'a, Pille-Miche ściągnął trzewiki i pończochy z nóg d'Orgemonta, Mène-a-Bien i Galope-Chopine porwali go pod pachy i ponieśli do ognia; poczem Marche-a-Terre wziął wiązkę chróstu i przymocował nogi skąpca do rusztu. Szybkość, z jaką to wszystko jednocześnie wykonano, wydobyła z piersi ofiary jęki rozdzierające, zwłaszcza gdy Pille-Miche począł podsypywać mu węgle pod nogi.

— Przyjaciele moi, drodzy przyjaciele — wołał rozpaczliwie d'Orgemont, nie męczcie mię... jestem przecież, jak wy, chrześcijaninem...

— Łżesz! — odpowiedział Marche-a-Terre. Brat twój wyparł się Boga. Ty kupiłeś opactwo Juvigny. Ojciec Gudin powiedział, że można piec bez skrupułu odstępców naszej wiary.

— Ależ, bracia moi w Chrystusie, ja nie wzbraniam się wam zapłacić...

— Daliśmy ci dwa tygodnie czasu a oto już upłynęło dwa miesiące i Galope-Chopine nic nie dostał!

— Jakto, nic nie dostałeś, pocziwy człeczce? — spytał skąpiec z rozpaczą.

— Nic, panie d'Orgemont — odparł Galope-Chopine.

Krzyki, które zmieniły się w jęk podobny do chrapania konającego, rozpoczęły się z nową bezprzykładną gwałtownością. Przyzwyczajeni do podobnych widowisk, jak do tego, że psy ich chodzą bez trzewików, czterej Szuanie przyglądali się d'Orgemontowi wiążącemu się w bólach, z tak zimną krwią, iż można było wziąć ich za podróżnych oczekujących przed kominkiem oberży, rychło ugotuje się pieczeń, aby ją spożyć.

— Umieram! Umieram! — wołał męczony przez nich skąpiec — i nie obaczycie moich pieniędzy!

Mimo przejmujących grozą krzyków d'Orgemonta, Pille-Miche spostrzegł, że ogień nie chwyta jeszcze skóry; w prawdziwie artystyczny więc sposób rozżarzone węgle tak, aby płomień mógł się powoli ale stopniowo wzmaczać. D'Orgemont zawołał wtedy głosem zrozpaczonego:

— Przyjaciele drodzy, rozwiążcie mnie! Ile chcecie? Sto sztuk złota, tysiąc, dziesięć tysięcy, stotysięcy? Dam wam dwieście sztuk!...

Głos ten brzmiał tak płaczliwie rozczulająco, że panna de Ver-

neuil zapominając o swém własném niebezpieczeństwie wydała okrzyk zgrozy.

— Kto się tu odzywa? — zapytał Marche-a-Terre.

Szuwanie rzucili dokoła spojrzenia pełne trwogi. Ludzie ci, tak odważni wobec paszcz armatnich, drżeli przed *dusząmi*. Pille-Miche sam jeden słuchał uważnie, nie przeszkadzając sobie wcale, wyznań, jakie wzmagające się bóle wydzierają jego ofierze.

— Pięćset sztuk! Dobrze! Dam pięćset — wołał skąpiec.

— Ba! dobrze to mówić, ale gdzież one? — pytał spokojnie Pille-Miche.

— Gdzie!? Znajdziecie je pod pierwszą jabłonią. Matko Przenajświętsza! W głębi ogrodu, nalewo!... Jesteście zbóje, katy, oprawcy, złodzieje... Ach umieram, jest tam dziesięć tysięcy franków!

— Nie chcę franków — wołał Marche-a-Terre — daj nam liwrow! Pieniądze rzeczypospolitej noszą na sobie pogańskie figury i nigdy kursu nie będą miały.

— Są tam liwry, same liwry w doskonałych sztukach złotych! Ale rozwiążcie mnie, puśćcie mnie, wszak wiecie już, gdzie moje życie, gdzie mój skarb!

Czterej Szuwanie spojrzeli po sobie, nawzajem szukając w gronie swoim tego, któremu powierzyć można wykopanie skarbu. Barbarzyńskie to okrucieństwo tak silnie oddziaływało na pannę de Verneuil, że nie pytając już nawet, czy biała jej twarz dostatecznie ją zabezpieczy, odważnie krzyknęła głosem, któremu nadała umyślnie dźwięk grobowy:

— Nie boicie się gniewu bożego! Odwiążcie go, barbarzyńcy!

Szuwanie podnieśli głowy, ujrzeni w górze dwoje oczu błyszczących jak dwie gwiazdy i umknęli co prędzej przerażeni. Panna de Verneuil wskoczyła do kuchni, pobięła do d'Orgemonta, wyciągnęła go ruchem tak gwałtownym z ognia, że cały stos misternie ułożony rozsypał się, potem ostrzem sztyletu przecięła sznury którymi był związany... Gdy ocalony skąpiec stanął na nogach pierwszym wyrazem, jaki zagrał na jego twarzy, był śmiech bolesny lecz ironiczny.

— Idźcie sobie, idźcie pod jabłoń zbóje! Łotry! — wołał — Ho ho! już oto drugi raz w pole ich wywodzę, ale trzeci raz mnie nie złapią!

W tej samej chwili głos kobiecy rozległ się zewnątrz jaskini.

— *Duszy, duszy!* — wołała pani du Gua — głupcy! wszakże to ona! Tysiąc sztuk złota temu, kto mi przyniesie głowę tej nędzniczy!

Panna de Verneuil zbladła, ale skąpiec roześmiał się, ujął ją za

rękę, pociągnął pod kaptur komina, i poprowadził tak ostrożnie, aby nie został najlżejszy ślad przejścia wśród ogniska zajmującego niewielką przestrzeń, a przybywszy do ściany nacisnął sprężynę. Wielka żelazna płyta odskoczyła nagle. Zanim wspólni wrogowie ich zbiegli do wnętrza piwnicy, już ciężkie drzwi zamknęły się za nimi bez szczęku. Wtedy dopiero zrozumiała panna de Verneuil cel dziwnych ruchów d'Orgemonta, których sobie wprzód wytłomaczyć nie mogła.

— Wiesz pani — zawołał Marche-a-Terre — duch porwał ze sobą *Błękitnego*...

Przerażenie było snadź wielkie, gdyż zapanowała w jaskini taka cisza, iż bankier i jego towarzyszka w ukryciu swoim słyszeli wyraźnie, jak Szuanie szeptali modlitwy:

— *Ave, sancta Anna Auriaca gratia plena, Dominus tecum...*

— Modlą się, głupcy! — zawołał d'Orgemont.

— Nie boisz się pan — spytała panna de Verneuil przerywając towarzyszowi — aby nas nie odkryli?...

Śmiech starego skąpca rozproszył jej obawy.

— Płyta żelazna wpuszczona jak w stół granitowy dziesięć cali grubości mająca. My ich słyszymy, ale oni nas słyszeć nie mogą!

Potem ujął rękę swojej wybawczyni i oparł ją o szparę, którą dostawały się do ciemnicy kłęby świeżego powietrza. Panna de Verneuil zrozumiała teraz, że otwór ten znajdował się w rurze komina.

— Aj! — wołał d'Orgemont. — Łydki mnie pieką nieco! Niech ich piorun trzaśnie! Ta *klacz Charette'a*, jak ją w Nantes nazywają, nietaka głupia, żeby nawracała na ludzi swoich siepaczy! Wie ona, że gdyby oni nie byli takimi bestyami, toby się nie bili wbrew swemu interesowi! Słyszysz pani i ona się z nimi modli! Musi ona komicznie wyglądać! Tożbym ją chciał widzieć dopiero, mówiącą: *Ave, sancta Anna Auriaca!* Wolałaby rozbić jaką pocztę i oddać mi cztery tysiące franków, które mi winna. Z procentami, z kosztami, toby uczyniło razem cztery tysiące siedemset osiemdziesiąt franków i jeszcze ileś tam centimów...

Skończywszy modlitwę, Szuanie podnieśli się i odeszli. Stary d'Orgemont ścisnął za rękę pannę de Verneuil, jakby chcąc jej dać poznać, że pomimo tego niebezpieczeństwo nie minęło jeszcze.

— Nie, pani — zawołał Pille-Miche po kilku chwilach milczenia — choćbyśmy tu dziesięć lat stali, oni nie wrócą!

— Ależ ona stąd nie wyszła, ona tu gdzieś być musi! — mówiła uparcie *klacz Charette'a*.

— Nie, pani, nie, mury się pod nimi rozstąpiły! Wszakże

dyabeł już raz w naszych oczach wyniósł stąd przysięgłego księdza!

— Jakto, ty, Pille-Miche, tak skąpy jak sam d'Orgemont, ty nie rozumiesz tego, że stary sknera musiał zarezykować kilka tysięcy liwrów na wybudowanie w fundamentach tego sklepienia kryjówki, do której wejście zamyka się tajemnym sposobem?

Skąpiec i młoda kobieta usłyszeli w tej chwili gruby śmiech Pille-Miche'a.

— Czy to doprawdy być może? — zapytał.

— Pozostań tu — mówiła dalej pani du Gua — czekaj na ich wyjście. Za jeden celny strzał dam ci wszystko, co znajdziesz w skarbcu starego lichwiarza. Jeżeli chcesz, żebym ci przebaczyła, żeś sprzedał tę dziewczynę, kiedym kazała ci ją zabić, bądź posłuszny moim rozkazom!

— Lichwiarz! — mówił stary d'Orgemont — a pożyczałem ję tylko na dziewięć od sta! Prawda, że mam zabezpieczenie hipoteczne! Ale widzisz pani sama, jaka wdzięczność! Słuchaj pani, jeżeli Bóg karze nas za złe, musi być przecież dyabeł, który karze za dobre, a człowiek pomiędzy temi dwiema ostatecznościami wygląda mi zawsze jak reguła trzech w której X niepodobna wynaleść!

Tu westchnął głęboko we właściwy sobie sposób: przechodzące przez jego gardło powietrze zdawało się tam potrącać o dwie stare struny rozstrojone. Hałas, jaki czynili Pille-Miche i pani du Guanowo ostukując mury, sklepienia i posadzkę zdawał się uspakać d'Orgemonta, który pochwycił wybawicielkę swoją za rękę i wprowadził ją na wąskie kręcone schodki wykute w granitowej ścianie. Gdy uszli tak może ze dwadzieścia może stopni w górę, dojrzeli blade światło lampki oświecającej ich głowy. Skąpiec zatrzymał się, zwrócił się ku swojej towarzyszce przyglądając się jej twarzy, jakby badał wątpliwy weksel przedstawiony do eskontu, nareszcie westchnął znowu swoim strasznym sposobem.

— Wprowadzając panią tutaj — rzekł po chwili milczenia — wypłaciłem się pani zupełnie za przysługę, jaką mi wyrządziłaś, to też nie widzę powodu, dla któregobym miał pani dawać...

— Ależ, panie, zostaw mnie pan tu tylko, ja niczego więcej nie żądam — rzekła.

Te ostatnie wyrazy a może i wzgarda dla pieniędzy, jaka się malowała na pięknej twarzy panny de Verneuil, zdawały się uspakać starca, gdyż po chwili rzekł do niej z westchnieniem:

— A, to znowu co innego, wprowadzając panią tutaj, uczyniłem już za wiele, abym mógł na tem poprzestać.

Pomógł ję zatem dość uprzejmie do wstąpienia o kilka jeszcze

dziwnie ułożonych stopni wyżej i wprowadził ją nawpół dobrowolnie, nie bez stękania jednak, do małego gabinetu mogącego mieć cztery stopy kwadratowe powierzchni, słabo oświetlonego lampą zawieszoną u powały. Można było poznać odrazu, że skąpiec przedsięwziął wszelkie środki, aby mógł w tej kryjówce przepędzić więcej niż jeden dzień, gdyby wypadki wojny domowej zmusiły go do tego.

— Nie zbliżaj się pani do muru, bo się pani wapnem powalasz!
— zawołał nagle d'Orgemont.

I z wielkim pośpiechem odgrodził ręką szal panny de Verneuil od ściany, która zdawała się świeżo wybieloną. Giest jaki w tym celu uczynił, wywarł skutek wprost przeciwny temu, jakiego się spodziewał. Panna de Verneuil spojrzała uważniej przed siebie i spostrzegła w rogu izby jakiś przedmiot, którego kształt wywołał z piersi jej okrzyk przerażenia, gdyż odgadła natychmiast, że jest to istota ludzka powleczonea mieszaniną wapna z piaskiem i ustawiona w kącie. D'Orgemont dał jej znak, aby milczała, a małe jego oczki, jasno niebieskie, fajansowe zdradzały tyle przestachu, ile go było we wzroku jego towarzyszki.

— Nierozsądna! myślałaś pani, że go zamordowałam?... Wszakże to mój brat rodzony! — rzekł z głębszym jeszcze westchnieniem. — Jest to pierwszy proboszcz, który wykonał przysięgę. Oto jest jedyne schronienie, w którym ukryć go mogłem przed wściekłością Szuanów i innych księży. Śmieli prześladować tak godnego człowieka! Był to mój starszy brat, on jeden miał cierpliwość nauczyć mnie rachunku dziesiętnego! O! był to pocziwy ksiądz! Był oszczędny i umiał zbierać pieniądze. Już cztery lata jak umarł, nie wiem sam z jakiej choroby; widzi pani, ci księża to tak przyzwyczajeni do klękania, że nie mogli utrzymać się prosto na nogach... Umieściłem go tam, boby go byli z grobu wydostali! Kiedyś będę go mógł pochować w ziemi poświęcaniej, jak mówił ten biedaczysko, co przysięgę wykonał jedynie ze strachu.

Łza zakręciła się w suchych oczach skurczonego starca, a ruda jego peruka wydała się w tej chwili mniej brzydką w oczach młodej dziewczyny, która spuściła oczy przez mimowolny szacunek dla tej boleści. Pomimo rozczulenia d'Orgemont rzekł jeszcze raz:

— Nie zbliżaj się pani do muru, bo...

Wzrok jego nie opuszczał ani na chwilę oczu panny de Verneuil, której skąpiec chciał w ten sposób przeszkodzić w bliższym obejrzeniu ścian tego gabinetu, w którym ścieśnione powietrze nie wystarczało dla płuc dwojga ludzi. Mimo tego jednak Marya zdołała rzucić kilka spojrzeń z pod oka w różne strony, i widząc dziwne

nierówności ścian, przyszła do wniosku, że skąpiec zbudował je chyba sam z worków srebra i złota.

Od pewnej chwili już d'Orgemont dziwnie jakoś był rozradowany. Ból, jaki mu sprawiała oparzelizna nóg, oraz przestrach, jakim napawała go obecność jakiejś obcej istoty ludzkiej wśród jego skarbów, ujawniały się na jego twarzy, w każdym jednak razie, wzrok jego blady lecz błyszczący zdradzał niezwykłym swymżywieniem dziwne wzruszenie, jakiego doznawał na widok pięknej swej wyhawicielki, której różowe lica i karminowe usteczka jakby wołały do pocałunku a oczy czarne i głębokie sprowadzały mu do serca fale krwi tak gorące, iż sam nie wiedział, czy to być miało znakiem życia, czy śmierci?

— Czy jesteś pani zamężną? — zapytał głosem drżącym.

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem.

— Mam ja wprawdzie coś — rozpoczął z westchnieniem — chociaż nie jestem tak bogaty, jak o tym gadają. Młoda osoba, jak pani, musi lubić brylanty, klejnoty, powozy, złoto — dodał oglądając się dokoła z przestrachem. Wszystko to dać mogę... ale po mojej śmierci. Cóż! gdybyś pani chciała...

Oko starego sknery zdradzało tyle chciwości i rachuby, że dając głową znak przeczenia panna de Verneuil nie mogła nie dostrzedz, iż nawet w tej przelotnej miłosnej zachciance, starzec ten zapragnął pojąć ją za żonę przedewszystkiem dlatego, iżby tajemnicę jego skarbów posiadała osoba, równie jak on, zainteresowana w ich ukryciu.

— Pieniądze! — rzucając d'Orgemontowi spojrzenie pełne ironii, które budziło w nim radość i niezadowolenie razem... Pieniądze! a cóż mi po pieniądzach. Byłbyś pan trzykroć bogatszy niż jesteś wistocie, gdybyś miał tylko te pieniądze, które mnie już ofiarowywano.

— Nie zbliżaj się pani do muru, bo...

— I za to, co mojem być mogło, gdybym chciała, żądano ode mnie tylko jednego spojrzenia! — dodała z akcentem kobiecej próżności!

— Żleś zrobiła, moje dziecię, była to wyborna spekulacya! Pomyśl jednak...

— Pomyśl pan jednak — przerywając mu rzekła Marya — że przed chwilą usłyszałam tam głos, którego dźwięk jest mi droższym nad wszystkie twoje bogactwa!

— Nie wiesz, ile posiadam!...

Zanim skąpiec zdołał ją powstrzymać, Marya przypadkowem dotknięciem palca, poruszyła rycinę kolorowaną, przedstawiającą Ludwika XV na koniu, i spostrzegła po-za nią margrabiego zajętego

nabijaniem gardłacza. Otwór przykryty małą deską, na której naklejoną była rycina, zdawał się odpowiadać jakiemuś ornamentowi w powale sąsiedniej izby, która niewątpliwie służyła za sypialnię wodzowi Szuanów. D'Orgemont zasunął z największą ostrożnością otwór i spojrzał na Maryę surowo.

— Jeżeli ci życie miłe, milcz! — Po chwili zaś do ucha jej szepnął: — Nie zły gust masz pani i cheesz przytém zrobić doskonały interes. Wiesz-że pani, że margrabia de Montauran posiada jeszcze około stutysięcy liwrów rocznego dochodu w ziemiach, dotąd przez rząd rewolucyjny nie zabranych, a które już zabrane nie będą, bo oto czytałem w *Primidi de l'Île et Vilaine* dekret konsulów wstrzymujący sekwestra i konfiskaty! Aha! piękny był chłopiec a teraz jest jeszcze sto razy piękniejszy, nieprawdaż? Oczy twoje błyszczą jak dwie nowe sztuki złota!

Wzrok panny de Verneuil ożywił się mocno pod wrażeniem dochodzącego jej uszu głosu margrabiego. Od chwili gdy znalazła się, jakby wkopana w minę złota, energia jej duszy wypadkami stłumiona podniosła się znowu. Zdawało się, że powzięła straszne postanowienie i pracuje myślą nad wynalezieniem środków urzeczywistnienia go.

— Nie! z takiej pogardy wyleczyć się niepodobna — mówiła sama do siebie. — Pewno już mnie nie kocha. Zabiję go i żadna inna kobieta posiadać go nie będzie!

— Nie, księżu opacie, nie — mówił młody wódz głosem podniesionym — musi być tak, jak chcę.

— Panie margrabio — odparł ksiądz Gudin dumnie — cała Bretania oburzy się na ten bal, który chcesz wyprawić w Saint-James. Kazpodziei nam trzeba a nie tancerzy do podburzenia naszych wieśniaków; karabinów a nie skrzypiec.

— Księżu — odpowiedział margrabia — dosyć jesteś rozsądny, ażebyś zrozumiał, że tylko w zebraniu wszystkich naszych stronników będę mógł zbadać, ile na nich liczyć mogę. Uczta zdaje mi się po temu sposobniejszą, niż wszelkie szpiegostwa, do których zresztą mam wstręt wrodzony. Łatwiej z kielichem w ręku wypowiedzą, co mają w sercu, i łatwiej z ich fizyognomii będę mógł poznać zamiary i myśli tajone.

Marya zadrżała, słysząc te słowa. Postanowiła pójść na ten bal i tam swą zemstę nasycić.

— Za kogoż mnie masz, opacie, że występujesz przede mną z kazaniem przeciw tańcom? Czyżbyś sam chętnie nie potańczył, gdybyś wiedział, że ci to pomoże w dopięciu szczytnego celu?... A zresztą czyż nie wiesz, że u Bretonów jest we zwyczaju po mszy tańcem się zabawiać?... A może nie wiesz także, iż panowie Hyde

de Neuville i d'Andigné mieli przed pięciu dniami posłuchanie u pierwszego konsula, w sprawie osadzenia na tronie Jego królewskiej Mości Ludwika XVIII? Jeżeli w tej chwili postanawiam atak tak zuchwały, to jedynie dlatego, żeby rokowaniom tym dodać siły i dozwolić im oprzeć się na podstawie faktów i czynów wojennych! Nie wiesz może, księże opacie, z drugiej strony, że wszyscy naczelnicy powstania w Wandei a nawet sam Fontaine, skłonni są do układów z Rzeczpospolitą? Tak, ojcze, błędnie przedstawiono Ich królewskim Wysokościom stan Francyi! Poświęcenia, o jakich im mówią, są tylko żądzą zysku! Tak, księże, jeżeliś bezwiednie wstąpił w krew, to niechże przynajmniej wiem, po co mam się w niej zanurzyć po szyję! Poświęciłem się dla króla i dla idei, ale nie oddałem się czterem szaleńcom obdłużonym po uszy jak Rifoël, podżegaczom...

— Dodaj pan przy tej sposobności: księżom, którzy pobierają dziesięciny z pałkami w ręku przy rozstajnych drogach! — zawołał opat Gudin.

— Dla czegożbym nie miał tego powiedzieć? — odparł cierpko margrabia — powiem więcej, czasy heroiczne Wandei minęły.

— Panie margrabio! będziemy umieli i bez pana cudów dokazać!

— Tak, takich cudów jak zmartwychwstanie Maryi Lambrequin — odparł, śmiejąc się margrabia. No, księże! nie kłóćmy się bez potrzeby. Wiem ja dobrze, że i sam karku nadstawiasz i tak dobrze umiesz sprzątnąć Błękitnego, jak odmówić „Ojcze nasz!“ Jeżeli Bóg dopomoże, spodziewam się obaczyć cię z pastorałem w ręku i w mitrze biskupiej przy koronacyi królewskiej!

Te ostatnie słowa miały widać moc jakąś magiczną nad opatem. Kłótnia ucichła a po chwili Marya usłyszała tylko szezcęk karabina uderzonego ręką i patetycznie wypowiedziane słowa:

— Mam karabin i pięćdziesiąt ładunków, panie margrabio, a życie moje do króla należy!

— Oto jeszcze jeden z moich dłużników — rzekł skąpiec do panny de Verneuil. — Nie chcę tu mówić nawet o nędznych pięciu czy sześciuset talarach, które ode mnie pożyczył, ale dług krwi opłacony być musi! Nigdy go tyle złego nie spotka, ile mu ja go życzę, temu dyabelskiemu jezuitcie! On to poprzysiągł śmierć memu bratu i całą okolicę przeciw niemu wzburzył! I za co? Oto zato, że biedny człowieczyna zląkł się nowych praw i był im posłuszny! — Przyłożywszy ucho do pewnego oznaczonego punktu w ścianie swojej kryjówki, d'Orgemont posłuchał chwilę i rzekł: — Oto się już wynoszą ci zbójce! Znowu jaki cud uczynią! Aby

tylko nie zachciało im się tak mnie pożegnać, jak za ostatniej ich tu bytności, gdy podłożyli ogień pod dom mój!

W pół godziny później, podczas której panna de Verneuil i d'Orgemont przypatrywali się sobie wzajemnie, jakby każde z nich było obrazem, ostry i gruby głos Galope-Chopine'a dał się słyszeć:

— Już sobie poszli, panie d'Orgemont. Ale tym razem przynajmniej zarobiłem obiecane trzydzieści talarów. Niechże je zobaczę!

— Moje dziecię — rzekł skąpiec do Maryi — zamknij oczy i przysięgnij, że ich nie otworzysz, dopóki cię z przysięgi nie zwolnię.

Marya zasłoniła oczy ręką, ale dla większej pewności ustrzeżenia tajemnicy starzec zgasił lampę, wziął za rękę swoją wybawicielkę, dopomógł jej postąpić siedem czy osiem kroków przez ciasne jakieś przejście, a gdy po kilku minutach odchylił jej rękę od oczu, ujrzała się w komnacie, w której przed chwilą był margrabia i która była pokojem skąpca.

— Moje drogie dziecię — rzekł jej starzec — teraz możesz iść już sobie. Nie oglądajże się tak dokoła. Zapewne nie masz przy sobie pieniędzy? Weź oto te dziesięć talarów w złocie, są tam między niemi i oberżnięte, ale nie zważaj na to i tak je przyjmą. Gdy wyjdiesz z ogrodu, tam oto, znajdziesz łatwo ścieżkę, która prowadzi do miasta, a jak teraz mówią — do okręgu. Teraz jednak dokoła Fougères są Szuanie i wątpię, ażebyś mogła się tam dostać, będziesz przeto potrzebowała może pewnego jakiego schronienia. Uważajże dobrze, co ci powiem, i nie korzystaj z tego inaczej jak tylko w koniecznej potrzebie, gdy znajdziesz się w istotnym niebezpieczeństwie. Na drodze, która prowadzi przez dolinę Gibarry do Nid-aux-Crocs, spotkasz chatę, w której mieszka Cibot starszy, zwany Galope-Chopinem. Jak już nie będziesz mogła uczynić inaczej, wejdź do téj chaty i rzeknij do kobiety, którą tam znajdziesz, te słowa: *Dzień dobry Bekanierko!* a ona cię ukryje! Gdyby cię dostrzegł jej mąż, sam Galope-Chopine, to jeżeli to będzie w nocy, weźmie cię za ducha, bądź więc spokojna, jeżeli zaś będzie we dnie, to dziesięć talarów go skusi i sam ci dopomoże! Tak więc rachunek między nami skończony! Gdybyś chciała — dodał wskazując gościem pola otaczające dom — wszystko to byłoby twoje!

Panna de Verneuil podziękowała spojrzeniem dziwnemu temu starcowi, który żegnając ją westchnął znowu w swój oryginalny sposób.

— Oddasz mi przecie tych dziesięć talarów, nieprawdaż, a uważaj, że wcale nie mówię o procentach! Możesz je złożyć na ręce

pana Patral, notaryusza mojego w Fougères, który, gdybyś zechciała, mój skarbie, spisałby naszą intercyzę! Bądź zdrowa!

— Do widzenia—rzekła z uśmiechem, kłaniając mu się ręką.

— Gdybyś potrzebowała pieniędzy — wołał za nią — to ci pożyczę, na pięć procent! Pamiętaj! tylko na pięć!... Powiedziałem na pięć, ale może nie słyszała!... Wygląda na pocziw dziewczynę, a jednak trzeba zmienić sprężynę w kominie!

Potem wziął bochen chleba dwunastofuntowy, szynkę i powrócił do swej kryjówki.

Gdy panna de Verneuil wydostała się na otwarte pole, zdawało jej się, że powtórnie na świat przyszła. Świeże powietrze poranku twarz jej ścinało, co tem silniej uczuła, że przez kilka godzin poprzednich przebywała w atmosferze dusznej i palącej. Próbowwała odszukać ścieżki, o której wspominał jej stary d'Orgemont, ale po zachodzie księżyca taka wielka ciemność ogarnęła widnokrąg, że Marya zmuszoną była iść dalej na los szczęścia. Niezadługo obawa upadku w jaką przepaść ogarnęła jej serce i ocaliła życie, gdyż zatrzymała ją właśnie nad urwiskiem skały a jeden krok dalej byłby ją stracił w głębie niezmierzoną. Świeży wietrzyk sploty jej włosów muskający, szmer wód i sam instynkt złożyły się na to, że odgadła, iż znajduje się na urwisku ś-go Sulpicyusza. Dla bezpieczeństwa chwyciła się oburącz stojącego nad przepaścią drzewa, i oczekiwała tak brzasku jutrzeńki w wielkiej obawie, słyszała bowiem szczęk broni, głosy ludzkie i tentent koni. Dzięki składała nocy, że ją zasłoniła przed niebezpieczeństwem popadnięcia w ręce Szuanów, którzy, jak jej mówił stary skąpiec, otaczali właśnie Fougères.

Podobne do tych ogników nocnych zapalonych jako sygnał wolności, błyski poranne lekko zabarwione purpurą, wydobyły się zza gór, których stopy zachowały jeszcze czarnobłękitne barwy, silnie kontrastujące z różowymi chmurami bujającymi nad doliną. Niezadługo krąg rubinowy wzniosł się ponad horyzont, niebiosą go poznały. Nierówności krajobrazu, dzwonnica ś-go Leonarda, skały, łąki w cieniu pogrążone powoli rozświeciły się, a drzewa na szczycie urwisk zarysowały się w odrodzonym świetle. Słońce, wdzięcznie wynurzyło się z morza ognia, purpury i szafirów. Żywe jego światło zstępowało nierównymi warstwami ze wzgórze na wzgórze i ogarniało dolinę po dolinie. Cienie rozproszyły się, dzień zawisł nad naturą.

Wietrzyk drażniący wstrząsnął powietrzem, ozwał się świegot ptasząt, życie obudziło się wszędzie. Zaledwo jednak bohaterka nasza zdążyła objąć wzrokiem główne linie krajobrazu, gdy zwykłym w tych okolicach zjawiskiem mgły rociągnęły się jak wielki obrus,

zapełniły doliny i pokryły cały ten przepyszny basen śnieżną powłoką. Wkrótce panna de Verneuil mogłaby z łatwością uwierzyć, że stoi nad brzegiem jednego z owych lodowych mórz, uwięzionych w alpejskich gór szczytach. Później chmurna ta atmosfera poczęła się bałwanic jak fale oceanu, wznoszące się wysoko, drżące, kołyszące się powolnie lub gwałtownie, zapożyczające od słońca różowych jego błysków i naśladujące tu i owdzie przezroczystość roztopionego srebra. Nagle wiatr północny dmuchnął na te fantasmagorye i rozproszył mgły, które opadając na żółkłych trawach pozostawiły rosę pełną opalowych połysków.

Wtedy dopiero panna de Verneuil zdołała rozróżnić brunatną jakąś masę na skałach pod Fougères. Siedem do ośmiuset Szuanów zbrojnych roilo się na przedmieściu ś-go Sulpicyusza jak mrówki w mrowisku. Skrzydła zamku osadzone przez trzy tysiące ludzi, cudownym sposobem ściągniętych do tej twierdzy, zostały gwałtownie zaatakowane. Uspione to miasto, pomimo swych wałów zieleniejących i pomimo swych wież wyniosłych byłoby z łatwością popadło w ręce Szuanów, gdyby Hulot nie był czuwał. Bateria potajemnie ustawiona na wyniosłości znajdującej się w głębi półowalu utworzonego przez wały, odpowiadała na pierwszy ogień Szuanów, którzy znajdowali się na drodze zamkowej. Grad kul oczyścił i wymiółł drogę. Potem kompania piechoty wypadła z bramy ś-go Sulpicyusza, a korzystając ze zdumienia nieprzyjaciela, ustawiła się w szyku bojowym na gościńcu i rozpoczęła przeciw niemu morderczy ogień. Szuanie nie śmieli nawet stawiać oporu, widząc wał twierdzy pokryty żołnierzami, jakby nadziemski maszynista dał mu nagle niebieską obwódkę. Kanonada z fortecy osłaniała tyralierów republikańskich.

Tymczasem inny oddział Szuanów opanował dolinę rzeki Nancón, przebył galerie skaliste i dotarł aż do placu Promenady, który w jednej chwili pokrył się koziemi skórkami nadającami mu pozór strzechy starej, przez czas zniszczonej.

W téjże samej chwili gęste strzały słyszeć się dały w stronie miasta od doliny Couësson. Widocznie miasto Fougères zaatakowane ze wszystkich stron, otoczone było żelaznym łańcuchem. Pożar, który ukazał się we wschodniej stronie miasta, dowodził, że Szuanie poczęli palić przedmieścia.

Wszakże płomienie, które wzniosły się ponad dachy z jałowcu i gontów, znikły niebawem a kolumny czarnego dymu podnoszące się w tém samém miejscu dowodziły, że ogień przygasał.

Raz jeszcze chmury białe i brunatne zakryły ten widok przed oczyma panny de Verneuil, ale wkrótce wiatr rozwiął mgły z dymów i prochu powstałe. Już komendant republikański zmienił kie-

runek swój baterji tak, aby mogła bronić zarazem doliny Nançon, schodów królowej i skał. Ze szczytów Promenady patrzył on na doskonale wykonanie rozkazów. Dwie armaty, umieszczone przy bramie ś-go Leonarda, zniosły mrowisko Szuanów, które grozną tutaj zajęło pozycję a tymczasem gwardya narodowa z Fougères zdążyła przybieść na plac przed kościołem i dokończyła rozpoczętego dzieła wypędzenia Szuanów. Walka nie trwała pół godziny nawet, a Błękitni nie stracili ani stu ludzi.

Już na całej linii Szuanie, odparci i pobici, cofali się, a rozkazy wydawał Gars, którego zuchwały zamiar nie udał się, dzięki owej rzezi w Vivetiére, która spowodowała powrót Hulota do Fougères i skłoniła go do wzmocnienia wojsk. Artylerya nadciągnęła dopiero nocy minionej, tak, że Montauran nie był w stanie tego przewidzieć. Wieść o transporcie amunicji byłaby wstrzymała go od tego napadu, który, przewidziany przez Błękitnych, udać się nie mógł. Hulot równie gorąco, jak Montauran, pragnął zwycięstwa, pierwszy dla udzielenia surowej nauki wodzowi Szuanów, drugi dla wywarcia — odwagą swą i ukazaniem siły powstańców — wpływu na postanowienia pierwszego konsula w rozpoczętych już rokowaniach ugodowych.

Od pierwszego strzału armatniego, margrabia zrozumiał, że byłoby szaleństwem przez upór miłości własnej, prowadzić dalej nieudane przedsięwzięcie. To też aby nie wystawiać na śmierć bezpożyteczną swoich ludzi, pośpieszył rozesłać siedmiu czy ośmiu pełniących rolę adjutantów, z rozkazami szybkiego lecz porządnego odwrotu na wszystkich punktach. Komendant spostrzegłszy przeciwnika swego otoczonego liczną radą, wśród której znajdowała się pani du Gua, próbował zwrócić ku nim ogień swoich żołnierzy, miejsce jednak zbyt zręcznie było wybrane i młody dowódca był tu w zupełnem bezpieczeństwie.

Odwrót jednak mógł być łatwy. Hulot zmienił nagle taktykę; z pozycji obronnej przeszedł do walki zaczepnej. Przy pierwszych ruchach, jakie zdradziły zamiary margrabiego, kompania umieszczona pod murami zamku otrzymała polecenie przecięcia odwrotu Szuanom przez zajęcie wyższych ujść doliny Nançon.

Pomimo nienawiści swój panna de Verneuil sprzyjała w duchu ludziom, któremi dowodził jej ukochany, i zwróciła szybko wzrok swój ku innym ścieżkom, dla przekonania się, czy one przynajmniej są wolne; spostrzegła jednak zaraz, że Błękitni i po drugiej stronie Fougères zostali zwycięscami. Dostrzegła ich bowiem ciągnących z doliny Couësson, przez dolinę Gibarry, dla zajęcia Nid-aux-Crocs i tej części skał ś-go Sulpicyusza, w której znajdowały się niższe ujścia doliny Nançon. Tak więc Szuanie zamknęli na ciasnej

łącznie w wąskim przejściu, zdawali się skazanemi na śmierć co do jednego, tak środki przedsięwzięte przez republikańskiego dowódcę były skuteczne, a rozporządzenia jego tak dobrze obmyślane. Wtedy dopiero panna de Verneuil zrozumiała powód zebrania się mnóstwa ludzi, których widziała w polu, i przyczynę sesyi naczelników u Orgemonta i wszystkie wypadki tej nocy, nie pojmując sama, jakim sposobem uniknęła tylu niebezpieczeństw. Przedsięwzięcie to, które jęj rozpacz podyktowała, zainteresowało ją żywo, tak, że pozostała na miejscu nieruchoma, przyglądając się roztaczającemu się przed jęj oczyma żywemu obrazowi. Niezadługo walka, która się rozpoczęła u stóp gór ś-go Sulpicyusza, nabrała dla niej więcej jeszcze interesu. Widząc Błękitnych na wszystkich punktach zwycięściami Szuanów, margrabia i jego przyjaciele rzucili się ku dolinie Nançon na pomoc zwyciężonym. Stopy skał pokryły się w jednej chwili walczącemi grupami, a tu kwestya życia i śmierci rozgrywała się na gruncie bardziej sprzyjającym i lepiej znanym Szuanom. Nieznacznie scena tych zapasów rozszerzyła się. Zagrzani odbłyśkiem powodzenia i nadzieją ratunku, Szuanie po krzakach i drzewach, rosnących tu i owdzie, wdarli się na skały. Panna de Verneuil przeleżała się znowu, spostrzegłszy, zbyt późno może, nieprzyjaciół swoich na wierzchołkach, gdzie z niesłychaną zaciętością bronili prowadzących ku szczytom ścieżek. Gdy wszystkie wyjścia z łona tych gór zamknięte zostały przez obie walczące strony, poczęła obawiać się, iż za chwilę może się znaleźć w samym wirze walki; opuściwszy więc grube drzewo, poza którym dotąd się ukrywała, poczęła schodzić, zamierzając skorzystać ze wskazówek, udzielonych jęj przez starego skąpca. Biegnąc tak dosyć długo po spadziści góry ś. Sulpicyusza ku dolinie Couësson, spostrzegła w dali obórkę, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należeć musiała do zagrody Galope-Chopine'a. Przypuszczała, iż przyjmując udział w bitwie, musiał on w chacie pozostawić swą żonę. Ośmielona tém przypuszczeniem, panna de Verneuil spodziewała się być dobrze przyjętą w domostwie i że może tam przepędzić parę godzin do chwili, kiedy powrót do Fougères okaże się możebnym. Nie ulegało wątpliwości, że Hulot zostanie zwycięscą. Szuanie uciekali z taką szybkością, że wystrzały rozlegały się tuż koło niej, a obawa przed zbłąkaną kulą pędziła ją coraz raźniej ku chacie, której sterzący komin służył jęj za drogowskaz i busole. Ścieżka, jaką wybrała, prowadziła wprost do pewnego rodzaju brogu, którego dach gontami pokryty, opierał się na czterech grubych pniach, nie pozbawionych kory. Ściana, z gliny i desek sklecona, stanowiła przeciwległy bok brogu, pod którym stała prasa do cydru, wialnia i kilka narzędzi rolniczych. Marya zatrzymała się w biegu przy jedném

z drzew, które bróg podpierały, nie mogąc się odważyć na przebycie błotnistego bagniska, służącego za podwórze domowi.

Chata owa, zasłonięta od wiatrów północnych wzgórkami, który wznosił się szczytem swoim aż ponad dach jej, i o tenże wzgórek oparta, poetyczny przedstawiała widok, płonki bowiem klonów i buków, kwiaty i mchy skał stanowiły jakby koronę jej, wieńcami swemi szczyt dachów otaczając. Schody w skale i ziemi wyrżnięte pomiędzy brogiem i chatą, prowadziły na szczyt pagórka, gdzie mieszkający doliny użyć mogli w każdej chwili przepysznego zdrowego górskiego powietrza. Nalewo chaty kończył się pagórek spadzisto, a spadzistość ta otwierała rozległy widok na orne pola i łąki, z których najbliższe należały do mieszkańców chaty. Pola te, podzielone żywopłotami i gdzieś tam umajone kępami drzew, bawiły oko różnolitością, tworząc jakby małe ogródki. Pierwszy taki płot zamykał z jednej strony podwórze. Droga, która prowadziła w pole, zamknięta była grubym pniem drzewa, napół spróchniałym. Pośród schodami, wyłobionymi w łupkowym gruncie, i ścieżką, zamkniętą owym pniem, przed bagnem i pod zwieszającą się skałą kilka odłamów granitowej skały, zgrubsza tylko obrobionych i ustawionych jedno na drugim, tworzyło szczyt chaty i podtrzymywało nędzne mury z łąt drewnianych, desek i kamieni. Połowa dachu pokryta była zielonawymi gałązkami świerkowymi, jakby słomą, druga zaś — płaską dachówką, źle wypaloną. Zdradzało to wewnętrzny podział domu na dwie części, i rzeczywiście jedna z nich, oddzielona od drugiej wątlm przepierzeniem, stanowiła oborę, a w drugiej mieszkali właściciele.

Jakkolwiek chatka owa zawdzięczała bliskości miasta różne udogodnienia, nieznane już w odległości dwóch mil francuskich od tego miejsca, była ona jednak doskonałą ilustracją niestałości życia i niepewności jutra, do jakiej wojny i zwyczaje feodalne tak silnie przyzwyczaiły niewolników i poddanych, że dziś jeszcze wielu włościan bretońskich nazywa tylko „mieszkaniem“ (*demeure*) zamek, przez dawnych panów zamieszkały. Nakoniec, rozpatrując się bliżej w tém wszystkiem, z wysokiem, a łatwem do pojęcia zdziwieniem, panna de Verneuil spostrzegła wśród błota na podwórzu leżące tu i owdzie odłamki granitu, porzucone w ten sposób, iż wyznaczały ścieżkę, wiodącą ku zabudowaniom i przedstawiającą niejedno niebezpieczeństwo do przebycia. Słyszając jednak coraz bardziej zbliżające się odgłosy kanonady i nie mając nic innego do wyboru, Marya poczęła przeskakiwać z kamienia na kamień, jakby przeskakiwała przez rynsztoki, pragnąc dostać się do chaty, która była jej celem i schronieniem jedynem. Chatę zamykały drzwi, złożone z dwóch części, z których dolna pełna i stała, druga zaś górna opa-

trzoną była otwierana okiennicą i służyła zarazem za okno chacie. W wielu sklepikach niektórych miasteczek Francyi można jeszcze dotąd spotkać drzwi takiego typu, lecz o wiele ozdobniejsze i opatrzone u dolnej części dzwoneczkiem ostrzegającym. Drzwi, przed którymi stanęła wkrótce panna de Verneuil, otwierały się za pomocą drewnianej zasuw, godnej czasów złotego wieku, górna zaś część zamykała się tylko na noc, światło dnia bowiem jedynie tym otworem do wnętrza chaty wpuszczane być mogło. Istniało wprawdzie jakieś okno pierwotnych kształtów, ale szyby w niem podobne były do dna butelek, a okute w szerokie i ołowiane ramy, które je utrzymywały, zdawało się być raczej przeznaczonem do tamowania, niż do puszczania światła. Gdy panna de Verneuil zdolała nareszcie obrócić tę zaporę na jej skrzypiących zawiasach, poczuła straszny alkaliczny wyziew, wydobywający się z głębi chaty, i spostrzegła, że czworonogi zniszczyły nogami ścianę wewnętrzną, odgradzącą je od izby, będącej ludzkim mieszkaniem. Tak więc wnętrze folwarku — folwarkiem się to bowiem zwało — w niczem nie ustępowało zewnętrznemu pozorowi. Panna de Verneuil zapytywała sama siebie, czy jest podobieństwo, aby istoty ludzkie żyć mogły w tem systematycznie zorganizowanem błocie, kiedy oczom jej ukazał się mały chłopczyzna, mogący mieć lat osiem lub dziewięć. Chłopiec ten, okryty zaledwie łachmanami, miał twarzyczkę świeżą, białą, o pięknych rumieńcach, policzki pełne, oczy żywe, zęby białe, jak z kości słoniowej i przepyszne blond włoski, które w obfitych zwojach spadały mu na pół-nagie ramiona. Członki miał silne i proporcjonalnie rozwinięte, a postawa jego miała ten powab zdziwienia i tę dziką naiwność, która szeroko otwiera oczy dzieci. Mały chłopak był dzieckiem cudownie pięknem.

— Gdzie jest twoja matka? — spytała Marya łagodnym głosem, nachylając się ku chłopcu dla pocałowania go w piękne oczy.

Odebrawszy ten pocałunek, dziecko wysunęło się z jej rąk, jak węgór z znikło poza kupą nawozu, leżącą na stoku wzgórza, pomiędzy ścieżką i domem. Jak wielu rolników bretońskich, Galop-Chopine gromadził sobie nawóz w sposób, tamtejszemu tylko rolnictwu właściwy, to jest tak, aby umieszczony na pochyłości, mógł bywać przemylanym przez wody deszczowe i do chwili użycia go utracić wszystkie części, prawdziwą jego żywotność dla rolnictwa stanowiące.

Tak pozostawiona panią placu na chwilę, Marya szybko obejrzała inwentarz całego domu. Izba, w której oczekiwała Barbetty, stanowiła cały dom. Najwidoczniejszym i najwspanialszym sprzętem tej izby był ogromny komin, którego okap albo „płaszcz“, jak nazywają go tamtejsi wieśniacy, utworzony był z jednej sztuki niebie-

skiego granitu. Etymologia téj nazwy: „płaszcz“ opierała się na firance z ciemno-zielonéj wełnianej materji, obłożonéj blado-zieloną wstążką, wyciętéj okrągło i zawieszonéj dokoła kamiennéj płyty, wpośród którój wznosiła się gipsowa statua kolorowana Matki Boskiej. Na cokule statuy panna de Verneuil wyczytała dwuwiersz ze znanéj w tamtych stronach religijnej pieśni:

„Ja tu jestem Boża Macierz,
Strzegę was za miły pacierz“.

Za statuetką straszny jakiś obraz, poplamiony raczej, niż pomalowany, na czerwono i niebiesko, przedstawiał miał jakiegoś świętego, zapewne patrona tego miejsca. Łóżko w kształcie grobu, przykryte zieloną szmatą, bezkształtne posłanie dziecka, kądziel, parę prostych stołków i wielka szafa rzeźbiona, ozdobiona kilku gospodarskimi narzędziami, stanowiły prawie całe umeblowanie izby Galope-Chopine'a. Przed oknem znajdował się długi stół z drzewa kasztanowego, a przy nim dwie takież ławki, którym przyćmione światło, przez okno się przedostające, nadawało pozór starego mahoniu. Ogromna beczka jabłeczniku spoczywała na okrągłakach, pod któremi panna de Verneuil dostrzegła żółte błoto, trawiące podłogę, chociaż ta ostatnia składała się z kawałków granitu, spojoną rudą gliną. Wszystko to dowodziło, iż właściciel téj chaty niedarmo był Szuanem. Jakby chcąc uchronić się przed tym niezbyt miłym widokiem, panna de Verneuil wzniosła oczy ku sufitowi i zdawało się jej przez chwilę, że widzi wszystkie nietoperze ziemi, tak liczne i obfite pajęczyny zdobiły frankami swemi całą powagę izby. Na stole pod oknem stały dwa ogromne dzbany jabłeczniku. Dzbany takie, noszące osobną nazwę *pichés*, robione były z ciemnéj gliny według modelu, znanego w wielu okolicach Francji, a i do dziś jeszcze używanego w fabrykach likierów. Paryżanin wyobrazić je sobie może łatwo, jeżeli wzięwszy przed się garnek, w jakim smakoszom podają bretońskie masło, doda mu w swéj imaginacyi wypukłość okrągłęjszą i polewę upstrzoną plamami, przypominającemi kolorem płowe plamy niektórych muszli. Dzbany takie opatrzone są wysokimi szyjkami z dziobkiem, szczególnego również rodzaju, przypomina on bowiem kształtem głowę żaby, wytkniętą nad poziom bagniska dla zaczerpnięcia powietrza. W chwili gdy uwaga Maryi zwróciła się ku owym dwóm dzbanom, odgłos walki, który stał się nagle bardzo wyraźnym, zmusił ją do upatrzenia sobie miejsca na kryjówkę, tak, aby w razie nagłej potrzeby mogła schować się, nie czekając Barbetty. Wtém weszła właśnie oczekiwana kobieta.

— Dzień dobry, Bekanierko — rzekła, wstrzymując mimowolny uśmiech na widok twarzy, podobnej do tych, jakie architekci zwykli umieszczać jako ozdoby w okiennicach.

— Aha! to pani przybywasz od Orgemonta — odpowiedziała Barbetta niezbyt rada.

— Gdzież mnie schowacie, bo oto właśnie Szuanie...

— Tam — odparła wieśniaczka, zdumiona pięknością, tudzież dziwnym przebraniem się tej kobiety, którą za istotę swęj płci uważać nie śmiała. — Tam, w kryjówce księdza.

Podprowadziła ją do łóżka w stronę tak zwaną „głowy“ i wpuściła za łóżko, ale w tejże chwili obie kobiety usłyszały szelest jakiś, podobny do plusku w błocie. Barbetta zdążyła zaledwie pochwycić firankę łóżka, owinąć nią Maryą i odwrócić się, gdy znalazła się twarzą w twarz z jakimś uciekającym Szuanem.

— Stara! mów, gdzie się tu schować można! Jestem hrabia de Bauran.

Panna de Verneuil zadrżała, poznając tenże sam głos, jakim nieznajomy współbiesiadnik w Vivetiére wymówił owe zagadkowe słowa, które pozostały dla niej aż dotąd tajemnicą, a które bezpośrednio spowodowały znaną już czytelnikom katastrofę.

— Niestety! jak pan widzisz, jaśnie panie, niema tu nic! Co najwięcej mogę zrobić, to chyba wyjść i czuwać. Jeśli się zbliżą Błękitni, dam znać. Gdybym tu została i gdyby mnie tu z jasnym panem spotkali, spaliliby mi chałupę!

I Barbetta wyszła, nie mogąc się zdobyć na tyle inteligencji, aby pogodzić interesa dwóch stronnictw nieprzyjaznych, które oba miały prawo do schronienia w jej chacie z uwagi na podwójną rolę, jaką odgrywał mąż jej, Galope-Chopine.

— Są tu jeszcze dwa naboje — zawołał hrabia sam do siebie z rozpaczą — ale już mnie pewno ominęli i ślad mój stracili. Niech piorun bije! Trzebaby nieszczęścia, żeby, wracając, wpadli do tej rudery i wyszukali mnie pod tem łóżkiem, pod które się wsunę!

Położył lekko swój karabinek przy łóżku, poza którym stała Marya owinięta w ciemno-zieloną kotarę, i nachylił się, aby zobaczyć, czy znajdzie pod łóżkiem dosyć dla siebie miejsca. Niepodobna było przypuszczać, żeby wsuwając się tam, nie dostrzegł nóg ukrytej kobiety. Ona też w tej rozpaczliwej chwili pochwyciła karabin, wyskoczyła żywo na środek izby i wzięła go na cel. Hrabia na jej widok wybuchnął głośnym śmiechem. Poznał on ją, gdyż Marya, wciskając się za łóżko, odrzuciła wielki kapelusz Szuanów, jaki miała na głowie, a grube zwoje pięknych jej włosów wydzierały się obficie zpod koronkowej zarzutki.

— Nie śmieć się pan, panie hrabio! Jesteś moim jeńcem! Za

pierwszym ruchem, jakibys się pokusił uczynić, przekonasz się, do czego zdolną jest kobieta obrażona!

W chwili gdy Marya i hrabia patrzyli na siebie wzajemnie z bardzo różnemi uczuciami, od skał odbijały się echa głosów pomieszanych:

— Ratujcie Garsa! rozpraszajcie się! ratujcie Garsa!

Głos Barbetty panował nad temi okrzykami; słyszano go wewnątrz chaty, gdzie różne na dwojgu wrogach sprawiał wrażenie. Mówiła ona więcej dla nich, niżeli dla chłopca, do którego się zwracała.

— Nie widzisz to Błękitnych! — wołała gniewnie Barbetta. — Pójdź tu zaraz, łotrze jeden, albo ja cię sprowadzę! Chce ci się co oberwać! Jeszcze cię który zrani! No! prędkiej! uciekaj!

Podczas tego drobnego i krótkiego epizodu na bagnie ukazał się jeden żołnierz republikański.

— Beau-Pied! — krzyknęła panna de Verneuil.

Beau-Pied na ten rozkaz podbiegł szybko i widząc, co się dzieje, wziął na cel hrabiego skuteczniej bezwątpienia, niżby zdołała to uczynić zrozpaczona jego wybawicielka.

— Arystokrato! — krzyknął dowcipny żołnierz — nie drgnij, nie rusz się nawet, bo cię zwalę, tak jak zwaliliśmy Bastylią w dwóch tempach!

— Panie Beau-Pied — rzekła panna de Verneuil pieszczotliwym głosem — odpowiesz mi za tego jeńca. Rób, jak chcesz, ale ja go muszę mieć żywym i całym w Fougères.

— Stanie się według rozkazu!

— Czy teraz droga do Fougères jest już wolna?

— Jest bezpieczną; chybaby Szuanie zmartwychwstawali!

Panna de Verneuil, uzbrowszy się lekkim karabinkiem hrabiego, będącym raczej strzelbą do polowania, uśmiechnęła się, z ironią mówiąc do swego jeńca:

— Żegnam hrabiego! Do widzenia!

I wybiegła ścieżką ku miastu, włożywszy na głowę szeroki swój kapelusz.

— Zapóźnom się przekonał — rzekł gorzko hrabia de Bauran — że nigdy nie trzeba żartować z honorem kobiet, nawet takich, które go już nie mają.

— Arystokrato! — krzyknął szorstko Beau-Pied — jeżeli nie chcesz, abym cię wyprawił do twojego „byłego“ raju, ani mi się waży pisać choćby słówko przeciw tej pięknej pani!

Panna de Verneuil wróciła do Fougères ścieżką, która łączyła skały ś-go Sulpicyusza z Nid-aux-Crocs. Dobiegłszy tej ostatniej wyżyny i zdążając swobodnie już krętą drożyną, wydeptaną pomie-

dzy jeżącemi się granitowemi przeszkodami, podziwiała piękność malutkiej doliny Nançon, która, przed godziną tak gwarna i ruchawa, w tej chwili pogrążona już była w zupełnym spokoju. Widziany stąd wawóz ten wydawał się jakby ałoes wśród zieleni. Panna de Verneuil weszła do miasta przez bramę Świętego Leonarda, do której doprowadziła ją szczęśliwie wybrana na los ścieżka. Mieszkańcy, jeszcze zaniepokojeni bitwą, która, o ile sądzić można było z echa wystrzałów, jeszcze dotąd słyszeć się dających w oddali, trwać musiała, dzień cały z niecierpliwością oczekiwali powrotu gwardyi narodowej dla przekonania się naocznie, jakie straty opłacać było potrzeba. Na widok młodej i pięknej kobiety, w dziwnym stroju, z rozwianym włosiem, ze strzelbą w ręku, w szalu i sukni wytartej o mur, zbrukaną błotem i zmoczonej rosą, ciekawsi obywatele Fougères tém bardziej uczuli się podrażnionemi, że już wprzód władza, piękność i dziwne stanowisko Paryżanki były przedmiotem wielu rozmów i plotek.

Fanszeta w ciągłej i strasznej obawie oczekiwała na swoją panią przez całą noc. Gdy spostrzegła ją wracającą, chciała do niej przemówić, ale ta jednym rozkazującym, choć łagodnym giestem nakazała jej milczenie.

— Nie zginęłam, moje dziecię — rzekła Marya. — Ach! wyjeżdżając z Paryża, byłam żądną wrażeń!.. Miałam ich téż dosyć — dodała po chwilowej pauzie.

Fanszeta chciała wyjść, aby się postarać o posiłek dla swjej pani i zwróciła jej uwagę, że musi go bardzo potrzebować.

— Och! — zawołała panna de Verneuil — najprzód kąpiel, kąpiel przedewszystkiem! Ubierzesz mnie natychmiast!

Fanszeta niemało się zdziwiła, gdy pani jej zażądała najpiękniejszych i najwytworniejszych strojów z tych, jakie z Paryża zabrały. Po śniadaniu Marya przystąpiła do toalety i ubrała się z całą drobiazgową starannością, jakiej kobieta dokłada zwykle wtedy, gdy spodziewa się obaczyć istotę ukochaną, i chce ukazać się jej w całym swym blasku i świetności. Fanszeta nie umiała sobie wytłumaczyć tej wesołości jakiegś dziwnego, pełnego ironii i ostrych żartów. Nie było to usposobienie, jakie obudza miłość; kobieta nie myli się nigdy w rozpoznaniu tych odcieni; ale była to jakaś skoncentrowana złośliwość, złe wróżąca. Marya sama ułożyła fałdy firanek u okna, przez które oczy jej napawać się mogły przepysznym widokiem, potem zbliżyła się do kanapki pod kominkiem, umieściła ją w świetle dla swjej twarzy korzystnie i kazała Fanszecie postarać się o kwiaty i przybrać salonik świętecznie. Gdy kwiaty przyniesiono, Marya sama zajęła się najkorzystniejszemu ich rozstawieniu i kazała Fanszecie, aby poszła do komendanta prosić go o dostawie-

nie jej jeńca, którego do niewoli wzięła osobiście. Położyła się rozkosznie na kanapie nie tyle dla wypoczynku, ile dla nadania sobie pozycyi powabnej i pełnej wdzięku, której wpływ i moc, szczególniej u pięknych kobiet, bywają niezwalczone. Poza wyzywająca nóżki, której koniec zaledwie wystawał zpod fałdów jej sukni, cały układ swobodny i wdzięczny jej postaci, wygięcie szyi, wszystko, aż do palców jej rączki, która się zwieszała z poduszki, jak bukiet jaśminu — wszystko razem tworzyło jedną doskonałą całość, wyborną do wzbudzenia zachwytu. Zapaliła wonne kadzidła i napelniła powietrze temi zapachami, które tak potężnie działają na nerwy mężczyzny i przyspasabiają tryumf dla kobiety. W kilka chwil później kroki ciężkie z brzękiem ostróg, zdradzających wojskowego, rozległy się w salonie, poprzedzającym pokój Maryi.

— No, i cóż, komendancie, a gdzież mój jeńiec?

— Odkomenderowałem właśnie oddział z dwunastu ludzi dla rozstrzelania go, jako wziętego z bronią w rękę.

— Jaktó? rozrządziłeś się moim jeńcem! Posłuchaj mnie, komendancie. Śmierć jednego człowieka po bitwie nie może być czémś tak upragnioném, a szczególniej dla ciebie, komendancie, o ile sądzić mogę z twój fizyonomii. A więc oddaj mi mego Szuana i daruj mu życie chwilowo. Już ja go wezmę na mój rachunek. Zaręczam ci, że ten arystokrata jest mi potrzebny, a nawet niezbędnym i że on dopomoże nam do spełnienia naszych projektów. A zresztą rozstrzelanie tego Szuana z amatorstwa byłoby aktem przesadnym, podobnie jak rozsądzenie kulą armatnią balonu, do zniszczenia którego wystarcza pokłucie szpilką. Na miłość boską! pozostawmy okrucieństwa arystokratom! Rzeczpospolita powinna być szlachetną. Czyżbyś ty, komendancie, nie był przebaczył tym, którzy zginęli pod Quiberon, i tylu innym? No! uczyni zadość moim prośbom, odesłaj owych dwunastu ludzi na patrol i przyjdź do mnie na obiad wraz z moim jeńcem. Już tylko godzina dnia pozostaje, a widzisz — dodała z uśmiechem — gdybyś się spóźnił, wszystkie moje powaby toaletowe nie sprawiłyby swego skutku. Śpiesz się więc!

— Ależ pani.. — próbował oponować zdziwiony komendant.

— Jakież znowu ale? Czekam was. Idźże prędzej. Nie bój się zresztą, komendancie, hrabia ci nie ujdzie. Pędź czy później gruby ten motyl opali sobie skrzydła przy twoim ogniu plutonowym.

Hulot lekko wzruszył ramionami jak człowiek zmuszony do posłuszeństwa mimo wszystko życzeniom pięknej kobiety, i w pół godziny później powrócił w towarzystwie hrabiego de Bauran.

Panna de Verneuil udała zdziwienie na widok swoich gości i zdawała się być zawstydzoną tém, że ją hrabia zeszedł w tak niedbałej pozycyi, ale przekonawszy się wkrótce ze spojrzeń hrabiego, że

pierwsze wrażenie skutek pożądany wywołało, podniosła się i z prawdziwym wdziękiem zajęła się gośćmi. Nic tam nie było wymuszonego, nic naciągniętego w pozie, uśmiechu, głosie i ruchach, nic nie zdradzało przygotowania się, ani powziętych zamiarów. Wszystko zdawało się jakąś doskonałą harmonią i ani jedna zbyt wybitna nuta nie dawała do myślenia, że naśladuje tylko manieri świata, do którego by nie należała. Gdy już republikanin i Szuan zajęli wskazane sobie miejsca, Marya spojrzała poważnie, a nawet surowo na hrabiego. Szlachcic znał dostatecznie kobiety i wiedział dobrze, iż obraza, wyrządzona kobiecie, wartą jest wyroku śmierci. Mimo tego przekonania i nie będąc ani zbyt wesołym, ani zbyt smutnym, starał on się przybrać postawę człowieka nie spodziewającego się przedkiego rozwiązania komedyi. Niedługo zaczęło mu się zdawać, iż byłby śmiesznym, gdyby wobec pięknej kobiety okazał obawę śmierci. Wreszcie surowe zachowanie się Maryi dało mu wiele do myślenia i nasuwało mu różne projekty.

— A kto wie — myślał sobie — może hrabiowska korona, którą zyskać można, podoba jej się lepiej, niż margrabiowska stracona! Montauran już suchy jak gwóźdź, a ja... — I spojrzał się w lustro z próżnością i zadowoleniem. — Najmniej, co mogę na tém zarobić, to życie!

Te dyplomatyczne refleksye stały się wkrótce co najmniej zbytęcznymi. Lekki kapryśny popęd ku pannie de Verneuil, który się w panu de Bauran obudził, zamienił się niebawem w namiętną żądzę, którą ona zdawała się chętnie podsycać.

— Panie hrabio — rzekła — jesteś pan *moim* jeńcem i mam prawo rozporządzać panem. Egzekucya nie nastąpi jak za mojem zezwoleniem, a jestem zbyt ciekawą, żebym na nią *teraz* zezwolić miała.

— A gdybym się uparł i milczał zawzięcie? — odparł wesoło.

— Z uczciwą kobietą to być-by mogło, ale z jakąś dziewczyną, panie hrabio, to chyba niemożliwe.

Wyrazy te, przysłonięte gorzką ironią, były wysyknęte raczej, niż wypowiedziane, jak mówił Sully o księżnej de Beaufort, i tak ścieśnionemi usty, że hrabia przerażony zpod oka tylko spojrzał na okrutną swą przeciwniczkę.

— Ale co tam — dodała żartobliwie — żeby panu kłamu nie zadawać, postaram się być taką, jak te istoty: *pocziwą dziewczyną*. Oto najprzód zwracam panu pański karabinek.

I podała mu jego własną broń z pełnym złośliwości uśmiechem.

— Słowo honoru daję, postępujesz pani jak...

— Ach! daj pan pokój! Dosyć już mam waszych szlacheckich słów honoru. Wszakże to na słowo honoru weszłam do Vivetière!

Wasz naczelnik dał mi słowo honoru na to, że ja i moi ludzie możemy być pewni bezpieczeństwa!

— Co za nikiemność! — krzyknął Hulot, marszcząc brwi.

— A winien temu pan hrabia — dodała, wskazując ręką na Baurana. — Niema wątpliwości, że Gars miał ochotę dotrzymać słowa, ale panu hrabiemu podobało się rzucić na mnie jakąś kalumnię, dotąd mi nieznaną, która potwierdziła wszystko to, czego się domyślać raczyła „klacz Charette'a...”

— Pani — przerwał hrabia zmieszany — z głową pod toporem byłbym przysiągł, że mówiłem tylko prawdę..

— Mówiąc co?

— Że pani byłaś...

— Nie krępuj się pan... pańską „kochanką...”

— Margrabiego de Lenoncourt, dziś księcia, jednego z moich przyjaciół — dodał hrabia, nie powtarzając obrażającego spojrzenia.

— Teraz mogłabym już oddać pana w ręce władzy wojskowej — rzekła Marya, zdając się nie zwracać uwagi na oskarżenia, z tak głębokim przekonaniem wypowiedziane przez hrabiego, który był oszołomiony tą obojętnością, istotną czy udaną, jaką na jego zarzut okazała — ale — dodała, śmiejąc się — oddał pan od siebie na zawsze ten smutny obraz kawałków ołowiu, lgnących do jego głowy, gdyż nie obraziłeś mnie wcale, jako też i nie obraziłeś tu swego przyjaciela, którego, jak się zdaje, byłam... Precz z myślą i wyrazem! Posłuchaj, panie hrabio, przypomnij sobie, czy nie bywałeś u ojca mego, księcia de Verneuil? A co?

Uważając, że Hulot był zbyt cennym do tak ważnych zwierzeń, jakie uczynić miała panna de Verneuil, znakiem przywołała hrabiego bliżej ku sobie i szepnęła mu kilka słów do ucha. Panu de Bauran wydarł się z piersi głuchy okrzyk zdumienia. Spojrzał on wielkimi oczyma na Maryę, która w tejże chwili dopełniła wywołanego temi kilku słowy wspomnienia, opierając się o kominiek z miną niewinności i dziecięcej naiwności. Hrabia przykląkł.

— Pani, racz mi przebaczyć, jakkolwiek przebaczenia nie jestem godzien.

— Ja nie mam nic do przebaczenia. W tej chwili zupełnie tak samo nie masz pan racji, jak w chwili, gdyś te niecne wyrzekł słowa w Vivetiére. Ale tajemnice te są wyższe nad ciebie i nie dosięgniesz ich. Wiedz pan tylko, panie hrabio — ciągnęła dalej poważnie — że córka księcia de Verneuil nazbyt wzniosłą ma duszę, aby ją los twój mógł nie interesować.

— Nawet po tej zniewadze? — zapytał hrabia z pewnym rodzajem żalu.

— Niektórzy ludzie wyżsi są nad zniewagę, która ich nie dosięga. Panie grubio, ja do takich należę!

Wymawiając te wyrazy, młoda kobieta przybrała postawę tak pełną dumy i wrodzonej godności, że zaimponowała hrabiemu. Hulot nic a nic nie rozumiał; podniósł rękę ku wąsom, ażeby je podkreślić, i niepewnym wzrokiem spojrzął na pannę de Verneuil, która wzrokiem dała mu znak porozumienia, jakby pragnąc zapewnić go, że od raz powziętego planu ani na krok się nie oddała.

— A teraz — dodała po chwili milczenia — rozmawiajmy. Fanszeto, daj nam światła, moje dziecię.

Bardzo zręcznie kierując rozmową, naprowadziła ją na owe czasy, które tak prędko stały się „dawnym rzeczy porządkiem“. Tak zgrabnie przeniosła hrabiego w ową epokę swoim żywym opowiadaniem, tyle dała mu sposobności okazania swojego dowcipu i zręcznym oszczędzaniem ust własnych pozwoliła mu na tyle żywych opowiadań, aż hrabia w końcu sam w duchu zauważył, iż mu się nigdy jeszcze nie zdarzyło być tak przyjemnym. Myśl ta odmłodziła go w jego własnych oczach i począł dokładać starań, aby i ona podzielić mogła tę dobrą opinią, jaką sam o sobie powziął. Wesoła ta a złośliwa kobieta z upodobaniem próbowała na nim doniosłości i siły wszelkich sprężyn kokieteryi, a przychodziło jej to tém łatwiej, iż dla niej było to wszystko zabawką tylko. To też puszczać mu wodze, zdawała się wierzyć w szybki ten wzrost uczucia, to znowu, jakby jego szybkim rozwojem zdziwiona, okazywała mu oziębłość wyrachowaną, która zachwycała hrabiego i służyła do podniesienia jeszcze bardziej zaimprovizowanej jego namiętności. Podobną ona była w tej igrasce do rybaka, podnoszącego często wędkę dla zobaczenia, czy ryba „nie bierze“. Biedny hrabia dał się z łatwością schwycić na tę uprzedzającą względność, z jaką jego wybawicielka wysłuchiwała dwóch, czy trzech komplementów. Emigracya, rzeczo-polita, Bretania i Szuanie pozostali w tej chwili o tysiące mil od jego myśli. Hulot trzymał się nieruchomie, prosty, niewzruszony i milczący, jak *Czas* mitologiczny. Brak wykształcenia uniemożliwiał mu przyjęcie udziału w tego rodzaju rozmowie; domyślał się tylko, że oboje rozmawiający muszą być bardzo dowcipni, ale wszelkie wysiłki jego inteligencji nie wystarczały na zrozumienie ich o tyle przynajmniej, aby mieć pewność, że ukrywając myśli w dwuznacznikach, nie spiskują przeciw rzeczypospolitej.

— Montauran, pani — mówił hrabia — jest dobrze urodzony, dobrze wychowany, przystojny chłopiec, ale nie zna się na grzeczności dla dam. Za młody jest; nie mógł dosyć bywać w Wersalu, żeby nabrał dostatecznej w tym wprawy. Jego edukacya została zwichniętą, i zamiast umieć zdradzać i być zdradzany przez kobiety,

on gotów zaraz do krwawej zemsty. Może on kochać gwałtownie, ale nigdy nie będzie miał tej świetnej dystynkcyi i tego sposobu obejścia się, jakie charakteryzowały sławnych wielbicieli płci niewieściej, jak Lauzan, Adhémars, Coigny i tylu innych! Nie posiada on tej prawdziwej sztuki mówienia kobietom tych drobnych, niby nie znaczących, wabnych słówek, które w każdym razie więcej im się podobają, niż gwałtowne wybuchy namiętności, jakimi łatwo je zmęczyć. Tak, chociaż jest-to człowiek mający wiele szczęścia do kobiet, jednak nie ma on po temu ani dosyć wdzięku, ani dosyć lekkości w obejściu.

— Zauważyłam to właśnie — odpowiedziała Marya.

— Ach! — pomyślał sobie hrabia — to drżenie w głosie i to spojrzenie mówią mi, że niezadługo będzie ona dla mnie o wiele więcej niż życzliwą. I na honor, żeby ją pozyskać, gotów jestem uwierzyć, w co mi każe.

Podał jej ramię i zaprowadził do stołu. Panna de Verneuil robiła honory gospodyni uczty z uprzejmością i taktem, który nabywa się tylko przez wychowanie i życie w atmosferze arystokratycznych salonów.

— Idź pan sobie już — rzekła do Hulota, wstając od stołu. — Gotów się ciebie bać. Tymczasem gdy zostanie ze mną sam-na-sam, niedługo wywiem się od niego wszystkiego, co wiedzieć potrzebuję. Jest on właśnie w tej chwili w takim usposobieniu, w którym mężczyzna powie kobiecie wszystko, co myśli, i w której widzi ją tylko oczyma.

— A potem? — zapytał komendant, zdając się żądać zwrotu jeńca.

— Potem zostanie wolnym — odpowiedziała — wolnym, jak ptak!

— A jednak wzięty został z bronią w rękę!

— Nie — odparła, żartem sofistycznym zbijając prawdziwie po kobiecemu słuszną uwagę, na którą racjonalnej odpowiedzi znaleźć nie mogła — ja go rozbroiłam.

— Hrabio — rzekła, wracając po wyprowadzeniu komendanta — właśnie uzyskałam wolność dla pana, ale nie darmo — dodała z uśmiechem i przechylając kokieteryjnie główkę z gięstem wyzywającym.

— Żądaj pani ode mnie wszystkiego, choćby mego nazwiska i mego honoru — wykrzyknął w upojeniu. — Wszystko składam u stóp twoich.

Przysunął się do niej, aby wziąć jej rękę, starając się swoje namiętne zapęły przyoblec w szaty wdzięczności, ale panna de Verneuil nie należała do tych kobiet, które się na takie rzeczy złowić

dają. To też, usmiechnąwszy się wprawdzie w sposób, pozostawiający roznamiętnionemu pewne nadzieje, usunęła się o parę kroków w tył i zapytała:

— A czy nie będę musiała żałować mego zaufania?

— Wyobraźnia młodej panienki szybciej bieży, aniżeli wyobraźnia kobiety — odparł z uśmiechem.

— Młoda panienka ma więcęj do stracenia, niż kobieta dojrzała.

— To prawda, trzeba być nieufnym, gdy się skarb nosi przy sobie.

— Porzućmy tę żartobliwą rozmowę i mówmy poważnie. Dajecie bal w Saint-James. Urządziliście tam podobno panowie, jak słyszałam, wasze magazyny, arsenały i tam jest siedlisko waszego rządu. Kiedyż ten bal?

— Jutro wieczorem.

— Nie zdziwi to pana zapewne, panie hrabio, jeżeli kobieta niesłusznie zniesławiona dąży z uporem, kobietom właściwym, do uzyskania głośnej rehabilitacyi i publicznego odwołania zniewag jej wyrządzonych wobec tych właśnie osób, które były tychże zniewag świadkami. Pójdę więc na ten bal. Pana proszę o zapewnienie mi swęj tamże protekcyi od chwili, gdy na niego wejść, aż do jego opuszczenia. Nie żądam od pana słowa, ani przysięgi — dodała, widząc, że kładzie rękę na sercu — nienawidzę przysięg; mają one zanadto może przedwczesnych zastrzeżeń i ostrożności. Powiedz mi pan tylko poprostu, że zobowiązujesz się bronić mojęj osoby od wszelkich zamachów na moje życie lub mój honor. Przrzecz mi pan naprawić swój błąd, wyznając publicznie, że jestem córką księcia de Verneuil, zamilczając przytém o nieszczęściach, które mnie dotknęły z powodu braku opieki ojcowskiej, i będzie pomiędzy nami kwita! No, i cóż, dwie godziny protekcyi, udzielonęj kobiecie, na bal przybyłęj, czyż to zbyt drogi okup? Niech i tak jednak będzie; życie twoje, panie hrabio, ani szeląga więcęj dla mnie nie warto...

Uśmiechnęła się przytém zalotnie, osładzając uśmiechem tym przykrość, jaką te słowa wyrządzić mu mogły.

— Tyle za mnie, a cóż za mój karabinek? — zapytał.

— O! więcęj jak za pana!

— Cóż takiego?

— Milczenie i tajemnica. Wierz mi, panie de Bauran, tylko kobieta jest w stanie odgadnąć kobietę. Jestem pewną, że jeżeli piśniesz słówko, mogę zginąć w drodze. Wczoraj kilka kul ostrzegło mnie o niebezpieczeństwie, jakie mnie w drodze spotkać może. O! pani ta jest o tyle zręczną w polowaniu, ile zgrabną w rozbieraniu! Nigdy garderobiana szybciej mnie nie rozebrała! Ach! na

litość, uczyni pan tak, żeby mnie nie spotkało nic podobnego na tym balu!..

— Będziesz tam pani pod moją opieką — rzekł dumnie hrabia.
— Ale pani przyjdiesz do Saint-James dla Montaurana? — spytał smutnie.

— Chcesz pan więcej wiedzieć ode mnie samej — odparła ze śmiechem. — A teraz odejdz pan — dodała po chwili milczenia. — Przeprowadzę pana sama poza miasto, gdyż wojna tutejsza jest prawdziwie kannibalową, dziką i okrutną i niczemu ufać nie można.

— Więc los mój obchodzi panią choć trochę? — wykrzyknął hrabia. — Ach! pani, pozwól mi mieć nadzieję, że nie będziesz obojętną na moję przyjaźń... gdyż na to tylko uczucie liczyć mogę, nieprawdaż? — pytał z pewnym rodzajem próżności.

— No, no! nie staraj się, hrabio, być prorokiem — rzekła z tym wesołym wyrazem twarzy, jaki przybiera kobieta dla zrobienia wyznania, które nie kompromituje ani jej tajemnic, ani jej honoru.

Potem, wzięwszy na siebie futrem podbitą zarzutkę, doprowadziła hrabiego aż do Nid-aux-Crocs. Przybywszy do krańca ścieżki, rzekła mu jeszcze:

— Hrabio, bądź dyskretny, ani słowa nawet przed margrabią!
I położyła palec na ustach na znak milczenia.

Bauran, ośmielony względami panny de Verneuil, ujął jej rękę, czego mu nie broniła, i ucałował ją czule.

— O! pani, licz na mnie na śmierć i życie! — wykrzyknął, widząc się już w bezpiecznym miejscu. — Jakkolwiek tyle prawie ci zawdzięczam, co mojej matce, będzie mi jednak niezmiernie trudno mieć dla ciebie tylko szacunek.

I wybiegł za miasto. Widząc go dobiegającego skał świętego Sulpicyusza, Marya z zadowoleniem ruszyła głową, szepcząc do siebie pocichu:

— Ten grubas dał mi więcej, niż życie za życie. Zrobiłabym sobie z niego łatwo posłuszne narzędzie! To człowiek i tamto człowiek, a oto właśnie różnica, która istnieje między jednym człowiekiem a drugim!

Nie dokończywszy swęj myśli, rzuciła ku miastu rozpaczliwe spojrzenie i powoli wróciła ku bramie ś-go Leonarda, gdzie jej oczekiwali Hulot i Korentyn.

— Jeszcze dwa dni — zawołała — i... — Wstrzymała się, spoglądając, że komendant nie jest sam. — I padnie on pod strzałami twoich karabinów — szepnęła do ucha Hulotowi.

Komendant cofnął się o kilka kroków i spojrzał z miną dziwną jakiejś i nie dającej się określić pobłażliwej szorstkości na tę kobietę, której twarz, ani sposób zachowania się nie zdradzały żadnych

wyrzutów sumienia. To jest właśnie szczególném u kobiet, że nie rozważają one wcale czynów swoich, choćby najnaganniejszych, skoro uczucie je porywa; w udawaniu nawet jest u nich prawda i u nich tylko można spotkać zbrodnię bez podłości. Najczęściej *one same nie wiedzą, jak się to stało.*

— Idę do Saint-James na bal, który wydają Szuanie, i...

— Ależ — rzekł Korentyn, przerywając — to daleko. Chcesz pani, abym ci towarzyszył?

— Pan się zawsze zajmujesz zawiele czémś, o czém ja nie myślę nigdy... to jest sobą samym.

Wzgarda, jaką Marya okazywała Korentynowi, dziwnie podobiała się Hulotowi, który skrzywił się lekko, widząc, jak znikła poza kościołem świętego Leonarda. Korentyn biegł za nią oczyma, a na jego twarzy odbijało się głębokie przeświadczenie fatalnej, choć ukrytej władzy, jaką posiadał, wedle swego mniemania, nad tą śliczną istotą, kierując jej namiętnościami, na które liczył, że ją kiedyś w jego posiadanie oddadzą. Panna de Verneuil, wróciwszy do siebie, poszła wnet rozmyślać nad przygotowaniem do balu. Fanszeta, przyzwyczajona do ślepego posłuszeństwa bez świadomości zamiarów swej pani, przerzucała pudełka i proponowała strój grecki. Wszystko wtedy było pod wpływem wspomnień Grecyi starożytniej. Strój, jaki wybrała Marya, zmieścił się łatwo w pudełko wygodne do niesienia w rękach.

— Fanszeto, dziecię moje, ja idę znów na pole walki, z narażeniem się na niebezpieczeństwa. Zastanów się, może wolisz zostać?

— Zostać!.. a któżby ubrał panią!

— Poszukaj-no rękawiczki, którą ci oddałam dziś rano.

— Oto jest.

— Przyszyj do niej zieloną kokardkę; a przedewszystkiém zabiorę ze sobą pieniądze. — I widząc, że Fanszeta trzyma w rękach sztuki złote nowego stępla rzeczypospolitej, zawołała: — Toby już wystarczyło za powód do zamordowania nas. Poślij Jeremiasza, niech obudzi Korentyna. Nie! daj pokój! Ten nędznik puściłby się za nami na szpiegowanie. Poślij lepiej do komendanta i poproś ode mnie o sztuki stare, sześciotalarowe.

Z tą zręcznością prawdziwie kobiecą, która najdrobniejsze obejmuje szczegóły, myślała o wszystkiém. Podczas gdy Fanszeta czyniła przygotowania do tej niepojętej wycieczki, Marya zaczęła na próbę naśladować krzyk puszczyka i niezadługo doszła w tém do pewnej doskonałości. O północy wyszła bramą ś-go Leonarda, odnalazła ścieżkę, prowadzącą do Nid-aux-Crocs i w towarzystwie Fanszety puściła się przez dolinę Gibarry, idąc krokiem pewnym, ożywiona silną wolą, która nadaje ciału i jego ruchom charakter mo-

cy i potęgi. Wyjść z balu tak, aby uniknąć zaziębienia i kataru — oto jedna z ważnych spraw kobiecych, ale niech tylko w sercu kobiety tkwi namiętność jaka, a ciało jej będzie jakby z brązu! Podobne przedsięwzięcie długoby dojrzewało w umyśle najzuchwalszego mężczyzny, a tu zaledwie powstało ono w głowie panny de Verneuil, a już niebezpieczeństwa same szalonej wyprawy zmieniły się w szereg pociągających powabów.

— Pani puszcza się w drogę, nie polecivszy się Bogu — rzekła Fanszeta, zwrócona ku wieżycze kościoła ś-go Leonarda.

Pobożna Bretonka zatrzymała się, złożyła ręce i zmówiła *Zdrowaś* do ś. Anny z Auray, prosząc ją o szczęśliwą godzinę, a pani jej stała tymczasem zamyślona, spoglądając na dobroduszną postać pokojówki, modląc się gorąco, i na blaski przedzierającego się przez chmury księżyca, który przesuwając się pomiędzy wieżyczkami kościoła, nadawał granitom pozór filigranowych wydmuchów.

Niedługo dwie podróżne przybyły do chaty Galope-Chopine'a. Jakkolwiek lekkie były ich kroki, obudziły one jednak jednego z tych wielkich podwórzowych brytanów, którym Bretończycy powierzają straż nad całym mieniem swoim, zamkniętą na prostą drewnianą zasuwę. Pies wybiegł naprzeciw nich, a zobaczywszy dwie obce twarze, począł szczekać tak zawzięcie, iż kobiety musiały się cofnąć o kilka kroków, wołając pomocy. Wołanie okazało się bezskutecznym; nikt nie wychodził; wtedy panna de Verneuil udała krzyk puszczyka i wnet zardzewiałe zawiasy drzwi domu skrzypnęły i ukazał się w nich przyodziany naprędce Galope-Chopine z miną swą pogrzebową.

— Muszę — rzekła Marya, pokazując temu strażnikowi Fougères rękawiczkę Montaurana — dostać się jak najprędzej do Saint-James. Pan hrabia de Bauran powiedział mi, że ty mnie tam doprowadzisz i będziesz mi w drodze obrońcą. Trzeba więc, mój chłopcze, abys się wystarał o dwa osły pod wierzch i żebyś się przygotował do towarzyszenia nam. Czas jest drogi, bo jeżeli przed wieczorem jutro nie dostaniemy się do Saint-James, nie zobaczymy ani Garsa, ani balu.

Galope-Chopine wielce zdziwiony, wziął rękawicę, zaczął obracać ją w rękach w jedną i drugą stronę, nareszcie zapalił świeczkę z żywicy, grubą jak mały palec u ręki; kolorem świeczka ta przypominała pierniki. Ten pierwotny towar, sprowadzany do Bretanii z północnej Europy, jest dowodem, jak wszystko zresztą, co się oczom przedstawia w tym dziwnym kraju, zupełnej nieświadomości zasad handlowych, nawet najpierwszych i najprostszych.

Zobaczywszy zieloną kokardę, Galope-Chopine spojrzał na pannę de Verneuil, podrapał się w ucho, wypił blaszany kufel jabłecz-

niku, poczęstował drugim piękną podróżną i, pozostawiając ją przy stole z drzewa kasztanowego, poszedł starać się o osły. Fioletowe światło, które rzuciła świeczka żywiczna, nie było dosyć silnem, ażeby zaćmić blask księżyca, wdzierający się przez otwór w drzwiach i srebrzący kapryśnie czarną podłogę i meble tej zadymionej chaty. Mały chłopiec obudził się i podniósł słiczną swą zdziwioną główkę, a tuż nad jego pięknymi włoskami dwie krowy pokazywały przez otwory w ścianie obory pyski swoje różowe i duże błyszczące oczy. Wielki pies, którego fizygnomia nie była najmniej inteligentną z całej rodziny, zdawał się badać dwie przybyszki z nie-mniejszą ciekawością, niż ta, jaką okazywało dziecko. Malarz byłby długo podziwiał pyszną grę światła na tym nocnym obrazie, ale Marya, niezbyt pochopna do rozpoczęcia rozmowy z Barbettą, która właśnie podnosiła się na łóżku, jak mara, i wielkie otwierała oczy, poznając tę, którą rano ukrywała, wyszła na podwórze, aby uniknąć zatrutego powietrza tej nory i pytań, jakieby jej Bekanierka czynić mogła. Na podwórzu rozglądając się, Marya weszła po schodkach na wierzchołek skalistego pagórka, będącego podporą chaty Galope-Chopine'a, i poczęła przyglądać się z zachwytem wszystkim szczegółom cudownego krajobrazu, którego rozmaite drobnostki coraz in-ny przybierały charakter, stosownie do tego, czy widz postępował o kilka kroków naprzód ku wierzchołkowi wzgórza, czy też cofał się na dół ku głębiom doliny. Światło księżyca objęło w tej chwili jak-
by całunem mgły świetlanej dolinę Couësson. Niema wątpliwości, że kobieta, która nosiła w sercu miłość wzgardzoną, musiała napa-
wać się melancholią, jaką łagodne to światło w duszy jej obudziło, dziwnie fantastyczną powierzchownością, jaką nadało granitowym masom, i świetnemi a mieniącemi się kolorami, jakimi przybrało wody. Wtém ciszę ogólną rozdarł krzyk osłów. Marya zbiegła szybko do chaty Szuanów i niebawem ruszyli w drogę.

Galope-Chopine, uzbrojony dubeltówką do polowania, odziany był długą skórą kozią, w której przypominał Robinsona Krusoe. Opalona jego i pomarszczona twarz zaledwie dostrzedz się dawała pod szerokim kapeluszem, jaki do dziś jeszcze, jakby dla zachowa-
nia starych tradycji, noszą niektórzy włóścianie, dumni, że z oswo-
bодzeniem się od dawnych służebności zachować zdołali swoje naro-
dowe przykrycie głowy. Nocna ta karawana, prowadzona przez przewodnika, którego kostium, postawa i cała osoba miały w sobie
coś z czasów patryarchalnych, podobną była do owej ucieczki z Egip-
tu, oddanej na ciemném płótnie wspaniałym pędzlem Rembrandta. Galope-Chopine starannie unikał gościńca i prowadził podróżne
przez olbrzymi labirynt dróg i drózek, przerzynających Bretanią.

Panna de Verneuil zrozumiała teraz walkę Szuanów. Przebie-

gając te drogi, lepiej poznać mogła stan owych wiejskich osad, które, widziane z góry i zdaleka, wydawały się jej zachwycającymi, ale w które zapuściwszy się, można dopiero poznać i ocenić wszystkie ukryte niebezpieczeństwa. Dokoła każdego pola i to od czasów niepamiętnych wieśniacy bretońscy wznosili ściany z ziemi, wysokie na sześć stóp, kształtu pryzmatycznego, na szczycie których sadzili kasztany, dęby i klony. Ściany te, roślinnością przybrane, nazywają oni po swojemu płotem, *haie*. Długie gałęzie drzew na tych „płotach” rosnących spadają prawie zawsze ku drogom i tworzą osklepione przejście. Drogi, jakby wtłoczone w te mury, wyrosłe z gliniastej ziemi, podobne były do fos fortecznych, a jeżeli granit, który wszędzie tam prawie tuż pod ziemią się znajduje, nie utworzy wśród tych drożyn bruku naturalnego, stają się one tak niepodobne do przebycia, że najmniejszy wózek trzeba z nich wyciągać parą wołów albo koni małych, ale zwykle bardzo silnych, miejscowej rasy. Drogi te są zwykle tak bagniste, iż stąd musiał powstać zwyczaj wydeptywania dla pieszych ścieżek przez pola i wzdłuż owych płotów. Ścieżki te miejscowi nazywają *rote*. Zaczynają się one i kończą u granic każdego pola. Aby przejść z jednego pola na drugie, trzeba wydostawać się na szczyt płotu po kilku stopniach, oślizłych pod deszczem.

Podróźni mieli wiele jeszcze innych przeszkód do zwalczania w tych powikłanych i wijących się drożynach. Tak ufortyfikowany każdy kawałek ziemi ma osobne wejście, które będąc szerokiemi około dziesięciu stóp, zamyka się tępem, co na zachodzie nazywają osobnym mianem: *échalier*. *Échalier* jest to pień lub gruba gałąź drzewa, której jeden koniec przedziurawiony na wylot osadzony jest w innym kawale drzewa, służącym mu za czop. Koniec owego *échalier* przechodzi cokolwiek poza ów czop, tak, aby mógł być na nim zawieszony odpowiednio wielki ciężar dla utworzenia równowagi, przy której dziecię nawet może dokonywać obrotów tej ciężkiej maszyny. Drugi koniec zamknięcia tego spoczywa w umyślnym wydrążeniu w samym płocie. Gieniusz każdego z właścicieli pól i zagrod wprowadza różne drobne zmiany w tych zamknięciach, nie naruszając jednak ich charakteru ogólnego.

Płoty te i *échaliers* nadają polom na większej przestrzeni fizyonomii olbrzymiej szachownicy, której każda przegroda tworzy osobne opole, oddzielone zupełnie, zamknięte samo w sobie, obronne jak forteca i otoczone wałem. Brama, łatwa do obrony, dla oblegających bywa do zdobycia wielce trudną i niebezpieczną.

Wieśniak bretoński ma rozmaite przesady gospodarskie, wszystkie prawie tej samej praktycznej wartości, co ów najslawniejszy, o którym już wspominaliśmy, to jest że nawóz umieszcza na najwyż-

szym punkcie swojego podwórza, gdzie tenże waporuje i traci swoje piękne dla ziemi własności. Do rzędu takich przesądów należy również przekonanie, iż grunt wzmacnia się i tłuscieje, gdy się w nim utrzymują w wielkiej obfitości krzewy rośliny, jałowcem zwanęj. Jałowiec ów nigdzie na całym świecie tak dobrej nie ma opinii i taką otaczany nie jest opieką i troskliwością, jak w Bretanii. Dłatego tworzą się tutaj lasy jałowcu, zdatne, w razie wojny, do ukrycia najprzeróżniejszych zasadzek. Dalej, niema w całej Bretanii ani jednego pola, na którym nie rozsiadłoby się choć parę drzew jabłkowych, pielęgnowanych starannie dla fabrykacji jabłeczniku. Drzewa te, rozpościerając szeroko swe gałęzie, zgubne są dla produkcji gruntów, które ocieniają. Otóż razem wzięwszy, szczupłość tych pól i małe rozmiary każdej własności, dużo miejsca, które zajmują płoty i drogi pomiędzy niemi, wyniszczenie gruntu przez drzewa dzikie o łakomych konarach, rosnące na płotach, i dodawszy do tego ów lichy nawóz, jałowiec i jabłonie, pojmiemy łatwo przyczyny niskiego stanu kultury i ubóstwo kraju, który przebiegała panna de Verneuil.

Z drugiej strony wzięwszy na uwagę gęstość owych żywopłotów, wąskość drożyn, obronne zamknięcia każdej zagrody i znowu ów jałowiec, z łatwością zrozumiemy niepodobieństwo walki mas na tym gruncie i niepowodzenie wojsk regularnych w wojnie przeciw partyzantom. W opłotkach tych pięciuset partyzantów mogło się bronić wojskom całego państwa. W tém leżał cały sekret oporu i zwycięstw Szuanów.

Panna de Verneuil teraz dopiero zrozumiała konieczność, w jakiej się znajdowała rzeczpospolita, stłumienia bretońskiej opozycji środkami politycznymi i dyplomatycznymi, unikając w ten sposób niepotrzebnej i bezużytecznej utraty sił wojskowych. Cóż bowiem robić było z ludźmi, dla których posiadanie miast leżało na drugim planie, a którzy we wsiach swoich i zagrodach, wiecznie ufortyfikowani, niedostępni byli dla wykonawców praw ogólnych, przez rzeczpospolitą dyktowanych?

Jak tu było nie wchodzić w układy, gdy cała siła tych zaślepionych wieśniaków leżała w jednej osobie zręcznego i doświadczonego wodza?

Panna de Verneuil podziwiała gieniusz ministra, który z gabinetu swego przewidywał i odgadywał tajemnice głębin najoddalniejszych prowincyj. Zdawało się jej, że pojmować zaczyna względy, działające na ludzi potężnych, mogących objąć jednem spojrzeniem całe państwo, a których czyny, w oczach tłumów zbrodnicze, były tylko wynikami jakiejś olbrzymiej idei, do wielkich wiodącej celów.

Mysli te zdawały się usprawiedliwiać, a nawet uszlachetniać

pragnienie zemsty, jaką pałała panna de Verneuil; zresztą praca ta ducha i nadzieje, jakie sobie tworzyła, dodawały jej energii, tak potrzebnej do zniesienia trudów tej niezwykłej podróży. U granicy każdej nowej dziedziny Galope-Chopine musiał zsadzać obie podróże z osłów i dopomagać im do przebycia trudnych przejść, a gdy skaliste drożyny kończyły się, musiały znowu wsiadać na osły i zapuszczać się pomiędzy płotami w drogi błotniste, które jesienna pora jeszcze trudniejszymi do przebycia czyniła. Wielkie rozmiary drzew, głębokość dróg i brak środków utrzymywały przejścia te w ciągłej wilgoci, która przejmując podróżnych, okrywała ich jakby płaszczem z lodu.

Po trudnej tej i męczącej podróży o wschodzie słońca dostali się do lasu Marignay. Odtąd podróż stała się łatwiejszą po szerokich ścieżynach lasu. Sklepienia, utworzone przez gałęzie i gęstość drzew, zasłoniły podróżnych od promieni słonecznych, a liczne i różnorodne trudności, jakie dotąd napotykali, już się nie powtórzyły.

Ale zaledwie przeszli małą milkę, gdy usłyszeli nagle w głębi lasu w oddali głosy jakieś i echo dzwonka. Postępując tak ciągle naprzód, Galope-Chopine z natężoną uwagą słuchał tych odgłosów. Wkrótce też powiew wiatru doniósł do jego uszu kilka wyraźniejszych tonów jakby psalmu jakiegoś, którego harmonia zdawała się mocno go wzruszać. Natychmiast też zwrócił on osły na ścieżkę, która widocznie oddalała ich od celu podróży, i słuchać nawet nie chciał uwag i prośb panny de Verneuil, której podejrzenia rosły z wzrastającą ponurością tego ustronia.

Naprawo i nalewo olbrzymie skały granitowe, piętrzące się jedne ponad drugimi, przedstawiały dziwne kształty. Wpółśród skał olbrzymie korzenie drzew, jakby węże podbiegunowych stref zsuwały się do głębin, szukając w ziemi, u stóp skał, soków ożywczych. Obie strony drogi podobne były do grot podziemnych, wstawionych stalaktytami, i ogromne kamienne festony, w których żywa zieloność chmielu i głogu łączyła się z ciemnymi lub srebrzystymi kępami mchów, zakrywając otwory niezmiernych przepaści lub wejścia do jaskiń głębokich.

Zaledwie podróżni nasi postąpili kilkadziesiąt kroków tą wąską ścieżyną, gdy nagle dziwny widok przedstawił się oczom panny de Verneuil, pozwalając jej nareszcie pojąć i zrozumieć upór Galope-Chopine'a.

Wgłębienie półokrągłe, jakby wykute całkowicie w granitowej opoce, tworzyło amfiteatr, u którego bezkształtnych stopni wysokie, czarne prawie świerki i żółtkie kasztany, wznosząc się jedne ponad drugimi, przedstawiały obraz jakiegoś cyrku olbrzymów. Słońce

zimowe zdawało się raczej blade rzucać promienie, aniżeli oświecać tę krainę, którą jesień zasłala dzikim dywanem opadłych liści.

W środku tej sali, której architektem zdawał się być potop świata, wznosiły się trzy olbrzymie kamienie druidyczne — ołtarz ogromny, na którym utwierdzoną była stara chorągiew kościelna.

Dokoła tego ołtarza klęczało z odkrytymi głowami blisko stu ludzi, modląc się gorąco, a ksiądz, w asystencyi dwu młodych duchownych, odprawiał mszę świętą. Ubóstwo strojów kościelnych, słaby głos księdza, jak szmer w przestrzeni się rozchodzący, ludzie ci, pełni wiary głębokiej, złączeni jednem uczuciem i chylący głowy przed tym ołtarzem bez bogactw i uroku wystawności, nagość krzyża, dzika, ponura fizyognomia całego otoczenia, czas wreszcie nadawały tej scenie charakter naiwności, który cechował pierwsze chwile chrześcijaństwa. Panna de Verneuil stanęła, przejęta zdumieniem i podziwem.

Ta msza, odprawiana w głębi ciemnego lasu, ten zasadniczy obrzęd wiary, cofnięty przez prześladowanie do swego źródła, poezja epoki starożytniej, rzucona na tło natury dziwnej i kapryśnej, ci Szuanie, zarazem zbrojni i rozbrojeni, okrutni i pokornie się modlący, jednocześnie ludzie i dzieci — wszystko to w niczem nie było podobne do czegoś, coby kiedykolwiek widziała lub wyobrażała sobie. Przypomniało jej się, że w dzieciństwie korzyła się przed wspaniałością i bogactwem kościołów romańskich, tak silnie działających na zmysły, ale nie czuła jeszcze Boga samego w swój prostocie, którego krzyż nagi stoi na ołtarzu i którego ołtarz stanowi prosta skała w wilgotnej ziemi. Zamiast koronek gotyckich i wiązań okien, które w katedrach strzeliste kończą sklepienia, tutaj ogołocone przez jesień z liści gałęzie stanowiły kopułę kościelną; zamiast blasków świętnych, rzucających się na wspaniałe nawy przez różnobarwne szyby świątyni, tutaj widziała tylko blade słońce, z trudnością przeciskające swoje słabe promienie pomiędzy gałęzie i rzucające czerwone przyćmione blaski na ołtarz, na księdza i na modlących się ludzi.

Ludzie byli tu faktem, a nie systematem; była-to modlitwa, a nie religia. Ale namiętności ludzkie, których chwilowe unicestwienie nadawało temu obrazowi jego uroczystą harmonią, niezadługo rozbudziły się i ożywiły go potężnie.

W chwili przybycia panny de Verneuil kończyło się czytanie ewangelii. W księdzu celebrującym nie bez przestrachu poznała ona opata Gudin i schroniła się przed jego spojrzeniem za odłam granitu, tworzący jakby niszę wielką, w którą szybko wciągnęła za sobą Fanszetę; ale ruszyć Galope-Chopine'a z miejsca, które sobie obrał dla korzystania z dobrodziejstw tej tajemniczój ofiary, było

niepodobienstwem. Nadzieję uniknięcia niebezpieczeństwa, które jej groziło, opierała jedynie na tém, że natura miejscowości pozwoli jej usunąć się wcześniej, niż innym po ukończeniu ceremonii.

Przez dosyć dużą szczelinę pomiędzy granitowymi odłami panna de Verneuil spostrzegła księdza Gudina wstępującego na kamień i rozpoczynającego naukę temi słowy:

In nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti.

Przy tych wyrazach wszyscy obecni z wielką pobożnością uczynili znak krzyża świętego.

— Ukochani bracia — przemówił ksiądz Gudin głosem donośnym — najprzód pomódlmy się za poległych: Jana Cohegrue, Mikołaja Laferté, Józefa Bronet, Franciszka Parquoi, Sulpicyusza Coupiau, wszystkich z tutejszej parafii, poległych lub zmarłych z ran, odniesionych w bitwie pod Péleriną, lub też przy oblężeniu Fougères. *De profundis etc.*

Psalm ten odśpiewany został, według zwyczaju, przez celebrującego i obecnych, po wersecie naprzemian, z gorącą pobożnością, która obiecywała wielkie powodzenie nastąpić mającej mowie księdza.

Po odśpiewaniu psalmu za zmarłych ksiądz Gudin rozpoczął kazanie głosem, którego gwałtowność i siła wzmagaly się stopniowo. Ex-jezuita wiedział dobrze, iż ciepło samego wygłoszenia było jedynym z najpotężniejszych argumentów do przekonania tych półdzikich słuchaczy.

— „Chrześcijananie! — mówił kaznodzieja — Ci obrońcy Boga dali wam piękny przykład spełnienia obowiązku. Nie wstyd-że wam tego, co mogą o was mówić w raju? Gdyby nie ci szczęśliwi, za których modliliśmy się przed chwilą, a którzy z otwartymi rękoma musieli być przyjęci przez wszystkich świętych, Pan Bóg w niebie sądzić-by mógł, że parafia wasza zamieszkaną jest przez *Mahumety-szów!*.. Wiecież wy, moi chłopcy, co mówią o was w Bretanii całej i u króla? Nie wiecie, nieprawdaż? No, to ja wam powiem: „Jakto — mówią sobie — Błękitni zburzyli ołtarze, zabili proboszczów, zamordowali króla i królową!.. Błękitni chcą zabrać wszystkich parafian z Bretanii, aby z nich porobić Błękitnych takich, jakimi sami są, i wysłać ich na wojnę poza granice ich parafii, daleko, do krajów odległych, w których umrzeć można bez spowiedzi i pójść po śmierci wprost do piekieł ognistych, i mimo to chłopcy z Marignay, którym spalono ich kościoły, pozostali w swoich chatach z rękoma założonemi?! Ho! ho! przekłeta rzeczpospolita sprzedawała przez licytację dobra Boga i panów i rozdzieliła zyskane stąd pieniądze pomiędzy Błękitnych, a potem chcąc napaść się pieniędzmi, jak pa-

sie się krwią, ogłosić kazała, że talar sześciofrankowy wart będzie tylko trzy liwry, i chce zabrać na sześciu liwrach trzy, jak na sześciu ludzi zabiera trzech do wojska swego, a chłopcy z Marignay nie chwycili jeszcze za broń, aby wypędzić Błękitnych z Bretanii?! Oho! będzie im źle, bo raj przed niemi zamknięty zostanie i nie dostąpią zbawienia duszy!“ Oto, co mówią o was po całej Bretanii i u króla. O wasze więc własne idzie tu zbawienie, chrześcijanie! Dusze wasze zbawicie, walcząc za religią i za króla!

„Święta Anna z Auray we własnej osobie ukazała mi się wczoraj o godzinie wpół do trzeciej. Powiedziała mi ona tak, jako ja wam mówię: „Tyś-to jest księdzem w Marignay?“ „Tak — odpowiedziałem — do usług pani“. „No, a ja jestem święta Anna z Auray, ciotka Boga Najwyższego na sposób bretoński. Jestem ciągle jeszcze w Auray i tutaj przyszłam umyślnie, aby cię nauczyć, że masz powiedzieć ludziom z Marignay, iż gdy się nie uzbroją i nie powstaną, to niech nie marzą nawet o zbawieniu. I ty więc odmówić im masz rozgrzeszenia z ich grzechów, jeśli Bogu służyć nie chcą. Pobłogosławisz ich karabiny, a ci, którzy będą bez grzechu, nie darmo strzelać będą do Błękitnych, albowiem karabiny ich i strzały z nich będą poświęcane!“ I znikła, pozostawiając pod dębem u krzyżownicy, co ją zwą „Gęsią nóżką“, zapach kadzideł. Naznaczyłem to święte miejsce i piękna madonna, z drzewa rzeźbiona, została tam umieszczoną przez proboszcza z Saint-James. I widzicie oto, chrześcijanie, matka Piotra Leroi, zwanego Marche-a-Terre, przyszedłszy modlić się do tego świętego znaku, uleczoną została ze swych bólów, a to z powodu dobrych czynów swego syna. Oto widzicie ją między sobą i zobaczycie zaraz, jako iść będzie o własnych siłach. Jest-to cud, tak samo jak zmartwychwstanie Maryi Lambrequin, uczyniony dlatego, aby wam dowieść, jako Bóg nie opuści nigdy sprawy Bretonów, jeżeli oni sami bić się będą za sprawę sług jego i króla. Tak więc, bracia kochani, jeżeli chcecie zarobić na zbawienie i okazać się obrońcami króla, pana naszego, i religii, musicie być posłuszni wszystkiemu, co rozkaże wam ten, którego król nam przysłał, a którego nazywamy Garsem. Wtedy nie będziecie już jako Mahumetysze i znajdziecie się razem ze wszystkimi z całej Bretanii pod jedną chorągwią Boga. Będziecie mogli odebrać z kieszeni Błękitnych wszystkie pieniądze, które oni ukradną, gdyż Bóg i król wasz oddają wam całą zdobycz na zabitych i nieprzyjaciółach waszych. Chcecież, chrześcijanie, aby mówiono o was, że chłopcy z Marignay pozostali w tyle za zuchami z Morbihan, z Saint-Georges, z Vitre, z Autrain, którzy są wszyscy na służbie Boga i króla! Pozostawicież im wszystko: i zbawienie duszy i bogactwa ziemskie?! Pozostaniecież sami jedni, jako heretycy,

z założonemi rękoma, podczas gdy wszyscy Bretonowie pracują na swe zbawienie i walczą za króla?!

„Opuście wszystko dla mnie! — mówi ewangelia. Wszakże i my, księża, opuściliśmy dziesięciny! Opuśćcie i wy wszystko dla tej wojny świętej, a będziecie jako Machabeusze! Nakoniec wszystko wam będzie odpuszczone. Pomiędzy wami staną księża wasi i proboszcze i zwyciężycie! Zauważcie dobrze, chrześcijanie! — mówił, kończąc — że dziś tylko mamy moc błogosławić wasze karabiny. Ci, którzy nie skorzystają z tej łaski, nie znajdą już świętej Anny z Auray tak miłościwą i nie wysłucha ich ona już tak, jak to dotąd czyniła!“

Kazanie to, wypowiedziane głosem pełnym przesady i wzmocnione licznymi giestami, od których aż pot spływał z czoła mówcy, na pozór niewielkie zrobiło wrażenie. Wieśniacy stali nieruchomi, z oczyma wlepionemi w kaznodzieję, podobni do posągów, wykutych ze stali, ale panna de Verneuil spostrzegła wkrótce, że to zachowanie się ogólne było objawem jakby uroku jakiegoś, rzuczonego przez opata na tłumy. Jak wielcy aktorowie, umiał on całe zgromadzenie poruszyć do głębi, jak jednego człowieka, przemawiając zarazem do uczuć, namiętności i interesów słuchaczy. Zgóry już rozgrzeszył wszystkie nadużycia i rozwiązał jedyne więzy, jakie utrzymywały tych ludzi o grubych instynktach w obserwacji przepisów religijnych i praw społecznych. Zaprzedał święte zasady w służbę interesom politycznym, ale w owych czasach rewolucyjnych każdy dla swego stronnictwa kuł broń z tego, co posiadał, i krzyż pokoju Chrystusa stał się narzędziem wojny, jak mieczem stał się lemiesz pługa-karmiciela. Nie mając nikogo, z kimby się mogła podzielić wrażeniem, panna de Verneuil odwróciła się, chcąc zawołać Fanszety, i niemało się zdziwiła, zobaczywszy, że i ona podzielała ten entuzjazm, gdyż z głębokiem przejęciem odmawiała pacierze na różańcu Galope-Chopine'a.

— Fanszeto — szepnęła jęj pocichu — więc i ty się boisz, abys nie została Mahumetyszką?

— O! pani moja — zawołała Bretonka — patrz oto tam! Wszakże matka Piotra chodzi sama!..

Zachowanie się Fanszety dowodziło tak głębokiego przekonania, że Marya zrozumiała nareszcie cały sekret tych przemówień, wpływ duchowieństwa na wieśniaków i cudowny efekt sceny, która się rozegrała.

Wieśniacy najbliżsi ołtarza poczęli się przysuwać po jednemu i poskładali karabiny swoje w ręce kaznodziei, który je złożył na ołtarzu. Galope-Chopine także poszedł oddać swoją starą gwin-tówkę. Trzej księża śpiewali hymn *Veni Creator*, podczas gdy ce-

lebrant, okadzając te narzędzia śmierci, otaczał je obłokiem dymu błękitnego. Gdy wietrzyk lekki, poranny rozproszył dymy kadzi-deł, karabiny zwrócone zostały właścicielom. Każdy odebrał broń swoją na kolanach z rąk księży, którzy odmawiali przy wręczaniu modlitwę połacinie. Gdy uzbrojeni już poświęconą bronią ludzie powrócili na miejsca, gorący entuzjazm całego zgromadzenia, dotąd niemego, wybuchnął gwałtownie w odśpiewanym z zapalem hymnie :

Domine, salvum fac regem!..

(„Boże, zbaw króla“).

Hymn ten zaintonował kaznodzieja głosem pełnym i donośnym, a lud odśpiewał go dwukrotnie. Śpiew miał w sobie coś wojennego i dzikiego. Dwie sylaby wyrazu *regem*, łatwo zrozumiałego dla biednych tych ludzi, z taką energią wymawiano, że panna de Verneuil nie mogła powstrzymać się od przeniesienia się myślą z pewnem współczuciem ku rodzinie Burbonów, wygnanej z kraju. Wspomnienia te przywiodły jej na myśl pamięć dawnego jej życia. Pamięć odtworzyła w jej umyśle uroczystości i zabawy dworu tego, dziś rozproszonego, na łonie którego błyszczała niegdyś. Postać margrabiego wcisnęła się w te marzenia. Z ruchliwością, zwykłą umysłom kobiecym, zapomniała jednak niebawem o obrazie, który miała przed oczyma, i powróciła do projektów zemsty, w których życie swoje stawiała na kartę, a których powodzenie od jednego spojrzenia zależało. Myśląc o tém, aby się okazać piękną w tej stanowczej chwili swojego życia, przypominała sobie, iż nie ma stroju balowego na głowę i uśmiechnęła się jej myśl przystrojenia włosów gałązką ostrokrzewiu, którego listki zwinięte i czerwone jagody zwracały w tej chwili jej uwagę.

— Ho! ho! moja strzelba chybić może, gdy będę strzelał do ptaków, ale do Błękitnych nigdy! — wykrzyknął Galope-Chopine, kiwając głową z zadowoleniem.

Marya uważniej przyjrzała się fizyognomii swego przewodnika i znalazła w niej typ wszystkich tych, którzy byli zebrani na tajnem tém nabożeństwie. Stary ów Szuan nie zdradzał tyle nawet zdolności myślenia, ile jej może posiadać najmłodsze dziecko. Naiwna jakaś radość zwiłała w zmarszczki policzki jego i czoło, gdy patrzył na swój karabin, ale jednocześnie jakieś głębokie przekonanie religijne nadawało fizyognomii tej odcień fanatyzmu, który chwilowo na dzikięj jego twarzy zaznaczał wszystkie wady, jakich źródłem jest cywilizacya.

Wkrótce dostali się do wsi, to jest do czterech czy pięciu obok siebie stojących zagród, podobnych do zagrody Galope-Chopine'a, do których co moment przybywali nowo zrekrutowani Szuanie, pod-

czas gdy panna de Verneuil jadła śniadanie, składające się jedynie z chleba, masła i świeżego nabiału.

Nieregularne to wojsko prowadzone było przez księdza, który w rękach trzymał wielki krzyż przemieniony w chorągiew. Ksiądz otoczony był młodemi chłopcami, z dumą pomagającemi mu nieść chorągiew parafii. Panna de Verneuil znalazła się z konieczności złączoną z tym oddziałem, który, jak ona, udawał się do Saint-James i który ją z natury rzeczy bronił od wszelkiego niebezpieczeństwa, tém bardziej, gdy Galope-Chopine popełnił szczęśliwie niedyskrecyę, zwierając się naczelnikowi oddziału, iż piękna, młoda osoba, której jest przewodnikiem, była kochanką Garsa.

Ku zachodowi słońca podróżni nasi przybyli do Saint-James, małego miasteczka, które nazwisko swoje zawdzięcza Anglikom, którzy je zbudowali w XIV wieku, kiedy władali Bretanią. Zanim wstąpili do miasteczka, panna de Verneuil była świadkiem dziwnej sceny wojennej, na którą niewielką wszakże zwróciła uwagę; obawiała się być poznaną przez kogo z nieprzyjaciół i obawa ta skłaniała ją do przyspieszenia podróży. Pięć do sześciu tysięcy włościan stało obozem pod miasteczkiem. Ubranie ich, podobne do tego, jakie nosili rekwizycyoniści pod Péleriną, wyłączało wszelką myśl wojowniczych zamiarów tych ludzi. Krzykliwe to zebranie przypominało jarmark. Trzeba było nawet bacniejszej uwagi, ażeby poznać, że Bretończycy ci byli uzbrojeni, gdyż skóra kozia, którą wszyscy byli okryci, okrywała także ich karabiny; najwidoczniejszą ich bronią stanowiły kosy, jakiemi zwłaszcza uzbrojono tych, dla których zabrakło karabinów. Jedni jedli i pili, inni bili się i kłócili głośno, największa jednak część spała, leżąc na ziemi. Zdawało się, że w rzeszy tej niema żadnego porządku i karności wojskowej. Oficer jakiś w mundurze czerwonym zwrócił na siebie uwagę panny de Verneuil. Sądząc po kolorze munduru, przypuszczała, że musiał on należeć do armii angielskiej. Dalej, dwóch innych oficerów zdawało się chcieć nauczyć kilku Szuanów inteligentniejszych, niż inni, manewrów z armatami. Armat tych było dwie i prawdopodobnie stanowiły one całą artylerją przyszłej armii królewskiej.

Dzikie okrzyki ozwały się na widok przybywających zuchów z Marignay, których poznano po ich chorągwi. Korzystając z poruszenia, jakie nowo przybywający oddział i księża wywołali w obozie, panna de Verneuil zdołała niepostrzeżenie i bezpiecznie dostać się do miasta, w którym wynalazła naprędce niezbyt pokaznie wyglądającą oberżę w pobliżu domu, w którym miał się odbyć zapowiadany bal.

Miasto przepełnione było przybyłemi na ów bal gośćmi, tak, że z największym trudem ledwo Marya zdołała wynaleść nędzną dla

siebie izdebkę. Gdy się już zainstalowała, Galope-Chopine oddał Fanszecie pudła i pudełka, zawierające toaletę jej pani, i pozostał przy drzwiach w postawie wyczekującej i niezdecydowanej. W każdej innej chwili panna de Verneuil byłaby się chętnie zabawiła studjowaniem tego bretońskiego wieśniaka, który świeżo z parafii swęj na świat wyrżał, obecnie jednak nazbyt była zajęta; wzięwszy za tēm sakiewkę, wydobyla z nięj cztery sześcioliwrowe sztuki i podała je Galope-Chopine'owi, mówiąc:

— Weź to sobie, a jeżeli chcesz mi jeszcze jednę grzeczność wyrządzić, powracaj natychmiast do Fougères, nie przechodząc przez obóz i nie kosztując jabłeczniku.

Szuán, zdziwiony taką wspaniałością, oglądał po kolei każdą ze sztuk monety, które dostał od panny de Verneuil; ona jednak skinnieniem ręki odprawiła go.

— Pani! jakże można go było pozbywać się? — zapytała Fanszeta. — Czyż nie widziałas pani, jak to miasteczko przepelnione jest zbrojnemi? Wydostaniemyż się stąd bez przewodnika i któż się tu nami zaopiekuje?

— Wszakże ty masz swego protektora! — odparła panna de Verneuil z ironią, naśladowując huczenie Marche-a-Terre'a.

Fanszeta zarumieniła się i uśmiechnęła smutnie z wymuszonej wesołości swojej pani.

— Prawda, pani, ale gdzież ty znajdziesz opiekę? — zapytała.

Panna de Verneuil gwałtownym ruchem wyrwała zza pasa sztylet i za całą odpowiedź pokazała go Bretonce, która, blednąc, upadła na krzesło.

— Maryo! pociśmy tu przyszyły? — zawołała błagalnym głosem, który nie domagał się odpowiedzi.

Marya zajęta była układaniem gałązki ostrokrzewu, którą ze sobą przyniosła.

— Nie wiem — mówiła, nie zważając na bojaźń swęj towarzyski — czy mi dobrze będzie w tym kwiatku. Jak ci się zdaje, Fanszeto? bo ja myślę, że z twarzą tak w kolory bogatą, jak moja, ciemne takie i skromne ubranie głowy będzie wybornie licowało.

Wiele innych uwag tego rodzaju dowodziło dziwnie swobodnego usposobienia umysłu szczególnej tej kobiety, podczas kiedy się ubierała. Ktoby ją był słyszał, z trudnością byłby uwierzył, że chwila ta była dla nięj tak ważną i że tu o życie chodziło.

Suknia z muslinu indyjskiego, krótka i przylegająca do ciała, jak wilgotna bielizna, odznaczała wyraźnie cudowne jej kształty. Na nią włożyła inną, zwierchnią, z pysznej czerwonej materyi. Zwierzchnia ta suknia ułożona była i upięta w fałdy coraz dłuższe ku bokom i stanowiła jakby grecką tunikę. Prześliczne to okrycie, na-

ślądujące szatę kapłanek starożytnych, odejmowało charakter nieprzyzwoity całej toalecie, do której noszenia upoważniała moda owiej epoki. Aby jeszcze bardziej osłabić bezwstydnosć mody, Marya gazą jedwabną przysłoniła białe swoje ramiona, których tunika nie pokrywała.

Długie warkocze pięknych włosów panna de Verneuil zwinęła tak, aby tworzyły na wierzchołku głowy ostrokrag ścięty i spłaszczony, który tyle dodaje wdzięku niektórym starożytnym statutom, nadając głowom ich przedłużone nieco kształty. Po obu stronach twarzy pozostawione umyślnie zwoje spadały od owego ostrokręgu w pysznych lokach na ramiona.

Tak ubrana i tak uczesana Marya przedstawiała zupełne podobieństwo do najpiękniejszych dzieł greckiego dłuta.

Z uśmiechem zalotnym przeglądała się w zwierciadle i, sama istotnie zadowolona z tego przybrania głowy, które uwydatniło pięknosć każdego szczegółu jej twarzy, zakończyła strój ten koroną z ostrokrzewu, którą sobie przygotowała sama, a której liczne czerwone jagody były jakby odticiem koloru jej tuniki.

Splatając tak ostatnie gałązki, aby wywołać efekt kontrastu różnej zielonosć po obu stronach liści, panna de Verneuil raz jeszcze przypatrzyła się sobie w zwierciadle, aby się przekonać, jakie wrażenie ogólne sprawia jej toaleta.

— Straszna jestem dzisiaj! — zawołała, jakby otoczoną była pochlebcami. — Wyglądam jak statua Wolnosć!

Mówiąc to, założyła sztylet za gorset z całą kokieteryą, starając się, aby dla oka ludzkiego widoczną była rękojeść jego, zdobna rubinami, których blask różowawy przyciągać miał spojrzenia w razie, gdyby po temu nie wystarczały skarby naturalne, które w Vivetiére rywalka jej tak sprofanowała. Fanszeta nie pomyślała nawet o tém, aby opuścić swoją panią. Gdy ją widziała już gotową do wyjścia, znalazła do towarzyszenia jej pretekst w tych wszystkich przeszkodach i trudnosćach, jakie ma do przezwyciężenia kobieta, idąca na bal w którémkolwiek z maleńkich miast Bretanii. Wszakże potrzeba było, żeby ktoś był tam na zawołanie, żeby mógł rozebrać pannę de Verneuil z płaszcza, żeby mógł pomódz jej zdjąć podwójne buciki, które z powodu błota, mimo wysypania ulic piaskiem i zwirem wielce obfitego, nałożyć musiała, i żeby mógł z niej zdjąć welon gazowy, którym okryć musiała głowę, aby nie być poznaną przez Szuanów, których tłumy ciekawosć nagromadziła około domu, gdzie bal miał się odbyć. Tłum był tak liczny, że przejść musiały pomiędzy dwoma szpalerami Szuanów. Fanszeta nie próbowała już nawet wstrzymać swęj pani, ale po oddaniu jej ostatnich posług, jakich wymagał strój, którego główną zaletą była świeżosć,

pozostała na podwórzu, nie chcąc pozostawić pani swęj losowi tak dalece, izby nie mogła nawet pośpieszyć jej z pomocą. Biedna Bretonka przewidywała tylko same nieszczęścia.

W chwili gdy Marya de Verneuil udawała się na bal, dziwna i ciekawa scena rozgrywała się w pokoju, zajmowanym przez margrabiego de Montauran. Młody dowódca królewskiej armii ubierał się właśnie i zakładał na siebie szeroką czerwoną szarfę, która miała służyć na znak, iż pierwszym on jest w tém zgromadzeniu, gdy nagle do pokoju wszedł z miną zakłopotaną ojciec Gudin.

— Pojdz pan prędzej, panie margrabio — zawołał. — Pan tylko jeden zdołasz uspokoić burzę, która powstała nie wiadomo z jakiego powodu pomiędzy naczelnikami powstania. Mówią, że opuszczą służbę królewską. Jak mnie się zdaje, to przyczyną tego całego hałasu jest ten dyabelski Rifoel! Tego rodzaju kłótnie zawsze powstają z jakiegoś błahostki. Pani du Gua wyrzuciła mu, jak mi mówiono, że bardzo nędźnie ubrał się na ten bal.

— Ta kobieta szaloną jest widać! — zawołał margrabia. — Ona chce...

— Kawaler du Vissard — rozpoczął znowu ksiądz, przerywając wodzowi — odpowiedział, że gdybyś mu pan był dał pieniądze, któreś mu obiecał w imieniu króla...

— Dosyć! dosyć, księżu opacie! — wykrzyknął margrabia. — Rozumiem teraz wszystko. Cała ta scena była umówiona, nieprawdaż, a pan jesteś posłem...

— Ja, panie margrabio? — zawołał znowu opat, przerywając. — Ja przeciwnie, chcę owszem popierać pana jak najsilniej i spodziewam się, że oddasz mi pan sprawiedliwość i przyznasz, że odbudowanie ołtarzy naszych i powrót króla na tron Francyi były zawsze większą przynętą dla moich skromnych prac i starań, aniżeli to nędzne biskupstwo Rennes, które...

Opat nie śmiał mówić dalej, gdyż na słowa jego margrabia się uśmiechnął z goryczą i ironią. Uśmiech ten niedługo jednak gościł na twarzy naczelnika i za chwilę potem, opanowawszy smutne myśli, które mu się do głowy cisnęły, przybrał surowy wyraz twarzy i poszedł za opatem Gudin do sali, w której rozlegały się gwałtowne i głośne krzyki.

— Nie uznaję tu władzy niczyjej! — krzyknął Rifoel, rzucając pałające gniewem spojrzenia na wszystkich, którzy go otaczali, i opierając rękę na rękojęści swęj szpady.

— Może pan uznajesz władzę zdrowych zmysłów? — zapytał zimno margrabia.

Młody kawaler du Vissard, bardziej znany pod imieniem Rifoela, umilkł przed naczelnym wodzem armii katolickiej.

— Cóż się tu dzieje, panowie! — zawołał młody generał, spoglądając śmiało w oczy każdemu.

— Nic dziwnego, panie margrabio — zawołał sławny kontrabandzista tym tonem, jaki przybiera człowiek z ludu, z początku zwykle zaambarasowany wobec wielkiego pana, ale niebawem, skoro raz uzna go sobie równym, nie znający żadnych granic — tak, nic dziwnego, tylko tyle, że w sam czas pan przybywasz! Nie umiem ja złoconych prawić słówek; to też powiem odrazu, co myślę. Dowodziłem pięciuset ludźmi podczas ostatniej wojny. Od chwili, gdy znowu powołani zostaliśmy pod broń, umiałem znaleźć dla służby królowi tysiąc głów tak twardych, jak moja! Już od siedmiu lat narażam życie dla dobrej sprawy, nie wymawiam tego nikomu, ale za każdą pracę należy się płaca. Otóż przedewszystkiem żądam, aby mnie nazywano panem de Cottereau. Żądam, iżby stopień pułkownika został mi przyznany! Jeżeli nie, to poddam się pierwszemu konsulowi. Widzisz pan, panie margrabio, ja i moi ludzie mamy dyabelskiego wierzyiciela, szalenie niecierpliwego, którego zawsze zadowolnić potrzeba! Chcecie go poznać może? Oto jest! — wykrzyknął, uderzając się po brzuchu.

— Czy orkiestra już przysła? — spytał margrabia pani du Gua z ironią.

Ale kontrabandzista za szorstko już zaczął o przedmiot zbyt ważny, a umysły te, pełne ambicji i pragnień niezaspokojonych, zbyt dawno już żyły w niepewności o to, czego się mogą spodziewać od króla, aby wzgarda naczelnika mogła wystarczyć na przerwanie tej przykrzej sceny. Młody i zapalony kawaler du Vissard szybkim ruchem stanął przed Montauranem i schwycił go za rękę, zmuszając do pozostania na miejscu.

— Ostrożnie, panie margrabio! — zawołał — za lekko traktujesz ludzi, którzy mają prawo do wdzięczności tego, którego ty reprezentujesz. Wiemy, że jego królewska mość dał panu moc ocenienia naszych zasług, które winny znaleźć nagrodę na tym świecie, lub na tamtym, gdyż w każdej chwili szafot nam grozi! Wiem, że co do mnie, stopień generała brygady...

— Pułkownika, chciałeś powiedzieć...

— Nie, margrabio; jeszcze Charette mianował mnie pułkownikiem. Stopień, o którym mowa, nie może mi być zaprzeczony! W tej chwili nie swojej bronię tu sprawy, ale sprawy moich nieustraszonych towarzyszy broni, których służby wierne muszą być również uznane! Wasz podpis, margrabio, i wasze obietnice wystarczą im dzisiaj i — dodał pocichu — przyznać muszę, niewielkie są ich wymagania, kiedy na tém poprzestają. Ale za chwilę — dodał, podnosząc głos — gdy jasne słońce wstanie nad pałacem wersalskim

i oświeci szczęśliwsze dni monarchii, wtedy czyliż ci wierni, którzy dopomagają królowi do odzyskania tronu Francyi, będą mogli od téjże Francyi uzyskać łaskę dla swych rodzin, pensye dla wdów i sierot i zwrot dóbr, które im ci nędznicy konfiskują? Wątpię! Otóż, panie margrabio, dowody piśmienne usług oddanych nie będą wtedy bezużyteczne. Nie wątpię wcale o dobrri i sprawiedliwości króla, ale nie wierzę w tych krokodylów, ministrów i dworaków, którzy mu będą w uszy trąbili o dobru publiczném, o honorze Francyi, o interesach korony i o tysiącu innych błahostkach. Wtedy drwieć będą z pocziwego Wandejczyka i bitnego Szuana i mówić mu, że stary jest i niedołęga, i że szabla, którą przypasał dla dobrej sprawy, kaleczy go po nogach wychudzonych z głodu i cierpień.... Jakżeż się panu zdaje, panie margrabio, wszakże mamy racya, nieprawdaż?..

— Mówisz pan prześlicznie, panie du Vissard, tylko trochę za wcześnie — odparł margrabia.

— Posłuchaj mnie, margrabio — rzekł ciszej hrabia de Bauran do ucha Garsa — Rifoel wypowiedział istotnie bardzo piękne rzeczy, słowo honoru daję! Pan sam jesteś pewny, że zawsze będziesz miał dla siebie powolném ucho królewskie, ale my biedacy zaledwie od czasu do czasu widzieć będziemy pana naszego, i przyznam się, że gdybyś mi pan nie dał szlacheckiego słowa honoru, że uzyskasz dla mnie we właściwym czasie wielkie łowczostwo Francyi, niech mnie dyabli wezmą, czybym głowy nadstawił. Odzyskać dla króla Normandya, wszakże to nie błaha sprawa; to też spodziewam się dostać order. Ale — dodał, rumieniąc się — mamy czas o tém myśleć. — I jeszcze ciszej dodał: — Niech mnie Bóg broni, żebym miał naśladować tych biedaków i ciebie, margrabio, męczyć i niepokoić! Będziesz mówił o mnie królowi i basta.

Każdy z naczelników znalazł sposób, ażeby dać poznać margrabiemu mniej więcej zręcznie, jaką cenę naznacza na swe usługi. Jeden skromnie pragnął zostać gubernatorem Bretanii, drugi baronem, trzeci pułkownikiem, a wszyscy pragnęli pieniędzy.

— A pan, panie baronie — rzekł margrabia do pana du Guénic — niczego nie żądasz?

— Na honor, margrabio, ci panowie tyle dla siebie zabrali, że dla mnie zostanie chyba już tylko korona Francyi, no, ale i tém się potrafię zadowolnić.

— Panowie moi — krzyknął opat Gudín głosem grzmiącym — zastanówcie się, że jeżeli się tak bardzo śpieszyć będzie z żądaniami swemi w dniu zwycięstwa, to wszystko popsujecie. Król będzie musiał układać się z rewolucjonistami!

— Co! z jakobinami! — wykrzyknął kontrabandzista. — Al! niech

mi tylko król wtedy działać pozwoli, a użyję moich tysiąca ludzi do ich wywieszania i pobędziemy się ich prędko.

— Panie de *Cottrean* — zawołał margrabia — widzę tam oto kilka osób, zaproszonych tu umyślnie, które właśnie nadchodzą. Powinności wszelkich użyć sposobów i rywalizować pomiędzy sobą w zabiegach, aby ich skłonić do współdziałania w świętej naszej sprawie; rozumiecie zatem, panowie, że nie jest-to chwila stosowna do zajmowania się waszemi, choćby najsłuszniejszymi, żądaniami.

Mówiąc to, margrabia zwrócił się ku drzwiom, zamierzając wyjść naprzeciw kilku nadchodzących osób ze szlachty miejscowej, ale zuchwały kontrabandzista zastąpił mu drogę.

— Nie, nie, panie margrabio — mówił, zachowując mimo to postawę skromną i pokorną — nie! Jakobini za dobrze nas nauczili w r. 1793, że nie ten, kto zboże ścina, jada ciasto z niego. Podpisz mi pan ten świstek papieru, a jutro sprowadzę ci pięciuset zuchów; jeśli zaś nie, to jutro poddaje się pierwszemu konsulowi.

Margrabia spojrzał dumnie dokoła i widział, że zuchwalstwo to starego partyzanta i jego rezolutna mina nikogo z zebranych nie oburza. Jeden tylko człowiek, siedzący w kącie, zdawał się nie brać w całym tym targu żadnego udziału i pilnie zajmował się nakładaniem prostej fajeczki z palonej gliny. Wstręt, jaki zdawał się okazywać ku wszystkim, którzy się odzywali, skromna jego pozycja i spojrzenie pełne współczucia, z jakim się spotykały oczy margrabiego, skłoniły go do bliższego przyjrzenia się temu człowiekowi, w którym poznał majora Brigant. Gars szybko zwrócił się ku niemu:

— A ty — zapytał go — czego żądasz?

— Ja, panie margrabio, jak król powróci, będę szczęśliwy.

— To dla króla, ale sam dla siebie czego żądasz?

— O! ja... Niech pan margrabia nie żartuje ze mnie!

Margrabia uściśnął twardą rękę Bretona i, zbliżywszy się do pani du Gua, szepnął jej pocichu:

— Pani, ja zginę pewno w tych walkach, zanim zdążę posłać królowi wierny raport o armii katolickiej w Bretanii. Jeżeli pani doczekasz restauracyi, nie zapomnij o tym pocziwym człowieku i o baronie du Guénic. Więcej jest poświęcenia w tych dwóch, aniżeli we wszystkich innych, razem wziętych.

Tymczasem naczelnicy oczekiwali z pewną niecierpliwością, aby margrabia uczynił zadosyć ich żądaniam. Wszyscy trzymali w ręku rozwinięte papiery, w których służby ich i zasługi były skonstatowane przez generałów wojsk królewskich, dowódców w wojnach poprzednich, i wszyscy poczęli szemrać. Wpółśród nich opat Guadin, hrabia de Bauran, baron du Guénic naradzali się, w jaki spo-

sób dopomódz margrabiemu do odparcia wygórowanych pretensyj, gdyż wszyscy trzej widzieli całą trudność jego położenia.

Wtém margrabia powiódł oczyma pełnemi ironii po całym zgromadzeniu i rzekł głosem swobodnym i pewnym:

— Panowie, nie wiem, czy władza, jaką jego królewska mość raczył złożyć w moje ręce, jest tak rozległą, abym mógł żądania wasze uwzględnić. Król, pan nasz, nie przewidział zapewne tak wielkiej gorliwości, ani tak wielkich poświęceń. Osądźcie sami moję władzę i moje obowiązki, a wtedy zobaczycie, co mogę uczynić.

Znikł i po chwili wrócił, trzymając w ręku rozwinięty list, opatrzone podpisem i pieczęcią królewską.

— Otóż jest — rzekł — rozkaz królewski, na mocy którego winniście mi posłuszeństwo! Król upoważnił mnie do zarządzania prowincjami: Bretanią, Normandyą, Anjou i Maine w imieniu swoim oraz do uznawania i wynagradzania zasług oficerów, którzy się w jego armiach odznaczają.

Szmer zadowolenienia odezwał się w zgromadzeniu. Szuanie zbliżyli się ku niemu i otoczyli go kołem, trzymając się z uszanowaniem w pewnym od niego oddaleniu. Oczy wszystkich utkwione były w podpis królewski. Młody dowódca, który stał wyprostowany tyłem do kominka, odwrócił się nagle i rzucił w ogień trzymane w ręku papiery, które w jednym mgnieniu oka pochłonął płomień.

— Nie chcę być dłużej wodzem tych, którzy w królu widzą nie króla, ale ofiarę do pożarcia. Jesteście wolni, panowie, możecie mnie opuścić...

Pani du Gua, ksiądz Gudin, major Brigant, kawaler du Visard, baron du Guénic, hrabia de Bauran, rozentuzyazmowani tym postępkami margrabiego, wykrzyknęli: „Niech żyje król!”

Jeżeli z początku inni naczelnicy zawahali się przez chwilę, to wkrótce porwani szlachetnym czynem margrabiego, wszyscy zaczęli go prosić, aby zechciał zapomnieć o tém, co się stało, zapewniając go, że bez listów królewskich nawet uznają w nim wodza i naczelnika.

— Pójdźmy w taniec — zawołał hrabia de Bauran — i niech się stanie, co się ma stać! Ztémwszystkiem — dodał wesoło — lepiej, panowie mili, udawać się do Boga samego, niżli do jego świętych. Bijmy się naprzód, potem zobaczymy.

— Dobrze mówi pan hrabia! Bez urazy pańskiej, panie baronie — rzekł Brigant pocichu do barona du Guénic — nigdy nie widziałem, żeby kto zrana żądał zapłaty za dzień pracy!

Całe zgromadzenie rozproszyło się po salonach, w których znajdowało się już kilka osób. Margrabia nie mógł przez długą jeszcze chwilę otrząsnąć się ze smutnego wrażenia, jakie podobna scena

wywrzeć musiała na umyśle człowieka, którego przywiązanie do tronu i poświęcenie nie było pozbawione pięknych iluzji młodości. Naczelnicy oddziałów powstańczych widzieli oblicze to zasępione i wstydziła się swego czynu.

Radość upajająca wybuchła teraz w tém zebraniu, składającym się z najbardziej egzaltowanych stronników króla, którzy nie mogąc z głębi odległej zbuntowanej prowincyi poznać dokładnie i osądzić poważnie objawów i postępów wielkiej rewolucyi, najzłudniejsze nadzieje brali za spełnione fakty.

Śmiałe operacje wojenne, rozpoczęte przez Montaurana, nazwisko jego, majątek, zdolności podnosiły odwagę wszystkich i wywoływały ten szal polityczny, najniebezpieczniejszy ze wszystkich szalów, ponieważ stygnie dopiero w potokach krwi, wylanéj bezpożytecznie. Dla wszystkich tu obecnych rewolucya była chwilowém zamieszanem w królestwie Francyi, w którem, jak im się zdawało, nic się nie zmieniło. Wsie te i ich mieszkańcy byli dotąd własnością domu Bourbonów. Królewscy tak jeszcze silnemi się tutaj czuli, że cztery lata przedtém generał Hoche zaledwie uzyskać zdołał u nich nie pokój, ale zawieszenie broni. Szlachta zgóry traktowała rewolucjonistów; dla nich Bonaparte był tylko drugą, poprawną i szczęśliwą edycyą generała Marceau.

To téż kobiety spodziewały się bawić wybornie.

Niektórzy tylko z dowódców, ci mianowicie, którzy bili się już z Błękitnemi, mieli jakie-takie pojęcie o ważności obecnego przesilenia, a czując, że nie byliby zrozumiani nawet przez zacofanych swoich towarzyszy, gdyby poczęli im mówić o pierwszym konsulu, o jego potędze, rozmawiali pomiędzy sobą pocichu, obojętnie spoglądając na kobiety, które mściły się, krytykując ich i wyśmiewając w rozmowach między sobą.

Pani du Gua, która zdawała się czynić honory balu, próbowała rozerwać niecierpliwiące się tancerki, obsypując je po kolei grzecznościami i pochlebstwami. Już téż słychać było drapiące dźwięki dostrajanych instrumentów, gdy pani du Gua spostrzegła margrabiego, na którego twarzy znać jeszcze było smutek i znużenie, i podbiegła szybko ku niemu.

— Śmiem mieć nadzieję, że ta ohydna scena, choć zresztą nie nadzwyczajna, nie na długo pozbawiła cię, margrabio, humoru i swobody? — rzekła.

Nie otrzymała odpowiedzi; margrabia, zagłębiony w marzeniu, słyszał raczej brzmiące mu w uszach rady, jakie mu proroczym głosem dawała Marya wpośród tychże samych przywódców powstania w Vivetièrre, gdy go skłaniała, aby zaniechał téj wojny królów przeciwko ludowi. Młody jednak wódz za podniosłą miał duszę, za wiele

dumy i miłości własnej, za wiele stałości przekonań, aby mógł porzucić w połowie drogi dzieło rozpoczęte, i obudzony został przez panią du Gua w tej właśnie chwili, gdy, odpowiadając sobie samemu na słowa Maryi, postanowił, wbrew przeszkodom, podążać śmiało i prosto ku wytkniętemu raz celowi. Podniósł głowę dumnie i spojrzął pytająco na panią du Gua.

— Byłeś pan zapewne myślą w Fougères w tej chwili — rzekła z goryczą, zdradzającą bezskuteczność wysiłków, jakie dla zająęcia sobą margrabiego czyniła. — Margrabio! oddałabym wszystkę krew z żył moich, ażebyś mogła dać ci ją w ręce i żebyś był szczęśliwy chociaż z nią!

— Dlaczegoż pani strzelała do niej tak celnie?

— Pragnęłabym, aby została albo trupem, albo twoją! Tak, panie, mogłam kochać margrabiego de Montauran w dniu, w którym widziałam w nim bohatera. Teraz mam dla ciebie tylko przyjaźń litośną, widzę cię bowiem zwróconym z drogi chwały przez koczujące serce zakulisowej piękności!

— Złe pani masz o mnie wyobrażenie, przynajmniej w rzeczach miłości — odrzekł margrabia ironicznie. — Gdybym istotnie kochał tę dziewczynę, mniejbym ją posiadać pragnął... a w obecnym stanie mego serca, gdyby nie pani, mógłbym już o niej zapomnieć zupełnie.

— Oto ona! — zawołała nagle pani du Gua.

Szybkość, z jaką margrabia odwrócił głowę, musiała być bolesnym ciosem dla tej kobiety, ale przy silnym blasku mnóstwa świec, oświetlających salę balową, mogąc śledzić najlżejsze drgnienia muskułów w twarzy tego człowieka, tak namiętnie przez się ukochanego, gdy znowu odwrócił głowę ku niej, odzyskała nadzieję, chociaż słabą. Margrabia przyjął z uśmiechem ten żart kobiety ze stroiny pani du Gua.

— Z czego się pani śmiejesz? — spytał, zbliżając się do niej, hrabia de Bauran.

— Z bańki mydlanej, ulatniającej się! — odpowiedziała wesoło pani du Gua. — Margrabia, jeśli wierzyć można jego słowom, dziwi się samemu sobie, że serce jego mogło choć na chwilę uderzyć dla jakiejś dziewczki, której się podobało zatytułować się panną de Verneuil. Pamiętasz przecie, panie hrabio?..

— Dziewki! — powtórzył hrabia tonem wyrzutu. — Do sprawy złego należy je naprawić; dlatego daję pani słowo honoru, że kobieta ta jest w istocie córką księcia de Verneuil.

— Panie hrabio — zawołał margrabia głosem silnie wzruszonym — ktoremuż z pańskich słów honoru wierzyć nareszcie mamy?

Czy słowu, jakieś dawał w Vivetière, czy temu, jakie dzisiaj w Saint-James słyszymy?

W tej chwili grzmiący głos lokaja zaanonsował pannę de Verneuil. Hrabia rzucił się ku drzwiom, a podając pięknej nieznajomej ramię z oznakami najwyższego szacunku i wiodąc ją wśród zaciekawionych tłumów ku margrabiemu i pani du Gua, rzekł z ukłonem zdumionemu wodzowi:

— Tylko dzisiejszemu słowu mojemu wierz, margrabio!

Pani du Gua zbladła na widok tej kobiety, która, stojąc na środku sali i oglądając się z dumą dokoła, szukała oczyma współbiedników z Vivetière. Oczekiwała na przymuszony ukłon i powitanie ze strony swjej rywalki, a nie spojrzawszy nawet na margrabiego, dała się odprowadzić panu de Bauran na honorowe miejsce i posadzić obok pani du Gua, na której ukłon odpowiedziała protekcyjnalnym skinieniem głowy. Odgrywająca rolę gospodyni domu pani du Gua, instynktem kobiecym wiedziona, nie rozgniewała się, lecz przeciwnie, przybrała uprzejmy wyraz twarzy i uśmiech wystąpił na jej usta. Niezwykle oryginalny strój i piękność panny de Verneuil obudziły szmer podziwu w całym zebraniu. Gdy margrabia i pani du Gua zwrócili oczy na tych, którzy uczestniczyli w zebraniu w Vivetière, spotkali wszystkich w postawach pełnych szacunku, który się wcale przymuszonym nie wydawał. Każdy z nich zdawał się szukać sposobu odzyskania względów obrażonej Paryżanki. Nieprzyjazne żywioły stały więc naprzeciw siebie gotowe do walki.

— To prawdziwie magiczne! Pani tylko jedna zdolną jesteś urządzić takie niespodzianki! Czyż podobna, żebyś pani przyszła tu sama jedna? — pytała pani du Gua.

— Sama jedna przybyłam — odrzekła panna de Verneuil. — Dziś nie będziesz pani miała trudu: mnie jedną tylko będziesz miała do zabicia.

— O! bądź pani wyrozumiałą — rzekła pani du Gua. — Nie zdołam wyrazić pani, jak mi jest przyjemnie spotkać ją znowu. W istocie wspomnienie urazy, jaką pani możesz mieć do mnie, było mi wielce przykre i szukałam sposobności, aby winy swe zmazać.

— Co do win pani, to chętnie przebaczam te, które się mnie samej dotyczą, ale mam na sumieniu śmierć żołnierzy, których pani wymordowałaś! Mogłabym także mieć coś do zarzucenia ołowianej korespondencji pani... Ale cóż robić? Wybaczam wszystko przez pamięć na przysługę, jaką mi pani oddałaś.

Pani du Gua straciła pewność siebie, czując uścisk ręki swjej rywalki, która uśmiechała się do niej z wdziękiem niewysłowionym.

Margrabia, dotąd nieruchomy, pochwycił wreszcie silnie za ramię pana de Bauran.

— Niecieńś mnie pan oszukał — zawołał — i naraziłeś pan nawet mój honor. Pamiętaj, że nie jestem bohaterem z komedyi i że ty moje, albo ja twoje życie za to wziąć muszę!

— Panie margrabio — odpowiedział dumnie hrabia — gotów jestem dać ci wszelkie objaśnienia i wszelkie zadosyćuczynienie, jakiego zażądać będziesz uważał za stosowne.

I obaj usunęli się do sąsiedniej komnaty. Osoby nawet mniejsze wtajemniczone w tę scenę, poczęły ją rozumieć do pewnego stopnia, tak wielki wzbudzała interes. Gdy w chwilę potem skrzypce dały znak do tańca, nikt się z miejsca nie ruszył.

— Racz-że mi pani powiedzieć, jaką przysługę miałam zaszczyt ci oddać, aby sobie zasłużyć... — mówiła dalej pani du Gua, zacinając usta z wściekłością.

— Objaśniłaś mnie pani szczerze o charakterze margrabiego de Montauran. Z jakąż wściekłą obojętnością ohydny ten człowiek na stracenie mnie wydawał! Ustępuję go pani całkowicie!

— Pocóż więc przysłaś tu pani? — zapytała żywo pani du Gua.

— Przyszłam odzyskać szacunek i poważanie, któreś mi pani wydarła w Vivetière. Co do wszystkich innych rzeczy, bądź pani spokojną. Chociażby margrabia powrócił do mnie, to przecież musisz pani wiedzieć, że to, co zdrutowane, nie jest całęm i że miłość powtórnie nawiązywana już nie jest miłością.

Pani du Gua wzięła za rękę pannę de Verneuil z tą prawdziwą kocią miękkością i przymileniem w ruchach, jakich kobiety między sobą chętnie używają.

— To ślicznie! — zawołała — i doprawdy zachwycona jestem, że cię widzę, droga pani, tak rozsądną. Jeżeli sposób, w jaki oddałam ci tę usługę, nie należał do najłagodniejszych — dodała, ścisnąc czule tę rękę, którąby zgnieść pragnęła — to niemniej jednak był on skuteczny. Posłuchaj mnie, znam charakter Garsa i jego znam samego — mówiła ze zdradzieckim uśmiechem. — Bądź pewna, zdradziłby cię! Nie chce on i nie może poślubić żadnej kobiety!

— A! czy doprawdy?

— Tak, pani. Przyjął on niebezpieczną misję, w jakiej spełnianiu widzisz go pani, jedynie tylko w nadziei pozyskania ręki panny d'Uxelles, ku czemu obiecał mu skuteczną pomoc król jęgośmość.

— A!

Panna de Verneuil nie odpowiedziała nic więcej na te ironiczne

uwagi. Młody i piękny kawaler du Vissard, niecierpliwie pragnący uzyskać przebaczenie za żart, który był sygnałem obelg, jakie spotkały Maryą w Vivetiére, przystąpił do niej, zapraszając ją do tańca. Panna de Verneuil podała mu rękę i zajęła z nim miejsce w kadrylu, w którym tańczyła również i pani du Gua. Strój tych dam, przypominający modę dworu wygnanego, upudrowane ich głowy i krepliny we włosach zdawały się śmiesznymi w porównaniu z kostiumem, pełnym elegancyi, bogactwa i gustu, do którego włożenia upoważniała Maryą moda panująca. Modę tę głośno potępiały kobiety z towarzystwa, ale jej *in petto* zazdrościli. Mężczyźni nie przestawali ani na chwilę podziwiać piękności upięcia naturalnych włosów i wszystkich szczegółów stroju, którego wdzięk cały polegał na piękności kształtów ukrytych i uwydatnionych zarazem.

W téjże chwili margrabia i pan de Bauran weszli do sali balowej i przystanęli za panną de Verneuil, która widziała ich, ale nie odwróciła się nawet. Gdyby nawet zwierciadło, naprzeciw którego tańczyła, nie było już zdradziło przy niej obecności margrabiego, byłaby ją odgadła po zachowaniu się pani du Gua, która źle ukrywała pod obojętną powierzchownością niecierpliwość, z jaką oczekiwała niemożliwego do uniknięcia starcia, które prędzej czy później nastąpić musiało pomiędzy temi dwiema kochającemi się istotami. Chociaż dwaj nowo przybyli panowie zajęci byli rozmową niby obojętną z dwiema innemi osobami, nie mógł jednak margrabia nie słyszeć przelotnych słówek tancerzy i tancerek, którzy, stosownie do kapryśnych wymagań kadryla, przesuwali się wraz z Maryą w różnych figurach obok niego.

— Tak jest w istocie, droga pani, sama jedna tu przyszła — mówił jeden z tancerzy do swojej damy.

— Trzeba być wielce odważną — odrzekła tancerka.

— Ale doprawdy, gdybym była ubraną tak, jak ona, zdawałoby mi się, że jestem zupełnie naga — mówiła inna dama.

— Istotnie, pani, nie jest-to kostium przyzwoity — odpowiedział tancerz — ale tak jej jest w nim dobrze i tak pięknie!

— Muszę się doprawdy wstydzić za nią i za doskonałość jej tańca. Możliwy ją łatwo wziąć za tancerkę z baletu — odrzekła zazdrosna dama.

— Czy sądzisz pan w istocie, że przybyła tu z pełnomocnictwem do traktowania w imieniu pierwszego konsula? — zapytała inna.

— Śmieszny-to żart! — odrzekł kawaler.

— Nie przyniesie ona niewinności w posagu mężowi, jeśli go kiedy dostanie! — rzekła inna tancerka.

Gars odwrócił się szybko, aby zobaczyć kobietę, która pozwala

sobie tak kołącego żartu, i wtedy pani du Gua spojrzała na niego, zdając się mówić:

— Widzisz pan, co o niej myślą!

— Pani — rzekł hrabia de Bauran do nieprzyjaciółki Maryi — dotąd tylko kobiety niewinność jej kalały!..

Margrabia w duchu przebaczył wszystkie winy hrabiemu. Gdy zaś pozwolił sobie rzucić okiem na ukochaną, której wdzięki uwydatniały się pod wpływem światła obfitego, ona odwróciła się od niego, powracając na swoje miejsce, i poczęła rozmawiać ze swoim tancerzem, pozwalając najśłodszym dźwiękom swojego głosu dolać do uszu margrabiego.

— Pierwszy konsul przysłał nam ambasadorów wielce niebezpiecznych — mówił jej tancerz.

— Panie — odpowiedziała — powiedziano już to w Vivetiére.

— Masz pani królewską prawdziwie pamięć — odpowiedział niekontent ze swęj niezręczności młodzieniec.

— Chcąc przebaczać obrazy, trzeba je pamiętać — odpowiedziała, wyprowadzając go z kłopotu ponętym uśmiechem.

— Czy wszyscy objęci jesteśmy amnestją? — zapytał margrabia.

Ona zdawała się nie słyszeć go i rzuciła się w wir tańca z pewnością, jakby dziecięcą radością, pozostawiając go zmieszanego bez odpowiedzi. On patrzył na nią z zimną i rozważną melancholią. Dostrzegła to i pochyliła głowę jednym z tych kokieteryjnych ruchów, na jakie jej pozwalała wdzięczna proporcja jej szyi, i z pewnością nie zapomniała żadnego z ruchów, które mogły uwydatnić rzadką doskonałość jej kształtów. Marya pociągała go ku sobie i jako nadzieja i jak wspomnienie, a była nieujętą! Widzieć ją taką, jaką zjawiała się w tej chwili, znaczyło to pożądać jej za cenę krwi i życia. Wiedziała o tém, a świadomość swęj piękności rozlewała na twarzy jej urok niewypowiedziany. Margrabia czuł, że w sercu jego podnoszą się tumany miłości, namiętności i szału, uściśnął więc silnie dłoń hrabiego i odszedł.

— Co to znaczy, że już go niéma? — spytała panna de Verneuil, wracając na swoje miejsce.

Hrabia pobiegł do sali sąsiedniej i po chwili przyprowadzając Garsa, dał protegowanej swęjój znak porozumienia.

— Moim jest — pomyślała, spostrzegając w zwierciadle twarz margrabiego, promieniejącą słodką nadzieją.

Przyjęła go z nadąsaną miną i bez jednego wyrazu, a robiąc *chaine des dames*, odeszła na drugą stronę z uśmiechem na ustach. Uważała go tak wyższym ponad wszystkich, że z prawdziwą rozkoszą tyranizowała go i chciała, aby drogo opłacił kilka słodkich słów.

wek, które mu powiedzieć zamierzyła, ażeby umiał je ocenić. Taki miała instynkt, a instynktem większość kobiet się kieruje.

Po skończonym kadrylu wszyscy ci, którzy byli w Vivetiére, otoczyli Maryą i każdy starał się drogą pochlebstw, mniej albo więcej zręcznych, wyprosić sobie przebaczenie za swoje winy i błędy, względem niej popełnione. Ten tylko, którego pragnęłaby widzieć u stóp swoich, ten jeden tylko nie zbliżył się do grupy, której była królową.

— Wierzy w to, że go kocham — pomyślała — i nie chce być zaliczony do tłumu obojętnych.

Odmówiła proszącym ją do następnego tańca. Potém, jakby bal ten na cześć jój był wydanym, wsparta na ramieniu hrabiego de Bauran, poczęła się przechadzać po sali między kółkami nowego kadryla, opiekunowi swemu chwilowemu okazując pewne względy. Sprawa w Vivetiére znana już była w tej chwili wszystkim, dzięki staraniom pani du Gua, która spodziewała się w ten sposób, wystawiając na śmiesznosc margrabiego i Maryą, przeszkodzić ich zbliżeniu się do siebie. To też poróżnieni kochankowie byli celem wszystkich spojrzeń i przedmiotem wszystkich rozmów. Montauran nie śmiał zbliżyć się do swój kochanki, albowiem poczucie swoich względem niej win i gwałtownosc pragnień uczyniły ją straszną w jego oczach. Młoda kobieta ze swój strony śledziła pilnie każde drgnięcie tej pozornie tylko spokojnej twarzy, udając sama zupełne oddanie się rozkoszom balu.

— Strasznie tu gorąco — rzekła do swego towarzysza. — Widzę czoło pana de Montauran całe zwilżone od gorąca. Wyprowadź mnie pan na drugą stronę, niech odetchnę; tutaj mi duszno!

I wdzięcznym ruchem głowy wskazała hrabiemu sąsiedni salon, w którym znajdowało się kilku graczy. Margrabia podążył za nią, odgadując słowa, które wyrzekła, po ruchu ust. Śmiał mieć nadzieję zuchwałą, że oddała się od tłumu dlatego jedynie, aby pozwolić jemu zbliżyć się do siebie, i ta jój łaska, którą w tém odejściu upatrywał, dodawała jego namiętności większej jeszcze siły i zapału. Miłość jego wzrosła o wszystkie te trudności, które od dni kilku sam uważał za potrzebne dla siebie. Panna de Verneuil z upodobaniem drażniła go. Spojrzenie jój, tak łagodne, tak aksamitne dla hrabiego, stawało się suchém i surowém, gdy przypadkiem oczy jój spotykały wzrok margrabiego. Montauran pokonał się nareszcie i głuchym głosem rzekł, gdy przechodziła koło niego:

— Nie przebaczysz mi pani nigdy?

— Miłość — odrzekła zimno — nie przebacza nic, lub też przebacza wszystko. Ale — mówiła dalej, widząc, że słowa jój blask radości w oczach jego wywołały — potrzeba do tego miłości!

A wzięwszy znowu pod rękę hrabiego de Bauran, wpadła z nim do jednego z gabinetów, przytykających do salonu gry.

Margrabia poszedł tam za nią.

— Musisz mnie pani wysłuchać! — zawołał.

— Postępowaniem swoim dowodzisz pan przekonania, panie margrabio, że przybyła na bal ten dla pana, a nie przez szacunek dla siebie samej. Jeśli pan nie zaniechasz tej niecnej napaści, będę musiała się oddać!

— Dobrze — zawołał, przypominając sobie jedno z największych szaleństw ostatniego księcia Lotaryngii — ale przynajmniej pozwolisz mi pani mówić do siebie tak długo, jak długo utrzymać potrafię w ręku rozpalony węgiel!

I mówiąc to, nachylił się do ogniska, palącego się na kominku, pochwycił żarzącą się głownię i ścisnął ją silnie w rękach. Panna de Verneuil zarumieniła się mocno, wysunęła rękę zpod ramienia hrabiego i spojrzała na Garsa ze zdziwieniem. Bauran oddalił się, nic nie mówiąc, i pozostawił ich samych. Czyn tak szalony wzruszył serce Maryi, gdyż w miłości nic bardziej nie przekonywa, jak odważne głupstwo.

— Dowodzisz mi pan tem — rzekła, próbując go zmusić do rzućenia węgla — że oddałbyś mnie na najstraszniejsze tortury z zimną krwią. Jesteś pan we wszystkiem krańcowy. Na słowa głupca i na kalumnie kobiety, posądzasz pan tę, która panu ocaliła życie, o chęć sprzedania pana...

— Tak, to prawda — rzekł z uśmiechem — byłem okrutny dla pani! Ale chciej zapomnieć o tem na zawsze, a ja będę pamiętał na wieki. Posłuchaj mnie, pani. Zostałem niegodnie oszukany, ale owę fatalną noc tyle okoliczności spiknęło się przeciwko tobie!

— I okoliczności te wystarczyły na to, aby zgasić pańską miłość?

Zawahał się z odpowiedzią. Ona wzruszyła ramionami z pogardą i podniosła się.

— O! Maryo, teraz już nie uwierzę nikomu, tylko tobie!..

— Ale rzuc-że pan ten ogień! Jesteś szalony! Otwórz rękę! Ja tak chcę!

Z pewną rozkoszą stawiał łagodny opór wysiłkom swęj ukochanej, chcąc w ten sposób przedłużyć niebiańskie i zarazem piekielne wrażenie, jakiego doznawał pod naciskiem miękkich jej i delikatnych paluszków. Ale nakoniec zdołała zmusić go do otworzenia tej ręki, któraby ucałować pragnęła. Krew z rany, którą węgiel wypalił, zgasiła ogień.

— I na cóż się to panu zdało! — zawołała.

Porwała swą chusteczkę na szarpie i założyła niemi niegłęboką ranę, którą margrabia pokrył natychmiast rękawiczką.

Pani du Gua wsunęła się na palcach do sali gry i rzucała stamtąd ukradkiem spojrzenia na dwoje kochanków, których wzroku uniikała zręcznie, kryjąc się za ich własnymi ruchami, niepodobna ję jednak było odgadnąć ich słów...

— Gdyby wszystko, co panu o mnie powiedziano, było prawdą, przyznaj, że byłabym w tę chwilę strasznie pomszczoną — rzekła Marya z pewnym odcieniem złośliwości, pod którym zbladł margrabia.

— I jakież uczucie panią tu sprowadziło?

— Ależ dziecko pan jesteś i dziecko strasznie próżne! Więc panu się zdaje, że można bezkarnie pogardzić kobietą taką, jak ja! Przyszedłam tu dla pana i dla siebie samej — dodała po chwili, opierając rękę o pęczek rubinów, który wyglądał ję zza gorsetu, i pokazując mu ostrze sztyletu.

— Co to wszystko ma znaczyć? — pomyślała pani du Gua.

— Ale — mówiła dalej — pan mnie kochasz jeszcze! Przynajmniej pragniesz mnie pan, a niedorzeczność, której się dopuściłeś — dodała, wskazując na sparzoną rękę — daje mi tego dowód. Zostałam nanowo tęp, czém być chciałam, i odchodzę szczęśliwa. Kto kocha, przebacza. Co do mnie, jestem kochaną, odzyskałam szacunek tego, który, w oczach moich, przedstawia świat cały; teraz umrzeć mogę w spokoju.

— Więc kochasz mnie jeszcze! — zawołał.

— Tego nie powiedziałam! — odrzekła z uśmiechem pół-szyderskim, pół-kokieteryjnym, śledząc bacznie oczyma skutki tęg strasznęj tortury, jaką od chwili wejścia zadawała margrabiemu. — Czyż nie byłam zmuszoną do poświęceń, aby tu przybyć? Ocaliłam od śmierci pana de Bauran, a on, wdzięczniejszy, niż pan, wzamian za moję protekcją ofiarował mi wszystko, majątek swój i nazwisko. Panu to nawet na myśl nie przyszło!

Margrabia, oszołomiony temi ostatnimi wyrazami, powściągnął, jak mógł, najstraszniejszy gniew przeciw hrabiemu, przez którego, zdawało mu się, że powtórnie jest oszukany, i nie rzekł ani słowa.

— A! pan się namyślasz! — zawołała z gorzkim uśmiechem.

— Pani — odrzekł młody człowiek — twoje wahania się usprawiedliwiają mój namysł!

— Panie, wyjdźmy stąd! — wykrzyknęła panna de Verneuil, spostrzegając za drzwiami koniec trenu sukni pani du Gua.

I podniosła się, ale chęć przyprowadzenia swęj rywalki do rozpaczy wstrzymała ją jeszcze.

— Więc chcesz mnie pani do piekieł strącić! — mówił margrabia, biorąc ją za rękę.

— Wszakże pan mnie samę w nich trzymasz już od dni pięciu! I w tój chwili oto czyż nie pogrążasz mnie w najstraszniejszej niepewności o śmierć twego uczucia?

— Alboż wiem, czy pani nie posuniesz tak daleko swęj zemsty, ażeby osiąść życie moje i zniszczyć je, co by było większą zemstą, aniżeli żądać mojęj śmierci...

— Ach! już teraz rozumiem! pan mnie nie kochasz! Myślisz o sobie, a nie o mnie! — wykrzyknęła z wściekłością i kilka łez zwilżyło jęj oczy.

— No! to bierz moje życie, a osusz łzy swoje!

— O! to jest miłość! — wykrzyknęła głosem stłumionym — oto spojrzenie i akcent, jakiego oczekiwałam, aby przełożyć twoje szczęście nad moje! Ale, panie — mówiła dalej — proszę cię o jeden jeszcze i ostatni dowód tęj, tak niby wielkięj dla mnie czułości. Nie chcę pozostać tu dłużej, jak tylko tyle, ile będzie potrzeba do przekonania wszystkich, że moim jesteś. Nie przyjmę nawet szklan-ki wody w domu, w którym gospodynią jest kobieta, co już dwa razy chciała mnie zabić, co i teraz knuje pewno zdradę jakąś przeciw nam, bo oto podsłuchuje nas w tęj chwili — dodała, pokazując margrabiemu koniec pantofelka pani du Gua, zza drzwi wyglądający.

Potém otarła łzy, pochyliła się do ucha wodza, który zadrżał od tego dotknięcia, i rzekła :

— Przygotuj wszystko do naszego wyjazdu — rzekła — odprowadzisz mnie do Fougères i tam dopiero się dowiesz, czy cię kocham. Po raz drugi oddają się pod twoję opiekę z całą ufnością; pomyśl, czy ty po raz drugi zaufać mi zechcesz?

— Ach! Maryo, doprowadziłaś mnie już do tego, że nie wiem sam, co robię! Upajają mnie twoje słowa, twe spojrzenia, ty sama i gotów jestem czynić, co tylko rozkażesz!

— Jeżeli tak, to uczyn-że mnie na chwilę bardzo szczęśliwą! Daj mi zakosztować tryumfu, jakiego pragnęłam. Chcę pełną pier-sią odetchnąć życiem, o którém marzyłam; chcę się nasycić memi iluzjami, zanim się rozproszą. Chodź, tańcz ze mną!

Powrócili razem do sali balowęj, a chociaż panna de Verneuil była tak w uczuciach serca swojego i w swęj próżności zadowolnioną, jak tylko zadowolnioną być może kobieta, to jednak nieprzenikniona słodycz jęj oczu, uśmiech łagodny ust jęj cudownych i szybkość ruchów ożywionego tańca stały na straży tajemnicom jęj myśli, jak jednolita powierzchnia wód dochowywa tajemnicy zbrodnia-rza, który w nią rzucił martwe zwłoki swęj ofiary. Niemniej jednak całe zgromadzenie wydało okrzyk zdziwienia, gdy w objęciach swe-

go kochanka przebiegała, walcząc, salę. Oboje zachwyceni sobą, z oczyma nawzajem w siebie wpojonemi, rozkosznie z sobą spleceni, sunęli przez salę, przyciskając się do siebie namiętnie i okazując w ten sposób, jak wielkich obiecywali sobie zażyć rozkoszy w ścisłych jeszcze związkach.

— Hrabio — zawołała pani du Gua, zwracając się do pana de Bauran — idź, dowiedz się, czy Pile-Miche jest w oberży, i przyprowadź mi go, a bądź pewien, że za tę małą przysługę będziesz mógł otrzymać ode mnie wszystko, co zechcesz, nawet moją rękę! Zemsta moja drogo mnie będzie kosztowała — dodała, patrząc za odchodzącym — ale tym razem nie wypuszczę ję z rąk!

W kilka minut później panna de Verneuil i margrabia siedzieli w głębi karety, zaprzężonej w cztery rosłe i silne konie. Widząc tych dwoje, jak ję się zdawało, najzaciętszych nieprzyjaciół, trzymających się za ręce i miłosnie w siebie zapastrzonych, Fanszeta stanęła oniemiała ze zdumienia, nie śmiejąc zapytać swęj pani, czy to była miłość, czy zdrada. Dzięki ciszy i ceniom nocy, margrabia de Montauran nie mógł zauważyć niepokoju panny de Verneuil w miarę zbliżania się do Fougères. Gdy słabe blaski poranka dojrzyć pozwoliły w dali wieżę kościoła s. Leonarda, Marya pomyślała:

— Teraz nadeszła godzina méj śmierci!

U pierwszego wzgórka kochankowie mieli jednocześnie wspólną myśl. Wysiedli z powozu i piechotą weszli na wzgórze, jakby dla przypomnienia sobie pierwszego swego spotkania. Marya, wzięwszy ramię margrabiego, podziękowała mu słodkim uśmiechem zato, że w drodze uszanował ję zadumę. Potém, dochodząc do drugiego stopnia płaskowzgórza, z którego Fougères było już widoczném jak na dłoni, nagle jakby oprzytomniała.

— Nie idź dalej, margrabio — zawołała — moc moja nie wybawi cię dziś już z rąk Błękitnych!

Montauran spojrział na nią zdumiony. Ona uśmiechnęła się smutnie, wskazała mu palcem odłám skały, rozkazując mu, aby usiadł, a sama stanęła przed nim w postawie pełnéj melancholii. Rozdzierające wzruszenia, jakich dusza ję doznała w tak krótkim czasie i jakich w téj chwili była pastwą, nie pozwoliły Maryi rozwinąć całej sztuki zalotności, którą tak szafowała. W téj chwili byłaby klękała na rozpalonych węglach i nie poczułaby bólu, jak przed paru godzinami nie czuł bólu margrabia, gdy pochwycił rozpaloną głownią, aby tém dać miarę swęj namiętności ku nięj.

Przez chwilę patrzyła na kochanka swego wzrokiem, w którym malowała się boleść niewypowiedziana, nareszcie, przerywając milczenie, rzekła doń te straszne wyrazy:

— Wszystko, o coś mnie pan podejrzywał, panie margrabio, jest prawdą!

Margrabia chciał odpowiedzieć, lecz ona powstrzymała go gestem.

— Na litość! — zawołała, składając ręce jak do modlitwy — wysłuchaj tego, co ci mam powiedzieć, i nie przerywaj mi! Jestem w istocie — mówiła dalej — córką księcia de Verneuil, ale córką naturalną. Matka moja, panna de Casteran, zostawszy zakonnicą dla uniknięcia mąk, jakie ją czekały w domu rodzinnym, odpokutowała swój błąd piętnastoma laty łez i umarła w Séez. Dopiero na łożu śmierci, będąc już przełożoną klasztoru, ukochana matka moja błagała za mną człowieka, który ją opuścił, wiedziała bowiem, że pozostawia mnie bez przyjaciół, bez majątku, bez przyszłości... Człowiek ten zapomniał zupełnie o dziecku swojem, które powierzone było dotąd opiece matki Fanszety. Niemniej jednak książę przyjął mnie chętnie i przyznał za swoją córkę, prawdopodobnie dlatego, że byłam piękną i że widział się we mnie odrodzonym. Książę był jednym z magnatów, którzy za czasów ostatniego panowania pokładali całą sławę swoją w tém, aby pokazać, jak można popełniać zbrodnie z wdziękiem i jak wdzięk ten może rozbrajać opinią. Nie dodam nic więcej. Był-to mój ojciec! Teraz pozwól, niech ci opowiem, w jaki sposób pobyt mój w Paryżu musiał bezwarunkowo skalnąć duszę moją. Towarzystwo księcia de Verneuil i to, w które mnie wprowadził, było przesyczone zasadami téj filozofii, której podstawą jest ironia i wyszydzanie wszystkiego, a która entuzjazmowała całą Francją, dając każdemu łatwe pole do okazania swego dowcipu. Świetne i pełne owego dowcipu rozmowy pieściły ucho moje, dając umysłowi pokarm niezdrowy w postaci złośliwej wzgardy wszystkiego, co było religią i prawdą. Mężczyźni, szydząc z uczuć, naśladowali ich pozory tém lepiej, im mniej czuli, i podbijali serca kobiet tyle epigramatycznymi wyrażeniami, ile lakonizmem i ostrzem żartów. Często też grzeszyli zbytkiem dowcipu, czyniąc z miłości sztukę raczej, niż zadowolenienie potrzeby serca. Ja sama słabo opierałam się temu prądowi. Mimo to jednak, przebac mi, margrabio, tę zarozumiałość, dusza moja dosyć była namiętną i gorącą, aby odczuć mogła i zrozumieć, że dowcip ów i złośliwość wysusza serca wszystkich, ale życie, które wówczas prowadziłam, przywiodło do tego, że w sercu mojem zawrzała walka pomiędzy porywami uczucia i zdrożnemi nawyknięciami, których nabyłam. Kilku ludzi, istotnie wyższych umysłowo, z upodobaniem rozwijało we mnie tę swobodę myślenia i pogardę opinii publicznej, która odziera kobietę z téj skromności ducha, bez jakiejś traci ona cały swój urok. Niestety! nieszczęście nie zdołało zniszczyć we mnie wad, nabytych

w dostatkach. Ojciec mój — ciągnęła dalej, westchnawszy — księżę de Verneuil, umarł, przyznawszy mnie i uposażywszy testamentem, który znacznie zmniejszył majątek mego brata, a jego syna, ale syna prawego. Pewnego pięknego poranku znalazłam się bez dachu i bez protektora. Brat mój bowiem zakwestyonował ostatnią wolę ojca, która mnie czyniła bogatą i niezależną. Trzy lata, przebyte w zbytkach i bogactwie, rozwinęły we mnie uczucie próżności. Zadawałnając wszystkie moje fantazy, ojciec stworzył we mnie potrzeby zbytku i przyzwyczajenia, których niebezpieczeństw młoda i naiwna dusza moja nie rozumiała. Przyjaciół ojca mego, marszałek księżę de Lenoncourt, starzec siedemdziesięcioletni, ofiarował się być moim opiekunem. Przyjęłam tę ofiarę i znalazłam się w kilka dni po rozpoczęciu tego ohydneho procesu w świetnie urządzonego domu, w którym używałam wszystkich wygod, jakich pozbawiało mnie okrucieństwo mego brata. Co wieczór stary marszałek spędzał przy mnie po kilka godzin, podczas których nie szczędził mi słów pociechy i czułości. Siwe jego włosy i wszystkie dowody prawdziwie ojcowskiego przywiązania, jakie mi dawał, usposabiały mnie do złożenia w jego sercu wybujałych uczuć moich i z pewną rozkoszą nazywałam się jego córką. Przyjmowałam bez skrupułu stroje i kosztowności, jakie mi ofiarowywał, i nie krępowałam się wobec niego z objawem moich pragnień i kaprysów, które wszystkie spełniał, zdając się szukać szczęścia w ich zadowoleniu. Pewnego wieczora dowiedziałam się, że cały Paryż uważa mnie za kochankę księcia marszałka. Dowiedziono mi, że było nad siły moje odzyskać niewinność, której mnie świat cały z taką zaciętością pozbawiał. Człowiek, który nadużył mego niedoświadczenia, kochankiem moim być nie mógł, a małżonkiem nie chciał. Objaśniona tak okrutnie o położeniu swojem w opinii powszechnej, zażądałam, aby, dając mi swoje życie, w ten jedynie możliwy sposób ocalił mój honor. Księżę w wilią dnia, w którym spełnić się miało to małżeństwo, zbiegł do Koblencji. Ze wstydem wypędzoną zostałam z domu, w którym mnie marszałek umieścił, a który, jak się okazało, nie był jego własnością!.. Dotąd wyznałam ci prawdę szczerze i otwarcie, jakbym wyznawała ją przed Bogiem, lecz teraz nie pytaj nieszczerliwej o rachunek z cierpień, zagrzebanych w jej pamięci. Pewnego dnia znalazłam się żoną Dantona. W kilka dni później huragan podciął dąb olbrzymi, około którego oplotłam moje ramiona. Widząc się raz jeszcze pogrążoną w najgłębszej i najstraszniejszej nędzy, postanowiłam umrzeć. Nie wiem, czy przywiązanie do życia, czy nadzieja zmęczenia zawistnego losu i znalezienia w tej przepaści bezdennej szczęścia, które ode mnie uciekało, była moją doradczynią, czy też skłoniły mnie do zaniechania zamiarów samobójczych

przedstawienia pewnego młodego człowieka z Vendome, który od dwóch lat, jak wąż do drzewa, przyczepił się do mnie z tą myślą, że ostatnia bięda i nieszczęście skłoni mnie, abym mu się oddała. Wreszcie nie wiem nawet, jak się to stało, że przyjąłem na siebie tę niecną misję, która mnie za trzykroć sto tysięcy franków zobowiązywała do wzbudzenia miłości w nieznanym, którego wydać miałam w ręce jego nieprzyjaciół. Zobaczyłam cię, margrabio, i nie znając, poznałam cię od razu tym przecuciem serca, które nas nigdy nie myli. Pragnęłam wątpić, gdyż im cię bardziej kochałam, tym rzeczywistość była mi straszniejszą. Ratując cię z rąk Hulota, wyrzekłam się mej roli, postanawiając oszukać katów, zamiast oszukiwać ich ofiarę. Złe czyniłam, drwiąc sobie tak z ludzi, z ich życia, z ich polityki i z siebie samęj, bez zastanowienia się, jak dziecko, biorąc tylko uczucia swoje w rachubę. Sądziłam, że jestem kochaną, i pozwoliłam wzejść i wzrosnąć nadziei rozpoczęcia nanowo mego życia. Ale wszystko, a może nawet i ja sama zdradziłam dawne me zboczenia z prostej drogi, gdyż bezwątpienia musiałeś pan sam powziąć nieufność do kobiety tak namiętnej, jak ja. Niestety! któż nie będzie miał litości i względu na miłość moję i z niej wynikające udawanie moje! Tak, margrabio, zdawało mi się, że obudziłam się ze strasznego snu, że budząc się, miałam lat szesnaście. Wszakżeż byłam w rodzinném mojem Alençon, gdzie tyle wspomnień uprzytomniało mi dzieciństwo moje, tak czyste i nieskalane! W szalonej prostocie śmiałam mniemać, że miłość wróci mi niewinność moję. Przez chwilę wierzyłam, że dziewicą jestem czystą, ponieważ jeszcze nie kochałam! Ale wczoraj wieczorem zdawało mi się, że w głosie twoim odczuwam prawdę twego uczucia i zadałam sobie pytanie: dlaczegoż mowa ma zwodzić? Wiedz-że teraz, panie margrabio — mówiła dalej głosem gardłowym, zdając się oczekiwać z dumą pogardy — wiesz dobrze, że jestem istotą upadłą, niegodną! Od tej chwili powracam do roli kobiety bez czci, zmęczona odgrywaniem roli kobiety, którą ty zwróciłeś ku wszystkim świętościom duszy i serca. Cnota mi cięży! Pogardzałabym tobą, gdybyś okazał tyle słabości, aby się ze mną ożenić. Byłoby-to głupstwem, które dopełnić może jakiś hrabia de Bauran, ale ty, panie, zostań godnym twęj wielkiej przyszłości i porzuć mnie bez żalu. Ładaczniczka, jaką jestem, byłaby zbyt wymagającą: kochałaby cię zupełnie inaczej, jak młode i naiwne dziewczę sercem nadziei pełnem, że zostanie twoją towarzyszką, uczyni cię wiecznie szczęśliwym, przyniesie ci zaszczyt sobą i stanie się szlachetną i wielką małżonką twoją. Taką czułam się przez chwilę i w tym uczuciu czerpałam odwagę wskrzeszenia mej natury, pełnej wad i kału, aby wzniesć między mną i tobą wieczną zapórę! Tej miłości poświęcam zaszczyty i bo-

gactwa. Duma, jaką mnie to poświęcenie przejmuję, podtrzyma mnie w nędzy i upadku, a los może sobie ze mną czynić, co mu się podoba. Nie wydam cię nigdy! Wracam do Paryża. Tam imię twoje będzie mi stanowić drugą istotę mnie samęj, a nieocenioną wartość, jaką téj drugiej odblask twój nada, pocieszy mnie we wszystkich moich smutkach. Co do ciebie, mężczyzną jesteś, zapominasz mnie. Żegnam cię!

Wyrzekłszy te słowa, puściła się w kierunku dolin ś. Sulpicyusza i znikła, zanim margrabia zdążył powstać, aby ją zatrzymać, ale gdy już jęj dojrzeć nie mógł, wróciła, i korzystając z wyłomów w skale, ukryła się w nich, a podniosłszy głowę, patrzyła za margrabią z ciekawością, w której widać było jakieś powątpiewanie. Montauran szedł, jakby nie wiedział, co czyni i gdzie idzie, jak człowiek bólem zgłębiony.

— Byłaby to słaba głowa i słabe serce! — mówiła do siebie, gdy znikł, oddalając się od nięj. — Czy mnie zrozumie?..

Potém nagle zwróciła się sama, wielkimi krokami dążąc do Fougères, jakby się obawiała, aby nie pogonił za nią do wrót miasta, w którym znalazłby śmierć niechybną.

— No, i cóż, Fanszeto, cóż mówił do ciebie? — spytała wiernęj swęj Bretonki, gdy się nareszcie spotkały.

— Niestety! Maryo, litość we mnie wzbudził. Wy, wielkie damy, zabijacie człowieka słowami, bez litości!

— Cóż uczynił, gdy cię spotkał?

— Czyż on mnie widział, Maryo! Ach! on ciebie kocha!

— Kocha mnie, albo nie kocha! — odpowiedziała — oto dwa przypuszczenia, pomiędzy którymi jest dla mnie też sama odległość, co między rajem i piekłem. Pomiedzy temi dwiema ostatecznościami niema tyle miejsca, żebym mogła stopę na niém oprzeć.

Tak spełniwszy przeznaczenie swoje, Marya oddać się mogła całej swęj boleści, a twarz jęj, dotąd ożywiona tylu różnemi uczuciami, zmieniła się tak raptownie, że po jednym dniu, podczas którego ciągle wahała się pomiędzy przeczuciem szczęścia i rozpaczą, straciła odrazu cały blask swęj piękności i całą świeżość, której zasadniczą cechą jest albo brak zupełny namiętności, albo upojenie rozkoszy.

Ciekawi poznać rezultat szalonego jęj przedsięwzięcia, Hulot i Korentyn przybyli odwiedzić Maryą zaraz prawie po jęj powrocie. Przyjęła ich z uśmiechem.

— No, i cóż? — rzekła do komendanta, widząc zafrasowaną jego fizyognomią, pełną pytającego wyrazu — lis powraca na wasz strzał i niezadługo odniesiecie świetne zwycięstwo!

— Cóż się stało? — zapytał niby obojętnie Korentyn, rzucając

na pannę de Verneuil jedno z tych skośnych spojrzeń, któremi tego rodzaju dyplomaci starają się myśł szpiegować.

— Nic dziwnego! — odpowiedziała — Gars więcej niż kiedykolwiek zakochany jest we mnie i zmusiłam go, aby mi towarzyszył aż do bram Fougères.

— Jak się zdaje, tu ustała moc wasza, obywatelko — rzekł Korentyn — i strach eks-szlachcica wobec śmierci większym jest aniżeli miłość, którą technie ku wam.

Panna de Verneuil rzuciła Korentynowi spojrzenie pełne wzgardy.

— Sądźcie go według siebie — odparła.

— Dlaczegoż nie przywieździecie go — rzekł nie zważając na to — aż do waszego mieszkania?

— Gdyby w istocie kochał mnie prawdziwie, komendancie — rzekła do Hulota rzucając mu spojrzenie pełne powabu i złośliwości — czyżbyście mieli mi bardzo za złe, gdybym go ocaliła wywodząc go po-za granicę Francyi.

Stary żołnierz szybko podsunął się ku niej i ujawszy jej rękę, podniósł ją do ust z zapalem, potem spojrzał na nią poważnie i rzekł głosem ponurym i smutnym:

— Zapominacie pani o moich dwóch przyjaciółach i o moich sześćdziesięciu trzech ludziach!

— Ach! komendancie — rzekła z całą naiwnością namiętności — to się nie może pisać na jego rachunek, został on wprowadzony w błąd przez nikczemną kobietę, kochankę generała Charette, która piłaby, jak mi się zdaje, z ochotą krew Błękitnych...

— No, Maryo — wtrącił Korentyn — nie żartuj z komendanta, on się jeszcze nie zna na twoich wybiegach.

— Milcz pan — zawołała — i wiedz, że dzień, w którym mi się zanadto nie podobasz nie będzie miał jutra dla ciebie!

— Widzę, pani — rzekł Hulot bez goryczy i cierpkości — że muszę się przygotować do walki.

— Nie jesteście dosyć silni po temu, kochany pułkowniku — rzekła. — Widziałam więcej niż sześć tysięcy ludzi w ich obozie pod Saint-James, a było to wojsko dobrze zbrojne, z artyleryą i z oficerami angielskimi. Ale ci wszyscy ludzie nic nie warci bez niego! Ja myślę tak jak Fouché — głowa jego to wszystko!

— A więc! — zapytał Korentyn zniecierpliwiony — kiedyż ją będziemy mieli?

— Nie wiem — odpowiedziała ze swobodą...

— Anglicy! — wykrzyknął z gniewem Hulot — Anglicy! tego mu tylko brakło, żeby skończonym być zbrodniarzem! Ach! zdrajco! ja tobie dam Anglików!...

— Jak się zdaje, obywatelu dyplomato — rzekł Hulot do Korentyna, gdy się znaleźli o kilka kroków poza jej drzwiami — dajecie się tej dziewczynie peryodycznie wyprowadzać w pole.

— Naturalne to jest, obywatelu komendancie — odparł Korentyn zamysłony — że ze wszystkiego, co nam powiedziała, wysłuchacie nic a nic nie zrozumieli. Wy wojskowi nie rozumiecie wcale, że są różne sposoby wojowania. Użyć zręcznie jakby sprężyn na korzyść państwa namiętności ludzkich, tak mężczyzn, jak kobiet, uregulować kombinację kółek w tej wielkiej maszynie, którą nazywamy rządem i wprządnąć w nią nieokielznane uczucia jakby w wóz rozszałałe konie — czyż-to nie znaczy tworzyć i jak Bóg stanąć między ludźmi i centrum świata?...

— Pozwolisz mi przecie przekładać moje rzemiosło nad twoje! — odparł sucho stary żołnierz. To też róbcie z waszemi kółkami i z waszą maszyną, co się wam podoba, ja nie znam innego zwierzchnika jak tylko ministra wojny, mam moje rozkazy i nie myślę czekać na was, ale wezmę się do dzieła z mojami zuchami, którzy się nie boją ognia i z przodu wezmę nieprzyjaciela, którego wy się z tyłu pochwycić staracie.

— O! możecie się przygotować do marszu, obywatelu — rzekł Korentyn. — Z tego, co ta dziewczyna swoim gadaniem dała mi do zrozumienia, jakkolwiek gadanie to wydawać się może niezrozumiałem, ja sądzę, że będziecie mieli z kim się potykać, a ja się postaram tymczasem o znalezienie wam sposobności spotkania się sam-na-sam z naczelnikiem tych zbójów!

— Jakże to uczynić zdołacie — zapytał Hulot stając i cofając się krok w tył, aby lepiej widzieć i słyszeć tę dziwną dlań figurę.

— Panna de Verneuil kocha Garsa — odparł Korentyn głosem ponurym — i być może jest przez niego kochaną! Margrabia, czerwona wstęgą, gwiazda na piersiach, przytęmiony młody i dowcipny a może jest nawet jeszcze bogaty jakim dziwnym sposobem? Ile to pokus! Byłaby zaprawdę głupia, gdyby się nie starała działać na swój rachunek i jeżeli może, wydać się za niego, zamiast go nam wydać! Teraz stara się nas czémś zająć, alem ja dojrzał w jej oczach jakąś niepewność. Kochankowie spotkają się gdzieś zapewne, a może już nawet spotkanie jest naznaczone. Jutro, bądź pewny, jak zająca schwycę go za słuchy! Do tej chwili był on tylko nieprzyjacielem Rzeczypospolitej, ale od chwil kilku został nieprzyjacielem moim osobistym; ci, którzy poważali się stanąć pomiędzy tą dziewczyną a mną, wszyscy zginęli na rusztowaniu!...

Kończąc te wyrazy, Korentyn wpadł w zadumę, która nie pozwoliła mu dojrzeć głębokiego wstępu, jaki wyrzył się na twarzy szlachetnego i lojalnego żołnierza w chwili, gdy odkrył i pojął głę-

bie tej intrygi i mechanizm sprężyn użytych przez Fouché'go. Hulot postanowił też przeszkadzać Korentynowi we wszystkiem, coby nie dążyło wprost i bezpośrednio do zapewnienia tryumfu rządowi i obiecał sobie w duchu dać nieprzyjaciółom Rzeczypospolitej możliwość padnięcia z honorem, na placu boju, nie zaś z rąk kata, którego ten zbir wyższej policyi z dumą nazywał się dostarczycielem.

— Gdyby Pierwszy Konsul mnie słyszał — rzekł, odwracając się tyłem do Korentyna — zostawiłby pewno tych podłych lisów do wykurzenia z jam arystokratów! Byliby to godni siebie nieprzyjaciele! Nam żołnierzom czego innego trzeba.

Korentyn spokojnie i zimno popatrzył za odchodzącym, po chwili dopiero uśmiech sardoniczny ukazując się na jego ustach, ujawnił zarozumiałość i ufność w siebie, tego Machiawela niższej kategorii.

— Daj takim zwierzętom trzy łokcie sukna niebieskiego — pomyślał — i przypasz im kawałek żelaza do boku, a już im się wydaje, że w polityce można ludzi zabijać tylko jednym sposobem!

Potem przechadzając się zwolna i mówił sam do siebie półgłosem:

— Tak! nareszcie nadeszła chwila, że ta istota będzie moją! Od lat pięciu krąg, który około niej jak księżyc około ziemi zataczam, ściśniał się stopniowo, teraz ją mam i z nią po szczeblach władzy dojdę tak wysoko, jak Fouché.

Pomyślał znowu chwilę i mówił dalej:

— Tak! gdy straci jedynego człowieka którego pokochała — boleść jej rzuci ją z duszą i ciałem w moje ramiona. Idzie już teraz tylko o to, aby czuwać dzień i noc dla podchwycenia jej tajemnicy.

W chwilę później, spostrzegacz dobry, dojrzałby bladą twarz tego potwornego człowieka przez szyby jednego z wyżej położonych domów, skąd mógł ściśle badać i nie przepuścić niespostrzeżonym nikogo, ktoby chciał wejść do miasta od strony szeregu domów równoległe bieżących ze ś-tym Leonardem. Z cierpliwością kota, wyczekującego myszy, Korentyn znalazł się na tém samém stanowisku i nazajutrz rano, baczny na każdy szelest i gotów poddać każdego przechodnia jaknajsurowszemu egzaminowi.

Dzień, który się zaczął, był dniem targowym. Chociaż w owym groźnym czasie wieśniacy z trudnością odważali się przybywać z produktami swemi do miasta, Korentyn dostrzegł rano jakiegoś młodego chłopaka o twarzy złowrogięj, okrytego skórą kozią, niosącego w ręku niewielki koszyk spleciony, kształtów zwykłych w Bretanni i kierującego swoje kroki wprost ku domkowi zajmo-

wanemu przez pannę de Verneuil, po kilkakrotném zbadaniu wzrokiem miejscowości, którą uznał za bezpieczną.

Korentyn zbiegł ze swego obserwatorium, z zamiarem oczekiwania na przybysza przy wyjściu, nagle jednak błysnęła w umyśle jego myśl, że gdyby zdołał zejść niespodziewanie Maryą, mógłby może pochwycić jedném spojrzeniem tajemnicę ukrytą w koszyku emisaryusza. Zresztą głos ogólny objaśniał go już, że niepodobna było prawie walczyć z powodzeniem przeciw niezgłębianym nigdy odpowiedziom Bretonów i Normandów.

— Galope-Chopine! — wykrzyknęła panna de Verneuil, spstrzegając Szuana, którego wprowadziła Fanszeta — i dodała głosem stłumionym: — Czyżbym w istocie była kochaną!?

Nieoczekiwana nadzieja rozlała świetne rumieńce po pięknych jej policzkach i napełniła radością jej serce. Galope-Chopine kolejno przyglądał się pani domu i Fanszecie, rzucając na tę ostatnią spojrzenie pełne nieufności. Jeden znak panny de Verneuil uspokoił go.

— Pani — rzekł — gdy przyjdzie godzina druga, *on* przyjdzie do mojej chaty i czekać was tam będzie.

Wzruszenie nie pozwoliło pannie de Verneuil dać innéj odpowiedzi, jak lekkie skinienie głowy, które jednak tak pełne było wyrazu, że najnieoświecwszy Samojed zrozumiałby jego znaczenie.

W téjże chwili odgłos kroków Korentyna rozległ się w salonie. Galope-Chopine nie zmieszał się ani trochę, gdy spojrzenie i dreszcz, jaki przebiegł pannę de Verneuil, ostrzegły go o niebezpieczeństwie i zanim jeszcze szpieg ukazał swą lisią postać, już Szuan podniósłszy głos zwyczajem wieśniaka bretońskiego mówił do Fanszety.

— Bo to widzi panienka co innego jest-to masło bretońskie, a co innego inne masła bretońskie! Chcesz panienka masła z Gibarry i dajesz tylko jedenaście su za funt? — To nie było po co po mnie posyłać! Toć to przecież dobre masło, to się nazywa masło — wołał odkrywając dwie oselki istotnie pięknego masła, ułożone w koszyku przez Barbettę. Trzeba być sprawiedliwym, panienko, krzywda ludzka bokiem wylazi! — dołoż-że susa na funciku!

Głos jego gruby nie zdradzał najmniejszego wzruszenia, a oczy zielone przyćmione wielkimi szpakowatemi już brwiami, wytrzymały bez bojaźni przenikliwy wzrok Korentyna.

— No, cicho bądź, krzykaczu jakis! Nie przyszedłeś ty tu sprzedawać masło! Ta pani w życiu swojém nie nigdy nie targowała! Rzemiosło, jakiemu się oddajesz, mój stary, skróci cię kiedyś o całą głowę! — A uderzając go przyjaźnie po ramieniu, Korentyn dodał: — Nie można być zarazem sługą Szuanów i sługą Błękitnych.

Galope-Chopine potrzebował całej swój przytomności umysłu, aby powstrzymać swoją wściekłość i nie odeprzeć oskarżenia, które w istocie skutkiem jego chciwości i skąpstwa, było uzasadnionem. Odpowiedział jednak spokojnie:

— Pan sobie ze mnie żartować myśli!

Korentyn odwrócił się od Szuana, ale składając ukłon pannie de Verneuil, której serce ścisnęło się, mógł go łatwo widzieć i badać wzrokiem w lustrze.

Galope-Chopine nie spodziewając się, żeby go szpieg mógł widzieć, nie patrząc na niego wzrokiem, zdawał się szukać rady u Fanszety, która wskazała mu drzwi mówiąc:

— No, chodźcie już ze mną, mój poczciewicz, jakoś się przecie porozumiemy o to masło!

Nic nie uszło uwagi Korentyna, ani gniew panny de Verneuil, który uśmiechem źle pokrywała, ani jej rumieniec, ani zmiana w jej fizyognomii, ani niepokój Szuana, ani gość Fanszety ukazującej drzwi! Korentyn wszystko dojrzał. Przekonany, że Galope-Chopine jest wysłańcem margrabiego, zatrzymał go za kudły skóry koziej w chwili, gdy ten już wychodził, a przyprowadziwszy go do okna i patrząc mu ostro w oczy zapytał:

— Gdzie to mieszkacie, mój przyjacielu? ja też potrzebuję masła.

— Dobry panie — odparł Szuan — całe Fougères zna drogę do mojej chaty, ja jestem, jakby to powiedzieć, z przeproszeniem?...

— Korentynie! — wykrzyknęła panna de Verneuil przerywając odpowiedź Szuana — cóż to za śmiałość cię napadła nachodzić mnie o tę godzinie! Zaledwie ubrana jestem. Daj pokój temu wieśniakowi, który nie rozumie twoich badań, tak jak ja nie rozumiem ich przyczyny. Idźcie już, mój człowieku!...

Galope-Chopine zdawał się chwilę ociągać z odejściem. Wahanie się to naturalne, czy też udane biednego wieśniaka, oszołomionego, jakby nie wiedział komu ma być posłuszny, poczęło w błąd wprowadzać Korentyna. Nareszcie Szuan zgnalony nakazującym gościem Maryi, oddalił się ciężkim krokiem. Panna de Verneuil i Korentyn pozostali sami patrząc na siebie nawzajem. Tym razem czysty i jasny wzrok Maryi nie zdołał znieść blasku pałających oczu tego człowieka. Pewność siebie, z jaką szpieg ten wszedł do jej mieszkania, wyraz twarzy, jakiego Marya jeszcze u niego nie widziała, dźwięk matowy głosu zwykle drżącego; wszystko ją przerażało. Zrozumiała, że walka jakaś ukryta rozpoczyna się pomiędzy niemi i że on roztacza przeciw niej całą moc swego podziemnego wpływu, ale jeśli w tej stanowczej chwili miała jasne i zupełne pojęcie o przepaści, w którą się rzucała, to jednocześnie

w miłości swęj czerpała siły, do otrząśnięcia się z obejmującego ją lodowatego zimna złowrogich przecuć.

— Korentynie — zawołała z uśmiechem udanej wesołości — spodziewam się, że pozwolisz mi się ubrać.

— Maryo — tak, pozwól mi nazywać cię po imieniu! Ty mnie nie znasz jeszcze! Posłuchaj mnie, człowiek, mniej nawet przewidujący niż ja, byłby już dojrzał miłość twoję dla margrabiego de Montauran. Ja-m ci kilkakrotnie już ofiarowywał serce moje i prosił cię o twoję rękę. Nie znajdujesz mnie godnym siebie, a może nawet i masz rację, ale jeżeli w istocie jesteś zbyt wysoko położona, zbyt piękną i zbyt wielką dla mnie, to ja się postaram ściągnąć cię do mego poziomu. Moje ambitne dążenia i moje przekonania nie wzbudziły w tobie szacunku dla mnie i pod tym względem jesteś w błędzie. Ludzie nie warcą są nawet tyle, ile ja ich cenię, to jest prawie nic. Ja z pewnością dosięgnę wysokiego stanowiska, którego zaszczyty pochlebią ci. Któż będzie w stanie kochać cię więcej, któżby się więcej poddał panowaniu twemu, jak nie człowiek, który cię kocha od lat pięciu! Jakkolwiek tém, co powiem, mogę się narazić na to, że poweźmiesz o mnie niekorzystną opinię, gdyż ty nie rozumiesz, aby można było przez nadmiar miłości wyrzec się osoby ubóstwianej, to jednak chcę ci dać miarę bezinteresowności, z jaką cię uwielbiam. Nie kiwaj tak cudowną twą główką. Jeżeli margrabia cię kocha, zaślub go, ale przede wszystkim przekonaj się o szczerości jego uczuć. Byłbym w rozpacz, gdybym cię widział zawiedzioną, gdyż twoje szczęście nad moje własne przekładam. Moje postanowienie może cię zadziwić, ale przypisz je wyłącznie rozsądkowi człowieka, który nie jest dość głupim, aby chciał posiadać kobietę mimo jej woli. To też nie ciebie, tylko siebie samego obwiniam o bezskuteczność moich starań. Miałem nadzieję zdobyć serce twoje poświęceniem i poddaniem się, gdyż oddawna, jak wiesz, staram się uczynić cię szczęśliwą według mojej myśli, aleś ty mnie niczem nagrodzić nie chciała.

— Cierpiałam pana przy sobie — rzekła dumnie.

— I dodaj przytém, że żałujesz i tego nawet.

— Czyż w samym wirze tej niecnęj sprawy, do której mnie wplątałeś, mam panu jeszcze dziękować...

— Proponując ci sprawę istotnie, dla umysłów bojaźliwych, nie będącą bez zarzutu — odrzekł zuchwale — miałem tylko dobrobyt twój na myśli. Co do mnie, jakkolwiek będzie, czy uda mi się, czy nie, zawsze będę umiał wyzyskać rezultat ostateczny na korzyść moich projektów. Gdybyś wyszła za Montaurana, byłbym zachwycony, gdybym mógł służyć z korzyścią sprawie Bourbonów w Paryżu, gdzie jestem członkiem klubu Olichy. Otóż okoliczność, która

by mnie uwzględniła wobec książąt, skłoniłaby mnie łatwo do opuszczenia interesów Rzeczypospolitej chyłcej się do upadku. Gienérał Bonaparte jest nazbyt zręcznym, aby nie zrozumiał, że nie może być sam jednocześnie w Niemczech, we Włoszech i tutaj, gdzie idee rewolucyjne upadają. Dokonał on przewrotu 18 brumaira jedynie dlatego, aby otrzymać od Bourbonów lepsze warunki przy handlu z niemi o Francję, jest-to bowiem człowiek bardzo dowcidny i wielce przewidujący, ale rzeczywiście politycy winni prześcignąć go na drodze, na którą się zwrócił. Zdradzać kraj swój jest-to jeden ze skrupułów, które my ludzie wyżsi pozostawiamy głupcom. Nie chcę przed tobą taić, że mam upoważnienie do zawiązania układów z naczelnikami Szuanów, jak również mam moc wydawać na nich wyroki. Fouché, mój protektor, jest człowiekiem myśli, oddawna gra on już podwójną rolę. Za czasów terroryzmu, był jednocześnie za Robespierrem i za Dantonem...

— Ktoregoście nikczemnie zdradzili — wtrąciła.

— To drobnostka — odpowiedział Korentyn — zginał, zapomnij o nim. No, teraz kiedy ja otworzyłem przed tobą serce, zechciej i ty mówić ze mną otwarcie. Nasz dowódca półbrygady, sprytniejszy jest, niż się wydaje, i jeżeli chcesz go wyprowadzić w pole i omylić jego czujność, to zaprawdę nie będę ci bezużytecznym. Pomyśl, że on to całą dolinę zaraził kontr-szuanami i z łatwością wasze spotkanie wykryje. Pozostając tu pod jego oczyma, jesteście na łasce jego policyi. Patrz, z jaką szybkością doszła go wiadomość, że Szuan ten przyszedł do ciebie! Przezorność jego wojskowa nauczy go, że wszelki, choćby najmniejszy ruch twój, wskaże mu i objaśni go o ruchach margrabiego, jeżeli margrabia cię kocha!?

Panna de Verneuil nigdy nie przypuszczała nawet możności tak słodkiego głosu u Korentyna, który zdawał się człowiekiem dobrej wiary i godnym zaufania. Serce biednej dziewczyny tak łatwo przejmowało się uczuciami szlachetnemi, że już-już miała wydać swą tajemnicę gadowi, który ją w swe zwoje oplatał. Na szczęście jednak przyszło ję na myśl, że dotąd żadnego nie miała dowodu szczerości tych słówek miódowych i żadnych sobie nie czyniła odtąd skrupułów w oszukiwaniu swego nadzorcy i szpiega.

— Tak jest, Korentynie — rzekła — odgadłeś. Tak, kocham margrabiego, ale on mnie nie kocha! przynajmniej tak mi się zdaje! To też spotkanie, jakie mi naznacza, wydaje mi się raczej zasadzką jakąś!

— Przecież — odparł Korentyn — mówiłaś nam wczoraj, że cię odprowadził aż do Fougères... Gdyby był chciał gwałtu jakiego się dopuścić, nie byłabyś tu dzisiaj.

— Ty masz serce twarde i spokojne, Korentynie. Ty możesz ze spokojem układać kombinację z wydarzeń życia ludzkiego, ale nie możesz obliczyć ludzkich namietności. To jest może przyczyną wstępu, jaki we mnie wzbudzasz. Jeżeli jesteś tak przewidującym, to postarajże się wytłumaczyć mi, dlaczego człowiek, którego, gwałt sobie zadając, opuściłam onegdaj wieczór, gdy mnie nie zatrzymywał, oczekuje mnie dziś z niecierpliwością na drodze do Mayenne, w domku Florigny, nad wieczorem...

Na te słowa, które zdawały się być mimowolnym wyjaśnieniem najtajniejszych myśli tej istoty namietnej i szczerzej, Korentyn zarumieniał się z radości, gdyż młody był jeszcze, ale jednocześnie rzucił na nią zpod oka jedno z tych spojrzeń przeszywających, które badają do głębi duszy człowieka. Naiwność panny de Verneuil tak dobrze była udaną, że oszukała szpiega, który odpowiedział również dobrze udaną dobroduszością:

— Może chcesz, żebym ci towarzyszył choćby zdala? Wezmę ze sobą kilku żołnierzy przebranych i będziemy gotowi na twoje rozkazy.

— I owszem — rzekła — ale przyrzecz mi na honor twój... o nie! w to zaklęcie nie wierzę! na zbawienie twoje!... i to nie! ty w Boga nie wierzysz! na twą duszę, ale ty może duszy nie masz. Jakąż pewność dać mi możesz twojej wierności!? A jednak ja ci zaufam i składam na twoje ręce więcej niż życie moje, bo miłość moją i moję zemstę!

Lekki uśmiech, który się przesunął po ustach Korentyna i oświecił na jedno mgnienie oka twarz jego nikczemną, dał poznać pannie de Verneuil niebezpieczeństwo, jakiego uniknęła. Zbir, którego nozdrza ścisnęły się zamiast się rozdymać, ujął rękę swjej ofiary, ucałował ją z oznakami głębokiego szacunku i wyszedł, oddając jej ukłon niepozbowiony pewnego wdzięku męskiego.

W trzy godziny po tej scenie, panna de Verneuil, która obawiała się powrotu Korentyna, wysunęła się ukradkiem przez bramę ś-go Leonarda i wybiegła na ścieżkę zwaną Nid-aux-Crocs, która prowadziła na dolinę rzeki Nançon. Zdawało jej się, że już jest zbawiona biegnąc po labiryncie ścieżek prowadzących do chaty Galope-Chopine'a, do której dążyła wesoło pędzona nadzieją znalezienia swego szczęścia i pragnieniem ocalenia kochanka od śmierci, która mu groziła. W tej samej chwili, Korentyn szukał po mieście komendanta.

Z trudnością poznał on Hulota znalazłszy go na placu broni, gdzie zajęty był przygotowaniami wojennymi. W istocie stary weteran uczynił poświęcenie, które ocenić nie będzie łatwo. Harcap jego był obcięty a wąsy ogolone, włosy zaś ułożone po książę-

mu, lekko pudrem były przypruszone. Na nogach miał trzewiki podkute i mundur swój niebieski, szpadę zamienił na skórę kozią, przepasaną pasem, za którym zatknięte były dwa pistolety, w rękę miał ciężki karabin. Tak uzbrojony odbywał przegląd dwóchset mieszkańców Fougères, których strój mógł omylić oko najwprawniejszego z Szuanów. Usposobienie wojenne tego miasteczka i charakter bretoński, rozwijały się i uwydatniały w tej scenie, która nie była nową. Tu i owdzie, matki i siostry podawały swoim synom lub braciom blaszanki z wódką, lub zapomniane pistolety. Kilku starców dopytywało się o liczbę i gatunek naboju tych żołnierzy gwardyi narodowej, poprzebieranych za kontrszuanów, a których wesołość i buta zdawały się znamionować raczej przygotowania do polowania, niżeli do niebezpiecznej wyprawy wojennej.

Dla nich spotkania Szuanów, w których Bretonowie z miast bili się przeciw Bretonom ze wsi, zdawały się zastępować turnieje rycerskie. Entuzjazm ten patryotyczny miał zresztą może za podstawę jakieś zyski w dobrach narodowych. Niemniej jednak dobrodziejstwo Rzeczypospolitej lepiej oceniane w oświecenijszych miastach, oraz pewna wrodzona Bretonom skłonność do wojennego rzemiosła, w znacznej części podżęgały ten zapal.

Hulot zachwycony przebiegał szeregi wypytyjąc o objaśnienia Gudina, na którego przeniósł całe uczucie przyjaźni, jakie miał niegdyś dla Merle'a i dla Gérarda. Wielka liczba mieszkańców przypatrywała się przygotowaniom do wyprawy, porównyując marsowe wejście swych krzykliwych współbiedaków z regularną i wyćwiczoną półbrygadą Hulota. Nieruchomi, w szeregi ustawieni Błękitni oczekiwali pod wodzą swoich oficerów rozkazów dowódcy, którego każdy z żołnierzy bacznie śledził oczami. Hulot z Gudinem przebiegał szeregi.

Dostawszy się nareszcie do starego komendanta półbrygady, Korentyn nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, na widok zmienionej twarzy Hulota. Wyglądał on jak portret, który nie jest podobny do oryginału.

— Cóż tam nowego, obywatelu komendancie? — zapytał Korentyn.

— Chodź z nami, weź skórę kozią i karabin na ramię, a dowiesz się coś nowego — odpowiedział komendant.

— O! ja nie jestem z Fougères — odparł Korentyn.

— To sami widzimy, obywatelu — rzekł Gudivin, a kilka osób z szeregu i z otoczenia wybuchnęło sardonicznym śmiechem.

— Czy myślicie — zapytał Korentyn — że niemożna służyć Francji inaczej jak tylko bagnietem?...

I odwrócił się od wysmiewających go, zapytując kobiety jakież o cel i przeznaczenie gotującej się wyprawy.

— Niestety, obywatelu, Szuanie są już we Florigny! Mówią, że jest ich więcej niż trzy tysiące i że idą prosto na Fougères.

— Florigny! — wykrzyknął blednąc Korentyn. — Więc spotkanie nie tam nastąpi! Czy-to to samo Florigny, które leży na drodze do Mayenne?

— Niema na świecie dwóch Florigny — odpowiedziała kobieta, wskazując ręką na drogę zakończoną wzgórzem Péleriny.

— Czy to margrabiego de Montauran tam szukać myślicie? — zapytał Korentyn komendanta.

— Rozumie się — odparł rubasznie Hulot.

— To go niema we Florigny — rzekł Korentyn. — Zwróć komendancie na punkt ten cały swój batalion i gwardyę narodową, ale zatrzymaj przy sobie kilku swoich kontrszuanów i czekaj mnie tutaj.

— Za sprytny jest, żeby miał oszaleć! — wykrzyknął Hulot, patrząc za oddalającym się śpiesznie Korentynem. — To prawdziwy król szpiegów!

W tej chwili Hulot dał swemu batalionowi rozkaz do wymarszu. Żołnierze republikańscy szli bez odgłosu bębna i w milczeniu wzdłuż przedmieścia wąską ścieżką prowadzącą ku drodze do Mayenne, kreśląc długą linię niebieską i czerwoną pomiędzy drzewami i domami. Przebrani za szuanów gwardziści narodowi szli za nimi, ale Hulot pozostał na placu z Gudinem i dwudziestoma najzręczniejszymi zuchami z miasta oczekując Korentyna, którego tajemnicza mina zaostrzyła jego ciekawość. Fanszeta sama oznajmiła o nieobecności panny de Verneuil przybiegłemu do drzwi jęj domu Korentynowi, który dążył natychmiast dalej szukać gdzieindziej śladów i celu tej podejrzanėj ucieczki.

Od żołnierza stojącego na straży u bramy ś-go Leonarda, dowiedział się, że piękna nieznajoma wyszła ścieżką przez Nid-aux-Crocs. Skombinowawszy od razu wszystko, Korentyn pobiegł na „Promenadę“ i na nieszczęście cały zdyszany przybył na czas jeszcze, aby dojrzyć w dali pannę de Verneuil. Jakkolwiek umyślnie, aby mniej być widoczną, Marya na tę wyprawę ubrała się w suknię zieloną i okrycie tegoż koloru, jednakże bezlistne płoty i biała kora brzoź ukryć jęj nie zdołały.

— A! — zawołał sam do siebie — masz iść do Florigny a schodzisz na dolinę Gibarry! Głupiec jestem, zem się dał oszukać! Ale cierpliwości, zobaczymy, czyje będzie na wierzchu!

Korentyn odgadując mniej więcej miejsce spotkania dwojga kochanków, przybiegł na plac w chwili, gdy Hulot zniecierpliwiony już miał wyruszyć dla połączenia się ze swojemi wojskami.

— Stój gienerale! — zawołał.

W jednej chwili, Korentyn wytłomaczył dowódcy brygady okoliczności, które jakkolwiek zawikłane, dawały jednak możność zrozumienia stanu rzeczy i Hulot, uderzony przebiegłością tego dyplomaty, schwycił go silnie za ramię.

— Do miliona piorunów! obywatelu Ciekawski, macie rację! Zbóje! Tamto fałszywy atak! Dwie kolumny ruchome, które wysłałem dla przetrząśnięcia okolicy pomiędzy gościńcami do Autray i do Vitre nie powróciły jeszcze. Znajdziemy więc we wsi posiłki, które nie będą dla nas bez pożytku; gdyż i Gars nie taki głupi, aby się puszczał sam i nie miał przy sobie kilku z tych przeklętych puszczyków.

— Gudin! — wołał dalej Hulot — biegnij ostrzedz kapitana Lebrun, że się musi beze mnie obejść we Florigny! Niech pobije tam kozie skórki! A ty wracaj jaknajprędzej. Znasz ścieżki, czekam cię więc tam u zbiegu! Pójdziemy wytropić byłego markiza, i pomścić zbrodnię spełnioną na naszych w Vivetiére. Niech go piorun trzaśnie, jak pędzi! — zawołał, widząc, że Gudin już zniknął na zakręcie drogi. — Toby dopiero Gérard był kochał tego chłopaka!

Za powrotem Gudin znalazł oddziałek Hulota powiększony przez kilku żołnierzy zebranych z różnych wart w różnych punktach miasta.

Komendant kazał Gudinowi wybrać dwunastu towarzyszków najlepiej wytresowanych w trudnym rzemiośle kontrszuaniów, polecił im wyjść bramą ś-go Leonarda i sunąć się wzdłuż stoku góry ś-go Sulpicyusza ku dolinie Couësson, na której znajdowała się chata Galope-Chopine'a; potem sam stanął na czele pozostałych wojsk i wyszedł przez bramę ś-go Sulpicyusza dla wydostania się na szczyt gór, gdzie według jego rachunku spodziewał się spotkać oddział pod wodzą podoficera Beau-Pied, którego to oddziału miał zamiar użyć do wzmocnienia kordonu straży, której poleconem było strzeżenie skał od przedmieścia ś-go Sulpicyusza, aż do Nid-aux-Crocs.

Korentyn, pewien, że złożył los naczelnika Szuanów w ręce najzaciętszych jego nieprzyjaciół, sam puścił się jaknajspieszniej na „Promenadę“, aby z tej wysokości lepiej objąć ogół cały rozporządzeń wojskowych Hulota. Niezadługo też dojrzał mały oddziałek Gudina wychodzący na dolinę Nançon i biegnący wzdłuż skał od strony wielkiej doliny Couësson, podczas gdy Hulot, idąc z drugiej strony wzdłuż wałów obronnych Fougères, przebywał niebezpieczne ścieżki, które prowadziły na wierzchołek góry ś-go Sulpicyusza.

Tak, oba wojska wyciągnęły się na dwóch liniach równoległych. Wszystkie drzewa i krzaki, pobielone szronem w bogate arabeski, rzucały na wie i pola białawy odbłask, który pozwalał lepiej widzieć, jak dwie linie szare, te dwa oddziały uzbrojone do walki. Przybywszy na przedmieście skaliste, Hulot wydzielił ze swego oddziału wszystkich żołnierzy ubranych w uniformy, a Korentyn dojrzał ich ustawiających się z rozkazu wytrawnego dowódcy, w linię wart ruchomych rozłożonych w pewnej od siebie odległości, z których pierwsza winna była łączyć się z oddziałem Gudina, a ostatnia z oddziałem Hulota, w sposób taki, aby żaden krzak nie mógł ujść przed bagnietami tych trzech linii posuwających się naprzód, w celu wytropienia Garsa, przez góry i pola.

— Cięty jest ten stary wilk — zawołał Korentyn tracąc z oczu ostatnie bagnety karabinów błyszczące między krzewami. — Gars jest stracony! Gdyby Marya była wydała tego przekłętego margrabiego, bylibyśmy, ja i ona, złączeni najsilniejszym związkiem, związkiem podłości... Ale mimo to wszystko, ona musi być moją!

Dwunastu młodych chłopców z Fougères, prowadzonych przez podporucznika Gudina, dotarło niezapowiedzianego do spadku, jaki tworzą skały ś-go Sulpicyusza, i spuszczało się już ku niższym pagórkom i ku dolinie Gibarry. Gudina, sam, opuszczając ubitą ścieżkę, przeskoczył pierwszy z płotów, jaki spotkał po drodze, a za nim pośpieszyło sześciu jego towarzyszy. Sześciu innych zwróciło się według jego rozkazów na pole naprawo, w celu poszukiwań z drugiej strony drogi. Gudina poprowadził szybko swoich w kierunku ku jabłoni. Na szelest spowodowany marszem sześciu kontrszuanów, których prowadził przez ten gąszcz krzewin niedorosłych, siedmiu czy ośmiu ludzi, na czele których znajdował się Beau-Pied, schowało się za kilka kasztanów rosnących na szczycie płotu bretońskiego pole to okalającego. Mimo białych odbłyśków szronu, które oświecały horyzont i mimo wywiczzonego wzroku, Fougèranie nie dostrzegli przeciwników swoich, którzy z drzew wał sobie uczynili.

— Cicho, oto oni — mówił do swoich Beau-Pied — który pierwszy wytknął głowę. — Wymęczyli nas zbroje, ale kiedy ich już mamy i kiedy sami nam na strzał wychodzą, baczność wiara! nie chybiać! Który chybi ten nie będzie wart zostać nawet papieskim żołnierzem!

Przenikliwy wzrok Gudina wreszcie jednak dojrzał lufy kilku karabinów wycelowane ku jego oddziałkowi, ale już było zapóźno. W téjże samej chwili rozległ się odgłos przez osiem gardzieli wydanego okrzyku: „Kto idzie!?” i jednocześnie padło osiem strzałów. Kule świsnęły ponad głowami kontrszuanów. Jeden z nich raniony został w ramię, drugi padł nieżywy. Pięciu pozostałych odpo-

wiedziało również wystrzałami, odpowiadając: „Swoi!“ Potem rzucili się szybko na nieprzyjaciół, chcąc nie dopuścić powtórnego nabicia wystrzelonych karabinów.

— Nie zdążyliśmy się porozumieć! — zawołał młody podporucznik, poznając nareszcie mundury swojej półbrigady. Postąpiliśmy jak prawdziwi Bretończycy, rozpoczęliśmy ogień wprzód, nim dowiedzieliśmy się, z kim mamy do czynienia!

Żołnierze a wraz z nimi i ich dowódca Beau-Pied opuścili ręce poznając Gudina.

— Do diabła! poruczniku, któżby się mógł nie omylić! W tych skórach kozich wyglądacie jak prawdziwi zbóje! — wykrzyknął Beau-Pied z boleścią.

— Nikt nie jest winien temu, co się stało, bo i wy nie wiedzieliście o wyprawie kontrszuanów! — Ale powiedzcież, coście zrobili? — pytał Gudin.

— Nic wielkiego! Gonimy za jakimś dziesiątkiem Szuanów, którzy się nam ciągle wymykają. Wijemy się jak szczury potrutel aż nareszcie, przeskakując ustawicznie te płoty i te polany pomęczaliśmy się strasznie, nogi strasznie ustały i spoczęliśmy chwilę tu za drzewami. Zdaje nam się, że zbóje ci muszą być teraz w pobliżu tej wielkiej chałupy, którą tam widzicie! O tam! skąd dym wychodzi!

— Dobrze! — zawołał Gudin. — A teraz wy — rzekł do żołnierzy zostających pod wodzą podoficera Beau-Pied — cofnijcie się pod skały ś-go Sulpicyusza, na przełaj przez pola i wesprzecie linię wart, którą tam komendant ulokował. Z nami nie możecie zostać, bo jesteście w mundurach. My zaś do stu bomb i kartaczy, musimy się nareszcie uporać z temi psami i zgnieść ich a z nimi razem i Garsa! Tam wam koledzy powiedzą więcej, bo nie mam czasu! Dalej! Marsz wprawo! a uważnie tam, żebyście znowu nie strzelali do naszych przebranych w kozie skórki. Dla wiadomości waszój powiem jeszcze, że kontrszuanów poznać możecie po krawatach. Noszą je, jak postronki, bez kokardy!

Gudin pozostawił rannego pod jabłonią, a z resztą puścił się dalej w drogę w kierunku chaty Galope-Chopine'a, którą mu wskazał Beau-Pied. Dym z komina jej się wydobywający służył mu za busołą.

Podczas gdy podporucznik wprowadzony został na trop Szuanów przez swoich żołnierzy, z którymi spotkanie mogło być o wiele smutniejszem, aniżeli na szczęście było w istocie, oddział, którym dowodził Hulot na swojej linii operacyjnej, osiągnął punktu równie wysoko położonego, jak ten, na którym znajdował się Gudin. Stary żołnierz na czele swego oddziału kontrszuanów, su-

nał się w milczeniu wzdłuż płotów z zapalem prawdziwie młodzień-
czym. Przeskakiwał przez łąny dosyć jeszcze lekko, rzucając
spojrzenia burych swych oczu na wszystkie wzgórza i nadsłuchując
jak strzelec najmniejszego szelestu. Na trzecim polu, na które wsko-
czył, spostrzegł kobietę około lat trzydziestu mającą, zajętą obrabia-
niem ziemi motyką, a która cała wpoł zgięta pracowała z odwagą
i zapalem, gdy tymczasem mały chłopczyna siedmio czy ośmioletni,
uzbrojony w sierp, strząsał szron z kilku większych krzewów wyro-
słych tu i owdzie, podcinał je i obcięte gałęzie na kupę składał.

Na hałas, jaki zrobił Hulot upadając ciężko na drugą stronę
przełazu, i chłopiec mały i jego matka podnieśli oboje głowy. Hul-
lot z łatwością mógł tę młodą kobietę wziąć za starą. Zmarszczki
od skroni przeorały czoło i skórę Bretonki aż do szyi; ubrana była
najdziwaczniej w świecie w zużytą skórę kozią, tak, że gdyby nie
spódnica z płótna żółkniętego i brudnego, która była jedyną ce-
chą jej charakterystyczną, Hulot nie byłby wiedział, do jakiej
płci należy istota, którą spostrzegł, sploty bowiem długich jej czar-
nych włosów ukryte były pod czepcem a raczej czapką z włóczki
czerwonej. Łachmany, któremi okryty był mały chłopiec, były tak
przezroczyste, że przeglądała przez nie spalona jego skóra.

— Słuchajno, stara — zapytał Hulot przytłumionym głosem,
zblizając się do owjej kobiety — gdzie jest Gars?

W tej chwili dwudziestu kontrszuanów przeskoczyło przełaz
w ślad za Hulotem.

— Ho ho! żeby znaleźć Garsa, trzeba, żebyście wrócili tam,
skądście przyszli, moi ludzie! — odparła kobieta rzucając na przy-
byłych spojrzenie pełne nieufności.

— Czy to ja cię się pytam o drogę na przedmieście Garsa pod
Fougères, babo stara! — odparł brutalnie Hulot. — Na Świętą
Annę z Auray gadaj, widziałas, którędy Gars przechodził?

— Nie wiem wcale, o czym mówić chcecie — odpowiedziała ko-
bieta nachylając się dla rozpoczęcia napowrót przerwanej pracy.

— Przekłeta czarownico! co, chcesz, żeby nas połknęli Błękitni,
którzy nam po piętach depcą? — wykrzyknął Hulot.

Na te słowa kobieta podniosła głowę i spojrzała znowu z nieuf-
nością na kontrszuanów odpowiadając im:

— Jakimże sposobem Błękitni gonić was mają, kiedy przed chwilą
widziałam ich ośmiu jak tamtędy dołem wracali ku Fougères.

— Pomyślał-by kto, że szelma baba chce nas ugryźć swoim no-
sem! — krzyknął Hulot. — Patrz! ot tam, widzisz?

I komendant pokazał jej palcem o jakie pięćdziesiąt kroków
w tył, trzy czy cztery warty, których kapelusze, niebieskie mundury
i karabiny łatwe były do rozpoznania.

— Więc chcesz, niegodziwa, pozwolić na to, aby Błękitni wytłukli tych, których przysłała Marche-a-Terre w pomoc Garsowi, aby go w Fougères nie pochwycili — mówił dalej Hulot.

— Przepraszam was — rzekła wreszcie kobieta — ale to się tak łatwo teraz omylić! Z jakiejże jesteście parafii? — spytała.

— Z Saint-Georges — wykrzyknęło dwóch czy trzech czystym bretońskim akcentem — i z głodu zdychamy.

— No, kiedy tak — odpowiedziała kobieta — to patrzcie, oto tam, gdzie się z komina dymi, widzicie? — tam moja chata. Idźcie temi ścieżynami a dostaniecie się tam prędko. Spotkacie może po drodze mego chłopca. Galope-Chopine musi tam gdzie czatować, aby ostrzedz Garsa w potrzebie. Mówię wam tyle, kiedy już wiecie — dodała z dumą — że Gars dziś ma być w naszej chacie!

— Dziękuję, dobra kobieto — odpowiedział Hulot — a wy, naprzód! Czegóż jeszcze stoicie u dyabła? Naprzód! do pioruna! już go mamy.

Komendant naprzód a za nim żołnierze puscili się krokiem przyspieszonym we wskazanym kierunku.

Usłyszawszy klątwy wcale nie katolickie tych niby Szuanów, żona Galope-Chopine'a zbladła. Spojrzała na kamasze biegnących żołnierzy i na ich skóry kozie i usiadła albo raczej upadła na ziemię, a obejmując syna swego i ściskając go, zawołała: — Niech święta Anna z Auray i wszyscy święci i błogosławieni nas ratują teraz! Nie zdaje mi się, żeby to byli nasi ludzie, trzewiki ich nie są podkute. Biegnij żywo tą tutaj drogą, dołem, i ostrzeż ojca, idzie tu o jego życie, biegnij prędko — wołała — a chłopiec jak jelen posunął przez krzewy i krzaki.

Panna de Verneuil tymczasem nikogo w drodze nie spotkała, ani Błękitnych ani Szuanów, którzy polowali na siebie wzajem, w labiryncie pól i zagród otaczających chatę Galope-Chopine'a. Spostrzegając kolumnę dymu niebieskiego, wznoszącą się ku górze z nawpół rozwalonego komina smutnej tej lepianki, przycisnąć musiała rękę do serca, którego gwałtowne drgnienia piers jęj rozsaadzały. Stała, oparła się ręką o gałąź i utkwiała oczy w dym ten, który miał być sygnałem tak dla przyjaciół jak i dla nieprzyjaciół młodego wodza. Nigdy jeszcze nie doznała tak silnego wzruszenia.

— Ach! ja go zanadto kocham — rzekła sama do siebie — z pewnym rodzajem rozpacz. Dziś może nie zdołam zapanować nad sobą!

Jednym skokiem prawie przebyła przestrzeń dzielącą ją od zagrody i wbiegła na podwórze, którego błoto i kał stwardniały od mrozu. Wielki pies wybiegł jak za pierwszym razem naprzeciw

niej szczełając, ale na jeden wyraz wyrzeczony przez Galope-Chopine'a pokręcił tylko ogonem i umilkł.

Wchodząc do chaty, panna de Verneuil jednym rzutem oka objęła wszystkie zakątki izby. Margrabiego nie było jeszcze. Marya uczuła się swobodniejszą. Z przyjemnością dostrzegła, że Szuan dołożył wszelkich sił, ażeby wedle sił oczyścić jedyną izbę swojej budy.

Galope-Chopine pochwyciwszy swój karabin, ukłonił się jej grzecznie i wyszedł zabierając ze sobą psa. Poszła za nim aż do drzwi i widziała, jak bez namysłu zwrócił się naprawo do chaty ścieżką, którą zamykało drzewo spróchniałe i przełaz prawie zwalony. Z tego punktu mogła widzieć cały szereg pól. Nagość drzew i płotów żywych pozwalała widzieć daleko i zauważyć wszelkie załomy dróg i drożyn, każdy wzgórek, nasyp i dolinkę.

Gdy nareszcie zniknął szeroki kapelusze Galope-Chopine'a, panna de Verneuil odwróciła się wlewo chcąc zobaczyć kościół w Fougères, ale bróg przy chacie stojący zasłaniał go zupełnie. Rzuciła potem okiem na dolinę Couësson, która przedstawiała się jak wielki obrus muślinowy, którego białosć bardziej jeszcze uwydatniała się pod niebem szarém, pełném chmur, śniegiem brzemiennych. Był-to jeden z tych dni, w których natura wydaje się niemą i w których wszelkie odgłosy pochłania atmosfera. To téż chociaż Błękitni i kontrszuwanie szli polem wyciągnięci w trzy linie tworzące trójkąt, ściskający się w miarę zbliżania się do chaty, cisza była tak głęboka, że panna de Verneuil czuła się jeszcze bardziej wzruszoną dziwném otoczeniem, które z niepokojem jej łączyło jakiś smutek, że tak powiemy, fizyczny. Powietrze tchnęło nieszczęściem.

Nakoniec w punkcie, kędy niewielka kępa większych drzew zamykała szereg przełazów i zasłaniała dalszy widok, spostrzegła młodego człowieka przesadzającego płoty ze zręcznością wiewiórki i biegnącego z szybkością zdumiewającą.

— To on! — pomyślała.

Ubrany jak każdy Szuan, Gars miał na kozięj skórze przewieszony przez plecy ciężki karabin i tylko po wdzięku i gracyi ruchów poznać go było można.

Maryś cofnęła się do wnętrza chaty pod wpływem jednego z tych instynktowych i niewyrozumowanych uczuć, do jakich należy bojaźń. W chwilę później młody wódz stał obok niej o dwa kroki od kominka, na którym palił się jasny i ożywiony płomień.

Oboje stali przez chwilę w milczeniu, nie śmiejąc wydać głosu, poruszyć się lub spojrzeć na siebie. Jedna łączyła ich nadzieja,

jedna i ta sama wątpliwość ich dzieliła... Był-to śmiertelny niepokój, była to rozkosz prawdziwa!

— Panie — odezwała się na koniec panna de Verneuil głosem drżącym ze wzruszenia — jedynie troska o bezpieczeństwo pańskie przyprowadziła mnie tutaj.

— O moje bezpieczeństwo! — powtórzył z goryczą.

— Tak — odpowiedziała — dopóki ja pozostanę w Fougères, życie pańskie jest narażone, a ja kocham cię za dużo, żebym nie miała dziś jeszcze opuścić tych stron. Nie szukajże mnie pan tu więcej.

— Odjedziesz, mój aniele!? — ja za tobą podążę.

— Za mną podążysz! To niemożliwe! A Błękitni?

— Maryo droga! cóż jest wspólnego między miłością naszą a Błękitniami?

— Mnie się zdaje, że niepodobna, abyś został we Francji wraz ze mną, i jeszcze bardziej niepodobna, żebyś opuścił Francję wraz ze mną.

— Czy może być coś niemożliwego dla tego, który kocha silnie!

— Ach tak! to prawda i mnie się zdaje, że z tym warunkiem wszystko jest możliwe! Wszakże i ja zrzekłam się ciebie przez miłość dla ciebie!

— Jakto!? niegdyś oddałeś się niecnemu starcowi, którego nie kochałeś, a dziś wzdragasz się uszczęśliwić człowieka, który cię uwielbia, którego życie-bys wypełniła i który przysięga, że tylko ciebie kochać będzie w życiu? Słuchaj, Maryo, powiedz, kochasz mnie?

— Kocham — odpowiedziała.

— A więc, bądź moją!

— Czyś zapomniał, że powróciłam do roli właściwej mi zresztą, niecnój i upadłej kobiety, i że nie ja twoją lecz ty moim możesz zostać! Jeżeli chcę uciec przed tobą, to dlatego, aby na twoję głowę nie spadła wzgarda, na jaką ja zasługiwać mogę. Gdyby nie ta obawa, może być...

— Ale jeżeli ja się niczego nie obawiam...

— A któż mnie upewni? Jestem nieufna i w mojem położeniu ktośby takim nie był?... Miłość, jaką wzbudzają istoty takie jak ja, nie jest trwałą, ale przynajmniej w zamian zato powinna być zupełną i taką, aby mogła wynagrodzić nam i dozwolić znieść z radością niesprawiedliwość ludzką. Cóżes uczynił dla mnie?... To, że mnie posiadać pragniesz!? Czy sądzisz, żeś się przezto podniósł o wiele wyżej ponad innych, którzy mnie widzieli i pragnęli? Czyś dla godziny rozkoszy zapomniał choćby na chwilę o swoich Szuanach i przestał troszczyć się o nich tak, jak ja w chwili, gdy wszystko dla mnie było stracone, porzuciłam myśl o Błękitnych, których

zamordowaliście!... A gdybym ci kazała porzucić wszystkie twoje plany i wszystkie nadzieje i zażądała, abys opuścił króla, który mnie drażni i który może śmiać się będzie z ciebie, gdy zginiesz za jego sprawę, podczas gdy ja umiałabym z świętym szacunkiem śmierci zginąć dla ciebie! Nakoniec gdybym zachciała, abys się poddał pierwszemu konsulowi, żebyśmy mogli razem wrócić do Paryża, gdybym wymogła, żebyśmy oboje wyjechali do Ameryki żyć tam oddaleni od świata, na którym wszystko jest marnością, wystawiając cię na próbę, czy mnie kochasz istotnie dla mnie samej, jak ja cię kocham w tej chwili? jednym słowem, gdybym chciała abys zamiast mnie podnosić ku sobie upadł wraz ze mną — cóżbys uczynił?

— Milcz, Maryo! nie bluźnij i nie czerń siebie samej! Biedne dziecko, ja cię odgadłem! Bądź pewna, że jeżeli pierwsze pragnienie moje wzrosło do rozmiarów namiętności, namiętność ta zmieniła się teraz w miłość bez granic! Ukochana duszo mojej duszy, jam cię poznał, ja wiem, żeś jest tak szlachetną jak twoje nazwisko, tak wielką jak piękną. Dość dawnem i starem jest moje szlachectwo i dosyć wielkim sam się czuję, abym cię mógł narzucić światu i ludziom! Czy to dlatego, że przeczuwam w tobie źródło rozkoszy niezmiernych i nierównanych, czy dlatego, że w duszy twój znajduję te drogocenne przymioty, które miłość moją ustalają i podnoszą — tego nie wiem, ale to wiem i tego jestem pewny, że miłość moja jest bez granic i bez ciebie żyć-bym już nie mógł! Tak, życie moje byłoby pełne goryczy i wstrętu, gdybys ty nie osładzała go swoją obecnością ciągle i zawsze przy mnie!...

— Jakto? zawsze przy tobie!

— O Maryo! więc nie chcesz odgadnąć myśli twojego Alfonsa!

— Ach! więc myślisz, że mi wiele pochlebisz ofiarując mi swoje nazwisko i rękę swoją! — zawołała z udaną wzdrgą wpatrując się pilnie w oczy margrabiego, aby każdą myśl jego w przelocie pochwycić. A wiesz-że ty, czy mnie będziesz kochał za sześć miesięcy? A wtedy jakaż będzie moja przyszłość?... Nie, nie! nigdy żona tylko kochanka może być pewna uczuć, jakie ję okazuje mężczyzna. Obowiązek, prawa, świat, ludzie, interesa familijne, są-to tylko słabi sprzymierzeńcy kobiety i jeżeli ję moc jest trwała, wtedy dopiero znajduje w nich ona źródło szczęścia i rozkoszy, pozwalających znieść z uśmiechem najstraszniejsze cierpienia. Zostać twoją żoną i myśleć ciągle, że kiedyś ciężarem ci będzie ten związek!... Nad tę obawę przekładałam miłość przelotną lecz prawdziwą, choćby nawet śmierć i nędza ją miały zakończyć. Tak mogłabym może lepiej niż każda inna być matką cnotliwą, żoną poświęcenia pełną, ale aby podtrzymać te uczucia w duszy kobiety, potrzeba, aby ją mężczyzna poślubił nie w przystępie szału namiętności. A zresz-

— tą, czyż ja jestem pewna, że mi się jutro podobasz jeszcze? Nie, nie chcę być przyczyną twego nieszczęścia! Opuszczam Bretanię — mówiła widząc w oczach jego wahanie się jakieś — powracam do Fougères, a tam mnie przecię ściagać nie będziesz...

— Słuchaj! — rzekł — pojutrze, jeżeli z samego rana zobaczysz dym wznoszący się ze skał ś-go Sulpicyusza, to wieczorem będę u ciebie, kochankiem, mężem, czém zechcesz będę!... Wszystko dla ciebie!

— Alfonsie! więc ty mnie kochasz naprawdę — zawołała w upojeniu szczęścia — kiedy tak życie swoje chcesz położyć dla mej miłości wprzód nawet, nim mnie to życie dać będziesz w stanie!

Nie odpowiedział nic, tylko spojrzał na nią a pod tym wzrokiem ona spuściła oczy, ale na twarzy jej mógł wyczytać szalą namietność równą temu, jaki jego samego ogarniał. Otworzył ramiona, Marya jakby magnesem przyciągnięta rzuciła się w jego objęcia, składając głowę na jego łonie zdecydowana na wszystko, gotowa oddać mu się i błędem tym okupić chwilę szczęścia, stawiając na kartę całą przyszłość, którą zwycięskie wyjście z tej ostatniej próby tém pewniejszą-by uczyniło. Zaledwie jednak głowa jej dotknęła ramienia kochanka, gdy nagle lekki szmer dał się słyszeć z zewnątrz. Wyrwała się z tych słodkich objęć jakby nagle obudzona i wybiegła na próg chaty. Wtedy ochłodziła nieco i mogła pomyśleć o swoim położeniu.

— Byłby mnie był posiadał i drwił ze mnie później może — pomyślała. Ach! gdyby tak było, zabiłabym go chyba!... Ale nie teraz jeszcze! — pomyślała z rozkoszą, gdy nagle spostrzegła podoficera Beau-Pied, któremu w Vivetiére życie uratowała. Dała mu znak, który biedny chłopiec zrozumiał doskonale i odwrócił się na piętach udając, jakby nic nie widział.

Panna de Verneuil tymczasem wróciła do chaty, dając znak margrabiemu położeniem palca na ustach, aby milczenie zachował.

— Są pode drzwiami! — szepnęła głucho.

— Kto taki?

— Błękitni!

— Ach! nie umrę przynajmniej, zanim...

— Wszystko dla ciebie, Alfonsie!

Pochwyił ją bezbronną i skostniałą z przerażenia w swoje objęcia i złożył na jej ustach pocałunek pełen zgrozy i rozkoszy, gdyż był pierwszy i mógł być zarazem ostatnim.

Potém oboje pobiegli na próg drzwi, wychylając głowę tak, aby mogli widzieć, nie będąc widziani. Margrabia spostrzegł tu Gudina na czele dwunastu ludzi zajmującego ścieżki poniżej leżące od strony doliny Couësnon. Zwrócił się ku stronie, od której przyszedł

przeskakując cały szereg żywopłotów, ale i tu pierwszy przełaz z grubego nadprochniałego pnia zrobiony, obsadzony był przez siedmiu żołnierzy. Szukając dalej drogi do ucieczki, wskoczył na beczkę jabłeczniku i wybił dziurę w skraju dachu chcąc wyskoczyć wprost na wzgórek ale natychmiast cofnął głowę, Hulot bowiem zajmował wzgórze i przecinał mu drogę ku Fougères. W tej chwili spojrzął na swoją kochankę, która wydała krzyk rozpaczny słysząc dokoła chaty stąpanie połączonych oddziałów wojsk niebieskich.

— Wyjdź pierwsza — rzekł — ty mnie ocalisz!

Usłyszawszy te słowa, najrozkoszniejsze, jakie usłyszeć mogła, stanęła uszczęśliwiona i dumna we drzwiach, [margrabia tymczasem nabijał swój karabinek.

Zmierzywszy jednym rzutem oka przestrzeń oddzielającą próg chaty od przełazu, Gars rzucił się na siedmiu żołnierzy broniących przejścia tego, oślepił ich wystrzałem i przebiegł między nimi. Wszystkie trzy oddziały zbiegły się natychmiast do miejsca, w którym wódz Szuanów płot przeskoczył i spostrzeżono go, jak pędził przez pole z szybkością nieźrównaną.

— Ognia! ognia do niego! do miliona piorunów ognia! Niech was milion dyabłów porwie! Strzelajcie przecież! — krzyknął Hulot wściekły ze złości.

Na ten rozkaz oddział jego i ludzie Gudina wystrzelili razem, ale na szczęście wzruszenie odebrało im celność strzału. Już margrabia dobiegał przełazu, który kończył pierwsze pole, ale w chwili gdy przeskakiwał płot, o mało schwytany nie został przez Gudina, który pędził tuż za nim z całą gwałtownością podnieconej miłości własnej. Słyszac tak niebezpiecznego nieprzyjaciela o parę piędzi po-za sobą Gars podwoił szybkość. Niemniej jednak Gudin i margrabia dopadli następnego przełazu prawie jednocześnie, ale Montauran widząc niebezpieczeństwo tak wielkie i tak bliskie rzucił karabinkiem tak celnie i tak silnie, że trafiony w głowę Gudin na chwilę obezprzytomniał.

Trudno wyobrazić sobie a tém bardziej opisać straszny niepokój Maryi, jak również oszołomienie Hulota i jego wojska. Wszyscy milczący, automatycznie i bezwiednie powtarzali ruchy i giesta obu biegnących. Gars i Gudin znowu prawie równocześnie dobiegli do kępy drzew zasłaniającej widnokrąg i posrebrzonej szronem, ale nagle officer republikański cofnąć się musiał i skryć za pień jabłoni z gaiku bowiem wysunęło się naraz ze dwudziestu Szuanów, którzy nie strzelali jedynie tylko dlatego, iż obawiali się, aby która z kul, źle skierowanych, nie raniła ich wodza. Skoro tylko Gars przebiegł ich linię, natychmiast padło dwadzieścia strzałów i dwadzieścia kul uwięzło w jabłoni, za którą ukrył się Gudin. Całe wojsko

republikańskie z Hulotem na czele puściło się galopem na pomoc Gudinowi, który cofał się przelatując z za jednej jabłoni ku drugiej, w chwilach gdy Szuanie broń nabijali. Niebezpieczeństwo jego nie trwało długo. Kontrszuanie zmieszani z Błękitnemi i z niemi razem Hulot wkrótce już byli w tém samém miejscu, gdzie Gars rzucił swój karabinek i tym sposobem się uratował. I Gudin też do tego miejsca powrócić zdołał. Szuanie cofnęli się.

W téjże chwili Gudin spostrzegł zdaleka przeciwnika swojego, odpoczywającego w dali pod jednym z drzew onego gajku. W zaciętości swój nie chcąc tak łatwo dać za wygraną pozostawił kolegów swoich odstrzeliwujących się Szuanom, którzy zdołali schronić się po-za płotem poprzecznym, sam zaś czołgając się prawie pod tym płotem, zaszedł im z boku i rzucił się całym pędem ku pagórkowi, na którym spoczywał margrabia. Spostrzegłszy ten manewr strzelcy królewscy jednogłośnie wydali z piersi swych okrzyk straszny, którym ostrzegli swego wodza o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Sami zaś po dosyć szczęśliwej pukaninie zza płotu rzucili się na kontrszuanów chcąc ich rozproszyć, ci jednak z heroiczną odwagą przedarłszy się przez płot, służący za wał ochronny królewczynom, krwawą zadali im klęskę.

Pobici Szuanie cofając się w bok zręcznym zwrotem, dostali się na drogę, która ciągnęła się wzdłuż pola, gdzie odbyła się walka, i zdążyli zająć wzgórze, które Hulot nieopatrznie opuścił. Zanim Błękitni zdążyli poznać, co się stało, Szuanie jak w warowni jakiejsz osadzili się pomiędzy skałami w rozpadlinach tworzących jakby grzebień na wyniosłości, skąd pod ochroną tychże skał mogli bezpiecznie stawić czoło żołnierzom Hulota, gdyby im przyszła odwaga stamtąd ich wyrugować.

Podczas gdy Hulot z kilkoma żołnierzami posunął się naprzód dla dania pomocy Gudinowi, mieszczanie z Fougères przebrani za kontrszuanów, rewidowali i obdzierali trupów poległych strzelców królewskich i dobijali rannych. W téj strasznej wojnie domowej, żadne ze stronnictw nie brało jeńców. Margrabia ocalony, główny cel wyprawy chybiony — oto rezultat dnia. Szuanie tylko i Błękitni poznali nawzajem siły swoje i pozycye, oraz przekonali się o beużyteczności dalszej na teraz walki i jak jedni tak drudzy myśleli tylko o odwrocie.

— Gdyby mi się udało pochwycić tego zucha — wykrzyknął Hulot oglądając się zpod oka na lasek — byłby to mój ostatni czyn wojenny!

— Ho! ho! — wołał jeden z ochotników z Fougères zajęty rabunkiem ciał poległych — oto jakiś ptaszek, co ma żółte piórka!

I pokazał towarzyszym sakwę pełną sztuk złota, którą znalazł w kieszeni grubego jakiegoś człowieka ubranego czarno.

— Ale co on tu ma więcej? — zawołał drugi wyciągając brewiarz z kieszeni zabitego.

— Oho! to prawdziwe szczęście! to ksiądz! — zawołał drugi rzucając brewiarz na ziemię.

— A to złodziej jakiś — mówił republikanin ograbiający innego trupa — okradł mnie, tylko dwie sztuki sześciofrankowe ma w kieszeni!

— Tak, ale ma pyszną parę trzewików — wołał inny żołnierz zdejmując mu je z nóg.

— Będziesz je miał, jak przy podziale ci się dostaną — odparł jeden z kontrszuanów wydzierając mu je z rąk i rzucając na kupę już zgromadzonych z rabunku rzeczy.

Czwarty zbierał pieniądze, aby je potem rozdzielić pomiędzy wszystkich członków wyprawy. Gdy Hulot powrócił razem z młodym oficerem, którego ostatnia przeciw Garsowi wyprawa była o tyle niebezpieczną o ile bezużyteczną, znalazł około dwudziestu żołnierzy i ze trzydziestu kontrszuanów zgromadzonych około jedynastu trupów odartych i porzuconych w wóz pod płotem.

— Żołnierze — wykrzyknął Hulot surowo — zabraniam wam należeć do podziału temi łachmanami. Do szeregu i marsz!

— Mój komendancie — rzekł jeden z żołnierzy, pokazując Hulotowi trzewiki, z których wszystkie pięć palców wyglądało — mniejsza już o pieniądze, ale to oto obuwie — dodał pokazując kolbę karabina parę trzewików podkutych — przydałoby mi się bardzo!

— Jakto! chcesz włożyć na nogi trzewiki angielskie! — zawołał Hulot.

— Obywatelu komendancie! — rzekł jeden z mieszczan z szacunkiem — od początku wojny przywykliśmy dzielić się zdobyczą.

— To też ja wam ciurom nie zabraniam trzymać się waszego zwyczaju — odparł szorstko Hulot przerywając mu.

— Słuchaj, chłopcze, masz tu oto sakiewkę a w niej trzy złote sztuki! Trudziłeś się i podarłeś obuwie, naczelnik twój nie będzie się gniewał, choć ją wezmiesz — rzekł jeden z oficerów do bosego żołnierza.

W tej chwili Gudin zbladł i zachwiał się na nogach.

— To sakiewka mego stryja! — zawołał.

Mimo strasznego znużenia w pogoni za Garsem, młody oficer podbiegł do kupy trupów a pierwsze martwe ciało, jakie ujrzał, było rzeczywiście ciałem księdza Gudina. Gdy ujrzał twarz tę

pooraną sinemi brózdami, ramiona zeszywniałe i otwarte, w piersiach ranę od kuli karabinowej, bolesny jęk wydał i wykrzyknął:

— Idźmy, komendancie!

Wojsko w mundurach niebieskich ruszyło ku Fougères. Hulot podtrzymywał młodego oficera prowadząc go pod ramię.

— Do pioruna!... To nie! — mówił stary żołnierz nie mogąc słów znaleźć na pocieszenie go.

— Nie żyje! — odpowiedział Gudin — zabity! To był jedyny mój krewny i mimo wszystkich klątw, jakie na mnie rzucał, kochał mnie jednak! Jak król powróci, cały kraj mojej zażąda głowy, ten oto pocziwiec byłby mnie ukrył pod swą sutanną.

— To głupiec dopiero! — mówili gwardziści pozostali przy podziale zdobyczy — ksiądz był bogaty, a że zginął nagłą śmiercią, to tem lepiej dla synowca, nie miał stary czasu pisać testamentu, którym byłby go pewno wydziedziczył!

Gdy już podział skuteczniono, kontrszuani dogonili batalion Błękitnych i nieco zdala po-za nimi ciągnęli ku miastu.

W chacie Galope-Chopine'a, gdzie życie płynęło tak swobodnie i bez troski, jakiś straszny zapanował niepokój. Ku wieczorowi Barbetta i mały jej chłopak, każde niosąc na plecach wiązkę suchych gałęzi i trochę trawy na karmę dla bydła, powrócili do chaty o godzinie, w której rodzina cała przywykła była zbierać się na kolacyą. Wszedłszy do chaty kobieta i dziecię na próżno poczęli szukać oczyma Galope-Chopine'a i nigdy jeszcze ta nędzna izba nie wydała im się tak wielką i tak pustą. Ognisko bez ognia, ciemność, cisza, wszystko zapowiadać im się zdawało nieszczęście jakieś. Gdy noc zapadła, Barbetta pośpieszyła zapalić ogień jasny i dwie t. zw. *oribus*, to jest świece z żywicy w wielkiem użyciu będące podówczas w całej Armoryce i aż po Loarę a także w prowincyi Vendomois poniżej miasta Amboise. Barbetta dokonywała tego wszystkiego z tą powolnością, jaka cechuje roboty nasze w chwili, gdy głębokie jakieś uczucie ponad wszystkiem zapanuje. Nasłuchiwała ona ciągle i za najmniejszym szelestem podnosiła głowę a omylona kilkakrotnie gwizdem szalejącego wiatru, kilkakrotnie wychodziła na próg nędznej chaty i wracała za każdym razem smutniejsza. Wyczyściła dwie miary, napelniła je jabłecznikiem i postawiła na wielkim stole orzechowym. Co moment oglądała się na swego syna, który stojąc pod kominem doglądał wypieku placuszków z tatarki, ale przemówić jakoś do niego nie mogła. Jedną chwilę oczy malca spoczęły na dwóch goździach, na których zwykle wisiał karabin jego ojca i gdy obaczył miejsce to puste, zadrżał chłopak i Barbettę dreszcz jakiś przeszedł. Ciszę przerywało tylko ryczenie krów i spadek peryodyczny kropel jabłeczniku z kranu

beczki. Biedna kobieta wzdychała przygotowując w trzech misach glinianych zupę z mleka, placuszków owych pokrajanych w drobne kawałki i kasztanów pieczonych.

— Bili się w polu, które należy do la Beraudiéra — rzekł chłopiec.

— Idź-no tam, zobacz — odpowiedziała matka.

Chłopak pobiegł, rozeznał przy świetle księżyca kupę trupów, nie znalazł pomiędzy niemi trupa swego ojca i powrócił pogwizdując wesoło. Po drodze podniósł parę sztuk pięciofrankowych zdeptanych przez zwycięsców i zapomnianych w błocie. Zastał on matkę siedzącą przy kominie i przędącą konopie. Wchodząc do izby uspokoił Barbettę znakiem przeczenia, ale i to nic nie pomogło, biedna kobieta nie śmiała uwierzyć w nic szczęśliwego, potem gdy dziesiąta godzina wybiła na wieży ś-go Leonarda, malec położył się spać odmówiwszy naprędce modlitwę do świętej Anny z Auray.

Nad ranem, Barbetta, która nie zdołała usnąć, z radością usłyszała nareszcie odgłos kroków. Uderzenia podkówek o skałę zbliżały się ku drzwiom chaty i wkrótce Galope-Chopine ukazał się w progu.

— Dzięki memu świętemu patronowi — rzekł — któremu obiecałem piękną świecę woskową, Gars uratowany! Pamiętaj, kobieto, że już teraz jesteśmy winni świętemu trzy gromnice.

Potem Galope-Chopine pochwycił jedną z miar cydru i wychylił ją duszkiem do dna, a gdy żona podała mu miszkę zupy, wzięła od niego karabin i posadziła go na ławie przy stole, rzekł przysuwając się do ognia.

— Ciekawość, jakim sposobem Błękitni i kontrszuwanie przyszli aż tutaj. Bitwa była pod Florigny, jakież więc dyabeł mógł im powiedzieć, że Gars jest u nas. Boć przecież nie wiedział o tém nikt, jeno on, jego piękna dziewczka i my!

Kobieta zbladła.

— Kontrszuwanie mnie oszukali, powiedzieli mi, że są z parafii Saint-Georges i że idą na pomoc Garsowi — odpowiedziała cała drżąca — i ja im powiedziałam, gdzie jest Gars.

Galope-Chopine zatrząsł się cały, zbladł, łyżka wypadła mu z ręki...

— Posłałam do ciebie chłopca naszego, żeby cię ostrzedz — mówiła dalej Barbetta jeszcze bardziej przestraszona — ale cię już nie spotkał.

Szuana wstał i uderzył tak silnie swoją żonę, że nieszczęśliwa blada jak trup padła na łóżko.

— Babo przeklęta, zabiłaś mnie! — zawołał. Ale w tej chwili

przerażony podbiegł ku niej — Barbetto — mówił łagodnie — Barbetto! Matko Boska! toć ja ją zabiłem teraz!

— Nie — odrzekła otwierając oczy — nie! Ale czy myślisz, że Marche-a-Terre dowie się o tém?

— Gars — odparł Szuan — kazał się wywiedzieć, skąd wyszła ta zdrada.

— Ale czy to Marche-a-Terre...

— Marche-a-Terre i Pille-Miche byli pod Florigny.

Kobieta odetchnęła swobodnie.

— Jeśli choć jeden włos spadnie z twojej głowy — wykrzyknęła — to ja im za to gorzko zapłacę.

— Już mi się jeść nie chce — rzekł smutno Galope-Chopine odsuwając misę.

Barbetta przysunęła mu drugą miarę jabłeczniku, ale nie zwróciła nawet na to uwagi. Biednej kobiecie łyzy się zakręciły w oczach i potoczyły po jej pomarszczonych policzkach.

— Słuchaj, kobieto — rzekł, trzeba jutro będzie rano nanosić chróstu na wprost ś-go Leonarda między skałami ś-go Sulpicyusza i zapalić tam ogień. Będzie to znak umówiony pomiędzy Garsem a starym proboszczem od ś-go Jerzego, który ma przyjść mszę mu odprawić.

— Jakto, więc Gars pójdzie do Fougères!?

— Tak, pójdzie do swojej dziewczki! Mam też dziś dużo latania z tego powodu! Jak mi się zdaje, on się z nią ożeni i uwiezie ją, bo mi kazał iść wynająć konie i rozstawić je na drodze do Saint-Malo.

To powiedziawszy Galope-Chopine znużony przespał się parę godzin i poszedł wypełnić rozkazy wodza. Nazajutrz rano załatawszy wszystko, co mu Gars rozkazał, powróciła, a dowiedziawszy się, że Marche-a-Terre i Pille-Miche nie zaglądali przez cały dzień do chaty, uspokoił się sam i rozproszył niepokoje swój żony tak, że prawie wesół poszła na skały ś-go Sulpicyusza, gdzie poprzedniego dnia naprzeciw ś-go Leonarda nanosiła chróstu i przygotowała stos. Idąc wzięła ze sobą chłopca, który w drewnianym trzewiku niósł ogień.

Zaledwie syn i matka znikli za węglem brogu, Galope usłyszał kroki dwóch ludzi przeskakujących ostatni z przełazów i spostrzegł przez gęstą mgłę dwa cienie niewyraźne sunące ku jego chacie.

— To Pille-Miche i Marche-a-Terre — pomyślał sobie i zadrżał.

Dwóch Szuanów ukazało w podwórzu ponure swe twarze, które pod wielkimi ich kapeluszami wyglądały jak figury, jakie widzimy na starych sztychach pejzażów.

— Dzień dobry, Galope-Chopine — rzekł poważnie Marche-a-Terre.

— Dzień dobry, panie Marche-a-Terre — odparł pokornie mąż Barbetty. — Wejdźcie, może wypijecie parę miar jabłeczniku? Mam także i placki świeże i masło, co je baba wczoraj zrobiła.

— I owszem, nie odmawiamy, kuzynie — rzekł Pille Miche.

Dwaj Szuanie weszli do chaty.

Początek taki nie miał w sobie nic przerażającego dla gospodarza, który też poszedł zaraz napełnić trzy miary, podczas gdy Marche-a-Terre i Pille-Miche zasiedli na ławach po obu stronach stołu, ukroili sobie po kawale placka i posmarowali je sobie grubo masłem tłustém i żółtawém, z trudnością pod nożem się uginającém. Galope-Chopine postawił na stole miary pełne jabłeczniku przed gośćmi i we trzech podjedli sobie dobrze, ale od czasu do czasu gospodarz rzucał zpod oka niespokojne spojrzenie na Marche-a-Terre'a starając się zaspakajać raz-wraz jego niezmierzone pragnienie.

— Daj-no mi swoją tabakierę — rzekł Marche-a-Terre do Pille-Miche'a.

Wziąwszy w rękę rożek, potrząsł nim mocno a nasypawszy sobie potężną ilość tabaki na dłoń, Bretończyk pociągnął nosem z powagą i zastanowieniem, jak człowiek który się przygotowuje do ważnego czynu.

— Zimno jest jakoś — rzekł Pille-Miche wstając i zamknął górną część drzwi.

Światło dzienne i tak przysłonięte mgłą, już tylko przez zakopane okienko dostając się do chaty, słabo oświecało izbę i dwie ławy. Ogień z komina tylko rozlewał dokoła swe blaski czerwone.

W tej chwili Galope-Chopine, który znowu napełnił miary gości swoich jabłecznikiem, postawił je na stole przed niemi, ale oni odmówili zaproszenia, podjęli z głów kapelusze i przybrali naraz urozyste miny. Giesta ich i spojrzenia, jakimi się porozumiewali, przejęły strachem Galope-Chopine'a, któremu się zdawało, że widzi krew pod czerwonymi szlafmycami, które głowy ich ścisnęły.

— Przynieś-no swój tasak — rzekł Marche-a-Terre.

— Ależ, panie Marche-a-Terre, po co panu tasak, co pan chcesz zrobić?

— Wiesz dobrze sam, kuzynie, po co — odparł Pille-Miche, chowając do kieszeni rożek z tabaką, który mu zwrócił Marche-a-Terre — osądzony jesteś i skazany!

Obaj Szuanie podnieśli się jakby jednym ruchem i pochwycili karabinki.

— Panie Marche-a-Terre, ja nie nikomu nie powiedziałem o Garsie...

— Idź i przynies swój tasak — odpowiedział Szuan.

Nieszczęśliwy Galope-Chopine cofając się krok w tył potracił posłanie swego syna i z pod siennika wypadły trzy sztuki pięcio-frankowe i potoczyły się po podłodze.

Pille-Miche je podniósł.

— Ho ho! — zawołał Marche-a-Terre — Błękitni dali ci piękne nowe pieniądze!

— Jak tu oto wisi obraz mego świętego patrona, tak prawdą jest, klnę się wam — rzekł Galope Chopine — że nie powiedziałem. Barbetta tylko wzięła kontrszuanów za naszych chłopów z Saint-George i oto wszystko!

— Po co babę mieszasz do spraw poważnych! — krzyknął surowo Marche-a-Terre.

— Zresztą, kuzynie, my się nie pytamy o twoje racye, ale o twój tasak. Nie sądzić przyszliśmy, tylko wykonać wyrok.

Na znak swego towarzysza, Pille-Miche pomógł mu pochwycić swoją ofiarę. Pochwycony przez obu Szuanów Galope-Chopine opadł zupełnie z sił, runął na kolana i wznosił ku swoim dwom katom ręce rozpaczliwym ruchem.

— Przyjaciele moi drodzy, kuzynie mój, cóż się stanie z moim chłopcem?

— Ja się nim zaopiekuję — rzekł Marche-a-Terre.

— Poczciwi moi, ależ ja nie jestem przygotowany na śmierć — mówił Galope-Chopine śmiertelnie już blady. — Czyż mnie zgładzić chcecie z tego świata bez spowiedzi? Macie prawo wziąć mi życie, ale nie wolno wam odbierać mi szczęśliwej wieczności.

— To jest prawda — rzekł Marche-a-Terre spoglądając na Pille-Micha.

Obaj Szuanie pozostali przez chwilę w wielkim kłopotcie nie wiedząc, jak rozstrzygnąć tę wątpliwość sumienia. Galope-Chopine nadśluchiwał każdego szelestu i każdego szmeru przyniesionego na skrzydłach wiatru, jakby jeszcze jakąś zachował nadzieję. Odgłos kropli cydru spadających równomiernie i peryodycznie z kranu beczki zwrócił jego uwagę. Spojrzał na beczkę i westchnął smutno. Nagle Pille-Miche zdecydowany w jednej chwili pochwycił skazanego za ramię, pociągnął go w kąt izby i rzekł:

— Wyznaj mi grzechy twoje, a ja je powtórzę prawdziwemu księdzu w kościele i dostanę rozgrzeszenie dla ciebie. Jeżeli będzie jaka pokuta do wykonania, to ja ją za ciebie wykonam.

W ten sposób Galope-Chopine otrzymał tyle czasu zwłoki, ile było potrzeba na wyznanie swoich grzechów, ale mimo liczby i oko-

liczności przestępstw przezeń spełnionych, i ten czas upłynął nareszcie.

— Niestety — rzekł kończąc — mój kuzynie, kiedy już mówię do ciebie jak do spowiednika, zaręczam ci pod świętością spowiedzi i klnę się świętém imieniem Boga najwyższego, że nie mam sobie nic innego do zarzucenia jak tylko to, że czasami zanadto może myślałem o maśle do chleba i o okrasie do jadła, i na świętego mego patrona, którego obraz tam wisi na ścianie nad kominkiem, przysięgam ci, że nie powiedziałem nic nikomu o Garsie. Nie, drodzy przyjaciele moi, ja nie zdradziłem.

— Mniejsza już tam o to, mój kuzynie—odrzekł Pille-Miche — powstań, w tej sprawie porozumiesz się tam oto z panem Bogiem w swoim czasie.

— Dajcie mi się przynajmniej pożegnać z moją kobieciną.

— Dajże już pokój! — zawołał Mache-a-Terre. Jeżeli nie chcesz, żeby ci bardziej jeszcze pamiętano to, coś uczynił, zachowaj się jak Breton prawdziwy i skończ z nami prędkiej.

Marche-a-Terre i Pille-Miche znowu pochwycili nieszczęśliwego, położyli go na ławie, gdzie już ustał wszelki opór z jego strony, ruchy tylko konwulsyjne zdradzały życie i zwierzęcy instynkt zachowawczy. Nareszcie rozległy się już tylko krzyki jego niezrozumiałe i odgłos spadającego tasaka. Potém wszystko ucichło.

Głowa odcięta została jedném cięciem.

Marche-a-Terre wziął tę głowę za włosy, wyszedł z chaty, poszukał i znalazł w nieociosanej futrynie drzwi wielki gwóźdź, na którym nawinąwszy i związawszy włosy, zawiesił na nim tę krwawą głowę, nie zamknąwszy nawet rozwartych jej oczu.

Potém obaj wykonawcy wyroku, bez pośpiechu umyli sobie ręce w misce wody, wzięli kapelusze, przewiesili przez ramię karabiny i przeskoczyli przelaz pogwizdując na nutę starej balady bretońskiej. Pille-Miche doszedłszy do skraju pierwszego pola, zaczął śpiewać głosem zachrypłym te zwrotki, które mu na myśl przyszły. Wiatr poniosł w przestrzeń prostą ich melodyę:

W najpierwszej mieścinie
Kochanek dziewczynie
Atlasowy sprawia strój;
A w drugiej mieścinie
Kochanek dziewczynie
Złotych cacek daje rój.
I była tak ładna
Jak w całym pułku żadna;
Ginał za nią cały pułk.

Melodya ta coraz bardziej nikła i głuchła w miarę oddalania się Szuanów, ale cisza pól była tak głęboka, że mimo to kilka nót piosenki wpadło w ucho Barbetty, która właśnie wracała do domu prowadząc chłopca za rękę. Wieśniaczka Bretonka nie może bez wzruszenia słyszeć śpiewu tego tak popularnego na całym zachodzie Francyi, to też Barbetta mimowolnie nucić zaczęła pierwsze strofki balady:

Jedźmy już, kochanko,
 Jedźmy wraz na wojnę,
 Jedźmy, wielki czas!
 Dzielny kapitanie,
 Córką tu zostanie;
 Nie dam tobie córki mój.
 Na ładzie czy wodzie
 Stanę na przeszkodzie,
 Chyba zdradą porwiesz ją;
 Ojciec nie żartuje,
 Suknie z niej zdejmuję,
 Rzuca córkę w wody prąd.
 Nic to nie pomoże;
 Kapitan wpław w morze
 I wnet wraca z dziewczyną na ląd.
 Jedźmy już, kochanko,
 Jedźmy wraz na wojnę,
 Jedźmy, wielki czas —
 W najpierwszej mieścinie i t. d.

W chwili gdy Barbetta doszła w śpiewie swoim do zwrotek, od których rozpoczął Pille-Miche, zawróciła właśnie w podwórze swego domostwa. Nagle język jej kołkiem stanął, stanęła nieruchoma jakby w słup soli zmieniona a z otwartych ust jej wybiegł krzyk wielki, gwałtowny, ale jeden tylko, odrazu powstrzymany.

— Co ci się stało, matulu droga? — zawołał chłopiec.

— Idź sam teraz dalej — glucho odrzekła Barbetta wyrывая mu rękę i popychając go gwałtownie. — Nie masz już ani ojca ani matki!

Dziecko, które poudrzeniu rozcierało sobie z krzykiem łopatkę, podniosło głowę i spostrzegło zawieszoną na gwoździu głowę ojca swego, a świeża jego twarzyczka z przerażenia zachowała przez długą chwilę to nerwowe skrzywienie, jakie płacz rysom twarzy nadaje. Chłopiec otworzył wielkie oczy i długo wpatrywał się

z dziką ciekawością w głowę tę, nie rozumiejąc i nie pojmując, co się to stało.

Wtém Barbetta pochwyciła go za rękę, ścisnęła ją gwałtownie i szybkim krokiem pociągnęła go ku chacie. Podczas gdy Galope-Chopine bronił się przy ławie, na którą go oprawcy położyli, jeden z jego drewnianych trzewików spadł mu z nogi, potoczył się pod ławę i upadł tak, że stanął akurat pod szyją ofiary i napełnił się krwią z tułowiu ciekącą. Był to pierwszy przedmiot jaki w swjej chacie spostrzegła wdowa nieszczęśliwego.

— Zdejmij sabot! — zawołała kobieta do chłopca. — Włóż nogę tutaj! Dobrze! A teraz pamiętaj zawsze i na wieki — dodała głosem ponurym — o trzewiku twego ojca i nie kładź nigdy trzewika na nogę, nie wspominawszy na ten sabot pełen krwi, wylanęj przez Szuanów, i zabijaj Szuanów!

Mówiąc to wstrząsnęła głową ruchem tak gwałtownym, że promienie czarnych jej włosów wypadły zpod chustki i rozrzuciły się po szyi i karku nadając twarzy jej straszny wyraz.

— Przysięgam na świętego patrona mego nieboszczyka — wykrzyknęła — że cię poświęcam Błękitnym! Będziesz żołnierzem dla pomszczenia swego ojca! Zabijaj, zabijaj Szuanów, i czyn jak ja! Ach! oni ucieli głowę mego chłopca, dobrze, ja za to dam głowę Garsa Błękitnym! Będzie kwita!

Poskoczyła jednym skokiem do łóżka, wyrwała ze skrytki mały woreczek z pieniędzmi, pochwyciła za rękę swego zdziwionego syna, pociągnęła go gwałtownie nie dając mu czasu na włożenie trzewika, i pobiegli oboje szybkim krokiem ku Fougères; ani jedno, ani drugie, nie obejrzało się nawet ku chacie, którą opuszczali. Gdy przybyli na wierzchołek skał ś-go Sulpicyusza, Barbetta podrzuciła chróstu do ognia a chłopiec pomagał jej podkładać oszronione drzazgi smolne z drzew iglastych zielenią okryte, aby w ten sposób zwiększyć dym ze stosu.

— To potrwa dłużej niż twój ojciec, dłużej niż ja, i niż Gars — zawołała Barbetta ponuro wskazując ogień chłopcu.

W chwili gdy wdowa Galope-Chopine'a i syn „z nóżką skrzwioną“, wpatrywali się z groźnym wyrazem zemsty i gniewu we wznoszący się ku niebu słup dymu, panna de Verneuil stała w oknie z oczyma utkwionemi w te skały i starała się napróżno dojrzeć sygnał obiecany przez margrabięgo.

Mgła, która się powolnie zwiększała, pokrywała całą okolicę jakby całunem, którego szare mgły zastaniały sobą cały nawet najbliższy krajobraz. Marya spoglądała pokolei ze słodkim niepokojem na skały, na zamek, na gmachy, które w tej mgle wyglądały akby mgły jeszcze czarniejsze. Bliżej okna kilka drzew rysowało

się wyraźniej w tём niebieskiem tle, jakby owe kłęby z pary wodnej nad morzem powstające.

Słońce, przeświecające przez te mgły szare, nadawało całemu horyzontowi odblask jakby srebra zbrudzonego, promienie jego wątpliwie czerwonym odcieniem ozłacały nagie gałęzie drzew, na których kołysały się resztki jeszcze nieopadłych liści. Zbyt jednak rozkoszne uczucia kołysały duszę Maryi, aby w widoku tym dopatrywać się miała złych wróżb, niezgodnych z uczuciem szczęścia, jakim się z góry myślą nasycala. Od dwóch dni bieg jęj myśli znacznie się zmienił. Dzikość, gwałtowność wybuchów jęj namiętności, powoli uległy wpływowi jednostajnej temperatury, jaką daje życiu prawdziwa miłość. Pewność, że jest kochaną, że miłość tę odszukała wśród tylu niebezpieczeństw, zrodziła w niej pragnienie powrotu do warunków społecznych takich, jakie sankcjonuje szczęście, a z których wyszła przez rozpacz jedynie. Kochać tylko krótką chwilkę zdawało jęj się nieudolnością uczucia. Potem w marzeniu swém widziała się nagle przeniesioną z głębi warstw społecznych, w które nieszczęście ją pogrążyło, do tej wyżyny, na jakiej chwilowo postawiło ją stanowisko jęj ojca. Próżność jęj uciśniona i zapomniana w przejściach kolejnych od szczęścia do lekceważenia, obudziła się, stawiając jęj przed oczy wszystkie korzyści wysokiego stanowiska. Urodzonej w książęcym pałacu zaślubić margrabiego de Montauran, nie byłoż to dla niej znaleźć się we własnej sferze? Poznawszy losy życia awanturniczego, mogła lepiej, niż każda inna kobieta, ocenić wielkość uczuć, będących podstawą rodziny. Dalej, małżeństwo, macierzyństwo i jego troski były dla niej obowiązkiem raczej słodkim, aniżeli spoczynkiem. Kochała to życie cnotliwe i spokojne, dojrzane przez mgłę doznanych świeżo przygód, jak kobieta znużona cnotą, rzuca ukradkiem pożądliwe spojrzenia na miłość zakazaną i nieprawą. Cnota była dla niej nowym powabem.

— A może — rzekła wracając do okna i nie widząc jeszcze umówionego sygnału na skale ś-go Sulpicyusza — a może zanadto była z nim zalotną!... Ale też za to poznałam, jak silnie on kochać umie i jak bardzo jestem kochaną!... Fanszeto, to już nie marzenie — wykrzyknęła nagle — dziś wieczór zostanę margrabiną de Montauran! Cóż uczyniłam, aby zasłużyć na szczęście tak zupełne!? O! kocham go i miłość tylko za miłość zapłacić może. Niemniej jednak, Bog chce mnie pewno wynagrodzić za to, że wśród tylu przeciwności i nędzy zachowałam taką podniosłość serca i chce mi dać zapomnieć cierpienia moje! Ty wiesz przecie, dziecię moje, jak bardzo i jak wiele cierpiałam!

— Dziś wieczór margrabiną de Montauran, ty, Maryo!? Ach

dopóty, dopóki się to nie stanie, ja wierzyć temu nie będę. Któż mu powiedział, ile cię cenić trzeba!?

— Ależ, dziecię drogie, on nie tylko ma piękne oczy, i dusza jego jest piękną. Gdybyś go widziała tak, jak ja w niebezpieczeństwie! O! musi on mnie bardzo kochać, on, który jest tak odważny!

— Jeżeli kochasz go tak bardzo, dlaczego pozwalasz mu się tak narażać i jak możesz pozwolić, aby przychodził aż tu, do Fougères?

— Wszakże nie mieliśmy czasu pomyśleć nad tem, porozumieć się, gdy nas ci zbójcy podeszli! Zresztą, czyż to nie jest nowym dowodem miłości? Czyż kiedykolwiek można dowodów tych mieć zadosyć! Tymczasem uczesz mnie.

Sto razy ruchem jakby elektrycznym niszczyła Marya najszcześniejsze kombinacye układu włosów, jakie wynajdowała Fanszeta. Mimo wzburzenia uczuć i myśli, miała czas jeszcze pilnie baczyć na ponętne ułożenie swęj toalety. Zwijając pukiel włosów, lub wyczesując warkocz, aby mu nadać więcej blasku, zapytywała się sama siebie, w błyskawicznych powrotach wątpliwości, czy margrabia jęj nie zwodzi, i przychodziło jęj na myśl, że podobna zdrada byłaby niewytłomaczoną wobec tego, iż narażał się na zemstę natchmiastową i łatwą, przybывая do Fougères.

Studując w zwierciadle efekta spojrzeń, uśmiechów, zmarszczek czoła, gniewnych wybuchów, miłości, pogardy, wstętu i namiętności, szukała w kokieteryi środka, za pomocą którego mogłaby jeszcze w ostatniej chwili zgłębić duszę swego kochanka.

— Ty wiesz, co mówisz, i wiesz, czego chcesz, gdy pragniesz, aby to małżeństwo przyszło do skutku. Dzień ten jest ostatnim z dni wątpliwości. Jest on albo dniem śmierci mojęj albo naszego szczęścia. Nieznośna mgła! — zawołała rzucając znowu spojrzenie na zasłonięty ciągle szczyt s-go Sulpicyusza.

Wzięła się sama do układania firanek z jedwabiu i muslinu, które zdobiły okno, starając się udrapować je tak, aby w pokoju panowało tylko ulubione przez nią półświatło.

— Fanszeto — rzekła — zdejmij te drobiazgi, które tam zalegają kominek i pozostaw tylko zegar i dwa wazony z saskiej porcelany, w których ułożę same kwiaty zimowe, jakie przysłał Korentyn... Wynies z pokoju wszystkie krzesła, chcę, aby pozostała tu tylko sofa i jeden fotel!... Jak skończysz to, com ci kazała, wyczyść szcztoką ten dywan tak, aby odświeżyć jego kolory... Potem obsadzisz świece w lichtarze i świeczniki!...

Marya długo i uważnie przyglądała się starym obiciom pokrywającym ściany tego pokoju, zanim, z wrodzonym sobie smakiem, umiała znaleźć sposób zharmonizowania tęg starożytnęj ozdoby

z meblami i cackami buduaru, harmonią kolorów i bowabem kontrastów. Taż sama myśl kierowała ułożeniem kwiatów, któremi napełniła wazony, zdobiące pokój.

Kanapę umieszczono w bliskości kominka. Z każdej strony łóża, które zajmowało ścianę przeciwną tej, w której znajdował się kominek, postawiła na dwóch małych złożonych stolikach wielkie wazony z saskiej porcelany, napełnione zielonemi liśćmi i kwiatami, zapachem swym napawającemi powietrze. Nieraz zadrżała na całym ciele, układając fałdy zasłony, zawieszonej przy lampie zielonej nad łóżkiem i studyując załomy portyery z materji w wielkie kwiaty, którą łożo było osłonięte.

Podobne przygotowania mają zawsze jakiś nie dający się określić przedsmak szczęścia i sprowadzają podrażnienie tak rozkoszne, iż często wśród tego czarownego prologu kobieta zapomina o wszystkich wątpliwościach, tak jak panna de Verneuil zapomniała również o tém wszystkiém, cokolwiek w sercu jej niepokój jaki rodziło. Istnieje pewien rodzaj kultu w tém mnóstwie drobnych trosk, podjętych dla istoty ukochanej, która widzieć ich, ani nagrodzić nie może w danej chwili, ale których trud cały osłodzi jednym uśmiechem rozkosznego zdumienia. Kobieta, jeżeli można tak powiedzieć, oddaje się cała naprzód miłości i z pewnością niema ani jednej takiej, któraby przy podobnem zajęciu nie powiedziała sobie: „Dziś wieczorem będę bardzo szczęśliwa!”

Najniewinniejsza z pomiędzy nich zapisuje tę nadzieję w najmniej wydatnych fałdach jedwabiu i muslinu, potem, nieznacznie harmonia ogólna, którą ona dostraja, użycza wszystkiemu ogólnej fizjonomii, tchnącej miłością. Na łonie tych sfer rozkosznych przedmiotów stają się dla niej istotami, świadkami i współnikami wszystkich jej przyszłych radości. Za każdym ruchem, za każdą myślą ośmiela się i kradnie coś przyszłości. Niezadługo ona już nie czeka, nie spodziewa się, ale oskarża ciszę, bo każdy szmer powinien jej przynosić nowy prognostyk. Nakoniec przychodzi zwątpienie i kładzie na jej sercu rękę swoją kościstą; ona płonie, drga, czuje się pochłoniętą cała przez jedną myśl, która rozwija się, jak siła elementarna. Jest-to kolejno tryumf i katusza, którejby nie przeniosła bez nadziei przyszłych rozkoszy. Dwadzieścia razy panna de Verneuil podniosła firanki w nadziei, że dojrzy wznoszący się słup dymu ponad skałami, ale mgła zdawała się coraz bardziej szarych nabierać odcieni i coraz większej gęstości, tak, że podrażniona jej wyobraźnia smutne poczęła budzić w sobie przewidywania. Z pewnłem nadąsaniem się spoglądała na tę komnatę, której dała duszę i mowę, i pytała sama siebie, czyby te wszystkie starania próżnemi być miały.

— Moja droga — rzekła do Fanszety, ciągnąc ją za sobą ku przylegiłemu do buduaru gabinetowi, oświeconemu owalném okienkiem, wychodzącem na tę część widnokregu, gdzie fortyfikacye miasta zlewały się ze skałami okolicznych gór — uprzątnij mi tu wszystko, niech wszystko będzie czyste i jasne! Salon, jeżeli chcesz, możesz pozostawić w nieporządku — dodała z jednym z tych uśmiechów, jakie kobiety zachowują dla najserdeczniejszych swoich, a których głębokiej finezyi mężczyźni nigdy zrozumieć nie zdołają.

— Ach! jakaś ty piękna, Maryo! — zawołała Bretonka.

— E, gdzie tam! Myszyn wszystkie szalone, a największą ozdobą naszą jest nasz kochanek!

Fanszeta pozostawiła ją niedbale leżącą na otomance i oddaliła się, przekonana nareszcie, że jakkolwiek jest, kochana czy nie przez Montaurana, pani jej nigdy go w ręce nieprzyjaciół wydać nie zdoła.

— Co mi tam bajesz, stara? — pytał w téjże samej chwili Hulot Barbetty, która, wchodząc do Fougères, spotkała go na ulicy i poznała.

— Czy macie oczy, człowiecze pocziwy? — mówiła. — No, jeżeli macie, to patrzcież tam prosto na skały, naprzeciw świętego Leonarda!

Korentyn, który towarzyszył Hulotowi, zwrócił oczy ku szczytowi w kierunku, wskazanym palcem Barbetty, a gdy właśnie mgła opadać poczęła, dojrzał wyraźnie słup dymu białawego, o którym mówiła wdowa po Galope-Chopinie.

— No, ale kiedyż ma przyjść? Gadaj, stara! Wieczorem, czy w nocy?

— Moj dobry panie — odparła Bretonka — tego ja nie wiem!

— Dlaczego zdradzasz swoich? — spytał Hulot żywo, odciągawszy kobietę o kilka kroków od Korentyna.

— Oto tak, widzisz, jasnie wielmożny panie gienérale, mojego chłopca, no, to i widzisz jego nogę! Otóż noga ta czerwieni się od krwi mego chłopca, zabitego przez Szuanów, bez urazy pańskiej, jak cielę, a to za karę za te trzy wyrazy, któreście mi wydarli z gardła przedwczoraj, jak-em pole orała. Weźcież teraz chłopca, kiedyście mu odebrali ojca i matkę, ale zróbcie z niego Błękitnego, takiego, jak-ście sami, jegomościuniu, i niech umie zabijać Szuanów. Weźcie go i weźcie oto te dwieście sztuk złota, bo to jego! Jeżeli ich będzie oszczędzał, to, baczę, daleko z niemi zajdzie, boć przecie jego ojciec zbierał je przez dwanaście lat!

Hulot z podziwem patrzył na tę bladą wieśniaczkę, której twarz była poorana, a oczy suche.

— Ale wy, matko — rzekł — cóż się z wami stanie? Lepiej może zachowajcie sami te pieniądze.

— Ja? — rzekła, wstrząsając głową ze smutkiem. — Mnie już nie trzeba nic! Choćbyście mnie wtłoczyli na głębią taką, jak wieża Meluzyny — i wskazała palcem na jedną z wież zamku — i tam zapieczętowali, to jeszcze mnie Szuanie znajdą i zabiją!

Pocałowała malca swego z dziwnym jakimś wyrazem smutku, popatrzyła na niego, dwie łzy stoczyły się z jej oczu w brzoźdy po twarzy, znowu popatrzyła na dziecko i znikła, szybko uchodząc.

— Komendancie — rzekł Korentyn — oto sposobność, z której żeby skorzystać jak należy, dwóch tegich głów potrzeba. Wiemy wszystko, a nie wiemy nic! Otoczyć zaraz dom panny de Verneuil toby znaczyło rozpocząć z nią walkę otwartą i skierować ją przeciw sobie. My zaś, ja i ty i twoi kontrszuani i twoje dwa bataliony, nic nie podolamy przeciw tej dziewczynie, jeżeli ona sobie głowę nabije, że ma wyratować tego tam swego ex-markiza. On sam żył długo przy dworze, wynika więc stąd najwyraźniej, że musi być przebiegły. Jest młody, a przytém odważny. Pochwycić go, gdy będzie wchodził do miasta, ani myśleć! A może on jest już tu gdzie ukryty w mieście, kto to wie? Robić rewizye po domach, to istne głupstwo! Nic nie pomoże, nic się nie znajdzie, a tylko mieszkańców się niepokoi i ostrzega tych, których się szuka.

— Ja idę — zawołał Hulot zniecierpliwiony — dać rozkaz żołnierzowi, stojącemu na warcie przy bramie ś. Leonarda, aby swoje przechadzki posunął o trzy kroki. W ten sposób podsunie się aż naprzeciw okien panny de Verneuil. Porozumiemy się ze wszystkimi strażami, a sam zostanę na odwachu, i jak mi tylko dadzą znać o wejściu do miasta jakiego młodego człowieka, biorę ze sobą kaprała i czterech ludzi...

— A jeżeli — wykrzyknął Korentyn, przerywając gwałtownemu komendantowi — ten, który wejdzie, nie będzie tym, którego szukamy, jeżeli margrabia nie wejdzie żadną bramą, tylko jaką inną drogą, jeżeli zresztą jest już u panny de Verneuil, jeżeli i jeszcze jeżeli...

Wyrzucając ten potok słów, Korentyn patrzył na komendanta wzrokiem wyższości w tak obrażający sposób, że zniecierpliwiony żołnierz wrzasnął:

— Niech cię piorun trzaśnie! idź do dyabła, obywatelu piekiel! Co mnie to wszystko obchodzi? Jeśli ten wróbel wpadnie na którą z moich straży, to go będę musiał rozstrzelać; jeżeli się dowiem, że się znajduje w którym domu, to otoczę dom, złapię margrabiego i także rozstrzelam! Ale niech mnie dyabli porwą, jeżeli mi się marzy o tém, abym miał sobie głowę łamać, w jaki sposób mam splamić mój mundur żołnierski!

— Komendancie, wszakże list, podpisany przez trzech ministrów, zobowiązuje cię do posłuszeństwa pannie de Verneuil.

— Obywatelu, niech z listem przyjdzie ona sama, a będę wiedział, co mi czynić wypadnie!

— Bądź spokojny, obywatelu — rzekł wyniośle Korentyn — nie da ona długo na siebie czekać! Przyjdzie sama we własnej osobie i powie ci godzinę i minutę nawet, w której gach ją odwiedzi. A może nawet nie uspokoi się, dopóki nie otoczysz jej domu wartami!

— Dyabeł przyszedł na świat w osobie tego człowieka! — pomyślał z boleścią dowódca pół-brygady, spoglądając za Korentynem szybko wbiegającym na tak zwane „schody królowej“, u stóp których odbywała się ta scena, i zdążającym ku bramie ś-go Leonarda. — On mi wyda obywatela de Montauran w pień związanego — myślał głośno Hulot — i będę zmuszony prezydować w sądzie wojennym. Cóż robić? — rzekł jeszcze, wzruszając ramionami. — Gars jest nieprzyjacielem rzeczypospolitej, a przytém on mi zabił mego najlepszego druha, kochanego Gérarda. W każdym razie będzie na świecie jeden szlachcic mniej. Niech go szatan porwie!

Wykręcił się na pięcie i poszedł zobaczyć, czy wszystkie warty stoją na swoich stanowiskach. Idąc, wygwizdywał „Marsylianke“.

Panna de Verneuil zatopiona była w rozmyślaniach. Rozmyślał takich tajemnice pozostają jakby pogrzebane w przepaściach duszy, a tysiące uczuć sprzecznych, walcząc ze sobą w takich zadumach nieraz, dowodzą tym, którzy tego doświadczyli, że można przebywać życie burzliwe i pełne namietnych szarów, nawet w samotności, pomiędzy czterema ścianami, nie porzucając sofki, albo fotelu, na którym się spoczywa... Zbliżając się do rozwiązania dramatu, którego aż tu szukać przybyła, młoda ta kobieta przywodziła sobie na pamięć wszystkie jego sceny — sceny miłości i gniewu, które tak gwałtownie wstrząsały jej życiem w ostatnich dniach dziesięciu od pierwszego spotkania z margrabią. W téjże chwili w sąsiednim saloniku rozległ się odgłos kroków męskich. Marya zadrżała. Drzwi otworzyły się; szybko odwróciła głowę; w drzwiach ukazał się Korentyn.

— Mała szachrajko — rzekł, śmiejąc się, wyższy agent tajnej policji — czy przyjdzie ci jeszcze ochota mnie zwodzić? Ach! Maryo, Maryo! zbyt niebezpieczną grasz partya, nie chcąc mnie w grze zainteresować i decydując wszystko sama, bez mojej rady. Jeżeli margrabia uniknął losu swego...

— To nie z twojej winy, nieprawdaż? — odrzekła panna de Verneuil z głęboką ironią. — Panie — dodała głosem poważnym — jakim prawem wchodzisz jeszcze do mego mieszkania?..

— Do twojego? — zapytał z goryczą.

— A prawda, dobrze, że mi przypominasz — odrzekła z godnością — że nie jestem u siebie. Może umyślnie wybrałeś ten dom, abyś mógł na znajomym ci gruncie łatwiej zamierzone spełnić zbrodnie. Bądź spokojny, wyjdę stąd zaraz, pójdę na puszcę, aby uniknąć widoku...

— Szpiegów! dokończ — rzekł Korentyn. — Ale dom ten nie jest ani moim, ani twoim, lecz rządowym; co zaś do wyjścia stąd, spodziewam się, że nic złego nie będzie — dodał, rzucając na nią piekielne spojrzenie.

Panna de Verneuil podniosła się ruchem pełnym oburzenia i postąpiła kilka kroków, lecz zatrzymała się natychmiast, widząc, że Korentyn podnosi firankę u okna i z uśmiechem zaprasza ją, aby się doń zbliżyła.

— Widzisz tam pani ten słup dymu? — zapytał z głębokim spokojem, jakiego pozory zachować umiał nawet wśród najsilniejszych wzruszeń.

— Jakiż związek mieć może opuszczenie przeze mnie tego domu z garścią zielska, pod które podłożono ogień? — rzekła.

— Dlaczego głos twój drży? — spytał. — Biedne dziecko — dał ze słodyczą i łagodnością w głosie — ja wiem wszystko! Margrabia dziś przybywa do Fougères, a zapewne nie po to, abyś go nam wydała, tak rozkosznie urządziłaś swój buduar, kwiaty i światła.

Panna de Verneuil zbladła, widząc wyrok śmierci margrabiego, wypisany w oczach tego tygrysa o ludzkiej twarzy, i tém większą dla swego kochanka uczuła miłość. Zdawało jej się, że pod każdy włos na głowie ból się do wnętrza jej wciska, i nie mogąc się powstrzymać, padła na sofę. Korentyn pozostał przez chwilę milczący, z rękami założonemi na piersiach, nawpół zadowolniony z tortury, jaką jej zadawał, a która mściła w tej chwili wszystkie sarkazmy i wzgardy, jakich od tej kobiety doświadczył, z drugiej strony nawpół zasmucony na widok cierpień istoty, której jarzmo, jakkolwiek ciężkie, miłem mu było.

— Ona go kocha! — szepnął głuchym głosem.

— Kocha! — wykrzyknęła — ach! cóż to słowo znaczy! Korentynie, on jest życiem mojem, duszą moją, technieniem mojem! — I rzuciła się do nóg tego człowieka, którego spokój grozą ją przejmował. — Duszo z błota! — zawołała — wolę spodlić się, aby mu życie ocalić, niż spodlić się, aby mu je wydrzeć! Chcę go wybawić choćby ceną wszystkiej krwi mojej! Mów, czego żądasz zato?

Korentyn zadrżał.

— Przyszedłem po twoje rozkazy, Maryo — rzekł, przybierając jak najśłodszy dźwięk głosu i podnosząc ją ze szlachetną grzecznością. — Tak, Maryo, wszystkie twe wzgardy i plwania nie przeszkodzą mi nigdy być tobie w zupełności oddanym, abys mnie tylko nie zwodziła wcięć. Wiész, Maryo, że bezkarnie w błąd wprowadzać mnie nie można.

— Ach! jeżeli chcesz, abym cię kochała, Korentynie, pomóż mi go ocalić!

— Dobrze więc! O której godzinie ma przybyć margrabia? — rzekł, wysilając się na to, aby zapytanie to zadać bez wzruszenia.

— Niestety! nie wiem tego sama!

Spojrzeni na siebie w milczeniu.

— Jestem zgubiona — pomyślała panna de Verneuil.

— Oszukuje mnie — myślał w tej chwili Korentyn. — Maryo — mówił dalej — ja mam zwyczaj trzymać się dwóch zasad. Jedną z nich jest nie wierzyć nigdy słowom kobiety: jest-to jedyny środek ustrzeżenia się tego, aby nie zostać przez nią oszukanym. Drugą zasadą moją jest szukać zawsze, jaki kobieta może mieć interes w tém, aby zrobić wbrew temu, co powiedziała, i aby poprowadzić sprawę w kierunku przeciwnym temu, któryś mi jako tajemnicę powierzyła. Spodziewam się, że teraz rozumiemy się doskonale.

— Cudownie — odrzekła panna de Verneuil. — Chcesz dowodów mojej dobrej wiary! Owszem, dam ci je, lecz wtedy, gdy będę pewną dobrej wiary z twojej strony.

— Żegnam cię, pani — odrzekł sucho Korentyn.

— No, daj-no pokój, usiądź oto tutaj i nie sroź się, bo inaczej obejdę się bez ciebie i ocalę margrabiego! Co zaś do owych trzech-kroć sto tysięcy franków, które widzisz ciągle przed oczyma, mogę ci wyliczyć takąż samą sumę natychmiast, jak tylko margrabia będzie w miejscu pewnem, poza granicami grożącego mu niebezpieczeństwa.

Korentyn podniósł się, odstaąpił parę kroków i począł przypatrywać się pilnie pannie de Verneuil.

— Jakos od niedawna wzbogaciła się pani bardzo — rzekł z goryczą źle ukrywana.

— Montauran — dodała, uśmiechając się z politowaniem — będzie ci zresztą mógł sam za siebie dać większy okup. Najprzód więc daj mi dowód, że posiadasz środki ocalenia go...

— A czy ty sama nie możesz — zawołał nagle Korentyn -- ułatwić mu ucieczki w chwili jego przyjścia, skoro Hulot nie wie, o której to ma nastąpić godzinie, i... — Zatrzymał się, jakby obawiając się, że już powiedział za wiele. — Ale czyż ja cię mam uczyć podstępów i wybiegów? — dodał, uśmiechając się najnaturalniej. — Słu-

chaj, Maryo, ja nie wątpię o twój prawości. Przrzecz, że mi wynagrodzisz to, co stracę, służąc ci, a ja się postaram uspić tak tego niedołęę komendanta, że margrabia będzie równie bezpiecznym w Fougères, jak w Saint-James.

— Przrzekam ci — odrzekła Marya uroczyście.

— O! nie tak! — odpowiedział — przysięgnij mi na popioły twojej matki.

Panna de Verneuil zadrżała i, podnosząc do góry drżącą rękę, wykonała przysięę, jakiej żądał człowiek ten, którego sposób postępowania nagle się zmienił.

— Możesz mną rozporządzać — rzekł Korentyn. — Zaufaj mi, a dziś wieczorem błogosławić mnie będziesz.

— Wierzę ci, Korentynie — rzekła panna de Verneuil rozczulona.

Skłoniła mu się wdzięcznym ruchem głowy i uśmiechnęła się z dobrocią, w której przebijało się pewne zdziwienie na widok jakiegoś nieznanego jej dotąd wyrazu melancholijnej czułości w jego twarzy.

— Cudowna istota! — mówił do siebie Korentyn, odchodząc. — Czyż nigdy nie będzie moją, abym z niej mógł uczynić narzędzie mojego wyniesienia się i źródło moich rozkoszy?.. Upadła mi do nóg! Ona!.. O, tak! margrabia zginąć musi! I jeżeli nie będę mógł posiąść tej kobiety inaczej, jak zanurzając ją w błocie... to zanurzę ją, a posiędę!.. A wreszcie — mówił sobie dalej, przybывая na plac, gdzie go kroki bezwiednie zanosły — może się też ona mnie już więcej nie obawia. Sto tysięcy sztuk złota! natychmiast! Ona mnie ma za skąpca. To musi być jakiś podstęp, albo też on się z nią ożenił!

Korentyn, zatopiony w swoich myślach, nie mógł się ostatecznie zdecydować. Mgła, którą słońce rozproszyło około południa, nagle powracała do swej pierwotnej siły i stawała się tak gęstą, że Korentyn nie widział drzew nawet w niewielkiej odległości.

— Oto nowe nieszczeście — mówił, wracając do siebie wolnym krokiem — nie można nic dojrzeć o sześć kroków. Pogoda sprzyja kochankom. Strzeż tu domu, który taka mgła okrywa!

— Kto tu? — wykrzyknął wreszcie, chwytając za ramię jakiegoś nieznajomego, który, jak się zdawało, wydostał się na promenadę po skałach najspadzijszych.

— To ja! — odpowiedział naiwnie głos dziecięcy.

— Ach! to ty, czerwona nóżka! No, jakże, chcesz pomścić się za twego ojca? — spytał go Korentyn.

— Chcę — odpowiedziało dziecko.

— Dobrze. A znasz ty Garsa?

— Znam.

— To jeszcze lepiej! Kiedy tak, to nie opuszczaj mnie; spełnij pilnie wszystko to, co ci powiem, a dokonasz dzieła, rozpoczętego przez twoją matkę, i zarobisz grube grosze. A lubisz ty pieniądze, chłopcze?

— Lubię.

— Lubisz pieniądze i pragniesz śmierci Garsa! No, to zuch jesteś, mój chłopcze, i bądź spokojny, ja cię wezmę w opiekę. No — pomyślał sobie Korentyn w duchu — poczekaj, wykrętna dziewczko, ja sobie poradzę; ty nam go sama wydasz! Zanadto jest gwałtowną, żeby mogła na zimno wziąć to, co ja dla niej wymyśliłem. Zresztą namiętność nie rozważa nigdy. Nie zna pisma margrabiego! Teraz czas właśnie zastawić sidła, w które złowi ją z pewnością jej gwałtowność. Dla zapewnienia tryumfu memu podstępowi koniecznym jest, żeby Hulot o tém wiedział. Biegnę go uprzedzić.

W tej samej chwili panna de Verneuil i Fanszeta łamały sobie głowy nad wynalezieniem środka, aby ocalić margrabiego od potrzeby korzystania z wątpliwą szlachetności Korentyna i od spotkania się z bagnetami Hulota.

— Pobiegnę i uprzedzę go — zawołała Bretonka.

— Szalona, a czy wiesz, gdzie go szukać? Ja sama nawet, mimo instynktu kochającego serca, mogłabym go szukać długo i nie znaleźć.

Po długich wysiłkach myśli i po zbudowaniu tysiąca owych szalonych i niewykonalnych projektów, panna de Verneuil wykrzyknęła:

— Ja go zobaczę; niebezpieczeństwo jego natchnie mnie, jak potrzeba!

Potém, myśląc ciągle o jednym z upodobaniem, właściwém gorącym temperamentom, oczekiwała chwili stanowczej, pokładając zaufanie w swęj gwiazdździe szczęścia i w tym instynkcie zręczności, nigdy nie opuszczającym kobiet. Nigdy może serce jej nie ścisnęło się silniej i większych nie przeszło wzruszeń. To bezmyślnie stała z oczyma wlepionemi w jakiś punkt nieoznaczony, to znów za najmniejszym szelestem drżała, jak te drzewa wykorzenione, któremi silnie wstrząsa drwał za pomocą grubej liny, aby przyspieszyć ich upadek.

Nagle rozległ się huk straszny od dwunastu prawie jednocześnie wyststrzałów karabinowych. Panna de Verneuil zbladła, a chwytając za rękę Fanszetę, wykrzyknęła:

— Umieram! Oni mi go zabili!

Ciężkie stąpanie żołnierza w sąsiednim pokoju ocuciło ją. Przełknięta Fanszeta podbiegła do drzwi i wprowadziła kaprała wojsk rzeczypospolitej. Obywatel kapral, salutując po wojskowemu pannę de Verneuil, wręczył jej dwa listy, na niezbyt czystym napisane papierze, i, nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, odszedł, a we drzwiach już będąc, odwrócił się i rzekł:

— To od komendanta, proszę pani.

Panna de Verneuil, miotana strasznymi przeczuciami, otworzyła najpierw bilecik, napisany naprędce, jak sądziła, przez Hulota:

„Pani! Moi kontrszuani pochwycili przed chwilą jednego z wysłańców Garsa, którego rozstrzelać kazałem. Pomiędzy listami, które przy nim znaleziono, był i ten, który przy niniejszém załączam w przekonaniu, że może być pani w pewnym stopniu użytecznym“.

— Dzięki Bogu, to nie jego zabili! — wykrzyknęła, rzucając w ogień przed chwilą odczytany bilecik.

Odetchnęła swobodniej nieco i chciwie otworzyła drugi list, ten mianowicie, o którym Hulot mówił w swém piśmie.

Był to list margrabiego i zdawał się być napisany do pani du Gua.

„Nie, mój aniele, dziś do Vivetiére nie przybędę. Dziś wieczorem ty przegrasz zakład twój z hrabią, a ja zwyciężę rzeczpospolitą w osobie tej prześlicznej dziewczyny, która, jak sama przyznać musisz, warta jest miłości na jedną noc! Będzie to jedyna istotna korzyść z tej wojny, gdyż Wandeia się poddaje. Niema już nic do czynienia we Francyi i zapewne niedługo pojedziemy razem do Anglii. Ale odłóżmy do jutra poważniejsze sprawy!“

Papier wypadł jej z ręki, zamknęła oczy, zdobyła się na głębokie milczenie i pozostała tak długą chwilę z głową pochyloną w tył, oparta o poduszkę. Po tej pauzie podniosła oczy na zegar, który wskazywał właśnie godzinę czwartą.

— I jeszcze pan na siebie czekać każe! — rzekła ze straszną ironią.

— O! gdyby mógł nie przybyć! — szepnęła Fanszeta.

— Gdyby nie przybył — rzekła Marya głucho — jabym poszła naprzeciw niego! Ja! Czy słyszysz mnie? Ale nie, teraz już się on nie opóźni, już tylko go patrzeć! Fanszeto, czy dosyć jestem piękna?

— Bardzo błada jesteś.

— Widzisz — zawołała panna de Verneuil — ten pokój rozkoszny, te kwiaty, te światła, te upajające wonie... wszystko tu daćby mogło przedsmak niebiańskich rozkoszy temu, którego ja tej nocy miłością upoję!

— Cóż się stało, panienko moja?

— Co się stało! Oto jestem zdradzona, oszukana, wysmiana, wyszydzona, wzgardzona, zgubiona! Oto zabić go chcę! zabić i podrzść w kawały! Ach! tak! Zawsze w obejściu się jego czuć było jakąś wzgardę, którą źle ukrywał, a której ja widzieć nie chciałam. O! umrę sama z tego! Jakaż ja jestem głupia! — zawołała, śmiejąc się strasznie — on ma przyjść i ja mam całą noc przed sobą, aby mu dowieść, że związany czy niezwiązany śluby kościelnymi mężczyzna żaden posiadać mnie i porzucić nie może! Ja mu odmierzę zemstę według miary obrazy i zginie z rozpaczą w sercu! Sądziłam, że ma w duszy szlachetność, ale to bezwątpienia musi być syn lokaja! Zrećźnie mnie oszukał; trudno mi było uwierzyć, aby człowiek, który zdolny był wydać mnie Pille-Michowi bez litości, w oburzeniu szlachetnym, aby człowiek ten mógł zstąpić do niegodziwości takiej, godnej Scapin'a. Tak łatwo jest zażartować sobie z kobiety kochającej, że dopuszczenie się tego podłością jest. Żeby mnie zabił, niebym nie powiedziała, ale kłamać uczucie! on, którego tak wysoko w mém sercu postawiłam! Na szafot z nim! na gilotynę! Ach! jakbym chciała widzieć go na rusztowaniu! Czyż jestem zbyt okrutną? Umrze, okryty pieścizotami, pocałunkami, które go będą kosztowały dwadzieścia lat jego żywota!..

— Maryo — rzekła łagodnie Fanszeta z anielską słodyczą — jak innych wielu, bądź ofiarą tego, którego kochasz, lecz nie oddawaj mu się i nie bądź jego katem. Zachowaj w sercu swoim jego obraz, nie czyniąc go strasznym dla siebie samej. Gdyby nie było rozkoszy pewnej, choć gorzkiej, w miłości bez nadziei, cóżby się z nami stało nieszczęśliwymi i słabymi niewiastami! Bóg ten, Maryo, o którym nie myślimy nigdy, wynagrodzi nas zato, że spełnimy to, co on nam na ziemi naznaczył. Kochać i cierpieć, to nasza dola!

— Dziecię moje, pocziwa ty jesteś — odpowiedziała panna de Verneuil, głaszcząc jej rękę — głos twój słodki i wyrazy, które wymawiasz, wielkimi są! Prawda w twojej postaci wiele ma powabów! O! jakżebym chciała być ci posłuszną!..

— Przebaczysz mu, nie wydasz go!

— Milcz! nie mów mi więcej o tym człowieku. W porównaniu z nim, Korentyn jest istotą pełną szlachetności. Czy rozumiesz mnie, Korentyn!

Podniosła się, kryjąc pod maską obojętności, iście przerażającą, i szła, który ją ogarniał, i nienasycone pragnienie zemsty. Chód jej powolny i miarowy, zdradzał nieodwołalność w postanowieniach. Miotana gwałtownym wzruszeniem, pożerając obrazę, której doznała, a zbyt dumna, aby wyznać choćby najmniejszą z swoich trosk, poszła prosto do bramy ś-go Leonarda zapytać o mieszkanie komendanta.

Zaledwie wyszła z domu, kiedy przybiegł Korentyn.

— O! panie Korentynie! — zawołała Fanszeta — jeżeli choć cokolwiek obchodzi cię los tego młodzieńca, ratuj go; panienka go zgubi! Ten nieszczęsny papier wszystko zniszczył.

Korentyn niby obojętnie schwycił ów list, pytając:

— Gdzie poszła?

— Nie wiem.

Znikł, unosząc ze sobą list, przebiegł szybko podwórze i zapytał malca o krwawą nodze, który się bawił przede drzwiami:

— W którą stronę udała się ta pani, która wyszła przed chwilą z tego domu?

Syn Galope-Chopine'a postąpił z nim kilka kroków i wskazał mu ulicę stromą, prowadzącą ku bramie ś. Leonarda.

— Tam poszła — rzekł bez wahania, posłuszny zemście, którą matka w serce mu tchnęła.

W téjże samej chwili czterech ludzi przebranych, jak cztery cienie, wsunęło się do domu panny de Verneuil, nie dojrzanych ani przez chłopca, ani przez Korentyna.

— Wracaj na stanowisko — rzekł chłopcu szpieg. — Udawaj, że się bawisz klamką od żaluzji, ale czuwal dobrze i patrz wszędzie, nawet na dach.

Korentyn puścił się z szybkością, na jaką tylko mógł się zdobyć, w kierunku wskazanym przez czerwoną nóżkę. Niezadługo w mgle gęstej dojrzał pannę de Verneuil i dopędził ją w chwili właśnie, gdy już dochodziła do bramy ś-go Leonarda.

— Gdzie pani idziesz? — rzekł, podając jej ramię. — Jesteś strasznie błąd! Cóż się stało? Czy to przystoi wychodzić tak samą późną porą? Przyjmij moje ramię, ja ci będę towarzyszył.

— Gdzie jest komendant? — spytała sucho.

Zaledwie to pytanie z ust jej wybiegło, gdy posłyszeli odgłos kroków rontu wojskowego, powracającego zza bramy ś. Leonarda, i gruby głos Hulota, dominujący nad ogólnym hałasem.

— Milion piorunów! — wołał — nigdy w życiu mniej jasno nie było mi przed oczyma! Psia służba rekonesans w taką porę! Ten wściekły ex-margrabia obstalował sobie chyba taką mgłę umyślnie!

— Naco się tu skarżyć? — odpowiedziała panna de Verneuil,

ściskając go silnie za ramię — mgła ta równie dobrze ukryje zemstę, jak podłość! Komendancie — dodała pocichu — przyszedłam tu, aby się porozumieć z tobą co do środków, jakie przedsięwziąć mamy wspólnie, aby się nam dziś Gars nie wymknął!

— Czy jest u pani? — zapytał głosem drżącym, którego drżenie zdradzało głębokie wzruszenie.

— Nie — odpowiedziała — ale daj mi pan człowieka pewnego, a ja ci go przysłę z zawiadomieniem o chwili przybycia margrabiego.

— Co chcesz uczynić, pani? — rzekł Korentyn śpiesznie. — Żołnierz u ciebie spłoszyłby go zaraz, ale dziecko... ja ci znajdę dziecko takie, znajdę; dziecko nie zwróci uwagi...

— Komendancie — odrzekła panna de Verneuil — dzięki tej mgle, którą przeklinasz, mógłbyś teraz zaraz otoczyć mój dom. Obstaw żołnierzami wszystkie przejścia. Umieść jedną wartę w kościele ś. Leonarda, abyś zapewnił sobie widok z placu przedkościelnego na okna mojego buduaru. Ustaw ludzi na Promenadzie, gdyż chociaż okna mojego pokoju są wzniesione na dwadzieścia stóp nad ziemią, rozpacz daje czasami siłę dokonania najniebezpieczniejszych skoków. Słuchajcie mnie! Ja zapewne wyprowadzę tego pana przez drzwi mego domu; to też straż nad temi drzwiami trzeba powierzyć najodważniejszemu ze wszystkich, ponieważ — rzekła z westchnieniem — nie można mu odmówić odwagi. Umie on się bronić!

— Gudin! — wykrzyknął komendant.

Natychmiast młody Fougèranin wystąpił z szeregu zpomiędzy tych, którzy powrócili z Hulotem i zatrzymali się przez dyskrecją o kilka kroków od rozmawiających.

— Słuchaj, mój chłopcze — rzekł mu pocichu Hulot — ta dyabelska dziewczyna wydaje nam Garsa, sam nie wiem dlaczego, ale co mnie to obchodzi! Weźmiesz dziesięciu ludzi ze sobą i ustawisz ich tak, aby zajęli zaulek, w głębi którego położony jest dom tej kobiety, lecz żeby nie było widać ani ciebie, ani twoich ludzi.

— Dobrze, mój komendancie, znam miejscowość.

— Uważaj-że, moje dziecko — dodał Hulot. — Beau-Pied przyjdzie cię zawiadomić ode mnie, gdzie i kiedy będzie trzeba zagrać na karabinkach. Staraj się sam dopaść margrabiego i zabij go, jeżeli będziesz mógł, żebym ja nie potrzebował zabijać go drogą sądową. Zostaniesz porucznikiem za dwa tygodnie, jeżeli ci się to uda zrobić, daję ci na to słowo Hulota.

A potem, odwracając się do Maryi, dodał głośno, wskazując Gudin'a:

— Oto jest, proszę pani, chłopak, który się przed niczem nie cofnie. On osaczy twój dom dobrze i bądź pewna, że czy ex-margrabia będzie chciał wyjść, czy wejść, on go dopatrzy i nie chybi.

Gudin odszedł z dziesięcioma ludźmi.

— Czy pani wieśz dobrze, co robisz? — mówił cicho Korentyn do panny de Verneuil.

Nie odpowiedziała mu wcale. Z pewnym rodzajem dzikiej radości widziała oddalających się tych dziesięciu ludzi z podporucznikiem na czele, idących na plac Promenady, podczas gdy inni z rozkazu Hulota zajmowali stanowiska wzdłuż ciemnych spadzistości ś. Leonarda.

— Są jeszcze domy, które dotyczą do mojego — rzekła do komendanta — trzeba i je też obsaczyć. Nie wypada, żebyśmy sobie mogli wyrzucić, żeśmy zapomnieli o jakiegokolwiek ostrożności.

— Wściekła się chyba — pomyślał Hulot.

— Czy nie dobrym jestem prorokiem? — szepnął do ucha komendanta Korentyn. — U jej drzwi postawię znanego wam, obywatelu, chłopaka, czerwoną nożkę, bądź więc zupełnie spokojny...

Nie mógł dalej mówić. Panna de Verneuil nagłym ruchem się zwróciła i pobiegła ku domowi. Za nią pośpieszył także Korentyn, pogwizdując wesoło. Dopędził jej, gdy już prawie wchodziła na podwórze. Spotkali tu syna Galope-Chopin'a.

— Pani — rzekł Korentyn — weź ze sobą tego chłopca. Będziesz z niego miała najrzęczniejszego i najniewinniejszego posłańca.

Widząc, że go prawie nie słucha, a może i nie słyszy, odwrócił się do malca i szepnął mu pocichu:

— Jak tylko zobaczysz, że Gars już przyszedł, nie mów nic nikomu, nie zważaj na to, co ci będą mówili, tylko uciekaj wprost do mnie na odwach na placu, a ja ci dam tyle pieniędzy, że będziesz miał za co jeść placek świeży przez całe życie!

Malec, który uchem chłonał wyrazy Korentyna, ścisnął go tylko za rękę i pobiegł w ślad za panną de Verneuil.

— Teraz, moi kochankowie mili, możecie się porozumiewać, jak wam się podoba! — rzekł Korentyn, gdy się drzwi za Maryą zamknęły. — Będziesz ją miał, margrabio przeklęty, lecz na swym własnym całunie.

Korentyn jednak nie mógł tego przemódz na sobie, aby spuścić z oka ten dom fatalny, poszedł więc na plac Promenady, gdzie zastał Hulota, wydającego jeszcze ostatnie rozkazy. Noc też wkrótce zapadła. Dwie godziny upłynęło, a żadna z wart, ustawionych jedna za drugą w pewnej od siebie odległości, nie dostrzegła nic, coby mogło naprowadzić na podejrzenie, że margrabia przedostał

się przez ten potrójny łańcuch ludzi czujnych i ukrytych, którzy otaczali wieżę Papegant z trzech stron dostępnych.

Dwadzieściakroć Korentyn biegał z placu Promenady na odwach i dwadzieściakroć doznał zawodu. Czerwona nóżka jeszcze nie przybywał. Pograżony w myślach, szpieg przechadzał się powoli po placu, doznając mąk piekielnych z powodu strasznej walki, jaką w nim staczały trzy tak różne uczucia, jak miłość, chciwość i ambicja.

Ósma godzina wybiła na wszystkich zegarach. Księżyc wschodził bardzo powoli. Mgła i noc pograżały w strasznych ciemnościach miejsce, na którym miał się rozegrać dramat, w jego umyśle poczęty. Wyższy agent policji tajnej musiał nakazać milczenie swoim namiętnościom i, skrzyżowawszy silnie ręce na piersiach, stał nieruchomie, wlepiwszy oczy w to okno, które, jak świetlne zjawisko, wznosiło się ponad wieżą.

Gdy tak przechadzał się zniecierpliwiony i gdy bezwiedne kroki poniosły go w stronę dolin nad brzeg przepaści, machinalnie począł badać mgłę, przerzniętą kilku słabymi odbłyсками światła błyszczących tu i owdzie w oknach domów miasta przedmieść, to w obrębie, to poza obrębem wałów obronnych.

Cisza głęboka, która panowała dokoła, przerywaną była tylko szmerem rzeki Nançon, grobowym i peryodycznym dźwiękiem obwieszczającego godziny dzwonu, odgłosem ciężkich kroków wart lub szczękiem broni, gdy co godzinę zmieniano ludzi na stanowiskach. Wszystko uroczystą przybrało powagę, ludzie i natura.

— Ciemno tu jak w wilczej paszczy — rzekł w tej chwili Pille-Miche.

— Idź dalej, nic nie pytaj — odrzekł Marche-a-Terre — i nie szczekaj więcéj, jak zdechły pies.

— Zaledwie śmiem oddychać — rzekł Szuan.

— Jeżeli ten, który usunął ten kamień, chce, żeby jego serce stało się pochwą mojego noża, to niech jeszcze raz spróbuje! — rzekł po chwili Marche-a-Terre głosem tak cichym, że znikł w szmerze Nançon.

— Ależ to ja — odrzekł Pille-Miche również cicho.

— Kiedy to ty, nicponiu — odpowiedział dowódca — to sunię po skale, jak węgorz po piasku rzeki, bo jeżeli nie, to możemy tu nasze ścierwa zostawić wprzód, nim się to na co przyda!

— Hę, panie Marche-a-Terre — odezwał się znowu po chwili niepowsściągliwy Pille-Miche, podnosząc się na rękach ze swego płaskiego położenia, tak, aby się zbliżyć do ucha Marche-a-Terre'a. — Jeżeli można wierzyć naszej rozbójnicy, to tam na górze bogaty łup nas czeka. Chcesz, będziem brać na współkę.

— Baczność, Pille-Miche! — krzyknął Marche-a-Terre, zatrzymując się w swym ruchu splaszczonym ku górze.

Cały oddział zatrzymał się w jednej chwili. Zresztą Szuanie byli już strasznie zmęczeni trudnościami, jakie stawiała przepaści-ska skała w posuwaniu się naprzód.

— Już ja cię mam! — rzekł Marche-a-Terre, odpowiadając na poprzednie pytanie. — Tybys się powinien nazywać Jan Bierny, dla pieniędzy, które wolisz brać, niż dawać, a Jan Czynny, dla rąk, które wolisz dawać, niż brać. Ale nie poto my tu idziemy, aby zabitych obdzierać! Tu piekło przeciw piekłu idzie, i biada dyabłu, który będzie miał tepe pazury! Rozbójnica nas tu śle, abyśmy ocalili Garsa, a on jest tam, patrzaj! ot, tam! Podnieś-że psią twoję mordę! Widzisz teraz tam, wprost nad wieżą, to okno, w którym się świeci? No! to tam!

W tej chwili północ wybiła. Księżyc podniósł się i światłem swem nadał mgłę pozór gęstego białego dymu. Pille-Miche ścisnął za ramię swego dowódcę i wskazał mu w milczeniu o dziesięć stóp ponad nim błyszczący koniec trojkanciastego bagneta.

— Błękity już tam są! — szepnął — siłą nic nie zrobimy!

— Cierpliwości! — rzekł Marche-a-Terre. — Dobrze ja dzisiaj rano obejrzałem miejscowość, i jeżeli się nie mylę, powinniśmy znaleźć u dołu wieży Papegaut, między wałem i Promenadą, mały placzyk, na który składają nawóz, i na który zwalić się można, jak na łożko, z całym bezpieczeństwem.

— Gdyby święty mój patron — rzekł Pille-Miche — zechciał zmienić w wino tę krew, która popłynie, mieszczanie z Fougères znalazliby rano kilka beczek tego nektaru!

Marche-a-Terre ręką przytknął wielomówną głowę swego kolegi i ostrzeżenie, cicho wydane, przebiegło cały szereg aż do ostatniego Szuana, zawieszzonego w powietrzu na mchach łupkowych. W istocie Korentynu miał ucho zbyt wyćwiczone, aby miał nie usłyszeć szelestu kilku łamiących się krzaków i odgłosu kilku kamyków, przez wdrapujących się Szuanów w przepaść zepchniętych. Tym szelestem zwabiony, stanął na kraju skały. Marche-a-Terre, który zdawał się mieć dar widzenia w ciemnościach i którego zmysły w ciągłym naprężeniu nabyły giętkości i wprawy, właściwej dzikim, dostrzegł go, a może nawet, jak pies dobrze tresowany, przeczuł tylko węchem.

Policyjny dyplomata nadaremnie wsłuchiwał się i nadaremnie okiem badał naturalną ścianę przepaściściej skały — nie dojrzał nic, a chociaż wątpliwe i mgłą przysłonięte światło pozwoliło mu spostrzedz jakieś popielate nieruchome masy, wziął je raczej za kawały łupku wystające, niż za Szuanów, których ciała umiały przybrać

nieruchomość martwej natury. Niebezpieczeństwo dla Szuanów nie długo trwało, Korentyna bowiem odciągnął stąd niebawem wyraźny szelest, jaki posłyszał na drugim końcu Promenady, tam, gdzie kończył się mur, a zaczynała spadzista ścieżka, w skałę wykuta, prowadząca brzegiem skały do schodów królowej.

W chwili, gdy Korentyn przybył na tę krawędź, spostrzegł postać jakąś, wynurzającą się z mgły jakby czarodziejskim sposobem, a gdy wyciągnął rękę, aby pochwycić tę fantastyczną, czy też realną istotę, której nie przypisywał dobrych zamiarów, napotkał kształty okrągłe i delikatne kobiety.

— Niech was dyabli porwą, kobiecino! — zawołał z gniewem. — Gdybyście byli napotkali kogo innego zamiast mnie, moglibyście byli dostać kulka w łeb... Ale gadajcie prędko, skąd idziecie i do kąd dążycie o tak późnej porze? No! czyś zaniemiała!

A w duchu pomyślał sobie:

— Czy to tylko w istocie jest kobieta?

Milczenie dłuższe było niemożliwem i stawało się coraz bardziej podejrzanem; nieznajoma więc odpowiedziała głosem, zdradzającym wielki przestrah:

— Ach! jegomościu miłosierny, wracam od chorąj ciotki, ot, tam, na przedmieściu!

— Aha! to owa niby matka margrabiego! — pomyślał sobie Korentyn. — Zobaczymy, co będzie robiła.

A głośno dodał, udając, że jęj nie poznaje:

— No, to idźcież tędy, stara! Nalewo! ot, tędy, jeśli nie chcecie pokosztować prochu!

I stanął, pokazując jęj ścieżkę, lecz gdy spostrzegł, że pani du Gua nieco dalej zwróciła znowu swoje kroki ku wieży Papegant, posunął się za nią pod ścianą z prawdziwie kocią zręcznością.

Tymczasem Szuani pozeskakiwali ze stromego wierzchołka i bardzo zręcznie ukryli się około kupy nawozu, ku której dążył i o którą mówił Marche-a-Terre.

— Otóż i ona! — rzekł sam do siebie Marche-a-Terre, wspinając się na palce i posuwając pod murem, jak niedźwiedź.

— Jesteśmy tu — szepnął jęj.

— Dobrze! — odrzekła pani du Gua. — Jeżeli znajdziesz drabinę do dworku, którego ogród wznosi się o sześć stóp ponad kupą nawozu, Gars będzie ocalony! Widzisz tam to okienko owalne? Wychodzi ono z gabinetu obok jęj sypialni. Otóż tam właśnie dostać się trzeba. Ten kraj wieży, u stóp którego stoicie, jest jedyny nieobsadzony. Konie są przygotowane, i jeżeli tylko ubezpieczyłeś przejazd przez Nançon, za kwadrans powinniśmy już być zupełnie bezpieczni, mimo jego szaleństwa. Ale pamiętaj, Marche-a-Terre,

gdyby ta nikczemna dziewczyna chciała uciekać z nim razem, zabija ją bez litości.

Korentyn, dojrawszy w cieniu kilka z tych niewyraźnych postaci, które przed chwilą wziął był za kamienie, poruszających się i skradających pod murem, cofnął się zrzęcznie i pobiegł wprost na odwach pod bramę ś. Leonarda, gdzie zastał komendanta śpiącego w ubraniu na łóżku obozowem.

— Dajcież mu pokój, obywatelu — rzekł szorstko Beau-Pied do Korentyna — dopiero co oczy zmrużył.

— Szuanie są w mieście! — krzyknął Korentyn w uszy Hulotowi.

— Niepodobna! Ale tém lepiej! — zawołał komendant, przecierając oczy. — Przynajmniej będziemy się bili!

Gdy Hulot wraz z Korentynem przybyli na Promenadę, ten ostatni pokazał mu dziwną pozycją, jaką Szuanie zajmowali w cieniu.

— Podeszli, albo zdusili którąś z wart, jakie umieściłem pomiędzy schodami królowej i zamkiem! — wykrzyknął komendant. — Piekielna mgła! Ale cierpliwości! Poślę pięćdziesięciu ludzi pod wodzą porucznika do stóp skały! Nie trzeba ich atakować tutaj! Te szelmy są tak twarde, że stoczyliby się w przepaść, jak piłki, bez szwanku!

Dzwon pęknięty zegara miejskiego wydzwaniał godzinę drugą, gdy komendant powrócił na Promenadę po wydaniu rozkazów i przedsięwzięciu środków dla pochwylenia Szuanów, prowadzonych przez Marche-a-Terre'a. Natychmiast podwojono strażę i domek panny de Verneuil stał się centralnym punktem téj całej armii. Komendant zastał Korentyna, wpatrującego się w okno oświetlone ponad wieżą Papegant.

— Obywatelu — rzekł mu Hulot — zdaje mi się, że nas ten były szlachcic wytrzymuje i głowy nam zawraca. Dotąd nikt się nie ruszył nawet.

— On tam już jest! — wykrzyknął Korentyn, wskazując na okno. — Dojrzałem cień mężczyzny na firance! Nie rozumiem, co się stało z moim malcem! Zabili go, albo namówili, żeby został! Patrzaj-że, komendancie! oto tam! Cień mężczyzny! Naprzód!

— Nie pójde przeciw łapać go w łóżku, u miliona dyabłów! Wyjdzie chyba, kiedy wszedł! Gudin nie chybi strzału! — wykrzyknął Hulot, który chciał skończyć bez sądu z margrabią.

— Kiedy tak, komendancie, to ja ci nakazuję w imieniu prawa natychmiast rozpocząć atak na ten dom!

— Paradny jesteś, obywatelu! Ty mi nakazujesz?..

Nie zważając na gniew komendanta, Korentyn spokojnie, lecz przekonywająco rzekł:

— Musisz to uczynić, czego ja żądam, komendancie! Oto rozkaz urzędowy, podpisany przez ministra wojny, który cię zmusi — mówił dalej, wyciągając z kieszeni papier. — Czy myślisz, że jesteśmy tak głupi, żebyśmy pozwolili tej dziewczynie robić, co się jej podoba?! To wojna domowa! to powstanie, które zgniatamy! Wielkość celów rozgrzesza niskość środków!

— A ja sobie pozwolę, obywatelu, wysłać cię do... Nie kończę, ale ty mnie rozumiesz! Niech ci to wystarczy! Zmykaj, gdzie pieprz rośnie, lewą nogą naprzód i daj mi święty pokój, bo się zniecierpliwie!.

— Ale czytaj! — nalegał Korentyn.

— Pójdź precz razem z twoim rozkazem i z twoim urzędem! — wrzasnął Hulot, oburzony tępem, że taki padalec śmie wydawać mu rozkazy.

W téjże chwili syn Galope-Chopine'a znalazł się nagle pomiędzy niemi, jak kret, który wyszedł zpod ziemi.

— Gars jest w drodze! — zawołał.

— Którędy?

— Przez bramę ś. Leonarda.

— Beau-Pied — szepnął Hulot do ucha kapralowi, który stał przy nim — biegnij, uprzedź porucznika Gudina, aby zaatakował dom i przyjął wszystkich, którzy w nim są, ogniem plutonowym, co się zmieści! Rozumiesz!

— A my — zawołał głośno — nalewo zwrot! marsz! prosto ku wieży!

Dla dokładnego zrozumienia, jak się rozwiązał ten krwawy dramat, trzeba nam wejść koniecznie naprzód do mieszkania panny de Verneuil.

Gdy namiętności dochodzą do swego szczytu, wtedy wpadamy w daleko wyższe upojenie, niż to, jakie sprawia wino lub opium. Jasność, jakiej w chwilach takich nabierają pojęcia, delikatność rozegzaltowanych zmysłów, wywierają skutki najdziwniejsze i najmniej spodziewane. Pozostając pod despotycznym wpływem jednej i jedynéj myśli, niektóre osoby jasno widzą przedmioty ledwo dostrzegalne, podczas gdy rzeczy dotykalsze bywają dla nich tak niewidocznymi, jakby wcale nie istniały. Panna de Verneuil była właśnie pod wpływem takiego upojenia, które z życia rzeczywistego czyni jakby lunatyczne marzenie, gdy przeczytawszy ów list margrabiego, pośpieszyła przedsięwziąć wszystkie środki, aby nie mógł ujść jej zemście, tak jak przed chwilą przygotowywała wszystko do obchodu pierwszego święta swéj miłości. Ale gdy zobaczyła dom

swój tak silnie otoczony trzema liniami bagnetów, jasność nagle oblała jej duszę. Sama osądziła czyn swój i ze strasznym wstrętem ku sobie samą poznała, jak okropną popełniła zbrodnię. Z gwałtownością nieporównaną rzuciła się ku drzwiom swojego domu, ale za chwilę stanęła w nich nieruchomie, pragnąc zastanowić się, a nie mogąc pochwycić wątku swych własnych myśli. Wątpiła tak zupełnie w to, czego sama dokazała, że nie mogła przypomnieć sobie, dlaczego znajduje się w tej chwili w przedpokoju swego własnego mieszkania i trzyma za rękę dziecię jakieś, nieznane sobie. W jej oczach, tysiące iskier różnokolorowych przepełniało powietrze, jako języki ogniste. Zaczęła isć, chcąc otrząsnąć się z tej martwoty, która ją ogarniała, lecz, podobna lunatykom, szła prosto przed siebie, nie mogąc zdać sobie sprawy z kształtu i koloru przedmiotów, które się jej przed oczyma przesuwały. Ścisnęła rękę malca z siłą niezwykłą i ciągnęła go ze sobą z taką gwałtownością, że w chwili tej za szaloną uważać ją było można.

Tak też nie widziała nic, co się działo w salonie, przez który przeszła, a jednak w salonie tym na jej widok powstało i rozsunęło się, czyniąc jej miejsce, trzech mężczyzn, witając ją poważnym i pełnym szacunku ukłonem.

— Otóż ona! — rzekł jeden z nich.

— Jest w istocie bardzo piękną — zawołał ksiądz.

— Tak — odpowiedział pierwszy — ale jakże jest dziś blada i wzruszona!..

— I roztargniona! — dodał trzeci. — Nie widzi nas nawet.

U drzwi swego pokoju panna de Verneuil dojrzała słodką i wesołą twarz Fanszety, która jej szepnęła do ucha:

— On jest tam, Maryo.

Panna de Verneuil obudziła się, przypominała sobie wszystko naraz, spojrzała na chłopca, którego za rękę trzymała, i rzekła do Fanszety:

— Zamknij gdzie tego chłopca i, jeśli ci życie moje miłe, pilnuj go dobrze, aby nie uciekł!

Wymawiając powoli te słowa, wpatrzyła się we drzwi z taką siłą osłupiałego wzroku, iż zdawaćby się mogło, że nawskroś przez deski widzi swoją ofiarę. Nareszcie otworzyła drzwi pocichu i zamknęła je za sobą. Przed kominkiem stał margrabia.

Nie będąc zanadto wyszukany, strój Montaurana miał w sobie coś świątecznego i uroczystego, co dodawało jeszcze nowego wdzięku jego męskiej piękności.

Na widok jego panna de Verneuil odzyskała całą przytomność umysłu. Wargi jej ust, chociaż w pół-otwarte, lecz silnie zwężone, pozwalały dojrzeć emalią pięknych jej zębów, a uśmiech, jaki na

ustach tych usiadł, miał straszny raczej wyraz, niż rozkoszny. Szła ku niemu wprost, lecz powoli i, wskazując ręką na zegar, rzekła z udaną wesołością:

— Warto nawet długo czekać na człowieka, tak jak pan, go-dnego miłości!

Lecz nagle, zwyciężona siłą uczuć, walczących w jej sercu, padła na sofę, stojącą przy kominku.

— Droga Maryo, jakże piękną jesteś, nawet gdy się gniewasz! — rzekł margrabia, siadając przy niej i biorąc ją za rękę, której mu nie broniła, i szukając oczyma jej spojrzenia, którego mu odmawiała. — Mam nadzieję — ciągnął dalej głosem słodkim i pieścizłowym — że Marya moja będzie za chwilę bardzo zmartwioną tém, że odwracała główkę swą cudowną od swego szczęśliwego męża...

Usłyszawszy ten ostatni wyraz, odwróciła się gwałtownie i spojrzała mu bystro w oczy.

— Co znaczy to straszne spojrzenie? — zapytał z uśmiechem. — Ręka twoja jest rozpalona! Co ci jest, serce moje?

— Serce moje! — powtórzyła głosem zmienionym i ponurym.

— Tak — rzekł, klękając przed nią, i ująwszy obie jej ręce, począł je okrywać pocałunkami. — Tak, serce moje, tobie się oddaję na zawsze!

Odepchnęła go gwałtownie i zerwała się z miejsca. Rysy jej zmieniły się strasznie, roześmiała się śmiechem szalonych i zawołała:

— Kłamiesz nikczemnie! i sam nie wierzysz słowom, które wymawiasz, człowiecze przewrotniejszy, niż najpodlejszy z podłych i nikczemnych!

Poskoczyła ku kominkowi i porwała za sztylet, który leżał obok jednego z wazonów z kwiatami i, zamierzwszy się ku margrabie-mu, gdy go już uderzyć miała, upuściła broń, wołając:

— Ha! nie cenię cię nawet na tyle, żebym cię zabić mogła! Krew twoja jest za brudną, żeby ją przelać mieli żołnierze! Kat chyba jeden zgładzić cię może bez hańby dla siebie i wstrętu!

Słowa te wymówione były z trudnością, głosem niskim i cichym, a biedna Marya, wymawiając je, tupiała nogami, jak dziecię rozpieszczone, gdy się zniecierpliwi. Margrabia zbliżył się do niej, chcąc ją objąć i uspokoić.

— Nie dotykaj się mnie! — zawołała, cofając się ze wstrętem i wzgardą.

— Zmysły ją opuściły — rzekł jakby do siebie margrabia w rozpacz.

— Tak! szaloną jestem — rzekła — ale nie na tyle jeszcze, aby się stać igraszką twoją! Czegożbym nie przebaczyła namiętności

gorącej i szalonej! ale chcieć mnie posiadać na zimno, bez miłości i pisać do téj!..

— Do kogoż ja pisałem? — zapytał ze zdziwieniem, w którym nic udanego być nie mogło.

— Do téj istoty czystej i niewinnej, która zabić mnie chciała...

Teraz margrabia zbladł, jak chusta, zgniół w rękę ramię fotelu, o które był oparty, i wykrzyknął:

— Jeżeli pani du Gua dopuściła się nowej jakiegś podłości...

Panna de Verneuil poczęła szukać listu, a nie znajdując go, zawołała Fanszety.

— Gdzie jest list?

— Pan Korentyn go wziął.

— Korentyn! Ach! teraz wszystko rozumiem! On list sfałszował, on mnie oszukał, jak on oszukiwać umie, ze sztuką iście szatańską!

Ze strasznym krzykiem rzuciła się na sofę i potok łez oblał jej lice. Wątpliwość równie była straszną, jak pewność. Margrabia upadł u jej nóg, przycisnął ją do serca i powtarzał dziesięćkroć te same słowa, innych znaleźć nie mogąc.

— Czegóż płaczesz, mój aniele? Cóż w tém złego z twojej strony? Twój gniew pełen jest miłości! Nie płacz, ja cię kocham! kocham cię, kocham na zawsze!

Nagle uczuł się ściśniętym w jej objęciach z siłą nadnaturalną i wśród łkania usłyszał pytanie:

— Czy mnie kochasz jeszcze?

— Czy możesz wątpić! — odpowiedział tonem prawie melancholijnym.

Wyrwała się z jego objęć i odskoczyła o dwa kroki, jakby przerażona i zmieszana zarazem.

— Czy ja wątpię? — powtórzyła.

Margrabia uśmiechnął się z tak słodką ironią, że słowa jej na ustach zamaryły. Pozwoliła wziąć się za rękę i doprowadzić aż do progu drzwi salonu, w którego głębi ujrzała ołtarz, urządzone naprędce podczas jej nieobecności. Na środku stał ksiądz, przybrany w kapłańskie szaty. Świece woskowe zapalone rzucały dokoła blask tak słodki, jak nadzieja. W dwóch mężczyznach, którzy jej ukłon złożyli, gdy przechodziła, poznała hrabiego de Bauran i barona du Guénic, dwóch świadków, wybranych przez Montaurana.

— Czy jeszcze wątpisz i czy mi jeszcze odmawiasz? — spytał pocichu margrabia.

Na ten widok nagle Marya cofnęła się do swego pokoju, upadła na kolana i podniosła ku niemu złożone dłonie, wołając:

— Przebacz mi! przebacz! ach! przebacz!

Głos jej słabł coraz bardziej, głowa pochyliła się w tył, oczy się zamknęły i padła w ramiona margrabiego i Fanszety, jak nieżywa. Gdy otworzyła oczy, spotkała wzrok młodego wodza, pełen dobroci i miłości.

— Cierpliwości, Maryo! To już ostatnia burza — rzekł.

— Ostatnia burza... — powtórzyła.

Fanszeta i margrabia spojrzeli na siebie zdziwieni, lecz nakazała milczenie jednym gestem.

— Zawołajcie księdza — rzekła — i pozostawcie mnie z nim sam-na-sam.

Usunęli się.

— Ojciec mój — rzekła do księdza, który w tej chwili stanął przed nią — ojciec mój, w dzieciństwie mojem starzec białowłosy, podobny do was, powtarzał mi często, że wiarą wielką wszystko od Boga uzyskać można. Czy to prawda?

— Prawda to wielka, dziecię moje — odpowiedział ksiądz — a u tego, który wszystko stworzył, niema nic niemożliwego!

Panna de Verneuil upadła na kolana z niezrównanym entuzjazmem.

— O, Boże mój! — zawołała w ekstazie — wiara moja w Ciebie równą jest miłości mojej dla niego! Natchnij mnie! Uczyni cud tutaj, lub bierz i życie moje!

— Będiesz wysłuchana, dziecię moje — rzekł ksiądz poważnie.

Po chwili we drzwiach salonu ukazała się panna de Verneuil, wsparta na ramieniu srebrnowłosego starca. Głębokie, a tajne dla wszystkich wzruszenie czyniło ją w tej chwili oddania się miłości kochanka piękniejszą, niż zwykle, twarzy jej nadawało bowiem charakter prawdziwie imponujący, ten wyraz pogody zupełnej, w jaki wielcy malarze przyoblekają twarze męczenników.

Podawał rękę margrabiemu i oboje postąpili ku ołtarzowi, przed którym uklękli.

Małżeństwo to, które miało być zawarte tuż obok łoża przyszytych, legalnych rozkoszy, ołtarz ten, wzniesiony naprędce, krzyż ten, naczynia, kielich świętej ofiary, przyniesione tajemnie przez księdza, ten dym kadzideł, wznoszący się ku sufitowi, o który dotąd obijały się tylko kłęby dymów z potraw przy uczcie, ten ksiądz, który na sutannie miał tylko stulę, te świece woskowe w salonie — wszystko to nadawało tej scenie charakter wzruszający i dziwny, który lepiej jeszcze maluje te smutnej pamięci czasy, w jakich niezgoda domowa zburzyła najświętsze instytucje. Ceremonie i obrzędy religijne miały podówczas cały wdzięk tajemniczości. Dzieci otrzymywały chrzest w łożu jęczących jeszcze matek. Jak niegdyś

przed wiekami, Pan zstępował w prostocie i ubóstwie pocieszać umierających. Młode dziewczęta przyjmowały po raz pierwszy chleb święty w tém samém miejscu, w którym dnia poprzedniego oddawały się światowej zabawie.

Związek margrabiego z panną de Verneuil miał być dokonany, jak wiele innych związków w owe czasy, aktem, przeciwnym ówczesnemu prawodawstwu, później jednak małżeństwa te, po największej części pobłogosławione u stóp dębów leśnych, były wszystkie jak najskrupulatniej przyznane. Ksiądz, który zachowywał aż do ostatniej chwili dawne zwyczaje, był jednym z ludzi wiernych swoim zasadom, pomimo burz i piorunów. Głos jego, nieskalany przysięgą, wymaganą przez rzeczpospolitą, wśród huku walk niósł tylko słowa pokoju. Nie rozżarzał on, jak to czynił opat Gudin, ognia pożarów, ale wraz z innemi poświęcił się niebezpiecznej misji spełniania obowiązków kapłańskich dla tych, którzy pozostali katolikami. Aby móżdżek spełnić przyjęte dobrowolnie obowiązki, ksiądz taki musiał się uciekać do przeróżnych podstępów, świętością celu usprawiedliwionych. A i margrabia, pragnąc zażądać od niego błogosławieństwa kościelnego dla swego związku, znalazł go dopiero w jednej z tych grot skalistych, które do dzisiaj noszą w Bretanii nazwę „księżych kryjówek“.

Widok tej twarzy bladłej i cierpiącej tak bardzo zniewalał do szacunku i modlitwy, że kapłan ten sam jeden wystarczał do nadania światowej sali pozoru świętego miejsca. Akt nieszczęścia i rozkoszy był już gotowy. Przed rozpoczęciem obrzędu ksiądz wpośród milczenia zapytał o imiona narzeczonej.

— Marya-Natalia, córka panny Blanki de Casteran, zmarłej ksienią klasztoru Notre Dame w Séez, i Wiktora Amadeusza księcia de Verneuil.

— Urodzona?

— W Chasterie, pod Alençon.

— Nie myślałem — szepnął baron do ucha hrabiemu — żeby Montauran zrobił to głupstwo i ożenił się z nią! Córka naturalna księcia de Verneuil! Doprawdy, Montauran wart więcej!

— Gdybyż jeszcze córka naturalna króla, toby było do darowania — odpowiedział Bauran baronowi z uśmiechem — ale ja go tam ganić nie będę. Podoba mi się przyszła margrabina. A teraz wydam wojnę „klaczy Charette’a“! Ta się przynajmniej w małżeństwie nie wdaje! Ona nie grucha!..

Imiona, nazwisko i tytuły margrabiego były już wprzód wpisane; nowożeńcy podpisali akt najprzód, a następnie świadkowie. Obrzęd rozpoczął się. W téjże samej chwili Marya sama jedna z całego zebrania pochwyciła uchem szcęk broni i odgłos ciężkich kro-

ków maszerujących żołnierzy, którzy prawdopodobnie zaciągali wartę na stanowisku, jakie sama im wyznaczyła pod kościołem świętego Leonarda. Zadrżała i wzniosła oczy błagalnie ku krzyżowi, stojącemu na ołtarzu.

— Prawdziwie święta! — szepnęła Fanszeta.

— Dajcie tylko dużo takich świętych, a stanę się w jednej chwili dyabelnie pobożnym — również pocichu wymówił hrabia de Bauran.

Gdy ksiądz zadał pannie de Verneuil zwykłe w tych razach pytanie, odpowiedziała stanowczém „tak“, ale nie mogła powstrzymać wydzierającego się z piersi westchnienia. Pochyliła się do ucha swego męża i rzekła:

— Niezadługo dowiesz się, dlaczego łamię przysięgę, którą uczyniłam, mówiąc, że cię nigdy nie poślubię.

Po skończeniu obrzędu towarzystwo przeszło do innej sali, gdzie podany był obiad weselny. W chwili, gdy zasiedli do stołu, wpadł do pokoju służący Jeremiasz bardzo przestraszony. Nieszczęśliwa panna młoda zerwała się z miejsca i pobiegła naprzeciw niego, a wprowadzając go wraz z Fanszetą do swego pokoju pod jednym z tych pretekstów, jakie kobiety tak łatwo w jednej chwili wynaléść umieją, prosiła margrabiego, aby przez pewien czas sam pełnił obowiązki gospodarza domu i obszedł się pod tym względem bez jej pomocy. Zrobiła to tak szybko, że Jeremiasz nie zdążył wymówić ani jednego słowa, które mogłoby zdradzić fatalny stan rzeczy.

— Ach! Fanszeto, czuć zbliżającą się śmierć i nie móc nawet wykrzyknąć: „umieram!“ to zaprawdę straszne!.. — zawołała panna de Verneuil, gdy się znalazła sam-na-sam ze swoją siostrą mleczną.

Marya nie ukazała się więcej przy stole, a nieobecność ta tłómaczyć się mogła wzruszeniem, jakiego przy dopiero co odbytej ceremonii doznała. Przy końcu wszakże uczyty, gdy niepokój margrabiego dochodził do swego zenitu, weszła, uroczą w swym stroju panny młodej. Twarz jej była spokojna i wesoła, gdy tymczasem towarzysząca jej Fanszeta miała rysy tak strasznie zmienione trwogą i przerażeniem, że obie te twarze mogły się wydawać współbiesiadnikom jakby allegoryczny obraz, na którym dziwny i oryginalny pędzel Salvatora Rosy przedstawiłby życie i śmierć, trzymające się za ręce.

— Panowie — rzekła, zwracając się do księdza, hrabiego i barona — na dziś jesteście moimi gośćmi. Byłoby zbyt niebezpiecznem dla was dziś chcieć wydostać się z Fougères. Ta pocziwa dziewczyna odebrała już instrukcye moje i zaprowadzi każdego z panów do przeznaczonego dlań apartamentu.

— Bez buntu, panowie — dodała wesoło, widząc, że ksiądz ma zamiar oponować. — Spodziewam się, że nie zechcecie być nieposłusznymi kobiecie w dniu jej ślubu.

W godzinę później Marya pozostała sama ze swym kochankiem i mężem w rozkoszonym buduarze, który z takim wdziękiem urządziła. Stanęli nareszcie u portu, około tego fatalnego łoża małżeńskiego, w którym, jak w grobie, ginie tyle nadziei, w którym jutrenka nowego życia tak niepewnym blaskiem płonie, w którym umiera lub rodzi się miłość, stosownie do godności charakterów, które tutaj dopiero zmierzyć się mogą.

Marya spojrzała na zegar i pomyślała sobie:

— Jeszcze sześć godzin życia.

— I ja mogłam usnąć! — zawołała nad ranem, obudzona tym nagłym i gwałtownym ruchem, nie mającym widocznej przyczyny, a zwykłym w razach, gdy dnia poprzedniego sami z sobą zawarliśmy pakt, że się obudzić mamy o pewnej oznaczonej godzinie. — Tak, ja spałam! — powtórzyła, widząc przy blasku świc, że skazówka zegara zbliżała się do godziny drugiej.

Odwróciła się i poczęła przypatrywać się śpiącemu margrabiemu. On spał, jak dziecko, z głową opartą na jednym ręku, drugą zaś miał wyciągniętą ku żonie swojej, na ustach miał uśmiech, jakby zasnął wśród pocałunku.

— Ach! jakiż to błogi i słodki sen! Ale czyż mógł on nie zaufać mnie, mnie, która-m mu winna to szczęście niezmiernie!

Poruszyła go lekko, on się obudził i poczętego we śnie uśmiechu dokończył. Pocałował rękę, która go potrafiła, i spojrział na tę nieszczęsną kobietę oczyma tak pełnymi miłości, że nie mogąc znieść ich rozkosznego blasku, przymknąć musiała powoli powieki, jakby chciała sama sobie zabronić tej niebezpiecznej kontemplacji. Przysłaniając jednak wzrok i zdając się cofać przed pragnieniami męża, podsycała je tak silnie, że nie wiedzący o strasznej jej trwodze margrabia, mógł ją łatwo o zbytek kokieterii posądzić.

Razem podnieśli głowy z poduszek i jednocześnie zamienili ze sobą spojrzenia wzajemnej wdzięczności za doznane rozkosze. Jedno to jednak spojrzenie w przesłiczną twarz swjej żony wystarczyło margrabiemu, aby dojrzeć chmury, które na czole jej osiadły, zapytał jej więc głosem pieszczoty i słodczy pełnym:

— Skądże ten cień smutku na twojem czole, najdroższa?

— Biedny Alfonsie, powiedz, jak sądzisz, gdzie cię doprowadziła?

— Do szczęścia!

— O, nie! Na śmierć cię prowadzę!

I drżąc z trwogi i wstrętu ku sobie, wyskoczyła z łóżka. Zdziwiony margrabia pobiegł za nią. Ona doprowadziła go do okna i rozpaczliwym ruchem odchyliła firanki, wskazując mu palcem dwudziestu żołnierzy, rozstawionych na placu.

Księżyc, rozproszywszy mgły, oświecał srebrnym swym światłem błyszczące karabiny, błękitne mundury, Korentyna przechadzającego się wzdłuż i wszerz, jak szakał, oczekujący na swą pastwę, i komendanta nieruchomego, z rękami założonemi, z głową podniesioną, z wargami wydętymi, oczekującego i niezadowolonego.

— Zostawmy ich w spokoju, Maryo. Chodź do mnie.

— Nie śmiej się, Alfonsie! Ja to ich tam postawiłam!

— Śniesz chyba!

— Nie!

Popatrzyli na siebie przez chwilę i margrabia zrozumiał wszystko; a biorąc ją w swoje objęcia, zawołał:

— Niech będzie, jak chce! Ja cię kocham, Maryo!

— Więc jeszcze nie wszystko stracone! — wykrzyknęła Marya. — Alfonsie — spytała po krótkiej pauzie — więc jest jeszcze nadzieja?

W tej chwili usłyszeli wyraźnie przygłuszony krzyk puszczyka, a z gabinetu sąsiedniego wpadła Fanszeta.

— Piotr tu jest! — zawołała z radością prawdziwie szaloną.

Margrabina i Fanszeta przebrały Montaurana w kostium Szuana z szybkością, na jaką tylko kobiety zdobyć się mogą. Podczas gdy Alfons zajęty był nabijaniem broni, którą przyniosła Fanszeta, margrabina de Montauran wybiegła szybko, dając swój towarzysze znak porozumienia. Fanszeta zaprowadziła margrabiego do gabinetu, przytykającego do sypialni. Młody wódz, zobaczywszy wielką ilość skręconych prześcieradeł, związanych ze sobą, mógł się łatwo przekonać o troskliwości serdecznej, z jaką pracowała poczciwa Bretonka dla omylenia czujności żołnierzy.

— W żaden sposób przecisnąć się nie zdołam przez ten wąski otwór! — rzekł margrabia, oglądając ramę owalnego okienka.

Z drugiej strony w owalu tym ukazała się nagle wielka czarna postać i dał się słyszeć głos gruby, dobrze znany Fanszecie:

— Śpiesz się, gienerale! To mrowie Błękitnych ruszać się zaczyna!

— O! jeszcze jeden uścisk! — szepnął głos słodki i drżący.

Margrabia, który już nogą sięgał drabiny, mającej go ocalić, lecz który jeszcze górną częścią ciała znajdował się w okienku, nagle uczuł gorący pocałunek na swęj twarzy i uścisk rozpaczliwy.

Podniósł oczy i, ujrawszy żonę swoją, ubraną w jego własne suknie, wydał krzyk straszny. Ona wyrwała się z jego objęć; on ją chciał zatrzymać, lecz uciekła; a że czasu do stracenia nie było, począł zstępować po drabinie. W ręku miał kawał materji, a światło księżyca dało mu poznać, że był to szmat, oderwany z kamizelki, którą miał na sobie w dniu wczorajszym.

— Bacność! Ognia plutonami!

Wyrazy te, wyrzeczone przez Hulota wśród ciszy, miały w sobie coś piekielnego i złamały urok, pod wpływem którego zostawało wszystko — ludzie i natura sama. Grad kul, dobiegających z doliny aż do stóp wieży, następował po każdym wystrzale Błękitnych, ustawionych na Promenadzie. Ogień republikanów trwał bez przerwy, ciągle, bezlitośnie. Cisza pomiędzy strzałami była przerażającą. Ofiary nie wydawały ani jednego jęku.

Jednakże Korentyn, usłyszawszy odgłos spadającego z drabiny jednego z napowietrznych podróżnych, podejrzewał jakiś podstęp.

— Ani jeden z tych ptaszków nie śpiewa — rzekł do Hulota. — Rozmaitowani kochankowie może nas tu zabawiają umyślnie, a sami tymczasem uciekają inną drogą!..

Niecierpliwy w rozświetleniu tajemnicy szpieg, posłał „czerwoną nóżkę“ po pochodnie. Podejrzenie Korentyna doskonale zrozumiane zostało przez Hulota. Stary żołnierz, słysząc jednocześnie odgłosy poważniejszej walki w stronie bramy świętego Leonarda, wykrzyknął:

— To prawda! dwóch ich przecież być nie może!

I pobięł pędem ku bramie.

— Zmyli mu głowę ołowiem, mój komendancie — rzekł Beau-Pied, który biegł naprzeciw Hulota — ale i on zabił Gudin'a i ranił nam dwóch ludzi! A! wściekła bestya! Przedarł się przez trzy szeregi naszych zuchów i byłby się wydostał na pole, gdyby go był przy bramie świętego Leonarda na straży stojący żołnierz nie nadział na bagnet.

Usłyszawszy te słowa, komendant wpadł do kordegardy i spostrzegł na łóżku obozowém skrwawione ciało, które tam przed chwilą złożono. Zbliżył się do tego trupa, który wszyscy mieli za marnego, podniósł kapelusz, zakrywający mu twarz, i upadł na krzesło.

— Spodziewałem się tego! — zawołał, załamując ręce. — Zadługo, u pioruna, trzymała go u siebie!

Wszyscy stanęli jak wryci. Komendant kazał rozpuścić długie zwoje czarnych włosów kobiecych.

Wtém ciszę przerwał hałas nadchodzących zbrojnych ludzi. Ko-

rentyn wszedł do kordegardy, poprzedzając czterech żołnierzy, niosących na leżach, zrobionych z karabinów, Montaurana, któremu kilka kul strzaskało nogi i ramiona. Położono go na łożu obozowym obok żony. Dostrzegł on ją i konwulsyjnym rzutem zdołał pochwycić jej rękę. Umierająca odwróciła z trudnością głowę, poznała swego męża, zadrżała wszystkimi członkami i wyszeptala gasnącym głosem następujące słowa:

— Dzień bez jutra... Bóg mnie aż nadto wysłuchał...

— Komendancie — rzekł margrabia, zbierając wszystkie swoje siły i nie puszczać ręki Maryi — liczę na waszą uczciwość, iż zawiadomicie o mojej śmierci brata mego, który obecnie przebywa w Londynie. Jest-to jeszcze młody chłopiec. Napisz mu, komendancie, że jeżeli chce być posłuszny ostatnim moim słowom, nie podniesie nigdy broni przeciw Francyi, nie opuszczając jednak stronictwa królewskiego!

— Stanie się, jak sobie tego życzyście — odpowiedział Hulot, ściskając rękę umierającego.

— Odniescie ich do sąsiedniego szpitala — rzekł Korentyn.

Hulot wziął szpiega za ramię z taką siłą, że musiał mu zostawić na ciele ślady swoich palców, i rzekł groźnie:

— A ty, ponieważ już twoja tutaj robota skończona, uciekaj, gdzie pieprz rośnie, a przyjrzyj się wprzód dobrze twarzy i postaci komendanta Hulota, abyś się nigdy nie znalazł na jego drodze, jeżeli nie chcesz, by brzuch twój poszedł na pastwę dla jego pałasza!

I już stary żołnierz w przystępie wściekłości chwycił za szablę.

— Oto jeszcze jeden pocziwy człowiek, który nie zajdzie daleko — pomyślał sobie Korentyn, kiedy czuł się już bezpiecznym w wystarczającym oddaleniu od kordegardy Hulota.

Margrabia zdołał jeszcze skinieniem głowy podziękować przeciwnikowi swojemu, dając mu tém dowód szacunku, jaki miewają dla siebie ludzie prawdziwie odważni i... lojalni nieprzyjaciele.

W roku 1827 stary jakiś człowiek w towarzystwie swęj żony handlował bydłem na placu targowym miasta Fougères i nikt nie miał mu nic do zarzucenia, chociaż zabił on w swém życiu więcej, aniżeli sto osób; nikt mu nawet nie przypominał przydomku Marche-a-Terre'a, jaki nosił niegdyś.

Osoba, której należy się wdzięczność za dostarczenie drogocennych objaśnień, dotyczących osobistości tu występujących, widziała go prowadzącego na postronku krowę i idącego z tą miną spokojną, a pełną niewinności, która sama przez się wywołuje na usta patrzących wykrzyknik:

— Oto zaiste pocziwy człowiek!

Fougères w sierpniu 1827 roku.

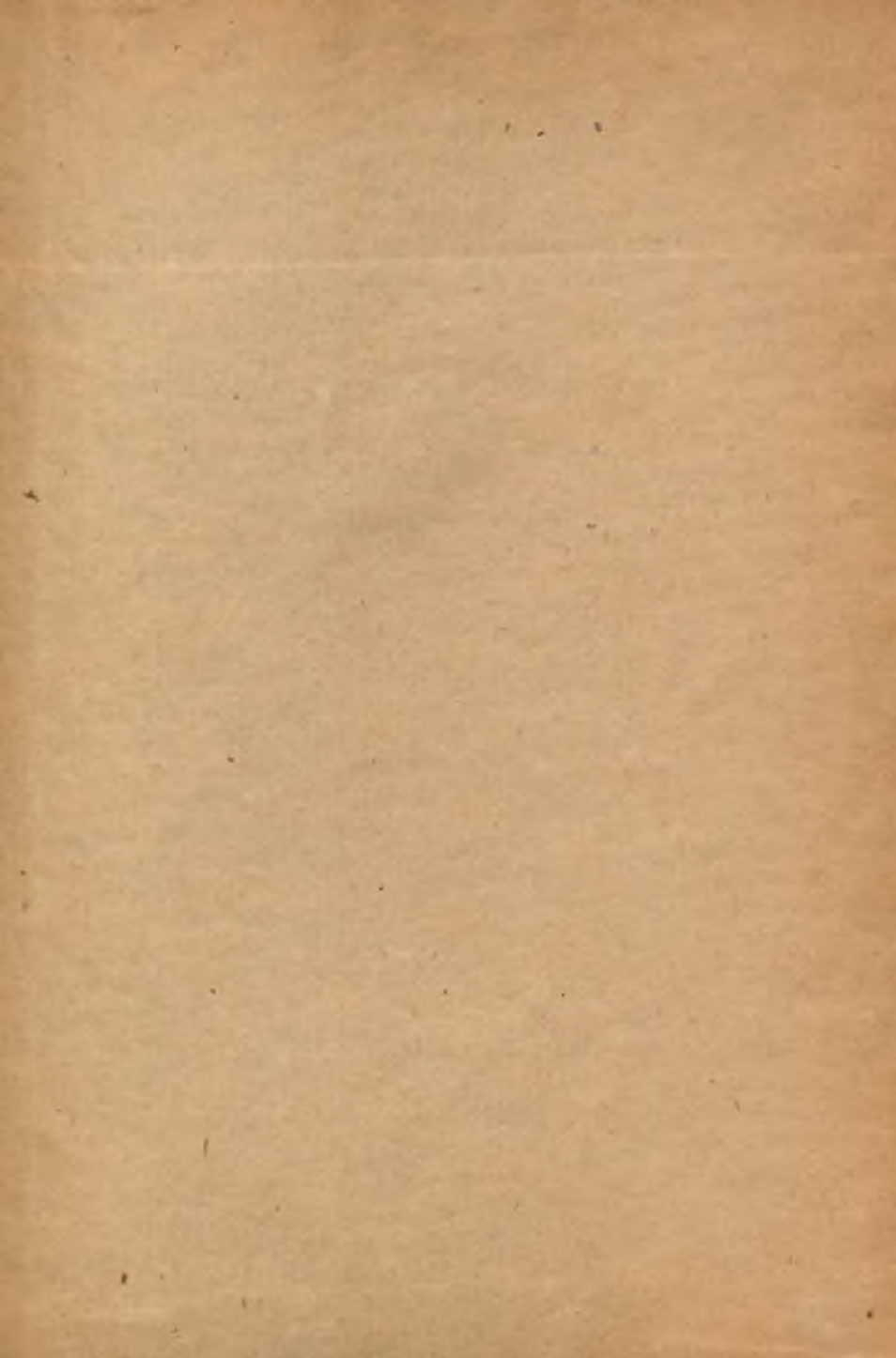
323918
LOHLIN
JUL 2 1961

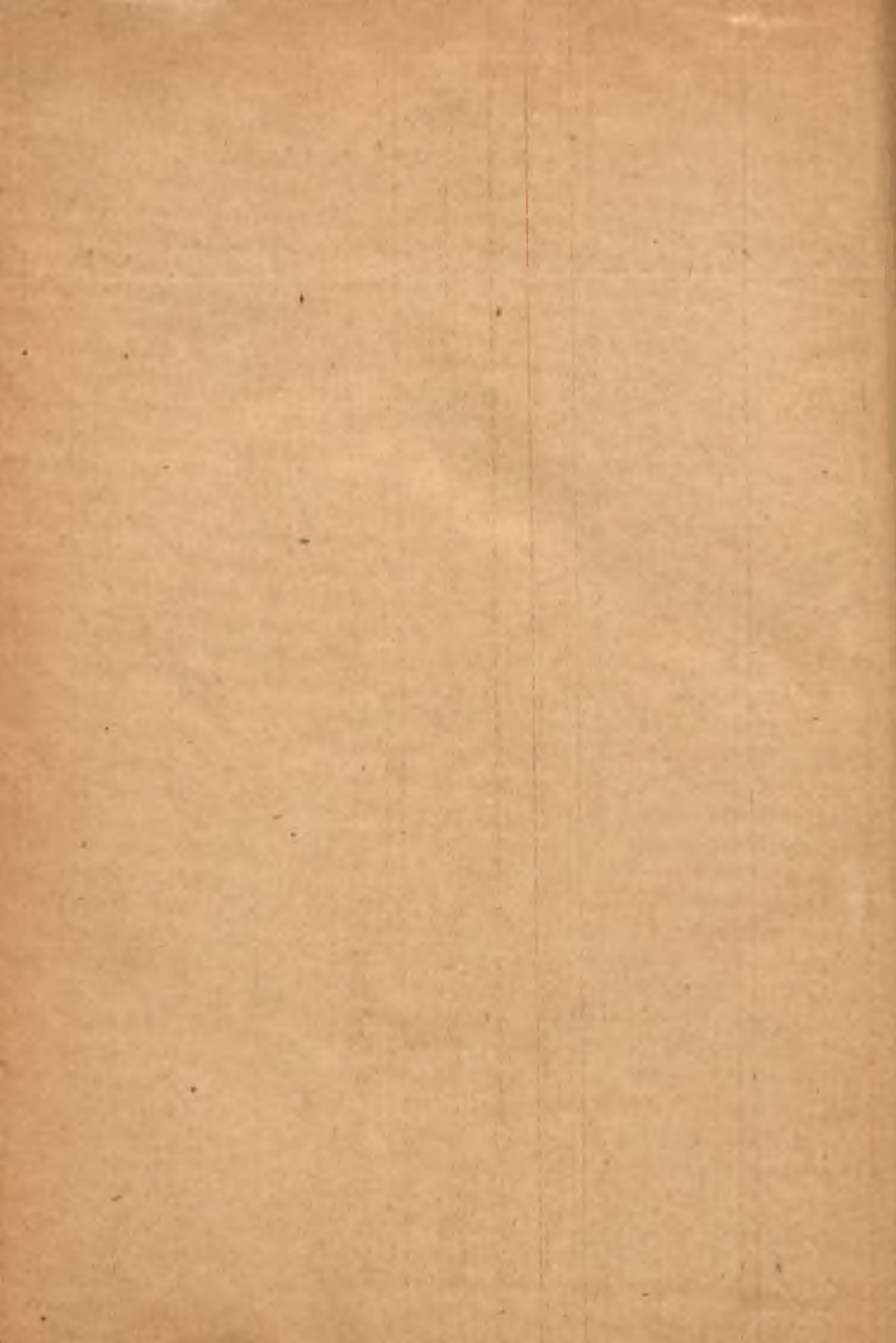
SPIS RZECZY.

	<i>Str</i>
Roz. 1. Zasadzka	7
— 2. Myśl Fouché'go	52
— 3. Dzień bez jutra	153

2912 RECEIPT

Received of
Mr. J. H. Smith
the sum of





Biblioteka im. Hieronima
Łopacińskiego w Lublinie



3239/4

T. 6



1238084134